

ANIOŁY JURIJ DRUŻNIKOW
NA
OSTRZU
IGIELNYM

WYDAWNICTWO
ARCA
NA



JURIJ
DRUŻNIKOW

ANIOŁY
NA
OSTRZU
IGIELNYM

TŁUMACZENIE
ALICJA WOŁODŹKO-BUTKIEWICZ

1. Przed głównym wejściem

Igor Iwanowicz Makarcew zatrzymał się przy wartownikach i okazał ciemnoczerwoną legitymację. Gdy jeden z nich wpatrywał się w zdjęcie, drugi mierzył badawczo Makarcewa wzrokiem. Po chwili dał znak pierwszemu, ten oddał dokument:

— Proszę...

Makarcew wsunął legitymację do kieszeni i ruszył do wyjścia. Dawniej mówił wartownikom „do widzenia”, teraz poprzestawał na łaskawym pochyleniu głowy. Gdy pociągnął ku sobie wewnętrzne drzwi, spod drewnianych krat powiało ciepłem. Wyszedł na ulicę. Idąc opatulał się szalikiem i zapinał palto.

Zimne powietrze łaskotało nozdrza, wypełniało płuca. Przed oczyma Makarcewa wyrósł gmach Muzeum Techniki, potem toporny pomnik grenadierów poległych pod Plewną i opustoszały Stary Plac. Kręciło się tam jedynie kilku milicjantów z wydziału specjalnego drogówki. Wokół ciasnym kręgiem parkowały samochody. Po prawej auta pędziły z góry w dół w stronę ulicy Chińskiej. Makarcew pomyślał, że nazwa ta jest poważnym uchybieniem władz miasta. Dawno należało ją zmienić. To przecież absurd: do najważniejszego gmachu w państwie jedzie się ulicą Chińską!

Obecność Makarcewa na pustym chodniku nie pozostała niezauważona. Dostrzegli go nie tylko milicjanci kierujący ruchem, ale i kilku tkwiących gdzieś w ukryciu, ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy „Siódemki”. *

Wychodzącym z gmachu przypatrywali się również kierowcy; ci w oczekiwaniu na swych szefów co jakiś czas rozgrzewali wychłodzone silniki. Zapadał zmierzch, prószył śnieg, ale latarnie jeszcze były ciemne. Każdy kierowca wyteżał wzrok, by nie przegapić swego chlebobawcy.

* Siódemka — VII wydział operacyjny KGB: do jego obowiązków należał nadzór ulic, gdy jeździli nimi przywódcy partii i rządu; wydział IX, czyli dziewiątka, zajmował się osobistą ochroną członków Biura Politycznego i ich rodzin.

Losza Dwojeninow, chłopak bystry, ostronosy, niezbyt często patrzył na wielki gmach. Chociaż Makarcew wychodził zwykle głównym wejściem, miał przepustkę, która pozwalała mu pojawić się z każdej strony. Na widok swego szefa Losza natychmiast włączał silnik i ogrzewanie, nie otwierał jednak drzwiczek, by nie wychłodzić samochodu. Mało prawdopodobne, by szef szybko wrócił. Zawsze, co prawda, mówi, że długo to nie potrwa, ale wysiaduje na Starym Placu co najmniej dwie, a czasem nawet cztery godziny.

Makarcew minął chodnik i już stawiał nogę na jezdni, gdy nagle odrzucił głowę i przystanął — coś ukuło go w piersiach. Dokucało mu czasem serce, więc wołał przeczekać, nie oddychać zbyt gwałtownie. Ostrożnie ruszył, lecz ból niczym płomień ogarnął nagle całą pierś, uderzył w plecy, zaczął szarpać między łopatkami. Zdawało się Makarcewowi, że złapał go prąd. Ból rozprzestrzenił się jak błyskawica, spływał w dół, uciskał żołądek.

Igor Iwanowicz jęknął, zachrypiał. Schwycił się rękoma za pierś, usiłując rozpiąć guzik. Przed oczyma wirowały mu ogniste plamy, gmach Muzeum Techniki przechylił się na bok, samochody uniosły się w górę i wszystkie naraz runęły na Makarcewa. Poczul, że traci przytomność, nogi mu zmiękły, ugięły się pod nim. Odruchowo chrońiąc głowę, oparł się rękami o ziemię i usiadł na chodniku. Wciąż jeszcze był przytomny.

Przy ziemi ostro cuchnęło moczem. Wiatr zmieszany ze śniegiem wiał od strony Muzeum Techniki, niosąc ze sobą smród publicznego klozetu. Nie było nikogo, kto mógłby podać rękę lub wezwać pomoc. Był tylko ból, zapierające dech w piersiach cierpienie. Jedyne szansa ratunku — to powrót do drzwi, zza których Makarcew przed chwilą wyszedł.

Ból był już nie do wytrzymania. Ciało przestało być posłuszne, ręce zdrętwiały i Igor Iwanowicz upadł. Zazgrzytał zębami, powoli przekręcił się na bok, stanął na czworakach. Teraz trzeba się podnieść i wejść na chodnik, lecz śnieg topnieje, ślizgają się ręce.

Mimo bólu Makarcew uświadomił sobie, w jak idiotycznej znalazł się sytuacji: ktoś taki jak on, na jego stanowisku, czołga się do KC na czworakach. Ludzie zobaczą i zaczną się gadanie, licho weźmie autorytet. Może nawet zameldują samemu gensekowi! Ale cierpienie kazało zapomnieć o wszystkim. Byle dotrzeć do lekarzy. Uraują go! Drzwi masywne, ciężkie, trudno je będzie otworzyć. Byle do klamki! Powoli zbliżał się do wejścia.

Gdy Losza zauważył, że Makarcew wychodzi z gmachu, zapuścił silnik i schylił się, by włączyć ogrzewanie: szef lubił ciepło. Ale przełącznik stawiał opór. Gdy w końcu go przesunął i znów spojrział przed siebie, ulica była pusta. Czyżby się pomylił? Wtem zobaczył, że ktoś pełźnie do drzwi, na których złocił się napis: „Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.” Upłynęła dłuższa chwila, nim Losza się połapał, co jest grane.

Igor Iwanowicz z wysiłkiem szarpnął klamkę, jęknął i runął na moką, szczeciniastą wycieraczkę. Podnieśli go wartownicy ze specdywizji im. Dzierżyńskiego. Jeden z nich nacisnął guzik. Tego, co było dalej, Makarcew już nie widział: stracił przytomność.

— Nasz człowiek — stwierdził wartownik, patrząc na poczerwiałą twarz.

Inny zręcznie rozpiął palto Makarcewa i wyciągnął mu z kieszeni legitymację. Zrobił to tak szybko i wprawnie, jakby sam ją tam włożył. Porównał fotografię z twarzą leżącego na podłodze (tak nakazywał regulamin) i dopiero wtedy skinął na pielęgniarzy:

— Można wnosić.

Schwycili Makarcewa za ręce i nogi, położyli na nosze. Jęknął. W dwie minuty później był już na sali reanimacyjnej wyposażonej w nowoczesną, amerykańską aparaturę.

Miał na sobie garnitur, ciemny, czysty, ale znoszony — wyszły takie z mody już przed dziesięciu laty. Czarne półbuty wyczyszczone do blasku, obcasy nieco ścięte. Garnitur, który uszyto w pracowni krawieckiej KC, służył Makarcewowi podczas wizyt w Wielkim Domu. Nie należało się tam wyróżniać jaskrawym krawatem ani ostrym kantem spodni; wiedząc o tym żona prasowała je przez suchą szmatkę.

Nad Makarcewem, zakrytym prześcieradłem, pochyłili się dwaj lekarze — reanimatorzy z Czwartego Głównego Zarządu Ministerstwa Zdrowia; przez okrągłą dobę czuwali na swym posterunku.

Gdy Dwojeninow wbiegł do budynku, zobaczył tylko, że jego szefa, jakby już był martwy, kładą na nosze i gdzieś zabierają.

— Mógłbym się dowiedzieć? Jestem jego kierowcą...

— Kierowca? No to wracaj do samochodu.

— Ale co się stało?

— Jak będzie trzeba, to się dowiesz.

Aleksy zgasił silnik, objął rękami kierownicę, oparł na niej twarz. Jechać do redakcji, zawiadomić ich, że naczelny zasłabł? A może wpierv skoczyć do domu Makarcewa, dać znać żonie? Jeśli tak, to

znów trzeba będzie tu wracać, potem może jeszcze gdzieś każą jechać... A co, jeśli szef trochę poleży i wyjdzie, a tu wozu nie ma! Bo Loszka narobił paniki na całą Moskwę. Lepiej poczekać, trochę sobie pospać...

Dwojeninow zdrzemnął się (do pracy przychodził wcześniej, dosypiał wyczekując za kierownicą), ze sześć razy włączał silnik, żeby się ogrzać. Parkujące obok wozy odjeżdżały, na ich miejscu stawały inne. Wypalił ostatniego papierosa, choć ostatni zawsze miał na podorędziu, od czasu, gdy przed dwoma laty wioził Igora Iwanowicza z bankietu na rządowej dacy. Makarcew, nieźle wtedy wstawiony, bez skutku szukał po kieszeniach papierosa, w końcu poprosił Loszę, by dał mu zapalić. Ale Loszy też fajek zabrakło.

— Co z ciebie za kierowca, jak nie masz dla mnie papierosa? — po ojcowsku pociągnął Loszę za ucho.

„Wołga” zatrzymała się koło milicjanta z drogówki: na szosie uspieńskiej jest ich więcej niż grzybów po deszczu. Losza poprosił milicjanta o papierosa. Opasły, niemłody lejtnant (na rządowych trasach ci z drogówki mają wyższe stopnie niż te na naramiennikach) spojrzął spod oka na samochód z literami MOS i numerem zaczynającym się od dwóch zer. Takich wozów nikomu nie wolno zatrzymywać, a Losza prócz prawa jazdy ma prawo łamania przepisów ruchu drogowego, byle tylko przestrzegał zasad bezpieczeństwa. Milicjant bez słowa wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów, Losza wziął dwie sztuki. Od tamtego czasu ostatniego papierosa zawsze, na wszelki wypadek, zostawiał w paczce. Lecz Makarcew ani razu go od tamtej pory nie prosił, na odwrót, sam dał kiedyś paczkę amerykańskich fajek, a potem nawet od razu dwie. Losza zapalił tego ostatniego, i postanowił jechać do redakcji: w razie czego wróci.

Ponieważ kierowca sam był w „wołdze”, nie od razu przelączono światło na zielone. Aleksy wolno ruszył w stronę Placu Dzierżyńskiego, chociaż przywykł mknąć po Moskwie tak szybko, że czerwony wskaźnik przekraczał na szybkościomierzu cyfrę sto. Koło przystanku trolejbusowego machał do niego ręką jakiś typ z walizką, pewno na delegacji:

— Dworzec Kurski, szybko, spóźnię się na pociąg!

Dwojeninow bez słowa zawiózł go na dworzec. Gdy podjeżdżali, poprosił klienta:

— Zapłać mi pan teraz, przed dworcami gliny czatują.

Pasażer kiwnął ze zrozumieniem i dał trzy ruble — wystarczy na obiad. Aleksy nie trwoniał pieniędzy, odkładał je na przybudówkę

do chaty rodziców. Wcale nie po to, by mieszkać na wsi, lecz żeby latem żona z dzieckiem miała gdzie pojechać. Chciał żyć nie gorzej niż inni. Kurs na dworzec zajął mu dziesięć minut. Bawiąc się kłuczykami Aleksy wjechał windą na trzecie piętro; mieścił się tam gabinet naczelnego. Wszedł do sekretariatu i już otworzył usta, by wypowiedzieć przygotowaną kwestię, gdy sekretarka Anna Siemionowna huknęła na niego:

— Gdzie się włóczysz, Dwojeninow? Miałeś zawieźć do Igora Iwanowicza Zinaidę Andrejewnę. Szukaliśmy cię po całym gmachu, potem w garażu. Wysłałam wóz Jagubowa, a on musi natychmiast jechać do miejskiego komitetu partii...

— Ja zawiozę — powiedział Losza. — Ale co z nim?

— Z kim?

— No, z Igorem Iwanowiczem...

— Z księżyca spadłeś... Zawał, i to rozległy... Tylina ścianka i jeszcze coś tam.. Leży na Granowskiego.* Sala, och, zapomniałam, która... A ty gdzie byłeś? Znowu wozisz lebków? Och, Loszka, Loszka.

I zniknęła w gabinecie Stepana Trofimowicza Jagubowa — zastępcy redaktora naczelnego.

— Za-wał — powoli wymówił Loszka, nie zastanawiając się, co to słowo znaczy.

W sekretariacie było pusto. Loszka spojrział na biurko sekretarki. Na kalendarzu dzisiejszy dzień — środa, 26 luty 1969 roku, był obwiedziony czarną ramką. Tak sekretarka oznaczyła dzień, w którym zachorował naczelny. Wróciła i zawiadomiła Loszkę, że Jagubow musi jechać za dziesięć minut. Opowiedział jej o swym wyczekiwaniu pod gmachem KC. Zawsze chciała być dobrze poinformowana, wiedzieć wszystko ze szczegółami. Słuchała uważnie, zapamiętywała nawet drobiazgi.

— Czemuś milczał, gdy cię rugałam? — rzuciła pytanie.

— Jak pies, na czterech łapach, doczołgał do drzwi — nie odpowiedziawszy na jej pytanie kończył swą relację Losza.

— Mądry! — pochwaliła szefa Anna Siemionowna. — Gdyby został na ulicy, zabrałoby go miejskie pogotowie. Czekaliby co najmniej pół godziny, potem jeszcze długo szukaliby miejsca w szpitalu, położyliby na korytarzu. Nawet gdyby go wieźli do lecznicy kremłowskiej — wytrzęsiliby. Zinaida Andriejewna opowiedziała

* Szpital dla prominentów kremłowskich w centrum Moskwy, na ulicy Granowskiego.

mi, co mówili lekarze. Gdyby nie doczołgał się do tych drzwi, byłoby z nim kiepsko!

— Naprawdę?!

— Murowane.

— Ale dlaczego zawał? Szef był w doskonałym humorze, jak zwykle...

Nie odpowiedziała, a Losza nie powtórzył pytania. Zaraz odwiezie zastępcę naczelnego i wpadnie do baru na pielmienie, już mu kiszki marsza grają. Przymknąwszy oczy Losza leniwie pomyślał, że on, zwykły kierowca, jest o niebo szczęśliwszy niż jego ważny szef. Tamten wciąż się spieszy, ma mnóstwo kłopotów i zmartwień. A on, Losza, co innego: przywieź, zawieź i masz święty spokój. O nie, nie chciałby być naczelnym! Nawet ostatni szofer moskiewski byłby osłem, gdyby nie wracał do garażu bez dodatkowej forsy od lebków. Uzbiera się trochę grosza!

Losza miał własne cele w życiu. Równie ważne jak inni.

2. Aleksander Dwojeninow

Ankieta dla działu kadr

Miejsce zatrudnienia i stanowisko: garaże specjalne, kierowca pierwszej kategorii.

Urodzony 8 lutego 1946 roku we wsi Anosino, rejon istriński, obwód moskiewski.

Narodowość rosyjska. Ojciec i matka narodowości rosyjskiej. Rodzice rodziców — narodowość rosyjska.

Pochodzenie społeczne: chłopskie.

Przynależność partyjna: kandydat KPZR. Legitymacja kandydacka nr 271 374. Kar partyjnych nie miał. Nie był uprzednio członkiem partii.

Wykształcenie: średnie techniczne. Skończył wojskową szkołę lotniczą.

Nie karany. Za granicę nie wyjeżdżał. Krewnych za granicą nie posiada. Ani on sam, ani jego najbliżsi krewni podczas Wojny Narodowej nie byli w niewoli ani też internowani.

Najbliżsi krewni: matka, ojciec, żona, roczny syn.

W centralnych, republikańskich, krajowych, regionalnych, okręgowych, miejskich, rejonowych partyjnych oraz sowieckich i innych organach nie zajmował wybieralnych stanowisk. Nagród państwowych nie posiada.

Stosunek do służby wojskowej: lejtnant rezerwy. Książeczka wojskowa Nr PM 2427183.

Działalność społeczna: sekretarz komitetu komsomolu w drugim wydziale użytkowania „wołg”.

Dowód osobisty: U SK Nr 876 922, wydany przez Komendę Rejonową MO rejonu istrińskiego, obwodu moskiewskiego dnia 15 lutego 1962 r. Zameldowany na stałe: Moskwa, ul. Pluszczycha 19, m. 3. Telefonu nie ma.

WZLOT I UPADEK LOSZY DWOJENINOWA

Nikanor Dwojeninow wrócił po wojnie do rodzinnej wioski jako pierwszy z nielicznych, którzy ocaleli. Zjawił się tam tuż przed dniem zwycięstwa. Mieszkańcy wsi wylegli na ulicę, gdy Nikanor pobrękując medalami wędrował do chaty na wzgórzu i co chwila rozcierał chore biodro. Na front poszedł jako wyrostek, a wrócił łysawy, choć niezbyt ucierpiał od wojny. Trochę leżał w szpitalu, z lekką, niegroźną raną. A wyłysiał pewno z ciągłego strachu lub może dlatego, że trzy lata nie zdejmował z głowy zimowej czapki.

Przez cały dzień, do późnej nocy, z Padikowa, sąsiedniej wioski, gdzie mieszkało mnóstwo nikanorowych krewniaków, ciągnęli ludziska, by chociaż dotknąć żołnierza, sprawdzić, czy naprawdę jest żywy. Gdy poprosili, by pokazał ranę, Nikanor opuścił bryczesy i stanął przed nimi w przepoconych gaciach. Nagle Kławka od sąsiadów padła ze szlochem na kolana, objęła Nikanora za nogę i zaczęła całować przecięte blizną biodro. Z trudem dziewczuchę odciągnęli, dali jej zimnej, źródlanej wody do picia.

Ale i tak tego samego wieczora Kławka upolowała na męża ogłupiałego z radości, upojonego tyleż powszechnym zainteresowaniem, co wódką Nikanora. Gdy goście siadali do stołu, sprytnie zajęła miejsce obok żołnierza i nie opuszczała go ani na krok. Co chwila, niby to przypadkiem, dotykała jego biodra. Patrzyła wilgotnymi, pełnymi oddania ślepiami, a gdy tylko coś powiedział, śmiała się jak szalona. Już dawno Kławce cknęło się bez chłopca: przy byle sposobności szła do lasu z pierwszym lepszym. W Anosinie chłopów było tylu, co kot napłakał, więc dość długo już siedziała wyposzczona i dostawała kręcka.

Wkrótce po powrocie syna rodzice umarli z radości, jedno trzy miesiące po drugim. Zostawili chłopakowi przegniłą chałupę ze słomianym dachem. Nikanor z Kławką sami nowy zrąb wybudowali. A równo w dziewięć miesięcy później Kławka urodziła syna. Jak udało się im wychuchać to bladziutkie, krzywiczne chuchro, wie

chyba tylko sam Pan Bóg. Kołchoz nie płacił pieniędzmi ani nawet ziemniakami, zmuszał do harówki za samo włączenie elektryczności. Jak kto nie wyszedł z kosą w pole, odcinali mu przewody na słupie i siedział w ciemnościach.

Kławka chodziła ponad dwie wiorsty po święconą wodę z klasztornego źródła i obmywała w niej dziecko. Klasztor żeński w Anosinie już dawno był kołchozowym garażem — tonęły tam w wysokich łopianach dwie ciężarówky, nie wysłane na wojnę, bo nadawały się tylko na złom. Święte obrazy z klasztoru ludzie rozkradli. Część zniszczonego ikonostasu ukryła u siebie w domu Agafia, matka Kławki, niegdyś przyklasztorna żebraczka.

— Boga już dawno nie ma — uczył kobiety rozumu Nikanor. — Trza czytać gazety!

Kławdia ufała tylko samej sobie, chłopca nie słuchała nigdy. Bóg stał się jej potrzebny, żeby ocalić syna, więc często odwiedzała matkę, by modlić się z nią na klęczkach w jej chacie.

Nad bramą klasztorną, w pobliżu chaty Dwojeninowa, ponad wciąż tam widniejącą ikoną Matki Bożej, wisiał przybity hufnalami wyblakły portret generalissimusa w obramowaniu cmentarnych, papierowych kwiatów. Starzy mieszkańcy Anosina mawiali, że to dla zmylenia i nadal odprawiali modły u bramy. Kławka też, gdy Nikanor nie widział, żegnała się znakiem krzyża, błagała Pana Boga, by nie zapomniał o jej malutkim Aloszce.

I wyrósł chłopak cherlawy, ale prawie zdrów, w dodatku wesół, na przekór głodowi i nędzy, tak jakby żyło się w Anosinie jak w filmach, wyświetlanych w klubie, niegdysiejszym zajeździe przyklasztornym. Niczego rodzice i babka Agafia dziecku nie skąpili: Loszka pozostał w rodzinie jedynakiem. Nikanor, prawdę mówiąc, chętnie jeszcze nastrugałby dzieciaków: sadzili z Kławką ziemniaki w warzywniku, wykarmiliby. W Niemczech, mawiał, każda rodzina bez wyjątku ma po trójce potomstwa. Ale Kławka zapadła na jakieś kobiece choroby, lekarz w szpitalu powiedział Nikanorowi, że w ogóle nigdy nie mogła mieć dzieci. Jak udało się jej urodzić to jedno, pozostaje dla medycyny zagadką. Co tam takiego doktor u Kławdii wypatrzył, Nikanor nie pojął, ale fakt faktem, nigdy już później w ciążę nie zaszła: widać za pierwszym razem dała z siebie wszystko.

Gdy Loszka wszedł w wiek poborowy, wzięli chłopaka do wojska. Ogolili go na łysą pałę. Przy akompaniamencie wesółych marszów orkiestry dętej Kławdia zalewała się łzami, tak jakby przeczuwała coś złego.

Wskutek niskiego w latach wojny przyrostu naturalnego, w 1964 roku było mało poborowych, a ich zdrowie marne; dawał się we znaki powojenny niedostatek. Ale ponieważ, wyjaśniał Nikanor, szybki wzrost ilości samolotów odrzutowych i atomowych łodzi podwodnych jest absolutnie niezbędny — kraj musi się przecież bronić przed amerykańskim imperializmem — należało przygotować wyszkolone kadry. Komisje lekarskie nie były więc przesadnie surowe. Stwierdzono, że Aleksy jest zdrow jak ryba i nadaje się do służby. Poszedł do szkoły lotniczej, by opanować latanie na ponaddźwiękowych MIG-ach.

Gdy Losza dojrzał do służby wojskowej, przestano już myśleć, że ludzie to śrubki. Teraz byli przodującymi, ideologicznie najbardziej dojrzałymi obywatelami świata — ludźmi radzieckimi. Ich wzloty i upadki, zwycięstwa i klęski, linie proste, parabole i elipsy, słowem, cała geometria ich życia, wszystko to należało do Ojczyzny. To ona wytyczała bieg życia Loszy i innych mu podobnych. Gagarina wysłano w kosmos, a na orbicie przyjęto do partii, potem wrócił witany tryumfalnie. A przecież mogli go nie przyjąć i nie powitać, o niczym nikogo nie informować, mogli nawet nie uznać za narodowego bohatera — o wszystkim decydowała Ojczyzna, której, jak głosiła piosenka, nigdy nie jesteśmy w stanie się odwdziżyć.

Dwojeninow nie zastanawiał się nad tym, uważał swój los za coś oczywistego. I nawet mu się podobało, że za wszystkie jego decyzje odpowiedzialność ponosi ktoś inny. Życie nie należy do nas, lecz do Ojczyzny. Losza był z tego dumny. Podobało mu się latanie, lecz widział tylko pomalowane na biało pojemniki z benzyną na wojskowych lotniskach i magazyny z amunicją, otoczone drutem kolczastym. Resztę zasłaniały obłoki. Tak też wyobrażał sobie Związek Radziecki: pasy startowe, magazyny z amunicją i jeszcze wieś Anosino, rodzinny dom na wzgórzu, a obok rzeka Istra z najczystsza na świecie wodą.

Jednak albo konstruktorzy Mikojan i Gurewicz coś przeoczyli, albo robole z fabryki samolotów nie przyłożyli się jak trzeba do obowiązku, dość że wkrótce po przybyciu lejtnanta Dwojeninowa do Nadbałtyckiego Okręgu Wojskowego, zdarzył się wypadek. Podczas lotu nagle spadły obroty silnika. Zgodnie z instrukcją Aleksy natychmiast zameldował o tym inspektorowi lotu.

— Uściślaj koordynaty — zażądano z punktu dyspozycyjnego.

Dwojeninow zrobił wiraż koło szwedzkiej wyspy Aland i skierował się ku brzegom Polski, by potem skrócić na Kaliningrad. Przyszedł rozkaz od inspektora lotu:

— Znajdź przyczynę!

— Nie umiem — zameldował Dwojeninow — nie udaje mi się...

— Zaraz zapytamy w sztabie...

I zapadło milczenie. Obie strony ściśle przestrzegały instrukcji, lecz nawet to nie pomagało. Silnik zamilkł, wokół cisza.

— Dowódca odwołuje zadanie bojowe — usłyszał Dwojeninow w hełmofonie. — Wyrzuc latarkę i zapasowe kanistry z benzyną.

Widząc dwa samoloty zagranicznych kompanii lotniczych, które nagle mignęły mu przed oczyma, Aleksy zrozumiał, że znalazł się w strefie cywilnych rejsów. Wciąż wytracał wysokość.

Zrobiło mu się zimno — nie dlatego, że śmierć była blisko, ale przez tę martwą ciszę. Lepiej ginąć w huk, w zgrzycie metalu: nie słychać wtedy własnego krzyku. Szkoda, że nie dostał urlopu, nie pojechał na wieś do matki i ojca, nikt w Anosinie go nie widział w mundurze oficerskim. Życie, jak człowiek pomyśli, nie jest wcale takie cenne. I szkoda urlopu. Cóż, Losza jeszcze nie spełnił do końca swego patriotycznego obowiązku.

Co znaczy patriotyczny obowiązek, dobrze wiedział. Jeśli uczyli, to trzeba. Samolot powierzony mu przez partię i rząd, należy uratować. Ale jak, skoro maszyna go nie słucha?

— Katapultuj się! — usłyszał rozkaz.

Katapultował się na treningu dwukrotnie. I za każdym razem pomyślnie, jeśli nie liczyć wymiotów i zawrotu głowy po lekkim wstrząsie mózgu, które ukrył przed dowództwem. Tym razem poczuł mocne pchnięcie w górę — wyrzuciło go razem z fotelem. Wyrzuciło nie kalecząc — niepotrzebnie przeklinał Mikojana, Gurewicza i roboty z fabryki samolotów. Krótkotrwałej utraty świadomości wskutek odpływu krwi od mózgu można nie brać pod uwagę. Dwojeninow zawisł w szarej brei, która zakleiła szybę hełmofonu. Sądząc ze wskazań wysokościomierza, na który zerknął przed katapultowaniem, ziemia, a właściwie woda była tuż tuż. MIG-21 zniknął, rozpląnął się między chmurami, tak jakby w ogóle go nie było.

— Coś podobnego, ja żyję! — wrzasnął uradowany Aleksy. — Żyję!

Gdy tylko chmury przepuściły lejtanta, zobaczył wokół siebie szarą breję. Zatrzęsło nim, zakręciło. Padał ulewny, ukośny deszcz. A właściwie, nie padał, lecz opadał w dół razem z Dwojeninowem. Breja oplątywała Loszę, wciągała. Fala nakryła go, powlokła za sobą, lecz po chwili wypchnęła w górę. Losza nacisnął zawór balonu ze sprężonym powietrzem i pomarańczowa łódka rozwinęła się, wy-

dęła, stanęła w pozycji pionowej. Powalił ją i położył się na wznak rozsunięty nogi, by utrzymać równowagę.

— Żyję! — znów powtórzył nie dowierzając sam sobie.

Łódka to wspinała się na grzbiet fali, to spadała w dół. Losza mógł tylko się domyślać: jest chyba gdzieś między wyspą Aland a wybrzeżem polskim, znosi go na południe lub na południowy zachód. Tak czy owak dobrze — w Polsce są nasi, w NRD — również. Trzeba cierpliwie czekać.

Ściągnął z głowy hełmofon — było w nim ciężko, ale bez niego zimno. Z początku przytrzymał hełmofon ręką, potem się zmęczył i zrezygnował, hełmofon uniosły fale. Na pewno już go szukają. Otworzył rakiетnicę, przygotował się, by dać sygnał, lecz wokół nikogo nie było, nie warto strzelać. Zaczął nasłuchiwać, lecz nic nie słyszał prócz plusku fal. Łódką kołysało, męczyły go mdłości. Szybko zjadł rację żywnościową, pił deszczówkę odwrócony twarzą ku niebu, ściągając wodę dłonią z policzków i z czoła do ust... Nie miał wątpliwości, że go odnajdą.

Trząsł się jak osika. Zaciskał zęby, poruszał rękami i nogami, żeby utrzymać ciepło, ale brakło mu sił. Nastąpiła noc. Aleksy stracił przytomność, ocknął się czując ból kręgosłupa. Jęknął, otworzył oczy. Zdawało mu się, że ogląda film, wyświetlany w odwrotnym kierunku. Znów wisiał nad szarą masą wody z białymi chmurkami, wiatr kręcił nim to tu, to tam. Szare zwały wody oddalały się. Noga uwięzła w linie spadochronu, Losza próbował się od niej uwolnić. Nagle wszystko się skończyło. Skulonego Loszę wciągnięto na pokład helikoptera.

Gdy odzyskał przytomność, był w szpitalu. Jak się potem okazało, pływał po morzu 36 godzin. Powiadomiono o jego bohaterским czynie dowódcę Nadbałtyckiego Okręgu Wojskowego. Ten złożył meldunek marszałkowi Greczce, dowódcy sił zbrojnych państw Układu Warszawskiego. Moskwa zawiadomiła wojskowe bazy przybrzeżne w NRD i stamtąd wysłano helikopter.

Z diagnozą psychozy maniakalno-depresyjnej Dwojeninow został przewieziony do Pawszyna pod Moskwą; był tam szpital Ministerstwa Obrony dla psychicznie chorych. Losza nie mógł zasnąć, odczuwał głód nawet po jedzeniu, ciągle bolała go głowa. No i przede wszystkim — strach. Strach, że upadnie, strach, gdy patrzył w dół przez okno, strach, gdy pozostawał sam na sali. Nocami krzyczał — inni chorzy, zdrowsi, szarpali go za ramię. Leczone ciszą i farmaceutykami, niwelującymi strach.

Rodziców o niczym nie zawiadomiono. Byli przekonani, że syn

wciąż służy w wojsku. Losza i przedtem rzadko do nich pisał. A przecież znalazł się w pobliżu rodzinnej wioski: od Anosina do Pawszyna można bez trudu dojechać na rowerze.

Po szpitalu Dwojeninow został uznany za niezdolnego do służby wojskowej. Pogodził się z faktem, że teraz musi inaczej ułożyć sobie życie, nawet się z tego cieszył. Kławdia popłakała, ponarzekała, lecz wszystko co złe, było już za Loszką, i chwala Bogu!

Ponieważ nie miał teraz dowódców, wydających rozkazy, musiał sam ruszać głową. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po przejściu do cywila, był ślub. Ożenił się z Lubą, dziewczyną kolegi szkolnego, ślusarza w fabryce samochodów. Koledze Luba się znudziła. Ona sama czuła, że z tego związku nici, więc zapytała Loszę, czy nie poszedłby z nią na zabawę. Luba mieszkała z matką i ojcem w starej moskiewskiej kamienicy na Pluszczysze. Mieli szesnastometrowy pokój w wielorodzinnym mieszkaniu. Od razu wytłumaczyła Loszy, że gdyby zameldowali w tym pokoju jeszcze jedną osobę, można byłoby się starać o większy lokal. Losza aż drżał, gdy dotykał Luby, więc zgodził się natychmiast. Tylko Kławdia była temu małżeństwu kategorycznie przeciwna.

— Omotała go, och, omotała! A on taki niedoświadczony! — skarżyła się sąsiadkom.

— Ale dostanie moskiewski meldunek — tłumaczyły jej kobiety.

— Meldunek? Każda by go zameldowała, to oficer! Mógłby jeszcze poczekać, wybrać towar ekstra! A on wziął pierwszą z brzegu, bo się napatoczyła. A jak oni żyją! Jeszcze nie wiadomo, czy dadzą im to mieszkanie. Teraz śpią wszyscy na kupie, ich łóżko obok łóżka rodziców. Nie mogą się nawet poruszyć. Po prostu wstyd!

Kolega ustąpił Loszy nie tylko Lubę, ale i etat w fabryce. Naczelnik wydziału kazał Loszy opowiedzieć mu życiorys.

— Znaczy, bohater z ciebie?

Dwojeninow wzruszył ramionami.

— Jaki tam bohater. Bohater to ten, który sam... A ja co? Stało się i tyle...

— No nie! Inny może wpadłby w ręce wroga albo utonął, a ty... Skoro nie mogłeś uratować samolotu, ocaliłeś nadmuchiwana łódź. A przecież to nie była twoja łódź, tylko państwowa!

Trudno było pojąć: mówi poważnie ten naczelnik czy stroi sobie żarty, ale Loszy zrobiło się przyjemnie. Przez jakiś czas pracował w warsztacie ślusarskim, potem poszedł na kursy dla kierowców.

Jego zdjęcie wywieszono na tablicy, został „przodującym kierowcą garażu”. Wkrótce trzech spośród tych najlepszych wezwano do komitetu rejonowego partii i zaproponowano im pracę w innym, specjalnym garażu. Pobory były tam wyższe, a roboty mniej.

Przydzielono Loszę Makarcewowi, naczelnemu „Prawdy Robotniczej” i szef był z niego zadowolony. Aleksemu podobała się ta praca, lecz ludzie wokół zabiegali o większe zarobki, nowe mieszkania, ładne meble. A on i Luba, która kończyła w tym roku technikum ekonomiczne, nie mieli nic. Teraz, gdy urodził się im syn, było jeszcze trudniej. Wszyscy wykorzystywali znajomości, żeby się bogacić, Losza tak nie umiał. Pojął, że najlepiej udawać durnia. Łatwiej się wtedy żyje, mniej wymagają. Jednak, gdy w oczekiwaniu na redaktora przeglądał gazety, coraz częściej wspominał własny bohaterski czyn i zastanawiał się, jak z tego wyciągnąć korzyść.

Kiedyś zatrzymał Dwojeninowa na szosie mińskiej kierowca tiru. Loszka właśnie odwiózł Makarcewa na letnisko i nie spieszył się, pożyczył temu kierowcy klucz mutrowy. Zapalili, pogadali. Tir wracał z Węgier.

— Za każdym razem coś można przywieźć. Nie te nasze nic nie warte ruble! Najlepiej jeździć do kapitalistów, ale i kraje socjalistyczne na początek oblecą.

— A jak się do was dostać?

— Trzeba wstąpić do partii. Bez tego nawet gadać z tobą nie zechcą. No i szukaj protekcji...

Odtąd Losza marzył, by zahaczyć się w „Sowtransawto”. Lecz dostać się tam było jeszcze trudniej, niż mówił tamten kierowca. Partyjny — owszem, ale trzeba jeszcze mieć staż pracy, rodzinę, prawo jazdy najwyższej kategorii. Losza specjalnie ukończył stosowne kursy kierowców. Zaczął działać w komsomole i wkrótce wybrano go na sekretarza. Był to pierwszy krok do członkostwa w partii. Dwojeninowa przyjęto na kandydata, gdyż miał za sobą bohaterską przeszłość i zachowywał się godnie w dniu dzisiejszym. Liczył na swą biografię, ale pamiętał, że bardziej skuteczna będzie protekcja. Pewnego razu, gdy Makarcew był w świetnym humorze, nabral odwagi i poprosił go o pomoc.

— Nie chcesz mnie już wozić?

— Ależ skąd, Igorze Iwanowiczu. Wozić pana to przyjemność, ale ja też chciałbym awansować...

— Zażartowałem sobie. A co z wstąpieniem do partii?

— W porządku! Mój staż kandydacki dobiega końca.

— No widzisz, obaj jesteśmy kandydatami. Ty kandydujesz do partii, ja — do KC partii. No dobrze. Zadzwoń do Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Szykuj się do nowej pracy.

Aleksy szykował się, lecz marzenie wciąż było daleko, za siedmioma górami.

3. Klasyczny zawał

Makarcew otworzył oczy i znów je zamknął — otaczała go śnieżna biel. Przez okno wpadały promienie słońca, od którego odzwyczaił się przez zimę. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Leżał na plecach. Chciał podnieść rękę, by spojrzeć na zegarek, lecz okazało się, że przywiązana jest do łóżka, a zegarka na niej nie ma. Przy łóżku stała kroplówka, rurka z cienką igłą była wbita w żyłę na jego rękę. Oddychał bez trudu, koło jego warg syczał cichutko tlen wydobywający się z innej rurki.

Makarcew przeniósł spojrzenie z kroplówki na sufit, usiany słonecznymi zajaczkami, zrozumiał, że to słońce odbija się od szklanek, stojących na pokrytym szkłem stoliku oraz od ekranu telewizora w kącie. Oczy zmęczyły się, więc je zamknął.

— Boli? — spytał nieco zachrypnięty głos kobiety.

A więc nie jest sam. Znów z wysiłkiem uniósł powieki i zobaczył młodą dziewczynę o pulchnych wargach, w białym fartuchu i białej czapeczce.

— Który dzisiaj? — zapytał.

— Dwudziesty siódmy. Potrzebuje pan czegoś?

— Telefonu.

— Och, to niemożliwe! — Pielęgniarka klasnęła w dłonie i poprawiła Makarcewowi rurkę z tlenem koło ust. — Telefonu dać nie mogę! Nocą znów pana wozili na salę reanimacyjną. Ordynator mówi, że musi pan odpoczywać, myśleć o czymś przyjemnym...

— Boli.

Język obracał się z trudem, należało mówić krótko.

— Co boli?

— Ramię. Brzuch. Plecy.

— Tak się panu tylko wydaje. To od serca.

— Serce też boli.

— No pewno. Klasyczny zawał. Zaraz zrobię zastrzyk przeciwbólowy.

Pielęgniarka powtarzała słowa lekarzy. Uniosła w górę kołdrę i obnażyła pośladek chorego.

— Oj! — pisnął Igor Iwanowicz jak małe dziecko po bolesnym zastrzyku. — Pić!

Pielęgniarka podsunęła mu do ust kubek z podłużnym noskiem, woda pociekła między wargami, rozlała się na poduszkę, ale do ust też coś wpłynęło.

— Była tu pańska żona — przypomniała sobie pielęgniarka. — Powiedziała, że w domu u pana wszystko w porządku, w pracy również. Jutro też przyjedzie. Proszę odpoczywać. Wszyscy pacjenci tu odpoczywają. Pójdę już. Jeżeli będzie pan czegoś potrzebował, proszę nacisnąć guzik.

Na wpół przytomny Makarcew wsłuchiwał się we własne serce. Dlaczego jestem tutaj? — kołatała się myśl. Czy długo będę tak leżał, głupio i bezużytecznie? I gdzie jest żona? Nie może tu wejść? Nawet nie wiem, jak wypadł ostatni numer gazety...

Pielęgniarka trafiła w sedno. Jak wielu funkcjonariuszy partyjnych jego szczebla leżących przed nim na tej sali, nie umiał chorować ani odpoczywać. Z urlopu nigdy nie korzystał. Dawniej żona wyjeżdżała z synem, ale gdy Borys podrósł i nie chciał już z matką spędzać wakacji, siedziała samotnie w sanatoriach dla pracowników KC. A Igor Iwanowicz był zawsze aktywny.

Znaczyło to, że pozostaje w wartkim nurcie przygotowań i decyzji wyższych instancji, poznaje ich literę i ducha, potrafi natchnąć innych, by je realizowali, mierzy postęp prac, składa raporty. Stąd ciągle napięcie, zwłaszcza na pierwszym i ostatnim etapie. To, co znajdowało się pośrodku — wydawanie gazety — było pochodną pierwszego wykonywaną w imię ostatniego. Ludzie, którzy stoją niżej w hierarchii służbowej, nie potrafią pojąć ani tym bardziej docenić sensu i klarowności działań aparatu partyjnego: aby mieć takie rozeznanie, trzeba samemu znajdować wysoką pozycję.

Wewnętrzna warstwa, na której trzymała się ta zewnętrzna, były kontakty osobiste, spotkania, bankiety, podróże. Na każdym etapie omawianie tego, o czym pisać nie należy, a często (z ważnych powodów) zatwierdzanie decyzji skrajnie odmiennych niż te, jakie zapowiadała dokumentacja. Ta warstwa spraw była równie ważna jak pierwsza. Nie mniej, ale i nie bardziej istotna. Ci, którym się zdawało, że kontakty osobiste są ważniejsze, zazwyczaj szybko się wykruszali. Makarcew trzymał na obu szalach tej wagi jednakowe odważniki.

Każde z tych pól działania wymagało innych zachowań, innej odpowiedzialności za powierzone zadanie, a także za to, co polecił

innym on sam, w pracy lub w życiu prywatnym. W przeciwnym razie można było wiele stracić. Działacz partyjny rangi Makarcewa zawsze powinien był myśleć o tym, co stanie się w razie potknięcia i jak unikać niebezpieczeństw. Ten, komu na niwie ideologicznej powinęła się noga, nie podniesie się już nigdy. Choć nasz system jest wysoce humanitarny, nie zdarzało się, by ktoś zdołał się podnieść. Zresztą Makarcew był święcie przekonany, że jemu nic podobnego nie grozi.

Myśli same biegły torem, ukształtowanym przez dziesiątki lat pracy na kierowniczym stanowisku. Płyta, nastawiona za młodu, wciąż się obracała i grała, igła była jeszcze ostra, dobrze trzymała się w rowkach, melodię też znał Makarcew na pamięć. Lecz za każdym razem, gdy igła docierała do określonego miejsca, coś się zacinało, wciąż płynęły te same dźwięki: za-wał-za-wał... Zawał nadszedł nie wiadomo skąd, niezaplanowany, niczym siła, która z punktu widzenia materialistycznego światopoglądu, w ogóle nie miała prawa istnieć.

Czymś najgorszym jednak, bardziej przerażającym niż śmierć, byłoby błędne zinterpretowanie linii generalnej, jej konkretnej realizacji w życiu. Nagle okazało się, że Makarcew żyje, nie popełnił żadnego błędu, a został odsunięty. Zawał nie uzgodnił swego nadejścia ani z Makarcewem, ani tym bardziej z KC. Ani wczoraj, ani dziś przed południem nie było Makarcewowi sądzone trzymać ręki na pulsie partyjnego życia. Wszyscy są tam, ale jego nie ma. Tam dojrzewają i zapadają decyzje — ale bez niego. Gdyby wszystko tam również nagle stanęło w bezruchu — lecz skąd, nic podobnego! Zawału dostał tylko on! On, niezbędne ogniwo żywego łańcucha — wykruślił się, łańcuch rąk obywa się bez niego! Kiedy znów się rozewrą, aby go przyjąć z powrotem?

Wiele się nasłuchiwał o zawałach, lecz był przekonany, że jego nie dotyczą, jest przecież taki odporny. I nawet teraz nie chciał się przyznać, że myśląc w ten sposób popełnił błąd. Skądże, bez niego nie dadzą sobie rady. Pominęli go, lecz wkrótce odczują jego brak. Jest na razie tylko zastępcą członka KC, lecz powołano go na XXIII zjeździe partii do grona zastępców, bo KC potrzebuje mądrej głowy.

Muszą jak najprędzej go wyleczyć. Gdzie profesura? Fachowcy? Co oni sobie myślą? Dlaczego nie leczą zawałów szybko, zwłaszcza w szczególnie ważnych przypadkach? Nie rozumieją, że musi szybko wyzdrowieć? Mógłby i ze szpitala kierować gazetą. Niech przynajmniej podłączą mu telefon!

— Zino, proszę — wymamrotał nieposłusznymi wargami, gdy tylko wpuszczono do niego na krótko żonę. — Nie gadaj za dużo o

moim zawale. Lepiej mów, że lekarze podejrzewali, ale diagnoza się nie potwierdziła.

— Naturalnie, Garik, nie jestem głupia...

Nie powiedziała mężowi, że szpital natychmiast zawiadomił o wszystkim KC, a stamtąd wiadomość dotarła do redakcji, do Związku Dziennikarzy, wszędzie.

— Nie uwierzą? Ich sprawa. Od nas usłyszą to, co nam potrzebne.

— Naturalnie, Garik, nie denerwuj się... I bez tego skoczyła ci temperatura. Masz 39 stopni...

Żona cichutko wyszła.

Jak to się stało, że dostał zawału? I to klasycznego. Czy to źle, czy dobrze? Chyba dobrze. Klasyczny zawał na pewno potrafią wyleczyć, chyba się tego nauczyli. Ale dlaczego dostał zawału — czy lekarze wiedzą? Serce zawsze miał zdrowe, zresztą nie takie stare! Musi być jakiś powód. Jak dotąd wszystko szło dobrze, czuł się normalnie. Gdyby choć trochę było inaczej, nie kazano by mu wypełniać ankiety i przygotowywać dokumentów niezbędnych do wydania paszportu dyplomatycznego, zgodnie z nową uchwałą Rady Ministrów.

Także i przedtem, wyposażony w specjalne zezwolenie, mógł być jednoosobową delegacją, korzystał na lotnisku z wejścia dla VIP-ów, jego bagaż nie podlegał kontroli. Mogła na niego czekać limuzyna tuż przy samolocie. Lecz czy zdrowie pozwoli mu podróżować? Musi poznać przyczynę! Podczas gdy lekarze się grzebią, on sam przeanalizuje sytuację, ustali źródło choroby — chce wiedzieć, z jakim wrogiem musi walczyć i jak go zwyciężyć.

4. Igor Makarcew

Ankieta wypełniona w związku z wyjazdem za granicę (do krajów kapitalistycznych)

Stanowisko: redaktor naczelny „Prawdy Robotniczej”

Urodzony 24 lipca 1912 roku w Sankt-Petersburgu (obecnie Lenin-grad)

Czy zmieniał kiedykolwiek nazwisko i imię? Jeśli tak, to kiedy i dlaczego? — Zmiana imienia Hans na Igor zgodnie z przepisami (zaświadczenie Urzędu Stanu Cywilnego miasta Moskwy nr 80714 z 26.VI. 1941). Powód zmiany — skorygowanie błędu rodziców.

Rosjanin.

Pochodzenie społeczne — inteligencja pracująca.

Członek KPZR od 1933 roku. Numer leg. partyjnej: 00008242. Nie karany partyjnie.

Wykształcenie wyższe, ukończył wydział filologiczny Uniwersytetu Leningradzkiego w 1935 roku.

Zawód: dziennikarz, redaktor, działacz partyjny.

Znajomość języków obcych — towarzyszą mi tłumacze.

Czy był za granicą? Anglia, Francja, Włochy, Szwecja, Finlandia, Belgia, Japonia, Indie, Zjednoczona Republika Arabska, Chile, Argentyna, RFN, Islandia, Australia, USA oraz wszystkie kraje socjalistyczne (delegacje służbowe, wielokrotnie był członkiem delegacji partyjno-rządowych).

Stopień wojskowy: pułkownik rezerwy, oficer polityczny.

Udział w organach z wyboru: zastępca członka KC KPZR, deputowany do Rady Najwyższej ZSRR, sekretarz Związku Dziennikarzy ZSRR, zastępca przewodniczącego Towarzystwa ZSRR — Japonia, członek egzekutywy w redakcji „Prawdy Robotniczej”.

Odznaczenia państwowe: order Lenina, order Czerwonego Sztandaru, medale.

Żonaty, ma 14-letniego syna.

Dowód osobisty VI SM, Nr 621394, wydany przez Biuro Paszportowe nr 63 w Moskwie, 7 października 1962 roku.

*Zameldowany na pobyt stały: Aleja Pietrowsko-Razumowska 18, m. 84
Telefon domowy: 258-71-44.*

Rysopis: wzrost 177 cm, oczy piwne, włosy siwe.

Do ankiety załączono własnoręcznie napisany życiorys, opinię, poświadczoną przez sekretarza Komitetu Rejonowego partii, zaświadczenie o stanie zdrowia, wydane przez specprzychodnię Nr 1 Czwartego Głównego Zarządu Ministerstwa Zdrowia, sześć fotografii.

WZLOTY I UPADKI IGORA MAKARCEWA

Chociaż Makarcew uważał się za człowieka sukcesu, miał prawo liczyć na coś więcej. Na każdym etapie swego życia, gdy z rozpostartymi skrzydłami przelatywał na coraz wyższą gałąź, zbliżając się do wierzchołka, skrzydło o coś zahaczało. Przez te paskudne sęki wzlot był nie tak efektowny, jak można się było spodziewać. Za każdym Makarcew ryzykował złamaniem skrzydła.

Nauczyciel języka niemieckiego w gimnazjum sankt-petersburskim (na wyspie Wasiliewskiej) Iwan Makarcew nadał swemu synowi imię Hans na znak szacunku dla kultury niemieckiej. Lepiej by zrobił, gdyby nauczył go niemieckiego. Gdyby Makarcew-junior

urodził się kilka lat później, kiedy Petersburg przemianowano na Piotrogród, nie nazwano by go Hansem; miałby przez to ułatwiony późniejszy lot ku karierze. Gdy rodzice Hansa umarli podczas wojny domowej, dziesięciolatkiem zaopiekowali się krewni. Wujkowie i ciotki z dawnej klasy średniej w tych niespokojnych latach przenesili Hansa z rodziny do rodziny i podkarmiali, jak tylko się dało.

Drugim domem stała się dla chłopca drużyna skautów. Z radością włożył granatowy mundur z grubego płótna i niebieski krawat, na którym zawiązywał supełki po wypełnieniu kolejnego dobrego uczynku. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego — w tym tkwiła radość zespołowego życia. Z czasem powstał komsomoł, a ruch skautów zlikwidowano. Do komsomołu wstępował Igor z entuzjazmem. Lubiano go w tej młodzieżowej organizacji za szczerość, otwartość, energię i zawsze wybierano do władz.

W latach 30., gdy dziwne i zagraniczne imiona były w modzie, Hans Makarcew nikomu nie wadził. Został sekretarzem komitetu komsomołu, wstąpił na uniwersytet (wypełniając ankietę w rubryce „pochodzenie społeczne” napisał „sierota” — nie przyjęto by przecież na studia syna nauczyciela gimnazjalnego).

Kończył uniwersytet i aktywnie działał w komsomole, gdy zamordowano Kirowa. Na szczęście nie brał udziału w dyskusji o leningradzkiej organizacji komsomolskiej. Gdy zginął Kirow, uczestnicy tej dyskusji, członkowie KC komsomołu Kołotynow i Rumiancew, zostali aresztowani, ponieważ zabójca Kirowa Nikołajew też w niej uczestniczył. Kołotynowa, oskarżonego o to, że stał na czele „leningradzkiego centrum”, do którego należeli Kamieniew i Zinowiew, rozstrzelano razem z Nikołajewem. Makarcew i Kołotynow byli dobrymi znajomymi, lecz podczas przesłuchania Kołotynow nie wymienił na szczęście jego nazwiska.

Makarcewowi, który już wtedy był członkiem partii, zaproponowano opróżniony przez wroga ludu fotel redaktora naczelnego „Smieny”, leningradzkiej gazety komsomolskiej. Schlebiało mu i samo pisanie — najlepiej radził sobie z tematyką międzynarodową. Jego muzą był zwłaszcza dziennik „Prawda”. Przyznać trzeba, że lubił przesadę: chętnie rysował obrazy straszliwego losu mas ujarzmionych przez kapitał, podpowiadane mu przez własną, bujną wyobraźnię. Gdy kilka razy przedrukowała jego artykuły stołeczna „Komsomolska Prawda”, dość szybko przeniesiono Makarcewa do Moskwy. Tam został kierownikiem działu międzynarodowego „Komsomolskiej Prawdy”, a wkrótce potem „Izwestii”.

Tematy przydzielano mu teraz w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych, na wysokim szczeblu, tam też zawoził napisane teksty. To i owo z nich wykreślano, coś tam kazano dodawać. Wydział Prasy polecił mu pewnego razu, by jeden z artykułów podpisywał nie, jak zwykle, literą H, lecz pełnym imieniem i nazwiskiem: Hans Makarcew. Biuro Informacyjne upowszechniło ten materiał za granicą, a stało się to wkrótce po 16 sierpnia 1939 roku, gdy do Moskwy przybył Ribbentrop. Makarcew należał do nielicznej grupy dziennikarzy, obecnych podczas podpisywania słynnego paktu. Na własne uszy słyszał toast Stalina: „Wiem, jak bardzo naród niemiecki kocha swego führera, więc chciałbym wypić za jego zdrowie.” W swych dziennikarskich komentarzach Makarcew wyjaśniał, jak bardzo konieczny jest pakt między Niemcami a ZSRR, choć Bogiem a prawdą nic a nic z tego nie pojmował.

W dzieciństwie i młodości zaszczepiono mu nienawiść do faszyzmu, potem sam wychowywał innych na zdeklarowanych antyfaszystów. A teraz? Niby wszystko idzie po staremu, ale naprawdę wszystko się zmieniło. W głębi serca czuł wszakże, że jeśli tylko zdoła pojąć sens polityki towarzysza Stalina, zajdzie daleko. Cała jego kariera, możliwość poświęcenia się dla partii, zależy od tego, jak przetworzy w czyn genialny zamysł pierwszego umysłu partii, kraju, całego świata. Wcale nie przypadkiem towarzysz Stalin pouczał, że faszyzm jest historycznie postępowym systemem, pośrednim ogniwem między kapitalizmem a socjalizmem. Oznacza to, że trzeba iść ręką w rękę z faszystami.

Gdy Mołotow zastąpił Litwinowa na stanowisku ludowego komisarza spraw zagranicznych, Makarcewa olśniło: oto puls czasu! Wrogiem numer 1 są nie faszyści, lecz zmurszałe demokracje burżuazyjnego Zachodu. Tak się Hansowi spodobało dźwięczne zdanie o „zmurszałych demokracjach”, że dwukrotnie posłużył się nim na łamach gazety. Makarcewa włączono do grupy osób towarzyszących Mołotowowi podczas jego wizyty w Berlinie. Bierieżkow, tłumacz narkoma, powiedział wówczas:

— Masz sympatyczne imię, Hans, w sam raz na tę podróż.

Tak naprawdę przyczyna była jeszcze inna. Mołotowowi podobała się fraza o „zmurszałych demokracjach Zachodu”, użył jej też w swoim własnym przemówieniu. Potem Stalin kilkakrotnie ją powtórzył. NKWD sprawdził od podszewki życiorys młodego dziennikarza. Wpisano go na stosowną listę, na osobiste polecenie Mołotowa włączono do spisu osób towarzyszących delegacji, przesko-

czył zatem etap zadań kontrolnych powierzanych zaufanym ludziom przy tego rodzaju okazjach.

Wybuch wojny był dla Makarcewa bolesnym zaskoczeniem, choć można było się jej spodziewać. Pomogliśmy Hitlerowi, a on okazał się taki niewdzięczny! Zbyt głęboko Makarcew uwierzył we własną pisaninę. Szybko się jednak zreflektował i nigdy już więcej nie mylił się tak naiwnie. W roku 1953, gdy zaskoczyło go inne rozczarowanie, był już znacznie mądrzejszy.

To później, a tymczasem teraz, na początku wojny, choć nie wierzył, że coś podobnego mogłoby spotkać jego osobiście, dochodziły go słuchy o aresztowaniach osób noszących niemieckie nazwiska lub imiona. Wniósł podanie do USC: „Miłość Ojczyzny i nienawiść do wroga każe mi naprawić błąd, popełniony przez moich rodziców.” Prosił o zmianę imienia Hans na Igor. Potem zgłosił się do komisji poborowej z prośbą o wysłanie go na front. Odmówili: należał do nomenklatury KC. Uniknął aresztowania dzięki Mołotowowi, który regularnie czytał „Izwiestija”. Nigdy się o tym nie dowiedział.

— On jest nasz! Trafnie uchwycił, jak uprawiać propagandę w nowych warunkach — powiedział Mołotow. — Ma doświadczenie, byliśmy razem u tego zbója Hitlera. Rozpoznawać, kto z dziennikarzy jest nasz, a kto obcy, nauczył mnie sam Lenin. Makarcew ma węż, wpiszcie go na listę odznaczonych — polecił Mołotow.

Dzięki temu młody dziennikarz znalazł się na pierwszej liście osób odznaczonych podczas wojny. Gdy zbliżało się zwycięstwo, a na terenach przejściowo okupowanych przez Niemców już podjęto pracę ideologiczną i wydawano gazety, Makarcew awansował na stanowisko instruktora w sektorze prasy partii KC.

Miał trzydzieści dziewięć lat, gdy uświadomił sobie, że jest samotny. Odczuł to boleśnie. Nie chodziło o przyjaciół, ani tym bardziej o towarzystwo kobiet, z którymi można się zabawić. Makarcew wcale nie był pustelnikiem, uczestniczył we wszystkich rozrywkach swego środowiska. W przeciwnym razie uważano by go za obcego. Ale dokoła wszyscy mieli własne życie, dom, dzieci, a on, samotny jak palec, nie zaznawał tych radości. Lada chwila będzie za późno. I zarówno dlatego, że wojna uniosła życie ponad 20 milionów obywateli, więc kraj pospiesznie odtwarzał straty, a także z racji, że czas już był najwyższy, Makarcew postanowił się ożenić.

Po raz pierwszy zobaczył Zinę, gdy samotnie siedziała na ławce nad stawem w sanatorium dla pracowników KC. Pierwsze małżeństwo miała już za sobą. Cóż w tym dziwnego — taka ładna i mądra!

Taktownie nie pytał o pierwszego męża. Zamierzał się żenić, więc zakochał się w Zinie. Miejsce, w którym zawarli znajomość, było całkiem całkiem, potem dwa razy poszli do Teatru Wielkiego i raz do MCHAT-u.

Igor wracał do domu późną nocą, zgodnie ze zwyczajem tamtych lat. Długo stał przy łóżeczku, z radością wsłuchiwał się w oddech śpiącego synka. Tak bardzo był zapracowany, że nie miał nawet wolnej chwili, by pobawić się z małym.

W połowie lutego 1953 roku Wydział Kadr KC polecił mu wypełnić kolejną ankietę. Kierownik uważnie ją przeczytał i zadał pytanie:

— Jak brzmi nazwisko panińskie waszej żony?

— Żewniakowa.

— A nazwisko jej pierwszego męża?

Makarcew nie miał pojęcia. Po rozwodzie Zina wróciła do panińskiego nazwiska. Nie mógł powiedzieć, że nie wie. Zmieszał się.

— Czy to ważne?

— Ja tylko wykonuję polecenia — odpowiedział pracownik Wydziału. — po pierwszym mężu nosi nazwisko Flejtman.

— Ależ ona jest Rosjanką! — bronił się Makarcew, lecz czuł, jak strach pokrywa jego twarz szkarłatem.

Stykał się już z tym problemem, gdy dobierał kadry dla prasy regionalnej zgodnie z duchem czasu. Nie był antysemitą, wprost przeciwnie, za każdym razem dręczyło go poczucie winy. Mówił sobie, że antysemityzm wynika z przeżytków lokalnych: winą jest niska kultura działaczy, którzy zajęli wysokie stanowiska po partyjnej czystce. Stalin, naturalnie, nic o tym nie wie.

— Ależ ona jest Rosjanką! — powtarzał Makarcew.

— Nie o to chodzi. Zna pan jej byłego męża?

— Nie. Nigdy go nie widziałem, nie pytałem, kto to jest... A co się stało?

— Jak wiecie, aresztowano grupę lekarzy, którzy celowo źle leczyli naszych przywódców. A ten profesor Flejtman, teraz już eksprofesor, pracował razem z profesorem Wowski i konsultował Kogana.

— Moja żona nie ma z tym nic wspólnego.

— Jak dotąd, wiadomo tylko jedno: w związku ze sprawą lekarzy prokurator Riumin otrzymał nowe polecenia.

General bezpieczeństwa państwowego Riumin był zastępcą Berii i kierownikiem Wydziału Śledczego do spraw szczególnej wagi.

— Czy mógłbym zadzwonić do Riumina? — spytał cicho Igor Iwanowicz.

Z Riuminem spotykał się dość często: wspólnie przygotowywali do druku materiały o walce z wrogami ludu.

— Ależ dyrektywa już weszła w życie — urzędnik wypowiedział z naciskiem — nawet Ławrentij Pawłowicz nic już nie poradzi.

Makarcew siedział w odrętwieniu. Myśl gorączkowo miotała się w pułapce, ze wszystkich stron najeżonej ostrymi sękami. Nie mógł nic poradzić, to koniec. Wyobraźnia migotała obrazami: zabierają mu żonę, każą się z nią rozwieść. Pomyślał przez chwilę, że zadzwoni do sekretariatu Mołotowa, lecz sobie przypomniał: przecież sam Wiaczesław Michajłowicz wykazał się pryncypialnością. Wyznał, że jego własna żona — Polina Żemczuzyna — jest wrogiem ludu.

— W takim razie do kogo się odwoływać, żeby zamknąć sprawę?

— Jak można zamknąć — odpowiedział pytaniem na pytanie urzędnik — skoro nadeszła dyrektywa?

— Jaka dyrektywa?

— Nie rozumie pan? — urzędnik podniósł oczy znad papierków i spojrzał na Makarcewa współczująco.

Igor Iwanowicz wyobraził sobie, jak przyjąłby go Poskriebszew, sekretarz Stalina. Wściekłby się, zrugąłby, zwymyślał. Nie było nikogo, kto pomógłby „zamknąć sprawę”. Dlatego, z rozpaczyny chyba, zdobył się na szalony krok. Poprosił o urlop: chce jechać do sanatorium, nie wypoczywał od lat i kiepsko się czuje. T a m c i tylko się uśmiechnęli: aresztować go w uzdrowisku będzie łatwiej niż w miejscu pracy.

Wziął skierowanie na wczasy dla siebie oraz żony z synem i wszyscy razem wyjechali. W Kursku schwycił walizkę, wypchnął zaskoczoną Zinę z wagonu, wyjaśniając konduktorze, że musi wracać do Moskwy. W godzinę później jechali już innym pociągami, w tłoku, wśród ludzi z workami, a Zinaida rozszerzonymi źrenicami spoglądała na męża. Rozumiał, że wcześniej czy później go odnajdą, nie chciał tylko, by zdarzyło się to teraz. Z Woroneża dotarli do Tambowa. Na bazarze pełnym oberwańców, spotkali starego leśnika: przyjechał do miasta kupić prosię. Makarcew poskarżył mu się, że jego chore dziecko potrzebuje świeżego powietrza — tak twierdzą lekarze. Zapłaci dobrze. A nazywa się... (i podał zmyślane nazwisko).

W chacie leśnika pachniało kwaśnym mlekiem i kurzym pomiotem: drób zimą trzymano w izbie. Nocami Makarcew nasłuchiwał. Ale nikt się nimi nie interesował. Mieszkali więc po cichutku, jedli chleb ze słoniną, spali na barłogu. Igor czuł się źle bez pracy. Gazet leśnik nie czytał, a w radiu wciąż mówiono tylko o sukcesach, o pomyślnie rozwijającym się w krajach socjalistycznych współzawodnictwie pracy, o strajkach w innych krajach, co ponad wszelką

wątpliwość zapowiadało rychły upadek kapitalistycznego systemu. Zbyt monotonna ta nasza propaganda, myślał Makarcew słuchając radia, zbyt mało elastyczna. Myśli o zbliżającym się końcu urlopu odpędzał z przerażeniem. Gdy pewnego dnia obudził go rano gospodarz i powiedział szeptem, że w radiu gadali, ponoć Stalin umiera, przeraził się jeszcze bardziej.

— To koniec — powiedział do żony.

— Jakiś ty dziwny, Garik! Pluję na Stalina, tylko ty się dla mnie liczysz!

— Milcz, Zino! — zakrył jej usta ręką, ale ona odepchnęła go, wstała z pryczy.

— Nie rozumiesz, że tylko to nas ocali...

Makarcew poprosił leśnika, by zawiózł go do miasta. A stamtąd zatelefonował do szefa.

— Gdzie się podziewasz? — zdumiał się tamten. — Szukali cię...

— Syn mi zachorował...

— Wracaj jak najprędzej, jesteś bardzo potrzebny... A w tamtej sprawie popełniono błąd.

W drodze do leśniczówki wyrwał staremu lejce i sam poganiał konia.

— Koniec ze sprawą lekarzy! — krzyknął do Ziny od progu.

— A co, nie mówiłam?

Makarcewowie wrócili do Moskwy. W KC niby to panował spokój, lecz nerwy wszyscy mieli napięte jak postronki. W trakcie przygotowań do XX zjazdu partii Makarcew był szczególnie aktywny. Pracował z energią, w dodatku z czystym sumieniem. Wielu pracowników usuwano z KC i przenoszono gdzie indziej ze względu na zabagnioną przeszłość, lecz Makarcewa nikt nie ruszał.

Ludzie, którym podlegał, wcale nie byli sympatyczni. Świat wywrócił się do góry dnem, a oni się z tego dna podnieśli. Stali wokół Stalina, gdy powalił go na podłogę wylew krwi do mózgu, a wódz nie mógł powiedzieć nawet słowa, tylko płynęły mu z oczu łzy. Teraz tron był wolny. Bali się śmiertelnie siebie nawzajem i rozprawiali o kolektywnym rządzeniu. Nikt nie chciał przegrać. Makarcew całkowicie zależał od nich. Przeszłość w jednej chwili mogła stać się powodem oskarżenia, ale też załączkiem wygranej. Beria próbował wykorzystać moment i wspiąć się na szczyt władzy, lecz przegrał. Na emeryturę wypchnięto Kaganowicza. Mołotowa — na ambasadora do Mongolii. Makarcew zdawał się nie pamiętać o swych kontaktach z tym człowiekiem. Żukow poparł Chruszczowa i wy-

prowadził czołgi na ulice. Iwan Sierow, dowódca wydziału egzekucyjnego, który osobiście rozstrzelał słynnych marszałków, teraz, po usunięciu Berii, został szefem KGB; Makarcew często go widywał na naradach w KC. Wiedział, że Sierow to powinowaty Chruszczowa. Życie ulegało zmianom, lecz toczyło się dawnym trybem. Nikt zresztą nie kazał Makarcewowi się spowiadać. Oceniano wedle czynów, nie wczorajszych, lecz dzisiejszych: po czyjej jesteś teraz stronie, człowieku?

Na szczęście Makarcew był wolem roboczym, jedym z tych działaczy KC, którym Biuro Polityczne powierza pracę, sobie zostawiając władzę. Z grupą swych podwładnych pisał referaty Chruszczowowi. To właśnie Chruszczow śmiał się do rozpuku, gdy dowiedział się przypadkiem, jak Makarcew ukrywał się w leśniczówce. Po którejś z podróży zagranicznych — Makarcew dbał o to, by je należycie naświetlała prasa — Chruszczow zaproponował mu stanowisko redaktora naczelnego „Prawdy Robotniczej”. Dotychczasowy naczelny, niejaki Szłykow, członek KC, zadał niedawno w zaufanym gronie pytanie, czy nie nazbyt często prasa wymienia przy byle okazji nazwisko Nikity Siergiejewicza. Przecież w ten sposób pomniejsza wielkość sekretarza generalnego, podważa jego skromność. Po tym stwierdzeniu Szłykow błyskawicznie wylądował na emeryturze.

Gdy Makarcew został naczelnym, coraz częściej przychodziło mu do głowy, że represje stalinowskie nie były takie straszne... Wierni członkowie partii nie tak znów ucierpieli, jak się czasem mówi. Gdy nawiedzały go takie myśli, stopniowo sam siebie zaczynał przekonywać, że właściwie nigdy Stalinowi nie ufał. Synowi szewca, myślał Makarcew, nawet śnić się nie mogło, że zostanie władcą Rosji i będzie się mścił za podbój Kaukazu. Ale gdy umocnił swą władzę i zniszczył wrogów, coraz bardziej chciał być wodzem ludu pracującego wszystkich krajów. Ku temu samemu zmierzał Hitler. Oni rozgrywali partię szachów, a my byliśmy pionkami. Ja również!

Wytłumaczywszy samemu sobie, kim był Stalin, Makarcew westchnął z ulgą i zapomniał o Gruzynie. Dla Chruszczowa pracował z zapalem, a sam sobie wmawiał, że robi to dla partii. W 1962 (Makarcew ukończył wtedy pięćdziesiąt lat) Chruszczow zawiesił mu na piersi order Lenina i powiedział z aprobatą: „Redaktor Makarcew — to nasz człowiek!”

Od młodych lat Makarcew potrafił uchwycić szczególną cechę człowieka i wykorzystać ją w przewisku, takim, które przyklejało się do delikwenta raz na zawsze. To on domniemanego sukcesora

Chruszczowa nazwał „Krzaczastym”. Z czasem określenie to zrobiło karierę w kacowskim środowisku i przerodziło się w anegdotę o wąsach Stalina, które awansowały bardzo wysoko. Otóż Makarcew został włączony do świty, stale towarzyszącej Krzaczastemu podczas jego zagranicznych wojaży.

Domyślał się, rzecz prosta, że jego pozycji wcale nie określają dobre kontakty z aparatem KC, a tym bardziej dawna współpraca z Mołotowem, Chruszczowem lub obecna z Krzaczastym. Stabilność zasadzała się na tym, że jeszcze za rządów Stalina dopuszczono go do kręgu osób związanych z pewnym członkiem Biura Politycznego. Nie był to dwudziesty siódmy komisarz z Baku, który w istocie nigdy nie miał realnej władzy, choć grozą wieje od jego imienia. Ani też pierwszy z serii marszałków, którego w 1956 roku, zdaniem Chruszczowa, opętał diabeł. Był to człowiek, który zawsze lubił pozostać w cieniu.

Makarcew rozumiał, że ten senior zwierzchników aparatu partyjnego (na własny użytek nazwał go towarzyszem Cherlawym), jest na tle innych członków Biura Politycznego postacią niezwykłą. Cechuje go staromodność, swoista zachowawczość. Siebie uważał ów towarzysz za reprezentanta leninowskiej gwardii, mimo że nie miał z nią nic wspólnego. Był zdeklarowanym stalinistą, choć w głębi ducha sądził, że masowe represje były bezzasadne. Utrzymać ludzi w należyтым posłuszeństwie można i bez tego. Okazało się, że miał rację. Tylko on spośród nich, mniemał Makarcew, wierzy jeszcze w nasze ideały, reszta to cynicy. Teraz dzierży w ręku wszystkie nici ideologii, emanującej na kraj i zagranicę. Zaś to, że jest zawsze w cieniu, przynosi mu wielką satysfakcję.

Makarcew mógł się tylko domyślać, czym właściwie on, skromny funkcjonariusz partyjny, zwrócił na siebie uwagę towarzysza Cherlawego... Pewnego dnia Cherlawy zaprosił go na daczę. Powitał Igora w ogrodzie: miał na sobie długi, gabardynowy płaszcz *made in Chiny*, a w ręku parasol, choć dzień był pogodny. Pili herbatę pod lipami. Makarcew starał się wywrzeć jak najlepsze wrażenie. Demonstrował, że jest niegłupi, ale skromny. Nurtowało go pytanie, do czego właściwie jest gospodarzowi potrzebny. Ten opowiadał, jak rzucił palenie, a potem zaproponował Makarcewowi stanowisko sekretarza.

— Potrzebuję kogoś, kto potrafi pisać i rozumie, po co.

Makarcew był zaskoczony. Sądzono powszechnie, że w kręgu najwyższych funkcjonariuszy partyjnych tylko towarzysz Cherla-

wy sam pisze własne przemówienia. Oczywiście, propozycję natchmiast przyjął; gdyby odmówił, pożegnałby się z karierą. Sytuacja się zmieniła, gdy nieoczekiwanie jego przyszłemu szefowi Stalin powierzył dodatkowo stanowisko naczelnego „Prawdy”. Cherlawy znów zaprosił Makarcewa i znów miło sobie pogawędzili. Od tej pory Igor co jakiś czas bywał u Cherlawego na herbacie (nic mocniejszego towarzysz ów nie pił). Z biegiem lat wizyty stawały się rzadsze, ale wciąż miały miejsce.

Nie była to ani więź przyjacielska, ani też tylko służbowy obowiązek, w sytuacji, gdy podwładny styka się z szefem. Raczej dogodna dla obu stron symbioza. Na tych herbatkach Makarcew dowiadywał się, jakie wieją wiatry na szczycie, Cherlawy zaś, który wolał jak zwykle pozostawać w cieniu — co dzieje się na dole. Poniżej szczebla Makarcewa nie wypadało mu sięgać. Były, oczywiście, także niedomówienia, ale obie strony to urządzało. Kontakty z Cherlawym Makarcew ukrywał nawet przed żoną. Miał wrażenie, że herbatki pod lipą w jakiś sposób mu uwłaczają, ale dlaczego — nie zastanawiał się nad tym.

„Prawdą Robotniczą” kierował nie tylko Wydział Propagandy KC, także towarzysz Cherlawy w trakcie herbatek, chociaż w KC nikt o tym nie wspominał. To on włączył Makarcewa do ekskluzywnej grupy pracowników, przygotowujących najważniejsze referaty Krzaczastego. A potem, podczas obrad XXIII zjazdu wpisał na listę osób kandydujących na zastępców członków KC.

Choć Makarcew skutecznie unikał wpadek, coraz uporczywiej nękały go obawy. Wysoki lot zwiększał ryzyko upadku. Makarcew był już po pięćdziesiątce i miał wiele do stracenia. Cenił nie tyle dobra materialne, co osiągniętą pozycję. Czuł się ustabilizowany tylko podczas wspinaczki na górę, a w ostatnim czasie jej tempo spowolniało. A przecież wiadomo: gdy człowiek przystanie choćby na chwilę, szybko potem zaczyna się staczać. Zdrowie zawodzi. Każdego dnia, choć starał się o tym nie myśleć, coś go bolało: plecy (lekarze orzekli, że to złogi), serce (dusznica bolesna — nie wolno się przemęczać), wątroba. A on cenił sobie dobry stół i jadał zbyt dużo, lubił też wypić. Co do kobiet, gdy w męskim gronie poruszano ten temat, Makarcew mówił z uśmiechem, że na stare lata zrozumiał oczywistą prawdę — wszystkie są zbudowane jednakowo. Jak powiedział stary leśnik spod Tambowa, choćbyś szukał całe życie i tak nie znajdziesz dziewczuchy, która miałaby w poprzek.

Rozumiał, rzecz jasna, że stanowisko, do którego doszedł, nie

jest szczytem możliwości; jednak apatia i inne przyczyny hamowały jego aktywność. „Zgubi mnie przyzwoitość” — chwalił sam siebie za to, że nie robił kariery po trupach kolegów.

Tak czy owak Igor Iwanowicz wierzył w tryumf komunizmu. Wcale nie w to, jak należy dążyć ku niemu (różne metody już dawno się skompromitowały), a w rezultat ostateczny, w szczęście, które kiedyś nadejdzie. Jeśli on tego nie doczeka, doczekają inni.

Gdy rozgrywały się wydarzenia czeskie minionego, 1968 roku, Makarcew myślał tak: nie zdobędziemy się na tę skrajność, nie wprowadzimy wojsk. Nawet Stalin tego nie zrobił w Jugosławii. Gdybym ja decydował, nie pozwoliłbym na to. Gdzieś tam, w zakamarkach duszy, tliła się iskra sympatii dla Dubczeka, lecz tak nikła, że Makarcew sam przed sobą nie przyznawał się do niej. Nie podzielał zadowolenia, którym jaśniały oblicza przywódców, ceniących partyjne funkcje bardziej niż zwykle ludzkie sprawy. Rozluźnienie kagańca ich niepokoi. On z pewnością działałby inaczej, inteligentniej. I kto wie, do jakich doszedłby wniosków, gdyby osiągnął pozostałe cztery szczeble: członka KC, zastępcy członka Biura Politycznego, członka Biura Politycznego, wreszcie gdyby zyskał akceptację w gronie silnych Politbiura. Stop! Jego program–maksimum — to tylko jeden szczebel wyżej.

Myśl ta nie oblekała się w kształt słowny. Makarcew bał się wszelkiej frondy, nawet we własnej duszy, nie mówiąc już o jej przejawach zewnętrznych. Zdrowy rozsądek był mu imperatywem, dyktował, co robić, jak się zachować. Któż jak nie Makarcew potrafił się orientować w podskórnych nurtach.

Dwukrotnie zapytano go, ilu Żydów zatrudnia w „Prawdzie Robotniczej”. Makarcew widział to tak: ktoś tam napina ideologiczne mięśnie po wydarzeniach czechosłowackich. Uspokajał sam siebie, że to nieuniknione, on postara się zachować umiar. Jednak w grudniu 1968 roku mocno zszarpał sobie nerwy...

Przez dwa tygodnie gościła u Makarcewów teściowa; przyjechała z Rostowa nad Donem. Chodziła po muzeach i domach towarowych, wydziwiała nad długimi kolejkami.

— Zięc ma tak odpowiedzialne stanowisko, że nie mogę z nim słowa zamienić — utyskiwała żartobliwie. — Zresztą, ja też ciągle gdzieś biegam...

— Niech mama nie wystaje w kolejkach! Proszę zrobić listę zakupów, wyśle kierowcę.

— Ależ, Garik, skądże... Jeszcze tego brakowało. Nie chcę ci przysparzać kłopotów...

Teściowa była od niego starsza zaledwie o pięć lat i wciąż to podkreślała. Któregoś dnia wrócił do domu wcześniej — przewodniczył w Domu Dziennikarza obradom zjazdu publicystów, zajmujących się problematyką ideologiczną, był zmęczony, jak najprędzej chciał iść spać. Obok teściowej w pokoju siedział gość z bródką, podobny do naukowca — z tych dzisiejszych, naturalnie. No no, teściowa znalazła sobie amanta!

Gość podniósł się z krzesła, podał Makarcewowi rękę, spojrzał mu w oczy i przedstawił się:

— Aleksander.

— Igor — odpowiedział Makarcew, choć tak nieoficjalnie dawno już z nikim się nie witał.

— Moja siostra Nastia chodziła z nim do jednej klasy — wyjaśniła teściowa. — Przyjaźnili się, razem spędzali czas. Od wojny nie widziałam go w Rostowie. Kończył wtedy studia. A teraz go siostra odnalazła. Na ulicy nie poznałabym... Garik, jesteś głodny?

Teściowa wyszła do kuchni.

— Jaki wydział pan skończył? — spytał Igor Aleksandra. — Nie dlatego spytał, że go to ciekawiło, lecz po prostu, żeby coś powiedzieć. — Fizykę?

— Wydział fizyczno-matematyczny — odparł gość.

Makarcew nawet się nie ucieszył, że jest taki domyślny. Co jak co, ale ludzi rozgryzał błyskawicznie. Teściowa postawiła przed nim talerz: kurze udko na zimno i dwa pomidory, tak jak lubił.

— A pan nie je kolacji?

— Dzięki, nie — odburknął niezbyt rozmowny gość.

— On nie chce — wyjaśniła teściowa — Mówi, że nie jest głodny. A ja wieczorami dbam o linię. Jak powiadają Francuzi, chwilka na języku, całe życie w biodrach.

— Jest pan naczelnym „Prawdy Robotniczej”? — Aleksander spojrzał z ukosa na świeże (w grudniu!) pomidory.

Nie było jasne, czy chce o coś prosić (to znaczy zwrócić się z prośbą do naczelnego centralnej gazety — nie zdziwiłoby to Igora Iwanowicza, uważał to za naturalne i w miarę możliwości pomagał), a może spytał po prostu tak, żeby podtrzymać rozmowę.

— Tak, jestem dziennikarzem — wniósł poprawkę Igor Iwanowicz i wyrecytował:

*Gdy skończysz trzydziestkę, zamawiasz okulary
pięć lat później — czujesz się stary
po czterdziestce, cześć, chłopaki, powiesz
pięć lat później ducha wyzioniesz...*

— Czyż to, hmm, arcydzieło?

— To folklor. Młodzi dziennikarze, jak sobie popijają, śpiewają tę piosenkę. A starsi, ci co mają swoje lata, siedzą cicho.

— A pan ile ma lat?

— Pięćdziesiąt sześć, jak obszył.

— Więc nie wszystkie wróżby się spełniają! — gość znów spojrzął spod oka na piękne pomidory.

— Za to mam arytmie, reumatyzm, chorą wątrobę — uśmiechnął się Makarcew.

— W fizyce istnieje takie pojęcie: próg. Woda, woda — i nagle za progiem lód, czyli inna jakość. U człowieka, mam wrażenie, progi są względne.

— A co z twoim zdrowiem, Sania? — wtrąciła się teściowa.

— Dziesięć lat temu myślałem, że koniec ze mną. Lekarze straszili, że nic nie poradzą. Sam siebie wyciągnąłem z grobu za uszy. No, czas na mnie... Wieczorami też pracuję...

— W zamkniętym ośrodku badawczym? — spytał Makarcew, znów przekonany, że się nie myli, ponieważ większość instytutów naukowych była utajniona.

— Niemal! — potwierdził kiwnięciem głowy gość i podniósł się z krzesła.

Uścisnęli sobie dłonie i teściowa wstała, by odprowadzić szkolnego kolegę siostry. Z korytarza dochodziły ściszone głosy i śmiech. Igor Iwanowicz odsunął talerz, nalał sobie pół szklanki mineralnej, wyciągnął ustami wprost z paczki papierosa, zaciągnął się z rozkoszą. Teściowa wróciła.

— Podoba się ci mój gość?

— W zasadzie... — uprzejmie burknął Makarcew, pochłonięty już innymi myślami.

— Taki skromny! A cały świat o nim mówi i pisze...

— Cały świat? — Makarcew wyjął z ust papierosa. — Któż to taki?

— Zdziwiasz mnie czasami, Igorze! To Solżenicyn.

— Soł... — Makarcew rozkaszał się nagle.

— A cóż w tym dziwnego?

— Nic właściwie...

Makarcew podniósł się i zniknął w pokoju sypialnym.

Oddział chorych na raka, gdy rozważano, czy zezwolić na druk tej powieści w „Nowym Mirze”, dał Makarcewowi do przeczytania towarzysz Cherlawy, ten sam, który pragnął pozostawać zawsze w cieniu. Igor Iwanowicz zwrócił mu odbitkę składu dwa dni później.

— Co o tym myślisz? — zapytał Cherlawy. — Twardowski czeka na odpowiedź.

— Nie bardzo wiem, co proponować. Może puścić, jeśli usunie aluzje?

— Ty i ja wszystko rozumiemy właściwie. Ale zwykły czytelnik? Zresztą, gdybyśmy na to poszli, wkrótce podsunąłby nam jeszcze coś bardziej wrogiego. Solżenicyn to nie nasz człowiek.

Uraza do teściowej przesłoniła wszystko inne. Makarcew krążył po pokoju, potem wszedł do kuchni. Teściowa zmywała talerze.

— Tego znajomego mamy — świadomie nie chciał wymieniać nazwiska — wkrótce usuną ze Związku Pisarzy za wrogą propagandę!

— Byłby to wielki błąd. Kiedyś niszczonego Jesienina, Pasternaka, Bułhakowa, a dzisiaj...

— Czy przynajmniej mama wie, że ten mamy Sasza kontaktuje się z zagranicą, że śledzi go KGB?

— Ależ to głupota! To uczciwy człowiek, uczciwszy od was wszystkich. Jeszcze niedawno chcieliście mu dać nagrodę lenińską.

— A jakże, ścisł się z Chruszczowem.

— Ale ponieważ Chruszczow nie rządzi, Solżenicyn stracił talent?

— Na temat talentu nie będę się spierał. Ale po co go mama przyprowadziła? W jakiej sytuacji mnie mama stawia...

— Aha, tu cię boli!

— Rozumiem, że dla mamy jestem zerem — nie dopuszczał teściowej do głosu. — Ale czy pomyślała mama o własnej córce i wnuku? Ich sytuacja też zależy od mojej!

— Opamiętaj się, trzydziesty siódmy rok już dawno minął!

— Co tam mama wie... Może ja nawet darzę sympatią tego mamy Saszę. Może to niemal Lew Tołstoj, kto wie? Jak to jest, wyjaśnia przyszłe pokolenia. Mama uczy w szkole literatury, a ja, niech to szlag, mam odpowiedzialne partyjne stanowisko! Moich sympatii i antypatii nie określa ani mama, ani ten mamy kolega szkolny!

— Nie mój, lecz Nasti!

— Zgoda, Nasti!

— Zrozumiałam. Zresztą, dość już tych partyjnych kazań... więcej o Solżenicynie nigdy nie usłyszysz. To znaczy, nie usłyszysz ode mnie. I teściowa wyszła z godnością.

— Przepraszam za ostre słowa — rzucił w ślad za nią.

Był wściekły na teściową jeszcze następnego dnia. Na pewno rozmawiała z Ziną i z wnukiem. Brakowało tylko, by rodzony syn pogardzał nim za tchórzostwo.

T a m już pewno wiedzą, że Solżenicyn był w jego mieszkaniu... Warto się zabezpieczyć przed niespodziankami z tej strony. Głównował całą noc, a wnioski sformułował rano, idąc do KC. Po drodze uspokajał swe sumienie: ma prawo ze względów ideowych przydeptać gardło swej inteligentkiej pieśni. Pamiętając o herbatkach pod lipami, zająrzył do sekretarza towarzysza Cherlawego, tego, który zawsze wołał pozostawać w cieniu.

Chomutiłow, sekretarz prasowy, zasuszony i długi, przypominający nieco sylwetką swego szefa, mówił łagodnie i niespiesznie. Znali się od końca lat trzydziestych. Makarcew spytał: czy szef przyjmie go na krótko w ważnej sprawie?

Tego samego wieczora Igor Iwanowicz meldował Cherlawemu, że do redakcji napływa mnóstwo listów. Wszyscy ludzie pracy potępiają Solżenicyna. Jak dotąd gazety milczały, może czas zareagować? Makarcew zdawał sobie sprawę, że to, co mówi, jest ryzykowne: szefowi mogą być nie w smak tego rodzaju rady... Sam wie najlepiej, jaką wytyczać linię ideologiczną. Ale też nikt nie oskarży Makarcewa o sprzyjanie Solżenicynowi. Jednak podczas audiencji towarzysz Cherlawy nie wypowiedział się w tej kwestii, pragnął tylko rzucić okiem na owe listy od ludzi pracy.

Gdy Makarcew wrócił do redakcji, natychmiast wezwał Tawrowa, kierownika działu wychowania komunistycznego i polecił mu niezwłocznie przygotować stosowny materiał. Po półtorej godzinie leżał na jego biurku, opatrzony tytułem: „Piętnujemy haniebnny postęp!” O Solżenicynie napisano tam wszystko, co trzeba. Makarcew przekreślił tytuł i napisał: „Protestujemy!” Każda kampania rozkręca się stopniowo, zostawmy trochę paliwa na później.

Nazajutrz Chomutiłow zatelefonował do Makarcewa zezwalając mu zamieścić ten materiał. Gdy gazeta wyszła, Igor Iwanowicz był pewien, że teściowa nie wytrzyma, powie coś obraźliwego. Jednak wieczorem Zinaida zawiadomiła, że właśnie odprowadziła matkę na dworzec. Teściowa chciała zostać na sylwestra, ale się rozmyśliła.

— Mogła przed wyjazdem zadzwonić, pożegnać się...

— Prosiła, żeby cię uściskać.

A więc nic nie powiedziała Zinaidzie.

— Jeśli chce, niech zamieszka u nas na stałe.

— Wiesz, jaka mama jest samodzielna.

Po „Prawdzie Robotniczej” zaatakowały Solżenicyna inne gazety, potem TASS i zagraniczna prasa komunistyczna. Makarcewa pochwalono na naradzie ideologicznej w KC, wskazano słuszną linię, którą realizuje. Uff, udało się uniknąć wpadki...

Sprawiło to Makarcewowi szczególną satysfakcję: zawsze postępował tak, jak tego wymagała partia, choć w głębi duszy nie zawsze się z nią zgadzał, czasem miał nawet odmienne zdanie. Tak, tak, odmienne, nie był przecież maszyną, lecz żywym człowiekiem. Można, naturalnie, nie zgadzać się z czymś w głębi duszy, ale trzeba zachować milczenie. Postępować należy tak, jak tego żąda partia. Na tym właśnie zasadza się różnica między leninowską pryncypialnością a abstrakcyjnymi zasadami i apolitycznym sumieniem.

Za młodu Makarcewowi było przykro, gdy musiał wykonywać absurdalne polecenia; czuł się wtedy poniżony, cierpiało jego poczucie godności. W końcu znalazł wyjście: jego godność nie doznawała nadmiernego uszczerbku, jeśli tylko on sam, jeszcze przed decyzją, uświadamiał sobie, co w danej chwili jest korzystne dla partii. Bo tylko kiepski i krótkowzroczny funkcjonariusz czeka na wskazówki. I choć w ostatecznym rachunku skutek bywał taki sam, ponieważ przewidywać — znaczy postępować zgodnie z uchwałą, której jeszcze nie podjęto — różnica jest oczywista, taka jak między słowami „odgadywać” i „dogadzać”. Nie był fałszywie skromny — uważał się za mądrego, doświadczonego aparatczyka.

Chociaż lekko szedł przez życie, nie uniknął moralnego kaca. Miał bliskiego przyjaciela, może raczej tylko kolegę. W każdym razie nie był to człowiek obcy, jak Sołżenicyn, z którym Makarcewa nic nie łączyło. Z Andriejem Fomiczowem, naczelnym „Wieczornej Moskwy”, spotykali się raz częściej, raz rzadziej, lecz dzwonili do siebie regularnie. Anna Siemionowna wiedziała, że z Fomiczowem trzeba łączyć szefa natychmiast, bez względu na to, co dzieje się w redakcji.

Obaj zaczęli razem. Obaj lubili pracę w gazecie, byli pełni energii, obaj szczęśliwie uniknęli kłopotów w minionym okresie, chociaż ich los wisiał na włosku. W pewnym stopniu dlatego, że uprzedzali siebie nawzajem przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Nie tylko nic się im nie stało, lecz nawet poszli w górę. Makarcew wylądował wyżej, Fomiczew tkwił w miejskiej gazecie.

Zawsze mieli to i owo do przedyskutowania w cztery oczy. Omawiali każdy poważniejszy krok. Na naradach w KC odnajdywali się w kularach i siadali razem. No, a prośby służbowe — umieścić w numerze taki lub inny materiał, który musi się znaleźć w druku, a z jakiejś tam racji nie wypada go puścić we własnej gazecie — tu zawsze jeden dla drugiego zapalał zielone światło. Zwracali się do siebie nie po imieniu, lecz po nazwisku — tak przywykli. Fomiczew wyleciał za burtę w czasach Chruszczowa, wyleciał głupio i błyskawicznie, nawet nie zdążył zasięgnąć u przyjaciela rady.

Informacja TASS o locie pierwszego kosmonauty nadeszła wkrótce po szczęśliwym powrocie Gagarina na ziemię. Fomiczew podpisywał właśnie do druku kolejny numer „Wieczornej Moskwy”. W owym czasie nie podawano w materiałach TASS adnotacji, czy mają je drukować wszystkie gazety i na jakiej kolumnie, czy mają być z fotografiami czy bez. Fomiczew wahał się. Jeśli zamieści ten materiał, opóźni wydanie. Miejski partkomitet nie pogłaszcze go za to po główce. W dodatku już tę wiadomość podało radio. Gdy wezwano Makarcewa do KC, nie domyślał się z początku, o co chodzi. I strasznie się zmieszał zobaczywszy Chruszczowa i całe Biuro Polityczne.

— Towarzysze! — powiedział Chruszczow. — Wczoraj na dachu otwieram „Wieczorną Moskwę” i widzę, że nie ma tam słowa o Gagarinie. Choć pisały o jego locie wszystkie gazety świata, łącznie z burżuazyjnymi. Nie uwierzyło tylko dwóch panów — prezydent Eisenhower i towarzysz Fomiczew. O czym to świadczy? Ano o tym, że Fomiczew jest gorszy od dziennikarzy burżuazyjnych.

Szyję Fomiczewa pokryły czerwone plamy. Z przestraczem podniósł rękę, jak na lekcji i czując, że trzeba wyjaśnić nieporozumienie nim będzie za późno, wybełkotał:

— Pozwólcie mi powiedzieć. Chodzi o to, że ja jako naczelny...

— Wy, Fomiczew — odparował Chruszczow — już nie jesteście naczelnym. Co omawiamy dalej?

Wieczorem znokautowany Fomiczew przyjechał do Makarcewa. Wypili, a Zinaida częstowała ich mocną herbatą i ciasteczkami z cynamonem, które Igor bardzo lubił. Wszechstronnie naświetlali sytuację. Gdyby Fomiczewa odwołał miejski komitet partii, można byłoby się starać, by KC zamiast odwołania poprzestał na naganie lub na przeniesieniu winowajcy do innej gazety. Zdjął jednak Fomiczewa sam Chruszczow, pozostawiało więc tylko odczuwać dumę, że wprawdzie powołał go na naczelnego komitet miejski, ale zwolniło Biuro Polityczne.

Fomiczew załamał się, przygarbił, co dzień wpadał do Makarcewa skarżyć się na niesprawiedliwość. Prosił o skromny etat — no, chociażby kierownika działu.

— Mowy nie ma! — protestował Makarcew. — Stary partyjny koń bruzdy nie zdeptuje.s

W rzeczywistości nie mógł wziąć Fomiczewa bez uzgodnienia tego z KC, a uzgadniać nie miał odwagi. Już dawno sobie uświadomił, że nie ma sensu mieć przyjaciół. Zawsze z nimi trudniej niż z podwładnymi, wymagają szczerości, siły ducha, te zaś bez reszty trzeba oddać partii. Przyjaźń z Fomiczewem była wyjątkiem od zasady, lecz zaczynała ciążyć.

— Myśl sobie, co chcesz — rzekła któregoś dnia Zinaida. — Ale ta przyjaźń ci szkodzi. Wszyscy o niej wiedzą i mówią: „Fomiczewa zdjęli, a Makarcew wciąż z nim trzyma!”

— Nie, Zina, nie mogę! Nie mogę z nim zerwać!

Żona widziała, jak mąż przeżywa całą tę historię.

— Więc nie zrywaj! Odsuń się od niego stopniowo, tak jak wszyscy... Jest mądry, zrozumie... Gdybyś ty, nie daj Boże, znalazł się na jego miejscu, na pewno nie robiłby ceregieli!

Nic nie odpowiedział żonie i poszedł spać. Lecz rano, gdy Fomiczew do niego zadzwonił i oznajmił, że po raz trzeci zabiegał o audiencję w KC, i znów mu odmówiono, Igor Iwanowicz powiedział:

— Słuchaj, musimy pogadać, uczciwie, po partyjnemu.

— Rozumiem — odpowiedział tamten — już do ciebie jadę. Nic nie mogę zrobić, ale wysłucham z radością.

— Nie przyjeżdżaj... — Makarcew szukał stosownych słów, nawet machnął ręką poirytowany sam na siebie. — Bo widzisz... Może będzie lepiej na razie się nie spotykać. Ludzie wygadują różne rzeczy...

— Kto i co wygaduje? Nie rozumiem...

— Plotki, nie zwracaj uwagi. Za jakiś czas będę mógł ci pomóc, jak tylko przestaną gadać, że coś nas łączy... Słyszysz?

— Słyszę.

— I co o tym sądzisz?

— Tak, zrozumiałem.

— Niby co zrozumiałeś? Pewno się obraziłeś, nic nie rozumiesz! Ja mówię o konkretnej sprawie, a ty bawisz się w sentymenty. Będę z tobą w telefonicznym kontakcie. Ale nasza przyjaźń nie może rzucać się w oczy. Zgoda?

— Wybacz — przerwał Fomiczew. — Nie mam czasu na gadanie. Żona każe iść na bazar: w sklepach pustki, muszę coś kupić do żarcia. Cześć!

Potem Fomiczew został sekretarzem moskiewskiego oddziału Związku Dziennikarzy. Ale od tamtego czasu nie spotkali się, nie rozmawiali nigdy. Wspominając tę historię Makarcew sięgał po telefon. Numer pamiętał doskonale, lecz nigdy nie kazał sekretarce, by go połączyła z Fomiczewem. Gdy sam zamierzał dzwonić, zawsze odrywano go do ważnych spraw.

5. Góry lodowe

Leżał na wpeł przytomny, lecz jego mózg, nie uszkodzony zawałem, uwolniony dzięki narkotycznym preparatom od niepokoju o ból, pracował intensywnie. Kardiograf cichutko szumiał obok, rejestrując każde uderzenie serca. Szum ten nie tylko nie przeszkadzał, przeciwnie, pomagał myśleć. Pod tlenem oddychało się lżej.

Był czwartek, 27 lutego. Zawał powalił Igora Iwanowicza w środę.

Wspominać poprzednie dni zaczął Makarcew od poniedziałku: w niedzielę Zinaida koniecznie chciała pojechać do podmoskiewskiego sanatorium w Barwisze, żeby się przejść po sosnowym lesie. Spacerowali więc, byli na uroczystym obiedzie z okazji dnia Armii Czerwonej, potem odpoczywali w pokoju przed telewizorem. Makarcewowi zrobiono masaż, zalecono uprawianie yogi: pomoże pozbyć się brzuszka. Przydzielono też indywidualnego trenera na pływalni. Igor Iwanowicz tradycyjnie jednak lekceważył należne sobie przywileje. Wyróżniał się tym spośród aparatczyków, a przy okazji robił sobie wrogów: ale inaczej nie umiał.

Zmęczył go ten dzień, zirytowało nic nie robienie. Po południu mimo wszystko dorwał się do telefonu i pogadał, z kim trzeba, załatwił parę spraw. Gdy stał tak ze słuchawką w ręku, żona patrzyła na niego z wyrzutem.

— O co ci chodzi? — spytał.

— W trumnie też ci założą telefon?

Do domu kierowca przywiózł ich znużonych, lecz wypoczętych. Poszli spać przed północą. I jeszcze dlatego Makarcew postanowił przypomnieć sobie wszystko, co zaszło począwszy od poniedziałku, ponieważ miniony tydzień upłynął spokojnie. W niedzielę Igor Iwanowicz czuł się nieswojo, bo nic nie robił: od tego, był zresztą pewien, nie dostaje się jednak zawału.

A więc, w poniedziałek, 24 lutego 1969, za piętnaście dziesiąta rano, Makarcew zatelefonował do swojej sekretarki. Praca w „Prawdzie Robotniczej” zaczynała się o jedenastej, lecz większość dziennikarzy zjawiała się dopiero przed dwunastą, o dziesiątej ożywała tylko hala maszyn. Sekretarka Makarcewa przychodziła o dziewiątej trzydzięci, wietrzyła przesiąknięty tytoniem gabinet naczelnego, kładła na biurku korespondencję do czytania i podpisu. Do szafki z półeczkami „Redaktor dyżurny”, „Dyżurny zastępca sekretarza odpo-

wiedzialnego" oraz „Świeża głowa" wstawiała karteczki z nazwiskami, by każdy wiedział, kto dzisiaj oddaje materiał do czytania, od kogo brać podpis „Pilnie, do numeru", by potem oddać teksty maszynistkom do przepisywania w pierwszej kolejności, kto zamarkuje artykuł w makiecie numeru, ustali, jak co składać i jaką czcionką.

Wszystkie te czynności, niezmiennie i identyczne, jak koraliki na nitce, nie obchodziły Makarcewa. Mógł późnym wieczorem czytać złożone kolumny, a mógł i nie czytać. I bez niego dosyć było ludzi do wstawiania, wyrzucania, sprawdzania, uzupełniania i skracania artykułów. Jedynie to, co najważniejsze, o podstawowym znaczeniu, przeglądał przed składem. Lecz Igor Iwanowicz żył tradycjami lat trzydziestych, lubił kuchnię dziennikarską, starał się w n i k a ć w jej tajniki.

Regularnie zaglądał do wszystkich działów redakcyjnych, interesował się, kto co robi, wypytywał nawet szeregowych pracowników. Większość tych ludzi znał nie tylko z twarzy, lecz z nazwiska. Zastępcy naczelnego byli bladym jego odbiciem, to on pracował zamiast nich, oni natomiast, zamknięci w swych gabinetach, wymyślali dla siebie byle jakie, zazwyczaj mało ważne zajęcia. Makarcew lubił, gdy treść planowanego artykułu referowano mu krótko i zwięźle. Chwytał wtedy sens w pół słowa i popędzał: „Dalej, dalej! A co na końcu? Jaki stąd wniosek?" Przede wszystkim troszczył się o strategię dziennika, czyli o problemy, ciągnięte z numeru do numeru przez dłuższy okres, a równocześnie o zamierzone milczenie w niektórych innych, co również było składnikiem strategii powierzonej mu gazety. Sensu głównych celów tej strategii nie poruszano na kolegiach redakcyjnych. W poniedziałek rano Makarcew zatelefonował, by na niego nie czekano: będzie na naradzie ideologicznej. Pojechał wpierw do KC, narada miała się zacząć dopiero za dwie godziny.

W gmachu KC spotykał na korytarzach starych towarzyszy. Choć wielu z nich miało doktoraty, wciąż tkwili za biurkami od rana do wieczora, pozostawali w kieracie dyscypliny, gotowi poderwać się natychmiast, gdy tylko zadzwoni telefon. Toteż często wpadają w nerwice. On też mógłby zajmować podobne, wpływowe stanowisko. Miał jednak rację, wybierając pracę w gazecie: samodzielności więcej, praca żywa, ludzie ją widzą.

Czas przed rozpoczęciem obrad był ważniejszy niż same obrady. W kularach, przy papierosie, podczas rozmów w cztery oczy, wyjaśniano sobie mnóstwo spraw, o których nie mówi się z trybuny i nie opisuje w ściśle tajnych dokumentach. Rzucano aluzje, od któ-

rych zależała cała reszta, w tym i decyzje, przewidywane na naradzie, szlifowano strategię działania prasy. Coś jak góra lodowa — niemal cała pod wodą. Lecz również coś wręcz przeciwnego, coś, co nie mogło istnieć w głębinach oceanu: górna część płynie w jednym kierunku, a podwodna, niewidzialna, w innym. Gazeta jest taką górą lodową. Makarcew dowiedział się, że na naradzie „Prawda Robotnicza” będzie chwalona, ale jutro on sam zostanie wezwany na dywanik, wypomną mu błędy. Nie ma w tym wcale sprzeczności. Trzeba być przygotowanym na wszystko, wyjaśnić, za co go krytykują, zważyć proporcje między obroną własnych racji a obligatoryjnym uznaniem przewinień. I naturalnie, podkreślić, że kierownictwo ma zawsze rację.

Referat wygłosiła tłusta, rozlazła Szaposznikowa — sekretarz moskiewskiego gorkomu partii. Makarcew głęboko nią pogardzał. Czytała monotonie, nie odrywając oczu od kartki, a wszyscy udawali, że słuchają. Makarcew, jak wszyscy aparatczycy z KC, nie przepadał za ludźmi z gorkomu, uważał ich za miernoty: wyłażą ze skóry, żeby coś zrobić, ale bez większego sensu. Z usypiającego potoku słów wychwycił nagle tytuł swej gazety. „Prawda Robotnicza” — terkotała Szaposznikowa — wysunęła nową, ważną inicjatywę: „Nie wyrzucać użytecznych odpadów przemysłowych!” W samej tylko Moskwie pozwoliłoby to osiągnąć znaczne oszczędności. Inicjatywa gazety doczekała się już szerokiego poparcia. „Głupia babo — pomyślał Makarcew — mieliśmy znacznie ciekawsze pomysły, ale ty nie czytasz naszej gazety! Poważne oszczędności — czyli jakie? Podaliśmy przecież liczby!”

Mimo to było mu przyjemnie, jak zawsze gdy ktoś go chwalił. A bywało jeszcze przyjemniej — gdy nie mówiono „Prawda Robotnicza”, a „gazeta Makarcewa”, chociaż na ostatniej stronie, w stopce widnieje napis „Kolegium redakcyjne”. On jednak uważał, że to j e g o gazeta: mówi się przecież, dajmy na to, samoloty Tupolewa. Makarcew lubił swoją gazetę, ubolewał, gdy wytykano jej wpadki, ale nigdy nie myślał, że o n sam ją robi. Gdy składał sprawozdanie z działalności gazety, nie mówił „Prawda Robotnicza”, lecz „nasz kolektyw”.

Wrócił do redakcji zadowolony. Ania rozłożyła na biurku wilgotne jeszcze szczotki, starannie podwinąwszy ich dolne brzegi. Wiedziała, że Makarcew czyta wszystko, mógłby sobie pobrudzić mankiety mokrą farbą. Igor Iwanowicz wyjął z kieszeni okulary, przejrzał szpalty i podniósł się z krzesła. Uchwycił gazetę tak, by nie

ubrzdzić rąk. Wydanie prowadził sekretarz redakcji Poliszczuk, więc Makarcew poszedł do niego ze szpaltami. Omówił z Poliszczukiem, co zmienić na pierwszej kolumnie, zdecydował, co umieścić na pustym miejscu trzeciej, spytał, jaki jest obecnie wynik meczu piłki nożnej rozgrywanego na stadionie w Łuźnikach (zostawili na tę informację puste miejsce), kazał wymyślić mniej banalny nagłówek do artykułu „Ameryka: nędza i lzy.”

Poliszczuk zaproponował nowy tytuł: „Ameryka — ocean bezprawia.” Igor Iwanowicz skrzywił się, ale machnął ręką i poszedł do działów. Dyżurni pracowali, reszta pracowników wybierała się do domów, chociaż dzień roboczy jeszcze się nie zakończył. Makarcew był przekonany, że dziennikarstwo to praca twórcza. Kto nie chce lub nie umie pracować, nie robi nic, choćby obowiązywała nie wiadomo jak surowa dyscyplina. Domagał się od dziennikarzy materiałów, a nie wycierania portek na redakcyjnych stołkach. Zresztą dbałość o dyscyplinę pracy była obowiązkiem sekretarza redakcji Kaszyna, a nie naczelnego.

Pół godziny później Makarcew włożył palto i opuścił redakcję.

— Czemu dziś tak wcześnie? — zdziwił się kierowca omijając kolisty skwer, by wyjechać na ulicę.

— Sądzisz, że nie mogę mieć życia prywatnego?

Losza Dwojeninow zdjął nogę z gazu, oderwał wzrok od jezdni.

— Dokąd, szefie?

— Do domu, Losza, do domu — uśmiechnął się ponuro Makarcew. — Moje życie prywatne jest tylko tam...

Nie miał ochoty na rozmowę, więc Losza też milczał. Makarcew chciał dzisiaj wreszcie pogadać z synem. Żona prosiła go o to od dawna, lecz wciąż nie mogli się z Borysem spotkać. Niekiedy, bardzo rzadko, ojciec zjawiał się w domu wcześniej, ale syn wracał niemal zawsze grubo po północy.

Teraz też go nie było. Makarcew samotnie jadł kolację. Zina, tak jak jej matka, by zachować linię przestała jadać wieczorami. Siedziała więc przy stole i przyglądała się jak mąż je. A on w głębi duszy był rad, że Borysa znów nie ma i do rozmowy nie dojdzie. Już od dawna ojca i syna dzielił konflikt, choć ojciec udawał, że tego nie widzi.

W 1939 Igor Iwanowicz przywiózł z Niemiec „Olimpię-Elitę”; niewielką ilość takich maszyn do pisania wyprodukowano specjalnie dla kancelarii III Rzeszy. Makarcew nigdy nie pisał na tej maszynie, stała jednak zawsze w mieszkaniu koło jego biurka. Ukrył ją poza domem na początku wojny, gdy zmienił imię. Bał się, że faszy-

stowska maszyna do pisania będzie dowodem, że zdradził ojczyznę. Ale po wojnie znów ją przywiózł do domu. Niedawno szukał tej maszyny — musiał dopisać kilka słów w projekcie jakiegoś dokumentu — ale gdzieś zniknęła. Co się z nią stało? Jak się później okazało, Borys zaniósł maszynę do komisju.

— Jak to — do komisju?

— A po diabła ci ta maszyna?

— Masz ojca dziennikarza!

— Była usmarowana olejem — nigdy z niej nie korzystałeś!

— Trzeba było powiedzieć, dałbym ci pieniądze. To pamiątka, na której mi zależało. Byłem do niej przywiązany!

— Dobra, dobra, po co te krokodyle łzy! Ty nie wiesz, co to przywiązanie!

Nic do chłopaka nie docierało. Ojciec nie potrafił dobrać przekonujących słów, zaczynał jak z małym dzieckiem, a po chwili wpadał w złość. Syn wciąż mu się wymykał. Borys zapuścił włosy do ramion i wąsy, które mu zwisały aż do podbródka, nosił byle jak uszyte spodnie, a maniery miał bandyckie. Gdy wracał do domu, cuchnął wódką. Z jego pokoju, o każdej porze dnia, donosił się ryk puszczonego na cały regulator stereofonicznego magnetofonu Grundig. Niekiedy Borys podłączał do niego gitarę elektryczną, brzdąkał, wyśpiewywał piosenki Galicza, czasami wrzeszczał tekstami Wysockiego.

Igor Iwanowicz, zadowolony, że do rozmowy nie dojdzie, zaczął myśleć o czymś innym. Chciał wykonać jeszcze ze dwa telefony i pójść spać. Po prostu położyć się do łóżka i gapić się w sufit.

Ale pojawił się Bob. Bez słowa powitania otworzył na oścież drzwi do dużego pokoju, spojrzał przelotnie na ojca, rzucił na podłogę obok wieszaka w przedpokoju granatową torbę na długim pasku z napisem „SABENA” i zawrócił do siebie.

— Dawno się nie widzieliśmy — mruknął ojciec.

Syn nie zareagował, nawet nie zatrzymał się, po prostu zniknął. Nikt na świecie, nawet partyjni szefowie, nie traktowali Makarcewa równie wyniośle. Ale on pohamował się, nie krzyknął, wstał, uchylił drzwi od pokoju syna. Ogluszył go dziki ryk: Borys nastawił już płytę.

— Dawno, synu, nie rozmawialiśmy — Igor Iwanowicz próbował przekrzyczeć Beatlesów, których na własne nieszczęście, przywiózł chłopakowi z Londynu.

— O czym mamy rozmawiać?

— No, o wielu sprawach. Chciałbym się dowiedzieć, jak się miewasz, co u ciebie słyhać...

— Ano miewam się od czasu do czasu.

— Szalenie dowcipne!

— Tak mnie wychowałeś! Czego się czepiasz? Nie masz nic innego do roboty? Wracaj skąd przyjechałeś i tam sobie komenderuj!

— Źle mnie, synu, zrozumiałeś. Nie zamierzam ci rozkazywać. Bądź co bądź jesteście rodziną...

— Ty, ojczy, masz swój pokój, a ja swój. Zamknij drzwi z tamtej strony!

— No nie, tego już za wiele. Ten płaci, synu, kto zamawia muzykę. Nie zapominaj się! Jeśli życie rodzinne uważasz za przeżytek, pamiętaj, że jesteś na moim utrzymaniu.

— Och! Znowu to samo.

— Wyłącz, do cholery, ten magnetofon! Jeśli nie mam racji, przekonaj mnie.

— Przecież ci mówiłem, tato. I tak nic nie zrozumiesz. Masz betonowy mózdzek.

— Ja?! Ty gnojku! Nie masz pojęcia, jak trudno jest żyć! Dorośnij wreszcie do przysmaków, które z matką wtykamy ci do gęby. Innym coś takiego nawet się nie śni.

— Nikt was o przysmaki nie prosił!

— Nie prosił?

— No widzisz, mówiłem: nic do ciebie nie dociera!

Borys podszedł do okna i zaczął wpatrywać się w ciemne niebo. Igor Iwanowicz obejrzał się za siebie: Zinaida, oparta o framugę na drugim końcu korytarza, uważnie przysłuchiwała się rozmowie. Twarz miała wykrzywioną od hałaśliwej muzyki.

— Spróbujmy nawiązać kontakty dyplomatyczne — rzekł wreszcie ojciec. — Jak nie masz mi nic do powiedzenia, wysłuchaj, co ja ci powiem. I ścisż to pudło!

Syn spojrział na ojca, wzruszył ramionami, podszedł do magnetofonu, gwałtownym ruchem przesunął regulator. Igor Iwanowicz drgnął: nieznośny hałas rozrywał bębenki.

— Chyba masz zły humor — Makarcew wycofał się na korytarz. — No dobrze, pogadamy kiedy indziej.

Jego słowa utonęły w potwornym wrzasku. Zinaida zniknęła: nie chciała, by mąż widział, że była świadkiem jego klęski. Makarcew poszedł do sypialni, włożył pod język tabletkę walidolu i w ubraniu, jak stał, położył się na śnieżnobiałą pościel.

— Mogłem się tego spodziewać — uspokajał sam siebie. — Małpi wiek. Ja też chyba taki byłem. Ale jego pokolenie jest znacznie

bardziej skomplikowane. Chyba i z naszej winy... Zbyt łatwo utraciliśmy autorytety. niesprawiedliwość rodzi niesprawiedliwość. Co prawda, autorytety też zawiniły, lecz bądźmy samokrytyczni, my też nie jesteśmy bez winy! Człowiek jest jak góra lodowa, widać tylko niewielką jego część. Gdy nadejdzie komunizm, ludzie staną się otwarci, pozbędą się wad. Tak czy owak, Borys to uczciwy chłopak, jestem tego pewien... Jeszcze z nim porozmawiam...

Uspokoiwszy sam siebie Makarcew wypluł lek do popielniczki. Nie, to absurd! Przecież nie awantura z synem wywołała zawał. Takie sceny zdarzały się nie raz i nie dwa. Zresztą, powtórzą się jeszcze i będą trwałe dopóty, dopóki, jak twierdzi Zinaida, mały nie ożeni się. Wtedy znów będziemy mu potrzebni — żeby coś dawać, zdobywać, niańczyć wnuki. Igor Iwanowicz niepostrzeżenie zasnął. Obudził się koło pierwszej, zdjął ubranie, wślizgnął się pod kołdrę. Zinaida słyszała, jak się rozbierał, lecz udała, że śpi.

6. Szara teczka

Wtorkowy ranek był wietrzny, zmieniła się pogoda i Makarcew czuł się nie najlepiej. W Wydziale Propagandy KC musiał wysłuchać wielu słów krytyki: spodziewał się tego, lecz nie myślał, że wszystko pójdzie w takim kierunku. O jego cennej inicjatywie nikt nawet nie wspomniał. Dostało mu się za spadek aktywności gazety i poruszanie spraw drugorzędnych, przesłaniających główne odcinki walki ideologicznej. Popołniono błędy, które Biuro Polityczne nazwało „brzydkim zapachem czechosłowackiej recydywy”. Najgorsze zaś jest to, że „Prawda Robotnicza” zbyt słabo naświetla problemy socjalistycznego współzawodnictwa. Szereg gałęzi przemysłu nie wykonuje planu pięcioletniego — po części z winy gazet. Trzeba pilnie przewertować harmonogram pracy redakcyjnej, wyciągnąć wnioski i znów przyjść z nimi do KC.

Było jasne, że Politbiuro szuka kozłów ofiarnych. Wydziały KC robią to, co najłatwiejsze, zwalają winę za własne błędy w działalności propagandowej na prasę. Pracę swej gazety naczelny ocenił samokrytycznie, po partyjnemu. Nie popełnił błędów osobiście, więc niezbyt się nimi przejął.

Do redakcji Makarcew przyjechał w trakcie kolegium. Prowadził je pierwszy zastępca Jagubow, w redakcji człowiek nowy, zatrudniony od czterech miesięcy. Makarcew pomagał mu zapoznać

się z obowiązkami, jednak wyraźnie czuł opór materii. Życzliwie, lecz nieufnie przypatrywał się swemu zastępcy i uświadamiał sobie, że nie potrafi nawiązać z nim kontaktu. Ton narady toczącej się za uchylonymi drzwiami gabinetu Jagubowa był spokojny i rzeczowy. Igor Iwanowicz zdjął w swym gabinecie palto i ominąwszy Anię, która gotowa była biec do niego z teczką, wkroczył do gabinetu Jagubowa. Na ścianie wisiały narysowane kolorowymi flamastrami makiety wszystkich czterech kolumn. Flamastry te Makarcew przywiózł z Japonii.

Gdy naczelny pojawił się w drzwiach, Jagubow przerwał w pół słowa i rzekł radośnie:

— A oto i nasz naczelny, towarzysze. Sam towarzysz poprowadzi naradę? Co prawda, już kończymy...

Makarcew machnął ręką.

— Powtórzyć główne tezy?

— Ależ nie, proszę kontynuować. Później się zapoznam.

Rozglądał się za krzesłem, żeby usiąść. Lecz gabinet Jagubowa był półtora razy mniejszy od jego gabinetu i wolnych miejsc już nie było. Sekretarz redakcji Kaszyn ustąpił miejsce naczelnemu, a sobie przyniósł krzesło z sali przyjęć.

Gdy omówiono sprawy bieżące, Jagubow spytał wzrokiem Makarcewa, czy nie chciałby czegoś dodać. Igor Iwanowicz poprosił, by po zebraniu zostali w gabinecie członkowie kolegium redakcyjnego i kierownicy działów.

— Reszta może odejść — dodał Jagubow.

— Chciałbym raz jeszcze porozmawiać o planach działów — rzekł naczelny, gdy pozostali sami.

— Już oddaliśmy! — obruszyła się pyskata Kaczkariowa, chłop w spódnicy, kierowniczką działu literatury i sztuki, ciągle awanturowująca się o byle głupstwo.

— To prawda, oddaliście. W zasadzie plany nie są złe. Ale kierownictwo gazety — Makarcew spojrzał na Jagubowa, a ten, chociaż jeszcze nie wiedział, o co chodzi, skinął potakująco głową — to znaczy KC, domaga się, by rozwinąć pewne tematy. Na przykład dział przemysłu zbyt mało poświęca uwagi realizacji planu pięcioletniego...

— Przecież drukujemy na ten temat mnóstwo artykułów — zdziwił się Aleksiejew, kierownik działu przemysłowego.

— Sporo, ale nie tyle, co trzeba — nieco surowiej odparł Makarcew.

— No jasne! — Niechlujny, lecz gorliwy jak belfer Aleksiejew wpadł w przygnębienie: zamiast czytać artykuły musi jeszcze co

najmniej trzy godziny pocić się nad przerabianiem nikomu niepotrzebnego planu...

Naczelnny też dobrze wiedział, że plany od tego lepsze nie będą, ale musiał przekazać pracownikom dyrektywę władz partyjnych.

— A teraz o ideologii — na chwilę przerwał i zawiesił wzrok na tych spośród obecnych, których to dotyczyło w pierwszej kolejności. — Trzeba się wspólnie zastanowić, jak i na jakim materiale wprowadzić temat nasilania się walki ideologicznej w warunkach pokoju. Mówię zwłaszcza do kierowników działów wychowania komunistycznego i literatury — wszystko jest w waszych rękach, towarzysze. Ania Łokotkowa rozda wam poprzednie plany. Jutro, przed kolegium, chciałbym otrzymać ich nowe wersje.

— To wszystko, Igorze Iwanowiczu? — upewnił się grzecznie Jagubow.

Makarcew skinął głową i wstał. Ku drzwiom popłynął strumyk wychodzących. Zastępca naczelnego zrozumiał, choć szef nie powiedział tego głośno, że zastrzeżenia do planów mają władze zwierzchnie. Może Igor Iwanowicz zatrzyma się na chwilę i w cztery oczy coś jeszcze doda, myślał, lecz nie zadawał pytań. A naczelnny nie powiedział nic więcej, zabrał makiety i zniknął w swym gabinecie.

Gdy zamknął za sobą drugie drzwi (przedpokój wykluczał podsłuchiwanie), na biurku zadzwonił telefon. Ania połączyła Makarcewa z sekretarzem komitetu rejonowego partii Kawalerowem. Kiedy zamieszczą jego artykuł, Igor Iwanowicz przecież obiecał? Był to ot, taki sobie tekst, napisali go pracownicy rejkomu: o tym jak ludzie pracy studiują marksizm-leninizm. Makarcew nie czytał, ale wiedział, że wszystko w nim jest słuszne. Musiał odwdzińczyć się Kawalerowowi za usługi, jakie ten okazał „Prawdzie Robotniczej”. Kto wie, może władze chcą pchnąć Kawalerowa na szczebel wyżej, więc zależy mu, by go zauważono. Rozmawiając przez telefon Makarcew wertował makiety, lecz artykułu nie znalazł. Wezwał telefonicznie zastępcę sekretarza odpowiedzialnego i polecił mu włączyć Kawalerowa do numeru zamiast... Tu zajrzał do makiety i wskazał równie mało ważny artykuł innego autora.

— W porządku — rzekł chwilę później do Kawalerowa — jutro się ukaże!

Raz jeszcze rzucił okiem na makiety, nacisnął guzik i gdy zjawiła się Anna Siemionowna, polecił, żeby je zaniósła do sekretariatu.

— Niech tu przyjdzie Kakabadze — krzyknął w ślad za sekretarką — z aparatem fotograficznym.

Po kolegium rozpoczęto prace nad kolejnym numerem gazety, tym, który ukaże się pojutrze. I chociaż sekretariat redakcji wraz z częścią zespołu jeszcze przygotowywał numer jutrzejszy, w redakcji robiło się coraz ciszej. Igor Iwanowicz wyjął z biurka dwie ankiety — starą i formularz nowej — i zaczął wypełniać. Przepisał ze starej, żeby nie było różnic.

— Można? — Sasza Kakabadze, młody fotoreporter uchylił drzwi do gabinetu. — Kogo będziemy fotografować, Igorze Iwanowiczu?

— Mnie, Sasza. Potrzebne mi zdjęcie do paszportu. Wybacz, że cię wyzyskuję...

— Ależ szefie! Zbieram przecież fotografie całego kierownictwa. Naprawdę, bez lipy. Cała kolekcja, tylko pańskiego zdjęcia mi brakowało.

Sasza postawił na podłodze torbę, wyjął z niej aparat z ogromnym obiektywem i zaczął krążyć po gabinecie lekko, zgrabnie, jak dziki kot.

— Proszę podejść do okna, Igorze Iwanowiczu, ale nie tak blisko... Trochę dalej... Proszę stanąć bokiem, będą łagodne cienie. Trzeba poprawić krawat — węzeł się rozluźnił. Niech pan na mnie patrzy, teraz trochę wyżej...

— Tak jest!

— Przyjemnie rozkazywać naczalstwu, niech to diabli!

Sasza kilka razy pstryknął, wrzucił obiektyw do torby, wyjął inny. — A teraz, na wszelki wypadek, zmienimy ustawienie. Proszę się odwrócić, tak właśnie! O, key!

— Dzięki, Sasza. Spieszysz się?

Naczelný objął chłopaka za ramiona i zaprowadził do specbafetu. Prawo zaopatrywania się w nim mieli tylko członkowie kolegium redakcyjnego. Sprzedawano tam deficytowe smakołyki, amerykańskie papierosy i gumę do żucia.

— Dziękuję, nie palę — krygował się Sasza.

— Bierz, bierz! Będziesz częstował dziewczyny...

Sasza kupił „Camele”. Makarcew dla siebie „Marlboro”. Kakabadze potrząsnął ciemnymi kędziorami, zabrał swoją ciężką torbę i poszedł.

Druga połowa dnia upłynęła na zwykłej, papierkowej robocie. Makarcew podpisywał listy honorariów za pierwszą połowę stycznia, listę płac dla stałych pracowników, rachunki retuszerów i grafików. Gdy kładł podpisy, niczego nie sprawdzał. Odpowiadała za to księgowość, podpis naczelnego był formalnością. Potem protokoły strat z racji wybrakowanego papieru. Przyjął szefów zecerni, rotacji

i chemiografii: przyszli ze skargą na redakcję, że opóźnia spływ materiałów do składu i przygotowalni, sam też miał im coś do powiedzenia — zbyt często wasi ludzie piją w godzinach pracy. Potem długo strofował niemłodą kierowniczkę korekty i dwie jej młode podwładne za błędy, które puściły, a wychwycono je w ostatniej chwili, przed podpisaniem numeru do druku (korektorki otrzymują 65 rubli miesięcznie — skarżyła się kierowniczka — praca nerwowa i brudna, gdzie tu znaleźć wykwalifikowanych pracowników?!).

Makarcew przejrzał listy czytelników, odłożone specjalnie dla niego, potem skierował je do odpowiednich działów z takimi oto komentarzami: „Wyjaśnijcie to. I. M.”, „Trzeba pomóc. Zwróćcie się do WCSPS! I. M.”, „Sprawdźcie, czy nie naruszono tu norm socjalistycznej praworządności?! I.M.” „Na kolumnę! I. M.”

Szanował czytelników, więc domagał się, by szanował ich także zespół gazety: przecież żyjemy i pracujemy dla nich! Ze szczególną uwagą czytał skargi i donosy.

Osobiście sygnował swym podpisem najważniejszą korespondencję. Złatwiwszy to przyjmował pracowników różnych szczebli, bez względu na wagę spraw, z jakimi się do niego zwracali. Wysłuchał żony Chabibulina, która przyszła ze skargą na męża („Przestał przynosić do domu pieniądze, napisałam do egzekutywy, i nic, nie ma odpowiedzi. A dlaczego mieszkania wciąż nam nie dają, same tylko obiecanki? Rosjanin dostałby od razu, Tatar nie doczeka się nigdy”).

Czy denerwował się wówczas? Skąd, był to jego zwykły dzień roboczy.

Jadał zazwyczaj w domu, potem wracał do redakcji, czytał przygotowywany do druku numer. Tego pechowego wtorku również wyszedł do sekretariatu rozprostowując przygarbione ze zmęczenia plecy.

— Proszę jeszcze napić się herbaty, Igorze Iwanowiczu — Ania strzepnęła z biurka papieraek od cukierka.

— Losza, jedziemy!

Drzemiący na fotelu kierowca zerwał się, okrążył szefa i ruszył naprzód, jak zwykle, pierwszy, bawiąc się kluczykami na breloczku. Nie pytał, dokąd jechać, zawiózł szefa do domu. Mieszkanie było nowe, za stadionem „Dynamo”, naczelny przeniósł się tam przed dwoma laty. Makarcewowie mieli pięć pokoi i dwie loggie; dzięki nim mogli wygodnie obserwować mecze piłki nożnej lub hokeja na trawie, jeśliby pozwalał na to czas.

„Wołga” stała na czerwonych światłach, w pobliżu centralne-

go telegrafu, gdy Makarcew nagle się rozmyślił. Póki jechał, zastanawiał się, jak będzie przebiegała rozmowa z żoną. Znów o synu — bo kiedy uda się im porozmawiać? Od pięciu lat nie byli w teatrze, jeśli pominąć „Jezioro łabędzie” w Wielkim: balet ten należał do rytuału podczas wizyt wysoko postawionych zagranicznych gości, w teatrze zjawiano się wówczas z żonami. Zwykle nosa z domu nie wysuwam. Dawniej można było pojechać choćby po odbiór przydziałów żywnościowych, teraz przywożą je do domu. Teściowa nie chce nas odwiedzić za żadne skarby — zraziła się do mnie?

— Co to za sztyl na tym budynku, Losza? Nie widzę bez okularów.

— Restauracja, nazywa się „Moskiewska”, jest tu od dawna...

— Doskonale! Zawieź mnie tam!

Zapaliło się zielone światło i Losza ruszył gwałtownie nie szczędząc silnika. Milicjant na rogu przystawił gwizdek do ust, ale gdy zobaczył numer wozu, odwrócił się.

Restauracje Makarcew odwiedzał w Rzymie, Tokio, Paryżu, Marsylii, Londynie, Santiago, Hawanie, Nowym Jorku, Rejkiawiku, nie wspominając już o krajach socjalistycznych. Moskiewskie zakłady żywienia zbiorowego znał tylko ze swej gazety: polepsza się ich praca, rośnie asortyment dań, z każdym rokiem zwiększa się ilość miejsc przy stolikach.

Na wpół ciemna, niemal pusta sala cuchnęła stęchłą kapustą. Zaledwie kilku gości siedziało w kątach. Kelnerki nie było, z kuchni dolatywały odgłosy kłótni. Potem przyszła gruba, niechlujna baba. Nie patrzyła na Igora Iwanowicza, jej wzrok błąkał się gdzieś obok, za oknem. Może istotnie go nie zauważyła, a może tylko udawała. Był rad, że nikt do niego nie podchodzi, odpoczywał. Oparł głowę na rękę, zamknął oczy, zapomniał, że znajduje się wśród ludzi: nikt od niego nic nie chciał, nie znał go. Rzadki to luksus, gdy nikt nie zwraca na niego uwagi. Zawsze jest pod pręgierzem myśli, natrętnej, męczącej — jak ocenią na górze lub na dole, to co mówi i robi, co o tym pomyśli sekretarka, żona. Kelnerka w końcu podeszła, bez słowa wyjęła notes.

— Chciałbym zjeść kolację — powiedział ciepło.

— Co konkretnie?

— A co jest?

— Tu jest karta...

Wzięła z innego stolika menu, położyła daleko od Makarcewa i odwróciła się, by odejść. Ale on zostawił okulary w redakcji.

— Proszę poczekać — poprosił — już wybrałem...

- Co? — spytała ze znacznej odległości.
- Jajecznice — odpowiedział szybko. — I kawę...
- Coś mocnego do picia?
- Zawahał się, czy nie zamówić kieliszka koniaku, ale pomyślał, że potem zbyt szybko padnie ze zmęczenia.
- Raczej nie... Jeśli można, butelkę mineralnej.
- Nie ma.

Nic nie zapisała, wzruszyła ramionami, wsunęła notes do kieszeni fartucha i poszła. Makarcewowi nie było już tak dobrze w samotności. Chciało mu się jeść i już żałował, że nie pojechał do domu. Jajecznice smażono długo. Sam zrobiłby to szybciej. Zaczęło go to denerwować: pewno już są gotowe szczotki, a jak nie zdąży przeczytać, nie poprawi błędów. A nie może opóźnić wydania, które sam osobiście pilnuje.

Kelnerka cisnęła mu wreszcie pod nos aluminiową patelnię z jajecznicą. Bryznęły krople i ochlapały garnitur. Poszukał wzrokiem papierowych serwetek i starł tłuszcz dłonią, a ręce chusteczką. Jajecznica była zimna i niesłona.

Podziobał widelcem i z zażenowaniem odsunął patelnię. Ułamał trochę czerstwego chleba, posmarował go wyschniętą musztardą, zaczął jeść. Głód stępiał, teraz należało doczekać się kawy. Tak, tak, są jeszcze w naszym kraju nedoróbki! Codzienne sprawy bytowe, z tym jest u nas marnie! Przypomniawszy sobie Fomiczewa. Gdy stracił prawo do zaopatrywania się w sklepie specjalnym, jego żona kupiła na mieście kielbasę. Struła się cała rodzina, wszyscy chorowali przez tydzień. Potem przywykli. Cóż, lepiej nie tracić zdobytych przywilejów, dzięki nim łatwiej znieść to, co przeszkadza.

- Napiłbym się kawy — poprosił kelnerkę żałośnie — spieszę się...
- Każdy się spieszy — odpowiedziała spoglądając w okno — nie ma jeszcze kawy.
- W takim razie proszę rachunek...

Skrzywiła jaskrawo umalowane wargi, wzruszyła ramionami i poszła do kuchni. Dlaczego chodzi w rannych pantoflach? Może ma chore nogi? Przecież nie jest stara.. Po chwili kelnerka wróciła trzymając w dwóch palcach filiżankę kawy i cukier w papierowej torebce, taki jak ten, który podają w pociągach.

- A łyżeczkę mogę dostać?
- Nie jestem ślepa. Zaraz przyniosę. — Powiedziała to bez złości, spokojnie, lecz łyżeczki nie przyniosła. Ale on lubił kawę bez cukru, więc szybko zaczął pić.

Kawa była zimna i równie niesmaczna jak jajecznica. Makarcew odsunął ją z obrzydzeniem, poszukał wzrokiem kelnerki, która znów gdzieś znikła. Wyjął z kieszeni rubla, zawahał się, dołożył jeszcze jednego i szybko wyszedł. Czy tak trudno zaparzyć kawę? Gdyby wiedzieli, kim jestem, nie obsługiwaliby mnie tak skandalicznie!

Pewnego dnia na kolegium rozmawiano o kawie. Kierownik działu felietonów opowiadał, jak postanowił kiedyś zrobić taką samą kawę, jaką podają w stołówkach. Zagrzał wodę w dużym rondlu, nie umyтым, z resztkami zupy, wlał tam fusy po kawie, dodał herbaty już raz parzonej. Ponieważ nie miał śmietanki, wypłukał puszkę po pomidorach i wlał te popłuczyny do rondla. Spróbował, a wtedy okazało się, że kawa i tak jest smaczniejsza niż ta z zakładów żywienia zbiorowego. Receptura państwowych stołówek pozostała niezgłębioną tajemnicą.

Nie musi to być typowe zjawisko. Ale trzeba poruszyć w gazecie problem kultury obsługi. Moskwa ma stać się wkrótce wzorowym miastem komunistycznym. Przygotują się do tego solidnie, wypowie się minister handlu, zabiorą głos eksperci. Gdy Igor Iwanowicz wracał do samochodu, jego myśli pochłaniały czekające nań szpalty. Taki już jest — potrafi zapominać o sprawach drugorzędnych, lecz zawsze pamięta o tym, co najważniejsze.

— Teraz, Losza, szybko do redakcji!

Prószył drobny, mokry śnieg. Samochody ryły na jezdni czarne koleiny. Wycieraczki poruszały się miarowo, tak jakby odliczały czas, lecz szyby wciąż zaklejał śnieg. Wchodząc do swego gabinetu Makarcew polecił sekretarce, by weszła razem z nim.

— Nikt do mnie nie dzwonił?

Łokotkowa szarpnięciem zasunęła zasłony, zapaliła mu lampę na biurku.

— Było dużo telefonów, ale nic ważnego, wszystko załatwiłam sama. Szpalty są na biurku. Zrobić herbatę?

— O tak! — ucieszył się Makarcew. — Jak najmocniejszej!

— Nie boi się pan pić takiego murzyna? A serce?

— Serce mam z żelaza — pochwalił się Makarcew i pogłaskał sekretarkę po ramieniu.

Strząsnął z kołnierza kropelki tających płatków śniegu i powiesił palto w szafie. Poczekał, aż Ania wyjdzie, rozpiął marynarkę, rozluźnił pasek, podciągnął spodnie, poprawił białą, wymiętą w ciągu dnia koszulę. Och, ten brzuszek — obejrzał się krytycznie w

lustrze... Dłoń odrzucała jeszcze włosy do tyłu, a nogi już niosły Makarcewa do biurka, i nic jeszcze nie widzące oczy szperały po blacie w poszukiwaniu płachty kolumn. Usiadł i suwał dłonią po biurku w poszukiwaniu okularów. Są. Ład sprzyja myśleniu — powtórzył swój ulubiony aforyzm. Niestety, pośpiech nie dawał zbyt wielu szans, by wcielić w życie tę maksymę.

Okulary na czymś leżały. Makarcew chciał to coś odsunąć i zabrać się do czytania. Była to teczka, gruba szara teczka, z czarnym grzbietem, mocno związana zieloną tasiemką. Zdziwiło go to: podpisał dziś wszystkie papierki dla księgowości... Jeszcze coś? Ci gąmonie nigdy nie robią wszystkiego od razu! Odsunął teczkę na bok (o cholera, jaka wypchana!), włożył okulary i sięgnął po pierwszą szpaltę. Przebiegł wzrokiem nagłówek: „Komunizm — świetlaną przyszłością całej ludzkości!”, chwilę się zastanowił i wykreślił słowo „całej”. Przeczytał tytuły artykułów, nawet króciutkich, upewnił się, że tekst Kawalerowa jest w numerze. Wszystko było w porządku. Połączył się przez interkom ze swym zastępcą, potem z sekretarzem redakcji, jego zastępcą, z dyżurnym dziennikarzem prowadzącym numer i podpisującym go do druku. Do gabinetu wdarł się szum linotypów i zecerni, oddzielonej od stołów metrapaży szklaną przegrodą. Mówił do wszystkich czworga naraz:

— No i jak? Meldujcie!

Z dobiegających niezbyt wyraźnie słów wywnioskował, że łąmią numer zgodnie z planem, bez opóźnień.

— Ale będą opóźnienia — niespodziewanie zmartwił naczelnego Poliszczuk — zafundował to nam TASS. Wczoraj złożyliśmy przemówienie sekretarza generalnego, a dziś, kiedy już je wygłosił, konieczne są poprawki...

— Dużo?

— Takie tam pchełki. Ale sporo, blisko pięćdziesiąt. I napływają wciąż nowe... Niektóre miejsca już poprawione, przywrócono dawną wersję... Pierwszą i drugą. Pierwszą i drugą szpaltę zatrzymamy na co najmniej godzinę...

— Jasne — Makarcew z trudem powstrzymał westchnienie. — Aha, w sprawie pierwszej szpalty... Kto dał tę czapkę?

— Ja — wydusił Poliszczuk.

— Nieźle! Ale wyrzucić słowo „całego”! Po co drażnić byki czerwona płachtą! Nie czas dziś na to. Resztę uwag wypisałem na szpaltach. To wszystko.

Zadzwoił telefon — Anna Siemionowna połączyła z naczelnym żonę.

— Czemu nie przyjechałeś na kolację?
— Za dużo roboty... Coś tam zjadłem na mieście.
— Późno wrócisz?
— Chyba nie. A co u ciebie?
— Jak zwykle, oglądam telewizję...
— Borys w domu?
— Niedawno przyszedł. Porozmawiaj z nim w końcu, dobrze?
— Naturalnie, że porozmawiam...Tylko nie dręcz mnie, Zino...
— Nie chcę dręczyć, ale czas ucieka. Dzisiaj wrócił pijany, położył się i śpi..

— Dobrze, ale nie teraz. Nie mam czasu...

Zmarnowała chłopaka pozwalając mu na wszystko, a ja mam to naprawić. Makarcew zapalił papierosa, zebrał szpalty i wezwał Łokotkową. Wyniosła je do sekretariatu. Na biurku zrobiło się luźno; przywrócony ład sprzyjał myśleniu. W zasięgu wzroku znów znalazła się szara gruba teczka. Odwrócił ją oburącz i dostrzegł czarny nadruk: Sprawa nr...

Znów zadzwieczał telefon. Igor Iwanowicz podniósł słuchawkę.

— Co za licho? — burknął z rozdrażnieniami i przysunął bliżej teczkę.

— Jakie licho? Tu Wołobujew. Dobry wieczór, Igorze Iwanowiczu. Przepraszam, że niepokoję...

— Słucham — odpowiedział cenzorowi.

— Muszę się poskarżyć na dział sportowy. Sto razy im powtarzałem: w artykułach o regionie moskiewskim nie wolno wymieniać, poza Woskriesieńskim, sportowych klubów „Chemik”. To są organizacje zbrojeniówki. Wciąż mnie za to gania!

— Zajmę się tym. To wszystko?

— Nie, nie wszystko... są nowe ograniczenia wobec niektórych materiałów...

— Dobrze. Jak będę miał czas, zapoznacie mnie z nimi...

Wezwał przez interkom dyżurnego redaktora działu sportowego i zmył mu głowę.

Gdy ten odszedł, rozwiązał tasiemki szarej teczki. Otworzył ją, ujrzał maszynopis. *Rosja w 1839 roku* — przeczytał, przysunął kartkę do oczu i zobaczył słowo *samizdat*. Dalej szedł tekst.

— Jakież bzdury! — powiedział głośno.

Zwyczajem tych, którzy dużo czytają, zajrzał na koniec opasłego maszynopisu: ponad pięćset stron! Makarcew włożył pod język tabletkę walidolu. Nagłe wejście Anny Siemionowny sprawiło, że

nie tyle drgnął, co się nastroszył. Czekala, az naczelny oderwie wzrok od kartek i na nia spojrzy, ale on potraktowal jej przyjscie wrogo, niczym zamach na tajnosć jego pracy.

— Jestem zajety!

Wydaló mu się, że sekretarka zerka na teczkę.

— Bardzo przepraszam, Igorze Iwanowiczu. Maszynistka Nifontowa źle się poczuła, jest w ciąży, a wszystkie samochody wyjechały na miasto. Czy mogę wysłać ją do domu pańskim wozem?

To zależy z kim jest w ciąży... — powiedziała by żartobliwie, gdyby miał lepszy humor. Teraz jednak tylko skinął głową i dodał:

— Niech Losza wraca jak najprędzej. — Zawahał się, po czym spytał sekretarkę. — Nikt nie wchodził do gabinetu, gdy mnie nie było?

Patrzył uważnie na Annę Siemionownę.

— Nikt, Igorze Iwanowiczu! — przestraszyła się kobieta. — Szpalty ja sama przyniosłam... Ale co się stało? Nie może pan czegoś znaleźć? Może poszukam? Szybko odnajdę...

Zazwyczaj powściągliwy, Makarcew nagle wpadł we wściekłość:

— Ile razy prosiłem, Anno Siemionowno, żeby na moim biurku był porządek... Ile razy?!

— Sam pan nie pozwala niczego ruszać. Kiedy rano sprząta Masza, nawet nie dotyka biurka. A ja wycieram tylko ślady po szklance z herbatą, wytrząsam popiół... Zginęło coś?

— Nic! Ale w takim burdelu może zginąć. Przychodzi Bóg wie kto, zostawia jakieś maszynopisy, zamiast iść do działów. Jeśli ja zacznę rozmieniać się na drobne, to...

— Rozumiem, proszę wybaczyć...

Wypuścił parę i się uspokoił.

— Wie pan — przypomniała sobie sekretarka i zmieszala się. — Kiedy pana nie było, pobiegłam do bufetu, rzucili suchą kielbasę. Tylko na pięć minut... Ale przez cały czas zastępował mnie Losza... Zaraz wyjaśnię...

Wybiegła nie zamykając za sobą drzwi.

— Losza — dobiegło do Makarcewa zza drzwi. — Gdy wyszłam, nikt nie wchodził do gabinetu?

— Nie, nikt.

— To idź i powiedz szefowi. A potem zawieź do domu Nifontową. I natychmiast wracaj, jasne?

Losza nigdy nie wchodził do gabinetu redaktora naczelnego. Zakaszlał i zastukał we framugę drzwi.

— Wzywał mnie pan, szefie?

— Słyszałem już, słyszałem!

Ania wróciła do gabinetu, by ostatecznie wygasic konflikt. Cała czerwona, dyszała ze wzburzenia. Stała obok Makarcewa — niewysoka, zgrabna, nieco zbyt pulchna — ale dodawało to jej uroku.

7. Anna Łokotkowa

Z ankiety dla działu kadr

Stanowisko: sekretarz techniczny gazety „Prawda Robotnicza”.

Data i miejsce urodzenia: 16 grudnia 1926, Moskwa.

Narodowość: rosyjska.

Bezpartyjna. Nie była członkiem KPZR, partyjnych nagan nie miała.

Wykształcenie wyższe niepełne (siedem klas szkoły podstawowej, kurs maszynopisania, matura w szkole wieczorowej, dwa lata nauki w wyższej szkole ekonomiczno-statystycznej, jeden rok nauki na bibliotekoznawstwie, półtora roku studiów na wydziale filologicznym Uniwersytetu Moskiewskiego). W 1965 roku ukończyła wieczorowe studia na uniwersytecie marksizmu-leninizmu przy Moskiewskim Komitecie Miejskim KPZR.

Sytuacja rodzinna: niezamężna, bezdzietna.

Ukończyła kursy pielęgniarские. Uczestniczy w codziennych zajęciach OPL.

Działalność społeczna: członek rady zakładowej (jest sekretarzem organizacji, prowadzi kasę zapomogowo-pożyczkową).

Dowód osobisty: IV SN, Nr 422341, wydany przez 96 komisariat m. Moskwy 12 października 1965 roku. Stały meldunek: Tiopłyj stan, osiedle 8a, korpus 13, m. 16. Telefonu nie posiada.

RADOŚCI I SMUTKI ANNY SIEMIONOWNY

Wszyscy w redakcji, nawet studentki wydziału dziennikarstwa, które odbywały tu praktykę, nazywali Annę Siemionownę Aneczka. Wyjątkiem był Makarcew, a teraz jego nowy zastępca Jagubow; obaj nie pozwalali sobie na poufałości. Imię Aneczka bardzo do niej pasowało: była kobietą w wieku nieokreślonym (nikt nie uwierzyłby, że już skończyła 43 lata!), zadbaną, ubraną skromnie, lecz gustownie. Kosmetyków używała mało. Była nie tyle pulchna, co krzepka, spręży-

sta, jak apetyczny pączek: każdy chciałby spróbować. Tym, którzy jej nie znali, mogło się zdawać, że dobrać się do tego pączka można łatwo. Ale nic podobnego! Aneczka umiała dbać o swą kobiecą godność, robiła to nawet z przesadą, zbyt gwałtownie, więc i samą siebie nieraz w życiu krzywdziła, lecz inaczej postępować nie umiała.

Wszystkim się wydawało, że sekretarka nigdy się niczym nie przejmie (Aneczka? Ta nie ma żadnych kłopotów, żadnych zmartwień!), nikt więc nie wiedział, że spotkało ją w życiu mnóstwo babiskich nieszczęść.

Obowiązki wykonywała wzorowo, inaczej nie pracowałaby w redakcji. Makarcew cenił ją, a ona ceniła swoje stanowisko, szczerze (i słusznie!) przekonana, że pod niejednym względem może zrobić więcej niż sam naczelny. Pozwalała sobie na ciekawość dokładnie w takim stopniu, w jakim było to szefowi potrzebne, przełykała jego rozdrażnienie, o poleceniach nigdy nie zapominała. Zresztą Makarcew mylił się: chociaż Anna Siemionowna nie zdradziła się nawet gestem, była znacznie bardziej niż można sądzić zainteresowana jego życiem osobistym.

Ojciec Aneczki, wykwalifikowany ślusarz, pracował w fabryce „Czerwony proletariusz”. Ponieważ upijał się do nieprzytomności, wykoleił się życiowo i wykonywał w swym zawodzie najprostsze prace. Któregoś dnia, spiesząc ze sklepu z butelką sikacza pod pachą, wpadł pod parowóz i zginął. Matka Aneczki była woźną w szkole, tam też rodzina mieszkała. Matczynych pieniędzy starczyło na pierwsze cztery dni miesiąca, więc po ukończeniu siedmiu klas dziewczyna musiała iść do pracy.

Od tej pory, bez względu na to, gdzie się Aneczka pojawiała, zawsze gubiła ją naiwność (a jej się wydawało, że kobieca duma). Nie wyleczyła się z niej nawet po czterdziestce. W każdym nowym miejscu pracy nawiązywała romans. Był dla niej męczący, uciążliwy, ale ona ludziła się, że to miłość do końca życia. Nigdy się nie zakochiwała, ulegała tylko uczuciom — tak w każdym razie zapewniała samą siebie. Kochała jednego tylko mężczyznę — przyszłego ojca swego dziecka, który pojawiał się w jej marzeniach pod różnymi postaciami. Dla maleństwa, które śniło się jej po nocach — uroczej kruszyny — dawała się podrywać, choć marzyła tylko o jednym: jak najszybciej zajść w ciążę. Wówczas Jego Wysokość Mężczyzna przestanie być potrzebny, rozstaną się spokojnie, a ona nawet mu nie powie, że oczekuje dziecka.

W swej naiwnej szczerości zbyt wcześnie zwierzała się kolej-

nym adoratorom, że uwielbia dzieci i nigdy nie przerwie ciąży — to przecież grzech zabijać małeństwo.

— A ty lubisz dzieci, Kostia (Siergiej, Adik, Pietia, Jegoruszka — to w szkole wieczorowej, potem na uczelniach: Kola, czyli Fiodor Kalimula, przewodniczący związku zawodowego, a następnie towarzysz Pri-bura i starszy inżynier Edward Konstantinowicz)? — pytała po kolei wszystkich mężczyzn, z którymi łączyło ją coś więcej niż przyjaźń.

I każdy, czuła to, mówił, że, naturalnie, kocha dzieci, lecz po co się z tym spieszyć. Po co teraz o tym myśleć, kochajmy się i tyle. Więc kochała i była kochana, lecz szybko między kochanków wkradł się chłód i romans dobiegał końca. Zazwyczaj atmosfera psuła się, gdy Aneczka zaczynała głośno rozważać, w jakiej pozie najłatwiej zająć w ciążę. I by uspokoić samą siebie myślała z nadzieją, że widocznie Kostia (Siergiej, Adik, Pietia itd.) ma zbyt małe doświadczenie, więc trzeba poszukać kogoś innego, a wtedy wszystko się uda, jeśli, rzecz jasna, będzie to autentyczne uczucie. Nie może to być romans z pierwszym lepszym (o tym nawet myśleć nie wolno!) — wybierze kogoś, kto będzie właściwym ojcem, mądrym i przystojnym. Wszyscy inni, uznani za niegodnych, mieli się wynosić gdzie pieprz rośnie.

Za każdym razem, gdy romans się kończył, Łokotkowa zmieniała pracę. Musiała zmienić! Bo wszyscy już o wszystkim wiedzieli, romans z innym byłby skazany na fiasko. I znów nic by z ciąży nie wyszło. Szła więc gdzie indziej do pracy, jak zwykle, na etat sekretarki — ładniutka, zgrabniutka, ze sterczącymi piersiami, nawet wtedy, gdy nie wkładała stanika. Sama szyła sobie sukienki, pruła i przerabiała dziesiątki razy, by pasowały idealnie. Pantofle kupowała używane, ale koniecznie z importu, płaciła za nie trzy czwarte poborów. Resztę przeznaczala na to, by dbać o linię.

Po krótkiej przerwie i wahaniu, kogo wybrać, pojawiała się nowa miłość. Choć rówieśników Aneczki zdziesiątkowała wojna, jej wielbicieli oszczędziła. I starsi, i młodszy mieli na nią chrapkę — była taka milutka! Nikt zresztą nie wiedział, ile naprawdę miała lat! Wyglądała tak słodko! Wielu patrząc na nią dawało jej nawet dziesięć lat mniej, niż miała w rzeczywistości. Aneczka lubiła opowiadać swym mężczyznom zagadki i zaskakiwać ich zwierzeniami. Bo niby dlaczego miałyby ukrywać: wcale nie chce wychodzić za mąż! Pragnie tylko dziecka, uroczego malca!

Ale zająć w ciążę nie udawało się. W rejonowej przychodni Aneczka wysiadywała w kolejkach, w milczeniu cierpiała, gdy lekarze próbowali udrożnić jej jajowody. Przez cztery lata pod rząd wy-

jeżdżała do sanatorium w Kisłowodzku na kąpiele błotne, dwa razy bezpłatnie, ze skierowaniem związkowym, a dwa razy z pięćdziesięcioprocentową zniżką. Lekarze wciąż powtarzali, że to jajowody. Pewien stary ginekolog, profesor z prywatną praktyką, do którego ją zapisano przez wielką protekcję, wziął dwadzieścia pięć rubli, obiecał, że może coś z tego wyjdzie, grunt nie tracić nadziei, starać się za wszelką cenę zająć w ciążę.

Starala się jak mogła, ale nadziei było coraz mniej. Gdy zaczęła pracować w „Prawdzie Robotniczej” (przygłucha sekretarka Makarcewa odeszła na emeryturę), od razu sobie powiedziała: „Igor Iwanowicz to najlepszy spośród wszystkich mężczyzn, jakich znam. Będzie w moim życiu ostatni!”

Zrobiła wszystko, by stać się dla niego osobą niezastąpioną. Nie mógł bez niej ruszyć się na krok. Była pewna, że gdyby choć raz zachorowała i nie przyszła do pracy, gazeta nie ukazałaby się. Dawała z siebie wszystko, nie oszczędzała się. Ledwo Makarcew unosił palec z zamiarem wezwania jej przez interkom, ona już otwierała drzwi i czekała w gotowości. Bezbłędnie odgadywała, kiedy jest głodny, kiedy chce pić, kiedy boli go głowa, i natychmiast niosła herbatę z kanapką, wodę mineralną, tabletkę z kogucikiem, a kupowała to wszystko ze swojej skromnej pensji. On się nad tym nie zastanawiał — nie miał czasu na myślenie o drobiazgach.

To, że był żonaty, nie przeszkadzało Aneczce. Na odwrót, cieszyła się, że również pod jej nieobecność ktoś dba o naczelnego; nie jest, chwala Bogu głodny i wkłada co dzień świeżą koszulę. Co prawda, ona lepiej uprasowałaby mu kołnierzyk, nie zapomnialaby o klapach marynarki, podszylaby nogawki spodni nową tasiemką (stara zniszczyła się, widać nitki z lewej strony).

— Zinaido Andrejewno — rzekła na wpół szeptem, zanim połączyła żonę z mężem. — Po obiedzie Igor Iwanowicz miał klucze w boku, na wszelki wypadek dałam mu raphacholin. Niech nie je na kolację nic tłustego!

Przekazywała żonie Makarcewa pałeczkę w opiekuńczej sztafecie, by nazajutrz rano znów ją przejąć w swoje mocne małe dłonie.

— Z którego jest pani roku, przepraszam za ciekawość? — zainteresował się Igor Iwanowicz, gdy złożyła podanie z prośbą o przydział mieszkania (już dawno należało to zrobić, inni nie mieli takich obiekcji!).

— Jestem niemal rówieśnicą pana żony — zaróżowiła się Aneczka. Ale nie mogła wytrzymać i dodała, by zwrócić uwagę

naczelnego na słowo „niemal”. — Ona urodziła się w marcu, a ja rok później, w grudniu...

Mimo to Aneczka była przekonana, że duszą i ciałem jest znacznie młodsza, charakter też ma lepszy: łagodniejszy, troskliwszy.

Gdy Makarcew zostawał do późna w redakcji, ona zostawała również i na pierwsze jego skinienie biegła do gabinetu, starannie zamykając za sobą obie pary drzwi. Do pracy przychodziła jak do teatru: z dużym dekoltem, a gdy zaczęła się nowa moda — w minispódniczce. Jeśli ją o coś pytał, podchodziła do jego biurka, niby to niechcący nachylała się nad nim, zdmuchiwała z blatu popiół po jego papierosach. Z drżeniem tak gwałtownym, aż struny głosowe ścisnął spazm, czuła, że Makarcew odwraca oczy, patrzy na jej szyję, a potem coraz niżej. Miała nadzieję, że jego ręka lekko dotknie jej talii, a wtedy ona wyszeptała cała drżąca:

— Oj, co też pan robi... Boję się... nie tutaj...

Ale zamiast tego słyszała:

— Proszę pędzić do zecerni, niech złożą jeszcze jedną szpalnę...

No i pędziła, nic nie rozumiejąc, przygnębiona brakiem nadziei.

Makarcew zachęcił ją, żeby poszła na kursy oświatowo-polityczne. Uczciwie siedziała wieczorami na wykładach, podczas gdy inni, podpisawszy się na liście, znikali, by przeczesywać sklepy. Chciała zbliżyć się do Igora Iwanowicza zdobywając wiedzę o sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej. Odbębniła dwa lata na uniwersytecie marksizmu-leninizmu, a on nawet jej za to nie pochwalił.

Coś podobnego zdarzyło się jej w życiu po raz pierwszy, była więc bardzo nieszczęśliwa. W głębi serca czuła nawet dumę, że tak cierpi. To przecież niezwykle człowiek, nie można go z nikim porównywać, na nikogo go nie zamieni. Nie jest już młoda, latka leca, czyżby niepotrzebnie leczyła się w sanatoriach? Nawet nie może sprawdzić, czy błotne kąpiele jej pomogły!

Na bezskutecznym oczekiwaniu upłynęło siedem lat. Lecz dwa lata temu do sekretariatu wkroczył energicznie niewysoki mężczyzna z kartonową teczką pod pachą i usiłował wedrzeć się do naczelnego. Aneczka zasłoniła drzwi gabinetu własną pierśią.

— Igor Iwanowicz jest zajęty. Pan w jakiej sprawie, młody człowieku?

— W sprawie lajdactwa. Proszę mnie przepuścić!

— Jak to przepuścić? Tutaj ja decyduję! Póki nie powie pan, o co chodzi, nie będę mogła go zawiadomić, a dopóki nie będę mogła, on pana nie przyjmie. Jaką pan reprezentuje organizację?

— Jestem literatem — wrzasnął młody człowiek — Zdaje sobie

pani sprawę, co to takiego? Proszę zawiadomić swojego szefa: zaraz mu wygarnę, co o nim myślę!

— Proszę powiedzieć o co chodzi, przekażę mu...

Zaśmiał się jej w twarz, opryskał śliną. Potem nagle ucichł. Chyba wywarła na nim wrażenie.

— No dobrze — rzekł ugodowo. — Tylko z szacunku dla pani...

— Ależ to nie ma nic wspólnego ze sprawą... — opuściła długie rzęsy.

— No nie wiem... A jeśli się ożenię?

— A cóż ja mam z tym wspólnego?

— Ożenię się z panią!

— Niech pan posłucha — rzekła Aneczka. — Tyle jest tutaj młodziutkich dziewcząt. Każda chętnie się z panem zaprzyjaźni...

— Nie podobają mi się młode — odpowiedział intruz. — Tylko biorą, nie chcą nic dawać w zamian.

— A co chciałby pan wziąć?

— Duszę.

— Jest pan diabłem?

— Nie, to pani szef jest diabłem!

— Niechże pan da spokój!

— Naprawdę diabeł! Zamówiono u mnie artykuł, najpierw chwailono, potem kazano trzy razy przerabiać. Wszystko, co chciałem powiedzieć, mi wykreślili, czego nie chciałem — dodali, a teraz zwozą, że jutro, jutro...

— Naczelnicy nic nie wie. Gdyby wiedział, wydałby polecenie.

— Co go pani tak broni?! — spojrzał tak, że Aneczka zarumieniła się. — Można by pomyśleć, że coś was łączy! Jest dla pani za stary!

— A kto nie jest za stary dla mnie?

— Ja, naturalnie!

Tego dnia nic przewodnia jej życia zerwała się. Nagle do niej dotarło, że cała ta historia z Igorem Iwanowiczem wygląda głupio. Nic między nimi nie zaszło! Istotnie, nie pasują do siebie. On nie należy do takich, co romansują na boku. To jasne jak słońce! Dlaczego wcześniej nie mogła tego zrozumieć? A gdy zrozumiała, myślała przez całą noc: co teraz robić? Odejść, tak jak robiła do tej pory? Nic przecież się nie stało... Zresztą, kto ją zatrudni, gdy odejdzie z tak poważnej instytucji? Chyba że na marnym stanowisku. Nie ukończyła nawet studiów. W dodatku nie byłoby to w porządku — niedawno dzięki „Prawdzie Robotniczej” dostała pokój z kuchnią w nowej dzielnicy, przeniosły się tam z matką z dziupli przy szkole. Daleko ten Ciepły Stan, zgoda, ale gdyby Igor Iwanowicz nie za-

dzwonił do Rady Miejskiej, nic by jej nie przydzielono. Jeszcze będzie żałował, że nie chciał się z nią kochać... Ale wtedy będzie za późno...

I Aneczka została.

Nazajutrz uparty młody człowiek (jak się potem okazało, młodszy od Aneczki o szesnaście lat) zadzwonił do niej i zaproponował randkę. Ponieważ miłość do Igora Iwanowicza skończyła się poprzedniego wieczora, Łokotkowa wyraziła zgodę. Poszli na szaszłyki. Szaszłyków nie było, więc zamówili lula-kebab i butelkę wina. Potem Sioma (fatalnym zbiegiem okoliczności nosił to samo imię co ojciec Aneczki) zaprosił ją do swych skromnych apartamentów na herbatę.

Wdrapali się po schodach na trzecie piętro starej kamienicy przy ulicy Kirowa. Weszli do kolchozowego mieszkania z długim korytarem zastawionym szafami. Gdy Sioma zamknął drzwi, nie zapalając światła, natychmiast przyciągnął Aneczkę do siebie i rozbieganymi rękami zaczął sprawdzać, jak jest zbudowana.

— Nic mi nie brakuje — odepchnęła nachalne łapy. — Tak nie wolno! Już sobie idę. Od razu nie można. Jeszcze pan pomyśli, że jestem łatwa.

— Lubisz dzieci, Sioma? — wyszeptwała, gdy było już po wszystkim, cała drżąca, nie wierząc, że doczeka się uczciwej odpowiedzi.

I co tu się dziwić — siedem lat nie miała mężczyzny, nocami śniły się jej orgie. Wyobrażała sobie, że otacza ją siedmiu kochanków, wszyscy ją pieścżą, a ona pozwala im na coś takiego, że wstyd o tym wspominać.

— Czemu milczysz? Pytam, czy lubisz dzieci?

— Lubię. Ale wolę psy.

— Poczekaj, podrzesz mi bluzkę, sama zdejmę.

Aneczka przeniosła się do Siomy i wkrótce było jasne, że leczenie bezpłodności i tym razem nie poskutkowało. Siemion kupił owczarka alzackiego i bardzo się do niego przywiązał. Szczeniak paskudził po całym mieszkaniu, darł kosztowne nylonowe pończochy. Aneczka wracała z pracy wcześniej i cały wieczór robiła w mieszkaniu porządki, bo Sioma nie miał czasu. Wciąż bawił się z owczarkiem, a w przerwach wystukiwał na rozklekotanej maszynie scenariusze filmowe, którymi nikt się nie interesował. Nosił piżamę z galonami i złotymi guzikami, kupioną w komisie (takie były wtedy modne na Zachodzie). Palił fajkę i dziesięć razy dziennie parzył kawę. Ponieważ chciał pić tylko świeżą, kupował ją codziennie w

pobliskim sklepie. Z Aneczką, jak jej wyjaśnił, związał się również dlatego, że idealnie pasowała do balzakowskich standardów.

Ona też była szczęśliwa. O Igora Iwanowicza troszczyła się tak samo jak przedtem, lecz nie wkładała już w tę troskę tyle serca co dawniej. Teraz przekonywała samą siebie, że zawsze chciała po prostu wyjść za mąż, a dziecko — to tylko tak, mrzonka. Ma przed sobą cel: w domu jest mężczyzna, o którego trzeba dbać, zwłaszcza, że ten mężczyzna ma psa. Tylko jedno było przykre: dlaczego Siemion nie chce zalegalizować ich związku? Czemu nawet nie wspomina o Urzędzie Stanu Cywilnego? Naturalnie, że odpowiedziałyby na to: nie trzeba, jaka różnica, i tak cię Kocham, ale właściwie dlaczego? Z drugiej strony była w tym jakaś pociecha. Gdyby się pobrali, musiałaby płacić podatek od bezdzietności (sześć procent uposażenia!), co przy jej zarobkach byłoby głupotą.

8. Czytanie nocą

Igor Iwanowicz bardzo się zmęczył, choć była to rzecz zwyczajna: od rana do wieczora spotykał się z ludźmi, podejmował kilka decyzji na raz, jeździł w kilka miejsc. Stał zakłopotany na środku gabinetu nie wiedząc co robić. Po krótkim wahaniu wyjął z kieszeni klucze i otworzył sejf z tajnymi dokumentami. Na wewnętrznej stronie drzwiczek sejfu była naklejona kartka, a na niej wydrukowana czerwoną czcionką instrukcja z nadrukiem „T” (odsyłacz: Tajne. Tajne służby). „Tryb korzystania z uchwał instancji partyjnych. Osoba, która otrzymała wyciąg z protokołu instancji partyjnej, nie ma prawa zapoznawać z nim innych osób, bezpośrednio nie związanych z wcielaniem w życie danej uchwały. Wyciąg z protokołu należy przechowywać w szafie panczernej (sejfie). Nie wolno go załączać do administracyjnych, związkowych i innych urzędowych dokumentów ani też kopiować” (Z Instrukcji KC KPZR na temat pracy z tajnymi dokumentami).

Szarą teczkę wsunął na górną półkę sejfu, możliwie jak najgłębiej. Leżały tam poufne biuletyny TASS, oznaczone symbolami A i AB, dostępne dla redaktorów gazet centralnych. Biały TASS dla członków kolegium redakcyjnego Makarcew tylko przerzucał, zaś materiały A i AB czytał uważnie. Nie czuł urazy, że nie przysługuje mu TASS. Cóż, takie są przepisy. Pomyślał tylko, że nagromadziło się już sporo przeczytanych biuletynów, trzeba je zwrócić. Zamknął szafę pancerną i zadzwonił do domu.

— Smażyć mięso? — spytała Zinaida.

— Smaż. Albo nie, niech je szlag! Zrób lepiej kawy.

— Nie zaśniesz...

— Zrób kawy, Zineczko. I kładź się spać. Muszę popracować w domu.

— Zanim wrócisz, ostygnie. Będziesz pił zimną kawę?

— Aha.

Rzucił słuchawkę i znów otworzył szafę pancerną. Skoro teczka trafiła do jego rąk, musi poznać jej zawartość. Może po przeczytaniu zrozumie, skąd się wzięła. Teczki Makarcew nigdy nie nosił, więc zapakował maszynopis w stary numer „Izwestij”. Włożył palto i wezwał kierowcę.

— Już pan nie wróci? — spytała Aneczka.

— Nie. W razie czego niech dzwonią do domu...

— A czapka, Igorze Iwanowiczu? Zapomniał pan o czapce... Pada śnieg, w dodatku mokry. — Zniknęła w gabinecie i wyniosła stamtąd futrzaną czapkę.

Na korytarzu zatrzymała Igora Iwanowicza dziewczyna z zecerni. Niosła świeże kolumny, myślała, że naczelny zechce na nie rzucić okiem, choćby w pośpiechu, na odchodnym. Ale on, wbrew swym zwyczajom, kazał je zanieść do Jagubowa.

W samochodzie położył teczkę na tylnym siedzeniu, lecz po chwili znów wziął ją do rąk. Nieraz słyszał o tym, jak jest rozpowszechniany samizdat i jakie to ryzykowne. Zawsze sobie z tego żartował. Kierowca zerkał na szefa, lecz nie odzywał się słowem.

Zinaida nie wyszła do niego, a więc śpi. W ostatnim czasie często kładła się wcześniej: mówiła, że jest zmęczona, chociaż niby co mogło ją męczyć? Borys też był w domu, tym razem muzyka nie grała zbyt głośno. Syn też nie wyszedł ze swego pokoju, a Makarcew do niego nie zajrzał: chłopak się uspokoił, i chwala Bogu.

W kuchni Igor Iwanowicz odsunął brudne talerze, wziął dzbanek, próbował nalać sobie kawy. Z dzióbka nakapało trochę fusów. Syn go wyprzedził w wyścigu do dzbanka. Makarcew zaklął, raczej pro forma, niż rozgniewany naprawdę, zabrał maszynopis i poszedł do siebie. Wyciągnął z szafki butelkę „Kubańskiej”, nalał sobie kieliszek. Obok leżała buteleczka z lekarstwem, nie do kupienia w aptekach. Aha, Zinaida specjalnie po nią jeździła do specprzychodni. Wlał do kieliszka z wódką dwadzieścia kropel, zmarszczył się, wypił jednym haustem, zapalił nocną lampę i położył się na tapczan.

Nie chciało mu się czytać. Przez wiele lat przebiegał wzrokiem

linijki różnych tekstów, bo musiał. Z góry wiedział, co znajdzie w artykułach „Prawdy Robotniczej” lub w materiałach dla KC, skupiał więc głównie uwagę na „odchyleniach”.

Stracił upodobanie do lektury, lecz kochał gazetę, której był naczelnym, bez względu na jej treść. Był przekonany, że nawet teksty publikowane z obowiązku są w niej ciekawsze niż w innych gazetach, bardziej przekonujące. Znanych pisarzy radzieckich, którzy ofiarowywali mu swe książki z dedykacjami zaprawionymi pochlebstwem, nieco lekceważył. Poszukiwane w księgarniach powieści zachodnie, które odkładano dla niego w składnicy, przywoził żonie. Mówiąc otwarcie, nie tyle czytał, co wykonywał partyjny obowiązek. Teksty, które zaliczył, mógłby mierzyć na metry szczęsienne. Niczym niewolnik w łańcuchach toczył je jak ciężkie kamienie. Za każdym razem dokonywał na sobie gwałtu, przebiegał linijki wzrokiem byle jak, byle szybciej, żeby zrzucić z siebie ciężar i jak najprędzej dotrzeć do końca. Upewniał się tylko, że wszystko jest w porządku i składał pod tekstem parafę.

Tym bardziej odpychało go od czytania maszynopisów takich jak ten. Zbijały go z tropu. Utracił już chyba umiejętność dyskusowania na tematy zasadnicze nawet sam ze sobą. Przez dziesiątki lat był pewien, że wszystko idzie jak z płatka i inaczej być nie może, wpadał w irytację, gdy czytał coś, co było nie takie, jak być powinno. Ogarniała go wściekłość, gdy słyszał, że wszystko w kraju jest złe. By się orzeźwić, nalał drugi kieliszek i wypił bez zakąski, skrzywił się tylko. Ułożył się wygodnie na brzuchu, przekręcił nocną lampę tak, by światło nie raziło go w oczy i zaczął czytać.

9. Markiz Astolf de Custine

Rosja w 1839 roku. Samizdat, 1969

(Fragmenty maszynopisu z szarej teczki)

Przedmowa wydawcy

Temu, kto pragnie zrozumieć naszą współczesność, radzimy, by zwrócił się ku przeszłości. Przeczytawszy książkę Markiza de Custine'a car Mikołaj cisnął ją na podłogę i krzyknął:

— To moja wina! Nie trzeba było rozmawiać z tym łajdakiem!

A przecież rozmawiał z de Custine'em po to, by zaprezentować mu i siebie, i Rosję w korzystnym świetle.

Notatki francuskiego podróżnika, który odwiedził Petersburg, Mo-

skwę, Jarosław, Niżni Nowogród i Władimir, wydawano wielokrotnie we wszystkich językach europejskich. W naszej ojczyźnie były zakazane od początku i przez następne 130 lat, nigdy nie wydano ich w całości, choć próby takie podejmowano.

W 1910 roku ukazało się krótkie streszczenie książki. Przygotował je W. Nieczajew i zatytułował „Rosja w czasach Mikołaja”. Akcenty krytyczne wobec carskiego dworu usunięto z tej edycji z wielką starannością, zastąpiono je natomiast pochlebstwami. Pod tym samym tytułem w 1930 roku wydawnictwo Wszechzwiązkowego Zrzeszenia Więźniów Politycznych Katorgi i Zesłańców (wkrótce potem znów uwięzionych) wydało książkę w nakładzie 4 tysięcy egzemplarzy, w przekładzie J. Hessena i L. Domgera; nazywali oni autora Adolfem. Niestety, usunięto z tego wydania „nie zawsze związane z tematem aluzje historyczne” i refleksje filozoficzne, a w miejscach krytycznych do nazwy „Rosja” dodano słowa „czasów Mikołaja”. Komentarz miał przekonać cenzorów, że książka „jest dzisiaj tylko świadectwem historii”. Te wyjaśnienia nie ocaliły wydawnictwa przed zamknięciem.

Tak więc III Oddział przekazał pałeczkę sztafety OGPU; dzieło markiza Custine’ a, które Hercen nazwał najmądrzejszą, najlepszą książką o Rosji, jaką napisał cudzoziemiec, jest u nas niedostępne.

Nasza praca nad tłumaczeniem „Rosji w 1839 roku” markiza Custine’ a (wydanie piąte, tom 1-4 Bruksela, 1844) posuwa się wolno ze względu na warunki i możliwości, mimo to staramy się przygotować pierwsze, wstępne wydanie. W pewnym sensie książka ta jest głębsza od zabronionych u nas Djilasa, R.Conquesta, G. Orwella i A. Solżenicyna, ponieważ rozpatruje nie warstwę ideologicznych błędów, której oparem rtęciowym oddychamy przez ostatnie pół wieku, lecz korzenie historyczne rodzimego despotyzmu. Część wywodów Custine’ a okazała się prorocza, inne wskazały, że nic w naszej ojczyźnie nie poprawia się na lepsze od czasów Johna Barclaya (1582-1621), który pisał: „Moskowici to naród urodzony do życia w niewoli, z okrucieństwem tłumiący wszelkie przejawy wolności; są pokorni w jarzmie, nie protestują przeciwko niewoli.”

Nie będziemy nikomu narzucać naszego punktu widzenia, by nie upodobnić się do niektórych naszych rodaków. Niech przemówi sam markiz:

W tym momencie Makarcew ziewnął. Czytał powierzchownie, nie zagłębiał się w lekturze, przeskakiwał z akapitu na akapit i zgodnie ze zwyczajem dzielił uchwycone zdania na: „można” i „nie wol-

no". Miał niesamowity węż, jeśli chodzi o „nie wolno”. W końcu przedmowy skrzywił się: cóż takiego ma do powiedzenia ten dziadyga, co przejechał się powozem po Rosji, która już od dawna nie istnieje!

— Ależ istnieje! — rozległ się nagle jakiś głos. — Tylko, niestety, żyje się w tej Rosji znacznie gorzej.

— Kto to? — spytał wystraszony Makarcew.

Odwrócił głowę: przed nim stał niewysoki mężczyzna w średnim wieku, dziwnie odziany jak na dzisiejsze czasy — w niebieski frak i pantalon, kamizelkę w niebieskie prążki, czarne pończochy i pantofle na wysokich obcasach. Śnieżnobiałą koszulę z koronkami i brylantowymi spinkami zdobiła duża błękitna kokarda. Z boku wisała szpada. Makarcew poczuł oszalamiający zapach perfum.

— Przepraszam, że wtargnąłem bez zaproszenia — powiedział markiz de Custine. — Ale zainteresował mnie pan jako człowiek rozumny, związany ze strukturami władzy. Więc postanowiłem tu wpaść, gdy będzie pan czytał moje wspomnienia z Rosji.

— Ależ jest pan cudzoziemcem! — obruszył się Igor Iwanowicz. — Jutro muszę zawiadomić stosowne instancje o pańskiej wizycie w moim mieszkaniu. Bo jeśli nie, to...

— Proszę się nie denerwować, monsieur Makarcew — uspokoił go Custine. — Nikt nie wie, że tu jestem. Nauczony gorzkim doświadczeniem, tym razem wślizgnąłem się do Rosji poprzez ozonową dziurę w atmosferze. Nie ma tam ani policyjnych psów gończych, jakich spotkałem niegdyś na granicy, ani złodziei-celników. Jeśli pan pozwoli, usiądę. Niech pan czyta bez obawy. Ciekawi mnie pańska reakcja, nic ponadto...

Custine rozsiadł się w fotelu, uspokoił Makarcewa gestem ręki, przymknął powieki. Tak jakby uciął sobie drzemkę. A Makarcew posłusznie zagłębił się w lekturze.

*Kiedy przyglądałem się pełniącym przy wielkim księciu służbę dworzanom rosyjskim, od razu uderzyła mnie niezwykła uniżoność, z jaką ci wielcy panowie wykonywali swoje obowiązki: są czymś w rodzaju niewolników wyższego stanu. **

Słowem, cała ta świta następcy tronu cesarskiego przejawiała służalczość, która w równej mierze była udziałem panów i lokajów. (...) To pomieszanie pychy i upokorzenia zraziło mnie i żadną miarą nie usposobiło przychylnie względem kraju, który mam zwiedzić. (...)

* Wszystkie cytaty z wydania: Astolphe de Custine, *Rosja w roku 1839*, tłumaczył Paweł Hertz, PIW 1995.

Płynę na parowcu „Mikołaj I”, jednym z najpiękniejszych i najwygodniejszych statków w Europie. (...) Rosjanin z rodu zdobywców wareskich, a zatem z najstarożytniejszej szlachty książę K. zwrócił się do mnie, wymieniając moje nazwisko, choć nie znaleźmy się nigdy przedtem. (...)

Całkowity despotyzm, w tym kształcie, który u nas panuje, powstał w chwili, gdy w całej Europie zniesiono poddaństwo. Słowianie, przedtem jeden z najswobodniejszych ludów świata, od najazdu Mongołów stali się najpierw niewolnikami obcych zwycięzców, a następnie swoich własnych władców. Poddaństwo ukształtowało się u nich nie tylko jako stan rzeczy, lecz jako podstawowe prawo społeczne, które tak poniżyło w Rosji słowo, że uważa się je tu za rodzaj zasadzki: nasz rząd istnieje dzięki kłamstwu, ponieważ zarówno tyran, jak niewolnik lękają się prawdy. Toteż choć w Rosji mówi się mało, zawsze jest to jeszcze zbyt wiele, wszelka bowiem mowa w tym kraju jest wyrazem obłudy zarówno gdy chodzi o religię, jak i politykę. (...)

(...) Przez całą godzinę gromadzono nas, mnie i pozostałych cudzoziemców, z pominięciem Rosjan, na pokładzie statku. Nie mając jakiegokolwiek osłony byliśmy tam narażeni na niezwykle upał i żar porannego słońca. (...)

Trzeba było stanąć przed nowym trybunałem, który, podobnie jak w Kronsztadzie, zebrał się w wielkim salonie naszego statku. Z taką samą, jak poprzednio grzecznością zadano mi takie same pytania:

- Co zamierza Pan robić w Rosji?
- Zwiedzić kraj.
- To niedostateczny powód podróży!
- Nie mam innego.
- Z kim zamierza Pan widzieć się w Petersburgu?
- Z każdym, kto zechce zawrzeć ze mną znajomość.
- Jak długo zamierza Pan pozostać w Rosji?
- Nie wiem.
- Proszę podać czas pobytu w przybliżeniu.
- Kilka miesięcy.
- Czy przybywa Pan w oficjalnej misji dyplomatycznej?
- Nie.
- W misji tajnej?
- Nie.
- W jakimś celu naukowym?
- Nie.

— Czy jest Pan wysłany przez swój rząd dla zebrania informacji o społecznym i politycznym stanie tego kraju?

— Nie.

— Czy wystąpił pan jakiś towarzystwo handlowe?

— Nie.

— A zatem podróżuje Pan jako człowiek niezależny, dla zaspokojenia własnej ciekawości?

— Tak.

— Dlaczego przybył Pan do Rosji?

— Nie wiem, itd.

— Czy ma Pan listy polecające do kogoś w tym kraju?

Ponieważ uprzedzono mnie, że gdybym zbyt szczerze odpowiedział na to pytanie, pociągnęłoby to za sobą kłopoty, wspomniałem tylko o moim bankierze. (...)

Psy gończe rosyjskiej policji są obdarzone nader czułym węchem, toteż, jeśli chodzi o paszporty, w zależności od okaziciela bywają mniej lub bardziej wymagające, miałem wrażenie, że traktują podróżnych bardzo niejednolicie. Gdy jakiś kupiec włoski, który był tam przede mną, schodził ze statku, został zrewidowany w sposób bezlitosny, powiedziałbym, że prawie rozebrany do naga; kazano mu nawet pokazać zawartość portfela i przeszukano najdokładniej, od podszerwki, wszystko, co miał na sobie! (...)

Przepuścili mnie bez rewizji osobistej, ale kiedy wypadło mi rozpakować moje kufry przed urzędnikami celnymi, ci nowi wrogowie z niezwykłą gorliwością przystąpili do jak najskrupulatniejszego przegłędania ich zawartości, szczególną uwagę zwracając na książki. Po nie kończących się oględzinach zabrano mi je wszystkie bez wyjątku. (...)

Powtarzam więc za wielmożami rosyjskimi, że Rosja to kraj zbędnych formalności. (...)

Makarcew oderwał wzrok od maszynopisu i ciężko westchnął.

— No i jak? — spytał markiz.

Siedział w fotelu i obserwował Makarcewa.

— Wy, Francuzi, niewiele rozumiecie — zaczął mu tłumaczyć Igor Iwanowicz. — Niby dlaczego my, Rosjanie, mamy się stosować do waszych obyczajów? Zresztą sytuacja całkowicie się zmieniła! Niewykluczone, że przeginamy, nie traktujemy cudzoziemców z należyty szacunkiem. A wy darzycie nas życzliwością?

Coś w rodzaju aprobaty błysnęło w czarnych oczach Custine'a, który nagle zapytał:

— A własnych obywateli?

— Co takiego? — nie zrozumiał Makarcew.

— Chcę powiedzieć: a własnych obywateli nie trzeba szanować?

Speszony Makarcew odburknął „No wie pan...” i czytał dalej. Nawet nie zauważył, że zubożenie wyparła ciekawość i bez najmniejszych trudności przeskoczył myślami z wieku XIX w dzień dzisiejszy. Co prawda, pomógł mu w tym markiz. Igor Iwanowicz przyzwyczał się do jego obecności i czytał już z własnej woli, bez przymusu. Mógłby odłożyć maszynopis, ale nie mógł się od czytania oderwać. Serce go nie bolało, głowa również, spać też nie miał ochoty. Czytał z zainteresowaniem, a właściwy mu sceptycyzm tylko jego zainteresowanie podsycił.

— Chwileczkę — przerwał nagle sam sobie i z wahaniem spojrział na Custine'a. — A nie robi mnie pan na szaro?

— Na co nie robię? — zdziwił się markiz.

— To chyba mistyfikacja! Kto uwierzy, że to zostało napisane ponad sto lat temu?

— Sto trzydzieści — uściślił Custine.

— No i co z tego, że sto trzydzieści! To bez wątpienia antyradziecka propaganda!

— Niech pan sobie nie pozwala, monsieur Makarcew! Napisałem to sto lat przed wielkim terrorem Stalina!

Skonsternowany Makarcew utkwiał nos w maszynopisie.

To, co przywykł czytać, mówić, słyszeć (resztę omijał i odsiewał, nie słyszał jej), nie istniało w tym tekście. A to, co przeszkadzało iść naprzód i raz na zawsze zostało uznane za szkodliwe, panoszyło się bezczelnie. Makarcew czytał z coraz większą uwagą, cofał się, wybiegał naprzód, znów wracał do przeczytanych fragmentów. Był pewien, że uda mu się uchwycić sedno szybciej, niż formułował je autor.

A markiz spokojnie siedział w fotelu i obserwował swego czytelnika.

Władza w Rosji to dyscyplina obozu wojskowego wyniesiona do godności prawa obowiązującego wszystkich obywateli, to stan oblężenia, który stał się zwykłym stanem społeczeństwa. (...)

Któż nie ulitowałby się nad tym narodem? Rosjanie (...) żyją dziś nadal pośród przesądów i niewiedzy, które jednak już nie są ich udziałem. Udawanie rezygnacji wydaje mi się najniższym stopniem upodlenia, na jaki może się stoczyć zniewolony naród; bunt i rozpacz byłyby może czymś jeszcze straszniejszym, lecz nie tak nikczemnym. (...)

Władza w Rosji, choć tak nieograniczona, nade wszystko obawia się

potępienia lub choćby szczerzej oceny jej działania. Cięższa najbardziej ze wszystkich lęka się prawdy, a jedynie strach oraz tajemnica chronią go przed śmiesznością, i to właśnie sprawia, że nie można tu mówić o nikim, ani o niczym (...) ktokolwiek urodził się Rosjaninem lub pragnie żyć w Rosji, poprzysięga sobie, że we wszystkim zachowa milczenie; o niczym się tu nie mówi, a mimo to wszyscy milczą. (...)

W Rosji z chwilą upadku jakiegoś ministra wszyscy nagle głuchną i ślepną. Człowiek, który choćby sprawiał wrażenie, że wypadł z łaski, już jest jak gdyby pogrzebany za życia. Stwierdzić, że ktoś wypadł z łaski, to tyle, co go zabić. (...)

Trzeba powiedzieć, że Rosjanie z niezwykłą jednomyślnością czynią wszystko, aby w ich kraju zatryumfował fałsz. (...) wszystko, co stanowi o wartości i uroku należycie zorganizowanych społeczności oraz nadaje sens i cel instytucjom politycznym, sprowadza się tu do jednego jedynego uczucia, a mianowicie strachu. Strach w Rosji zastępuje, czyli paraliżuje myśl. (...) Państwo to, choć tak ogromne, jest więzieniem...

Rosjanie to naród niemych: jakiś czarownik przemienił sześćdziesiąt milionów ludzi w automaty, które czekają, aż jakiś inny czarodziej skinieniem pałeczki znów przywróci im życie. Ten kraj sprawia na mnie wrażenie pałacu Śpiącej Królowej: wszystko tu lśni, złoci się, wygląda wspaniale i niczego nie brak oprócz wolności, czyli życia. (...)

Kreml jest wart podróży do Rosji! Ta twierdza, wzniesiona na pograniczu Europy i Azji, tak się ma do zwykłych murów, jak Alpy do naszych wzgórz. Kto mieszka na Kremlu, ten nie żyje, lecz trwa w nieustannej obronie. (...) Iwan to ideał tyrańcy, a Kreml — ideał pałacu tyrańcy. (...)

Wydaje mi się, że Rosjanie w ogóle nie są skłonni do wspaniałomyślności. Nie wierzą w nią i gdyby mieli odwagę na to się zdobyć, zaprzeczyliby, że takie uczucie istnieje, a choć tego nie robią, gardzą nim, brak im bowiem jego duchowej miary. Są raczej przebiegli niż subtelni, łagodni niż uczuciowi, ulegli niż swobodni w obejściu, nieszczerzy niż serdeczni, przewidyjący niż zmyślni, spostrzegawczy niż rozumni, a nade wszystko — wyrachowani. Pracują nie po to, aby uzyskać jakąś wspólną dla wszystkich korzyść, lecz tylko dla nagrody. Nie wiedzą, co to zapał twórczy, brak im entuzjazmu, który tworzy cuda, nie mają owej głębi uczuć, co same sobie są sędzią i nagradzającym. Jeśli pozbawić ich takich bodźców, jak strach, korzyść i próżność, odbiera się im wszelką zdolność działania. W królestwie sztuki zachowują się jak niewolnicy, którzy pełnią służbę w

pałacu. Wyniosłe szczyty geniuszu są im niedostępne. Czysta miłość piękna ich nie zaspokaja. (...)

Rosjanie to najwyborniejsi w świecie aktorzy, aby grać, nie potrzebują scenicznych desek.

— A kto jest dyrektorem tego ich teatru? — wyrwało się Makarcewowi.

— Nie wie pan? — pytaniem na pytanie odpowiedział de Custine i roześmiał się.

— Krytykować jest łatwo! Wy, frustraci, chcielibyście, żeby podano wam komunizm w postaci gotowej, na talerzyku. Tylko skąd wziąć taki komunizm, oto jest pytanie?

— Niepotrzebny nam pański komizm — powiedział smutno Custine, który źle zrozumiał słowo. — A w ogóle to nie wiem, czego pan chce. Jestem po prostu pisarzem, wyrażam to, co myślę, ukazuję prawdę, tak jak ją rozumiem....

Makarcew irytował się, lecz coraz bardziej wciągała go lektura. Musiał przyznać — mądry ten autor, no i nie opluwa nikogo. Nie stawiał zarzutów bezpośrednio Makarcewowi, choć Igor Iwanowicz, jako reprezentant rządzącej elity, był do pewnego stopnia odpowiedzialny za bieg wydarzeń w tym stuleciu.

— Jeśli chce pan wiedzieć — usprawiedliwiał się Igor Iwanowicz — zawsze staram się być uczciwy, przyzwoity, jak tylko możliwe łagodzę konflikty... To znaczy, staram się być prawdziwym komunistą.

— Widzę, monsieur, — odparł de Custine. — I właśnie dlatego tu przyszedłem.

— Gdybym to ja decydował, system byłby inny niż obecnie. Ale cóż można zrobić w pojedynkę?

— Przecież pana nie potępiam — westchnął markiz. — Proszę czytać dalej.

Cierpienie w Rosji jest powszechne...

Jak gdyby wszędzie tam, nad tymi krajobrazami unosiły się zima i śmierć: światło, klimat Północy nadają wszystkiemu odcień żałoby. Po kilku tygodniach przerażony podróżny czuje się, jak gdyby go żywcem pogrzebano, toteż chciałby rozedrzeć śmiertelny całun i uciec z tego cmentarza, który ciągnie się tak daleko, jak sięga wzrok. Walczy ze wszystkich sił, aby unieść ołowianą zasłonę, co dzieli go od żywych. Nie wybieraj się na Północ dla rozrywki, chyba że za rozrywkę uznasz zdobywanie i pogłębianie wiedzy, tu bowiem wiele można się nauczyć.

Przygnębiony, pełen smutnych myśli, jechałem więc traktem sybe-

ryjskim, gdy nagle ujrzałem z daleka gromadkę zbrojnych, którzy bławakowali na poboczu drogi.

— Co to za żołnierze? — zapytałem feldjegra.

— To Kozacy — odparł — którzy eskortują zesłańców na Syberię.

Feldjeger (...) starał się mnie przekonać, iż ludzie, których mijaliśmy, to zwykli złoczyńcy i że nie ma wśród nich ani jednego skazańca politycznego.

— Drogi markizie — uśmiechnął się Makarcew — bywa pan czasem naiwny...

— Niby kiedy? — zapytał de Custine.

— Gdy podważa pan siłę i trwałość naszej ideologii. Chociaż XX zjazd był potężnym wstrząsem, była to potęga partii, a nie wypuszczonych z łagrów, zrehabilitowanych zeków. Łatwo się podśmiewywać, dawać dobre rady, oburzać, gdy jest się daleko. Niechby pan spróbował pokierować naszym ogromnym krajem!

— Broń Boże! — przestraszył się de Custine. — Ja tylko się zastanawiałem, jaka przyszłość czeka Rosję, ale teraz powiadam: zasnuca mnie i przeraża obraz, który widzę! Czytaj pan dalej!

Trzeba znaleźć się na tym pustkowiu pełnym utrapień, w tym wszystko ogarniającym więzieniu zwanym Rosją, aby zdać sobie sprawę z ogromu wolności, jaką cieszą się mieszkańcy innych krajów europejskich bez względu na formę obranych przez siebie rządów. Należy nieustannie powtarzać, że w Rosji brak wszystkim wolności...

Jeśli czyjś syn okaże niezadowolenie z życia we Francji, proszę usłuchać mojej rady i powiedzieć mu: „Jedź do Rosji”. Taka podróż jest nader korzystna dla każdego cudzoziemca. Ktokolwiek przyjrzał się dobrze temu krajowi, będzie zadowolony, że może żyć gdziekolwiek indziej. Zawsze dobrze wiedzieć, że istnieje taka społeczność, gdzie wszelkie szczęście jest niemożliwe, ponieważ zgodnie ze swoją naturą człowiek nie może być szczęśliwy bez wolności.

No i co pan teraz myśli? — wykrzywił się w ironicznym uśmiechu markiz. — Czy nie wydaje się panu...

— Lubi pan wódkę? — przerwał mu Makarcew.

— Skądże! — przestraszył się gość. — Wolę wino burgundzkie. Niestety, czas już na mnie. Chyba spodobała się panu moja książka? W przeciwnym razie nie czytałby jej pan przez całą noc.

Makarcew wstał z tapczanu, podszedł do lodówki, wyjął z niej butelkę i nalał sobie wódki do stojącego na stole kieliszka. Wypił jednym haustem i skrzywił się. Odstawił kieliszek i chciał odpowiedzieć de Custinowi, ale fotel był pusty. Markiz zniknął równie niepostrzeżenie jak się pojawił — chyba uciekł poprzez ozonową dziurę.

10. Już świta

— No tak... — mruknął Makarcew.

Przypomniawszy sobie chyba, kim jest i jak powinien czytać. On, zastępca członka KC KPZR, musi myśleć kategoriami państwa. Słabość autora wynika z jego bezpartyjnej, ponadklasowej postawy. Odrzucać to, co zbudowaliśmy po roku 1917? Byłoby to niemądre. Wbrew swym zasadom Makarcew nie miał już wątpliwości. Zniechęcił się do markiza, choć jeszcze niedawno czuł do niego sympatię. Znow był redaktorem gazety partyjnej i myślał tak, jak myśleć powinien.

Zawiązując tasiemki na teczce zapalał świętym oburzeniem. Jak może ktoś, któremu ojczyzna dała wszystko — ubranie, wyżywienie, wykształcenie, prawo do pracy, więcej jeszcze — samo życie, jak ktoś taki może szaragać nasze świętości? Nie chodzi wcale o krytykę. Ten maszynopis jest nam ideowo obcy. Nie pomaga, lecz szkodzi, nie pozwala iść naprzód. Za coś takiego zgodnie z prawem należałoby... no właśnie, co by należało?

Zdjął z półki broszurę i odnalazł paragraf siedemdziesiąty:

„Agitacja lub propaganda, prowadzona z zamiarem obalenia lub osłabiania władzy radzieckiej (...) rozpowszechnianie oszczerczych tekstów szkalujących radziecki ustrój państwowy i społeczny, analogicznie rozpowszechnianie lub produkowanie i przechowywanie w tych samych celach literatury o tego rodzaju treściach (...) podlega karze (...) do siedmiu lat więzienia (...), a następnie zesłania na okres pięciu lat.”

No proszę, tyle lat odsiadki. Nagle zwrócił uwagę na słowo „przechowywanie”. Czy ja też „przechowuję” samizdat? Skąd, mnie to nie dotyczy! Z niepokojem spojrzawszy na zegarek: była czwarta nad ranem.

Wszedł do kuchni z maszynopisem pod pachą. Rozłożył na stole gazetę, żeby nie wyjmować talerzy. Zauważył, że to „Prawda Robotnicza”, więc zastąpił ją „Przemysłem Socjalistycznym”. Odkroił pajdę razowca, otworzył lodówkę: stał tam słoik z marynowanymi pomidorami. Przechylił go i na podłogę wylało się trochę płynu. Wyciągnął ze słoika pomidor i krzywiąc się zjadł go: kwaśny jak ocet siedmiu złodziei! Potem na miękkich nogach ruszył do sypialni. Teczkę postawił na stosie książek koło łóżka, pod nią wetknął okulary, żeby rano, gdy będzie ich szukał, nie zapomnieć o maszy-

nopisie. Zinaida wyczuła jego obecność i położyła mu rękę na ramieniu. Potarł o nią szorstkim zarostem, dotknął piersi żony. Zinaida odsunęła rękę męża i odwróciła się do niego plecami.

— Śpij, Garik, nic ci teraz nie trzeba...

Westchnął, lecz nie nalegał. Przez jakiś czas patrzył w sufit usiłując odpędzić myśli. Sen nie nadchodził. Igor Iwanowicz otworzył po omacku nocną szafkę, wyjął zagraniczną pigułkę na sen; zawsze mu pomagała. Miała gorzki smak. Obracał ją w ustach, póki się nie rozpuściła. Wkrótce potem zasnął i spał kilka godzin.

Gdy się obudził, włożył szlafrok i zaczął krążyć po mieszkaniu. Radio nadawało przegląd prasy. Wymienili również „Prawdę Robotniczą”.

Borys już wyszedł. Zina kręciła się po kuchni.

— Masz jakieś kłopoty... — nie tyle spytała, co stwierdziła. Mało prawdopodobne, że coś poradzi, ale wysłucha, to też się liczy. Lecz Makarcew dawno odzwyczaił się mówić żonie o swych kłopotach. Opowiadał tylko o tym, co dobre, sądził, że dzięki temu podniesie w jej oczach swój autorytet. Rozumiał, że to głupie, ale przyzwyczaił się do tego.

— Pośpiech — burknął — wszystko przez ten pośpiech...

Wziął prysznic — gorący, jak tylko dało się wytrzymać, żeby przestała boleć głowa. Żona podpowiedziała mu coś, do czego nie chciał się przyznać — istotnie, stało się! Niezłych mam pracowników! Dobrze, że to mnie ktoś podrzucił. Zaraz podrę to świństwo na drobne kawałki, spuszczę z wodą w klozecie, jakby w ogóle nie istniało...

Gdy stał nagi pod prysznicem, a woda spływała po jego zapadniętej piersi i okrągłym brzuchu, zrozumiał, na czym polega druga strona medalu. Czy to przez przypadek ktoś zostawił szarą teczkę w jego gabinecie? Nie oni, ale ja, stary bałwan z siwą głową jestem naiwny. Podsunęli mi ten pasztet specjalnie! Wiem, o czym gadają w redakcji, gdy nikt obcy nie słyszy. Balansuję nad przepaścią. Pracownia fotograficzna powieliła zdjęcie Solżenicyna — oburzyłem się, zażądałem negatywu i spaliłem go publicznie! Nawet na kolegium rzucają kąśliwe uwagi. Jak jestem dobry, mówią żem liberał, a jak tylko robię coś nie po ich myśli, wyzywają od stalinistów. Najwyższy czas mnie podkształcić. Ale nie biorą pod uwagę, w jakiej żyjemy epoce. To podle z ich strony! Nie zasłużyłem na to. Nie jestem tylko naczelnym, z wieloma pracownikami przyjaźnię się od lat. Przymykam oczy na pewne sprawy, choć nie powinienem. Co robić?

Chwileczkę! Czy ktokolwiek chciałby aż tak ryzykować, żeby

mnie podksztalcać? Może ten samizdat czytali też inni. Chyba, że chcą mnie skompromitować — niejednemu na tym zależy.

Ostatni domysł jest wielce prawdopodobny. Podłożył maszynopis ktoś, komu wydano takie polecenie. A więc faceci, którzy zajmują się czymś takim specjalnie. Czyżby wszystko znów miało się powtórzyć, znów inwigilują lojalnych członków partii? A może to tylko sprawdzian czujności, operatywności, pryncypialności — nic ponadto. Jeśli istotnie tak jest, to nie można niszczyć teczek, nie uwierzą, że ją spalił. Wprost przeciwnie, pomyślą, że ukrył lub dał komuś do poczytania, a więc rozpowszechnił. Sam przecież nie doniósł o tej tece!

Gdyby jednak organy bezpieczeństwa zorganizowały taki sprawdzian, zawczasu musiałyby wszystko uzgodnić z górą. Kto pierwszy wydał takie polecenie? Jeśli istotnie tak było, Makarcew sobie poradzi. Ta gra wyjdzie im bokiem! Da im nauczkę bardziej bolesną, niż mogą sobie wyobrazić. Wszystko opowie Cherlawemu! A on ukarze nadgorliwych! Makarcew robi gazetę partyjną, czytaną w stu krajach świata. Ci ludzie nie zdają sobie sprawy, na kogo podnieśli rękę! Ubiegając się postanowił, że gdy będzie już w redakcji, natychmiast zatelefonuje do jednego z zastępców przewodniczącego KGB.

Znów nabrał animuszu i wkładając krawat, pogwizdywał.

11. U kogo zasięgnąć rady?

Dzień redakcyjny zaczął się od kłótni z Jagubowem.

Gdy Anna Siemionowna przewietrzyła gabinet, zamknęła lufcik i wyszła, Makarcew schował szarą teczkę do szafy pancерnej. Zdecydował, że gdy tylko przemyśli tonację rozmowy, zadzwoni do towarzysza Cherlawego. Ale sekretarka połączyła go z sekretarzem komitetu miejskiego partii Kawalerowem.

— Igorze Iwanowiczu, kazałem kupić dziesięć egzemplarzy „Prawdy Robotniczej”, mojego artykułu tam nie ma...

— Co jest, u diabła! Chwileczkę...

Makarcew przejrzał gazetę i połączył się z Jagubowem. Zaraz mu przypomniał, kto tutaj rządzi.

— Gdzie artykuł Kawalerowa, który wczoraj poleciłem włączyć do numeru?

— Przepraszam, Igorze Iwanowiczu. Nie wiedziałem, że to pan kazał włączyć, więc usunąłem. Sądziłem, że inny materiał jest pilniejszy... Potrzebne to panu?

— Co do znaczy: czy mi potrzebne? — wybuchnął Makarcew rozjuszony przenikliwością swego zastępcy. — Widać miałem powody, żeby ten tekst zamieścić. I umówmy się, Stepanie Trofimowiczu: polecenia naczelnego obowiązują wszystkich 243 pracowników gazety, pana również!

— Naturalnie! Choć myślałem, że i ja mam prawo głosu!

— Ma pan. Ale dopóki KC mnie nie odwołał, proszę łaskawie spowodować, by tekst Kawalerowa znalazł się w najbliższym numerze!

— Tak jest, będzie wykonane. Nawiasem mówiąc, dzisiaj pan dyżuruje.

Makarcew wyłączył interkom, wziął do ręki słuchawkę i rzekł do Kawalerowa:

— Wybacz, stary, nieporozumienie...

— Sprawka Jagubowa?

— Ot, drobna samowola...

— No nie, chyba sam by się nie odważył...

— Bzdura! Jutro rano kup gazetę!

Naczelnny odłożył słuchawkę i poirytowany zmarszczył brwi. Pomyślał ze smutkiem, że co roku zwiększa się w redakcji procent ludzi zbędnych. Gdyby tak mógł zwolnić ze dwie setki leni, co tylko zbierają składki partyjne, robią gazetkę ścienną i oglądają nowe filmy. Podwyższyłby wtedy uposażenia redakcyjnym wołom roboczym.

Jagubow też, jak się okazuje, zbędny w redakcji, strasznie się rozpanoszył! Kto go proteguje? Bez względu na to, czyim jest człowiekiem, nie pozwolę, by maćił! Dziś sprawy nie rozdmucham. Ale stopniowo usadzę faceta, nie zdąży nawet pisać! Źle, że dzień zaczął się tak fatalnie, od zepsutego humoru i podrażnionej miłości własnej. Makarcew pohamował rozdrażnienie: głupio przejmować się błędem podwładnego. Tym bardziej że już błąd został naprawiony. Przycisnął guzik:

— Anno Siemionowno, gdzie samochód?

— Losza jeszcze nie wrócił z KGB.

U Łokotkowej na biurku pod szkłem leżał kwadrat papieru z napisem: „Tow. A. S. Kozicki, Kuzniecki Most 24, KGB”. Co dzień rano sekretarka wyjmowała z paczki świeży numer „Prawdy Robotniczej”, wkładała go do dużej koperty, wypisywała na niej adres i gdy Losza przywoził Makarcewa, posyłała kierowcę z kopertą na ulicę Kuzniecki Most. Instytucja ta, podobnie jak każda inna, mogła zaprenumerować „Prawdę Robotniczą” i co rano przynosiłby ją tam

listonosz. Lecz taki był zwyczaj. Może im wysłać szarą teczkę przez kierowcę? Ale nie, nie warto. Losza to zwykły pracownik, zbyt mały pionek. Trzeba raczej zadzwonić.

Sięgnął po słuchawkę telefoniczną, lecz uwagę jego przykuła sterta fotografii. Kakabadze przyniósł ją rano Aneczce, a ona położyła na widocznym miejscu. Igor Iwanowicz zgarnął fotografie i z roztargnieniem spojrzął na swą podobiznę powieloną w dwudziestu egzemplarzach, żeby mógł wybrać ujęcie, jakie mu się spodoba. Otworzył środkową szufladę biurka i wrzucił tam fotografie. Nie miał do nich teraz głowy.

A więc, powie tak. Co prawda, jestem bardzo zajęty, ale tej sprawy, choć mało istotnej, nie mogę lekceważyć. Podrzuciono mi pewien maszynopis. Jeśli chcecie, zajmijcie się tym. W końcu wam za to płacą. Bo jak nie — wyrzucę do kosza. Mam na głowie ważniejsze sprawy, partyjne i państwowe.

W bocznej szufladzie leżał czerwony notes z telefonami. Makarcew odszukał czterocyfrowy numer i zdjął słuchawkę telefonu specjalnego, ale ją szybko odłożył. Jak zadzwoni, przyjadą natychmiast. To oczywiste: telefonował zastępca członka KC. Zanudzą go pytaniami, będą udawali detektywów, oderwą od pracy na pół dnia. A potem, zaczną szukać. W redakcji pojawią się finansowi kontrolerzy, komisja kontroli partyjnej, ślusarze i froterzy. Będą sprawdzać wszystkich, którym Makarcew dał etaty. Poproszą, by na jakiś czas zatrudnił ich ludzi na etatach korespondentów. Założą podsłuch telefoniczny i to nie wybiórczo, lecz wszędzie. A nasi ludzie plotą, co im ślina przyniesie na język! I jeśli nawet nie znajdą nic w redakcyjnych biurkach (a znajdą na pewno!) i tak postarają się udowodnić, że pracowali nie na darmo, będą składać raporty do KC, szargać jego nazwisko. Nie, nie zadzwoni. Donosić na własną redakcję, choćby Bóg wie, co się w niej działo — na to nie pójdzie. Nikt nie może powiedzieć, że jest podły!

A więc, dzwonić nie warto. Lecz jeśli maszynopis podrzucili mu specjalnie, by sprawdzić, jak zareaguje? Lepiej znają pracowników gazety niż on sam? Jutro wpadnie do niego Biespakbajew z wydziału rejonowego: „A propos, nie znaleźliście szarej teczki? Mamy informacje, że próbował do was dotrzeć pewien dysydent...” A może tylko zadzwoni, zainteresuje się...

Jakie to wszystko idiotyczne! Makarcew walnął pięścią w drzwi szafy pancерnej, w której leżała teczka. Rozległo się głuche uderzenie. Szafa nie zachwiała się, nie zazgrzytała, nie zareagowała w za-

den sposób. A przecież mogą zatelefonować. Co im wtedy odpowie? Ton głosu, naturalnie, powinien być spokojny — to najważniejsze.

Zadzwoił telefon. No tak...

— Garik! Przepraszam, że cię odrywam...

To Zinaida. Prosiła o samochód. Jeśli teraz go nie potrzebuje, Losza mógłby ją zawieźć do chorej przyjaciółki.

— Tak, naturalnie — westchnął Makarcew z ulgą. — Przyślę ci wóz.

Wezwał sekretarkę.

— Anno Siemionowno, proszę wysłać Loszę do mojej żony. I niech mnie pani z nikim nie łączy, chyba że zadzwonią z KC. Proszę też nikogo nie wpuszczać, jeśli sam nie poproszę. Przygotowuję się do plenum.

— A bieżący numer?

— O tym zadecyduję wieczorem.

Patrzył sekretarce w oczy. Może to jej kazali podrzucić teczkę? Zbyt prymitywne. Albo Loszy? Nie, to niemożliwe. Wieczorem w moim gabinecie siedzi zazwyczaj „świeża głowa”. Podrzućli maszynopis, zanim na dobre opuściłem redakcję — a więc mnie osobiście! I może już wiedzą, że wziąłem go do domu? Niech to szlag! Bzdura, a wciąż o niej myślę!

Pocierając policzki Makarcew zastanawiał się, z kim by tu się naradzić.

Jagubow to człowiek niepewny, nie sprawdził się, poza tym, od dzisiaj, po całej tej historii, antypatyczny. Z pewnością wykorzysta taką informację do własnych celów, jeśli nie teraz, to później, więc odpada. Poliszczuk? Ten nikomu nic nie powie. Ale co mi poradzi komsomolski entuzjasta? Trzeba znaleźć proste wyjście. Proste, lecz celne, jak rzut kuli bilardowej. Inaczej stracą do mnie zaufanie. A cóż może być gorszego niż brak zaufania?

Nie trzeba koniecznie gadać kimś z redakcji. Myśl zatoczyła szerszy krąg. Może Fomiczew? Ten wysłucha, zapali papierosa, wymyśli coś sensownego. Ale Fomiczewa nie ma. To znaczy, w zasadzie istnieje, tylko wpierw należałoby odnowić starą przyjaźń, a to wymaga czasu. Kto jeszcze?

Niedawno odszukali Makarcewa koledzy z ławy szkolnej. Wspomnił stare dobre czasy i pojechał do Leningradu na wieczór w sali bankietowej hotelu „Moskiewskiego”. Jedna trzecia kolegów, reszta zginęła na wojnie lub w łagrach. Nieźle sobie popili. Potem przechwalali się przed niemłodymi koleżankami, kto co osiągnął.

Jedni byli teraz działaczami partyjnymi, inni obronili habilitacje, ten jest pułkownikiem, ów dyrektorem, wielu ma samochody. Któryś nawet zarządza sprawami tamtego świata: organizuje pogrzeby dla dostojników partyjnych. Ale nikt nie skoczył wyżej niż Makarcew. Igor Iwanowicz zwiedził wszystkie kontynenty, naoglądał się egzotyki. Namawiają go, napisz książkę, ale nie ma na to czasu. Zazdroścżą mu. Nie wiedzą, jak ciężkie jest brzemie władzy. Zjedli kolację i ktoś cicho zaintonował:

*Odchodzą, odchodzą, odchodzą koledzy
Jedni — na szczyt, inni — do piachu...*

I patrzyli na niego ze znaczącym uśmiechem. Znaleźli miejsce, żeby śpiewać coś takiego. Nic im za to nie grozi. Ale Makarcew trzyma w rękach ideologię. Z kolegów szkolnych tylko Wołodia Bezrukow do niczego nie doszedł, siedzi skromnie w wytartej marynareczce. A spędzili razem w jednej ławce całe sześć lat! Bezrukow, błyskotliwy erudyta, studiował na uniwersytecie razem z Makarcewem, lecz dwukrotnie siedział za rewizjonizm, miał nawet wyrok śmierci. Potem pracował jako tokarz w fabryce, teraz żyje w myśl zasad Schopenhauera: szczęście kryje się w głębi duszy, dobra i korzyści materialne to tylko dogadzanie egocentrycznej miłości własnej. Makarcew namawiał Bezrukowa, by ten przeniósł się do Moskwy, obiecał, że mu pomoże. Ale pechowy kolega stanowczo odmówił... Nie każdego stać na życie według Schopenhauera. Koledzy szkolni, nieźle już podpici, obiecywali sobie, że będą się regularnie spotykać, ale natychmiast o tym zapomnieli. Wątpliwe, czy coś by doradzili.

Za to przyjaciół partyjnych miał Igor Iwanowicz mnóstwo. Ze wszystkimi tak lub inaczej był związany, robił coś dla nich, a oni dla niego. Zawsze przestrzegali etyki partyjnej: pierwszy dzwonił niższy rangą. Ten, który stał wyżej, mówił „zastanowię się”, a niższy stanowiskiem — „będzie wykonane”. Wnikać w sprawy osobiste nie wypada, póki się mocno siedzi na stolku. Jeśli ktoś chce zasięgnąć rady, znaczy to, że z nim kiepsko.

Nagle poczuł żal, że nie ma obok niego przyjaciółki, mądrej, szczerzej, współczującej. Zinaidzie, która zawsze kieruje się rozumem, jego zmartwienia wydają się błahe. Kochanki Makarcew nie ma. Gdy miały nim erotyczne pragnienia, nie miał na nie czasu lub bał się plotek. A teraz jest za późno. Myśl wróciła do szarej teczki, nie bez powodu krążyła po kole. W końcu Igor Iwanowicz postanowił: trzeba ostrożnie wybadać, co wiedzą o samizdacie pracownicy redakcji. Spojrzał na szafę pancerną, jakby chciał się upewnić, że stoi

na swoim miejscu. U Anny Siemionowny zabrzączał telefon. Sekretarka zerwała się i weszła do gabinetu.

— Kaszyn jest u siebie? Proszę go tu przysłać!

12. Walentin Kaszyn

Ankieta dla działu speckadr

Kierownik redakcji w „Prawdzie Robotniczej”, zastępcza redaktora naczelnego.

Urodzony 11 grudnia 1932 roku w Moskwie.

Narodowość rosyjska

Pochodzenie społeczne: robotnicze.

Członek KPZR od 1952 roku, legitymacja partyjna nr 04465742.

Wcześniej do partii nie należał. Nagana partyjna z adnotacją w dokumentach (1964). Naganę anulowano w 1966 r.

Wykształcenie średnie specjalne: ukończył specszkolę KGB w 1962 roku.

Językami obcymi właściwie nie włada (znał angielski i hiszpański, ale zapomniał)

Wyjazdy zagraniczne: Kuba od 1962 do 1963 roku (służbowo)

Sytuacja rodzinna: żonaty dwukrotnie, rozwiedziony dwukrotnie, dzieci nie posiada.

Zwolniony z obowiązku służby wojskowej na trzy lata. W 1964 zwolniony na podstawie orzeczenia lekarskiego.

Dowód osobisty III Ei Nr 392068, wydany przez 39 komisariat milicji miasta Moskwy 18.XI. 1964 r. Zameldowany na pobyt stały: 111250 Moskwa, Krasnokursanckij projezd 16 m. 21, tel. 267-02-44.

Dodatkowe informacje: wzrost: 171 cm, oczy zielone, włosy blond, szpakowate.

Działalność społeczna: członek kolegium redakcyjnego gazetki ściennej „Dziennikarz Prawdy Robotniczej”, członek zarządu Wszechzwiązkowego Stowarzyszenia Filatelistów.

PARABOLA WALENTINA AFANASJEWICZA

Kaszyn zawsze witał się lewą ręką i wszyscy w redakcji do tego przywykli, nie mieli mu za złe. Uśmiechał się do wszystkich, prośby spełniał chętnie i syjąc żarcikami, bez trudu nadażał z robotą.

Ponieważ utykał na prawą nogę, z początku myślano, że z prawą ręką też coś u niego nie w porządku. Okazało się jednak, że w prawej Kaszyn zawsze ściska pęk kluczy. Były mu potrzebne niemal zawsze — do pokoju z dalekopisami, do magazynu, do szafy pancerniej. Nigdy nie wiadomo, kiedy który się przyda, zbyt mało czasu, by wkładać klucze do kieszeni. Na szczęście Walentin był mańkusem, na dokumentach podpisywał się lewą ręką. Twierdził, że trudniej podrobić taki podpis. Aby podać rękę prawą, musiał przekładać klucze do lewej. Witał tak tylko Makarcewa i Jagubowa, bynajmniej nie z chęci przypochlebiania się, lecz z szacunku dla władzy zwierzchniej.

Zgodnie z przepisami naczelnym powinien był zatrudniać pięciu zastępców: pierwszy, trzeci i czwarty to zastępcy sekretarza redakcji, odpowiedzialni na zmianę za wydawanie gazety, piąty — kierownik redakcji, a faktycznie — intendent, i wreszcie Kaszyn, drugi, czyli kadrowiec. Jednak zgodnie z tradycją drugi zastępca wykonywał prócz własnych obowiązków piątego. Nazywano go kierownikiem redakcji, chociaż był kadrowcem. Pobory piątego dzielono za zgodą rejonowego wydziału finansowego na dwie części. Pierwszą otrzymywał dyrektor zimowej daczy w Pieriedielkinie na jednodniowe pobyty wypoczynkowe pracowników redakcji (50 proc.) drugą — dwaj starzy bolszewicy (po 25 proc.), rzekomo bezpłatnie zatrudnieni w podmoskiewskim kolchozie „Jutrzenka komunizmu”. Gazeta nie odrywała dzięki temu swych ludzi od pracy, nie wysyłała ich na wykopki, a zawsze świeciła przykładem. O sprawne wykonywanie tego fortelu dbał Kaszyn.

Znał on w redakcji każdy kąt, nawet damskie toalety, które odwiedzał regularnie z obowiązku: czasem trzeba było sprawdzić, jak są zawieszona lustra lub zarządzić remont muszel klozetowych.

Jeśli Kaszyn nie siedział nad papierami w swym małym gabinecie (biurko, szafa pancerna, szafa i miejsce tylko dla jednego petenta), nie biegał po redakcji utykając na prawą nogę i pobrzękując kluczami, nie jeździł z Loszą „wołgą” naczelnego kupować puchar dla zwycięzców rowerowego wyścigu wokół Kremla, gdy nagrodę fundowała „Prawda Robotnicza”, znaczyło to, że siedzi w hali maszyn i po raz enty zwierza się maszynistkom ze swych kłopotów sercowych. Jego wyznania zawsze kończyły się identycznie:

— I wierz tu kobietom!

Litościwe panie przytakiwały, chociaż czasem mówiły, że mężczyznom też nie można ufać. Ale w tej sytuacji, naturalnie, win-

ne są baby. Takiego mężczyznę rzucać: nie pije, a jaki zapobiegliwy. Miał pecha do kobiet, poza tym nie skarżył się na los, traktował swoje kłopoty z humorem.

W czasach szkolnych najbardziej lubił grać w hokeja. Ale gdy ukończył siedem klas, ojciec zaprowadził go do fabryki. Produkowano tam urządzenia techniczne dla wojska. Walentin uczył się montować radioodbiorniki. Rozbierał japońskie radia, odlutowywał z nich tranzystory i sortował zgodnie z parametrami: miały być wykorzystane do produkcji. Wstąpił do komsomołu, a potem, gdy już był monterem, do partii. Proponowano mu stanowisko majstra, ale odmówił: zarobek będzie niższy, a zawracanie głowy od świtu do nocy, w dodatku odpowiadaj, człowieku, za skradzione tranzystory.

Niespodziewanie wezwano go do wydziału specjalnego. Siedzieli tam dwaj mężczyźni w średnim wieku. Wypyтали o plany na przyszłość, wymienili spojrzenia i zaproponowali naukę w specszkole, a potem wyjazd zagranicę.

— Potrzebni nam mądrzy ludzie, tacy, co wszystko chwytają w lot. Na radiotechnice też się znacie. Opinie o was są dobre. Żona nie będzie protestowała?

— Partia rozkazała — komsomolcy meldują „Tak jest” — rzekł słuźbiście Kaszyn

— Na wszelki wypadek pogadajcie z żoną...

Był wtedy żonaty po raz pierwszy z Zoją z biura projektowego. Ale nie żyli zgodnie, wciąż miała do niego jakieś pretensje. Dąsała się czasem przez kilka dni bez powodu. Więc nawet był rad, że się rozstaną. Ojciec, z którym podzielił się tą nowiną, powiedział:

— Tam świetnie płacą i dają szybko mieszkania — to bardzo ważne. Drugi raz ci czegoś takiego nie zaproponują, zmarnujesz się w fabryce, jak ja.

Szkoła specjalna szkolila kadry do pracy technicznej w legalnych sowieckich urzędach za granicą. Jedzenie było dobre, uczone ich hiszpańskiego i angielskiego. Walentin bez trudu opanował szyfry. Lecz pod koniec kursu nagle wypadł z gry: na strzelaniu kula zrykoszetowała w ciemnościach od stalowej płyty, drasnęła go w kolano i roztrzaskała mu rzepekę. Był dwukrotnie operowany: okulał, ale nie skreślono go z ewidencji wojskowej*.

* Zgodnie z obowiązującym prawem wszyscy inwalidzi, także ci, którzy mieli mniej rąk i nóg, niż wymagała tego norma, podlegali okresowemu przeglądowi na komisjach wojskowych w celu sprawdzenia, czy kończyny im nie odrosły. Przepis ten zniesiono dopiero w połowie lat 80.

Zwolniono więc Kaszyna, każąc mu tylko podpisać oświadczenie, że nie zdradzi nikomu tego, czego się w szkole uczył; w przeciwnym razie pójdzie pod sąd. Pomógł mu Fidel Castro, który właśnie w tym czasie postanowił swój rewolucyjny rząd tymczasowy przeobrazić w niezmienny. Na Kubie znacznie wzrosła liczba sowieckich specjalistów wojskowych (mieli budować tam bazy z raketami międzykontynentalnymi, wycelowane w stronę Stanów Zjednoczonych), bardzo były potrzebne kadry specjalności. Młodszy lejtnant bezpieczeństwa państwowego Kaszyn otrzymał przydział do pracy biurowej w Hawanie.

Ale szczęście trwało krótko. Pracowników służb specjalnych wypuszczano rzadko do miasta, tylko w grupie, pod nadzorem uzbrojonego kagebisty. Nie mogli nawet się przyjrzeć ładnym kubańskim dziewczynom! Pieniądzy było mało, roboty też niewiele. Szyfranci siedzieli w wilgotnym, dusznym pomieszczeniu bez okien. By utrzymywać specjalność w ciągłej gotowości szyfrowali fragmenty dzieł Szołochowa i innych pisarzy. Zastępca kierownika grupy szyfrantów Centrum podpułkownik Winogradow porównywał w Moskwie rozszyfrowany tekst z oryginałami utworów nie wybacząc ani jednego błędu.

Pewnego razu Kaszyn, zmieszany z błotem za drobne nieścisłości (popelnione z winy Szołochowa, wyrażającego się zbyt górnolotnie) ze złością napisał drobnymi literkami w dzienniku rejestracji szyfrów „Winogradow — satuk”. Nazajutrz wypadło mu to z pamięci, lecz pułkownik Winogradow niemal natychmiast przyleciał do Hawany na inspekcję. Słowo „satuk” rozszyfrował samodzielnie, bez niczyjej pomocy, czytając je od końca.

Do Moskwy młodszy lejtnant Kaszyn został wyekspediowany tym samym samolotem Il-62, który przywiózł na Kubę podpułkownika. Winogradow żądał usunięcia Kaszyna ze służby wywiadowczej i z partii. Ucierpiał również moskiewski kolega Walentina, szyfrant Utierin, któremu, jak się wyjaśniło podczas konfrontacji, Kaszyn przekazał swą opinię o pułkowniku w postaci niezaszyfrowanej, więc mogły tę wiadomość przechwycić wywiady imperialistycznych mocarstw. Kaszynowi i Utierinowi odebrano stopnie oficerskie, pozbawiono ich też prawa do pracy za granicą. Ponieważ przyznali się do winy i wyrazili skruchę, skończyło się na surowych naganach partyjnych. Przeniesiono ich do działu dziesiątego „Siódemki” — czyli siódmego urzędu operacyjnego — gdzie mieli się zająć obserwacją zewnętrzną.

Ale tam Kaszyn nie przepracował nawet dnia. Gdy nowy szef zobaczył Walentina podchodzącego do biurka, nie krył rozdrażnienia:

— Tylko kulawych szpicłów mi brakowało!

Poniżej szpicłów nie było jednak stanowisk w służbie bezpieczeństwa, więc skierowano Kaszyna do pracy cywilnej w redakcji „Prawdy Robotniczej”. Ubolewał, że usunięto go z organów: rok stażu liczy się tam jako dwa lata, a praca nie jest zbyt ciężka. Pocięszał się tylko, że ma już pokój z kuchnią, a także skromną rentę prócz miesięcznego uposażenia. Może sytuacja się poprawi i znów go wezmą do KGB...

Zoja rzuciła Kaszyna, gdy był jeszcze w specszkole, wyszła za jakiegoś inżyniera. A on po powrocie z Kuby ożenił się z sąsiadką. Lidia, trochę od niego starsza, z początku była zadowolona, potem zaczęła się skarżyć, że mąż mało zarabia (w dodatku wciąż traci pieniądze na znaczki i akwaria), nie daje też jej satysfakcji, które obiecywał przed ślubem. Może zmarnował się na Kubie, gdzie, jak ludzie mówią, Fidel Castro zezwolił na wolną miłość? Pieniądze za jej uprawianie kazali oddawać państwu, ale pozostawała przyjemność. A tu co? Opinie żony całkowicie się rozmijały z przekonaniami Walentina Afanasjewicza. Za darmo czy nie, Lidia zaczęła zdradzać męża na potęgę, więc rozstał się z nią — dzieli ich teraz nie tylko pogląd na to, czym jest szczęście, ale i łóżko.

Z Kuby Walentin przywiózł niewielką kolekcję znaczków pocztowych. Gdy wrócił do stanu kawalerskiego, zaczął zbierać znaczki ze wzmożoną energią. W Stowarzyszeniu Filatelistów cieszył się szacunkiem, jako reprezentant prasy był wybierany do władz. Przywiózł też z Kuby akwarium z tropikalnymi rybkami. Karmił je, oswajał, budował im grotty. Przeczytał w jakimś czasopiśmie, że oglądanie rybek poprawia wydajność pracy i zainstalował akwarium także w redakcji. O zwyczajach rybek mówił z entuzjazmem, pokazywał jak wytresowane płyną po jedzenie. Sypiąc im z torebki karmę odkładał nawet na biurko klucze, by uwolnić prawą rękę.

Złe języki mówiły, że dla Kaszyna rybki są ważniejsze od ludzi. To przecież fauna, przyroda, którą trzeba kochać i strzec, a ludzie — to tylko kadry. Nie było to zgodne z prawdą. Pracowników redakcji Kaszyn traktował nie gorzej niż rybki.

13. Każdy ma obowiązki

— Wzywał mnie pan, Igorze Iwanowiczu?

Gotowa w każdej chwili się uśmiechnąć, krągła, pocziwa twarz Kaszyna zajrzała do gabinetu.

— Usiądź na chwilę, Walek.

Naczelny przyjaźnie uściśnął Kaszynowi rękę. Gdy ten siadał, Makarcew przypatrywał się mu, tak jakby go zobaczył pierwszy raz w życiu — zastanawiał się, jak z nim rozmawiać. Walentin chodził zawsze w ciemnych spodniach i w amerykańskiej kraciastej marynarce. Przywiózł ją z Kuby, więc była już podniszczona. Nosił zawsze tę samą, lecz czystą nylonową koszulę z czerwonymi spinkami w mankietach. Prał ją codziennie wieczorem i suszył w łazience na wieszaku. Krawat zapinał się na haczyk z tyłu, pod kołnierzykiem. Węzeł był nieco przekrzywiony, więc Walentin usiadłszy, poprawił krawat, oczekując z uwagą, co powie naczelny. Jego twarz, prosta i otwarta, zachęcała do szczerości. Ktoś taki nie może udawać, nawet gdyby chciał.

— Co słyhać w hali maszyn? — spytał Makarcew, gdyż nic innego nie przyszło mu do głowy.

— Pyta pan o czcionki? — Kaszyn pogładził swoje włosy, odkasłnął, gotów do składania meldunku. — Miałem przy nich mnóstwo roboty! Podczas sprawdzania dokumentów wycisnąłem siedem potów z maszynistek. Ale już skończyłem. Nie czekałbym, sam bym zawiózł do KGB, ale potrzebny jest pański podpis... O tutaj...

Walentin otworzył skoroszyt i położył przed naczelnym stos kartek.

— Czemu aż tyle?

— Na każdą maszynę osobny druk. Chyba dla ekspertyz. Musi być porządek...

— Zostaw, podpiszę później... Aha... — spojrzał pytająco na Walentina — Nie zapomniałeś o naszej umowie?

Makarcew, przekonany, że Kaszyn zbiera w redakcji informacje dla służb bezpieczeństwa, już dawno go poprosił, by dyskretnie obserwował ludzi: jak się zachowują, czy nie piją wódki. Jesteśmy przecież centralną gazetą, zawsze na widoku, musi być u nas porządek. To zadanie partyjne, ale niech zostanie między nami. Igor Iwanowicz nie lubił takich metod, ale musiał być dyplomatą. Kierownik redakcji i tak to robi, choćby naczelny nie życzył sobie tego. A tak można było trzymać rękę na pulsie i w razie czego się wtrącić, zapo-

biec nadużyciom. Wprost zażądać, by Kaszyn go zawiadamiał, o czym donosi do KGB, Makarcew nie mógł. Ale poprosić kadrowca, by interesował się życiem prywatnym pracowników redakcji, czyli żeby dbał o dyscyplinę pracy, było wręcz obowiązkiem dobrego szefa. Kaszyn też chce mieć z naczelnym dobre układy.

— Ma pan na myśli obecną sytuację? — upewnił się kadrowy. — A więc tak. Zdarzają się wypadki nadużywania alkoholu w godzinach pracy. Wzywałem, uprzedzałem. Ale bez pana nie stosowałem sankcji. To fakt, piją po cichu, okazja zawsze się znajdzie: urodziny lub jeszcze co innego. Zwłaszcza młodzież na oddziałach: zecerzy, metrampaże. Ale oni mają własnych kierowników, których zawiadamiam o każdym incydencie. W redakcji też się zdarza... A teraz o niemoralności... naturalnie, są romanse. A rozmowy!

— Rozmowy?

— Bez końca gadają, Igorze Iwanowiczu. Teraz trochę przycichli. A może już się nagadali... Krążą ponoć po redakcji teksty Solżenicyna. *Oddział chorych na raka*, opowiadania. I stenogramy procesów sądowych. Podczas przeszukiwań mnóstwo tego się trafia, ale u nas nie widziałem. Dowcipy, owszem, ale najczęściej o babach, to chyba pana nie interesuje...

— To również — uśmiechnął się krzywo Makarcew.

— Opowiedziałbym, ale nie potrafię. Chyba że jeden polityczny, o Leninie... Do działu wychowania komunistycznego przyszedł przyjaciel Jakowa Markowicza, nazywa się Sahajdak, z taką grzywą włosów, opowiadał tak głośno, że wszyscy słyszeli:

— Kiedy Amerykanie wyślą swego „Apollona” na księżyc?

— No kiedy?

— W stuletnią rocznicę poczęcia Włodzimierza Lenina.

— Czyżby za dziewięć miesięcy?

— Aha! Sam sprawdziłem w kalendarzu!

— Cóż... — westchnął Igor Iwanowicz. — Za mało dbamy o poziom ideologiczny naszych ludzi.

Odpowiedzi nie było, lecz tak czy inaczej to właściwy ruch: dać do zrozumienia kadrowcowi, że owszem, jest człowiekiem zaufanym, ale ponosi też odpowiedzialność za błędy, słuchanie o opowiadanie politycznych kawałów. W ten sposób Makarcew jakby dźwigał Kaszyna na swój poziom, przyznawał mu nie mniejszy niż sobie zakres odpowiedzialności.

— Nikt w redakcji nie czyta zakazanej literatury? — spytał prosto z mostu.

— Nikt. Gdyby ktoś czytał, na pewno bym wiedział. To teraz bardzo potrzebne... Chciałem powiedzieć, potrzebne służbom bezpieczeństwa.

— Dobrze, Walek, że to rozumiesz. Obiecali mi premie na dzień prasy, zastanawiam się już teraz, komu dać. Kandydaci muszą być absolutnie pewni. Przygotuj listę...

— Tak jest, Igorze Iwanowiczu.

— Ty też dostaniesz, bądź spokojny.

— Ależ Igorze Iwanowiczu, nawet nie pomyślałem...

— Wpiszę cię na listę. A propos — Makarcew zρέcznie zmienił temat, zadając następne pytanie, również z podtekstem: — jak radzi sobie mój nowy zastępcą? Można się z nim dogadać? W razie czego trzeba pomóc, to i owo odpowiedzieć. Nasza gazeta ma własne tradycje, nowy pracownik musi przywyknąć, nauczyć się unikać wpadek...

Niech to i owo dotrze do Jagubowa za pośrednictwem Kaszyna, niby to bez udziału naczelnego.

— Jagubow to nasz człowiek — uspokoił Makarcewa Walentin. — Umie pracować. Zapoznaje się ze wszystkim. Pół dnia przeglądał teczki z aktami pracowników. Twierdzi, że musi wiedzieć, z kim ma do czynienia...

Wszyscy teraz używają określenia „nasz człowiek”, lecz każdy nadaje mu inny sens.

— Ma słuszość — zauważył głośno Makarcew. — Trzeba wiedzieć, co kto robi i do czego jest zdolny. Dziękuję, to wszystko.

Walentin, pożegnał się i wyszedł usiłując nie wlec za sobą chorej nogi. Makarcew odczekał chwilę, a gdy za Kaszynem zamknęły się drzwi, wyjął z szafy pancernejsz szarą teczkę i otworzył maszynopis na pierwszej stronie. Postanowił porównać czcionki redakcyjnych maszyn do pisania, których próbki przyniósł Kaszyn, z tekstem markiza de Custine'a. Nie wiedział, jak się to robi, sam wymyślił sposób: odnaleźć w każdej maszynie jakąś wadę — nadłamaną lub odskakującą literę i porównać ją z taką samą w maszynopisie. Jakie litery najbardziej się do tego nadają, odpowiedziała mu tabela, którą zrobił kadrowiec.

Naczelný przerzucił maszynopis, lecz nie wyjaśnił pochodzenia jego czcionki. Zatem nie przepisywano tego tekstu w redakcyjnej hali maszyn. Znow schował teczkę do szafy pancernejsz, podpisał się tam, gdzie widniały słowa „podpis dyrektora przedsiębiorstwa (urzędu)” i wezwał Annę Siemionownę, by zaniósła kartki Kaszynowi. Wkrótce jednak przyszło mu do głowy, że zbyt szybko przestał się

martwić. Skoro Kaszyn nie wie o istnieniu maszynopisu (mało prawdopodobne, by to zataił), może nie podrzuciło go moskiewskie KGB, lecz ogólnokrajowe. Na pewno mamy w redakcji co najmniej kilku informatorów urzędu bezpieczeństwa. Ciekawe, którzy to? Makarcew bardzo chciał wiedzieć, ale się nie domyślał.

Wielki zegar z błyszczącym wahadłem wybił dwunastą. Już południe — wkrótce minie doba od chwili, jak leży u niego ta przekłeta teczka, a on nic jeszcze nie wymyślił. Kto wie, może t a m c i sądzą, że dał ją komuś do czytania, albo że się przestraszył, stracił głowę. Jak spytają, trzeba mieć na podorędziu stosowną odpowiedź. Komu można zaufać, kogo spytać, co robić w takiej sytuacji? A zasięgnąć rady trzeba jak najprędzej, póki nie jest za późno. Naczelnny zdecydował, iż rzeczową, praktyczną radę da mu jeden tylko człowiek, w dodatku z jego redakcji. Nie byle kto — sam Jakow Markowicz Rappoport.

Iść do niego czy nie? Wywoła Rappoorta na korytarz i pogadają. Ale mogłoby to przyciągnąć niepotrzebną uwagę. Lepiej tu, w gabinecie — zwykła rozmowa o sprawach służbowych. Makarcew pomyślał po raz kolejny, czy przypadkiem w jego gabinecie nie założono podsłuchu. Chyba jednak nie, kto podsłuchiwałby ludzi tak lojalnych jak on. Zawahał się, jak wezwać Rappoorta — za pośrednictwem Anny Siemionowny czy przez telefon. W końcu wziął do ręki słuchawkę.

— Jakowie Markowiczu — rzekł z nieskrywanym zakłopotaniem. — Mógłby pan wpaść do mnie na chwilę?

14. Jakow Rappoport

Ankiety personalne z różnych lat

Stanowisko: redaktor działu wychowania komunistycznego w „Prawdzie Robotniczej.”

Pseudonim literacki: J. Tawrow.

Urodzony 13 (26 wedle nowego stylu) 1917 roku w Berdyczewie

Narodowość: Żyd indyjski.

Pochodzenie społeczne: urzędnicze.

Przynależność partyjna: członek KPZR od 1958 roku. Nr leg. partyjnej 61537813.

Czy należał uprzednio do KPZR: tak, w latach 1934 -1938 i 1944-1951.

Do innych partii nie należał. Linii partyjnej pozostaje zawsze wierny.

Przed 1917 rokiem nie był prześladowany. W wojskach białych rządów nie służył. Po 1917 roku był represjonowany od 1938 do 1941 roku oraz od 1951 do 1956 roku. Zrehabilitowany całkowicie.

Podczas Wielkiej Wojny Narodowej nie był internowany. Nie wzięto go też do niewoli.

Za granicą nie był. Krewnych za granicą nie posiada. Znajomość języków obcych — niemiecki (czyta i potrafi się porozumieć).

Nagrody państwowe: medal „Za zwycięstwo nad Niemcami”, medal „Za zwycięstwo nad Japonią.” Oficer rezerwy, młodszy lejtnant. Zdolny do służby nieliniowej Książeczka wojskowa nr TK 168 3774*

Działalność partyjna i społeczna: członek egzekutywy w „Prawdzie Robotniczej”, członek redakcyjnego związku zawodowego (sekcja pracy kulturalnej).

Sytuacja rodzinna: żonaty. Żona: Asia Isaakowna Rabinowicz, syn, Konstantin, ur. w 1947.

Dowód osobisty III NM, Nr 844 283, wydany przez 104 komisariat milicji miasta Moskwy 18 czerwca 1956 roku. Zameldowany na pobyt stały pod adresem: Moskwa, ul. 3 Parkowa 59, korpus 3, m. 94. Tel. 269-13-44

PASMO NIEUSTAJĄCYCH KLĘSK

Może nikt nie uwierzy, lecz absolutnie wszystkie odpowiedzi na pytania z setki lub może nawet więcej ankiet, które należało wypełniać, Jakow Markowicz znał na pamięć. Było to szalenie ważne: drobna pomyłka mogła wiele kosztować. Rappoport twierdził, że wszystkie te odpowiedzi radziecki obywatel powinien pamiętać nawet po śmierci, nie jest bowiem wiadome, czy przyjmą Rosjanina, nie wspominając już o Żydzie, do piekła, bo do rajy z pewnością nie.

Doskonale musiał pamiętać, to co pisał w ankietach, jeszcze dlatego, że na żadne pytanie, nawet proste, nie mógł odpowiedzieć ani „tak” ani „nie”. W każdym „nie” tkwiła odrobinka „tak”, a w każdym „tak” jakiś procent „nie”. Za najprawdziwszego Jakow Markowicz uważał to, co widniało w poprzedniej ankiecie, reszty mógł tylko się domyślać: znają tę resztę lepiej niż on sam pewne instytucje czy nie? Bez wahania mógł wymienić tylko swój obecny pseudonim, chociaż i to nie było stuprocentowo pewne.

* W ciągu dwudziestu czterech godzin od pierwszej mobilizacji powinien przybyć do rejonowej komisji wojskowej w Narofomińsku, a gdyby miasto to zostało zburzone — do szkoły średniej w Wołokołamsku. (Zapis w legitymacji wojskowej J. M. Rappoporta)

Jego mama, Sara Rappoport, pochodziła z małego ukraińskiego miasteczka na kresach. Opowiadała synowi, że gdy w 1916 roku ją — aktywną członkinię RSDRP, po zesłaniu nielegalnie zamieszkała w Petersburgu — zaczęła śledzić policja, wyjechała do Berlina. Tam poznała niemieckiego komunistę, może Żyda, a może nie. Sara Rappoport wspominała, jak w synagodze, po naleganiach jej rodziców, którzy przyjechali do Berlina (ojciec Sary miał zakład zegarmistrzowski) rabin obrzezał jej synka 13 stycznia 1917 roku i zarejestrował w księdze ów dzień jako datę jego narodzin, nadając mu imię Jankiel.

— No i od tej pory, przez tego rabina — skarżył się Jakow Markowicz — każdy, kto ma ochotę, usiłuje mnie obrzezać.

Gdy w 1933 roku wydano Rappoportowi w Moskwie dowód osobisty podał, że ma na imię Jakow. Do swego eks-męża Sara zwracała się per „Marek”, towarzysze partyjni nazywali go Meirem. Nigdy nie wymieniali jego prawdziwego imienia. W synagodze zapisano małego Jankiela pod nazwiskiem ojca, lecz póki był dzieckiem, nikt o jego ojcu nie wspominał: Mejer pozostał w Niemczech, a Sara, wróciwszy po rewolucji do kraju, bała się, by chłopak się nie wygadał! Sądziła, że skoro jego ojciec nie daje znaku życia, to pewno się ukrywa, działa w konspiracji. Więc zarejestrowała dziecko pod swym panińskim nazwiskiem.

Któregoś dnia zjawił się u nich jakiś cudzoziemiec. Matka była wówczas maszynistką w Radzie Komisarzy Ludowych. Człowiek ten, prawie nie mówiący po rosyjsku, przekazał pozdrowienia i paczkę. Namawiał matkę, by jechała do ojca: ten, jak się okazało, dawno jest w Stanach Zjednoczonych, ma tam niewielki biznes.

— Chyba zapomniał, że był bolszewikiem! — krzyczała zdenerwowana Sara do gościa. — Niech mu pan powie, ja za żadne skarby nie zmienię poglądów!

— Nie musi pani zmieniać — przekonywał ją Amerykanin. — Będzie pani bolszewiczką u nas w Ameryka. Tu bolszewik jest dużo, u nas mało. A poza tym... To przecież ojciec pani dziecko. On panią kocha!

— Jak kocha, to niech wraca budować komunizm!

Więcej Jakow nic już o swym ojcu nie słyszał, nie interesował się nim, by uniknąć kłopotów, a w ankietach pisał, że krewnych za granicą nie posiada. Gdy wypisywano dla niego dowód osobisty, a nie miał przecież aktu urodzenia, zamiast Berlina podał jako miejsce swego przyścia na świat inne miasto, wcale nie gorsze, Berdyczów — też na literę B. Jak później się przekonał, było to rozumne. Jaki

dokument mógł pokazać milicji? Tylko paszport Sary, z którym przed rewolucją wyjeżdżała za granicę. Gdy człowiek pokazuje jakieś papiery, od razu zaczynają się nieporozumienia. W paszporcie widniała adnotacja: izraelitka, wyznanie mojżeszowe

— Jakiej właściwie narodowości jest twoja matka? — spytał naczelnik milicji.

— Jest Żydówką.

— A gdzie to potwierdzone?

— Izraelici są Żydami.

— Nie bujasz? — naczelnik patrzył nieufnie.

— Słowo komsomolca!

— Czy „izraelita” to coś gorszego niż „żyd”?

— Ależ skąd...

— No to dla pewności napiszemy „narodowość izraelicka”.

Urzędniczka, która pięknym charakterem pisma wypisywała dowody osobiste, zamiast „izraelicka” napisała „indyjska”. A kiedy Rappoport się zdziwił, uspokoiła go:

— Czy ci nie wszystko jedno, chłopcze? U nas wszyscy są równi, bez względu na narodowość.

Tak więc Jakow Markowicz Rappoport nie był ani Jakowem, ani synem Marka, ani Rappoportem. Urodził się nie wiadomo kiedy i z pewnością nie w Berdyczewie. Nie związał się z żadną zamieszkującą ZSRR narodowością, lecz był twórcą, a zarazem jedynym reprezentantem nowej narodowości — żydowsko-indyjskiej.

Gdy w 1935 roku towarzysz Stalin przeglądał po zamordowaniu towarzysza Kirowa listy z nazwiskami odpowiedzialnych i niezbyt odpowiedzialnych funkcjonariuszy aparatu partyjnego i przy niektórych spośród nich stawiał ptaszki, koło nazwiska Sary Rappoport narysował niebieskim atramentem grubą kropkę, zamyślił się, posłał fajkę nieco dłużej. Sarę znał Stalin od dawna. Często spotykali się przed rewolucją. Myślał, że jest Gruzinką i się do niej zalecał. Była wtedy szczuplutka jak trzcina, nosiła czarny warkocz. Gdy w 1919 z małym dzieckiem wróciła do Rosji, nieznacznie przytyła. Stalin spotkał ją w KC, przyjaźnie położył rękę na ramieniu i proponował pracę w Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej, którą kierował.

— Wyszkolone kadry nie poniewierają się pod nogami — powiedział.

Sara Rappoport została maszynistką u zastępcy przewodniczącego Inspekcji Warłaama Awanesowa, który ściśle współpracował z Dzierżyńskim. Stalin nie lubił tego człowieka za awantury i

polemiki, bez których ten nie mógł się obejść. Ponoć była w tym szczypta niechęci Gruzina do Ormian, ale to nieprawda. Załatwiwszy Sarze pracę u Awanesowa Stalin zaczął zapraszać ją do siebie na letnisko w Barwisze, spacerował z nią po lesie. Pewnego razu, gdy szli ścieżką, a Stalin niby to przypadkiem położył Sarze rękę niżej talii, spotkali Włodzimierza Ilicza. Lenin zatrzymał się i z charakterystyczną dla siebie szczerością pogroził im palcem:

— Coś mi się widzi, że przewodniczącego Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej łączą z sekretarką Awanesowa drobnomieszczańskie stosunki? Trzeba tu przysłać inspekcję robotniczo-chłopską, niech wykryje, co w trawie piszczy!

Zrozumiawszy, że z biurowego romansu nici, Stalin oświadczył się Sarze. Jeśli się zgodzi za niego wyjść, on rozwiedzie się z żoną. Ale Sara odmówiła, więc przestał zapraszać ją na majówki.

— Coś niesamowitego! — myślał po latach Jakow Markowicz. — Stalin mógł mnie zaadoptować! I mówiłbym do niego „tato”!

Nasmarowawszy niebieskim atramentem tłustą kropkę Stalin przypomniał sobie, że w młodości Sara Rappoport miała ładną cerę. Ale potem zraziła go odmową. Pomyślał też o Awanesowie, który już umarł. Straszny egoista. Gdy w 1918 przyszedł do niego komendant Kremla Malkow i spytał, co robić z Fanią Kapłan, która strzelała do Lenina i zraniła wodza, Awanesow sam kazał ją rozwalić, nie zasięgając rady Stalina. Z pewnością chciał się wkraść w łaski Lenina, a jego, Stalina, usunąć na margines. Nawiasem mówiąc, Fania Kapłan była Żydówką. I zdaje się, Sara mówiła, znały się przed rewolucją. Towarzysz Stalin pomyślał jeszcze chwilę, postawił na liście obok nazwiska Rappoport, ptaszka i takie oto pytanie: „Czy nie brała przypadkiem udziału w zamachu na Lenina?”

Mamę Jaszy aresztowano. Z więzienia na Łubiance napisała do Stalina gniewny list: „Koba! Natychmiast mnie wypuść. Żądam tego! To ohydne — załatwiać w taki sposób porachunki z kobietą!” Za słowa „ohydne” i „żądam” Sarę Rappoport rozstrzelano.

Jasza uczył się wtedy sztuki rzeźbiarskiej. Chciał zostać rzeźbiarzem-monumentalistą. Jego praca dyplomowa nosiła tytuł „Lenin i Stalin w Gorkach”. Stalin przyjechał, obaj wodzowie siedzą na ławeczce, natchniony Lenin rysuje wizję przyszłości, a równie natchniony Stalin rozwija myśl Lenina. Drobną historyczną nieścisłość: w okresie, który Rappoport uwiecznił dla potomnych, sparaliżowany Lenin w ogóle już mówić nie mógł. Ale wszystko było zgodne z zasadami socjalistycznego realizmu.

Na studiach Jakowowi się powiodło: nikt nie wiedział, że jego matka siedzi. Szkoda tylko, że on, syn rewolucjonistów, nie mógł o ich życiorysach pisać w swej ankiecie: po pierwsze, miał ojca-cudzoziemca, po drugie, jego matkę represjonowano, a po trzecie, wciąż ukrywał prawdę. Nie gorzej niż inni rozumiejąc, że ankieta jest donosem na samego siebie Jakow Markowicz nie spieszył się z ujawnianiem szczegółów swej biografii. Inna rzecz, że zrobił się taki mądry dopiero po szkodzie, kiedy już raz się sparzył.

Uczelnia skierowała go do rzeźbienia stumetrowego posągu Lenina, który miał zdobić dach Pałacu Rad. Pałac budowano nad rzeką Moskwą, w miejscu, gdzie uprzednio stała wysadzona w powietrze cerkiew Chrystusa Zbawiciela. Rzeźbiarze pochodzenia robotniczo-chłopskiego podkpiwali sobie z Indusa Rappoporty; Jakow Markowicz po raz pierwszy i ostatni w życiu poczuł w związku z tym przypływ narodowej dumy. Złożył na milicji podanie z prośbą o zmianę w rubryce „narodowość”. Chce, by tam było napisane „Żyd”, a jeśli to niemożliwe, niech będzie byle jaka narodowość, ale prawdziwa, nie zmyślona.

— Jak to — byle jaka narodowość? — spytał podejrzliwie naczelnik komisariatu — A tak naprawdę, kim jesteś?

— Jestem Żydem, Jewrejem...

— Na pewno?

— Proszę na mnie spojrzeć...

Obiecali mu, że wszystko wyjaśnią i kazali raz jeszcze wypełnić ankietę. W nocy po niego przyszli. Na przesłuchaniach dowiedział się, że szpiegował na rzecz republiki Indyjskiej. Nawet go nie bili. Pozwolili przez dwa dni odpocząć od jedzenia i picia, a potem nakarmili śledziem. W dwa dni później, stęskniony za odrobiną wody, przypomniał sobie, że istotnie był rezydentem służby bezpieczeństwa burżuazyjnej republiki Indej. Bał się tylko, że każą mu pokazać Indeję na mapie. Ale jakoś się obyło.

— Nie jesteś rezydentem — skorygował jego zeznania śledczy — zostałeś zwerbowany przez rezydenta, jasne?

Było to nawet lepsze, ponieważ, jak się okazało w trakcie śledztwa, inni artyści specjalnie rzeźbili ogromny posąg. Pałac wznoszono na błotnistym gruncie w tym celu, by monumentalny Lenin runął na gmach Rządu po drugiej stronie ulicy. Więc Jakow Markowicz nie najgorzej na tym wyszedł. Skazany przez Kolegium Specjalne OSO w trybie natychmiastowym, bez śledztwa i sądu dostał za zdradę ojczyzny dziesięć lat. Tym bardziej mu się należały, ponieważ wąt-

pił w przyjaźń między narodami (nazwał sam siebie „jewrejem”). Z więzienia na Łubiance przenieśli go do krasnopriesnienskiego więzienia etapowego, a stamtąd do obozu nad Drugą Rzeczką pod Władystokiem.

W łagrze Jakowa Markowicza wystraszano natychmiast i to porządnie. Już pierwszego dnia, gdy stał w kolejce po zupę, zwałił się na niego z tyłu jakiś ciężar. Rappoport, który z trudem utrzymał się na nogach, usłyszał z tyłu rechot. Upadł na niego trup, stwardniały na mrozie, trzymany przez dwóch kryminalistów, którym nagle sił zabrakło. Rappoport dźwigał tego trupa aż do okienka, gdzie nie orientując się, w czym rzecz, wydawano umarłakom porcje, zrzęcznie chwywane przez kryminalistów.

Przez dwa dni nieboszczyk fasował żywność, nocą kryminaliści gdzieś go ukrywali. Rappoportowi twarz zmarłego wydawała się znajoma. Nie miał wątpliwości, że to Żyd. Potwierdziło się to na trzeci dzień, gdy strażnicy zobaczyli zwłoki i na podstawie numeru wyjaśnili, że to niejaki Osip Mandelsztam. Sprawie ukręcono łeb, mówiono tylko, że więźnia zabili kryminaliści nie bez życzliwego poparcia władz. Rappoport nie od razu skojarzył poetę Mandelsztama z tym nieboszczykiem. Żałował, że poznali się zbyt późno.

O tym, że siedział razem z Mandelsztamem, Jakow Markowicz opowiadał osobiście, ale, być może, wcale tak nie było, lub było całkiem inaczej. Może to był inny Mandelsztam, ktoś, o tym samym imieniu i nazwisku co wielki poeta. Utalentowany aktorsko Rappoport zawsze trochę w życiu grał, a czasem fantazjował.

Pragnął ocaleć, więc szukał miejsca, gdzie można było przetrwać. Redagował gazetkę ścienną „Zostań przodownikiem pracy”, pisał do niej artykułiki o tym, jak, wedle jego określenia, „praca przeobraża przodowników w nieboszczyków”. Wyrzeźbił też w glinie popiersie naczelnika łagru, lecz glina rozeschła się i naczelnik popękał.

Pewnego razu, gdy więźniowie kąpali się w łaźni, a Rappoport cały w mydle jako jeden z ostatnich, nagle wpuszczono tam kobiety. Uratowało Rappoporta tylko to, że nie wiedział, co robić. Wciąż poruszał rękami, udawał że się myje. Nagle ktoś krzyknął od drzwi, że wybuchła wojna. Gdyby nie to mydło, Jakow Markowicz miałby własny harem. I może bohaterstwo by poległ, gdyby go wyposzczone więźniarki zauważyły.

Łagrowych kryminalistów wcielano do batalionów karnych i wysyłano na front. Jako więzień polityczny Rappoport nie zasługiwał na takie zaufanie. Niestety, zabrakło bandziorów do wykonania

normy. A ponieważ wysłannik sztabu Rokossowskiego wiedział, że żołnierze batalionów karnych, poobwieszani butelkami z płonącym koktajlem i tak będą rzućeni pod niemieckie czołgi, mniej interesował się ich poglądami politycznymi niż tym, czy potrafią biegać. Politycznych ustawiono w szeregu i wydano rozkaz: „Biegiem marsz!” Jakow Markowicz przybiegł do mety w swoim szeregu jako trzeci, a ponieważ brali po trzech, znalazł się na froncie.

Szeregowy Rappoport otrzymał sto gram spirytusu do użytku wewnętrznego oraz litr nafty w dwóch butelkach do rąk. Tak zaopatrzony położył się przed czołgiem i czekał. Ale czołg, który jechał w jego stronę, nagle stanął przed nim w odległości dwóch metrów: paliwo skończyło się Niemcom wcześniej niż Rappoportowi. Jakow podniósł się, chciał wracać do swoich, lecz postrzelili go nasi; szli za żołnierzami batalionów karnych zachęcając ich automatami do dalszej walki z wrogiem.

I znów Rappoport miał szczęście: otrzymał dwa lekkie postrzały, więc go nawet nie wysłano ze szpitala polowego na tyły. Chirurg, też, jak się okazało, Żyd, kazał Rappoportowi opracować lazaretową gazetkę „Za powrót do szeregów!” Zobaczył to dzieło adiutanta dowódcy zarządu politycznego frontu, leczony zastrzykami na lekkomyślnie podłapaną wstydliwą chorobę. Adiutantowi kazano napisać artykuł do „Prawdy”. Rozwalony wygodnie na łóżku, z zagwarantowanym trzy razy dziennie wyżywieniem, Rappoport wysmażył ten artykuł w jedno popołudnie, a już tydzień później zobaczył go w „Prawdzie”. Pod artykułem widniało nazwisko Rokossowskiego.

I wróciłby Rappoport na pierwszą linię, lecz adiutant szefa zarządu politycznego frontu doszedł do wniosku, że zwierzchność może sobie zażyczyć następnych artykułów. Gdy dowiedział się, że szeregowy Rappoport zna niemiecki, zabrał go ze sobą do sztabu frontu. Dawną przewinę byłemu zekowi skreślono. Został skierowany do dyspozycji siódmego oddziału.*

W kabinie dźwiękowej miejsce dla agitatora znajdowało się obok kierowcy. Wyposażony w tuby samochód podjeżdżał do samej granicy, zatrzymywał się, maskował na skraju lasu, i wzywał Niemców, by złożyli broń — tak czy owak przegrali wojnę. Głos byłego więźnia łagrów, najmity kontrwywiadu burżuazyjnej republiki Indej, doskonale słyszeli rosyjscy żołnierze, a gdy wiał wiatr, nawet Niemcy. W ankiecie Rappoportu stopień znajomości języka obcego

* Siódmy oddział zarządu politycznego frontu — praca wśród wojsk i ludności przeciwnika.

został jednak zarejestrowany niezbyt ściśle: instruktor mający ślady defetyzm w wojsku przeciwnika mówił po niemiecku ze specyficznym żydowskim akcentem. Niemcy w okopach odbierali jego apele jako audycje humorystyczne, co umacniało bojowego ducha hitlerowskiej armii.

Na terenach okupowanych Rappoport też przypadkiem się znalazł, chociaż w ankietach tego faktu nie uwzględniał. Gdy wojska Rokossowskiego wycofywały się, by wyrównać front, IGM (Instalacja Głośno Mówiąca) ugrzęzła podczas deszczu na gliniastej drodze. Przez maleńkie okienko Jakow Markowicz zobaczył, że otoczyli go Niemcy. Na szczęście byli pijani. Rappoport włączył głośniki na całą potęgę:

— Kammeraden! Achtung! — zawołał uroczystym tonem usiłując mówić bez akcentu — Wir Sind von der PK. Sonderauftrag des Oberkommandos. Eingehender darf ich nicht sagen. Wir müssen noch heute im Rucken der Iwans sein... Doch diese verdammten Landstrassen! Los! Greift alle zu! Feste! Der deutsche Soldat muss mit dem Russischen Strassendreck fertig werden. Hei-Ruck!...*

Silnik zawył, żołnierze dodawali sobie animuszu wrzaskami. Koła grzęzły w błocie, ale do kocich łbów było blisko. Gdy Rappoport poczuł pod nogami twardy grunt, znów wziął mikrofon do ręki:

— Danke, Kammeraden! — zawołał. — Sieg heil!

— Heil! — odwrzasnęli żołnierze wyrzucając przed siebie ręce.

Do swoich wrócili jak gdyby nigdy nic. Nikt nie zauważył ich nieobecności, a oni nie zwierzali się, co zaszło. I tak by im nikt nie uwierzył, a Jakow Markowicz miałby jak w banku kolejną dychę łagru za zdradę ojczyzny.

Mówiąc szczerze, wielu osobom w redakcji historia ta wydaje się nieprawdopodobna, lecz tak opowiedział Jakow Markowicz, a komu jeszcze wierzyć, jak nie jemu? Na rok przed końcem wojny odzyskał legitymację partyjną.

Przez całą wojnę korespondował z koleżanką ze studiów Asią Rabinowicz. Nigdy do niczego między nimi nie doszło, lecz gdy go aresztowali, nosiła mu do więzienia paczki. Asię ewakuowano na Altaj, mieszkała w Bijsku, uczyła w szkole rysunków. Gdy skończy-

* Koledzy! Uwaga! Jesteśmy z kompanii propagandowej. Na rozkaz dowództwa wykonujemy zadanie specjalne. Jakie — nie wolno mi mówić. Jeszcze dziś musimy się znaleźć na tyłach Iwana... Tylko te przeklęte drogi! Do roboty! Wszyscy! Mocniej! Niemiecki żołnierz poradzi sobie z rosyjskim gównem na drogach! Raz-dwa!

ła się wojna z Niemcami, jednostkę, w której służył Jakow Markowicz, przerzucono na front japoński. Zawieziono ich tam pod koniec działań wojennych, a wkrótce zdemobilizowano. Z Dalekiego Wschodu pojechał, naturalnie, do Bijska, ale po drodze, w Barnaule, spotkał kolegę ze studiów; Wasia Kupcow pracował tam od niedawna jako reżyser w teatrze. To on pomógł Jakowowi Markowiczowi znaleźć pracę w regionalnej „Altajskiej Prawdzie”. Asia przyjechała do Barnaulu i pobrali się.

Rappoport, paradujący na okrągło w oficerskim płaszczu bez naramienników, szybko awansował na szefa działu kulturalnego gazety. Lecz zaczęła się walka z kosmopolityzmem. Jakow Markowicz chętnie pisał artykuły o pochlebcach płaszczących się przed Zachodem.

— Aby nie uchodzić za antysemitę, trzeba nazywać Żyda kosmopolitą — tłumaczył żonie generalną linię partii. W gazecie Jakow Markowicz prowadził rubrykę „Smakuje im rosyjska słonina”. Tytuł ten zapożyczył z popularnej podówczas bajki, a rubrykę nasycał barwnymi przykładami z życia kosmopolitów kraju Altajskiego. Słoniny na Altaju nie było, ale tytuł rubryki brzmiał dobrze. Rappoport, wciąż jeszcze bardzo naiwny, nie podejrzewał, że artykuły, wiersze, a nawet ustne wypowiedzi są, podobnie jak ankiety, donosami. I to nie tylko na samego siebie.

Wojować z kosmopolitami na Altaju przyjechał z Moskwy słynny poeta Aleksander Żarow w towarzystwie ubranego po cywilnemu historyka szuki. Zgodnie z planem kosmopolitami mieli się okazać wszyscy działacze kultury i sztuki Altajskiego kraju określonej narodowości. Pierwszy sekretarz regionowego komitetu partii Bielajew wraz z dwójgiem gości czytał przygotowaną zawczasu listę. Gdy przyszła kolej na Rappoporta, sekretarz komitetu rejonowego partii podrapał się z zakłopotaniem w policzek i wykreślił z niej to nazwisko.

— Co wy robicie?! — obruszył się Żarow. — On na pewno jest kosmopolitą! Ja to czuję!

— Kochani, chyba lepiej znamy naszych kosmopolitów! — odciął gniewnie Bielajew.

(Rappoport pisał dla niego wszystkie referaty oraz artykuły, publikowane w prasie).

— A co ze wskaźnikiem ilościowym? — zaniepokoił się Żarow.

— Owszem, mamy tu kosmopolitę, choć to Rosjanin. Reżyser teatru dramatycznego Kupcow. Wpiszmy zamiast tamtego...

Córka Bielajewa już rok temu ukończyła szkołę teatralną, a Kupcow z uporem nie dawał jej głównych ról.

Wkrótce kosmopolitów wysłano na magistralę Bajkalsko-Amurską (jak się okazuje, już wtedy ją budowano). Wszyscy wokół zastanawiali się, dlaczego Rappoport ocalał. Chyba nie bez powodu, myśleli, i unikali go.

— Nie bójcie się — namawiał Jakow Markowicz. — Wkrótce i mnie posadzą!

— Odstukaj w nie malowane drewno! — wołała Asia. — Niech już lepiej źle o tobie myślą.

Przykrości odwlekły się o niecały rok. W jednym ze swych artykułów Jakow Markowicz napomknął, że słowo „towarzysz” pochodzi z języka tureckiego. Nie pamiętał dokładnie, gdzie to wyczytał, chyba w słowniku etymologicznym. A zresztą — po diabła czytał? Co go podkusiło do tych filologicznych studiów? Otrzymał wezwanie. Na biurku młodego, sympatycznego śledczego leżał ów artykuł oraz akta sprawy, jaką wszczęto po skandalicznej wypowiedzi Rappoporta o etymologii słowa „towarzysz”. W artykule tym była zresztą mowa, że język rosyjski jest najwspanialszy, najpotężniejszy i najbogatszy w świecie, ale nie to zainteresowało śledczego. Tym razem paczki dla więźnia nie przyjęli, brutalnie wypchnęli Asię za drzwi.

Ponieważ sekretarz Bielajew również już wtedy siedział, przypomniało sobie, że Jakow Rappoport uniknął wcześniej sprawiedliwej kary za kosmopolityczne poglądy. A szpicel redakcyjny dodatkowo poinformował bezpiekę, że kuplet znanej piosenki oskarżony przeczytał w taki oto sposób:

Lokomotywa komunizmu w szczęśliwe jutro pędzi

A maszynista bez przerwy dyrdymały gędzi...

— U nas nic nie zginie, oliwa na wierzch wypłynie — zażartował śledczy również mową wiązaną.

Podczas rewizji znaleziono u Jakowa pudełko z niemieckimi odznaczeniami: przywiózł je sobie na pamiątkę z frontu. Pudełko zabrano, zaś do akt sprawy załączono listę krzyży żelaznych wszystkich stopni, które oskarżony, eks-młodszy sierżant Rappoport otrzymał za szpiegostwo, tym razem na rzecz hitlerowskich Niemiec. Gdy recydywista od razu do wszystkiego się przyznał, śledczy spytał:

— Znasz jakieś kawały? No to opowiadaj...

Anegdota bał się Rappoport chyba najbardziej. Na co mu jeszcze i to potrzebne?

— Kretyn z ciebie! — powiedział śledczy. — Jak który zna dobry

kawał, dając dziesięć lat, a jak nie zna — dwadzieścia pięć! I to ma być kosmopolita!

Wyfasowawszy ćwierć wieku kary Rappoport trafił do Karagandy, gdzie kończyli odsiadkę jeńcy niemieccy. Kazano mu ich agitować, zachęcać do pozostania w Kazachstanie, włączenia się do budowy komunizmu. Ponadto znów przygotowywał gazetkę ścienną, tym razem noszącą tytuł „W walce o przedterminowe zwolnienie”. Politycznych nigdy nie zwalniano przed końcem wyroku, lecz ze względów wychowawczych należało taką możliwość przewidzieć. Tym razem Rappoport odsiedział tylko cztery lata. W 1955 wypuścili go, z początku na zesłanie. Otrzymał wilczy dowód osobisty, po dziś dzień mu drogą pamiątkę przeszłości:

MSW ZSRR, Komendatura nr 34

4 stycznia 1955 r.4/55

Zaświadczenie

Dla obywatela Rappoporta J. M. urodzonego w 1917 w mieście Berdyczów, narodowość indejska. Stwierdza się, że wyżej wymieniony pracuje w charakterze języka niemieckiego i dlatego jako specosiedleńiec ma prawo przebywać wyłącznie w okolicach Karagandy i stacji Maj-Kuduk, Karagandyjskiej kolei żelaznej. Rappoport J. M. zameldowany jest pod adresem: stacja Maj-Kuduk, barak 18. Nie został pozbawiony praw obywatelskich. Zaświadczenie jest ważne do 31 grudnia 1956 roku.

Pom. oddziału operacyjnego MSW Kazachskiej SSR Szkurow.

Gdy Jakow Markowicz odzyskał wolność, natychmiast poszedł do biblioteki. Tam dowiedział się, że tureckie słowo „towarzysz” pochodzi od słowa „towar” oraz „is” — co oznacza „bydło” i „przyjaciel”. Skoro tak, to sprawa wygląda całkiem inaczej. „Towarzyszymi” są zatem przyjaciele, którzy zachowują się jak dzikie bestie. „Prawdziwym przyjacielem jest ten — zwykł mawiać Jakow Markowicz — który wpierw wszystkiego o tobie się dowie, a dopiero potem zawiadomi kogo trzeba.”

Asia przyjechała do męża i razem doczekali się rehabilitacji.

— Co to za narodowość — „indejska” — znów zapytano go na komisariacie milicji w trakcie sprawdzania łagrowych dokumentów.

— Indejski żyd — odpowiedział Rappoport ponuro.

I tak mu zapisali w dowodzie osobistym, już po rehabilitacji.

Rappoportowie zaczęli nowe życie. Udało się im dostać meldu-

nek w Moskwie, a z czasem pokój z kuchnią. Asia, która roztyła się i postarzała, była przedszkolanką. Jakow Markowicz wymyślił sobie nowy pseudonim, zaczął pisać do gazet i czasopism. Nie wspominał tego, co dawno minęło, lecz gdy tylko miał siadać do pisania, brał bułkę paryską, rozcinał ją na kromki, na każdej kromce kładł kielbasę i ser, a wszystko to rozkładał wokół siebie na biurku, niczym figury szachowe. Pisał kilka zdań, mówił „szach!” i wkładał do ust kolejną kanapkę. W łagrze nieraz wygrzebywał ze śmietników obierki od kartofli, a potem smażył je nad ogniskiem na łopacie. Minęło od tego czasu wiele lat, lecz uczucie głodu nie przechodziło nawet po obfitym obiedzie.

— Nazywam się Tawrow, bo mnie napiętnowali! — powtarzał często*.

Drukowano jego artykuły chętnie, pozwalano wypełniać ankiety, lecz nie brano na etat, nawet do niskonakładowych gazet. Makarcew, świeżo powołany naczelny „Prawdy Robotniczej”, wtedy jeszcze bardziej energiczny i bardziej odważny, zaproponował Rappoportowi współpracę. Był to marny, lecz stabilny zarobek, więc Jakow Markowicz natychmiast się zgodził. W tamtym czasie zabiegał bez skutku o reaktywowanie w partii.

Było to tym bardziej trudne, że siedział dwukrotnie, więc decyzję w jego sprawie komisja partyjna wciąż odkładała. I tym razem pomógł Makarcew, lecz gdy Rappoport odzyskał partyjną legitymację, okazało się, że cały jego staż partyjny gdzieś zniknął. Był to bolesny cios: Rappoport marzył, że kiedyś, jako stary bolszewik, otrzyma podwyższoną emeryturę specjalną.

Dobrze go znano w dziennikarskim środowisku, więc nikogo nie zdziwiło, gdy wkrótce został kierownikiem działu wychowania komunistycznego. W epoce intensywnego natarcia komunizmu na wszystkich frontach tworzono takie działy we wszystkich gazetach. „To konieczne — myślał Tawrow. — Partia ustami Nikity Chruszczowa już dzisiaj uroczyście zapowiada, że obecne pokolenie radzieckich inżynierów będzie żyć w komunizmie. Zadaniem działu jest przygotowanie starych ludzi do nowej sytuacji. Bez przygotowania będzie im ciężko.”

Tawrow faktycznie kierował działem od lat, lecz wciąż go nie zatwierdzano na kierowniczym stanowisku. Rosjanin na jego miejscu dawno by się wściekł, uciekł, gdzie pieprz rośnie. Lecz Rappoport był Żydem, cóż z tego, że indejskim, więc nie mógł ot, tak sobie, rzucać niezłej pracy.

* *Tawrow* — po rosyjsku piętno.

— Makarcewowi wygodnie trzymać cię w niepewności — mówili oburzeni koledzy.

— Pewno sądzi, że niepewność dodaje mi energii — kwaśno uśmiechał się Rappoport.

Wobec szefa był lojalny, pamiętał, że ten mu pomógł. Ciągnął więc dalej swój ciężki wózek, wykręcając się tylko od służbowych wyjazdów.

— Nie opiszę wszystkiego, co mi pokażą — tłumaczył. — A zmyślać historyjki potrafię i na miejscu.

Jakow Markowicz bardzo lubił zamieszczane w gazecie wypowiedzi czytelników. Był mistrzem repliki prasowej. Gdy domagano się, by wyraził radość społeczeństwa, natychmiast chwycił słuchawkę telefoniczną i szybko wynajdował stosowne kandydatury — dyrektorów, malarzy pokojowych, artystów, uczonych, taksówkarzy. Recytował im w słuchawkę słowa, które jakoby później wypowiadali sami i kończył stwierdzeniem:

— My zawsze jesteśmy uczciwi. Chyba pan rozumie, bez lipy!

I wypisywał dla siebie zlecenie na honorarium — 5 rubli za jedną czytelniczą wypowiedź.

— Wypowiedzi prasowe to jest coś! — pouczał adeptów dziennikarstwa, gdy odbywali w redakcji praktykę. — To głos narodu. Bo co właściwie, moje dzieci, piszą nasi twórcy? Ależ tak, tak! Ich powieści i wiersze to prasowa publicystyka! Jewtuszenko, Wozniesiński, Roźdiestwiński i inni poeci są zawodowymi dziennikarzami. Sam rzecz jasna napisałbym lepiej, ale dzwonię do nich, niech zarobią. Poza tym, jakie to przyjemne: człowiek zabiera głos w imieniu całego narodu, a nie ponosi ani krzty odpowiedzialności. Ale powiem wam — żeby pisać teksty dla innych, trzeba być artystą, umieć wczuć się w rolę. Wypowiedzi prasowe to wielka literatura, dzieciaki. Spójrzcie tylko!

I pokazywał studentom najbardziej charakterystyczne wypowiedzi: „Jednogłośnie popieramy (potępiamy, protestujemy, piętnujemy, domagamy się)”. W związku z wystrzeleniem sputnika, zwozowaniem lodolamacza, wypowiedzią takiego lub innego obywatela, procesem sądowym pisarzy u nas lub komunistów gdziekolwiek, agresją imperialistów amerykańskich lub izraelskich. By oceniać ten ostatni przypadek, Rappoport korzystał z pomocy obywateli specjalnej kategorii: radzieckich Żydów — entuzjastów.

Czasami tajemniczo znikał z redakcji i tylko naczelny wiedział, co się z nim dzieje. Jakow Markowicz siedział wówczas w rejkonie

partii albo nawet w KC. Jeśli należało pisać dla funkcjonariusza niezbyt wysokiej rangi, mówiono: „trzeba mu pomóc”. Jeśli średniej, to „jedź, on ci pomoże napisać”. Innymi słowy, powie, jak pisać tak, jakby pisał on sam, gdyby potrafił. Dla najwyższych urzędników Rappoport pracował tak samo jak dla tych ze średniego szczebla, bowiem na średnim szczeblu poddawano tekst kastracji i dopiero potem odsyłano go wyżej.

Pewnego razu wezwano go pilnie do kremlowskiego Pałacu Zjazdów. Trzeba było napisać piosenkę dla zespołu „Chłopcy z Jarosławia”, który spodobał się Chruszczowowi. Wieczorem już ją śpiewali z estrady. Niestety, najlepszą zwrotkę zakwestionowała cenzura.

*Oto, co się marzy tym od rakiet
Gdyby tak na księżyc machnąć choćby dzisiaj
I sukcesów naszych cały pakiet
Dostrzec wreszcie należycie.*

W swych prasowych publikacjach Rappoport wyrażał uczucia i myśli przodujących robotników, działaczy partyjnych, dożarek, świniarek, dyrektorów fabryk i kierowników sklepów, działaczy związkowych, dowódców, żołnierzy, pisarzy i kompozytorów, weteranów Wielkiej Wojny Narodowej, pozdrawiających pionierów i młodzież, gdy kazano jej ich witać. Pichcił teksty podpisywane przez sekretarzy partii komunistycznych Afryki i Azji. Mógłby napisać coś również dla prezydenta Indei, gdyby taki istniał. Honorarium otrzymywali rzekomi autorzy, przekonani, że się im słusznie należy. Jakow Markowicz inkasował natomiast czasem uścisk dłoni.

Czytając w gazecie podpisane przez kogoś innego własne słowa przebiegał wzrokiem linijki, a jeśli coś w nich zmieniono, krzywił się niezadowolony i wrzucał gazetę do kosza.

— Widzieliście? — burczał. — Co też oni sobie myślą? Wydaje się im, że są bardziej partyjni niż ja!

Wyglądało to tak, jakby Rappoport budował domki z dziecięcych klocków. „Dwa akapity — dla świniarki, dwa następne — dla dożarki, oto świąteczne podarki” — mruczał jak zadowolony kot przed kolejnym zebraniem, naradą, spotkaniem, wiecem, posiedzeniem, forum, seminarium, sympozjum, kongresem czy nawet zjazdem. Pisał referaty, wystąpienia, przemówienia, apele, zbiorowe listy, rezolucje, powitalne oracje, zalecenia dla potomności i tak bez

końca. Jeśli ktoś sądzi, że nie było konferencji partyjnych, narad aktywu i posiedzeń plenarnych, od a do zet przebiegających według scenariusza pióra Jakowa Markowicza, to taki towarzysz jest antysemitą. Chyba, że na samym końcu prowadzący zebranie nie zaglądną do kartki pytał: „Kto jest za? Przyjęto jednogłośnie.” A po chwili znów zerkał do zatwierdzonego odgórnie tekstu: „Pozwólcie, towarzysze, że w waszym imieniu oraz moim własnym wyrażę gorące podziękowanie Centralnemu Komitetowi naszej partii.”

— Oto co wam powiem, dzieciaczki — mówił do redakcyjnej młodzieży Rappoport. — Jeśli na kuli ziemskiej istnieją ludzie, zamiast których Tawrow nigdy nic nie napisał, to wiedzcie, że nam z nimi nie po drodze! A jeśli nawet po drodze, to iść razem będziemy krótko...

Jak wszyscy wielcy ludzie lubił o sobie mówić w trzeciej osobie. Gdy był potrzebny, tworzono mu dogodne warunki pracy. A gdy pozwalano korzystać ze specbufetów, przygotowywał referaty szybko i starannie. W dodatku tak, jak trzeba, a jak trzeba, wiedział lepiej niż ci, którzy zamawiali materiał. Gdy jednak próbowano prosić telefonicznie, by przyniósł gotowy referat, odpowiadał, że naturalnie, postara się, ale tu, w redakcji, nie ma warunków do tak odpowiedzialnej pracy. Chyba rozumiecie, towarzyszu — gazeta! Szum, hałas, wrzawa, jeden przekrzykuje drugiego. I tak długo gadał, aż w końcu wypisywano mu przepustkę do uprzywilejowanego gmachu. Gdy już tam się znalazł, pędził do bufetu, kupował dla żony puszkę krabów, trochę wędzonego jesiotra, suchej kielbasy, a zimą świeże pomidory i banany. Pakował deficytowe produkty do teczki, po czym wyjmował z niej pudełko z IKRĄ. IKRA, czyli ideologiczny konstruktor Rappoporta była zestawem słów, zdań, cytatów i całych akapitów, wyciętych z gazet i rozłożonych tematycznie w pudełku po perfumach „Czerwona Moskwa”.

Gdy należało pisać artykuł lub referat, Jakow Markowicz sięgał po IKRĘ. Wyjmował z pudełka wycinki ze złotymi myślami na stosowny temat, odświeżał wiedzę o kolejnych zjazdach partii, a gdy było trzeba, wstawiał niechętnie do tekstu przykłady z życia wzięte. Prawa autorskie J. M. Rappoportu nie były chronione, toteż korzystać z jego metody i materiałów bez powoływania się na źródło mógł każdy, kto tylko chciał.

Kiedyś przysłano po niego samochód. Narada w Sali Kolumnowej na temat pracy ideologicznej z młodzieżą już się zaczynała, tymczasem część referatów postanowiono zastąpić innymi. Mimo to Rap-

poport wprawdzie odszukał bufet. Sala cierpliwie czekała. Ale bufet był zamknięty. Dziennikarz wszedł do pokoju, w którym wypoczywali członkowie prezydium, położył teczkę jak najbliżej (żeby ktoś przypadkiem nie buchnął), wydobyl pudelko z IKRĄ i zasięgnąwszy informacji, jaki jest temat narady, zaczął dyktować maszynistce słowo wstępne przewodniczącego. Gdy skończył, przewodniczący zabrał głos. Dalej poszło gładko: w chwili gdy Rappoport kończył pisać tekst dla kolejnego mówcy, ten prosił o głos i wchodził na trybunę.

Pod koniec narady przyjechał honorowy gość — kosmonauta Jurij Gagarin. Ponieważ występował tego dnia na dwóch wiecach, spóźnił się kilka minut. Jakow Markowicz był zmęczony nie mniej niż kosmonauta, lecz gdy słuchacze na stojąco witali owacyjnie obwieszzonego od stóp do głów orderami zdobywcę kosmosu, Rappoport zdążył podyktować maszynistce pierwszą stronę: „W imieniu towarzyszy-kosmonautów i w moim własnym. Jak dziś pamiętam mój pierwszy lot w kosmos. Orłęta uczą się latać.” Kartkę tę dyżurny z czerwoną opaską na ręku zaniósł Gagarinowi i gdy ten czytał ją z trybuny, Rappoport dyktował następną. Ale nie zdążył wyprzedzić mówcy. Gagarin skończył wcześniej i spojrzał w stronę prezydium. Rozległy się burzliwe oklaski.

Pierwszy sekretarz KC Komsomolu Tiażelnikow zniknął w kluarach, by wyjaśnić, co się dzieje. Zatrzymał się koło Rappoporta, który coś gadał jak najęty maszynistce i z zainteresowaniem obserwował proces twórczy.

— Rozgrzewka? — spytał Tiażelnikow.

— Proszę nie przeszkadzać — odpędził go Jakow Markowicz.
— Niech pan wraca do prezydium!

— Dobrze, dobrze — rzekł speszony sekretarz i wrócił na salę.

A tam wciąż huczały oklaski. Klaskano tak długo, póki dyżurny nie przyniósł Gagarinowi następnej kartki. „Dziś, gdy nasza partia i cały naród radziecki.” Sala słuchała z zapartym tchem. Tymczasem Rappoport dyktował następną. „Na pewno wysłuchaliście dzisiaj wiele interesujących i pożytecznych przemówień, więc jesteście zmęczeni. Toteż będę mówił krótko. Życzę wam...”

Gdy narada się skończyła, klnąc cicho pod nosem, Rappoport włożył do teczek kopie podyktowanych przemówień (może się jeszcze przydadzą). Był zły nie bez powodu. W trakcie konferencji i narad od jakiegoś czasu zamykano bufety i kioski z deficytowymi towarami, bo wtedy, gdy były otwarte, nikt nie chciał siedzieć na sali. Wszyscy biegli zająć kolejkę. Zaczęto więc wydawać uczestnikom

talony, które mogli realizować po naradzie. Tawrow nie brał udziału w konferencji, więc nie miał prawa do talonów.

Ominął go Gagarin, zatrzymał się, wrócił.

— Ty pisałeś moje wystąpienie?

— Ja, a bo co?

— Najlepiej kiedy tekst jest krótki. Raz — dwa — i oklaski.

— Zawsze będę pisał krótko, zwłaszcza gdy w bufecie nic nie ma!

— Co ty mówisz?!?! No to chodź!

Pociągnął Rappoporta za sobą i posadził przy stole bankietowym. Sam nalał dziennikarzowi pierwszy kieliszek. Wokół siedzieli członkowie prezydium. Toasty wygłaszano zgodnie z hierarchią. Rappoport stukał się z wszystkimi kieliszkiem i wstawał razem ze wszystkimi, ale nie pił. W łagrach dorobił się wrzodu żołądka. Gdyby nie Asia, która co dzień rano gotowała mu kaszę owsianą, a na noc kisiel, Jakow Markowicz ze swoim wrzodem, zapaleniem woreczka żółciowego, chronicznymi zatwardzeniami i takimi hemoroidami, że nic gorszego nie mogłoby się przyśnić w koszmarnym śnie, nie opuszczałby szpitalnego łóżka.

— Żeby się u nas leczyć — mawiał — trzeba mieć żelazne zdrowie.

Nie jeden wygłasza dziś ten aforyzm, nie wiedząc, że wymyślił go Tawrow. Na szczęście, przy obficie zastawionym stole wszyscy pili ostro i nikt nie zwracał uwagi na Abstynenta Naszych Czasów. Rappoport starał się unikać pieprzonych dań, za to próbował do woli deficytowych produktów, których nie było nawet w bufecie. Lecz oko kosmonauty, który miał za sobą specjalną selekcję i przygotowania do lotu, okazało się bardziej przenikliwe, niż sądził Jakow Markowicz.

— A ty czemu nie pijesz? — spytał Gagarin obejmując Rappoporta. — Wypij natychmiast do dna. Polecenie władz zwierzchnich, jasne?

Wstał, czknął, uspokoił gestem ręki rozgadanych biesiadników i oświadczył:

— Towarzysze! Pozwólcie, że wzniosę toast za niezwykle skromnego człowieka, który siedzi tutaj z nami. My go nie znamy, ale on nas zna dobrze: napisał referaty, które wygłosiliśmy. Jest to... Jak się nazywasz?

— Tawrow — burknął Rappoport.

— Zdrowie towarzysza Tawrowa. Hurra!

— Potrafisz mówić sam, bez zaglądania do kartki? — zdziwił się Jakow Markowicz.

— A ty co myślałeś? Może ja tylko udaję idiotę. Pij, jak się umówiliśmy, do dna!

Tego wieczora, dzięki Gagarinowi, Jakow Markowicz poczuł się wesoło i lekko. Mają rację ci, którzy piją. Czasem ktoś żyje długo, posiwiały mu włosy, a szczęścia nie zaznał.

Wszyscy zaczęli się rozjeżdżać. Tylko na Tawrowa nie czekał samochód z kierowcą. Wyprowadził go na ulicę Gagarin. Taksówkarze, którzy natychmiast rozpoznali zdobywcę kosmosu, na wyścigi ruszyli w jego stronę otwierając w biegu drzwiczki. Pierwszego, który podjechał, Gagarin poprosił:

— Zawieź do domu tego kosmonautę! Trochę za dużo wypił. To dla ciebie, przyjacielu!

I podał kierowcy zmięty pięciorublowy banknot. Sam też był w stanie wskazującym na spożycie.

— Ech, Tawrow, Tawrow! — rzekł z rozmarzeniem Gagarin i trzykrotnie ucałował Jakowa Markowicza. — Wysłałbym cię w moje rodzinne strony, na wieś Kłuszyno, w grzackim regionie, znaczy, obecnie gagarinowskim.

— Za co?

— Byłbyś świetnym przewodniczącym kolchozu: nie umiesz ani pić, ani trzymać ludzi za mordę!

— Dobrze, że nie jesteś Chruszczowem, Jura, w przeciwnym razie znów by mnie zesłali!

— Czołem, chłopie! — Gagarin uściskał Rappoporta. — Szanujesz mnie? No to weź na pamiątkę!

Zerwał coś z piersi, włożył to Rappoportowi do ręki, zacisnął na tym czymś jego palce. Jakow Markowicz, niemal ślepy w ciemnościach, przybliżył dłoń do oczu.

— Order Lenina! — zawołał przestraszony, bo już raz siedział za ordery. — Oszalałeś?!

— Bierz, bierz! Mam tych śmieci mnóstwo, po sto sztuk każdego rodzaju. Jak nie wierzysz, przyjeźdź do Gwiezdnego Miasteczka. Każę wypisać dla ciebie przepustkę, a przekonasz się... Jak tylko gdzieś przyjeżdżam, rozradowany tłum rzuca się na mnie. A potem patrzę — ordery zniknęły. Więc Rada Najwyższa wydała uchwałę i robią dla mnie faszywe. Jak mi jakiś oderwą, żona czyści nowe kredą i przykręca.

— A zagraniczne?

— Zagraniczne też — to przecież tylko miedź i szkielka. A ty myślałeś, że diamenty? No, bywaj!

W chwili tej Jakow Markowicz bez żalu ofiarowałby Gagarinowi swój prawdziwy medal. Lecz nie miał odznaczeń, o których wspo-

mniał w ankiecie: oba odebrano mu podczas drugiego aresztowania razem z faszystowskimi krzyżami.

Asia Isaakowna usłyszała dziwny szmer. Jej mąż siedział na schodach z orderem Lenina na piersi i szarpał pazurami ścianę. Chora Asia na własnych plecach zaciągnęła go do łóżka. Bardzo mądra i bardzo brzydka, gruba i dobra, była jedynym człowiekiem na świecie, oddanym Rappoportowi bez reszty. W ciągu roku zabił ją rak piersi. Zbyt późna operacja (Asia długo bała się iść do lekarza), nie tylko nie pomogła, lecz przyspieszyła koniec.

Po śmierci żony Jakow Markowicz strasznie się zaniedbał. Coraz rzadziej prał koszule, spodni nie prasował nigdy. Guziki przyszywały mu maszynistki redakcyjne, a skarpetek nie zdejmował, nosił je, póki nie podarły się na strzępy. Wtedy kupował nowe i wkładał je w redakcji, chowając stopy za biurkiem.

Pewnego dnia wybrał się kupić futrzaną czapkę. Stara skurczyła się, była zbyt ciasna, a w cyklistówce marzła głowa. Czapek, naturalnie, w sklepie nie było, lecz przywieziono importowane, angielskie kapelusze gigantycznych rozmiarów. Jakow Markowicz stanął w kolejce i też kupił, bo brali wszyscy. Nie podejrzewał, czym się to skończy. W redakcji dużo mówiono o jego nowym nakryciu głowy. Przychodzili koledzy, obmacywali kapelusz, prosili, by go włożył, przeszedł w nim kilka kroków. Szary kapelusz z czarną wstążką w Anglii miał służyć na uroczystościach pogrzebowych, ale w Moskwie wszyscy byli zachwyceni tym nakryciem głowy.

Przez ten nowy kapelusz zaczęły rzucać się w oczy mankamenty reszty stroju. Radzono Rappoportowi, by kupił nowy garnitur (są teraz niedrogie polskie) i koszulę (rzucają czasem enerdowskie). Koledzy proponowali, że pójda z nim na zakupy, pożyczą pieniędzy. Skończyło się na tym, że Rappoport kupił spod lady jugosłowiańskie szare palto. Maszynistki zrzuciły się po dwa ruble i ofiarowały mu na urodziny koreański zielony szalik w kratkę. Zabrakło dwóch rubli, więc solenizant je dołożył z własnej kieszeni.

— Teraz, Jakowie Markowiczu, może pan robić wszystko, co zechce. Wyjechać za granicę, nawet się ożenić.

— Za granicę mnie nie wypuszczą, dziewczynki, a ożenić się nie zamierzam. Kupiłem coś takiego po raz ostatni w życiu, żebyście mnie miały w czym pochować. Chyba zdążę oddać pożyczoną forszę! Na co mi ten kapelusz? Teraz muszę myśleć o garniturze. Więc kiedy mam pracować?

Podczas zimowych mrozów kapelusz cały się pomarszczył, pal-

to powycierało się, garnitur ubrudził, buty rozdeptały się, a koszulę enerdowską po obciążeniu sztywnego kołnierzyka Tawrow zaczął nosić zamiast podkoszulka. Wkładał na nią ciemnoszary sweter, na którym nie było widać brudu. I wszystko wyglądało tak jak dawniej.

Choć minęły trzy lata od śmierci żony, Rappoport nie mógł odzyskać spokoju. Wciąż kochał Asię, w ankietach pisał o niej tak, jakby była żywa. Fakt, że nigdy nie zwrócono mu na to uwagi, świadczy o tym, że ufa się u nas ludziom. A przecież nawet dane o własnym synu wpisał Rappoport do ankiety niezgodne z prawdą.

Tak naprawdę Kostia był synem przyjaciela Rappoportów, Wani Diedowa oraz jego żony Rity, aktorki pięknej niczym madonna Rafaela. Parę tę aresztowano wcześniej niż Rappoporta. Zamiast z miejsca wysłać dziecko do sierocińca NKWD, zapomniano o malutkim CzSIRze*, pozostawiając go w mieszkaniu. Rappoportowie zajęli się chłopcem, lecz nie zdecydowali się na adopcję: nie chcieli Kosti szkodzić, kto wie, co się jeszcze zdarzy!

Teraz chłopak miał już prawie dwadzieścia dwa lata. Mieszkał sam, lecz często odwiedzał ojca. Za wynajmowany przezeń lokal płacił Jakow Markowicz. Była to kuchnia w jednopokojowym mieszkaniu: właściciele wyjechali na trzy lata z Moskwy, swoje rzeczy zamknęli w pokoju na klucz, a kuchnię, w której stała kozetka i kuchenka gazowa, wynajmowali za 35 rubli miesięcznie. I znów Rappoport się martwił — tym razem o syna. Po ukończeniu studiów i uzyskaniu specjalności inżyniera, budowniczego zapór wodnych, Konstanty Iwanowicz Diedow gwałtownie zmienił swe młode życie.

Jego koledzy odwiedzali czasem Jakowa Markowicza. Nie byli to, broń Boże, chuligani, jak ktoś mógłby pomyśleć. Chłopcy z porządnych rodzin. Przygotowując razem zadania domowe, uczyli się przy okazji hebrajskiego. Niedawno Kostia zjawił się u ojca i już od progu spytał:

— Tato, nie masz czterystu rubli? Jak zrobimy zrzutkę, to ci oddamy. Udało się nam zdobyć encyklopedię żydowską.

— Synku, skąd miałbym mieć pieniądze? Dobrze wiesz, że wydaliśmy wszystko na prezenty dla lekarzy, gdy chorowała mama. A jutro nie będzie za późno? Spróbowałbym pożyczyć. Po co ci ta encyklopedia? Jak przyjdzie Purim, i tak ci wszystko wyjaśnię.

* CzSIR — *czlen senji izmiennika rodiny* (członek rodziny zdrajcy ojczyzny), tak zgodnie z radzieckim kodeksem karnym czasów stalinowskich nazywano krewnych osób represjonowanych — ich żony, dzieci itd., za sam fakt pokrewieństwa również poddanych represjom.

— Dziwny z ciebie człowiek, tato! Wciąż jesteś naiwny... Wierzysz, że pierwszego kwietnia specjalną uchwałą zlikwidują w tym kraju antysemityzm? Jeśli nawet tak się stanie, będzie to tylko prima-aprilisowy żart.

— Wcale tak nie myślę, synu. Ale co ty masz z tym wspólnego? Twoja matka i ojciec byli, na szczęście, Rosjanami.

— Chyba już ci wytłumaczyłem. To tylko fotografie na ścianach, nie moi rodzice!

— Dobrze, niech ci będzie! Ale jesteś komsomolcem, zostaniesz inżynierem. To chyba lepsze niż ideologia. Wstąpisz do partii, jeśli cię jeszcze nie sfotografowali w pobliżu synagogi. Nie wiesz, że podręczniki hebrajskiego to książki antyradzieckie? Chcesz wpaść w sieci międzynarodowego syjonizmu?

— Trudno to wytłumaczyć. Mama mówiła, że rosyjskie żony żydowskich mężów czują się Żydówkami.

— Szukasz męża, synku?

— Nie żartuj, tato! Wstyd mi po prostu, że jestem Rosjaninem! Szkoda, żeś mnie nie zaadoptował.

— Wcale nie. Wierz mi, w tym kraju lepiej być Rosjaninem.

— A jeśli ja nie chcę w tym kraju żyć? Moi przyjaciele mają przynajmniej nadzieję — mogą wyjechać. A wy z mamą, wpisując mi do dowodu narodowość rosyjską, pozbawiliście mnie nadziei!

— Wybacz, synu. Czy to moja wina? Proszę cię tylko o jedno: bądź ostrożny. Jeśli choć na chwilę zapomnisz o niebezpieczeństwie, spotka cię mój los. Spójrz tylko!

Jakow Markowicz zadarł koszulę, odwrócił się plecami do Kostii i pokazał krzywe, czerwone blizny.

— To mi przyłożył rzemieniem z metalową kulką naczelnik KWCZ*, gdy w gazetce ściennej, wymieniając narody, żyjące przyjaźnie w naszym kraju, zaliczyłem do nich także Żydów.

— Widziałem już ze sto razy te twoje blizny — Kostia poklepał ojca po plecach i opuścił mu koszulę. — Ale teraz ty sam...

— Owszem, synku, dużo gadam i urągam, bo nie mam nic do stracenia. Jestem stary, zniszczony, bez wartości. Jak dobrze się przyjrzeć, to nawet nie jestem Żydem.

— Ależ jesteś.

— No dobrze, niech będzie. Wszystko mi jedno, gdzie skończę

*KWCZ — sekcja kulturalno-wychowawcza łagru.

— za drutem kolczastym czy na wolności. Z wieży strażniczej strzelają w obie strony. Ale ty...

— Dziś już nie pakują do łagru równie często jak dawniej. Ale co z tego? Tylko to, że na wolności żyje się tak samo jak w więzieniu. Więc słuchaj: lepiej, żebyś ...

— Mam siedzieć cicho? Pokorne dzięki.

— Nie odradzam ci, Kostia. Ja cię tylko błagam...

— No dobrze, dobrze! Nie bój się, mój ty Żydzie.

Rappoport twierdził, że gdyby za ankiety, autobiografie i opinie, które sam o sobie pisał, wypłacono mu honorarium wedle przeciętnych stawek „Prawdy Robotniczej”, to mógłby sobie kupić domek letniskowy. Chociaż nie lubił ankiet, na niektóre postawione w nich pytania odpowiadał z radością. Tak więc, bez obawy pisał, że nie był prześladowany przed rokiem 1917 i nie służył w białej armii. Na szczęście dopiero wtedy się urodził.

— Jestem rówieśnikiem Października — przedstawiał się nowym znajomym. — Zainaugurowałem początek nowej epoki. A pan, kiedy przyszedł na świat? Przed czy po?

Do innych partii niż komunistyczna nie należał, bowiem takowe w Związku Radzieckim nie istniały. Bardzo żałował, że ostatnio zniknęło z ankiet pytanie: „Czy kiedykolwiek wahał się w trakcie wcielania w życie generalnej linii partii? Tylko na to pytanie komunista Rappoport z dumą i stanowczością mógł odpowiedzieć o każdej porze dnia i nocy, na każdym zakręcie historii: „Nigdy!” Jeśli kiedykolwiek się wahał, to wahania jego współbrzmiały z generalną linią partii.

Inne rubryki ankiet, które Rappoport wypełniał, sprawiały mu przykrość, kazały współżyć z nieprawdą. Ale kłamstwo nie było ciężarem. Za kłamstwa, które drukował, tylko go chwalono. Natomiast za kłamstwo w ankiecie mógł mieć nieprzyjemności. Pewnego razu omylił się: w rubryce „przynależność partyjna” wpisał „niekarany”. Nie spał przez całą noc, o świcie nie ogolony wbiegł do gabinetu sekretarza redakcji, zdążył poprawić błąd, lecz tego dnia wciąż trzymał się za serce.

— Bądź człowiekiem, Rap! — błagali koledzy, chcąc, by coś im załatwił.

— Przede wszystkim jestem komunistą — odpowiadał Jakow Markowicz — a dopiero potem człowiekiem.

— Rób, jak ci dyktuje sumienie!

— Jakie sumienie? — ripostował Rappoport. — Mam dwa sumienia: partyjne i własne.

— No więc własne!

— Dobra, ale pamiętajcie: moje własne też jest własnością partii! Starał się unikać wszelkich działań, zwlekał do ostatniej chwili, gdy na podejmowanie decyzji było już za późno. Za to radzić innym co robić, potrafił jak mało kto. I zawsze przy tej okazji dodawał:

— Nikomu ani słowa, że to ja ci podpowiedziałem!

Taki był Jakow (Jankiel) Markowicz (Mejerowicz), publicysta znany czytelnikom „Prawdy Robotniczej” pod pseudonimem Tawrow.

15. Reguły gry

— Wybacz, że cię oderwałem od roboty — Makarcew uniósł się z krzesła, ściskając wyciągniętą bezwładną, miękką rękę Rappoporta.

Stary dziennikarz wszedł do gabinetu ciężkim, wolnym krokiem. Otworzył szeroko drzwi nie wypowiedziawszy nawet słowa. Był od urodzenia gruboskórny, ponury, w kontaktach ze zwierzchnikami wyraźnie to demonstrował. W ten sposób zmagął się z własnym tchórzostwem.

— Papierosa? — zaproponował Makarcew, wstał i zamknął uchylone drugie drzwi.

— Dla kogo mam dziś pisać?

Makarcew uśmiechnął się krzywo i zapalił. Rappoport wyjął z kieszeni „Wiewióreczkę”, rozwinął szeleszczący papierek, rzucił pod krzesło, a włożonego do ust cukierka zaczął powoli ssać.

Wszyscy w redakcji byli ze sobą na „ty”. Ci, którzy tego nie robili, należeli do wyjątków. Igor Iwanowicz „tykał” wszystkim zgodnie ze starym partyjnym zwyczajem, ale do niego wszyscy zwracali się per „pan”. Jakow Markowicz był jedynym pracownikiem „Prawdy Robotniczej”, który był na „ty” z naczelnym.

— Nie przejmuj się za dużo — powiedział Rappoport ssąc dalej cukierka. — Nie myśl, że piszę to wszystko, bo tak mi podpowiada mój mózg. Na mózgu mam odciski. Jeden łajdak więcej wyjdzie na trybunę? I co z tego? Trybuna jest dębowa, wytrzyma. Niejedno słyszała. Gdybym musiał napisać referat dla przyzwoitego faceta, wtedy co innego, wtedy na pewno bym odmówił.

— Dlaczego? — zainteresował się prostodusznie Makarcew.

— Bo przyzwoity sam powiedziałby, co myśli. Ale już nie ma przyzwoitych, wymarli.

Gdyby Makarcew usłyszał to z innych ust, może by zaprzeczył.

Lecz Jakow Markowicz obojętnie stwierdził oczywisty fakt. Złość byłaby gorsza niż milczenie. Więc naczelny potraktował słowa Rappoportu jako pochodną jego nieuniknionych wad i gestem ręki wskazał koledze krzesło.

— Chcę z tobą pogadać.

— Dobrze czy złe nowiny?

Jeśli oczekiwanie trwało zbyt długo, Rappoport denerwował się: spieszno mu było poznać finał sprawy. Wciąż jeszcze sapał, zmęczony wspinaczką po schodach. Na środkowych piętrach nie można doczekać się windy. Usiadł w fotelu i krótkowzrocznymi, wyłupiastymi oczami, poprzez grube szkła okularów patrzył tępo w ścianę. Rozumiał, że i tak nic dobrego stać się nie może, a tego co złe niepodobna uniknąć.

Makarcew przyglądał się Rappoportowi, tak jakby go od dawna nie widział. Twarz miał Jakow Markowicz wymiętą, zmarszczki przeorały mu skórę nawet tam, gdzie mogło ich nie być. Pod oczyma miał worki, długi nos zwisał nad ustami, policzki były źle wygolone, a wokół gigantycznej łysiny sterczały resztki szarych włosów, nie strzyżone od śmierci żony. Rappoport nie znosił zakładów fryzjerskich. Asia sadzała go czasami w kuchni na stołku i sama strzygła. Garbił się tak bardzo, że można było pomyśleć — to kaleka, garbus. Marynarki nieokreślonego koloru, obsypanej łupieżem na plecach i na ramionach nigdy nie zapinał, jej zwisające poły zasłaniały szerokie nogawki spodni. Gdy ciało poruszało się, poły powiewały, zasłaniając ręce. Rappoport przypominał wynędzniałego, chorego orła z połamanymi skrzydłami wypuszczonego w ogrodzie zoologicznym na wolność, bo nie ma już sił latać.

Igor Iwanowicz chciał przede wszystkim rozmawiać o maszynopisie, lecz zaczął od czegoś innego: po co Tawrow ma wiedzieć, że problem ten szczególnie go nurtuje.

— Co tam z Katukowem? Wszystko w porządku?

Rappoport wzruszył ramionami. Na krótko przed dniem Armii Radzieckiej do jego pokoju wmaszerował defiladowym krokiem oficer, zasalutował i spytał:

— Wy jesteście szefem działu wychowania komunistycznego?

— Owszem, o co chodzi?

— Przyniosłem wspomnienia marszałka wojsk pancernych Katukowa. Zamieście 23 lutego.

Położył na biurku maszynopis, raz jeszcze zasalutował i wyszedł. W gabinecie Jakowa Markowicza poniewierały się całe tony

wojennych wspomnień. Marszałkowie, generałowie, a nawet całkiem niskie rangi — każdy chciał się wcisnąć do historii. Wszystkie wspomnienia były bliźniaczo do siebie podobne. Na ten stos Rappoport rzucił tekst Katukowa nie przeczytawszy go. Gdy przed dniem Wojska nie znalazł innego rocznicowego materiału, wziął ze stosu to, co leżało na samym wierzchu, skrócił pięciokrotnie i oddał do druku. Jednak dyżurny sekretarz Poliszczuk zawołał zdziwiony:

— Katukow? Ależ Jakowie Markowiczu! Cenzura nie puści. To szurnięty facet, od czasu gdy miał wypadek samochodowy. Wie pan, jakie stworzyli dla niego stanowisko? Jest inspektorem wojskowym, doradcą grupy inspektorów generalnych Ministerstwa Obrony. Wesoła kompania zramolałych generałów.

No i trzeba było wziąć inne wspomnienia. Lecz 23 lutego rano otworzyły się drzwi gabinetu i przed Jakowem Markowiczem pojawił się znany mu już oficer. Zasalutował, trzasnął obcasami i ryknął:

— Zaraz tu będzie marszałek wojsk pancernych Katukow.

I w pozycji „baczność!” powitał wchodzącego.

— To Rappoportow? — upewnił się marszałek.

— Tak jest — zameldował oficer.

— Towarzyszu Rappoportow! — Katukow oparł na biurku masywną pierś obwieszoną orderami. — Dlaczego nie wydrukowaliście mojego artykułu?

Jeśli wyciągnie pistolet i mnie zastrzeli, kto wieczorem nakarmi koty? — zapytał sam siebie Jakow Markowicz.

— Widzi pan — próbował tłumaczyć się generałowi — pański materiał był już gotowy do druku, proszę spojrzeć, tu jest korekta, ale...

— Ale co — ręka marszałka spoczęła na kaburze, a może tylko tak się Rappoportowi zdawało.

— Ale moi zwierzchnicy stwierdzili... wspomnienia są tak interesujące, że zamieścimy je 9 maja, w dniu zwycięstwa. To jeszcze bardziej zaszczytne...

— W porządku. Ale zapamiętajcie — jak 9 maja ich nie będzie, przyjadę tu na czołgu!

Odwrócił się na pięcie i odmaszerował razem z adiutantem.

— Jak myślisz, poskarży się na nas? — spytał Makarcew, który jeszcze nie znał dalszego ciągu tej sprawy.

— Przed 9 maja nie. Obiecałem mu.

— Dobrze. A potem się zobaczy.

Igor Iwanowicz znów umilkł. Pewno Jakow Markowicz uzna jego milczenie za biurokratyczny obyczaj. Dziennikarz czuje się po-

nizony, spodziewa się, że szef wezwał go na dywanik albo wyda polecenie, samo przez się tak paskudne, że jego wykonanie przyprawia o mdłości. Więc naczelny postanowił pochwalić Rappoportą, powiedzieć mu coś miłego.

— Zauważyłeś, że w naszej redakcji pleni się niedbalstwo? Mówimy „zrobię” i natychmiast o tym zapominamy. Polecenia wydawane są w ślimaczym tempie, nikt ich nie respektuje, nie kończy roboty w terminie. To niedopuszczalne, niezdrowe! Jedyńy odpowiedzialny dziennikarz, który pracuje operatywnie — to ty.

Rappoport przeniósł wzrok ze ściany na naczelnego.

— Chcesz mnie zwolnić?

— Skąd ci to do głowy przyszło?

— W takim razie sam masz kłopoty. Bo niby dlaczego miałbyś do mnie dzwonić, przepraszać że odrywasz od pracy?

— Telepata z ciebie, Jakow.

— Nie telepata, lecz apatryda.

— Kto, kto?

— Żyd partyjny.

— Niestety, ja rozumiem tylko po rosyjsku.

— Bzdura! Czy my wydajemy rosyjską gazetę?

— A jaką?

— Nie rosyjską, ale partyjną. Mów natychmiast o co chodzi.

Igor Iwanowicz znów się zawahał. Dlaczego Rappoport tak mną gardzi, zawsze byłem wobec niego w porządku! Bardzo się zmienił. Ten niegdyś świetny dziennikarz żywo przedstawiał każdy temat, nawet śmiertelnie nudny. Opowiadał wręcz fascynująco. Makarcew świetnie pamiętał jego wspomnienia z łagrów, w których Rappoport miał nieszczęście siedzieć. Stopniowo jednak dowcip tego człowieka coraz bardziej ociekał żółcią, a jego talent dziennikarski schodził na psy. Zbyt często Rappoport brał chałtury. No a teraz demoralizuje redakcyjną młodzież. Sam w nic nie wierzy, drwi ze wszystkich, zwłaszcza z tych, którzy mają inne zdanie.

Repliki Rappoportą rzucone ot tak, przy okazji, przerażały naczelnego. Naturalnie, to tylko skutki ciężkich przeżyć, w głębi duszy Tawrow jest komunistą. Ale mimo wszystko zanim coś się powie, mógłby pomyśleć! Najgorsze jest to, że drwi z własnych artykułów. Nieraz cytował fragmenty dawnych wypowiedzi dzisiejszych przywódców, brzmiące dziś tak, że lepiej nie wspominać.

Toteż często nachodziła go myśl: a gdyby tak pozbyć się Tawrowa? Chwaląc go za pracowitość i operatywność naczelny był jed-

nak szczerzy. Wiedział, że gdy na posiedzeniu egzekutywy cokolwiek zaproponuje, Rappoport bez wahania go poprze, nie tak jak inni, dla których odejście z redakcji byłoby pestką... Dzięki swemu cynizmowi jest zresztą szalenie pożyteczny, nigdy niczego nie odmawia. Jeśli coś jeszcze zachował w głębi duszy, to z pewnością uczciwość: właśnie dlatego postanowił zasięgnąć jego rady.

— Jakowie Makarowiczu, chciałbym o coś spytać, ale proszę dać słowo honoru, że pozostanie to między nami.

Rappoport nawet nie drgnął. Wciąż wpatrywał się w bliżej nieokreślony punkt na ścianie. Makarcew też spojrział w tym kierunku, ale niczego nie zauważył.

— Dlaczego milczysz? Dajesz słowo?

Ramiona Tawrowa uniosły się w górę, a potem opadły.

— Po co? A jeśli nawet dam, to czyż nie mogę potem cię zdradzić? Jeśli się zdecydowałeś, to mów. A jak nie — to sobie pójdę.

— No nie, daj słowo komunisty!

— Dobrze — cmoknął Jakow Markowicz — bierz je sobie!

Było za późno, żeby się wycofać, więc Makarcew zrelacjonował Tawrowowi historię szarej teczki i podzielił się z nim podejrzeniami.

— To wszystko?

Znów zapadło idiotyczne milczenie.

— Jak to, sądzisz, że to błahostka?

Rappoport sapał przez chwilę.

— Skąd mogę wiedzieć — wydusił wreszcie — błahostka czy nie? Zapytaj t a m. A może się boisz?

— Tam, tam! A gdyby tobie ktoś podrzucił takie zgniłe jajo?

— Mnie? Zależy jakie. Pozwól zerknąć.

Po krótkim wahaniu Igor Iwanowicz otworzył szafę pancerną i wyjął z niej szarą teczkę. Stary dziennikarz oparł ją na kolanach, otworzył, rzucił okiem na tytuł, odgiął palcem pierwszą kartkę, zobaczył, że wymieniono tam nazwiska Djilasa, Orwella, Solżenicyna. Makarcew patrzył na niego i czekał cierpliwie. Twarz Rappoporta nie wyrażała nic. Przerzucił jeszcze z pół setki stron i znów zagłębił się w lekturze. Po chwili odsapnął i coś wymamrotał.

— Co takiego?

— M-m-m — mruknął Rappoport, a potem nagle przeczytał głośno: „Kto mi powie, do czego może dojść społeczeństwo, pozbawione od początku poczucia godności?”

— Widzisz? — zawołał Makarcew. — A nie mówiłem?

Jakow Markowicz zamknął teczkę, starannie zawiązał tasemki i zwrócił ją naczelnemu.

— Ty też to miałeś w rękach?

— Nie — odciął Tawrow. — Za „miałeś w rękach”, można zainkasować siedem lat, jeśli uznają, że to „przechowywanie”.

— Też o tym wiem!

— A za słówko „też” dorzucą surowy reżym — bo to działalność grupowa. I jeszcze dodatkowe pięć lat.

— Jak to dodatkowe?

— Stracisz prawo wybrania deputowanego Makarcewa do Rady Najwyższej. Ale ja mam to gdzieś. Cóż, wrócę do łagru, stracę dwieście rubli pensji miesięcznie, za które i tak nic nie mogę kupić. Ale ty...

— Dobrze, przypuśćmy, że mam więcej do stracenia. A co ty byś zrobił na moim miejscu?

— Na twoim? — Rappoport zachichotał. — Ty i tak byś tego nie zrobił...

— Zrobię, tylko powiedz!

— Masz kolegę? No, dziennikarza z jakiegoś szmatławca?

— Mam, i to wielu.

— No więc tak. Pojedź do tego typa, pogadaj z nim, a na odchodnym zostaw przez zapomnienie teczkę na biurku.

— Chyba żartujesz! — zirytował się Makarcew. — Ja mówię poważnie. Odsiadka niczego cię nie nauczyła.

— Zobaczymy, czego ty się nauczysz, jak posiedzisz tyle co ja.

— Ja?! — w oczach Makarcewa rozbłysła złość.

— No dobrze — złagodniał Rappoport. — Daj ten maszynopis.

— Tobie?

— Jasne, że mnie! Jakby co, to się przyznam, że wziąłem poczytać. A ty nie widziałeś tej teczki na oczy!

Makarcew przyglądał się badawczo Rappoportowi, próbując zrozumieć, czy tym razem mówi poważnie.

— Nie boisz się?

— Po raz trzeci chyba mnie nie wsadzą.

— Bzdura! — zawołał naczelnny, zdając sobie sprawę, że nie może przyjąć tej kuszącej propozycji... — Wykluczone!

— Chyba masz rację — zgodził się Rappoport. — Tak czy owak byłoby to rozpowszechnianie literatury antyradzieckiej. Poszedłbyś siedzieć z tego samego, siedemdziesiątego artykułu. Chyba jesteś lepszy, niż sądziłem.

— Naprawdę? — uśmiechnął się z zadowoleniem Makarcew.

— Poważnie. Rzadko kiedy kogo chwale. Ale ty wciąż się boisz: jeszcze ktoś pomyśli, że jesteś lepszy niż w rzeczywistości. Jak ten pies z zagadki.

— Jakiej zagadki?

— Jak zmusić psa, żeby zjadł musztardę? Gdy mu ją podsuniesz pod nos, nie zje. A jak mu wysmarujesz musztardą tyłek, wylizze wszystko. Więc wylizuj!

— Skoro tak — nastroszył się Makarcew — to ma racje KGB wsadzając tych, co smarują, za kratki.

— Daj spokój! Mówię przecież o psach. Ludzie lubią zlizywać musztardę. Chcesz decydować o tym, co mogą jeść, a czego im nie wolno? Jak kto chce musztardy — za kratki go! Teraz już tego robić nie wypada. Ale poczekaj. Wkrótce zacznie się nowy kult, a wtedy...

— Jak to? Dlaczego się zacznie?

— Nasze kultury zawsze rodzą się na krwi. Kult Lenina — po wojnie domowej. Kult Stalina — po zlikwidowaniu kułactwa jako klasy i jego druga fala po wojnie. Kult wielbiciela kukurydzy — po stłumieniu czołgami powstania na Węgrzech. A tego, co rządzi dzisiaj...

— Po wydarzeniach w Czechosłowacji?

— No jasne!

— W takim razie nowy kult się zaczął — zmarszczył brwi Makarcew. — Już każą powiększać niektóre fotografie i zamieszczać je w prasie częściej niż inne.

— No pewno! Wciąż się zastanawiam, czego ci jeszcze brak, żebyś zmienił się w tyranozaura. Nie lubisz rozlewu krwi? Głupstwo, polubisz, jak zajdzie potrzeba. Nasi władcy wywodzą się z zapadłej prowincji, ale ty jesteś inteligentem z Petersburga. Nie tylko tacy stawali się łajdakami! Nie jesteś antysemitą? Nieantysemita dzieli się na dwie kategorie. Jedni nie widzą, czy ktoś jest Żydem, inni czekają na pogromy, żeby Żydom pomóc. Do żadnej z tych kategorii nie można cię zaliczyć, jesteś przecież aparaczką. Jak partia da ci polecenie — będziesz antysemitą.

— Ja?! Nikogo nie wyrzuciłem z pracy za to, że był Żydem!

— Nie gorączkuj się. A ilu Żydów zatrudniłeś? Myślisz, że jesteś w 90 procentach uczciwy? W takim razie kłamiesz w całych stu!

— Czego mi brak, według ciebie?

— Jak odgadnę, zaraz ci powiem. Zdażysz się zmienić, tyranozaurzy wymierały przez milion lat.

— Dobrze, nie mówmy o tym — przerwał z kwaśnym uśmiechem Makarcew. — Sądzę jednak, że z perspektywy KC widać lepiej

niż z dołu. Stamtąd wiele spraw wygląda inaczej. Nie jest to wcale takie proste. Lepiej pomyślmy o konkretach.

— Konkrety? To tylko gra pozorów!

— Ale wielka gra. I póki reguły są takie, a nie inne, będziemy ich przestrzegać. Jak się zmieniają, zagramy inaczej.

— Kto, twoim zdaniem, ma je zmienić?

— Co do mnie, chciałbym wcielić w życie zasady demokracji i iść tą drogą jak najdłużej. Ale niech przedtem ktoś do mnie zadzwoni, powie, że wolno to robić. Zresztą dość już o tym. Lepiej powiedz, co począć teraz?

Już dawniej Makarcew czuł, że Rappoport nim gardzi. Pocięszające było tylko to, że gardził absolutnie wszystkimi, łącznie z samym sobą.

— Słuchaj, Tawrow! A gdybym po prostu udał, że nie widziałem tej teczki?

— Nie uwierzą.

— Sam wiesz, jak czuje się złowiona ryba. Musisz umieć się zachować w takiej sytuacji!

— Czego się przyczepiłeś jak rzep do ogona! No dobrze, daj mi wreszcie spokój. Mam dziś dużo roboty. Nie trzeba się specjalnie wymądrzać...

I w kilku słowach poradził Makarcewowi, co zrobić.

— Niezłe rozwiązanie! — ucieszył się naczelny. — Sam mógłbym na to wpaść! Zuch jesteś, Tawrow!

Naczelny poweselał, uspokoił się. Rappoport próbował dźwignąć nieposłuszne ciało z krzesła, lecz Makarcew zatrzymał go ruchem ręki.

— Momencik. Nigdy nie mamy czasu na sprawy prywatne. Jak cyrkowy koń nieustannie krąży w kółko. Co właściwie u ciebie słychać? Wciąż żyjesz samotnie? Mógłbyś się ożenić. Nawet zostać ojcem. Wystaram ci się o lepsze mieszkanie.

— Honorarium za dobrą radę? Dzięki, ale resztę życia wolę spędzić w mojej starej norze ze „Spidolą” — nic mi nie przeszkadza słychać radia prócz aparatury zagłuszającej. A na dzieci już za późno.

— Nie udawaj, żeś taki stary, Jakowie. Jestem od ciebie starszy, a nawet ja czuję się młodo!

— Ja się czuję staro. Żydzi starzeją się wcześniej. Ale ty masz fart — jesteś Rosjaninem.

— Hm... no, niech tam — żona, dzieci. Chyba masz jakieś marzenie?

— Co? — spytał zdziwiony Rappoport i wlepił oczy w Makarcewa, tak jakby istotnie ten zmienił się w cyrkowego konia.

— Marzenie — Makarcew rozwalił się na krześle, zdjął okulary, rzucił je na biurko i jak małe dziecko zamrugał powiekami. — Bo ja w ostatnim czasie wciąż marzę. I wciąż tylko o jednym.

— O czym mianowicie?

— Żeby zamieszkać nad jeziorem, jak najdalej stąd. Żeby nie prowadziła tam żadna droga. Żeby w trawie stała łódka. I żeby była mgła. A na ganku dzbanek mleka. Ktoś przynosiłby go codziennie. Nie wiadomo kto. Może młoda płochliwa kobieta. Przyniesie i zaraz ucieka, nie można jej dogonić. Zresztą nie próbowałbym. Grunt to jezioro i to, że nie ma drogi.

— A mgła? — upewnił się Tawrow.

— Ależ tak, koniecznie mgła. Jak myślisz, czy to marzenie może się ziścić?

— Nie. Dla ciebie nie.

— Masz rację — zgodził się Makarcew. — Ale przyjemnie pomarzyć. Ty naprawdę nie masz marzeń?

— Jedno. Żebym nie musiał pisać i czytać gówna.

— No nie! To nierealne.

— Zgadza się, nierealne.

Tawrow zerwał się z krzesła, tak jakby nagle odzyskał młodość, i nie patrząc na naczelnego wyszedł. Drzwi wewnętrznych za sobą nie zamknął. Makarcew przeciągnął się, rozprostował zdrtwiałe kości, nacisnął guzik. Wbiegła Łokotkowa.

— Proszę mi przynieść dużą grubą kopertę. Największą, jaką pani znajdzie.

Sekretarka szybko wyszła. Makarcew zatarł ręce, przysunął do siebie teczkę, rozwiązał tasemki, spojrzał na maszynopis, przerzucił kilka kartek. Spojrzenie jego zatrzymało się na akapicie, który jeszcze niedawno, w nocy, wydał mu się haniebny, szkalujący radzieckie państwo. Teraz znów go przeczytał. Mówiąc szczerze, autor pisze prawdę, tyle że to prawda niepotrzebna — pomyślał.

Wróciła Ania i położyła na biurku śnieżnobiałą kopertę. U góry widniał wydrukowany wielką czcionką napis: „Prawda Robotnicza. Organ KC KPZR.”

— Czy kolegium odbędzie się tutaj?

Sekretarka przyniosła też plan kolejnego numeru gazety, już zatwierdzony przez Makarcewa. Spojrzał na zegarek — kolegium zacznie się za dziesięć minut.

— Wysłać ten list natychmiast, Igorze Iwanowiczu?

— Nie, nie potrzeba. Może pani odejść.

Koperta spuchła, nie dawała się zamknąć, lecz teczka zmieściła się w niej. Makarcew wziął pióro i napisał na kopercie: „Poinformować Komitet Bezpieczeństwa, zasięgnąć rady, jakie przedsięwziąć środki.” Zważył kopertę w rękę, podrzucił ją. Ciężka, trudno unieść, ale wyjście wykombinował Rappoport łatwe. Jakby co, byłem gotów o niej zawiadomić. Zabrakło tylko czasu — miałem ważniejsze sprawy na głowie, partyjne i państwowe. Ktoś podrzucił mi tę teczkę, więc niech sobie leży. Nie mam zamiaru składać donosów.

Makarcew wysunął środkową szufladę biurka, wyjął z niej starą gazetę, włożył do szuflady ciężką kopertę i przykrył ją gazetą. Wyglądało to tak, jakby przypadkiem zapomniał zawiadomić władze o szarej teczce.

Opadł na fotel, zamknął oczy, wciągnął głęboko powietrze i powoli je wypuścił. Gdzieś przeczytał, że to najlepszy sposób na uspokojenie.

— Pochwalam, pochwalam! Słuszna decyzja!

Iwan Iwanowicz drgnął i otworzył oczy: przed nim stał markiz de Custine. Tak jak przedtem elegancki, pachniał luksusową wodą kolońską.

— To znowu pan? — ze zdumieniem i przestrawieniem spytał Makarcew.

Szpada de Custine'a z brzękiem zahaczyła o parkiet, markiz przytrzymał ją, a gdy usiadł na krześle, postawił między kolanami. Dłonie oparł na rękojeści.

„Za chwilę wejdzie tu sekretarka, zobaczy dziwnego gościa i wypapla wszystkim” — pomyślał Makarcew. A de Custine jakby czytał w jego myślach.

— Byłem niespokojny, monsieur, pomyślałem, że może pan mieć przykrości... Proszę mi wybaczyć...

— O nie — podniósł głos Igor Iwanowicz, który czuł się w fotelu redakcyjnym znacznie pewniej niż minionej nocy we własnym domu. — To pan niech wybaczy, markizie... Dlaczego mnie pan prześladowa? Z jakiej racji? Czego pan chce ode mnie?

— Może pan podejrzewa — spytał de Custine — że to ja podrzuciłem szarą teczkę?

— Pan?!

— Nie jestem intrygantem, monsieur... Nawiązałem z panem kontakt, ponieważ uznał mnie pan za autora ze swojej epoki. To dla mnie wielki zaszczyt, ale, niestety, już od stu dwudziestu lat przebywam w zaświatach. Mogę jedynie być dumny, że moje myśli są wciąż żywe.

— I postanowił mnie pan przekonać? Nawrócić na swoją wiarę? Pięści Igora Iwanowicza mimowolnie się zacisnęły, tak jakby szykował się do bijatyki.

— Broń Boże! — uspokoił go de Custine. — Nie mam nic więcej do powiedzenia ponad to, co opisałem w 1839 roku. A szczegóły podróży przez sto kilkadziesiąt lat, jakie od tamtej pory minęły, zatarły się w mojej pamięci. Nie jestem przygotowany do dyskusji z tak kompetentną osobą jak pan.

Markiz przyciągnął ku sobie szpadę, ale natychmiast ją schował.

— Po co w takim razie zjawił się pan u mnie? — zdumiewał się Igor Iwanowicz.

De Custine uśmiechnął się.

— By wyrazić moralne poparcie. Od chwili, gdy przeczytał pan moją książkę, dziś, jak się okazuje, zakazaną, jesteśmy, że tak powiem, współnikami, nawet jeśli nie podziela pan moich opinii. Byłbym wdzięczny za podrzucenie tej teczki któremuś z dzisiejszych władców Rosji, bywa pan przecież u nich... Może się zechcą zapoznać...

— Chyba pan oszalał, markizie! Niech sam pan podrzuci, jeśli potrafi...

— Cóż — uśmiechnął się de Custine. — Nie spodziewałem się innej odpowiedzi. Proszę zapomnieć o tym absurdalnym pomysle. Teraz widzę, że postąpił pan z teczką właściwie. Gdy śledzą nas gończe psy policyjne, trzeba wykazać się sprytem. Nigdy nie wiadomo, kiedy zaatakują. A ja nie chcę, by miał pan przeze mnie nieprzyjemności. Z całego serca życzę wszystkiego najlepszego!

Szpada z brzękiem uderzyła o parkiet, markiz de Custine wstał z krzesła, uklonił się Makarcewowi, zrobił kilka kroków w stronę drzwi i zniknął nie otwierając ich.

A Makarcew siedział przez jakiś czas bez ruchu i patrzył jak wryty na miejsce, w którym zdematerializował się nieproszony gość.

16. Kolegium

Przed dwunastą trzydzieści obszerny gabinet naczelnego wypełnił się kierownikami działów, członkami kolegium redakcyjnego, pracownikami sekretariatu. Wchodzili pojedynczo lub parami. Witali się, rozmawiali półgłosem, siadali na krzesłach. Makarcew witał wszystkich skinieniem głowy. Pobieżnie przeglądał harmonogram numeru, zaznaczając na marginesie miejsca, w których nale-

żałoby wprowadzić poprawki. Humor mu się poprawił, tak jakby w ogóle nie było stresu. Przejrzał harmonogram, odłożył go i wesoło patrzył na współpracowników, czekając aż nadejdą wszyscy.

Przyszedł zastępca naczelnego Jagubow. Przywitał się uprzejmie, położył przed Igorem Iwanowiczem plan gazety, który należało dostarczyć do KC i usiadł obok szefa. Wbiegł chudy, długi, przyszczaty kierownik działu ilustracji Ikunienko ze stosem zdjęć; rzucił je obok swego krzesła na podłogę. Z przyjaznym uśmiechem i pękiem kluczy w ręku wszedł do gabinetu sekretarza redakcji Kaszyn. Nieco się spóźnił p.o. kierownika działu wychowania komunistycznego Tawrow: poły jego marynarki powiewały, ręce trzymał z tyłu. Oczy wbił w kąt gabinetu, a minę miał ponurą, tak jakby znów spodziewał się reprimendy. Tuż za nim, upewniwszy się, że wszyscy już są obecni, więc do nikogo nie trzeba telefonować, cicho weszła z notesem i piórem w ręku Anna Siemionowna. Starannie zamknęła za sobą drzwi i usiadła w pobliżu naczelnego przy niziutkim stoliku z telefonami. Kierownicy działów czekali, kiedy Makarcew wyjmie zapalniczkę i zapali papierosa. To sygnał, że czas na rozmowę. Paść podczas kolegium wolno było tylko szefowi.

— Wszyscy już są?

Rozmowy ucichły. Wstał tyczkowaty zastępca sekretarza odpowiedzialnego Jezikow. Odkasznął, uniósł w górę czerwony flamaster i wycelował nim jak pałeczką w pierwszy spośród czterech arkuszy makiety, przybitych do specjalnej tablicy wiszącej na ścianie.

— Numer czwartkowy, wyjdzie 27 lutego — znów odkasznął Jezikow. — Pierwsza kolumna — wielotytuł na całą szerokość kolumny, nad tytułem „Prawda Robotnicza” zamieścimy hasło „Idee wielkiego Lenina zawsze zwyciężają!” Dalej...

Igor Iwanowicz kiwał głową, lecz słuchał jednym uchem. Wszystko to było mu od dawna dobrze znane i absolutnie bezpieczne. Życie mogło podlegać żywiołowym zmianom. To, o czym pisała gazeta, mogło się zmieniać tylko na polecenie władz zwierzchnich. Był przekonany, że jako naczelny postępuje właściwie. Zdarzają się usterki, nawet błędy, lecz wiadomo, czego się trzymać. Toteż Igor Iwanowicz nie bał się czasem powiedzieć na kolegium więcej niż można, na przykład, dlaczego trzeba lub nie wolno czegoś publikować. Rzeczywiste wydarzenia mogły pomóc, jak sądził, bezpiecznie omijać rafy. Zresztą lubił mówić prawdę. Inna sprawa, że dzielił ją na *szerszą*, *wąską* i *absolutną*.

Po trzytygodniowym wyjeździe do USA udawał chorego, przez trzy tygodnie nie było go w pracy. Zastanawiał się nad jakością praw-

dy, sortował ją wedle rubryk. A gdy wszystko w końcu przemyślał, jak zawsze pełen optymizmu, pewien siebie, zjawił się w redakcji, zaś powściągliwy i rzeczowy — w KC.

Dla szeregowych pracowników „Prawdy Robotniczej” zorganizowano z naczelnym wieczór. Opowiedział im o swych wrażeniach z Ameryki i o spotkaniach, w których uczestniczył. Każdy epizod poprzedzał słowami: „Ameryka jest chora. Ciężko chora, towarzysze. Niszczą ją sprzeczności. Osądźcie sami.” Po czym cytował mroczne przykłady przestępczości i nędzy. „To prawda, w sklepach są towary, lecz zdolność nabywczą posiada nieznaczna część obywateli.” Gdyby Makarcew napisał na ten temat (co prawda, już dawno niczego nie pisał), też byłoby w jego artykule wiele *szerokiej* prawdy, najwyżej z pominięciem początku przytoczonego zdania.

Wąska prawda miała znacznie więcej odmian. Członkowie kolegium redakcyjnego i kierownicy działów wysłuchali bardziej konkretnego sprawozdania z podróży ich szefa do Ameryki. („Samochody, autostrady, mają istotnie najlepsze w świecie, daleko nam do tego”). „Narkotyki — to wrzody na ciele kapitalizmu.” „Komunistów, niestety, jest tam mało, zwłaszcza wśród młodzieży.” A niewielkie grono zaufanych osób usłyszało w rozmowie prywatnej aneks do ostatniego zdania: „Podobno 51 proc. komunistów to agenci FBI. Nawiasem mówiąc, rozmawiają bez obawy o wszystkim. Sztorcują swego prezydenta głośno, nawet w metrze. Tam gazety tworzą politykę, a nie polityka — gazety” . *Wąska* prawda Makarcewa miała różne oblicza: dla zagranicznych komunistów, dla kolegów-dziennikarzy, dla kolegów-członków partii, dla instruktorów KC, dla tamtejszego sekretariatu, dla towarzysza Cherlawego, pragnącego zawsze pozostać w cieniu, dla żony. Igor Iwanowicz wiedział bezbłędnie, komu, jaką prawdę ujawnić, co powiedzieć głośno, a co przemilczeć. Stało się to jego cechą zawodową — nie mówić wszystkiego do końca, rozumieć, kiedy trzeba powiedzieć *całkiem* nie to, co się wie, *prawie całkiem* nie to, *nie całkiem* to lub *prawie całkiem* to, lecz mimo wszystko nie do końca. Gdy chcesz nagrodzić podwładnego, możesz mu coś powiedzieć, jeśli chcesz go ukarać — milczysz. *Wąska* prawda była jak talon na towary z importu.

Natomiast *absolutną* prawdą była wiedza i myśli, które Makarcew zachowywał wyłącznie dla siebie, którymi z nikim nigdy się nie dzielił. Dotyczyły one jego spraw osobistych, zwłaszcza żony, która go nie rozumiała i syna, którym nie dało się kierować. Zresztą, prawda absolutna nie była tak ważna. Znacznie bardziej istotne było roz-

myślenie o prawdach podlegających rewizji, o wartościach, niegdyś niezmiennych i trwałych.

Czasem pragnął myśleć innymi kategoriami, lecz zabraniał sobie tego. Przekonywał sam siebie, że nie jest filozofem, lecz praktykiem, działaczem partyjnego aparatu — na zmianę poglądów jest już za późno. Skoro wziął na barki ten ciężar, nie może się wykręcać. W dodatku tyle osiągnął, że głupio byłoby rezygnować. Niech szlag trafi superabsolutną prawdę, która, być może, jutro znów się zmieni. A może taka prawda w ogóle nie istnieje? Jeśli zaś istnieje, to za każdym razem do tego stopnia łączy się z przejawami ideologii burżuazyjnej, że nawet on, Makarcew, jej nie rozpozna. Cóż, niech wszystko toczy się po staremu.

— W sprawie pierwszej kolumny to już chyba wszystko? — powstrzymał gadatliwego Jezikowa. — Na temat przemysłu, prócz pracy przy taśmie z akompaniamentem muzyki, nie macie nic więcej? A gdzie klasa robotnicza, gdzie socjalistyczne współzawodnictwo?

Aleksiejew, kierownik działu przemysłu i transportu, westchnął z poczuciem winy. Chciał odpowiedzieć, lecz przymknął spuchnięte powieki i czekał — niech szef się wygada.

— Dlaczego nie rzucamy haseł, które podchwyci całe społeczeństwo? Nie mówię o nowych inicjatywach. Tyle razy mówiliśmy, że trzeba je popularyzować...

— Nasza wina, Igorze Iwanowiczu.

— Wcale nie jest mi od tego lżej. Trzeba dbać o prestiż gazety! A pan coś tam wymyśla i natychmiast o tym zapomina: gdzie pańscy przodownicy pracy? Co powie na to czytelnik?

— Makarcew uczy, że serce gazety powinno bić nieregularnie — oznajmił Jezikow. Uśmiechnęli się wszyscy, prócz naczelnego.

— Myślę o wystrzałowych materiałach, gwoździach sezonu. Nowe inicjatywy to coś zupełnie innego. Co, na przykład, się stało z Galiną Arefiewą? Żyje?

— Wyszła za mąż — rzekł ponuro Aleksiejew i zaczerwienił się, jakby to była jego wina — zmieniła nazwisko.

— No proszę. — zdziwił się Igor Iwanowicz. — Przegapiliście?

— A co mieliśmy robić?

Monterkę Galinę Arefiewą rozstawił Aleksiejew w cyklu reportaży. Wraz z koleżankami zobowiązała się, że będzie produkować elektroniczną aparaturę bez brakoróbstwa. Jak to zrobią, Aleksiejew, który to wymyślił, wyobrażał sobie mętnie, lecz na górze, pomysł się spodobał. Przodująca robotnica Galina Arefiewa, spoglądała na czytelników z wielu fotografii. Po publikacjach w „Prawdzie Robotni-

czej” została delegatką na zjazd komsomołu, artykuły o niej pojawiły się w wielu gazetach. Pisano już o tysiącach patriotek, które przyłączały się do inicjatywy robotnic z fabryki lamp elektronicznych. Aleksiejew zajechał na plecach tej dziewczyny daleko — na stanowisko kierownika działu. I nagle — nie ma Arefiewej, tylko jakaś Kirillowa!

— Może wróci do dawnego nazwiska? — spytał Jagubow. — Co jej szkodzi?

— Namawialiśmy ją — machnął ręką Aleksiejew — ale baba się uparła! Powiedziała, że kocha męża.

— Brak ambicji?

— Wiecie co — znalazł wyjście Igor Iwanowicz — źle jest zapominać o podjętych inicjatywach, ale jak zaczniecie ją teraz nazywać Kirillową, ludzie nie zorientują się o kim mowa. Piszcie na razie w czasie przeszłym, w terażniejszym nazywajcie po prostu Galiną.

— Tak? — zdziwił się Aleksiejew.

— Tak właśnie! Piszcie o inicjatywie Arefiewej, o brygadzie Arefiewej i tak dalej. Grunt to iść naprzód. Nie ona jest nam dziś potrzebna, lecz jej zobowiązanie, zwłaszcza że podchwycili je inni.

— No tak — zachrypiał Piotr Fiodorowicz — ale mimo wszystko...

— Podreperujemy nowymi inicjatywami naszą gospodarkę — burknął Jakow Markowicz, ale tak cicho, że nikt nie usłyszał.

Żarty na kolegium nie były mile widziane. Posługiwano się słownictwem wyłącznie partyjnym. Ironię należało poskramiać, siedzieć z kamienną twarzą: takich, co kablowali, nie brakło.

— No to postanowione — rzekł stanowczo Makarcew. — Dość już ślimaczego tempa. Co na drugą kolumnę?

Zastępca sekretarza, kręcąc długą, chudą szyją wymieniał tematy, robiąc po każdym z nich niewielką pauzę na wypadek, jeśli naczelnemu przyjdzie do głowy coś uściślić lub skrytykować. Igor Iwanowicz przerwał Jezikowowi, gdy ten wymienił artykuł „Strzałka waha się”.

— Kto daje ten materiał? O co tam chodzi?

— Dział handlowy. Sprzedawcy oszukują klientów na wadze — odpowiedział Jezikow. — Autor jest kontrolerem społecznym.

— A napisał, jaki to konkretnie sklep?

— Nie pamiętam dokładnie.

— Podał nazwisko kierownika? Proszę sprawdzić. Jeśli nie, powinien podać. Inaczej czytelnik nie będzie wiedział, kto jest temu winien, jeszcze pomyśli, że władza radziecka. Nawiasem mówiąc,

kiedy krytykujemy, trzeba zawsze brać pod uwagę, kto konkretnie ponosi odpowiedzialność. Nie potrzeba nam uogólnień. I jeszcze jedno, kolego Jezikow: nie zamieszczajcie równocześnie dwóch artykułów krytycznych — o złej pracy administracji budynków mieszkalnych i o oszukiwaniu klientów w sklepach. Może to wyrzucić złe wrażenie. Druga kolumna załatwiona? No to przechodzimy do trzeciej.

— Obce — rzekł Jezikow.

Tak w gazecie nazywano zagraniczną informację, dostarczaną przez światowe agencje telegraficzne, lecz wyselekcjonowaną przez TASS dla czytelników radzieckich. Znane gazety, także „Prawda Robotnicza”, miały w dużych państwach własnych korespondentów.

— Na środku kolumny międzynarodowy felieton naszego korespondenta Owczarenkowa, przyjęty telefonicznie: „Grożą nam potężnym kijem.” Militaryzacja Niemiec Zachodnich trwa: w RFN wypuszczono znaczek pocztowy z samolotem Hitlera.

— Nic nadzwyczajnego — skomentował Makarcew. — Rzadko pisze te korespondencje, w dodatku są powierzchowne.

Wąska prawda o korespondencie Owczarenkowie, którą obwieścił Igor Iwanowicz, była przeznaczona tylko dla osób obecnych na kolegium. Większość zagranicznych korespondentów „Prawdy Robotniczej” nigdy nie odwiedziła redakcji i nie pisała dla niej nic. Czasem artykuły z ich podpisem przywoził w kopercie kurier. Kierownik działu sieci korespondentów znał zagraniczne telefony i adresy tylko niektórych spośród nich. Owczarenkow istotnie przysyłał materiały z Bonn. Jednak w redakcji nie było zwyczaju krytykowania własnych korespondentów. Na coś takiego mógł sobie pozwolić tylko Makarcew. Skala jego prawdy była następująca.

Dla czytelników gazety własny korespondent w Bonn demaskował imperializm zachodnioniemiecki (*szeroła* prawda). Dla kolegium redakcyjnego i kierowników działów (zgodnie z tym, co zauważył Makarcew), pisał powierzchownie i niedbale. Dla zwierzchników w Centrali: „Czy to nie podejrzane dla Zachodu, że korespondenci «Prawdy Robotniczej» kiepsko piszą? Kaźcie im nie zapominać o gazecie. Na przykład, potrzebny jest nam artykuł o machinacjach polityków zachodnich” (*wąska* prawda). Dla KC: „Korespondenci «Prawdy Robotniczej» zbyt wiele nas kosztują, pochłaniają cały nasz przydział waluty. Czy nie możnaby choć trochę zwiększyć walutowego funduszu?” Dla kolegów i przyjaciół: „Twoja żona jedzie do RFN? Zadzwoń do naszego korespondenta Owczarenkowa. Niech wyjedzie po nią na dworzec, pokaże kobiecie miasto, po

co ma się tłoczyć z grupą turystyczną?” Dla żony: „Ten Owczarenkow to nierób. Przepisuje z gazet niemieckich to, co my tutaj, na miejscu, w dziale zagranicznym, sami możemy przetłumaczyć. Ja płacę mu jedną pensję, drugą automatycznie przesyła mu na książeczkę oszczędnościową jego firma, a ten pasożyt nic nie robi, niech to szlag!”

Orientował się mniej więcej, czym się zajmują owi korespondenci: dostarczają środki finansowe organizacjom komunistycznym i terrorystycznym za granicą, uprawiają tajną propagandę, dezinformują prasę i dyplomatów o wydarzeniach w ZSRR, werbują cudzoziemców, podtrzymują łączność z „kretami” — naszymi rezydentami w partiach komunistycznych, w innych partiach oraz w redakcjach gazet i wydawnictw, ze specjalistami od zabójstw politycznych, wykonują specjalne polecenia Centrali. Ta prawda *absolutna* służyła potrzebom wielkiej polityki, Igor Iwanowicz zdawał sobie z tego sprawę i nie wnikał w szczegóły. Niech głowa boli tych, którzy są za to odpowiedzialni.

Jezikow poinformował o sporcie, literaturze, różnolitościach i zamilkł.

— Są jakieś propozycje? Pytania? — upewnił się Makarcew.

Przypomniał, że zgodnie z instrukcją nie wolno zamieszczać więcej niż jedną fotografię na stronie; propaganda w gazecie musi być skuteczna. Jezikow kiwnął głową — już to uwzględnił. Makarcew wygłosił jeszcze kilka uwag, skupił się zwłaszcza na stuleciu urodzin Włodzimierza Lenina. Należy intensywnie odzwierciedlać przygotowania do jubileuszu, lecz nie powtarzać się, szukać nowych rozwiązań.

— Dobrze się zastanówcie, towarzysze! A gdybyśmy tak wprowadzili rubrykę „Do stulecia pozostało tyle a tyle dni.” Zacznie narastać napięcie, lecz mimo to zachowamy skromność i powagę. Jeśli chodzi o mnie, to wszystko!

Pierwszy opuścił gabinet Rappoport; idąc trzymał ręce na plecach, jak stary łagiernik. Za nim ruszyli inni dzieląc się wrażeniami. Ostatnia podniosła się z krzesła Łokotkowa.

— Jest jeszcze coś pilnego? — spytał Makarcew — Za chwilę jadę do KC.

Sekretarka przyniosła teczkę z papierami do podpisu: dwa wyjazdy służbowe, opinia o Skobcowie, kierowniku działu sportowego w związku z jego wyjazdem do Szwecji na mistrzostwa świata w hokeju (dla rejonowego komitetu partii). Skobcow był politycznie i ideowo dojrzały, moralnie odporny, a pił nie więcej niż inni. W

dodatku nie pierwszy raz wyjeżdżał za granicę. Makarcew podpisał. Jagubow przyniósł korektę artykułu, pytając, co z nią robić.

— Potem — rzekł naczelny. Teraz jadę do KC.

Losza pobiegł rozgrzewać silnik i wkrótce Makarcew wyjechał. Zjadł obiad w stołówce KC, pogadał z kim trzeba, udał się z projektem najnowszego numeru gazety do wydziału prasy. Serce nie dukało mu. O szarej teczce nie wspomniał ani razu podczas kolegium i później. Gdy jednak ocknął się w szpitalu, zaczął podejrzewać, że winę za wszystko ponosi właśnie ona. Cóż innego, jeśli nie ta przeklęta teczka?

— Dlaczego to zrobiliście? — poruszył wargami Makarcew, chociaż leżał samotnie. — Jeśli ja jestem dla was zły, to kto będzie lepszy?

Nagle sobie przypomniał, że potrzebuje pozytywnych emocji. Ale nie było ich. Rozmyślenia przerwał tłum lekarzy. Weszli na salę, otoczyli łóżko ciasnym kręgiem. Igor Iwanowicz musiał odpowiadać na ich pytania, choć z trudem obracał językiem w ustach, a myśl kurczowo trzymała się teczki. Nigdy jeszcze nie był tak podejrzliwy. Dobrze zrobił chowając ten cholerny maszynopis do koperty. Niby drobiazg, ale to jedyny ratunek, zwłaszcza teraz, gdy on leży tutaj, a teczka tam.

17. Cierpienia starego Rappoport

Wchodziło się do redakcji „Prawdy Robotniczej” bez przepustki. Uzbrojony ochroniarz żądał legitymacji przed wejściem do tej części gmachu, w której znajdowała się drukarnia. A przed drzwiami do redakcji, tuż koło windy, przy starym biurku, drzemiała leciwa woźna (nikt nie miał pojęcia, jak się nazywa). Budzili ją petenci, autorzy lub obywatele przychodzący do redakcji ze skargami, pytali, jak trafić do poszczególnych działów. Zostawiano też u woźnej koperty z nazwiskami pracowników redakcji. A ona wedle własnego uznania dzieliła przybyłych na ważnych i nieważnych. Pierwszych kierowała do redakcji, drugich — do pokoju przyjąć.

Kolegium skończyło się dopiero za dziesięć druga, więc Jakow Markowicz poczuł, że musi coś zjeść. Trzymał pod biurkiem maszynkę elektryczną, gotował na niej wodę w czajniku. Wsypał do szklanki trochę herbaty i zalał ją wrzątkiem, potem przelał herbaty do innego czajnika, tak by fusy pozostały w pierwszym. Odgryzł kawałek sera, zmiażdżył go sztucznymi zębami (prawdziwe, te,

których nie wybito mu w łagrze, wyżarł szkorbut), posłał kostkę cukru i popił herbatą. W tym momencie ktoś zastukał do drzwi.

— Wejść — warknął Rappoport.

Do gabinetu zajrzała wąska, ogolona czaszka.

— Co za obrzydliwa maniera — stukanie — burknął Rappoport. — To nie sypialnia, tylko instytucja, stanowisko pracy. O co chodzi?

Mężczyzna, który stał nieśmiało przy drzwiach, trzymał pod pachą cienką teczkę.

— Towarzysz Tawrow, kierownik działu wychowania komunistycznego? Nie myślę się?

Jakow Markowicz dalej mełł szczękami ser z cukrem, a gdy skończył, warknął:

— Proszę siadać!

— Bo widzi pan — otworzył usta gość, gdy już posłusznie usiadł i ulokował swoją teczkę na kolanach.

— Jak na razie nic nie widzę.

— Napisałem artykuł na niezmiernie ważny, aktualny temat. Chciałbym go zaproponować redakcji.

— Kim pan jest? Jak się pan nazywa?

— Szatyn. Jewgienij Szatyn. Nie brunet, ale Szatyn. Łatwiej pan zapamięta.

— Przypuśćmy. I co z tego?

— Wynałazłem elektroniczny instrument muzyczny, wydaje dźwięki, gdy ktoś się do niego zbliża. Mam patent autorski. O, proszę...

Rappoport nawet nie spojrział na podsunięty mu pod nos świstek.

— Więc co z tego?

— Proszę sobie wyobrazić — rzekł z rozmarzeniem gość — ludzie tańczą wokół mojego instrumentu, a on im gra. Nazwałem ten instrument „tanzszatyn”.

— „Tanzszatyn? Oryginalnie!

— A jakże. Zupełnie nowy rodzaj sztuki. Tylko jak dotąd nikomu niepotrzebny.

— A pan sądzi, że przyda się „Prawdzie Robotniczej”?

— Nie. Mój artykuł jest o czymś innym. Byłem już w dziale przemysłowym, ale odesłali mnie tutaj. Zaraz opowiem.

Jakow Markowicz skończył pić herbatę, zmiął papier śniadaniowy z resztkami sera, wrzucił go do kosza. W brzuchu przestało burczeć, humor się poprawił.

— Sam przeczytam, nie musi pan opowiadać — Rappoport oblizął wargi. — Na jedno ucho źle słyszę.

— Jeśli pan pozwoli, wyłożę samo sedno. Jestem samotny, dzieci nie posiadam. Syn mój poległ na froncie, nawet nie wiem, gdzie. Przed dwoma laty pochowałem żonę, w roku obecnym zmarła moja matka. Nie uwierzy pan, ale miała dziewięćdziesiąt cztery lata. Pomyslałem że samemu będzie mi zbyt ciężko, wykułem więc nad łóżkiem wnękę. Postawiłem tam lampy, żeby było ładniej, no i dwie urny — z prochami matki i żony. Teraz są razem ze mną.

— Sądzi pan, że tak jest lepiej? — Rappoport spojrzął w oczy swemu rozmówcy.

— Naturalnie! Gdyby panu ktoś, nie daj Boże, umarł, proszę wstawić do pokoju urnę z jego prochami, a przekona się pan! Jak mam zły nastrój, podchodzę do „tanzszatyna” i poruszam łagodnie rękami: wówczas rozlega się muzyka. Mama i żona słuchają jej razem ze mną. Może i syn, zabity na froncie, nas odwiedza. To znaczy jego duch.

— Niech pan raczej idzie do pobliskiej szkoły, naucz młodych techników produkować swój instrument.

— Owszem, byłem tam! I co? Myśli pan, że uczniowie rozumieją moją muzykę? Skąd! Śmieją się! A mama i żona rozumieją... Niedawno udoskonaliłem system: światło we wnęcie zapala się tylko wtedy, gdy gra muzyka. I im głośniej gra, tym bardziej się rozjaśnia, oświetla urny z prochami. Chciałby pan zobaczyć? Mam pokój w mieszkaniu zbiorczym i sześciu sąsiadów, ale to blisko.

— Dziś nie mogę! Więc napisał pan artykuł o tym, jak prochy pańskiej żony i matki reagują na muzykę?

Postanowił spławić gościa do działu literatury i sztuki.

— Niezupełnie, drogi towarzyszu! Byłoby to wyznanie zbyt intymne. Widzi pan, chciałbym poruszyć w „Prawdzie Robotniczej” kwestię niecelowości budowania cmentarzy. Zajmują zbyt dużo miejsca, pogrzeby są kosztowne. Lepiej nie chować zmarłych.

— W ogóle? — zdziwił się Jakow Markowicz. — A co z nimi robić?

— Niech rodzina przechowuje prochy. Państwo nie będzie musiało się o nic troszczyć, poza krematoriami, rzecz jasna. Żadnych cmentarzy, grobów, pomników. Mojego sąsiada już namówiłem. Razem z żoną wydzielili już półkę na serwantce, kupili urny na prochy.

— Czyje?

— Swoje własne, panie Tawrow! Wiem, że to pan jest inicjatorem wielu cennych inicjatyw tej gazety. Podchwytuje je cały kraj. A gdyby tak wysunąć hasło: „Nie zajmujemy miejsc na cmentarzach!”

— Chce pan, żeby „Prawda Robotnicza” zaapelowała na pierw-

szej stronie do czytelników „Trzymajcie swoich nieboszczyków w domu?” Moje szczątki też panu potrzebne?

— Ależ nie! Nie szczątki, lecz popioły... Proszę tylko pomyśleć: w skali całego państwa byłaby to oszczędność na sumę dwóch i pół miliarda rubli. Policzyłem. A z punktu widzenia komunistycznej moralności, zostałyby wcielone w życie to, co pan propaguje: testament pokolenia bohaterskich ojców.

— No właśnie, bohaterskich!

— Wybaczy pan, ale się nie zgodzę. Bohaterem w naszym kraju może być każdy.

— Niech pan da ten swój artykuł! — zgrzytnął zębami Rappoport.

Szybko przebiegł oczyma linijki, czując, że autor śledzi wyraz jego twarzy. Jak zaproponuję, żeby nad tym popracował, nie odczepi się ode mnie — pomyślał Rappoport. Jeśli pochwałę i wezmę, a potem będę zwlekał, będzie mi zawracał głowę, dopóki sam nie zmieni się w proch. Cóż, wyłożę mu kawę na ławę. Odłożył artykuł:

— Inni koledzy, mniej pryncypialni, wykręcaliby się, ale ja powiem szczerze. Wszystko, co drukujemy w naszej gazecie to gównno. To, co pan napisał, też jest gównnem. Ale to inne gównno niż to, które drukujemy!

— Pan pozwoli!

— Nie pozwolę! Nie mam nic przeciwko nowym pomysłom! Tylko na innej płaszczyźnie! My piszemy wyłącznie o naszych heroicznym czasach i o radosnym jutrze. Mowy być nie może o jakichś tam truposzach!

Urażony autor zabrał z biurka swe dzieło, włożył je do teczki i wyszedł bez słowa. Lecz nie było czasu, żeby odsapnąć. Przy biurku siedziało już trzech młodych, pyzaty chłopaków; nie odrywali od Tawrowa oczu. Dwóch miało na sobie czarne garnitury, trzeci był w szarym. Rappoport przestraszył się.

— O co chodzi, towarzysze?

— Wasza gazeta — zaczął młodzian w szarym garniturze — powinna naświetlić pewien problem. Kiedy to będzie możliwe?

— A towarzysze skąd jesteście?

— Z KC komsomołu.

— Koledzy, przecież macie własną gazetę! Tam bardzo potrzebują młodych autorów!

— Już ją zaangażowaliśmy — powiedział młodzieniec ubrany na szaro. — A w razie potrzeby, przyciśniemy.

— Nie trzeba przyciskać. O co chodzi?

— Wie pan, że alpinizm to sport dla odważnych.
— A jakże! Nawet widziałem w telewizji.
— Lecz ludzie wdrapują się szczyty bez wzniosłych celów. Chyba tylko po to, żeby je zdobyć.

— Zgadza się — potwierdził Rappoport — Więc co?

— Organizujemy wspinaczkę dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina. Grupa komsomolców z mistrzem sportu Stiepanowem na czele wniesie na Szczyt Komunizmu posąg Lenina. Będzie tam stał do końca świata. Jestem politrukiem grupy. Chcemy, by wasza gazeta regularnie opowiadała czytelnikom o tej wyprawie.

— A ciężki ten posąg?

— Stiepanow, mów! — polecił politruk.

— Dwadzieścia cztery i siedem dziesiątych kilograma.

— Pan też będzie niósł? — spytał Rappoport politruka.

— Nie, ja będę koordynował wspinaczkę z bazy.

— Zrozumiałem. Więc kto będzie niósł?

— Stiepanow.

— A reszta?

— My dwaj jesteśmy organizatorami — wyjaśnił politruk. — Naszym zadaniem będzie propagować tę niezmiernie trudną wspinaczkę. Jej politycznego znaczenia niepodobna przecenić.

— Wszystko jasne — wysapał Rappoport. — Bardzo mi się podoba wasza propozycja, młodzi ludzie! Umówmy się tak. Popieram was w całej rozciągłości. Ale co będzie, jeśli nie doniesiecie posągu na szczyt? Na co wam to, chłopcy? Choć jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze. Jak się wam uda, natychmiast poinformujemy czytelników. Słowo radzieckiego dziennikarza!

Nie czekając na protesty Rappoport wstał i serdecznie uściskał młodym ludziom dłonie.

— Życzę sukcesu! Wspaniały pomysł, koledzy-komsomolcy! Pomyśleć tylko: dwadzieścia cztery i siedem dziesiątych kilograma!

Poklepując alpinistów po plecach wypychał ich za drzwi.

— Słyszał pan? — przebiegł obok niego kierownik działu przemysłowego Aleksiejew. — Makarcew dostał zawału!

— To chyba kiepski żart!

— Upadł wychodząc z KC. Ale doczołgał się z powrotem do drzwi. Żelazna wola! Żyje sobie człowiek, żyje i nie wie, co go za chwilę spotka!

Wiść o naczelnym rozeszła się po redakcji z prędkością świa-

ła. Na korytarz wylegli pracownicy. Każdy coś tam słyszał, czegoś się domyślał, wyrażał obawy na przyszłość. Ale wiadano niewiele. Ten i ów, powtarzając raz po raz zasłyszana opowieść o zawale ubarwiał ją nowymi, dramatycznymi szczegółami.

— Ci, którzy ponoszą odpowiedzialność, płacą za to zwykle zdrowiem — rzekł filozoficznie Aleksiejew. — Za darmo nikt pieniędzy nie daje.

— A co ma z tym wspólnego odpowiedzialność? Pewno mu popędzili kota za „Królową niezabudek” i dlatego zachorował — domyślał się Sasza Kakabadze. — Pamiętacie ten telefon? Zamieściliśmy krytyczną recenzję, a towarzyszowi Cherlawemu film się spodobał. Kto mógłby przypuszczać...

— A co mu się tak spodobało?

— Solidny biust bohaterki, to w jego guście.

— W jego dawnym guście — chłodno poprawił dziennikarz Iwlew.

— Ciszej, Sławku — osadził kolegę Jakow Markowicz i rozejrzał się dokoła. — Nie film mu się spodobał, lecz reżyser, hiszpański komunista.

— A ja sądzę — rzekł Jezikow, zastępca sekretarza redakcji — że Makarcew sam jest sobie winien. Zawsze usiłował łagodzić konflikty: Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Bufory między wagonami szybko się niszczą — zbyt duże obciążenie.

Rappoport słuchał. Nie lubił mówić w obecności tylu ludzi. Patrzył na tych, którzy stali obok. Kto podłożył szarą teczkę? Przez kogo przyzwoity człowiek dostał zawału?

— Sam, powiadasz, jest winien? — Rappoport podszedł do Jezikowa. — O co właściwie go oskarżasz? Jest zbyt łagodny?

— Wcale nie oskarżam — wycofał się Jezikow. — Jaki znów łagodny? To po prostu śmieszne!

— Dla ciebie śmieszne — wtrąciła się maszynistka Swietłozierska. — Ty nigdy nie byłeś łagodny i nigdy nie będziesz. A Makarcew to porządny chłop! Nie jego wina, że mu nie wychodziło.

— Co takiego nie wychodziło? — zainteresował się Jezikow.

— Nic nie wychodziło! Pamiętacie historię ze stołówką?

— A jakże — zawołał Kakabadze. — Sam byłem wydelegowany przez komsomół.

Któregoś dnia Makarcew spytał w trakcie kolegium, dlaczego nie przyszedł Aleksiejew. „Struł się — padła odpowiedź — jadł w naszej stołówce.” Więc Makarcew sam tam poszedł. Odczekał w kolejce z tacą, siadł przy stoliku, powąchał pierwsze danie, odsunął

je, podłubał widelcem na talerzu. Omal nie zwymiotował, a przecież powinien o siebie dbać, jest partii potrzebny. Wezwał Kaszyna.

— Diabli wiedzą, co to takiego! Czemu takie ohydne?

— Pewno kradną — domyślił się Kaszyn.

— Więc dlaczego siedzimy cicho? I wy jesteście dziennikarzami? Jak można wymagać czegoś od innych, skoro sobie nie radzimy we własnej redakcji?

— To pan jest naczelnym, Igorze Iwanowiczu. Proszę spróbować.

— Ani mi to w głowie! Po prostu zrobię coś i tyle!

Zadzwoił do naczelnika OBCHSS*.

Tego samego dnia w holu redakcyjnym stał skromnie odziany, młody człowiek o nienagannych manierach. Każdą schodzącą po schodach z ciężką torbą kobietę pytał grzecznie:

— Pracuje pani w stołówce?

Gdy kiwała potakująco, prosił, by weszła do pokoju. Stała tam waga, a przy niej dwaj pracownicy redakcji oraz kontrolerzy społeczni. Wyjmowali z toreb skradzione produkty, ważyli je, spisywali protokoły. Nazajutrz zespół pracowników stołówki, od pomywa-czek począwszy a na kierowniku kończąc, wymieniono na inny. Redaktorzy odwiedzali teraz stołówkę dwa a nawet trzy razy dziennie, tak bardzo było tam czysto i apetycznie. Ale w dwa dni później zupa była już mniej smaczna, po dwóch następnych przestało smakować drugie danie. Zaś po tygodniu wszystko było jak dawniej. Makarcew, który jadał w stołówce KC, już nie wracał do tej kwestii.

— Jest jak kogut — zadrwił Iwlew — byle tylko zapiać, potem nic go nie obchodzi.

— To nie jest wina Igora Iwanowicza — obruszyła się Ania.

— Naturalnie! — poparł ją Rappoport. — Oskarżać kogoś o szlachetne intencje? Inni nawet tym nie mogą się pochwalić.

— O co się spieracie, towarzysze?

Na korytarzu pojawił się Kaszyn.

— Zastanawiamy się, jak pracować bez szefa, Walentynie Afanasjewiczu — powiedział Jezikow.

— Władza zwierzchnia też się niepokoi — Kaszyn obrzucił wszystkich spojrzeniem. — Zatelefonowałem do szpitala. Niestety, Igor Iwanowicz wróci do nas najwcześniej za dwa lub trzy miesiące. Tymczasowe zastępstwo sprawować będzie za zgodą KC Stiepan Trofimowicz Jagubow.

U Jakowa Markowicza (drzwi do jego pokoju wciąż pozostawały uchylone) rozdzwoił się telefon.

* *Otdiel borby s chiszcznijem i spekulacijej* — wydział do walki z przywłaszczaniem mienia i spekulacją.

— Towarzyszu Tawrow, tu Kawalerow z rejonowego komitetu partii. Już mnie poinformowano, że wasz naczelny zachorował. Jest u was mój artykuł. Co z nim teraz będzie?

— To nie ja będę decydował. Co obiecał panu Makarcew?

— Obiecał! Ale go nie ma. Kto go zastępuje? Jagubow? U-u-u.

Usłyszawszy krótkie sygnały Rappoport wzruszył ramionami i delikatnie odłożył słuchawkę.

18. Stiepan Jagubow

Ankieta dla kadry kierowniczej

Stanowisko: pierwszy zastępca redaktora naczelnego „Prawdy Robotniczej”.

Urodzony 12 września 1920 roku, w stancy Nagutskiej kraju Stawropolskiego.

Narodowość rosyjska. Ojciec Rosjanin, matka Rosjanka.

Pochodzenie społeczne — chłopskie.

Członek KPZR od 1939 roku. Nr legitymacji partyjnej: 0177864.

Nagan i kar nie otrzymywał.

Wykształcenie wyższe, ukończył Wyższą Szkołę Partyjną, a także specjalne (kopie dyplomów — w załączeniu).

Specjalność: działacz aparatu partyjnego.

Pełny spis wszystkich krewnych, żywych i umarłych, ich miejsca zamieszkania i pochówku — w załączeniu.

Znajomość języków obcych: włada swobodnie angielskim, niemieckim, węgierskim.

Wyjazdy zagraniczne — w załączeniu spis wyjazdów na delegacje służbowe.

Stopień wojskowy: podpułkownik rezerwy.

Stanowiska wybieralne: członek moskiewskiego komitetu miejskiego KPZR, deputowany do Rady Najwyższej RSFSR, członek zarządu Związku Dziennikarzy ZSRR, członek zarządu agencji prasowej „Nowosti”, zastępca przewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni ZSRR-Węgry, członek egzekutywy redakcyjnej.

Odznaczenia: order Czerwonej Gwiazdy, medale.

Stan rodzinny: żonaty z Niną Fiodorowną Topiliną (Jagubową) — trenerką tenisa. Córka Walentyna — 16 lat, syn Trofim — 13 lat.

Dowód osobisty XXXXI CA Nr 510408, wydany przez 123 komisarjat m. Moskwy 12 stycznia 1966 r.

Staty meldunek: Bierzewska nabierieżnaja 4 m. 186.

Telefon domowy: 240-22-31 (adres i telefon zastrzeżone).

Stiepan Trofimowicz, mężczyzna niewysoki, sprawiał wrażenie sportowca i nikt nie uwierzyłby, że skończył już czterdzieści osiem lat. Bardzo dbał o kondycję i wygląd, z przyjemnością golił się rano i wieczorem, gimnastykował się codziennie, a dwa razy w tygodniu, nawet po dyżurze redakcyjnym, jeździł na basen wojskowy CSKA. Były to godziny przeznaczone dla generalicji Ministerstwa Obrony. Jagubow znalazł dojskie, by pływać z generałami. Nigdy nie chorował, nie zaziębiał się. Jesienią w sanatorium KC na Ryskim wybrzeżu kąpał się nie w basenie, lecz w lodowatym morzu — i nigdy nie złapał zapalenia korzonków ani nawet kataru. Gdy ktoś w jego obecności skarżył się na ból głowy, Jagubow ze współczuciem, absolutnie szczerze pytał:

— Co to takiego?

Głowa, ze starannie ostrzyżoną czarną fryzurą bez jednego siwego włosa, nie bolała go nigdy. Kiedy było trzeba, wypijał dokładnie tyle samo wódki, co inni, aby nikt nie pomyślał, że nie pije, lecz udaje lub wprost przeciwnie — że pije za dużo. Makarcew lubił wtedy żartować:

— Chce pan zostać świętym, Stiepanie Trofimowiczu?

Jagubow uśmiechał się uprzejmie, usiłując nie patrzeć na solidny brzusek naczelnego.

Jego ojciec, Trofim Jagubow, nie znał imienia swego ojca. W bogatej kozackiej stancy Nagutskiej nie miał krewnych, uchodził za obcego, chociaż nie mógł się uskarżać — miał dom i kawałek ziemi. Był to mężczyzna oschły i małomówny, chodząc podpierał się laską: kiedyś przejechała go furmanka i połamała mu nogę, a kości źle się zrosły. Żyli Jagubowowie dostatnio. Mieli trójkę dzieci, lecz dwoje zmarło w czasie epidemii. Trofim Jagubow nie chciał, by go rozkułaczyli. Zapisał się do kolchozu, wstąpił do partii i pomagał przeprowadzać kolektywizację. Sąsiedzi, którzy po założeniu kolchozu, ledwo uszli z życiem, bali się go i kłaniali z daleka. Rodzina głodowała. Gdy Stiepan podrósł, we wszystkim pomagał ojcu. Nie bez dumy opowiadał potem, że tata, bardzo już wiekowy, często powtarzał:

— Partia wydała rozkaz — Trofim na to „Tak jest!”

Wysoki status społeczny Jagubow-syn zdobył nie dzięki swemu chłopskiemu pochodzeniu ani też upartemu charakterowi — na szczyty wyniosła go mizerna postura.

Miał zaledwie 149 centymetrów wzrostu i od wczesnej młodo-

ści nad tym ubolewał. Gdy koledzy z niego kpili, odpowiadał ludowym powiedzonkiem: „Może i mały, za to z potężnym ptakiem.” Tak czy owak miał kompleks niższości, nosił buty na grubych obcasach, lecz niewiele to pomagało.

Gdy skończył szkołę średnią, udało mu się wydostać z kołchozu dokumenty i uciec do miasta. Już wtedy wykazał bystrość umysłu i spryt. W Moskwie zdał egzamin wstępny do instytutu lotnictwa. Ale już po pierwszym roku skreślono go z listy studentów: nie zaliczył nawet na trójkę nic poza historią partii. Brat ojca, który się wybił na ludzi, załatwił Stiepanowi etat w milicji. Został więc Jagubow posterunkowym. Gdyby nie protekcja wujka, nie wzięliby takiego kurdupła. Wkrótce potem otrzymał etat w NKWD.

Na posterunku zniknął jego kompleks niższości. Zamiast niego pojawiała się świadomość przewagi nad innymi ludźmi, niezachwiana wiara, że ma prawo im rozkazywać. Oni są zwykłymi obywatelami, on reprezentuje władzę. Jak zechce, każdego zatrzyma, wylegitymuje, doprowadzi na komisariat. Wszyscy muszą go szanować, zwierzchnicy również, tym bardziej że i on ich szanuje. Miał wszystkie dane, by rosnąć wbrew realiom, i gotów był rosnąć coraz wyżej.

Nie podejrzewał, że ze względu na ten wzrost (nieszczęsne 149 cm) trafił na specjalną listę. On, prymus kursów politycznych, został skierowany na speczkolenie w pobliżu Moskwy. Uczono tam strzelać z pistoletu do poruszających się sylwetek ludzkich, mówić po angielsku i po niemiecku. Jagubow wykonał sześćdziesiąt skoków ze spadochronem: żartował wtedy z kolegów, którzy bledli, gdy tylko samolot wznosił się do góry. Wkrótce okazało się, że kursy podlegają innemu resortowi NKWD — Głównemu Zarządowi Urzędu Bezpieczeństwa. Jednakże fakt, że uczono ich wszystkich razem, a nie pojedynczo na tajnych kwaterach, świadczył o tym, że przygotowują Jagubowa, wbrew jego marzeniom, nie na agenta wywiadu.

Wojna nie dawała się kursantom we znaki. Życie płynęło im spokojnie, monotonnie, w przerwach od szkolenia mieli praktykę. Wysyłano ich wówczas do ochrony obiektów specjalnych, bądź do likwidowania lub przesiedlania wrogo usposobionych mniejszości narodowych. Jagubow wraz z kolegami wysiedlał z Powołża Niemców, których nie lubił od dzieciństwa. Tłum kobiet, starców i wrzeszczących dzieciaków zapędzali kolbami karabinów na pokryte brezentem ciężarówki oczyszczając tym sposobem domy dla lojalnych obywateli radzieckich.

Na szafce nocnej przy swym łóżku trzymał Stiepan zdjęcie Sta-

lina w ramce. Pewnego razu nocą obudził kursantów alarm: zawieszono ich na lotnisko. Stały tam dwa samoloty; ich silniki pracowały przez okrągłą dobę. Podobno sam Stalin zamierzał ewakuować się na wschód. Kursantów przetrzymano w łańcuchu ochrony około trzech godzin, po czym odwieziono ich do koszar. Ponoć wódz odleciał z innego lotniska. Ale wkrótce dowiedzieli się, że pozostał w Moskwie. Stiepan miał nadzieję, że ich szkoła weźmie udział w manifestacji 7 listopada lub 1 maja. Wówczas zobaczy towarzysza Stalina. Z pewnością przewyższa wzrostem wszystkich, którzy stoją obok niego na mauzoleum. I rzeczywiście tak było.

Stalin miał metr sześćdziesiąt jeden centymetrów wzrostu, więc przygotowano dla niego na trybunie specjalne podwyższenie, pokryte kilkoma warstwami dywanów, z poręczami z obu stron, by w razie potrzeby miał się za co chwycić. Kompleks niskiego wzrostu dokuczał Stalinowi jeszcze bardziej niż Jagubowowi, choćby dlatego, że Josif Wissarionowicz był przywódcą państwa. Fotografii, na których wódz światowego proletariatu był niższy od stojących wokół ludzi, zgodnie z niepisanym poleceniem rozcinano w TASS i z powrotem łączono tak, by wydawało się, że towarzysz Stalin jest nieco od nich wyższy. Zdjęcia starannie retuszowano. Stalin nie znosił, by służba przewyższała go wzrostem. Toteż od czasów Łotyza Salpetera, szefa ochrony osobistej Stalina, który poszedł siedzieć jeszcze w trzydziestym ósmym, dobierano ochroniarzy, sekretarzy, kucharzy, kelnerów, laziebnych, ogrodników, kierowców i resztę personelu tak, by nie mieli więcej niż metr pięćdziesiąt pięć wzrostu. Co zaś robić z najbliższymi współpracownikami, którzy są wyżsi od Stalina, decydował on sam.

Wśród wykładowców Jagubowa pojawił się zawsze uśmiechnięty, nienagannie ubrany mężczyzna o cienkich wąsikach i w muszce zamiast krawata.

— Powiedzmy, że nazywam się Kędzierzawy.

Kursanci uśmiechnęli się: Kędzierzawy świecił łysiną. Słyszeli, że to eks-rezydent wywiadu radzieckiego w Berlinie. Pracował jako kelner w restauracji, do której często przychodzili przywódcy trzeciej Rzeszy, miał tam wpadkę, ale udało się wyprawić go z powrotem do kraju. Pokazywał, jak stojąc w półobrocie z obojętnym wyrazem twarzy można wygodnie słuchać rozmów gości. Kursanci mogli najwyżej zgadywać, dokąd i w jakim celu zostaną wysłani.

Nagle otrzymali stopnie młodszych lejtnantów i nowe umundurowanie: czarne kamizelki, także spodnie, śnieżnobiałe koszule i

muszki. Gdy przebrali się i znów ustawiono ich w szeregu, dowiedzieli się, jakie czeka ich zadanie: na rządowym przyjęciu będą obsługiwać cudzoziemcom. Muszą uśmiechać się i udawać, że nic nie rozumieją. Gdyby nie potrafili się z gośćmi porozumieć, *maître d'hôtel* przetłumaczy, co trzeba i odejdzie. Niech uważnie słuchają rozmów, zapamiętują wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Co jakiś czas należy iść do kuchni i złożyć meldunek *maître d'hôtelowi*; jest to podpułkownik, szef grupy kelnerów. Każdy gość miał swój numer i należało się posługiwać numerami.

Autobus z zasłoniętymi oknami (odsuwać firanek nie było wolno) wjechał do stolicy. Czasami, gdy kierowca przyhamowywał i zasłony kołysały się, to i owo można było dostrzec: zaklejone papierowymi kwadratami okna, worki z piaskiem przed wystawami sklepów, baterie przeciwlotnicze. Autobus znów zwolnił, firanka zakolysała się. Stiepan zrozumiał, że jadą na Kreml. Serce zadrżało mu z radości: wysoko wleciałeś, chłopie! Gdyby tak zobaczyły mnie teraz dziewczęta z naszej wioski! Spojrzał spod oka na kolegów. Siedzieli z surowymi minami i patrzyli wprost przed siebie zgodnie z regulaminem. Jagubow też tak zaczął patrzeć.

Na przyjęciu gorliwie przykładał się do pracy. Stał za opasłym Anglikiem nr 14 — nowym attaché prasowym, przypominającym raczej żonglera. Anglik paplał z sąsiadem — Amerykaninem coś tam o babach i wcale nie było mu spieszo zdradzać tajemnic państwowych. Nagle zrobiło się poruszenie, wszyscy wstali. Jagubowa nie uprzedzono, jak w takiej sytuacji się zachować, spytał więc cichutko sąsiada, usługującego Amerykaninowi nr 15:

— Dlaczego wstają?

— Nie widzisz, baranie, że idzie towarzysz Stalin?

Wódz szedł otoczony najbliższymi współpracownikami z prawą ręką wsuniętą pod połe munduru i odstawionym dużym palcem. Lewą co jakiś czas wyglądał ordery na piersiach nowego munduru z błyszczącymi złotem naramiennikami. Stiepan widział Stalina tylko na portretach, zdziwił się więc, że nosi zwykłe spodnie, a nie bryczesy wciśnięte w oficerki.

W oficerkach Josif Wissarionowicz istotnie chodził zawsze, od najmłodszych lat, innego obuwia nie uznawał. Nie dziw więc, że znaczny procent planowanej produkcji obuwia we wszystkich fabrykach kraju stanowiły właśnie oficerki. Nogi wodza przywykły do niewoli i długie lata cierpliwie ją znosiły. Lecz nagle poddały się. Na lewej nodze drugi i trzeci palec, zrosnięte od urodzenia, bolały

potwornie. Lekarze długo medytowali, z jakiego powodu i by zapobiec zakrzepom poradzili wodzowi: musi nosić lżejsze obuwie, niech kończyny odpoczną.

Uszyto więc Stalinowi specjalne buty z miękkiej, przywiezionej z Gruzji skóry. Miały, jak zwykle, wysokie obcasy, a zamiast sznurów wadł po obu stronach gumki. Josif Wissarionowicz poprosił, by uwieczniono go na taśmie filmowej: chciał zobaczyć, jak będzie się prezentował w nowym obuwiu i spodniach. Film spodobał się, taśmę kazano zniszczyć. 17 stycznia 1943 roku wyszedł rozkaz o wprowadzeniu w wojsku nowego umundurowania.

Dziś Stalin po raz pierwszy pojawił się publicznie w półbutach. Bez oficerek brakło mu pewności siebie, przekonania, że każdy jego krok jest właściwy. Odczuwał to, naturalnie, tylko on: najbliżsi współpracownicy nie domyślali się nawet, jak ciężki stres przypadł wodzowi w udziale. Myśleli, że jako pierwszy daje przykład. Nikt nie potrafił tak sprytnie jak on zamieniać miejscami przyczyn i skutków.

Od tego dnia na milionach fotografii i portretów rozpowszechnianych przez TASS po całym świecie Stalin występował we frenchu i w spodniach. Samo przez się zrozumiałe, że półbuty i spodnie zamiast długich butów i bryczesów przywdziała wkrótce milicja, kolejarze, prokuratorzy, lotnicy, górnicy. Kraj pragnął upodobnić się do swego wodza. Ale wszystko to będzie później, dziś natomiast Stalin błagał Boga, by nikt na świecie nie domyślił się, dlaczego zmienił oficerki na półbuty. Wrogowie partii tylko czyhają na jego chorobę. Lecz on do tego nie dopuści. Trzeba przecież ratować naród, nakłonić Zachód, by zaopatrzył Rosję w żywność, dał jej wyposażenie techniczne dla wojska, otworzył drugi front. A gdyby tak ich postraszyć, że w razie zwycięstwa zagarniemy całą Europę?

Josif Wissarionowicz przeszedł tak blisko, że można było dotknąć go ręką. Stiepan zauważył, że tułów wodza był krótki, wąski, a ręce zbyt długie. Zęby nierówne i zepsute. Stalin bał się bólu i nie leczył zębów. Jeszcze przed wojną wyrósł mu potężny brzuch — wódz mało się ruszał, za to dużo jadł. Włosy się przeredziły, policzki zwiędły, twarz wyblakła od wysiadywania po nocach w kremlofskim gabinecie. Jagubow był zachwycony. Stalin jest niewiele od niego wyższy! Wódz siadł naprzeciw jagubowskiego attaché prasowego nr 14. Za jego krzesłem stał jakiś nieznany kelner. Stalin wskazał mu palcem swój kieliszek, który szybko napelnił się winem.

— Cold water, please — poprosił Anglik nr 14.

Jagubow zafascynowany Stalinem stał jak wryty.

— Wody! Nalej wody! — wyszeptał *maître d'hôtel*, który nagle skądś wyskoczył niczym diabeł z pudełka.

Jagubow ocknął się, chwycił butelkę mineralnej, owinał ją białą serwetką i nalał Anglikowi pół kieliszka. Ten kiwnął i wypił jednym haustem.

— Czy pan zauważył, kolego — cicho rzekł Anglik nr 14 do Amerykanina nr 15 — że Rosjanie drętwieją na widok Stalina? Pewno ich hipnotyzuje farbowanymi wąsami. Niech pan spojrzy na tego bęcwała — kelnera!

„Przeklęty imperialista — pomyślał urażony Stiepan — Myśli skurczybyk, że nie rozumiem. Czekaj tylko, ty mendo!”

Stalin pochylił się, wziął ze stołu kielich (lewa ręka i ramię od czasu nieszczęśliwego wypadku w dzieciństwie nie były mu posłuszne) i wstał trzymając go w rękę. Jagubow wyprężył się jak struna. Lecz *maître d'hôtel* dotknął jego łokcia i kazał iść za sobą do kuchni.

— No i jak? — spytał po drodze.

Jagubow postanowił się zemścić na angielskim imperialiście:

— Numer czternaście wyraził się krytycznie o towarzyszu Stalinie...

— Ta wiedza nie jest nam potrzebna — oschle skwitował jego donos *maître d'hôtel*. — Wymieniał jakieś cyfry, fakty?

— Jak dotąd nie — Jagubow poczuł, że popełnia błąd i aby się zrehabilitować, zapytał:

— Są jakieś nowe polecenia?

— Kładź talerze na tacę!

— Gdy wrócił, na sali grzmiały oklaski. Stalin spokojnie słuchał cudzoziemców i palił fajkę. Nagle wlepił malutkie oczka w brytyjskiego attaché prasowego:

— Co pan ma w kieliszku?

— Mineralną — odpowiedział Anglik nr 14 po rosyjsku. — Ale teraz chyba poproszę o koniak.

— Armeński czy gruziński? — zapytał Stalin.

Znów bacznie spojrział na Anglika, tak jakby chciał czytać w jego myślach. Ten, nie wiedząc, co odpowiedzieć, uśmiechnął się skruszony.

— Jestem, co prawda, Gruzinem — powiedział Stalin — ale moim zdaniem armeński koniak jest najlepszy. Jak pan widzi, komuniści nie uznają narodowościowych przywilejów. My, ludzie radziecy, chętnie pijemy radziecki szampan, produkowany na Krymie.

Attaché prasowy pomyślał, że chyba przesadnie uwierzył brytyjskim gazetom. W rzeczywistości Stalin jest ludzki, demokratyczny, a jego twarzy nie szpecą zbyt mocno dzioby po ospie, jak to opisują zachodni dziennikarze. Już on im powie...

A Stalin ciągnął dalej:

— Najlepszy jest szampan z piwnic krymskich. W końcu minionego stulecia produkowali go Grecy dla rosyjskich arystokratów. Teraz pije go proletariat i chłopstwo pracujące. Pan też niech się poczęstuje, bardzo proszę!

Stalin wskazał oczyma butelkę i pstryknął palcem. Stiepan wraz z dwójką innych kelnerów rzucili się wykonać polecenie. Jagubow był najszybszy. Pierwszy schwycił butelkę, nalał kilka kropel do maleńkiego kieliszka, spróbował, i dopiero potem napelnił kieliszek Stalina. Lecz wódz wskazał oczyma kielich Anglika. Gdy Stiepan nalał Anglikowi szampana i znów się odwrócił, kelner Stalina trzymał już w ręku identyczną butelkę, wlał z niej odrobinę do malutkiego kieliszka, spróbował, nalał Stalinowi. Szampan, smaczny i lekki, połaskotał Anglika w nozdrza. Nie odstawił więc kieliszka, lecz podsunął go Jagubowowi, by ten nalał mu jeszcze. Stiepan stał bokiem, by lepiej słyszeć, jak go uczono, rozmowy przy stole. Zorientował się, w czym rzecz, wziął od Anglika kieliszek, ale chyba niezbyt mocno, zresztą może cudzoziemiec za wcześnie wypuścił go z ręki. Kieliszek upadł na dywan.

Jagubow kątem oka wybadał, czy ktoś, aby nie zauważył wpadki i dyskretnie kopnął kieliszek pod stół. Wziął z tacy inny i nalał do niego szampana. Anglik wypił łyk i pochwalił krymskie wino oraz gust prostych radzieckich ludzi — wiedzą, co warto pić.

— Przecież mówiłem — odparł zadowolony Stalin i palcem pogładził swoje wąsy.

Gdy nazajutrz Beria meldował Stalinowi, o czym rozmawiali dyplomaci, wódz gryzmolił coś w notesie. Beria wyciągnął szyję i zobaczył, że Stalin rysuje mecz piłki nożnej. Nagle przerwał Berii i spytał po gruzińsku:

— Ławrentij, jak nazywa się ten piłkarz?

— Z jakiej drużyny, Josifie Wissarionowiczu?

Nikt nie zwracał się do Stalina w ten sposób. Wódz tego nie znosił. Wszyscy nazywali go „towarzyszem Stalinem”. Tylko Berii pozwalał na taką poufałość.

— Nie odwracaj się, Ławrentij, patrz mi w oczy. Naturalnie, że z twojej!

— „Dynamo”?

— Czemu „Dynamo”? Jesteś ostatnio roztargniony... — Stalin wziął z biurka fajkę, rozgrzebał palcami popiół, podpałił zapalką, popykał. — Jak nazwisko tego piłkarza, co tak zgrabnie kopnął kieliszek?

Jak się okazało, nikt niczego nie zauważył. A Stalin lubił zaskakiwać swoją umiejętnością obserwacji. Nazwisko Jagubowa Beria podał mu nieco później przez telefon.

— Kelner z niego marny — powiedział Stalin. — Zbyt nerwowo... Może za zdolny do tej roboty?

— Pozbędziemy się go.

— Też mi nowina! I bez ciebie wiem, że się pozbędziecie. Od dawna się zastanawiam, jak łatwo pozbywacie się ludzi. A to przecież nasze kadry.

Beria usłyszał jak na drugim końcu przewodu telefonicznego Stalin cmoka rozpalając fajkę.

— Wiesz co — poradził Berii Josif Wissarionowicz — zatrudnij chłopaka zgodnie z jego kwalifikacjami.

Ławrentij Pawłowicz skrzywił się. Wspomniał krwiożerczego karła Jeżowa, którego Stalin wyciągnął z jakiejś dziury i awansował. Wódz lubi wypychać ludzi „Z nizin na książęce salony.” Jagubow nie przypadkiem go zainteresował. Trzeba zachować ostrożność. Szef kancelarii Ławrentija Pawłowicza generał Czernow otrzymał stosowne polecenie i Stiepan został dyrektorem stadionu NKWD „Dynamo”. Już nazajutrz przed rozpartym w fotelu Jagubowem stał poprzedni dyrektor i przekazywał mu swoje obowiązki. Eks-dyrektora wysłano na front. A nowy miał niewiele pracy. Sale sportowe i szatnie pod trybunami stadionu były zajęte. Mieściła się tam szkoła dywersantów, zrzuconych potem na tyły przeciwnika. Szkołą kierował ktoś inny.

Stalin nie wspomniał nigdy później o tym żarcie, choć lubił czasem sprawdzić, jak są wykonywane jego polecenia. Teraz pochłaniała go budowa podziemnej linii metra; mógłby nią wracać z dachy w Kuncewie na Kreml. Prace już ukończono. Josif Wissarionowicz obejrzał budowę, lecz doszedł do wniosku, że zawal (przypadkowy lub wynikający z sabotażu) byłby dla niego śmiertelnym zagrożeniem. Kazał więc uruchomić tę linię dla miasta. Gazety znów się rozpisywały o troskliwości wodza, który tak bardzo dba o dobro narodu.

Jakubow nigdy się nie dowiedział, kto pokierował jego losem. Ludzi, którzy pomogli mu zdobyć pracę, w jakiś czas później rozstrzelano, nie z powodu Jagubowa, rzecz jasna. Na etacie dyrektora

stadionu Stiepan czuł się doskonale. Trafił do nomenklatury. Wkrótce poznał Ninę, córkę Topilina, kierownika wydziału KC, gdy przyszła na stadion grać w tenisa. Była niewiele od niego wyższa. Jagubow stworzył jej najlepsze warunki, przydzielił doskonałego trenera. Sam przychodził obserwować te treningi i w procesie obserwacji dziewczyna przypadła mu do serca. Wkrótce zaciągnął ją do łóżka i szybko wzięli ślub.

Teść porozumiał się z Ławrentijem Pawłowiczem i z Wydziałem Propagandy KC. Dzięki tej rozmowie udało się przerzucić Stiepana, wówczas absolwenta wyższej szkoły partyjnej, ze stadionu do gazety „Sport radziecki”, by wsparł ideologicznie ten organ. Został więc Jagubow dziennikarzem. Mógł teraz tłumaczyć szerokim masom, że sport to zadanie partyjne, polityczne, że jest to szkoła radzieckiego patriotyzmu. Sport ideowo hartował wielomilionową armię kibiców. Gdy Topilina, jagubowskiego teścia, wypchnięto na emeryturę, próbował pouczać zięcia, jak ma się zachowywać wobec zwierzchników i podwładnych. Jagubow przerywał wówczas starem z uśmiechem i klepał go po ramieniu:

— To stare metody, tatku. Nie nadają się. Dziś trzeba nie gadać, a pracować. Nawarzyłeś piwa, więc siedź cicho jak mysz pod miotłą!

Ale i los Stiepana wisiał na włosku. Wśród tych, których na wszelki wypadek pozbyto się z Moskwy, był również Jagubow. Beria wysłał swoich ludzi do pracy na Węgrzech, ubijając tym sposobem dwa zajęcia. Odsuwał faworytów Stalina, by zademonstrować, że jest wrogiem zmarłego. Lecz odsuwał tak, by gdy tylko sytuacja będzie korzystniejsza, znów szybko posłużyć się starymi kadrami.

Trzydziestotrzyletni, mały, lecz udały Jagubow, przybył do ambasady ZSRR w Budapeszcie i zameldował ambasadorowi Kegelbanowowi, że będzie na tej placówce drugim sekretarzem. Żona wraz z rodzicami została w Moskwie.

— Jesteśmy krajanami, Jegorze Andronowiczu — podzielił się radosną nowiną z ambasadorem.

Kegelbanow znalazł już akta personalne nowoprzybyłego i nie mógł nie doceniać jego pracowitości. Jagubow inwigilował pracowników ambasady i delegowanych na Węgry obywateli radzieckich: inżynierów, sportowców, artystów, działaczy partii i komsomołu. Miał już na tej niwie skromne doświadczenie: umiał podsłuchiwać na wpuł odwrócony od rozmówców. Ambasador traktował Jagubowa z atencją bynajmniej nie dlatego, że urodzili się w tej samej wiosce. Wiedział, że krajan i na niego donosi, a ponieważ jest krajanem,

może być poinformowany lepiej niż inni. Zdając sobie z tego sprawę Stiepan przekonywał ambasadora, że jest wprost przeciwnie: potrafi ocenić okazywaną troskę i nie wyda swoich.

Gdy rozstrzelano Berię Stiepan czuł się już człowiekiem Kegelbanowa. Nie mylił się zresztą: na liście agentów bezpieczeństwa potajemnie odznaczonych za stłumienie kontrrewolucji w Budapeszcie w 1956 roku pierwsze miejsce zajmował Kegelbanow, ostatnie zaś — Jagubow. Wkrótce ambasadora Kegelbanowa, o którym prasa zachodnia pisała, że ma ręce splamione krwią, trzeba było zabrać z Węgier. Jagubow wypełniał wówczas znacznie skromniejsze zadanie, w dodatku nocami. Oczyszczał z trupów ulice. Zachodnie gazety o nim nie pisały. Wciąż pracował w ambasadzie, choć marzył, by wrócić do Moskwy.

Teść Jagubowa, teraz emeryt, sporo czasu spędzał na dacy. W sąsiedztwie miał daczę Chruszczow, od dawna zaprzyjaźniony z Topilinem. Kiedyś teść poskarżył się Chruszczowowi, że jego córka tęskni za mężem. Czystka aparatu partyjnego, tak bardzo potrzebna Nikicie Siergiejewiczowi, następowała powoli i z oporami. Potrzebne były świeże, własne kadry. Chruszczow zatelefonował do Kegelbanowa, żeby dowiedzieć się, co to za jeden ten Jagubow — nazwisko skądś znajome. Kegelbanow, już wtedy kierownik wydziału KC, przypomniał Chruszczowowi listę funkcjonariuszy odznaczonych za stłumienie węgierskiego buntu.

— Pamiętam — powiedział Nikita Siergiejewicz — A co to za człowiek?

— Sprawdzony. Nasz! — podsumował Kegelbanow: jemu też byli potrzebni zaufani ludzie.

Trzy dni później Jagubow, odwołany ze stanowiska w związku z „przeniesieniem do innej pracy”, lądował na Szeremietiewie. W Moskwie zamiast dawnego Biura Informacyjnego organizowano Agencję Prasową „Nowosti”. Do zarządu Chruszczow powołał swego zięcia Adżubeja, a przy okazji zięcia Tomilina, czyli Jagubowa. W APN Stiepan Trofimowicz mógł wykazać się zdolnościami organizatorskimi. Wydawnictwo APN zaczęło bezpłatnie rozsyłać literaturę propagandową do wszystkich krajów. Tam zaś, pod egidą radzieckich ambasad, tworzone ośrodki APN-u. Pracowali w nich agenci Komitetu Bezpieczeństwa oraz miejscowi komuniści.

Pobyty za granicą, choć były to tylko Węgry, a także praca na kierowniczych stanowiskach, wszystko to odmieniło nie tylko powierzchowność, ale i horyzonty myślowe Stiepana Trofimowicza.

Pozbył się prostactwa i naiwności, poważniej podchodził do życia. Ubierał się skromnie, lecz elegancko, był sympatycznym, dowcipnym rozmówcą. Nigdy się nie mylił, kiedy trzeba dzwonić osobiście, a kiedy za pośrednictwem sekretarki, jakim tonem należy rozmawiać. Wyobrażenie o sobie samym miał, co prawda, lepsze niż świadczyła rzeczywistość. Rozumiał, że od skutków działań propagandowych jego dalszy rozwój zależy pośrednio, zaś od układów ze zwierzchnikami — wprost. Sam miał lojalnych, wiernych pracowników. Dzieci rosły zdrowe, posłuszne i dobrze się uczyły. Żona po studiach w instytucie kultury fizycznej mało pracowała, za to z przyjemnością grała z dziećmi w tenisa. Jagubow kochał swoje dzieci, też grał z nimi wieczorami, latem wysyłał je do dziadków na Kubań, żeby od najmłodszych lat przyuczały się do pracy. Słowem, los mu sprzyjał.

Martwiło go tylko to, że wszystko robił w pośpiechu, może dlatego, że był taki niski. Mówił i chodził też zbyt szybko. Pośpiech pozbawiał powagi. Stiepan zmuszał się do powściągliwości, mówienia i poruszania się wolniej, odpowiednio do swojej nowej pozycji społecznej. Ale coraz częściej się zastanawiał, czy nie pora na nowy, kolejny skok w górę. Czy zwierzchność jeszcze o nim pamięta?

Gdy zaczęła się burzyć Czechosłowacja, chciano wysłać tam natychmiast Kegelbanowa na ambasadora: zdobył duże doświadczenie w podobnej sytuacji na Węgrzech. Ale mogłoby to spowodować niepożądane reakcje. Kegelbanow został przewodniczącym Komitetu Bezpieczeństwa i profilaktyczne przedsięwzięcia w Pradze organizował z Moskwy. Potrzebne mu więc były świeże kadry. Lista nagrodzonych orderami za Węgry leżała przed nim na biurku. Kegelbanow brał pod uwagę nie tylko doświadczenie z Budapesztu, lecz i późniejszą pracę towarzyszy — minęło przecież od tamtych czasów dwanaście lat.

Do Jagubowa zatelefonował pomocnik Kegelbanowa Szamajew (na Węgrzech obaj byli na „ty”) i uprzedził, że może skorzystać z jego usług.

— Zawsze gotów! — wesoło odpowiedział Jagubow pionierskim pozdrowieniem i uniósł się nieco na krześle.

— Nie wybieracie się na urlop, towarzyszu?

— Zależnie od dyrektyw...

— No to urlop przenieście na później.

— Tak jest — odpowiedział Jagubow, nie domyślając się, do czego będzie potrzebny.

Wydarzenia w Czechosłowacji poszły w złym kierunku, lecz

na Łubiance wciąż obchodzono się bez jego, Jagubowa, pomocy. Słowa „Łubianka” Jagubow nie darzył szacunkiem, rzadko go używał. Mówił „aparat” — brzmiało to skromnie, ale rzeczowo. 21 sierpnia rano usłyszał przez radio komunikat TASS o udzieleniu narodowi czeskiemu bratniej pomocy.

Szamajew znów do niego zadzwonił, kazał jechać na plac Nogina i zatrzymać się koło muru kitajgorodzkiego. Gdy Jagubow wysiadł z samochodu, podszedł do niego jakiś mężczyzna, zaprosił do stojącej obok „wołgi” z firankami. Po pięciu minutach samochód dał nura we wrota, naprzeciw sklepu spożywczego, i skierował się w stronę głównego budynku. Bez słowa wsiedli do windy i wjechali na drugie piętro, potem szli długim pustym korytarzem z jasnozielonymi ścianami. W kątach stali strażnicy. Jagubow o nic nie pytał. Tabliczkę z napisem „przewodniczący” zauważył, gdy stali już przed drzwiami.

W ogromnym przedpokoju za gigantycznym biurkiem, w otoczeniu różnokolorowych telefonów siedział niemłody sekretarz w mundurze majora. Towarzyszący Jagubowowi oficer gdzieś zniknął. Na pulpicie zapaliło się czerwone światło. Sekretarz wstał bez słowa i otworzył drzwi. Z dała, w obszernym gabinecie z mahoniowymi ścianami, które ozdobił wschodnimi dywanami jeszcze Beria, Jagubow dostrzegł za biurkiem znajomą twarz. Przewodniczący KGB nosił okulary w cienkiej, złotej oprawie. Posiwiał, włosy przykleiły mu się do czaszki, okulary nie kryły worków pod oczyma. Poprawił mankiety, wstał, powściągliwie się przywitał, zapytał o zdrowie. Stiepan Trofimowicz, jak już wiemy, nigdy nie chorował. Przemknęła mu przez głowę myśl, że pewno go wyślą do Czechosłowacji w celu prowadzenia działań profilaktycznych, jak niegdyś na Węgry. Ale natychmiast się zorientował: skoro przywieźli go do centrum, to nie wyślą za granicę.

— Polecilem was, towarzyszu Jagubow — powiedział Kegelbanow patrząc mu w oczy — jako fachowca. Macie przygotować apel grupy członków KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji i zgromadzenia narodowego Czeskiej Republiki do naszej partii i rządu z prośbą o pomoc. Jak wiecie, minionej nocy przyszliśmy im z pomocą...

— Jestem poinformowany — kiwnął Jakubow, choć wcale poinformowany nie był. — Kiedy zaczynać?

— Natychmiast.

Kegelbanow nacisnął guzik i gdy w drzwiach stanął niemłody, wyprężony na baczność major, wydał polecenie:

— Przekażesz mu materiały.

— Jest pewien kłopot, Jegorze Andronowiczu — rzekł skonsternowany Stiepan Trofimowicz, poczekawszy aż major wyjdzie — ja nie znam czeskiego...

— Wiem — w głosie Kegelbanowa zabrzmiała nuta ironii. — Ale znajdziemy tłumacza. Bierz się do roboty.

Przewodniczący otworzył własnym kluczem tajne drzwi i wyszedł. Stiepan podreptał chwilę w miejscu — brakło mu śmiałości, by sięść za biurkiem szefa KGB. Po krótkiej chwili zajął miejsce przy długim, nakrytym zielonym suknem stole obrad. Czujnie przyglądał się Jagubowowi z portretu Dzierżyński. Słońce wpadało przez ogromne okna, układało się w prostokąty na suficie, oślepiało.

Jagubow, choć podniecony, nie tracił zdolności myślenia. Nie zastanawiał się, dlaczego właśnie jemu powierzono tak ważne zadanie. Był pewien, że jest niezastąpiony. Umie pracować skutecznie. Wtedy, w Budapeszcie, nie pozwolił spać żołnierzom, zorganizował ciężarówki, przed świtem wszystkie trupy załadowali, wywieźli, zakopali w wrytych dołach. Nawet zdążyli umyć ulice. Jagubow sam też nie spał — mknął gazikiem z Budy do Pesztu i z powrotem, choć jeszcze strzelano do nich z okien. Nie, ważna jest nie tylko skuteczność, lecz i jego zawód — dziennikarstwo. Czy Kiegielbanow nie ma własnych ludzi do tej roboty? Ważne jest jeszcze chyba to, że on, Jagubow to swój człowiek, choć nie pracuje w KGB. Swój, a równocześnie nie swój. Można mu ufać, choć nie jest pracownikiem aparatu. Decyzja, by zwrócić się do niego, była nie tylko logiczna, ale jedynie słuszna. Jagubow nigdy nie miał wątpliwości! Miało to pewną zaletę: gdy przekonał o czymś samego siebie, z większą energią brał się do pracy.

Major przyniósł stos „Prawd” — od lipca do połowy sierpnia bieżącego, 1969 roku. Jagubow wyjął „Parkera”, z którym się nie rozstawał, przysunął do siebie czystą kartkę. Zadanie komplikował fakt, że poza szkolnymi dyktandami, nigdy w życiu nic nie napisał. Nawet nie próbował pisać. Wszystko, co było mu potrzebne, zgodnie z instrukcją, pisali dla niego inni. Potrafił coś więcej: wiedział, co trzeba pisać i dlaczego. Mógł sporządzać plany mnóstwa artykułów równocześnie, zapełniać tekstem stosy gazet, publikować dziesiątki książek. Gdyby pisał sam, byłoby to równie głupie jak zamiatanie własnego gabinetu. Do pisania miał ludzi.

Westchnął i zaczął wertować „Prawdę”. W lipcu Czechosłowacja zniknęła ze stron gazet. Obawiano się uchwał nadzwyczajnego

zjazdu Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Po dobremu namawiano Dubczeka, by zjawił się w Moskwie, ale w końcu trzeba było pojechać do Czarnej nad Tisną. Co z tego Dubczeka za komunista, skoro się waha? O co Czechom chodziło, gdy gadali o socjalizmie z ludzką twarzą? Zapomnieli o najważniejszym: ster władzy musi znajdować się w rękach partii. Na przykład, Cedenbał jest pewien, że w Czechosłowacji wszystko ułoży się dobrze. Umarł Paustowski. Umarł Rokossowski. RFN przeprowadza manewry nad granicą Czechosłowacji. Aż tak daleko się posunęli, że otworzyli granicę, można swobodnie wjeżdżać i wyjeżdżać! Komuniści, a zachowują się jak małe dzieci! No, jest wreszcie to, czego Jagubowowi potrzeba: list robotników czeskich z fabryki „Auto-Praga” — i faksymile dziewięćdziesięciu dziewięciu podpisów. O, proszę, to jest ważne: „święty obowiązek wszystkich komunistów” — artykuł teoretyczny. Podstawowe źródło apelu Czechów do KPZR z ich gorącą prośbą.

Chociaż Jagubow i tak wszystko pamiętał, przejrzał „Prawdę” od deski do deski. W ostatnim numerze było oświadczenie TASS. Agencja informowała, że działacze partyjni i państwowi Czechosłowackiej Socjalistycznej Republiki zwrócili się do Związku Radzieckiego i innych państw Układu Warszawskiego z prośbą. Zwrócili się, a tekstu nie ma... niezła wpadka... Sprawdził na brzeżku kartki, czy jego „Parker” pisze — owszem, pisał wyraźnie i lekko. Grunt to zacząć. Nagle z pamięci wypłynęły słowa: „Bracia i siostry”.

Spodobał mu się taki początek. Tak przemówił do narodu na początku wojny Stalin. Potem, gdy Jagubow zajrzał do „Prawdy”, okazało się, że zmieniono te słowa, napisano „Mężczyźni i kobiety!” Ale był przekonany, że Stalin i on wymyślili to lepiej.

Na razie jednak czuł, że nie wolno grać polityką, trzeba wykorzystywać dumę narodową Czechów. Namawiać ich grzecznie, bez przymusu, że niby o wszystkim decydują sami. Zwłaszcza, że wojska już weszły i nie ma o co się martwić. „Zwracamy się do was, szanowni obywatele” — pisał dalej Stiepan Trofimowicz wykorzystując twórczo szablonowe zwroty. „Gniew i oburzenie narodu radzieckiego”, „rozjuszeni najemnicy”, „podżegacze”, rewanżyści”, „rozszałała reakcja” — o nie, z tych określeń nie korzystał, wybierał łagodniejsze, choć trzymał się ściśle partyjnej linii. Po pierwszych mękach twórczych pisać było łatwiej, pióro biegło galopem po kartce. Jagubow skończył swe dzieło, wezwał majora i powiedział, że potrzebna jest maszynistka.

— Taka, co nie robi błędów! — dodał szybko.

Major skinął głową, oddalił się, a po chwili wrócił z maszyną do pisania. Terkotał jak karabin maszynowy i wkrótce tekst leżał na biurku. Na górze widniały słowa: „Nie rozpowszechniać poza gabinetem.” Za bramę wyprowadził Jagubowa znany mu już oficer. Gdy Stiepan Trofimowicz przesiadł się do oczekującej go „wołgi”, kierowca tylko wzruszył ramionami.

— Zmęczyłeś się? — spytał Jagubow. — Trudno! Człowiek potrafi wiele znieść.

Jagubow tryumfował. Bądź co bądź, wyrażając się językiem gazet, uczestniczy w ratowaniu socjalistycznego państwa przed haniebnym opuszczeniem z socjalistycznego obozu. Nadejdzie czas, gdy sami Czesi uświadomią to sobie. Jagubow przejdzie do ich historii, stanie się czeskim bohaterem narodowym. Kiedyś dowie się o tym cała postępową ludzkość, na razie nie ma pojęcia nawet żona.

Nazajutrz Stiepan Trofimowicz znów był potrzebny. Został redaktorem naczelnym wydawanej przez patriotów czeskich gazety „Praci”: drukowano ją w Dreźnie, a bezpłatnie rozprowadzano w Czechosłowacji, wyzwolonej przez wojska radzieckie. Organ patriotów czeskich przygotowywano w Moskwie, w agencji prasowej „Nowosti” — głównym miejscu zatrudnienia Jagubowa. Nakład z Drezna przywożono wojskowymi śmigłowcami. Kiedyś w takim śmigłowcu zginął dziennikarz Karl Niepomniaszczij: w czasie pechowego lądowania udusił się pod stertami gazet, które na niego runęły. Pogrzeb odbył się w Moskwie, okoliczności wypadku utajniono. Jagubow pracował dzień i noc, osobiście uzgadniał każde słowo. Zbladł i wychudł. A uparci Czesi nie chcieli czytać jego gazety.

Gdy sytuacja w Czechosłowacji unormalizowała się, operatywny organ czeskich patriotów przestał być potrzebny. Jagubow spodziewał się nagrody — brał przecież udział w historycznej misji. Inna sprawa, że stopień jej utajnienia był wysoki, trudno więc było liczyć na order. Ale, myślał Jagubow, może jakiś awans? Czekał niezbyt długo. W październiku pozwolono mu wyjechać na urlop. Na lotnisko udał się z żoną i z nominacją na nowe stanowisko: gdy wróci, podejmie pracę w „Prawdzie Robotniczej”, będzie pierwszym zastępcą redaktora naczelnego.

Nigdy nie wspominał, że był milicjantem. W ankietach pisał, że pracował w NKWD. Prawdziwi czekiści w głębi ducha gardzą milicjantami. Stiepan Trofimowicz zdawał sobie sprawę, że ma szczęście, lecz był też przekonany, że wynika ono z jego cech osobistych. I każde

miejsce pracy uważał za tymczasowe. Tak jakby było szczeblem, z którego można wznieść się na szczebel jeszcze wyższy. Pragnął pracy wysoce odpowiedzialnej, żeby zająć wysoko, wyżej niż inni; był pewien, że gdyby pozwolono mu kierować państwem, robiłby to mądrzej i lepiej niż ci, co rządzą teraz. Owszem, pragnął zaszczytów. Mógłby je przyjmować, oglądać własne portrety. Myślał nawet żartobliwie, że za jakiś czas stacja Nagutka będzie miastem o nazwie „Jagubow”: w centrum zbudują mu pomnik. Przyszłość zajmowała wszakże w myślach Jagubowa znacznie mniej miejsca niż teraźniejszość.

Najlepszy wariant byłby taki: zostać pomocnikiem któregoś z członków Politbiura lub sekretarza KC, najlepiej tego, który kieruje sprawami międzynarodowymi, bo w tej dziedzinie Jagubow ma się czym pochwalić. Ale na to stanowisko nie powołują, lecz wybierają. W wyborach bierze udział jeden wyborca. Rządzący wybierają sobie pomocników z nadzieją, że dzięki nim wzbogacą swe szare komórki. Jagubow miał tych komórek sporo. Szybkiemu awansowi przeszkadzała jedna wada: znakomite zdrowie. Zbyt zdrowo wyglądający osobnicy nie podobali się członkom Politbiura: żeby wejść na szczyt, należało się pochorować i zestarzeć.

Zresztą i etat w „Prawdzie Robotniczej” był poważnym skokiem w górę. Na naczelnych redaktorów i ich zastępców wyznaczano wyłącznie ludzi sprawdzonych, zatrudnionych przedtem w KC. Dla Jagubowa, dzięki jego zasługom, zrobiono wyjątek. Istniało też, co prawda, ryzyko: Makarcew pracował niegdyś w aparacie KC, a zatem miał tam swoich ludzi. Jagubow mógł więc zostać chłopcem do bicia. Ponieważ świetnie skakał ze spadochronem, potrafi w porę go otworzyć.

Ale choć koń ma cztery nogi, też się potknie. Wkrótce po przejściu do „Prawdy Robotniczej” Jagubow, uprzedzony telefonem z KC, przyjmował w Związku Dziennikarzy gościa — nowego zastępcę naczelnego „Rudeho Prava”. Byli mniej więcej w tym samym wieku, Czech — ćwierć metra wyższy. Razem wyruszyli do Azji Środkowej. Zabytki Samarkandy oglądali we trójkę — wraz z towarzyszącą im Mariną, wysoką, zgrabną, blondynką w importowanych ciuchach. Jedli kolację w hotelu dla cudzoziemców „Samarkanda”. Czech krzywił się nie mogąc opędzić się od much, lecz mówił, że bardzo mu się tu podoba. Wypili po dwa kieliszki wódki, Marina — prawie całą butelkę. Gdy rozstali się na korytarzu, Stiepan Trofimowicz zaczął nasłuchiwać. Marina weszła do pokoju Czecha, z ożywieniem rozmawiali, ale szybko wyszła.

Zastępca naczelnego „Rudeho Prava” , pełen obaw, że zbyt słabo demonstruje proradzieckość, chyba zrezygnował z dalszych usług dziewczyny, wyprosił ją z pokoju. Marina nie spodziewająca się takiego afrontu, weszła do Jagubowa na papierosa i spytała:

— Chcesz zobaczyć?

— Co takiego? — nie zrozumiał Jagubow.

Rozebrała się i stanęła na środku pokoju naga, dając Jagubowowi czas na podziwianie.

— No i jak?

Chciał wypchnąć ją za drzwi, lecz ona ze śmiechem się wyrywała i nie potrafił jej zmusić, by włożyła ubranie. W dodatku okazało się, że jest niebrzydka, a on też nie z kamienia. Choć wysoka (Jagubow bał się takich kobiet), robiła co trzeba fenomenalnie. Lubił seks, ale starał się być powściągliwy. Wreszcie się opamiętał i zaczął namawiać dziewczynę, żeby sobie poszła.

— Podobasz mi się — zaprotestowała i zasnęła na jego rękę.

Nazajutrz rano wyrzwał na korytarz, wypuścił z pokoju dziewczynę i odetchnął z ulgą. Gdy wrócili do Moskwy, zadzwoniła do niego. Czemu nie pamięta o starych znajomych? Właśnie dostała klucze do nowego mieszkania, zaprasza Jagubowa na parapetówkę. Rozmawiał z Mariną chłodno: ma mało czasu, nie skorzysta. Pisała wtedy raport z podróży do Azji Środkowej zastępcy naczelnego „Rudeho prava”. Odłożywszy słuchawkę zastanowiła się przez chwilę, po czym na końcu krótkiej, pozytywnej opinii o czeskim towarzyszu, dopisała: „Tow. S.T. Jagubow podczas wyjazdu wykazał się polityczną dojrzałością, lecz moralnie był chwiejny.”

Gdyby o tym wiedział, z pewnością pojechałby obejrzeć to nowe mieszkanie. Politycznie jednak Jagubow był dojrzały. Gdy w redakcji „Prawdy Robotniczej” zjawili się szwedzcy dziennikarze, a Markarcew był właśnie na zwolnieniu lekarskim, przyjął ich Jagubow. Anna Siemionowna pobiegła do specbufetu po kawę i ciastka. Szwedzkich dziennikarzy niepokoiły pewne problemy, stawiali bez końca prowokacyjne pytania.

— Panie Jagubow, dlaczego gazety sowieckie urządzają nagonkę na pisarzy?

Odpowiedział na to:

— Nie możemy zabronić gazetom wypowiedania własnych opinii. My też, panowie, mamy wolną prasę!

— A co robicie, gdy wasze poglądy różnią się z partyjnymi?

— Moje myśli należą do partii — wyjaśnił Jagubow. — Partia

mną dysponuje, więc nie ma różnicy poglądów między partią a mną.

— Czy ma pan prawo myśleć inaczej niż reszta członków partii? — uściślił jeden z dziennikarzy i lyknął kawy, by Jagubow mógł zebrać myśli.

Stiepan Trofimowicz, zdumiony, że kolega szwedzki nie rozumie elementarnych rzeczy, wyjaśnił spokojnie:

— Jeśli ci członkowie partii zajmują wyższe stanowisko niż ja, to nie może być żadnych różnic. Jeśli coś mi polecą, to polecenia ich są poleceniami partii.

— Mówił pan o swym chłopskim rodowodzie. Jak przebiegała pańska kariera, panie Jagubow?

— W naszym kraju nie ma karierowiczostwa — cierpliwie wyjaśniał Jagubow. — Ludzie tylko dojrzewają. A najszybciej dojrzewają ludzie wierni partii i jej ideałom.

I uśmiechnął się czarująco — prosty, szczery Rosjanin ze stawropolskiego kraju.

— Kim są pańscy rodzice? — spytał inny Szwed.

— Mówiłem przecież, że chłopami — zaśmiał się Jagubow. — Po naszymu — kolchoźnikami. Jestem do nich bardzo przywiązany. Każdej wiosny lecę na wieś samolotem na dwa lub trzy dni, wiozę mnóstwo produktów, kopię w ogródku, naprawiam dach. Dla starych ludzi to ciężka praca. Nie udaje mi się wyjechać tylko wtedy, gdy mam dyżur w majowe święta. Najważniejsza jest robota, panowie!

19. Do roboty! Do roboty!

Obowiązki zastępcy naczelnego wykonywał Jagubow taktownie, lecz bez spoufalania się z podwładnymi. Postanowił wprowadzić do redakcji zachodni styl bycia, w którym dominowałyby grzeczność i rzeczowość. Jeśli czasami przez zapomnienie zwracał się do pracowników per „ty”, szybko się reflektował i przybierał oficjalny ton. Dziennikarzy dzielił na dwie kategorie: nieodpowiedzialnych, czyli tych, którzy piszą, oraz odpowiedzialnych — tych, co składają swe podpisy pod tekstem. Jagubow należał do drugiej kategorii. Teraz, pod nieobecność naczelnego, brzemień odpowiedzialności za „Prawdę Robotniczą” spadło na jego barki.

— Choćby Bóg wie co zaszło we wszechświecie — oświadczył na naradzie redakcyjnej, którą zwołał w związku z chorobą szefa — czytelnik dowie się od nas, że w kraju wszystko idzie jak najlepiej.

Był w redakcji nowym człowiekiem, lecz doskonale rozumiał: wszystkie nici zbiegają się w gabinecie Makarcewa. Należało wyjaśnić, na kim można się oprzeć, żeby choć niektórych sobie zjednać — na pewien czas lub na zawsze. Leżała przed nim lista etatowych pracowników redakcji z informacją, jakie kto ma stanowisko, staż pracy i uposażenie. Oczy prześlizgiwały się z nazwiska na nazwisko. Wspominał, co słyszał o tym lub innym pracowniku i jaką miał o nim opinię. Po pobieżnych oględzinach postawił kropki przy dwóch nazwiskach: Kaszyn i Rappoport. Każdy z tych ludzi napałwał niepokojem, inna sprawa, że z innych powodów.

Makarcew niezbyt lubił Kaszyna, chociaż nie demonstrował tego publicznie. Wprost przeciwnie, mówił, że to człowiek pracowity, zrównoważony, robi wszystko na czas. Jednak nuta ironii pozwalala się domyślać, że Makarcew Kaszynem gardzi. Chyba czuł się na tyle mocny, że nie potrzebował oparcia. Kaszyn był kimś w rodzaju ekonoma; często naczelny zapominał, że to nie on polecił Kaszynowi obserwować w redakcji kadry, lecz KGB. Gdy ktoś może na kogoś liczyć, stara się pracować lepiej, więc Jagubow postanowił dać to Kaszynowi do zrozumienia.

Z Rappoportem będzie trudniej. Ten niechlujny, źle ogolony, zawsze naburmuszony kierownik działu wychowania komunistycznego był głęboko antypatyczny. Antypatia była, jak wszystko świadczyło, wzajemna. Maniera Rappoporta, by ustawicznie się sprzeciwiać, zwlekać z wykonywaniem poleceń, które nie przypadły mu do gustu, wynikała niewątpliwie z tego, że brak mu było najważniejszej cechy, jaka winna charakteryzować dziennikarza — wewnętrznej partyjności. Gdyby Jagubow był naczelnym, już dawno zatrudniłby w dziale wychowania komunistycznego kogoś dojrzałego ideologicznie, z atrakcyjniejszą biografią.

Lecz Makarcew wychwalał Rappoporta: to profesjonalista, o dużej wiedzy, nigdy nie odmówi wykonania delikatnych zadań. Niewykluczone, że i Rappoport miał w KC jakieś plecy. Można spróbować go wypytać o słabe punkty naczelnego. Rappoport cieszył się autorytetem, zwłaszcza tych, którzy kreowali się na inteligentów i paplali zbyt wiele. Dobre kontakty z tym Żydem wpłyną korzystnie na kolektyw i zapobiegą plotkom.

Polecił sekretarce wezwać Kaszyna.

— Stiepanie Trofimowiczu — Łokotkowa przystanęła na chwilę. — Nie zajmie pan tymczasem gabinetu szefa?

Jagubow spodziewał się takiej propozycji, lecz uniósł ze zdumieniem brwi.

— Niby z jakiego tytułu?

— Bo — zmieszała się sekretarka — byłoby mi wtedy bliżej...

— To nic, Anno Siemionowno. Nie my z panią o tym zadecydujemy. Igor Iwanowicz wkrótce wróci. Na razie będzie pani mniej wygodnie. A teraz proszę wezwać Kaszyna!

Skinęła głową na znak, że rozumie i wybiegła. Jagubow pomyślał, że z gabinetu naczelnego istotnie byłoby łatwiej kierować gazetą. Jest obszerniejszy, w dodatku stoi tam telefon specjalny. Gdy dzwoni do KC, za każdym razem musi tam chodzić. Makarcew sam powinien mu zaproponować, by zajął to pomieszczenie pod jego nieobecność.

— Można, Stiepanie Trofimowiczu?

Kaszyn wszedł maleńkimi kroczkami dyskretnie ciągnąc za sobą nogę — przez to jeszcze bardziej było widać, że jest kaleką. Pod pachą trzymał cienką czerwoną teczkę z wydrukowanym, krzykliwie złotym napisem: „Do podpisu”.

— Proszę — Jagubow wskazał mu krzesło i zręcznie przerzucił językiem papierosa z jednego kącika ust w drugi.

— No proszę, jak to jest. Już chciałem do pana iść, a tu mnie prosi Anna Siemionowna. Telepatia! — Walentin uśmiechnął się i troskliwie obejrzał gabinet zastępcy naczelnego. — Kazałem wymienić panu zasłony. Są zbyt ciemne.

Jagubow skinął na powitanie i dalej palił papierosa. Nie spieszył się z wypytywaniem. Walentin, który dobrze znał życiorys Jagubowa, był pewien, że będzie mu z nim lepiej niż z Makarcewem. Teraz wyczekująco patrzył na zastępcę naczelnego i wahał się: samemu zacząć rozmowę czy czekać.

— Z czym pan do mnie przyszedł? — spytał wreszcie Jagubow i zdusił papierosa w popielniczce. — Wolał, żeby Kaszyn mówił pierwszy.

— Stiepanie Trofimowiczu — rzekł Kaszyn, gdy pozwolono mu zabrać głos. — Zgodnie z nową instrukcją muszę pana poinformować: po redakcji krąży nielegalny maszynopis.

— Pan go znalazł?

— Nawet nie widziałem. Podobno jakaś szara teczka. Dyskutu ją o niej — na jaki temat jeszcze nie uchwyciłem. Słowem, literatura antyradziecka.

Jagubow oświadczył po chwili milczenia:

— Powiem, dlaczego pytałem, czy to pan znalazł maszynopis. Już mi o tym doniesiono, znam sprawę.

Nikt, naturalnie, nic mu nie powiedział, ale niech każdy wie, że on, Jagubow, jest na właściwym miejscu.

— Zawiadomił pan Makarcewa? — spytał zastępca naczelnego po krótkiej przerwie.

Od odpowiedzi zależało, czy będzie Kaszynowi ufał. Sekretarz wszystko rozumiał.

— Nie zdążyłem. Ale Igor Iwanowicz nie sądzi, że to istotne. Zna się na tym lepiej niż ja, to oczywiste. Może jednak nie docenia niebezpieczeństwa?

Właśnie tak — ostrożnie, na wpół pytająco zakończył Kaszyn przekazując nowemu szefowi problem do rozstrzygnięcia.

— Igor Iwanowicz to przede wszystkim działacz partyjny. Sądzi, że praca ideologiczna wystarczy. Ale my z tobą — Jagubow zwrócił się do Kaszyna per „ty”, dając w ten sposób do zrozumienia, że mu ufa — znamy inny aspekt sprawy. Ta część odpowiedzialności spada również na nas. Makarcew będzie nam tylko wdzięczny, gdy pomożemy mu w tym, na co brak mu czasu.

— Rozumiem — odparł Walentin.

— Ale — Jagubow zamilkł na chwilę, by podkreślić wagę kolejnej myśli. — Zbyt szybko się spieszyć, wpadać w panikę nie należy. Mam nadzieję, że organizm redakcyjny jest zdrowy. A jak będzie trzeba, przyjrzymy się niektórym towarzyszom. Słuchaj, Walentin. Zbadaj, kto się w to bawi. Mam na myśli samizdat i dysydenckie gadanie. Jacy z nas szefowie gazety, jeśli nie znamy własnych ludzi?

— Rozumiem, Stiepanie Trofimowiczu, zrobię co potrafię... — Kaszyn zatrzymał się speszony, niepewny, czy mówić dalej. Ale skoro szef mu ufa, trzeba kuć żelazo. — Makarcew dał mi dwa zadania. Jedno dotyczy nagród w związku z Dniem Prasy. Przygotowałem już listę. Chce pan rzucić okiem?

— Zostaw, przyjrzę się.

— I druga sprawa — nader delikatna. Igor Iwanowicz prosił o informacje o postawach moralnych. No, mówiąc prościej, kto z kim żyje. Też przygotowałem listę. Nie wszystkich objęła, naturalnie... Tylko tych, o których gadają w redakcji.

— Igor Iwanowicz o to prosił? — nie ujawniając zdziwienia powtórzył Jagubow. — Widocznie miał powody.

— Tych, którzy lubią wypić, zaznaczyłem ptaszkami.

— Przygotowałeś to, mam nadzieję, bez kopii?

— Nie. Po co kopie?

— Słusznie.

— Żaden problem!

— Rad jestem, że się rozumiemy. Możesz liczyć na moje poparcie.

— Dziękuję, Stiepanie Trofimowiczu!

— Jeszcze jedno. Zamów dla mnie twardą poduszkę na krzesło — tak będzie mi wygodniej.

Jagubow poczekał aż drzwi za Kaszynem się zamkną, z obrzydzeniem wziął do ręki kartkę, na której sekretarz wykaligrafował nazwiska amoralnych par, zmiażdżył ją z oburzeniem i wrzucił do kosza. Czegoś takiego po Makarcewie się nie spodziewał. On, Jagubow, na to nie pójdzie! Każdy może się zakochać, rodzą się jakieś więzi międzyludzkie, niejedno się zdarza! Jeśli nie jest to przeszkodą w pracy i nie ma skandalu, to po co się wtrącać? Kaszyn nie będzie się tym zajmował. A Makarcew ze swym zawałem zapomni o moralności. Ciekawe, na co mu to było? Co chciał przez to osiągnąć? Może z zawiści, a może chciał kogoś utopić? Albo jeszcze coś innego? Tak czy owak, koniec z tym!

Podjąwszy ostateczną decyzję Stiepan Trofimowicz pochylił się i wydobył z kosza zmiętą kartkę. Rozłożył ją na szkle i zerknął, po prostu tak, by sprawdzić, czy ma dobrą intuicję i czy potrafi się domyślić, kto z kim w redakcji żyje na kocią łapę. Zasłonił dłonią prawą kolumnę, czytając męskie nazwiska po lewej stronie i usiłując odgadnąć, jak brzmią te zasłonięte, kobiece. Spośród dwudziestu udało mu się zidentyfikować dwie pary, potem jeszcze dwie — o tych roman-sach i tak wszyscy widzieli. Lista nie była pełna ani przekonująca. Co to znaczy „żyją ze sobą”? Pozostają w stałym związku, czy tylko raz się przespali? Są żonaci, czy nie? Jak często zmieniają obiekty uczuć? Ten usłużny bęcwał mógłby się przedtem poduczyć, poczytać prace socjologiczne! Nie warto go przeceniać. Chyba nie tylko z powodu inwalidztwa wypchnęli go do cywila. Zapamiętawszy nazwiska Jagubow podarł kartkę na strzępy i znów wrzucił do kosza. Po chwili wezwał Annę Siemionownę (której na liście nie było).

— Teraz niech pani poprosi Rappoporta.

Kiwnęła głową i uciekła kręcąc kokieteryjnie tyleczkiem. Stiepan Trofimowicz znów zapalił papierosa. Musiał szybko podnieść swój autorytet. Ludzie pokroju Rappoporta, zwani przez socjologów nieoficjalnymi liderami, byli dla niego szczególnie niebezpieczni. Autorytet nieoficjalnego lidera, w dodatku ironicznego cynika, będzie kontrpropozycją wobec jego, Jagubowa, autorytetu. Trzeba więc odpowiednio ukierunkować Jakowa Markowicza. Szkoda, że go nie było na liście, którą sporządził Kaszyn.

— Dzień dobry, Jakowie Markowiczu — jowialnie przywitał Tawrowa, gdy ten wszedł do gabinetu. — Proszę siadać...

Rappoport ciężko zwałił się na fotel w odległym kącie.

— O co chodzi? — burknął niezadowolony. Nie przywitał się z zastępcą naczelnego, tylko kątem oka zerkał na przemian to na niego, to na portret Lenina nad jego głową. Stiepan Trofimowicz przełknął to spokojnie jak coś oczywistego.

— Gazeta została bez szefa, Jakowie Markowiczu.

— A cóż ja na to poradzę?

— Jesteśmy członkami egzekutywy — przypomniał Jagubow. — Poziom gazety pod nieobecność naczelnego nie może się obniżyć. Zgadza się pan ze mną?

Rappoport przestał w ogóle patrzeć na Jagubowa; wbił spojrzenie w okno, chociaż za pasemkami papieru, jakimi oklejono je na zimę, nie widać było nic prócz szarego nieba. Nie czując kontaktu z rozmówcą Stiepan Trofimowicz jeszcze bardziej się usztywnił, lecz wciąż nie podnosił głosu.

— Igor Iwanowicz powiedział mi, że jest pan najbardziej doświadczonym dziennikarzem w „Prawdzie Robotniczej”. No a ja jestem tu nowy. Czy mogę się na panu oprzeć?

— Na mnie oprzeć... — Tawrow uniósł w górę brwi. — Przecież ja ledwo stoję na nogach!

— Na czyją pomoc mam liczyć, według pana?

— Proszę poszukać kogoś młodszego.

— Nie mam nic przeciwko temu — uśmiechnął się pod nosem Jagubow, zrozumiałwszy, że Rappoport nie polknie z miejsca przynęty. — Można i trzeba przyciągnąć młodych. Ale pan jest tutaj mózgiem!

Usta Rappoporta wykrzywiły się; miał ochotę powiedzieć coś drwiącego.

Ale natychmiast włączył się cenzor wewnętrzny, zabronił na głosnić to, co przyszło do głowy.

— Może przesadzam, ale czuję, że ostatnio zajmujemy się błahostkami. Władza ma do nas o to słuszne pretensje. Bądźmy więc samokrytyczni. Zastanówmy się, co robić, pomyślmy.

— Niby o czym?

— Choćby o tym, że czas na wielką imprezę. Taką, żeby o „Prawdzie Robotniczej” mówili wszyscy, na górze i na dole! Wiem, że popularyzowanie pracy komunistycznej to pański pomysł.

Rappoport wzruszył ramionami. Znów chciał coś powiedzieć, ale ugryzł się w język. Tylko zasapał niczym stary zegar, który chce wybijać godziny, lecz tryby w nim się nie sprzęgły i nie wydaje dźwięku.

— Kiedy chce pan zacząć tę swoją kampanię? — spytał nagle Rappoport. — Gdy wróci Makarcew, czy wcześniej?

Jagubow urażony przełknął „tę swoją”. Lecz pytanie brzmiało konkretnie.

— Natychmiast! — odpowiedział. — Skoro jest jakiś dobry pomysł, dlaczego ma się marnować? Po co czekać, aż nas ktoś wyprzedzi?

Powiedziawszy to Jagubow uświadomił sobie podstęp tkwiący w pytaniu Jakowa Markowicza. Dodał więc szybko:

— Naturalnie, że wszystkie nasze inicjatywy będą szły za pośrednictwem Makarcewa i w jego imieniu.

— Tak właśnie pomyślałem — odpowiedział Rappoport.

Jagubow był sam na siebie wściekły: nie umie wziąć za pysk tego typu, który ma się za Bóg wie kogo. Ale zaognić sytuacji nie należało.

— Szanuję Igora Iwanowicza nie mniej niż pana — uśmiechnął się jak najsympatyczniej. — Chociaż wiem, że od dawna łączy was przyjaźń.

— Nic mnie z Makarcewem nie łączy! — na wszelki wypadek wyparł się Rappoport. — Chciałem tylko uściślić jako szeregowy wykonawca, czy pańskie polecenie jest zgodne z opinią naczelnego... Po co tyrać na próżno...

— W jakim sensie?

— Makarcew wspominał co prawda o gwoździach sezonu, ale ostatnio twierdził, że gazeta nie może być zbyt krzykliwa. Rozumie pan? Innymi słowy, nie chciał się pchać przed szereg. Robiliśmy gazetę nie gorszą, ale i nie lepszą od innych. Pan chce, żeby zaczęto o nas mówić. A jeśli zaczną mówić nie tam, gdzie byśmy chcieli, albo nie tak, jak byśmy chcieli?

— Rozumiem! — Jagubow z ulgą opadł na fotel. — Kampania, którą zainaugurujemy, będzie, jak sobie wyobrażam, starannie przygotowana i uzgodniona ze Starym Placem. Biorę to na siebie. Nie ma więc powodu do zmartwienia.

— Martwię się nie o własną osobę — Tawrow hałaśliwie wypuścił nosem powietrze — Ale o pana.

Jagubow nie zrozumiał: ten piernik mówi poważnie, czy znowu kpi sobie ze mnie? Ale postanowił uznać, że poważnie.

— Zatem umówiliśmy się? — spytał podnosząc się zza biurka. — W razie potrzeby dostanie pan ludzi z innych działów, tylu, ilu zechce. Grunt to dobry pomysł!

— Po co eksploatować pracowników? — Jakow Markowicz też się podniósł. — Jakoś sobie poradzę.

Stiepan Trofimowicz rozłożył ręce, że niby odpowiada mu każ-

dy wariant, mocno uściśnił kościstą dłoń Jakowa Markowicza. W drzwiach Rappoport zderzył się z sekretarką, biegnącą na wezwanie szefa.

— Jakowie Markowiczu — wyszeptała — od trzech miesięcy nie płaci pan składek związkowych.

Tawrow bez słowa ulotnił się.

— Anno Siemionowno — spytał sekretarkę Jagubow. — Jak pani sądzi: mógłbym iść do Makarcewa i naradzić się z nim? Wpuszczają mnie tam?

— Chyba nie, Stiepanie Trofimowiczu! Żona Igora Iwanowicza twierdzi, że lekarze nie pozwalają mu mówić, musi mieć absolutny spokój! Czy to bardzo pilne? Jeśli tak, to zatelefonuję raz jeszcze do żony, wyjaśnię...

— Nie warto. Sam pojadę do szpitala. Jeśli ktoś będzie o mnie pytał, proszę powiedzieć, jestem u Makarcewa. Niech przyniosą wydrukowane szpalty. Wezmę je ze sobą. Aha, stamtąd pojadę na Stary Plac, więc nieprędko wrócę.

W szpitalu kremlońskim Jagubow spędził dziesięć minut. Napisał kartkę do Makarcewa: przyjechał go odwiedzić, w redakcji wszystko w porządku, zespół czeka na rychły powrót szefa.

Wracał z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i z przykrą świadomością, że na świecie istnieją szpitale. Był przekonany, że nie dla niego. Żał mu było Makarcewa. Być zapasowym graczem to wielkie ryzyko. Po urazie nie tak łatwo wraca się na boisko. Makarcew bez wątpienia był uczciwy, chociaż zbyt łagodny. Grał w inteligenta, czyli nie nadążał za epoką. Zbyttno się starał, no i z wysiłku zachorował.

Jagubow złapał się na tym, że myśli o naczelnym w czasie przeszłym: tak nie można, Igor Iwanowicz wyzdrowieje.

Pojechał do KC uzgadniać plany. Ciosy, spadające na głowę Makarcewa, teraz uderzą w niego. Lecz był pewien, że zniesie to łatwiej, a korzyści wyciągnie więcej. Byle tylko kadry nie zawiodły. Nie wszyscy są tacy rozlaźli jak Rappoport. Ale i tak udało się pchnąć Żyda na właściwy tor.

Po wyjściu z gabinetu Jagubowa pchnięty na właściwy tor Jakow Markowicz włókl się korytarzem uderzając idących z przeciwka ludzi połamami rozpiętej marynarki. Mózg odsiał już plewy z tej rozmowy, wyselekcjonował to, co najważniejsze, przystąpił do pracy. Na oko Rappoport wydawał się, jak zwykle, ospały, tak jakby myślał o czymś przypadkowym, co nie ma związku ani z gazetą, ani

z nim samym. Przeczytał niedawno w Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej hasło o wyspach Fidżi. Raj na ziemi: zawsze tam ciepło, a plecy nie bolą od wilgoci. W sklepach można kupić wszystko. A najważniejsze, wcześniej tam idą na emeryturę. Gdyby tak jeszcze na Fidżi nie znano gazet — myślał z rozmarzeniem Jakow Markowicz. W ten sposób odpoczywał wlokąc się do swego pokoju. Żołądek domagał się jedzenia. Przed drzwiami ktoś zawołał Rappoporta. Obejrzał się za siebie. Biegła ku niemu Nadia Sirotkina z działu listów:

— Można do pana, Jakowie Markowiczu?

— Czemu nie? Wejdz, dziewczyno!

Zaprosił Nadię gestem ręki i pierwszy wszedł do pokoju.

20. Nadieżda Sirotkina

Życiorys (z akt osobowych)

Urodziłam się 10 kwietnia 1946 roku w Moskwie. Moja matka, A. P. Sirotkina, (narodowości rosyjskiej), pracowała na stanowisku zastępcy naczelnika Centralnego Archiwum Państwowego Rewolucji Październikowej i Budownictwa Socjalistycznego, lecz zmarła w 1962 roku. Ojciec W. G. Sirotkin, narodowości rosyjskiej, generał-major. W 1953 roku rozpoczęłam naukę w szkole średniej nr 110, w 1963 roku zdałam maturę ze srebrnym medalem. Równocześnie ukończyłam szkołę muzyczną, w klasie fortepianu.

W 1960 roku wstąpiłam do komsomolu.

Po ukończeniu szkoły podjęłam pracę w redakcji „Prawdy Robotniczej” — z początku jako maszynistka, a następnie jako pracownik działu łączności z czytelnikami. Rozpoczęłam studia wieczorowe na wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu Moskiewskiego.

Pracuję społecznie: w szkole byłam drużynową pionierów młodszych klas, w redakcji przepisuję na maszynie teksty do gazetki ściennej.

W 1965 roku byłam za granicą (Polska) na wycieczce turystycznej.

Mój adres: Moskwa, Zaulek Starokoniuszennyj 19, m. 41, tel. 249-41-14.

BEZ WZLOTÓW I BEZ UPADKÓW

Gdy w redakcji podejmowała pracę nowa maszynistka, dziennikarze płci męskiej biegli dyktować jej swoje teksty. Ten, kto pierwszy zdobył w sekretariacie adnotację „Pilne, do numeru!”, wiedział

też to i owo o nowej koleżance. Ale nawet jeśli coś poplątał lub maszynistka nie była w jego typie, na długo kształtował opinię męskiej połowy redakcji o nowoprzybyłej.

Nadi nie powiodło się pod tym względem. Gdy zatrudniono ją w hali maszyn, miała osiemnaście lat, a była tak naiwna, że wszyscy pękali ze śmiechu. Pierwszego dnia, gdy pojawiła się rano w pracy, gruba kierowniczka Nonna Abelewa (nazywana w redakcji „pułkownikiem Ablem”) posadziła dziewczynę przy biurku i osobiście zdjęła pokrowiec z maszyny do pisania „Continental”.

— Ojej, dziewczynki, ledwo dojechałam! — poskarżyła się Nadia koleżankom, które robiły się na bóstwa zaraz po wejściu do biura. — W metrze jest tak potwornie duszno, ciasno, biją łokciami w brzuch! I co gorsza — wstyd jechać!

— Dlaczego wstyd?

— Wszyscy patrzą i myślą: ona musi być strasznie biedna, nie ma pieniędzy na taksówkę!

Redakcyjne maszynistki były różne, nie było chyba tylko wśród nich szczęśliwych i bogatych. Beztroskie słowa Nadi obiegały redakcję zanim najbardziej podekscytowany mężczyzna otrzymał podpis „pilnie, do numeru!” Nikt zresztą nie miał ochoty zawierać przyjaźni z generalską córką.

Była niewysoka, szczupła, może nawet zbyt szczupła. Jej piersi, rozchodzące się na boki, wydawały się większe niż w rzeczywistości, co dodawało dziewczynie pikanterii. Twarz miała sympatyczną, czoło i nos proste, policzki i wargi świeże, niemal dziecinne. A szczupłe ręce o długich palcach i długie nogi można było uznać za piękne. Tchnęło od Nadi lekkością i prostotą. Jej myśli były podobne do dmuchawca. Nikt jeszcze co prawda na ten kwiatek nie dmuchał.

Matka Nadi, kobieta o silnej woli, wychowała córkę zgodnie z planem, w którego słusność nigdy nie wątpiła. Dziewczynka musiała uczyć się na same piątki, ćwiczyć na fortepianie, występować na niedzielnych koncertach. Dla kultury potrzebne było konserwatorium, dla zdrowia — letnisko i zdrowe jedzenie. Jeśli coś czytasz — mów natychmiast, co to takiego. Jeśli się z kimś zaprzyjaźniłaś — powiedz, kto to jest. Tylko raz pozwoliła wyjechać niemal dorosłej Nadi z ojcem do Moskwy, a sama została jeszcze na tydzień w sanatorium. Sporządziła dla córki program na te dni, miała sprawdzić, jak został wykonany. Ale gdy wracała samolotem, zawiodło podwozie. Została ciężko ranna i choć ojciec Nadi zaangażował najlepszych lekarzy, Alewtina Pietrowna zmarła nie odzyskawszy przy-

tomności. Nadia chodziła wtedy do dziesiątej klasy. Ojciec zawsze dużo pracował, a po śmierci mamy w ogóle przestał się oszczędzać.

Alewtina Pietrowna marzyła, by córka kontynuowała naukę w konserwatorium lub w szkole Gniesinów. Na kolegów z klasy Nadia wciąż patrzyła jej oczami: marnują czas, nie mają w życiu celu. Ale ich *modus vivendi* nabierał coraz większego uroku, spacerowanie po ulicy bez sensu było, jak się okazało, sto razy ciekawsze niż ćwiczenie gam. Zwłaszcza że przez cztery godziny dziennie trzeba było brzdąkać na fortepianie. Wola zmarłej matki kierowała Nadią jeszcze długo; to ze względu na nią dziewczyna złożyła dokumenty do konserwatorium, lecz oblała egzamin wstępny. Spróbowała też szczęścia w szkole Gniesinów, ale i tam się nie udało. Ojciec, dzięki swym znajomościom, mógłby jej pomóc dostać się gdzie indziej, ale odmówił.

Wstawała więc późno i całymi dniami beczynnie siedziała w domu. Znudziło się jej ciągle dążenie do celu. Żyła w świecie dobrze urządzonym, w państwie najbardziej postępowym, mogła za rok znów zdawać na studia. Ale teraz czuła pustkę. Uważała się za Kopciuszka, brzydkie kaczątko, nie chciała nawet przeglądać się w lustrze — koszmar! Drzwi szafy w swym pokoju zawsze otwierała tak, by lustro było odwrócone do ściany.

Pewnego razu, by wyjaśnić, skąd dobiega jakiś dziwny zapach, zajrzała do pokoju ojca. Na jego nocnej szafce stał flakon z perfumami — to one tak pachniały. A na tapczanie poniewierało się kolorowe czasopismo. Nadieżda dostrzegła na okładce obnażoną kobietę w pozie, nie budzącej wątpliwości co do jej pragnień oraz dwóch mężczyzn, gotowych te pragnienia spełnić. Ze wstrętem odrzuciła pismo. Zakręciło się jej w głowie i gdyby natychmiast nie usiadła na ojcowskim łóżku, upadłaby bez przytomności na dywan. Po krótkiej chwili znów wzięła do ręki pismo, żeby sprawdzić, czy podejrzenie, którego nabrała, jest słuszne. Zajrzała do szufladki w nocnej szafce i okazało się, że ma rację — leżał tam stos pornograficznych czasopism. Proszę, jak zabawia się tatko — że też się nie wstydzi! Mama nigdy by mu tego nie wybaczyła! Zabrała czasopisma do swego pokoju i wślizgnęła się pod koldrę. Serce jej kołatało, głowa pękała. Trzęsła się, wciąż było jej zimno. Nagle wyobraziła siebie samą na miejscu kobiety, obejmowanej przez owłosionych samców. Chciała krzyknąć, lecz rozplakała się. Wciąż dygotała, czasopismo wraz z nią, lecz nie przestawała przewracać kartek. Ma już osiemnaście lat, a jeszcze nikt jej nie całował w usta, a co dopiero tak, jak pokazują tutaj. Po jednym takim pocałunku Nadia umrze, nie będzie mogła

dłużej żyć. No, a jeśli będzie mogła? To chyba jeszcze gorsze. Nie mogłaby po czymś takim żyć tak, jak dawniej.

Przeglądała strony jak zahipnotyzowana. Potem zasnęła, spała kilka godzin, a gdy się obudziła, stanęła przed lustrem i długo oglądała własne ciało, tak jakby po raz pierwszy zobaczyła samą siebie. Odniosła czasopisma do pokoju ojca. Głowa pękała jej z bólu. Nadia połknęła pigułkę analginy, potem zaparzyła sobie kawy. Stopniowo uspokoiła się, lecz myśl, że jeszcze nie jest kobietą, a czas biegnie szybko, owładnęła nią bez reszty. Jak długo można być dzieckiem? Jest już przecież dorosła. A skoro tak, to już się starzeje. Nie wiadomo po co obserwowwała na ulicach mężczyzn i kobiety. Zadzwoiła do koleżanek szkolnych, lecz każda z nich była zajęta. Jedną spośród nich, Katię, spotkała nazajutrz i podzieliła się z nią swym zmartwieniem. Dziewczęta poszły do kawiarni „Kosmos” na Gorkiego, zamówiły lody i szampana.

— Z księżycy spadłaś, Nadiu?

Jak się okazało, Katia już dawno wszystko wypróbowała i to nie raz. Zaczęły rozmawiać o pracy. Mama Kati pracuje w „Prawdzie Robotniczej”, jest tam korektorką.

— Idź do nich. Mama mówiła, że potrzebują maszynistek. Jest tam mnóstwo mężczyzn... — zachichotała Katia.

Wieczorem Nadia powiedziała ojcu, że chce iść do pracy.

— Po co ci to, córko?

— Zostanę dziennikarką! Wszystko sobie przemyślałam, tato. To moje powołanie.

Ojciec spojrział na nią bacznie.

— Ale ty nic nie umiesz!

— Nauczę się. Mam wytrenowane palce, a w „Prawdzie Robotniczej”, jak się dowiedziałam, brakuje maszynistek. Z ulicy mnie nie przyjmą, ale jeśli zadzwonisz.

— No dobrze, spróbuję.

I zatelefonował do sekretarza redakcji z prośbą, by zatrudnił nową maszynistkę. Dziewczyna bez doświadczenia, lecz z wzorową ankietą, no i pisze bez błędów. Słuchając rozmów koleżanek w hali maszyn Nadia szybko wydorosła, lecz erotyka pozostawała dla niej teorią. Niezobowiązujące romanse kończyły się na słowach. Pragnęła przywiązać się do kogoś, myśleć o nim, spędzać z nim czas. Owszem, ten i ów zalecał się do Nadi, lecz bano się jej bezgranicznej naiwności. Ona zaś myślała, że skoro mężczyźni nie traktują jej poważnie, to czegoś chyba jej brak. Stopniowo przestano ją

nazywać generalską córką, choć czasami kierowca ojca podwoził Nadię do redakcji. Dzięki poparciu gazety rozpoczęła wieczorowe studia dziennikarskie. Mogłaby przejść na daytime, lecz żał jej było rozstawać się z redakcją. Przenieśli ją na stanowisko rejestratorki listów i odtąd zarabiała dziesięć rubli więcej. Pensji starczało na nylony, w których co dzień leciały oczka. Wyrzucała je, a koleżanki musiały oddawać do repasacji.

Zacząła mieć własne poglądy. Polityka — to, o czym wszyscy wokół mówili i pisali — nie interesowała Nadi. Dziewczyna kierowała się logiką motyla: jak minie dzień? Jaka przyjemność spotka ją dzisiaj? Kto jej się spodobał? A komu ona przypadła do gustu? W trosce o to Nadia wylądniała, zaczęła domagać się od ojca, by kupował jej ciuchy. Ale hamowała swoje pragnienia, czekała na coś. Sytuacja obecna nie mogła trwać bez końca. I ani się Nadia spostrzegła, jak była zakochana.

Jego imienia bała się nawet wymawiać, choć nie wyróżniał się niczym szczególnym. Traktował ją przyjaźnie, nic ponadto. Doradził, by poszła na dziennikarstwo, ale potem nawet nie zapytał, czy ją przyjęli. Nadia wiedziała, że jest żonaty i ma sześciolatniego syna. Mógł rozmawiając przejść z nią połowę Moskwy, a potem nie uważać na korytarzu przez dwa tygodnie.

Odtąd nie oglądała już czasopism z nocnego stolika ojca. „Tak mogłabym tylko z nim!” — mówiła sama do siebie. Już dawno była gotowa do wzlotów i upadków. Ale nikt jej do wzlotów ani do upadków nie namawiał.

21. Hokus-pokus

Weszła za Jakowem Markowiczem do gabinetu, lecz stanęła niepewnie przy drzwiach.

— Co takiego, Nadiu? — spytał Rappoport i usiadł na skrzypiącym fotelu.

— List... wszyscy się śmieją, nikt nie chce go brać. Pomyślałam, może Pan? Może się przyda do artykułu...

— Jaki list, dziecinko?

— Od uczennicy, chce zostać dziennikarką...

Rappoport wyciągnął dłoń, tak jakby prosił o jałmużnę, wyjął z kieszeni okulary, spojrział na adres nadawcy, który Nadia wpisała na kartę rejestracyjną.

— Och, Nadiu, Nadiu! Chciałbym mieć twoje zmartwienia! — burknął dobrotliwie. Jego myśli krążyły gdzieś daleko. W końcu rozprostował zmiętą kartkę i przeczytał głośno list:

„Droga Redakcjo! Poradź, co robić, żeby zostać dziennikarką. Dlaczego mnie pociąga ten zawód? Chciałabym przyglądać się życiu, kochać ludzi, pisać dla nich. Ani dnia bez linijki! Niejeden powie, że to romantyka młodości. Ale ja lubię zapach świeżej gazety, szelest jej wszystkowiedzących stron. Sądzę, że i ja potrafiłabym dostrzec prawdę i ofiarować ludziom zdobytą wiedzę. Wala Kozłowa.”

— Naiwne, prawda? — spytała Nadia.

— Dlaczego? — Rappoport odłożył kartkę, zdjął okulary i bacznie przyglądał się dziewczynie — jej chudym kolanom, zbyt kancianym ramionom, dużym piersiom i sympatycznej główce, w obramowaniu rozpuszczonych włosów.

— Pan sobie kpi, Jakowie Markowiczu!

— Skądże, dziecinko! To bardzo mądry list. Czyż nie chcemy poznać życia i kochać ludzi? Czyż nie chcemy dla nich pisać? Trzeba odpowiedzieć tej dziewczynie, że jeśli zostanie dziennikarką, istotnie pozna całą prawdę, a czytelnikom przekaże wiedzę, którą zdobędzie. Co się tyczy zapachu gazet, z pewnością ma rację. Pachną, i to jeszcze jak! Ty, przyszła dziennikarka, sama możesz jej odpisać.

— Już dawno chciałam spytać, Jakowie Markowiczu — Nadia wzięła od niego list. — Czyżby nie wierzył pan w to, co pisze? A jeśli tak, to jak może pan pisać?

— Jesteś urocza, Nadiu!

— Jak pan może to robić, skoro wszystko pan rozumie?

— No właśnie, ponieważ wszystko rozumiem, rozumiem też i to, że muszę robić to, co wszyscy! Dziwi cię, moja droga, że piszę. Mnie natomiast dziwi, że ludzie stoją w kolejkach po gazety i czytają te bzdury, które ja piszę! Daj słowo, że nie wypaplasz swemu ważnemu tatusiowi tego, co ci teraz powiem.

— Nigdy nic ojcu nie mówię! — Nadia z urazą wydeła usta.

— Mądra dziewczynka! No więc tak: zgodnie z tym, co powiedział pewien mój przyjaciel, byłem bolszewikiem, a stałem się szmalcownikiem.

— Jak to?

— A tak. Podobnie jak Wala Kozłowa lubię szelest. Tylko nie szelest gazet, a banknotów.

— Nieprawda! Dlaczego pan tak mówi? Myśli pan, że jestem głupią gęsią?

— A czym jest gazeta? Mówiono ci na wydziale dziennikarskim?

— W zasadzie...

— Słowo „gazeta” bodaj w osiemnastym wieku we Włoszech, oznaczało „drobną monetę”. Kto robi gazety? Ci, co rozmieniają się na drobne. A po co ludzie piszą listy do gazet?

— Na przykład, żeby się poskarżyć...— zaczęła wyliczać Nadia — albo niezbyt mądrzy, żeby poprosić o radę. Także emeryci, bo nie mają nic innego do roboty, potem ci, co popierają prasę, ufają jej...

— Mówisz jak socjolog! — pochwalił Nadię Rappoprot. — Nie doceniałem cię, dziecko. A co robisz z listami, które krytykują... eee.. naszą kochaną władzę radziecką?

— Wręczam kierownikowi działu.

— A on?

— Chyba niesie do zastępcy naczelnego...

— Chyba? Jesteś urocza, Nadiu! A pamiętasz list, którego autor pisał, że czas, by nasz czcigodny przywódca poszedł wreszcie na emeryturę? Gdzie jest ten autor? Siedzi w pudle, moja droga. Zastanowiłaś się, kto go tam wsadził? No a docent z Jarosławia, ten, co napisał, że produkty z obkomowskiego bufetu należałoby oddać dzieciom w przedszkolach? Przesłaliśmy ten list do obkomu, a oni wylali nieszczęśnika z partii za szkalowanie aparatu partyjnego. Kiedy studenci poszli do obkomu, by powiedzieć, że ich wykładowca jest w porządku, zamknięto ich w pokoju na klucz i wezwano NKWD. Już nie są studentami, Nadiu... A ty powiadasz — chyba...

— W takim razie, co mam robić?

— Ty ? Nie wiem. Ty potrzebujesz mężczyzny.

— Jak to? — zaczerwieniła się jak piwonia.

— Ano tak. Normalnego, cynicznego chłopca, takiego jak ja. Tyle, że o dwadzieścia lat młodszego. On ci wszystko wyjaśni. Listy czytelników nie sprzyjają dojrzewaniu. Inna sprawa, że naiwność ma dobre strony. Teń, z kim pójdziesz do łóżka, zazna nie lada rozkoszy...

— Jestem dziewicą.

— Tej wady, Nadiu, można się pozbyć błyskawicznie. Uwierz mi! Jedno wolne popołudnie i po kłopotach! Całuję twoją łapkę!

Odprowadził ją wzrokiem do drzwi i pomyślał, że sam zająłby się z przyjemnością tą czystą jak szkiełko, miłą dziewczyną. Przeszkodą wcale nie jest jej młodość, chociaż bardziej pasowałaby do jego syna. Przeszkodą jest obojętność. Starość to nie kwestia wieku. Starość przychodzi wtedy, kiedy pytamy: „Po co mi to?”

Jakow Markowicz rozkosznie się przeciągnął. Jego spojrzenie zatrzymało się na kalendarzu. Może nawiązać do jakiejś rocznicy? Stiepan Trofimowicz marzy, by rozślawić gazetę teraz, gdy Makarcew przykuty jest do łóżka. Jak tu nie pomóc parteigenosse Jagubowowi?

Brak świeżych pomysłów zmusił Rappoorta do przerzucenia kartek kalendarza. Hmm, rocznica Komuny Paryskiej... Może by tak zachęcić naród radziecki do powstańczego zrywu na znak solidarności z proletariatem francuskim? Niezła myśl, tylko że plecy jeszcze bolą od łagrowej pryczy. A może 12 kwietnia wszyscy polecimy w kosmos, by uczcić pierwszy lot Gagarina? Tu, co prawda, brak żarcia, ale tam nie ma nawet czym oddychać! Chwileczkę, a cóż to takiego? Nocą z 13 na 14 kwietnia 1919 roku dwunastu komunistów z parowozowni moskiewskiej bezpłatnie remontowało lokomotywy. Pierwszy subotnik. Chwileczkę! Równo pięćdziesiąt lat temu. A gdyby tak... Nadia, kochane dziecko, podsunęła mi ten pomysł. W porannym wydaniu „Prawdy Robotniczej” widniało na pierwszej kolumnie wielkie zdjęcie radzieckich przywódców: ściskali na nim nowych czeskich przywódców, przybyłych właśnie do Moskwy.

— Kochani! — zawołał z uczuciem Jakow Markowicz. — Was też zaproszę do pracy w sobotę...

Wyjął z portfela dziesięciorublowy banknot i włożył go do kieszeni. To zaliczka dla samego siebie za dobry pomysł. Materiały, wzywające do uczestnictwa w subotniku, ukażą się na pierwszej kolumnie poza kolejnością. Trzeba dogadać się z Jagubowem: niech da najwyższą stawkę za operatywność. Na subotniku ludzie pracują bezpłatnie, więc lepiej zarobić, ile się da, zanim ten dzień nadejdzie.

Rappoport, spec od hasel i inicjatyw ideologicznych, wiedział, że przygotowanie takich imprez składa się zazwyczaj z trzech aktów. Akt pierwszy — ktoś wymyśla nową kampanię i uzgadnia ją z KC. Drugi akt: wyznacza się kandydatury osób, które wysuną stosowne hasła, niby to z własnej inicjatywy, a następnie tych, które podchwycą z entuzjazmem patriotyczny apel. Wreszcie akt trzeci. Gazeta opisze inicjatywę mas, a organy partyjne publicznie ją poprą.

Rappoport nie miał ochoty, by łączono jego nazwisko z kolejną świnią podłożoną społeczeństwu. Poprzestanie na skromnej roli kronikarza. Przejrzał notesy z adresami i odnalazł telefon Bałakina, sekretarza komitetu partyjnego przy stacji kolejowej Moskwa-Sortownia.

— Słuchaj! Dowiedzieliśmy się przed chwilą, że chcecie uczcić pięćdziesiątą rocznicę leninowskiego subotnika. „Prawda Robotnicza” gorąco was poprze. Informuj mnie o wszystkim na bieżąco!

Sekretarzowi komitetu partii Bałakinowi nic podobnego, rzecz jasna, do głowy nie przyszło. Ale już od dwóch lat sprawował swoją funkcję i marzył mu się awans do komitetu rejonowego. Uznał pomysł Rappoporta za zachętę do czynu i rozpoczął agitację. W godzinę później sam do niego zadzwonił. Umówili się, że Bałakin przygotowuje plan imprezy i uzgodni go z komitetem rejonowym. A Jakow Markowicz przyśle do niego dziennikarza.

— Która to będzie sobota?

Rappoport przerzucił kartki kalendarza na biurku.

— Najbliższa jubileuszowej dacie — 19 kwietnia. Szykujcie belkę!

— Jaką belkę?

— Lenin na subotniku osobiście niósł belkę. Niewykluczone, że was odwiedzą bardzo ważni towarzysze!

Rappoport postukał palcami w widełki i natychmiast wykręcił inny numer.

— Zakamorny? Śpisz jeszcze? Dobrze, że cię złapałem. Potrzebujesz forsy, chłopie? No to przyjeżdżaj...

22. Maksym Zakamorny

Ankieta dla działu pierwszego (w celu dopuszczenia zgodnie z formą nr 2)

Pracownik naukowy Laboratorium genetyki eksperymentalnej Akademii Nauk ZSRR

Nazwiska, imienia i imienia ojca nie zmieniał.

Urodzony 13 września 1928 roku. Miejsce urodzenia — Przylądek Beringa.

Narodowość rosyjska. Ojciec — Ukrainiec, matka — Eskimoska.

Przynależność partyjna: bezpartyjny. Czy należał uprzednio do KPZR? Tak, przed 1968 rokiem. Usunięty za postawę niegodną członka partii.

Stopień naukowy: kandydat nauk przyrodniczych

Autor prac naukowych.

Języki obce: angielski, niemiecki, francuski — włada swobodnie.

Włoski, hiszpański: potrafi porozumieć się. Japoński, polski, czeski — czyta bez słownika. Łacina, starogrecki — czyta ze słownikiem.

W latach 1950-1956 stawał przed sądem.

Za granicą nie był. Nie wie, czy posiada krewnych za granicą. W niewoli nie przebywał.

Stan rodzinny: żonaty, bezdzietny.

Praca społeczna, o której wspomniał w życiorysie: agitator.

Podlega służbie wojskowej. Nie służył w wojsku. Książeczka wojskowa nr RN 2716049.

Dowód osobisty XXX NI Nr 864712, wydany przez 17 komisariat milicji miasta Workuty.

Zameldowany tymczasowo, na okres sześciu miesięcy pod adresem: Moskwa, ul. Mała Gruzjińska 14 m. 7. Telefon 252 — 04 — 19.

Podpis (niewyraźny)

Zaświadczenie

Tow. M. P. Zakamorny uprawniony jest do korzystania z dokumentów i prac na podstawie zarządzenia P — RB 261 107 z 17. VII. 1967 roku.

Kierownik wydziału pierwszego Żmurow.

ELIPSA MAKSYMA ZAKAMORNEGO

Ponieważ w końcu 1968 roku Maksym Pietrowicz nie wygrał konkursu na etat w swoim laboratorium, ankieta powyższa ma znaczenie czysto symboliczne, podobnie jak króciutka ankieta, którą ułożył sam dla siebie i pokazywał przyjaciołom. W króciutkiej ankiecie Zakamorny stwierdzał, że jest zawodowym lizodupem. Nazwiska zmienia regularnie: czasami jest Z.K. Mornym, kiedy indziej Zakowem, Morinem, Maksimowem, Pietropawłowsko-Kamczackim itd. W rubryce „przynależność partyjna” wpisał: antypartyjny. W rubryce: czy był w niewoli? odpowiedź brzmiała „teraz jestem w niewoli”. A w rubryce „stan rodzinny” — „nieustabilizowany”. Zakamorny miał swoje dziwactwa. Był taki zawsze.

Jego ojciec, Piotr Zakamorny, powołany do wojska spod Winnicy, dzięki swemu rozumowi i energii wspiał się na stanowisko komisarza wojsk pogranicza OGPU. Skierowano go wtedy z zadaniem specjalnym na Daleki Wschód. Z najodleglejszego punktu kraju, który dzieli od Alaski wąska cieśnina Beringa, docierały informacje, że tutejsi mieszkańcy — Eskimosi, żyjący z myśliwstwa i rybołówstwa, mimo bolszewickiej agitacji w czerwonych czumach, samowolnie przeprawiają się przez cieśninę do swych krewnych na Alaskę, a po jakimś czasie wracają. Zapobiegać bezprawnemu przekraczaniu granicy radzieckiej, która powinna być szczelnie zamknięta, miał odtąd komisarz Piotr Zakamorny.

Któregoś dnia motorówka służb ochrony pogranicza, które zorganizował komisarz, mknęła w pościgu za eskimoską łodzią. Tubylcy, rozjuszeni, że obcy wtrącają się do ich życia zgodnego z nakazami przodków, zaczęli strzelać. Komisarz Zakamorny został ciężko ranny. Tylko on ocalał na motorówce. Eskimosi nie pudłowali. Kiedy komisarz stracił przytomność z upływu krwi, zabrali go ze sobą na Alaskę. Tam pielęgowali, a gdy wrócił do zdrowia, przywieźli z powrotem. Zaczęła się noc polarna. Kutry, rzadko zjawiające się tutaj nawet w ciepłych dniach, w ogóle przestały przyplływać. Opiekowała się Piotrem córka gospodarza czumu. Przywiązała się do niego, nie odchodziła na krok. Wkrótce urodził się chłopczyk, którego nazwali Maksymem. Eskimosi proponowali Piotrowi, żeby z nimi został, lecz obowiązek wzywał komisarza do OGPU. Ponad miesiąc wracał z żoną i synem do Moskwy, potem wraz z nimi udał się do swych zwierzchników, by złożyć raport. Maksym miał wówczas dwa lata.

Na Placu Łubiańskim chłopczyk szarpnął tatusia za rękę. Ojciec rozpiął mu spodenki, postawił dziecko tuż przy ścianie, żeby nie przeszkadzało przechodniom i cienki strumyk moczu zrosił chodnik. Nagle jak spod ziemi wyrósł osobnik w ciemnym palcie i zapytał:

— Co wy tu robicie? Nie wiecie, co to za gmach?

— Wiem — odpowiedział Zakamorny — ale dzieciak nie mógł wytrzymać...

— Wiecie, ale siusiacie. Proszę za mną...

Zabrali całą trójkę. Piotr Zakamorny nie był strachliwy. Zażądał, by poinformowano o wszystkim jego zwierzchników. Szefowie wojsk pogranicza zdziwili się na wieść, że Zakamorny żyje. Natychmiast go wypuszczono, ale gdy, opowiedział, co zaszło, niczego nie ukrywając, pojawiły się nad jego głową czarne chmury. Wojaże Eskimosów za granicę, jak się dowiedział, trwają bez końca, niedawno zestrzelili nawet samolot ochrony przybrzeżnej. Wynikało więc z opowieści Zakamornego, że nie tylko nie wykonał zadania, lecz uciekł razem z przestępcami za granicę.

Komisarz OGPU Piotr Zakamorny (przy okazji, wyjaśniło się, że również syn kulaka) został rozstrzelany, jego żona dostała dziesięć lat łagru. Potem dorzucono jej kolejne dziesięć i umarła gdzieś w Workucie. W specsierocińcu, w małym miasteczku pod Archangielskiem, gdzie umieszczono Maksyma, spośród trzech setek sierot, jak się wyjaśniło, on był najbogatszy: miał własne imię i nazwisko. Rodzice obdarzyli go ponadto zdrowiem fizycznym i psychicznym: przetrwał nie tylko głód i krzywicę, ale i bezdenną głupotę swoich

wychowawców. W ankietach pisał, że jemu, niegdyś bezdomnemu włóczędze, władza radziecka pozwoliła wrócić do uczciwego życia. Dzięki temu po wojnie przyjęto go na studia do akademii rolniczej im. Timiriaziewa.

Na rok przed ich ukończeniem uczestniczył w wieczorku, zorganizowanym, jak się potem okazało, przez towarzyszy z Urzędu Bezpieczeństwa: koniecznie chcieli wykryć w środowisku studenckim organizację antyradziecką. W trakcie śledztwa uzmysłowiono mu, że gdy siedział za stołem i popijał wódkę, a inni tańczyli, namawiał kolegów, by zorganizowali zamach: wpierw na towarzysza Łysenkę, a potem na innych przedstawicieli przodujących nauk agrobiologicznych. Dowód przestępstwa był nie do podważenia: wszyscy przyszli na to spotkanie ze swymi dziewczętami, a on sam jeden. Wypląnęła też na wierzch jego kompromitująca biografia. Sześciu studentom wlepiono po dziesięć lat, a Zakamorny jako prowodyr, w dodatku wejsmanista-morganista, zainkasował dwadzieścia. W łagrach Workuty wpatrywał się w twarze napotkanych kobiet, szukając swej matki.

Gdy nadeszła amnestia, wydano Maksymowi dokument, którego do dziś, mimo roztargnienia, strzeże jak źrenicy oka. A oto jego treść:

*„Trybunał Wojskowy Moskiewskiego Okręgu Wojskowego
nr N — 879/os
Moskwa, Arbat 37
(nie zastępuje dowodu osobistego)*

Zaświadczenie

Zaświadcza się, że ob. M. P. Zakamorny, ur. w 1928 roku na Przyładku Beringa, narodowości rosyjskiej, przed aresztowaniem student IV roku Moskiewskiej Akademii Rolniczej, skazany 31 stycznia 1950 roku przez Kolegium Specjalne przy MBP ZSRR na podstawie artykułów 17-58-8, 50-10 cz. I KK RSFSR na 25 lat obozu pracy, odbył częściowo karę i został zwolniony 4 stycznia 1955 roku. Następnie przebywał na zesłaniu. W pracy zaprezentował się z dobrej strony.

Decyzją Prokuratury ZSRR, MSW ZSRR i KGB przy Radzie Ministrów ZSRR z 16 maja 1955 roku wyrok Kolegium Specjalnego przy MBP ZSRR na podstawie punktu b, art. 204 KPK RSFSR został anulowany, kara obniżona do pięciu lat obozu pracy ze względu na brak dowodów przestępstwa. Zgodnie z Uchwałą Prezydium

*Rady Najwyższej ZSRR z 27 marca 1953 roku „O amnestii” uznaje się, że M. P. Zakamorny nie był sądzony w związku z tą sprawą. Z zesłania M. P. Zakamorny został zwolniony.
Przewodniczący Trybunału Wojennego
generał-major sądownictwa M. Charczew.*

Po obozie Maksym Pietrowicz nie miał już tak dobrej kondycji. Zdrowie stracił na budowie kopalń przeznaczonych do podziemnych eksperymentów jądrowych (zaświadczenie też było utajnione: pod wskazanym tam adresem, czyli skrzynką pocztową Ż-175 więźniowie kopali węgiel). Na szczęście, nie zdążyli go napromienić, próby jądrowe zaczęły się później. Maksym Zakamorny zamieszkał w osiedlu przy kopalni nr 40 kombinatu Workutwęgiel. Zatrudniono go w klubie tańca dla wolnonajemnych robotników na stanowisku kierownika. U zesłanego popa wyprosił Biblię i czytał ją wieczorami w swojej izdebce przy akompaniamencie tanga lub fokstota. Odrywał się tylko po to, aby zmienić płytę.

Ponieważ codziennie przed dziewiętnastą miał dużo wolnego czasu, zaczął czytać z nudów podręczniki angielskiego, pożyczone od syna gospodyni. Wkrótce rozmawiał po angielsku sam ze sobą. Chodził po pokoju przekładając z kieszeni do kieszeni karteczki z zapisanymi na nich słówkami — toteż szybko opanował francuski i niemiecki. Dalej poszło jeszcze szybciej — język za językiem. Hieroglify zapisywał sobie na rękach.

Z prasy dowiedział się, że pośmiertnie rehabilitowano jego ojca. Piotr Zakamorny był teraz bohaterem wojny domowej, wyzwolicielem Ukrainy spod jarzma białej armii. Jak czytamy w piśmie świętym „ostatni będą pierwszymi”. Maksym Zakamorny, czy jak sam nazywał siebie „Zek. Morny”, w wieku 29 lat stał się synem legendarnego bohatera. Powrócił do „ziemi obiecanej” w Moskwie, z trudem wznowił studia w akademii rolniczej, ale bez trudu je ukończył.

Od czasów Workuty eks-kierownik klubu tanecznego miał pewną słabość. Nauczył się mianowicie pić szklankami kiepsko oczyszczoną „moskiewską wódkę” produkowaną przez lokalną wytwórnię likierów i wódek. Pił ten napój z wejsmanistami-morganistami. Ci, którzy ocaleli, powolutku wracali do siebie, gramoląc się spod maszyny łysenkowskiego terroru.

W Moskwie tymczasem odradzało się (pod całkowicie nową nazwą) laboratorium genetyki eksperymentalnej. Zatrudniono tam Maksyma, choć nie miał ani stołecznego meldunku, ani mieszkania.

Dano mu do zrozumienia, że łatwiej uzyska meldunek i obroni doktorat, jeśli wstąpi do partii. I rzeczywiście, obronił się bez trudu, po czym urządził wspaniałą bankiet w restauracji „Praga” (teraz, gdy bankietów organizować już nie wolno, genetycy wspominają tamto wydarzenie z nostalgią). Zakamorny niezbyt dobrze je pamiętał: ze szczęścia i z głodu spił się na samym początku uroczystości, runął na podłogę koło pisuaru i koledzy zawieźli go do domu.

Temat rozprawy kandydackiej Maksyma miał bezpośredni związek z jego własną osobą. Zgodnie z jego badaniami, potwierdzonymi przez statystykę i teorię prawdopodobieństwa, wskutek masowego unicestwienia najlepszych przedstawicieli kultury, sztuki, nauki, a także najbardziej pracowitej, posiadającej świadomość celu części narodu — chłopów, robotników, urzędników i wojskowych w ilości ponad 50 milionów ludzi — wskutek tego wszystkiego unicestwiono genotypy, niezbędne do rozwoju i rozkwitu państwa. Pozostali najgorsi: ci już reprodukują sobie podobnych, wypełniając próżnię. Pociąg zepchnięty z torów stacza się w przepaść. Społeczeństwo degraduje się w przyspieszonym, socjalistycznym tempie.

Do rozprawy materiał ten nie został, rzecz jasna, włączony. Praca miała charakter ściśle akademicki, referowała beznamietnie sposób rozmnażania się, a następnie degeneracji muszki drozofili, co, jak autor wspomniał na wstępie, pomagało wykonać zadania, które stawiał przed nauką ostatni zjazd partii.

Zakamorny zapaścił brodę i mieszkał sobie w Moskwie, co pół roku przedłużając za łapówkę okresowy meldunek. Wynajmował w mieszkaniu zbiorczym na Małej Gruzjińskiej, w pobliżu rynku tiszynskiego, trójkątny pokój z oknem na wąskie podwórze. Za brak stałego meldunku gospodyni brała dziesięć rubli więcej i dzieliła się nimi z posterunkowym.

„W tym samym mieście — czytamy u świętego Łukasza — żyła pewna wdowa”. Zapoznała z nią naszego genetyka-poliglotę jego własna laborantka. Waleria, nowa znajoma Zakamornego, nie była zbyt długo zamężna, właściwie niemal nie była, mąż jej wkrótce po ślubie utonął po pijanemu. Pracowała w Centralnym Domu Mody przy Moście Kuznieckim jako modelka, chciała zostać stylistką. Długonoga, nieco pretensjonalna, najlepiej wyglądała, gdy patrzono na nią z pewnej odległości i nieco z dołu, tak jakby urodziła się specjalnie dla pokazów mody. Maksyma nazywała wielkim uczonym.

Gdy przyprowadzał ją do swego pokoiku po wieczorze w pobliskiej restauracji, siadła na samym brzeżku łóżka i mocno zaci-

snęła kolana. Kandydat nauk przyrodniczych próbował poruszać rękami w otaczającej ją przestrzeni powietrznej, lecz Waleria odsuwała się.

— Wszystko pan zepsuje! Proszę lepiej coś opowiedzieć o sobie...

Czuła, że to dobry kandydat na męża. A Maksym poczuł się poetą. Opadał na klęczki i szeptem, tak by nie słyszała za ścianą gospodyni, wyrecytował:

Wzruszony patrzę przed siebie

I widzę małe usteczka

Wstydliwie patrzę za siebie

Ach, cud uroczego tyłeczka!

— Wspaniale! — śmiała się dźwięcznie Waleria. — Lepiej niż u Jewtuszenki! Tylko ten „tyłeczek” ... Czy można o czymś takim pisać wiersze?

— O twoim tyłeczku na pewno!

Kładł się na podłodze i podziwiał Walerię. W końcu poszli do Urzędu Stanu Cywilnego i wyjechali na miesiąc miodowy do Picundy. Na trzeci dzień Waleria, leżąc na plaży, wyjęła z torebki papier i pióro, by napisać list do przyjaciółki.

— Nie patrz tak na mnie, Maks — odwracała się w jego stronę. — Kiedy patrzysz, nie potrafisz myśleć...

— No, nie będę, nie będę — mówił z uśmiechem Zakamorny i wypływał daleko w morze.

Któregoś wieczora znajomi z plaży zaprosili ich do restauracji. Maksym, pod pretekstem, że zapomniał wyczyścić buty, wrócił do pokoju. Otworzył torebkę żony i wyjął list: „Pogoda jest wspaniała — przeczytał. — Ale co się tyczy Maksa, miałaś rację, niezdarny jak niedźwiedź. Garikowi do pięć nie dorasta, a Eduardowi... — nie chcę nawet wspominać, byłoby mi głupio...” Przy stole Maksym był wesoły, recytował wiersze, zabawiał towarzystwo, w końcu nalał wszystkim wina do kieliszków i uroczyście oznajmił:

— Damy i dżentelmeni! Pragnę wznieść toast! Wypijmy za nasz rozwód z Walerią!

Wyjął z kieszeni list, potrzymał go w ręku, dostrzegł w oczach żony strach, nie przeczytał na głos, lecz rozerwał na strzępy i wyrzucił do popielniczki.

„Także niektóre niewiasty nas zadziwiły” — zacytował Ewangelię św. Łukasza, wyszedł bez słowa i odleciał samolotem do Moskwy.

Rozczarowawszy się do kobiet Zakamorny został, zgodnie z

własnym określeniem, „lizodupem”. Napisał popularną książeczkę o genetyce, otrzymał za nią nagrodę i i przepił wraz z honorarium w ciągu jednego miesiąca.

Zniechęcony do piękniejszej części ludzkiego rodzaju poznał któregoś dnia Szurę, aktorkę Centralnego teatru dla dzieci. Podobna do małego chłopca, cieniutka jak zapałka, zapalała się, gdy tylko ją dotknął. Unikał jej, lecz sama do niego dzwoniła. Spotykali się za dnia, w przerwach między teatralnymi próbami a przedstawieniami. Odmłodniał przy niej, nabrał pewności siebie, lecz postanowił, że się nie ożeni; po co później kłopoty z rozwodem? Wymyślił formułę, zgodnie z którą latem potrzebne mu są kobiety chude, a zimą grube. Zimą, żeby było cieplej, potrzebna jest broda, latem trzeba się golić. Zimą — wódka czterdziestoprocentowa, latem portwajn: już Hipokrates mówił, że latem wino trzeba dolewać do wody, a zimą wodę do wina. Małżeństwo nie wchodzi w grę, żeby nie tracić wolności.

Tymczasem w laboratorium, które płaciło Zakamornemu konieczną do realizacji pewnych jego potrzeb pensję, nastąpiły zmiany. Szef pogodził się z lysenkowcami, został członkiem Akademii Nauk i dyrektorem instytutu. Kierownictwo laboratorium objął eks-sekretarz organizacji partyjnej, któremu zamarzyło się zostać członkiem-korespondentem. Wygrzebał skądś dawny temat Maksyma Pietrowicza i umieścił go w planie pod następującym tytułem: „Genetyczna interpretacja osobowości człowieka radzieckiego, budowniczego komunizmu, jako najwyższego ogniwa genotypicznej odmiany ludzkości.”

— Genotypy — to twój temat? — spytał Maksyma.

— Owszem... Ale te wnioski...

— Nie przejmuj się wnioskami! Ty masz kłaść fundamenty! A wnioski i tak ktoś wyciągnie. Włączyliśmy ten temat do szóstego punktu*.

— Chodzi o to, żeby nauka burżuazyjna nie wykorzystwała twoich odkryć do doskonalenia własnych genotypów. Wypełnij ankietę, wystaramy się o zezwolenie na temat twoich badań.

Po czteromiesięcznym okresie próbnym dopuszczono Maksyma Pietrowicza do jego własnych materiałów. Tyle tylko, że teraz widniał na nich napis „ST” (Ściśle tajne).

* 6 punkt — utajniona część planu naukowo-badawczego Akademii Nauk Medycznych ZSRR: m.in. badania na temat broni bakteriologicznej i rozpowszechniania epidemii w obcych krajach. W dziedzinie genetyki — eksperymenty zmierzające ku masowym zmianom dziedziczności.

Ale nie przystąpił do pracy. Tego dnia w laboratorium odbył się wiec, na którym jednogłośnie poparto zamiar udzielenia bratniej pomocy narodowi czeskiemu. Siedząc w ostatnim rzędzie Maksym martwił się jeszcze o los genotypów, więc nie zauważył, jak wszyscy pracownicy naukowcy podnieśli w górę ręce, w odpowiedzi na pytanie „kto jest za?”

— Kto się wstrzymał? — spytał eks-sekretarz partii, a obecnie kierownik laboratorium, tylko po to, by natychmiast oznajmić: „Przyjęto jednogłośnie!”

Maksym mechanicznie podniósł rękę, z czego wynikło, że tylko on się wstrzymał, a skoro tak, to apelu nie poparł. Mówiąc szczerze, nawet się przestraszył. Sekretarz partii doszedł wszakże do wniosku, że będzie lepiej, jeśli to on sam podejmie pracę o genotypach człowieka radzieckiego; po co Maksym Pietrowicz ma w tym przeszkadzać. Na wieść o wstrzymaniu się Zakamornego od głosu, stosowne instancje kazały usunąć go z partii i z pracy. Wysłano nawet list do Naukowej Komisji Kwalifikacyjnej z żądaniem, by odebrała winowajcy tytuł kandydata nauk przyrodniczych.

Kiedy człowiek nie ma własnego kąta, rodziny i pracy, pozostaje mu tylko przyzwoitość. Maksym Pietrowicz doszedł do wniosku, że nieprzyjemności dopadły go w najstosowniejszym momencie. Nawet zaczęło mu się wydawać, że specjalnie się wstrzymał podczas głosowania, a tym samym udowodnił, że on M.P. Zakamorny, reprezentuje wartościowy genotyp. Reszta to przekupnie handlujący w świątyni. Nie musząc chodzić do pracy, dostrzegł przed sobą dwie drogi. Mógł się wreszcie wypaść lub zająć teologią. Postanowił połączyć jedno z drugim. Maksym Pietrowicz, który łatwo się zapalał i równie łatwo stygł, był na przemian chrześcijaninem, buddystą, jogą, syjonistą, adwentystą dnia siódmego, zwolennikiem Nietzschego. Płatał Schopenhauera z Leontiewem i Bierdiajewem. Wielbił tych, których książki udało mu się zdobyć.

— Jestem marksistą, antykomunistą, a może wierzącym ateistą — tłumaczył kolegom przy kieliszku. — Jestem wdzięczny partii za to, że mnie usunęła ze swych szeregów. W rzeczywistości, życie wcale nie jest takie trudne: napiłeś się człowieku, rano — i dzień masz z głowy.

Maksym Pietrowicz lubił tracić czas na niepotrzebne zajęcia. Te obowiązkowe psuły mu humor. Jego upodobania i poglądy zmieniały się co chwila. Jeszcze wczoraj domagał się dla Rosji nowej rewolucji, a dziś obnosił się z ideą wzniesienia pomnika zdemaskowanemu towarzyszowi Stalinowi.

— Nikt nie sprzyjał dyskredytacji idei tak jak on! Postawmy mu pomnik — gdzieś przecież są magazyny z posągami obalonych wodzów?

Jeśli wpadał na jakiś pomysł, w obawie, że o nim zapomni, natychmiast dzielił się nim z otoczeniem. Jadąc metrem omawiał, dajmy na to, kwestię, czy nie należałoby wprowadzić nowych dystynkcji? Na naramiennikach oficerów bezpieczeństwa zamiast gwiazdek widniałyby malutkie dziurki od klucza: major miałby jedną dziurkę, a pułkownik — trzy.

— Zobaczysz, że cię wsadzą — ostrzegali Zakamornego przyjaciele.

A on na nich wrzeszczał:

— Dusze zajęcze! Przez was dzieje się to, co widzicie!

Liczba jego przyjaciół wciąż malała, a z czasem wszyscy gdzieś znikli.

W stołówce, w przychodni lekarskiej lub w sklepie, gdy robiono mu afronty, wyjmował z kieszeni kartkę z napisem „Tutaj panoszy się chamstwo” i przyklejał ją do ściany. Jakoś uchodziło mu to płazem. Lecz pewnego razu, gdy wyszedł na ulicę z ogoloną lewą stroną czaszki, połową wąsów i brody, prawą zaś zostawioną bez zmian (miało to być zapowiedzią nowej, świadczącej o dwulicowości mody), zabrali go na komisariat, zgolili resztę owłosienia, dali dwa tygodnie za chuligaństwo i zagrozili, że wyślą z Moskwy za sto pierwszy kilometr jako niepracującego pasożyta. Gospodyni wymówiła mu pokój. Nocował u przyjaciółek. Ułożył harmonogram na cały miesiąc, by dziewczyny wiedziały, kiedy u której się zjawi...

Gdy brakło mu pieniędzy, przychodził do „Prawdy Robotniczej”, żeby coś napisać lub przetłumaczyć z języków obcych na radziecki. Jakow Markowicz dawał to do druku pod jednym z wielu pseudonimów Zakamornego lub bez podpisu. Od genetyki Maksym Pietrowicz się oddalił, stracił też zainteresowanie dla polityki, zaś w modną teorię aktywnych działań nie wierzył. Poprzedniego wieczora pod pępkiem swej najnowszej ukochanej napisał zielonym flamastrzem „Lepiej już być nie może”. Zrozumiała to na swój sposób i była szczęśliwa.

23. Szkoła kanarków

— Nie ma nikogo?

Zakamorny wsunął w szparę drzwi swą płaską głowę. Wydawało się, że ją przytrzasnął, więc była spłaszczona. Wszedł i oparł się łokciem o framugę. Jakow Markowicz zdjął okulary i zmęczonym gestem przetarł oczy. Nagle zrozumiał, że szarą teczkę mógł podłożyć Makarcewowi Maksym Pietrowicz. Wszystko pasuje: naiwność, tupet, znajomość francuskiego. Może zapytać wprost? Ale Maksym jest stuknięty, nie odpowie. Gdyby zechciał, sam by powiedział... Zresztą, po co wiedzieć zbyt dużo?

— Właż, kolego — rzekł ciepło. — Możesz zarobić trochę grosza.

— Asenizator zaproponował jubilerowi spółkę...

— Czekaj! — Jakow Markowicz rzucił okiem na zegarek. Jedyne, co mi jeszcze zostało, to kiepskie zdrowie.

Wydobył z teczki zawiniątko z serem, do dwóch filiżanek nasypał herbaty. Nalał wrzątku, rozciął na połówki kawałek sera.

— Nie masz nic do picia? Po wczorajszym ochlaju łeb mi pęka...

— Zdrowy łeb, skoro możesz wytrzymać. Wytrzymaj jeszcze trochę, jak zapracujesz, wypijesz.

— Wypiję? Ja przecież raz na zawsze kończę z pićmi! Mów, gdzie forsa?

— Pomożesz zorganizować subotnik.

— Subotnik to tyranie bez forsy. A ja pytam poważnie.

— Dla innych bez, a dla nas z tobą i owszem. Jak byłem w łagrze, siedział ze mną naczelnik straży ogniowej. Pewnego dnia zadzwonili do niego z gazety: miejski komitet partii dostrzegł zasługi służb pożarniczych i polecił je naświetlić w stosownym artykule. Korespondent przyjedzie fotografować strażaków podczas akcji. Naczelnik powiada:

— Dobra, przyjeżdżajcie. Ale u nas nie ma pożarów.

— Dlaczego nie ma?

— Bo dobrze pracujemy.

— W porządku — mówią typki z gazety. — Poczekamy. Jak znacznie się pożar, dajcie nam znać.

Nazajutrz strażacy dzwonią: macie szczęście, jedziemy do pożaru.

— Proszę bardzo — mówią żurnaliści. — Ale przed naszym przyjazdem, broń Boże, nie gaście! Pamiętajcie: to polecenie miejskiego komitetu partii!

Strażacy uśmieiali się jak norki. Gdy przyjechał korespondent, dom już się nie palił...

— Za co wsadzili naczelnika straży pożarnej?

— Jak to za co?! — nie wykonał polecenia komitetu partii. Więc jedź z Bogiem, póki się pali i rozkręcaj temat.

— Ile tego ma być?

— Co najmniej dwieście linijek. Już zorganizowałem dla ciebie wiec.

— Nie rozumiałem dawniej — powiedział Maksym — jak to jest, że półanalfabeci gadają z trybuny to, co trzeba, wiedzą, jakich używać sloganów. Jak ich tego nauczyli?

— Teraz rozumiesz? — z krzywym uśmiechem spytał Rappoport.

— Owszem. Wiesz, jak uczy się śpiewać młode kanarki? Trzeba je wsadzić do klatki, w której już siedzą inne, starsze, te, co umieją śpiewać. Wtedy młodzik naśladuje starych. Nasi dziennikarze to takie kanarki. Nasłuchają się bzdur i powtarzają je nie zastanawiając się nad sensem. A po zejściu z trybuny, recytują wierszyk: „Szumi jak gwarny ul, nasza fabryka, nauczyłem się dla forsy fikać”. Ale ja nie jestem kanarkiem! Nie można służyć równocześnie Bogu i złotemu cielcowi.

— Tak było dawniej, Maks, ale teraz — można. Aha, a propos twoich genotypów. Zadbaj, żeby na stacji Sortownia było trochę mniej Żydów. Już mi podstawili nogę, kiedy ich zachęcałem do współzawodnictwa pracy.

— Mało im rewolucji? — zarechotał Zakamorny. — Po co Pawłow badał na psach odruchy warunkowe?

— Jak tego nie zrobisz, Jagubow zatrzyma wszystkie materiały.

— Jak to? To on już jest szefem?

— No! Makarcew dostał zawału.

— Nie taki diabeł straszny, jak jego Maluta. Zastanawiałeś się, stary, skąd się biorą partyjni funkcjonariusze?

— Znów jakieś biologiczne analogie?

— Wiesz, jak dawniej pozbywano się szczurów na okrętach? Marynarze chwyтали cztery szczury i wrzucali je do klatek, zestawiali te klatki parami i otwierali drzwiczki. Gryzonie rzucały się jeden na drugiego i dwa najsilniejsze rozszarpywały te słabsze. Wtedy chwymano dwa kolejne szczury i wsadzano do klatek. A potem znowu następne. Dwójkę pozostałych przy życiu, najbardziej krwiożerczych i agresywnych, wypuszczano na wolność, uprzednio morząc

głodem. Znikały w norach i zagryzały na śmierć resztę szczurów, nie przygotowanych do walki.

— Rzygać się chce od tej twojej biologii! — warknął Rappoport.

Znów pomyślał o szarej teczce. Cóż, jest dobrze schowana. Po co się z tym wychylać? Wszyscy zaraz się na niego rzucą...

— Nie obilo ci się przypadkiem o uszy, czy ktoś u nas rozprawia dysydenckie książki?

— Nie — odparł Maksym. — Ale jak coś znajdziesz, to mi pożycz. Jadę na ten twój subotnik.

— Czeka! Zdażysz nabełtać.

— Jak, jak?

— Nabełtać.

— No właśnie. Nabełtać. A fotograf? Zdjęcia dodadzą sprawie wigoru. Dzwonię po Saszę Kakabadze.

24. Aleksander Kakabadze

(ankieta dla działu kadr)

Fotoreporter „Prawdy Robotniczej”.

Urodzony 2 czerwca 1941 roku w Tbilisi.

Narodowość: Gruzin. Ojciec Gruzin, matka — Ormianka.

Język ojczysty — rosyjski.

Bezpartyjny. Członkiem KPZR uprzednio nie był.

Należy do Komsomolu od 1955 roku. Legitymacja członkowska nr 13484167.

Wykształcenie średnie.

Niekarany. Nie stawał nigdy przed sądem. Za granicą nie był.

Języki obce lub języki narodów ZSRR — nie zna.

Stan rodzinny: kawaler. Utrzymuje matkę Aidę Kakabadze, córkę Tigrana.

Działalność społeczna: udziela się.

Podlega obowiązkowi służby wojskowej, szeregowiec. Książeczka wojskowa nr NM 1493874.

Dowód osobisty XIX JEA 707241, wydany przez 6 komendę milicji miasta Tbilisi 7 września 1962 roku.

Miejsce stałego zamieszkania: Moskwa, ul. Młodych leninowców 51, korpus 2, m. 3. Telefonu nie ma.

W ubiegłym roku Kakabadze spędził urlop na Kaukazie, w Gagrach. Gdy skończył się sezon letni, wynajęli z matką pokój nad morzem. Wczesnym rankiem Sasza chodził ze spinningiem na molo. Stał tam w bordowych dresie, póki nie robiło się gorąco. Ryby nie brały, ale było przyjemnie. Kiedyś zatrzymał się koło Saszy niemłody Gruzin z brzuszkiem, w eleganckim garniturze. Przyglądał się w milczeniu, co jakiś czas wybijał stopami w lakierkach jakiś rytm. Ale po godzinie, nie wytrzymał:

— Po co tu łowisz, skoro nic nie bierze?

— A ty po co tu stoisz i gapisz się, jak nic nie bierze?

Mężczyzna ze śmiechem odpowiedział coś po gruzińsku.

— Przepraszam — rzekł Sasza — ale nie znam gruzińskiego...

— To jaki z ciebie Gruzin? Marna imitacja...

— To prawda, kiepski Gruzin, zruszczony...

— Ale po rosyjsku mówisz z gruzińskim akcentem — zaśmiał się mężczyzna. — Ciężki przypadek, co? Poznajmy się. Pewno mieszkasz w Moskwie, łatwo można się domyślić...

— Zgadł pan! Mam na imię Sasza. Aleksander.

— Piękne imię! A ja Georgij. Też niezłe imię, prawda? Pracuję w „Samtruście” jako technolog. Rozumiesz?

— No jasne! Na wszystkich butelkach z gruzińskim winem widnieje napis „Samtrust”.

— Fakt. Jestem tutaj na urlopie, lecz nikt mi się nie podoba. A ciebie zawiozę dzisiaj w góry, do restauracji...

— Dzięki! Ale nie przyjechałem tu sam, tylko z mamą. Moja mama jest Ormianką. Wynajęliśmy pokój z wyżywieniem. Więc serdecznie dziękuję!

— Co ma z tym wspólnego wyżywienie i mama-Ormianka? Chyba nie rozumiesz, kim jestem! Posłuchaj, chłopcze, ile zarabiasz?

— Sto dziesięć.

— Dziennie?

— Nie. Miesięcznie. I jeszcze honoraria, ale najwyżej połowę miesięcznej pensji. Więcej mi nie wolno. Za więcej zdjęć nie zapłacą. Czasem trafia się jakaś chałtura...

— Jak tak można żyć? U nas dozorca zarabia więcej! Raz w miesiącu obchodzi mieszkania i każdy daje mu dychę. Co robisz?

— Jestem fotoreporterem.

— Ciekawe! Możesz zamieścić w gazecie czyjeś zdjęcie? Albo

nie zamieścić? Gdybym ja był na twoim miejscu, moja mama-Ormianka kąpałaby się w złotej wannie!

Sasza zwinął wędkę i odszedł. Nie miał ochoty jechać do restauracji w górach z głównym technologiemy „Samtrustu”. Gdy chodzili z mamą na bazar po owoce, lękliwie omijał beczkę z winem, które sprzedawał dziarski Azerbejdżanin. Obok stał na uwięzi osiołek. W dniu swego przyjazdu Sasza podszedł do tej beczki: chciał spróbować, jak smakuje wiejskie wino. Kolejka posuwała się powoli. Na beczce był naklejony portret towarzysza Stalina. Każdy, kto dostawał wino, wpierw trącał się z Josifem Wissarionowiczem, stukając szklanką w czoło wodza, a dopiero potem pił. Sasza uniósł szklankę do ust, nie odprawivszy tego rytuału.

— Dlaczego się nie trącasz z towarzyszem Stalinem? — wrzasnął sprzedawca. — Nie szanujesz Gruzinów?

— Sam jestem Gruzinem — odpowiedział Sasza. — To ty nim nie jesteś.

— Zgadza się, ja Azerbejdżan. Ale też Kaukaz. Rosja ciebie zepsuła. Kto mieszka Kaukaz, musi Stalin kochać!

Sasza wzruszył ramionami, ale stuknął się szklanką z towarzyszem Stalinem, wypił za spokój jego duszy. Nie chciał jednak powtarzać tego toastu ze względu na ojca. Szałwa Kakabadze, ojciec Saszy, był historykiem sztuki. W latach trzydziestych jako pierwszy zaproponował, by usunąć z Muzeum Sztuk Pięknych w Tbilisi płótna artystów, którzy nie uwiecznili w swych dziełach najwierniejszego ucznia Lenina.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Muzeum mieściło się w tym samym gmachu, co niegdyś Seminarium Duchowne. A w nim, jak można było się potem dowiedzieć z biografii wodza narodów, napisanej przez niego osobiście, podczas gdy inni seminarzyści odprawiali modły, wódz organizował kółka marksistowskie. Muzeum wypełniły płótna, ukazujące towarzysza Stalina na różnych etapach jego życia. Nie uratowało to Szałwy Kakabadze przed aresztowaniem. Sasza był rocznym niemowlęciem, gdy ojca posadzili.

Krewni, też pracownicy muzeum, pomogli Aidzie, wątłej żonie Szałwy, znaleźć pracę ekspedientki. Zaczęła dobrze zarabiać, ale i to jej nie zadowalało. Oszukiwała na wadze, handlowała trefnym towarem, nauczyła się nie wydawać reszty. Zgromadziła mnóstwo pieniędzy, po czym — co tylko nie zdarza się na świecie? — pojechała do łagru, w którym siedział jej mąż i wykupiła go. W dokumentach zapisano, że więzień Szałwa Kakabadze zginął zastrzelony podczas pró-

by uciezki. Tymczasem Szałwa, z dowodem osobistym Pawła Kor-kija, posadzonego za malwersacje finansowe i zamordowanego przez kryminalistów, wyszedł na wolność. W Tbilisi dowód ten, znów za wielkie pieniądze, wymienili na inny, z innym miejscem urodzenia. Matka Szasy po raz drugi zarejestrowała swój związek małżeński.

Z Gruzji wyjechali na Ural, żeby nie natknąć się na znajomych. A po wojnie przenieśli się do Moskwy; ojciec uczył w technikum teatralnym historii radzieckiej sztuki. Gdy Sasza podrośł, ojciec ich zostawił, ożenił się ze swoją uczennicą. Szasy natomiast nie spie-szyło się do żeniaczki, choć marzyła o tym jego matka.

— Spójrz, ile jest w Moskwie ładnych dziewcząt — zachęcała syna. — Nawet twój ojciec się skusił. A ty? Jeśli nawet jego namawia-lam, żeby ode mnie odszedł, to tym bardziej musisz to zrobić ty! Najwyższy czas! Za młodu twój ojciec miał harem dziewcząt, nigdy nie miałam mu tego za złe, wiedziałam: mnie kocha najbardziej! Co z ciebie za Kakabadze, jeśli nie umiesz uwieść dziewczyny?

— Uspokój się, mamó! — powtarzał Sasza — Umiem, ale nie mam czasu...

Dni mijały Kakabadzemu dziwnie. Ten absolutnie niepraktycz-ny, cichy Gruzin nagle oznajmiał w redakcji, że podniesie sztangę o wadze stu kilogramów.

— Jak nie wierzycie, to się załóżmy!

Zakładano się z Saszą chętnie. Czasem była to trójka, a czasem nawet czwórka kolegów. Warunki takie: jeśli Kakabadze nie podnie-sie sztangi o wskazanej wadze, płaci każdemu po dziesięć rubli. Wsiadali więc do taksówki, jechali do Pałacu sportu. Szli do dyrek-tora, pokazywali legitymacje redakcyjne. Ten, dowiedziawszy się, o co chodzi, prowadził ich na salę ćwiczeń. Szczupły Sasza stawał na pomo-ście, sam na sam ze sztangą. Odważnie chwycił ją cienkimi rękami, odrywał, bez skutku próbował umieścić na piersi. Po dwóch, trzech pró-bach, cały pokryty czerwonymi plamami, schodził bez słowa z pomostu.

— Pieniądze oddam po wypłacie, chłopcy...

Potem uczciwie wręczał wszystkim po dziesięć rubli. Nie mó-wił nic matce, żeby jej nie denerwować, pracował dodatkowo, żeby przynosić do domu pieniądze. A sam żył na wpół głodny do następ-nej wypłaty.

W trzy dni po wyzbyciu się gotówki przychodziło mu nagle do głowy, że potrafi czytać myśli na odległość. Kolegom żal było chło-paka, więc nie zgadzali się na kolejny eksperyment. Ale on nie da-wał im spokoju:

— Słowo daję, odgadnę co drugą waszą myśl. Założymy się? Jak przegram, każdy dostanie pięć rubli.

Fotografem Sasza Kakabadze został przez przypadek. Gdy zdał maturę i wzięli go do wojska, zabrał ze sobą aparat fotograficzny. Miał taką ulubioną zabawę: udawał, że fotografuje, lecz nie umieszczał filmu w aparacie. Jednak któregoś dnia dowódca dywizji kazał mu zrobić zdjęcia swej rodziny i Sasza nie mógł sobie pozwolić na taki kawał — za oszustwo wsadziliby go do paki. Trzeba było wstawić film. Ku zdumieniu Saszy zdjęcia wyszły nieźle. Odtąd nie mógł się opędzić przed oficerami. Jego prace zamieszczała gazeta dywizyjna. Redakcję jej odwiedził kiedyś korespondent „Prawdy Robotniczej”. Nie pozwolono mu fotografować terenu jednostki wojskowej bez specjalnego zezwolenia. A Sasza miał gotowe zdjęcia, dopuszczone już do użytku przez cenzurę wojskową.

Od tej pory „Prawda Robotnicza” w okresie poprzedzającym wojskowe święta, zamieszczała fotografie szeregowego Kakabadze. Gdy Sasza wrócił do cywila, wzięli go jako „fiksa” do działu ilustracji. Był „fiksem”, czyli nie pracował na etacie, lecz na umowie-zleceniu, płacili mu za każde wykonane zdjęcie.

Łatwo nauczył się fotografować co trzeba. Przewodzących robotników, którzy z miłością patrzyli na obrabiarki lub stali na ich tle (inny wariant w grę nie wchodził), murarzy, kołchoźników i tak dalej. Ale gdy tylko nauczył się zawodu, znudziło mu się to śmiertelnie. Chętnie publikowałby zdjęcia z życia wzięte, a tych robił mnóstwo. Scenki uliczne, ubogie bazary w małych miasteczkach, żebraków, tępe twarze pijanych robotników, z rechem otaczających w trakcie sesji zdjęciowych wzorowego przewodnika pracy, skierowanego do tej akcji przez komitet partyjny. Zdjęcia z autentycznego życia Sasza mógł oglądać jedynie w zagranicznych czasopiśmie lub na międzynarodowych wystawach. Dla rozrywki zaczął więc gromadzić podobizny działaczy partii i rządu. Fotografował ich na zjazdach, podczas ceremonii i spotkań z głowami innych państw. Wybierał te najbardziej charakterystyczne, czyli takie, które należałoby natychmiast zniszczyć.

— Po co ci to? — pytali znajomi. — Nie znudziło ci się na nich gapić?

— Nawet bardzo! — odpowiadał wesoło Sasza. — Ale to są zdjęcia dla potomności. Pewien mądry człowiek poradził mi je kolekcjonować.

— Kto mianowicie?

— Nieważne... Może potomność zechce — powiedział — zorganizować w Moskwie proces Norymberski? Wtedy będą jak znalazł — proszę, bierzcie!

25. Jestem jak ryba

Gdy na końcu korytarza Sasza zobaczył Nadię, postawił na podłodze ciężką torbę z aparaturą, stanął i rozłożył między ścianami chude ręce. Stał i czekał. Choć mogło się wydawać, że dziewczyna, bladziutka z braku słońca, przecięśnie się wszędzie jak myszka. Ale nie ucieknie przed Saszą Kakabadze. Szła coraz wolniej, wreszcie zatrzymała się.

— Przepuść mnie — poprosiła oschle. — Spieszę się...

— Nadiu! — zawołał z wyrzutem Sasza.

— Co? — spojrzała na niego zmęczona.

— Podobasz mi się równo osiem miesięcy i cztery dni.

— Ty mnie też, ale przepuść!

— Znowu przepuść, dokąd przepuść, zawsze tylko przepuść!

Proszę bardzo! Nikt cię nie trzyma. Ale dlaczego? Ile właściwie ty masz lat?

— Dwadzieścia trzy.

— A ja?

— Chyba dwadzieścia osiem.

— No widzisz! Idealny układ.

— I co z tego?

— Jak to co?! Moglibyśmy zawrzeć...

— Co?!

— No, związek małżeński...

— A potem?

— Potem? Rumienię się przez ciebie, Nadiu. Potem byłoby to samo co u wszystkich...

— No widzisz. A ja tak nie chcę...

— Dobrze, zgoda! U nas będzie zupełnie inaczej. U wszystkich to samo, a u nas inaczej. Tylko o jedno cię proszę: chciałbym mieć dzieci, tak jak wszyscy. Ja dwoje. A ty?

— Ja też dwoje.

— Czyli razem czworo. Zgadzam się, Nadiu. Idziemy!

— Dokąd?

— Jak to dokąd? Do Urzędu Stanu Cywilnego.

— Nie chcę.

— No dobrze, można bez Urzędu. Po prostu napiszemy na murze „Nadia plus Sasza równa się miłość.” Idziemy!

Sasza wyciągnął do Nadi rękę, ale ona ją odepchnęła.

— Oj, Sasza, już dłużej nie wytrzymam. Dobrze, napiszemy, tylko daj mi spokój! Zbyt poważnie wszystko traktujesz...

— Czy to źle?

Wydał wargi jak rozkapryszone dziecko. Oparł się o ścianę, ręce złożył na piersiach. Pochylił głowę — długie kędziory zasłoniły mu twarz.

— Przechodź — powiedział nie patrząc na Nadię. Rozumiem, czujesz do mnie wstręt. Pewno dlatego, że jestem Gruzinem...

Nadia roześmiała się.

— Sasza, zachowujesz się jak smarkacz. Fakt, że jesteś Gruzinem, to twoja największa zaleta.

Aleksander spojrzał na nią nieufnie, a potem powiedział:

— Wiesz, że Jagubow to antysemita; nie lubi również Gruzinów. Powiedziałem to Rappoportowi, a on na to: „Antysemita — to brzmi dumnie!” Więc jeśli masz jakieś zastrzeżenia, od razu powiedz!

— Nie mów głupstw, Sasza! Sama kiedyś marzyłam, żeby być Gruzinką. Ale żeby między nami coś zaszło, muszę coś do ciebie czuć.

— Jak to — czuć?

— Po prostu czuć i tyle. A teraz nie czuję. Jestem jak mrożona ryba, rozumiesz? Filet rybny. Po co ci ktoś taki? Ty sobie mnie wymyśliłeś, ale ja jestem rybą. Widzisz, nawet ości sterczą.

Przesunęła palcami po obojczyku.

— Filet, ości, niemal centrala rybna! — Sasza kopnął butem ciężką torbę. — Ale ja ciebie kocham, Nadiu. Ty też mnie pokochasz.

— Nie, Sasza, nie pokocham!

— Jeszcze się przekonasz! Pojedziemy do Tbilisi, wyprawimy skromne wesele, tylko dla rodziny — przyjdzie najwyżej siedemset osób.

— Znów to samo, Sasza?

— No dobrze, dobrze! Czekałem osiem miesięcy i cztery dni, poczekam jeszcze...

Kakabadze zazgrzytał zębami i podniósł ciężką torbę z aparaturą — trzy czwarte jego zawartości nie było mu nigdy potrzebne, dźwigał ją, by dodać sobie powagi. Otworzył szeroko drzwi i władował się do pokoju Rappoporty.

— Wiesz, Sasza — powitał go Jakow Markowicz — jesteś jedynym porządnym człowiekiem w naszym redakcyjnym burdelu.

— Zawsze mnie pan chwali, Jakowie Markowiczu. Za co tym razem?

Rappoport nic nie odpowiedział, lecz krótko wyjaśnił, gdzie, komu i jakie trzeba robić zdjęcia. Najlepiej, jeśli Sasza sfotografuje robotników w trakcie przygotowań do subotnika. Zdjęcia pójdą do druku potem, trzeba stworzyć jednak wrażenie, że je robiono w jubileuszowym dniu. Byłoby pożyteczne, gdyby na ścianach murach fabrycznych widniały plakaty wzywające do udziału w tej imprezie.

— A przy okazji. Sasza, po redakcji krąży dysydencki maszynopis. Widziałeś?

— Dobrze pytanie! Zadaje je pan ot tak, po prostu? Gdybym pana nie znał, Jakowie Markowiczu, pomyślałbym, że z pana tajny agent albo zwykły kablownik!

Pomachał przyjaźnie ręką i zniknął. A Nadia pobiegła na koniec korytarza. Obejrzała się, czy aby nie patrzy na nią Sasza i stanęła przed drzwiami z napisem „Korespondenci specjalni”. Z westchnieniem poprawiła bluzkę i zastygła w niezdecydowaniu: wejść do Iwlewa czy nie?

26. Wiaczesław Iwlew

Ankieta dla działu kadr

Korespondent specjalny przy sekretariacie „Prawdy Robotniczej”.

Urodzony 7 stycznia 1935 roku w Moskwie.

Rosjanin.

Przynależność partyjna — od 1956 roku członek KPZR. Legitymacja nr 6753844. Uprzednio nie należał do KPZR i nie był z partii usunięty. Nagany partyjne: surowa nagana z wpisaniem do akt.

Ukończył wydział filozoficzny na Uniwersytecie Moskiewskim w 1958 roku. Dyplom nr 364771.

Nie karany sądownie. Za granicą nie był, krewnych za granicą nie posiada. Praw wyborczych nigdy nie tracił.

Nagród państwowych nie posiada.

Zobowiązany do służby wojskowej, młodszy lejtnant rezerwy. Książeczka wojskowa nr 4117826.

Stan rodzinny: żonaty. Żona A. D. Iwlewa, ur. 1939, syn Wadim — 6 lat.

Dowód osobisty VII KN Nr 521462, wydany 27.XI. 1965 roku przez 96 komisariat milicji regionu Oktiabrskiego Moskwy. Na stałe zameldowany pod adresem: Moskwa, ul. Marii Ulianowej 4, m. 31. Tel. 230-01-92.

POSTĘPKI I WYSTĘPKI IWLEWA

— Mamo, jak myślisz, co trzeba robić, gdy kolega mówi coś niewłaściwego?

— Zwrócić mu uwagę, synku.

— Ale on się śmieje! I wciąż powtarza to samo!

— Co takiego powtarza?

— No, okropne rzeczy — o Stalinie i tak dalej...

— Mój Boże, koszmar! Czy to przypadkiem nie Chochriakow? Należałoby o czymś takim zawiadomić władze, inaczej ty, zgodnie z prawem, ponosisz winę. Ale zawiadamiać też jest niebezpiecznie. Czasy są takie. Zmuszą cię do składania zeznań... A ty masz na głowie egzaminy!

— Więc co robić, mamo?

— Może kolektyw nad nim popracuje? Pogadaj w Komitecie. Słyszałeś to. więc powtarzasz...

— Coś takiego mam powtórzyć?

*Już Stalin w trumnie i Gottwald Klement, jego sługa,
Ach, jakże trudna nastąpiła godzina, czy aby długa?
Te stalowe oblicza rdza już pożera
Kiedyż nareszcie i innych weźmie cholera?*

— Cicho bądź! — krzyknęła zdenerwowana matka. — I daj słowo honoru, że nigdy więcej — zrozumiałeś?! — Nigdy w życiu czegoś takiego nie powtórzysz. Nawet ojcu tego nie powiem.

Wiosną 1953 roku ulubieniec i nadzieja nauczycieli Wiaczesław Iwlew kończył dziesiątą klasę. Był prymusem, sekretarzem organizacji komsomolskiej, kapitanem drużyny piłki ręcznej, ekspertem w sprawach międzynarodowej sytuacji politycznej. Na dużej przerwie dyrektor powierzył mu czytanie gazety przez szkolny radiowęzeł. Rodzina Wiaczesława prosperowała dobrze, ojciec i matka należeli do partii. Słowem, złoty medal miał chłopak niemal w kieszeni. Wahał się tylko, co studiować: historię czy filozofię? A wtedy postanowił zresocjalizować Chochriakowa.

— Słuchaj, chcę pogadać o tym wierszu. Jeszcze go komuś recytowałeś?

— A co?

— A to, że lepiej siedź cicho. Śmierć Stalina to tragedia dla całej ludzkości...

— Nawet pośmiać się nie wolno? Idź do diabła!

— Chcesz, żeby zajął się tą sprawą komsomol?

— Niech się zajmie, rób co chcesz. To ty musisz się wysługiwać, żeby dali ci medal.

Nie powiadomił o niczym komitetu komsomołu wcale nie dlatego, że takie miał zasady. Matka ma rację: mogłoby mu to zaszkodzić. W dodatku inne wydarzenia pochłaniały wtedy uwagę sekretarza komitetu komsomołu Iwlewa. Na demonstracji pierwszomajowej uczniowie klasy dziesiątej wyszli z szeregów, żeby kupić lody. Na widok milicjanta stłoczyli się wokół niego i ktoś zawołał: „Niech żyje radziecka milicja!”

Posterunkowego entuzjastycznie podrzucono w górę. Wzleciał w powietrze trzymając się za koburę i równie łagodnie opadł na ziemię.

— Dajcie spokój, chłopcy, jestem na służbie!

Wszystko to widział dyrektor szkoły Kriestowski. Podbiegł, zapędził uczniów do szeregów, a po świętach wywołał z lekcji Iwlewa. Kazał mu usunąć z komsomołu „uczestników podrzucania”. Było to równoznaczne z zakazem zdawania egzaminów na wyższe uczelnie i natychmiastowym powołaniem do wojska. Wśród usuniętych znaleźli się najlepsi uczniowie. Chochriakow, naturalnie, też. Kriestowski nazwał go złośliwym prowokatorem.

— Złoty medal mam już w kieszeni, mam!

— Już postanowiłam, synku: pójdziesz na filozofię. Marksizm-leninizm to najlepszy zawód. Zostaniesz teoretykiem, a ja odzyskam spokój.

Sławek przywykł słuchać matki. Trudno było nie ulec jej autorytetowi. Ojciec też zawsze jej słuchał dając przykład synowi. Była to ładna, nieco zbyt pulchna kobieta. Niegdyś gorliwie wierzyła w Boga, dziś starannie to ukrywała. Choć pochodziła z rodziny szlacheckiej, wędrowała pieszo w zgrzebnej sukience po wodę święconą do cerkwi nad źródłem w Siergijew-Posadzie. Miała wtedy siedemnaście lat. Trzy lata po rewolucji postanowiła iść do klasztoru. Ale długo tam nie została. Klasztor rozgrabili chłopcy i żołnierze z sąsiedniej jednostki wojskowej. Mniszki wypędzono, a przeoryszkę postawiono pod mur.

Wkrótce potem Tatiana Sawieliewna wstąpiła do komsomołu i od tej pory, równie entuzjastycznie jak przedtem Boga, wielbiła Lenina. Propagowała wolną miłość, którą przewidywał Manifest partii komunistycznej, a która powinna istnieć w komunizmie. Siergiej Iwlew ożenił się z nią, gdy dobiegała trzydziestki. Miała mnóstwo wielbicieli, nieraz rzucała męża, ale wracała do niego. Ojciec Iwlewa był inżynierem w biurze projektowym przy Ministerstwie Budowy Maszyn (jak wiadomo, zajmowano się tam energią atomową), lecz nigdy nie opowiadał, co robi. Jego życie płynęło dość monotennie: dom, praca, czytanie gazety „Prawda”. Sławek nie miał o czym z ojcem rozmawiać.

Po ukończeniu studiów chciał pisać pracę doktorską. Miał już nawet temat: „Walka partii komunistycznej z przeżytkami kultu jednostki o umacnianie leninowskich norm życia partyjnego”. Natomiast normy życia prywatnego rodziny Iwlewów pozostawały niezmiennie. Sławek, podobnie jak jego matka, uważał, że niebezpiecznie byłoby jeść importowane produkty, które pojawiały się w sklepach: mogą być zatrute. W tym czasie dalecy krewni ojca wrócili z obozów i zesłań. Tatiana Sawieliewna zapewniała, że partia wie, kogo wsadzać za kratki: na pewno byli winni. Ojciec zgadzał się z tą opinią, ale syn po jakimś czasie nabral wątpliwości.

Któregoś dnia spotkał Chochriakowa. Poszli do baru, zamówili piwo. Chochriakowowi udało się ukryć, że wyrzucono go z komsomołu, zdał do wyższej szkoły pedagogicznej. Studiował anglistykę, słuchał „Głosu Ameryki” i opowiadał o tym kolegom z roku, więc wkrótce wyleciał z uczelni. Pół roku pozostawał bez pracy, wreszcie zahaczył się w bibliotece.

— Wkrótce będą stały na naszych półkach twoje dzieła, partyjny filozofie! Zdjąłeś już różowe okulary?

Teraz Iwlew inaczej na niego patrzył. Zaczęli się spotykać. Z Chochriakowem nie można było się nudzić. Kiedyś Iwlew wyznał mu ze skruchą:

— Wybacz, chłopie, sztubacką głupotę. Teraz rozumiem.

— Nie mogę — odciął Chochriakow, tak jakby już dawno miał przygotowaną odpowiedź. — Na co ci, zresztą, moje przebaczenie? Ale jeśli zrozumiałeś, to dobrze. Sądziłem, że tacy jak ty nie potrafią zmadrzeć.

Chochriakow wybierał zabawne materiały z zagranicznych czasopism, tłumaczył je i przynosił do „Prawdy Robotniczej”, by zwiększyć swe skromne fundusze. Któregoś dnia przyprowadził do

Rappoportowa Iwlewa. Iwlewowi spodobała się ta gazeta, a Rappoportowi to, że Iwlew jest Rosjaninem. Wokół wszystko fermentowało, burzyło się, płynęło. Iwlew nie mógł pojąć, co się dzieje. Śrubka ścierała się gwint za gwintem, wreszcie wypadła z maszyny. Sprzyjały tym przeobrażeniom służbowe wyjazdy. W przededniu święta Armii Radzieckiej redakcja wydelegowała Iwlewa na manewry Floty Północnej.

— Co ci jest, Sławku? — spytała go maszynistka Inna Swietłozierska, gdy po powrocie dyktował jej artykuł. — Masz siwe skronie...

— Byłem na manewrach...

— Manewry to jeszcze nie wojna...

Niszczyciel, na którym korespondent Iwlew jechał na manewry, otrzymał wiadomość, że wyimaginowany przeciwnik znajduje się w polu jego zasięgu.

— Rakietowymi pociskami — ognia!

Wystrzał jednak nie nastąpił. Pociski zaklinowały się. Nic nie można było zrobić poza jednym: wybijać je młotem.

— Kto pójdzie na ochotnika? — pyta dowódca.

Ochotników nie było.

Więc sam wziął do ręki młot i przecinak. Marynarze przywarli brzuchami do pokładu. Iwlew również.

— Czego się boicie, barany? — zawołał dowódca. Jak wybuchnie, i tak nikt nie przeżyje!

Lekkiemi uderzeniami wybijał rakiety, które ugrzęzły na płozach.

Skończyło się na strachu. Niszczyciel nie wziął udziału w manewrach i wrócił do bazy. Tam okazało się, że na pokład załadowano skrzynki z pociskami innego kalibru.

— Kto ładował? Pod trybunał!

— Jak to? — zdumiał się Iwlew. — A gdyby to była prawdziwa wojna?

— Naiwny jesteś, chłopie! W warzywniaku też czasem sprzedają zgniłą kapustę...

— Owszem, zdarza się...

— Jeśli w bazie warzywniczej może być burdel, to czemu nie w wojsku? Ludzie są wszędzie tacy sami.

W swym reportażu „Na straży naszych granic” Iwlew napisał wszystko jak trzeba. Niszczyciel zlikwidował umownego nieprzyjaciela i wracał zwycięsko do brzegów ojczyzny. Potężne rakiety radzieckie w każdej chwili są gotowe zniszczyć wroga. Sławek pojechał do cenzury wojskowej na ulicę Kropotkina, tam postawiono na

tekście stempel „Wolno drukować”. Materiał spodobał się w redakcji. A korespondent Iwlew długo nie mógł zapomnieć pokładu niszczyciela, na którym leżał zasłaniając rękami głowę.

Jakow Markowicz tylko się śmiał z jego wątpliwości. To on dał Iwlewowi poczytać *Sołżenicyna*. Rappoport przekonał Sławka ostatecznie, że Chochriakow miał rację. Otrząsnął się z mrzonek, które wpajała mu matka i z tego, co mu wbijano do głowy na wydziale filozoficznym. Z przekonaniem mówił kolegom, że *Sołżenicyn* pisze autentyczną literaturę, inni niewiele są warci. Na wieść o tym, że 12 grudnia 1968 roku pisarz kończy pięćdziesiąt lat, wysłał do Riazania telegram: „Jest pan nadzieją i dumą literatury rosyjskiej. Z najlepszymi życzeniami Iwlew.” Gdy opowiedział o tym Rappoportowi, ten pochwalił go, ale jakoś apatycznie.

„Kiedyś do Woroszyłowa list napisałem, ale pomyślałem i nie podpisałem” — wyrecytował po chwili.

— Ale ja podpisałem! — zaprotestował Iwlew.

— Niepotrzebnie, przyjacielu...

Trzy tygodnie później Iwlew otrzymał wezwanie. Ma zjawić się na Dzierżyńskiego 16, w urzędzie KGB miasta Moskwy i regionu moskiewskiego. Był to stary budynek z rzeźbionymi ścianami i sufitem. W gabinecie, do którego zaprowadzono Iwlewa, siedział sympatyczny młody człowiek i uśmiechał się ciepło. Spytał Sławę o pewne fakty z jego życiorysu, a potem zainteresował się:

— Zna pan *Sołżenicyna*?

— Znam...

— Od dawna?

— Nie znam go osobiście.

— Lecz się pan z nim spotykał?

— Skądże.

— W takim razie proszę wymienić nazwiska waszych wspólnych znajomych.

— Nie mamy wspólnych znajomych.

— Nieprawda! Obcym ludziom nie posyła się telegramów z życzeniami.

— To znany radziecki pisarz, więc...

— Jakie pan zna jego utwory?

— Czytałem... — z miejsca wyłączył to, co znalazł z samizdatu. — *Jeden dzień Iwana Denisowicza, Zagrodę Matryony...*

— A *Oddział chorych na raka*?

— Nie znam...

— Wie pan chyba, że Sołżenicyn leje wodę na młyn wrogów naszej partii. Popiera go pan?

— Może wyraziłem się niezbyt ściśle — odpowiedział Iwlew i niepostrzeżenie zacisnął ręce, tak by się nie trzęsły. — Sołżenicyna publikuje „Nowyj Mir”. Sądziłem, że jeśli coś wychodzi drukiem i to w znanym czasopiśmie, to można taki utwór czytać i wyrobić sobie o nim opinię: jednemu się podoba, a innemu nie.

— Chyba pan nie chce mnie zrozumieć — zniecierpliwził się śledczy. — Nie to jest ważne, czy się podoba. Ale to, że pan, dziennikarz, pracownik ideologicznego frontu, popiera autora, wychwalanego przez burżuazyjną prasę. Czy zastanowił się pan nad tym, kogo i dlaczego chwala nasi wrogowie? Ten, kogo chwala, też jest wrogiem! Mamy zresztą dowody, że znacie się osobiście...

— Mówiłem już, nigdy go nie widziałem.

— A kto panu dał jego zdjęcie — on czy ktoś inny?

— Jakie zdjęcie?

— To, które wisi w pańskim mieszkaniu.

Po jednym egzemplarzu tego zdjęcia, przefotografowanego z malutkiej fotografii, Sasza Kakabadze podarował Iwlewowi oraz Rappoportowi.

— Nad czym się pan tak zastanawia? Proszę odpowiadać!

— Kupiłem to zdjęcie... w bramie, koło antykwariatu, w pobliżu ulicy Gorkiego...

— Od kogo pan kupił? Jak ten ktoś wygląda?

— Niewysoki, z brodą, chyba student...

— Przypuśćmy... Ale mógłby pan powiedzieć coś więcej.

Wypuścili i ostrzegli: jeszcze go nie raz wezwą. Był śmiertelnie przerażony. Nikomu nie mówił o tej rozmowie, nawet żony nie chciał niepokoić. Ale nazajutrz wezwał go naczelny. Gdy Iwlew wchodził do gabinetu Makarcewa, serce mu łomotało.

— Siadaj! — Igor Iwanowicz oderwał się od roboty. — Mów, coś nabroił!

Iwlew wzruszył ramionami i opowiedział.

— Ty kretynie! — Makarcew aż uniósł się na krześle. — Zachowujesz się jak szczeniak! Potrzebne Sołżenicynowi te twoje życzenia! Za to nas wszystkich uszczęśliwiłeś! Nie mam na to ochoty, ale chyba cię zwolnię. Idź, muszę zasięgnąć rady. Idź, powiadam, nie chcę cię widzieć!

— Chyba można było się tego spodziewać, Sławku — powiedział Rappoport, gdy się spotkali. — Zrozumiałe, że chcą zgnoić

Sołżenicyna. Tylko nie od razu. Najpierw zmieszają go z błotem, zaszczują. A gdy wszyscy od niego odejdą, zlinczują go publicznie, oświadczą, że wystąpił przeciwko narodowi. Wpadłeś, przyjacielu!

— Ale przecież...

— Ciszej, nie wściekaj się. Wysłałeś telegram, myśląc, że to przejaw odwagi. Ale czy Sołżenicyn go otrzymał? Przypuśćmy, że tak. I bez ciebie wie, kim jest. Popiera go cały Zachód niczym nie ryzykując. Na co mu twój telegram z życzeniami? Jak go otrzyma, pomyśli, że jeszcze bardziej się za niego wezmą, bo jest taki popularny. Ale z pewnością nie otrzymał twojego telegramu. W KGB leży ten twój telegram, w twojej teczce. Mam rację?

— Przypuśćmy. I co z tego?

— Wyobraź sobie, że jestem pułkownikiem KGB, któremu polecono zająć się tą sprawą. Rozkładałam telegramy na małe sterty. Czterdzieści od literatów. Jasne! W Związku Pisarzy ma Sołżenicyn zwolenników, już my się postaramy, żeby siedzieli cicho. Na etatach w Domu Literatów ulokujemy dodatkowy kontyngent donosicieli. Wzmocnimy działania ideologiczne. Dwieście telegramów od inteligentów. Wyrzucimy tych ludzi z pracy i z partii, żeby już nigdy się nie podnieśli. Dwieście od studentów. Smarkaczy relegujemy z uczelni — niech reszta wie, co w razie czego ją czeka.

— Jasne!

— Czekaś, stary, jeszcze nie skończyłem. Dlaczego, myślałbym sobie (gdybym był pułkownikiem KGB), ten Sołżenicyn jest tak popularny? To pewne: ci, co składają mu życzenia, z pewnością czytają wrogą literaturę! Trzeba temu zapobiec! A jak nic nie pomoże — do łagru... A teraz powiem ci coś, co powiedziałby zwykły człowiek radziecki: tym telegramem ułatwiłeś kagebistom robotę. Dzięki tobie mogli przygotować listę podejrzanych, żeby łatwiej ich pilnować. Twój telegram to prowokacja, a ty jesteś prowokatorem.

— Co pan mówi!

— Przy okazji robisz krzywdę swoim przyjaciołom: też od tej pory będą śledzeni. Skoro taki z ciebie bohater, sięgnij po inne metody.

— Jakie?

— Więcej za granicę lub po cichutku pisz dla samizdatu. Ale kolegów w to nie mieszaj!

— Zawsze tak jest: wszyscy milczą, a potem pytają, dlaczego wokół tyle podłości? Czasem myślę, że Sołżenicyn nie istnieje. To miraż, złudzenie optyczne. Jak może jeden człowiek walczyć z taką machiną?

Iwlew wpatrywał się z uwagą w Jakowa Markowicza.

— Nie będę się spierał, Sławku — rzekł stary dziennikarz i odwrócił się do okna udając, że dalsza rozmowa go nie interesuje.

— Jeśli wszyscy będą myśleć tak jak pan, nigdy się nic nie zmieni! Rappoport znów się odwrócił i spojrzał na Iwlewa.

— Zmienić? Cóż chciałbyś zmienić tym swoim telegramem? Lepiej się pokajaj, opluj Solżenicyna. Tylko to cię uratuje. Ale pamiętaj — to pierwszy sygnał! Nie wpakuj się w coś takiego drugi raz! Jeśli nie możesz milczeć, to paplaj, ale tylko w wąskim kręgu. Robienie czegokolwiek to przeżytek. Zbyt mocno zgłębiałeś dzieła Marksa i Lenina, traktujesz ich rewolucyjny entuzjazm dosłownie.

Żeby porozmawiać o sprawie Iwlewa naczelny umówił się z Kawalerowem. Jechać do niego nie chciał — za wysokie progi — spotkali się więc na gruncie neutralnym, podczas prezentacji nowego filmu w KC. Kiedyś gdy Kawalerow był sekretarzem komitetu partii w fabryce samochodów, Makarcew pomógł mu. Teraz na prośbę Makarcewa sekretarz rejkomu Kawalerow zareagował niechęcią.

— Jest jeszcze młody! — przekonywał go Makarcew. — Dobry członek partii, zdolny dziennikarz. Diabeł go podkusił! A w ogóle to talent. Potrzebujemy utalentowanych ludzi.

Sekretarz rejkomu słuchał w milczeniu, lecz nagle krzywo się uśmiechnął:

— Talent? Zwykle talenty nie są nam potrzebne. Partia potrzebuje takich talentów, które rozumieją, czego od nich chcemy.

— Iwlew rozumie, wierz mi! I robi wiele dla naszej gazety. W końcu kto teraz decyduje, my czy służby bezpieczeństwa?

— Decydujemy wspólnie — szybko odpowiedział Kawalerow. — Ale to wcale nie szczeniacki wybryk, to recydywa czeska. Czesi pozwalali sobie na liberalizm i prośbę, do czego doszli!

— Nawiasem mówiąc — wtrącił Makarcew — Iwlew robił ciekawe reportaże z twojej fabryki...

— O właśnie! Niech idzie do fabryki, popracuje przy obrabiarce!

— Jeśli go nie zniszczymy, będzie posłuszny i pożyteczny. Dajmy mu naganę partyjną, ale nie bądźmy zbyt surowi. Chyba nie gorzej niż KGB znamy nasze kadry? W razie czego pójdę do KC...

Kawalerow nie odpowiedział. Zapadła cisza.

— Dobrze — wyduśił wreszcie i spojrzał gdzieś na bok. — Z szacunku dla ciebie, Makarcew... A do KGB zadzwoń sam.

Makarcewowi wydało się, że na ustach Kawalerowa znów pojawił się przelotny uśmiech. Chyba jednak tylko się wydało: sekretarzowi rejkomu naczelny gazety jeszcze jak się przydał! Wróciwszy

do redakcji Igor Iwanowicz wezwał do siebie Iwlewa. Ten wszedł pochmurny, przygotowany na najgorsze.

— No więc — powiedział Makarcew — Chyba urodziłeś się w czepku. Kolektyw wybronił cię. Za kilka dni mamy zebranie partyjne. Wiesz, co trzeba mówić?

— Wiem.

— Spróbowałbyś nie wiedzieć! Musisz wykazać się pracą... Napisz artykuł o niemożności pogodzenia dwóch ideologii. Autorem będzie sekretarz rejkomu Kawalerow. Napisz od serca, chyba nie na darmo studiowałeś filozofię?

Iwlew zszedł na dół do Rappoportu uszczęśliwiony.

— Gratuluję! — ożywił się Jakow Markowicz. — Zebranie — to tylko tak, pro forma. Mówiąc szczerze, nie myślałem, że tak łatwo wykręcisz się sianem. Ja w swoim czasie...

— Czasy się zmieniają, Jakowie Markowiczu.

— Możliwe...

Było to wkrótce przed nowym, 1969 rokiem. A na początku stycznia, w przededniu zebrania partyjnego, znów zatelefonował do Iwlewa śledczy i grzecznie go poprosił o przyjście na ulicę Dzierżyńskiego. Już nawet wypisał dla niego przepustkę.

— Zatem przemyślał pan sprawę, zrozumiał, że Solżenicyn to przynęta dla słabych? — spytał śledczy. — Słusznie. Po co psuć sobie życie? Byliśmy pewni, że ten telegram to przypadek. Ale ponieważ popełnił pan błąd, musi pan, jako członek partii, udowodnić, że to rozumie. Jest pan dziennikarzem i to dobrym, umie pan pisać...

— Co mam zrobić?

— Nic szczególnego. Sam się pan przekona, że Solżenicyn to żalosny typ, sprzedał się za niemieckie dolary...

— Marki — poprawił machinalnie Iwlew.

— No właśnie — uśmiechnął się krzywo śledczy. — Pan przecież pisze opowiadania.

— Słabe... Nie nadają się do druku...

— Nic strasznego. Niech pan je ze sobą weźmie i pojedzie do Riazania, spotka się z Solżenicynem.

— Ja?!

— Czego się pan boi? Koszty przejazdu pociągiem zwrócimy. Powie pan Solżenicynowi, że jako początkujący autor chce zasięgnąć rady. Może pan nawet ponarzekać, jak będzie trzeba...

— I co dalej?

— Nic! Pozna pan nadzieję literatury rosyjskiej, jak to określił pan w telegramie. A po powrocie proszę do mnie zadzwonić.

Iwlew milczał z pochyloną głową i spod oka przyglądał się śledczemu. Spodziewał się Bóg wie czego, ale tego nie. Skinął, aby nie rozzłościć kagebisty, a sam myślał rozpaczliwie, że teraz już odmówić nie może.

— Zgadza się pan?

— Przepraszam, ale nie rozumiem. Po co mam się zapoznawać z Sołżenicynem?

— Należy pan do partii? W takim razie proszę to uznać za zadanie partyjne. Skierujemy za to pana na zjazd młodych literatów.

— Widzi pan, mam pewną wadę. Czasami mówię zbyt wiele, mam za długi język...

— To nic strasznego.

— Mógłbym się wygadać.

— Nie wolno nikomu mówić o naszej prośbie!

— Ale ja mogę niechcący... Wie pan, nie pojadę! Nie potrafię.

— W porządku. Czyli ta pańska skrucha funta kłaków jest warta. Ma pan podejrzone poglądy. A oblicze moralne? Zebranie partyjne jeszcze się odbyło...

Kropla potu stoczyła się Iwlewowi z czoła po policzku.

— Złe mnie pan zrozumiał — powiedział Wiaczesław. — Zgodziłbym się, ale mogę wszystko popsuć.

— Cóż. Proszę podpisać oświadczenie o zachowaniu treści naszej rozmowy w tajemnicy. W przeciwnym razie grozi panu kara z artykułu 184 Kodeksu Karnego. Może pan odejść.

Na zebraniu partyjnym, zgodnie z zapowiedzią naczelnego, udzielono Iwlewowi surowej nagany z wpisaniem do akt. Uprzedzono go też, że jeśli raz jeszcze coś takiego się powtórzy, zostanie usunięty z partii. W sprawie polecenia, którego wypełnić nie chciał, jak dotąd nikt go nie niepokoił. Może znaleźli lepszą kandydaturę?

27. Kto czego się boi?

Nadia stała pod drzwiami z napisem „korespondenci specjalni”. Nie od razu położyła rękę na klamce. Znów spojrzała na listy, które trzymała w ręku, przetasowała je, poprawiła włosy, wreszcie zdecydowała się otworzyć drzwi. Iwlew siedział za biurkiem i coś liczył, przewracał kartki kalendarza. Nawet nie spojrzał na dziewczynę.

— Jest pan zajęty? — cicho spytała Nadia. — W takim razie przyjdę później...

— Przyniosłaś listy? — nawet nie odwrócił głowy w jej stronę.
— To zostaw...

Niezbyt miała ochotę zostawiać, potem nie będzie pretekstu, żeby znów tu zajrzeć. I znowu będzie liczyła dni. Wahala się, przestępowała z nogi na nogę. On jest teraz w złym humorze, przekonywała samą siebie, trzeba iść. Wszystko zepsuję, nie wolno się narzucać. Więc się nie narzucam. Tylko jest teraz taki samotny i bezradny jak nigdy przedtem. Podejź do niego, dziewczyno! Połóż mu rękę na głowie. Albo przynajmniej powiedz coś. No, rusz się!

— Ma pan dużo pracy? Może pomóc?

Przestraszyła się własnych słów. Zaraz Iwlew roześmieje się, a wówczas lepiej zniknąć i nigdy go już w życiu nie oglądać.

— Jak chciałabyś pomóc?

Przestał wertować kalendarz, założył palcem stronę i spojrzał na dziewczynę. Uniósł brwi w górę, tak jakby widział Nadię po raz pierwszy. Była szczuplutka. Ale mimo to coś w niej dostrzegł i teraz, gdy to coś wypatrzył, przyglądał się Nadi z zainteresowaniem. Czują to.

Spokojnie, bez obawy, czekała, aż ją obejrzy od stóp do głów. Była dzisiaj u fryzjera, nawet spóźniła się z tego powodu do pracy. Rzęsy umalowała w ubikacji francuskim tuszem. Było jej ładnie w zamszowej spódniczce, wszystkie dziewczęta chwaliły. A z bluzeczki z kołnierzykiem-stójką i okrągłego dekoltu wyzierała smukła, labędzia szyja. Wścibski obserwator mógłby dostrzec nawet więcej niż wypadaloby za pierwszym razem. Iwlew chrząknął, a Nadia zrozumiała, że wywarła wrażenie. Nareszcie!

— Niech pan tak na mnie nie patrzy! — wydęła usteczka. Chciała mieć pewność, że zwyciężyła. Kokietowała Iwlewa jak tylko umiała.

— Nie wolno?

— Nie wolno! — Już mogła sobie pozwolić na minki i zmianę tematu — Co pan tak liczy?

— Moje lata...

— I co z tego wynika?

— Ano, że pozostało mi jeszcze pięć lat, żeby zmądrzeć.

— A ile ma pan teraz?

— Trzydzieści trzy.

— Tak jak Chrystus! Tylko tyle! Jest pan ode mnie starszy zaledwie o dziewięć lat. A ja myślałam...

— Co?

— Wygląda pan na więcej.

— Dziesięć lat szkoły i pięć studiów wystarczy, żeby oduczyć

się myślenia. Aby o wszystkim zapomnieć, trzeba jeszcze piętnastu. Mnie zostało pięć.

— Po co ma pan jeszcze mądrzeć? Będzie panu tylko trudniej.

— Kiedy jest łatwiej, to nudniej.

— Zazdroszczę panu! Bo gdy ja skończę dziennikarstwo, nie będę musiała ponownie się uczyć: i tak nic we mnie nie ma.

Spojrzała na niego i nagle, nie zdając sobie do końca sprawy, co mówi, rzekła cicho:

— Pójdę już, jeśli nie jestem potrzebna.

— Dlaczego?

Zarumieniona Nadia odwróciła się do mężczyzny plecami; trzeba się jakoś trzymać. Głos jej stał się miękki, tak jakby był z waty.

— Jeśli pan chce, mogę przynosić książki... Nie nasze. Mój ojciec ma wspaniałą bibliotekę. Mogę też pracować, gotować...

— Do tego mam żonę, Nadiu.

„Jakoś nie widać” — pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. Nie chciała mówić źle o jego żonie.

— Ona pewno nie ma czasu, musi troszczyć się o synka. Ile mały ma lat?

— Sześć.

— Szkoda. Za młody, żebym mogła za niego wyjść. Niech mnie pan stąd wyrzuci, gadam głupstwa!

— Ależ Nadiu, nic takiego!

Wciąż jeszcze stała odwrócona do niego plecami. Iwlew podniósł się zza biurka i żeby uspokoić dziewczynę położył ręce na jej ramionach. Pod cienką bluzką poczuł gorącą skórę, przesunął ręce wyżej, bliżej szyi. I poczuł, jak pod palcami coś się poruszyło — Nadia wciągnęła powietrze i odwróciła się gwałtownie, wtuliła nos w jego plecy.

— A drzwi? Drzwi, wariatko! — krzyknął Iwlew całując Nadię w szyję, ucho, policzki.

— Sam niech pan zamknie! — odsunęła jego ręce i stała z zamkniętymi oczyma bez ruchu, tylko uśmiechała się z roztargnieniem.

Iwlew przekręcił klucz w zamku i potrząsnął głową — trzeba się opamiętać! Na co mu to? Po co dobrowolnie narażać się na plotki? Dziewczyna przyklei się, będzie chodziła za nim jak cień, trudno będzie się od niej uwolnić. Z kimś tak jak ona prostodusznie wolno tego robić! Ale powiem jej bez chamstwa, tak, żeby nie urazić.

— Nadiu — zaczął surowym tonem.

Dziewczyna zrobiła trzy niepewne kroki naprzód, tak jakby wysiadła z karuzeli i położyła mu dłonie na uszach.

— Pan krzyczy, tak jak byśmy byli w lesie. A ja...

Oddech dziewczyny grzał mu szyję.

— Po jakie лихо jestem ci potrzebny? Zajmij się raczej Saszą Kakabadze — kawaler, piękny chłopak, dwadzieścia osiem lat, będziecie mieli wspaniałe dzieci! A ja już prawie jestem łysy!

— Tylko bez kokieterii — powiedziała Nadia zimno. Ja mogę sobie na nią pozwolić, chcę się podobać, ale pan w żadnym razie. Czego się pan boi? Wcale pana nie kocham. Szybko idę z mężczyznami do łóżka, lecz równie szybko ich rzucam. Nie potrzebuję pańskiej miłości. Chcę tylko pana. I to nie na długo. Ja też jestem panu potrzebna, czuję to, czuję!

— Więc dlaczego się trzęsiesz? Co teraz zrobimy?

Wzruszyła ramionami. Ale po tym, co powiedziała, wątpliwości zniknęły, straciły znaczenie. Wiaczesław przyciągnął ją za łokcie tak gwałtownie, jakby za sekundę, gdyby tego nie zrobił, miała stracić równowagę i upaść. I rzeczywiście, upadła wprost na jego rękę, stała się miękka, podatna. Wygięła się usiłując nie zgubić jego warg, tak jakby bez nich nie miała czym oddychać. A on odsuwał ją, szukał jej piersi. Nie rozumiejąc, o co mu chodzi, przytulała się do niego. Przerażona, że ją chce odepchnąć, uniemożliwiała dalsze ruchy.

— Tak mnie pan całuje, jakbym była naga — wyszeptała, gdy wreszcie oderwał się od jej warg.

— Chcesz być naga?

— Chcę — roześmiała się Nadia. — Dziewczyny już od dawna plotkują. Więc...

— Więc co?

— Czekam, co zrobi pan teraz.

— To samo, co wszyscy.

— A co robią wszyscy?

— Dziewczyno! Kiepski ze mnie nauczyciel!

— Nieprawda! Bardzo dobry!

— Masz w głowie nie po kolei!

— Aha. A pan niby nie? Rozbierze się pan?

Niewiele już miała na sobie ciuszków, gdy do pokoju ktoś zastukał.

— Iwlew! Jesteś tam?! — rozległ się za drzwiami głos Rappoporta. — Wpuść mnie...

Nadia przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków. Wiacze-

sław zaczął zapinać spodnie. Jakow Markowicz zastukał jeszcze raz, kaszlnął i rzekł ponurym głosem:

— Jak będziesz mógł, to przyjdź...

Nadia przycupnęła z tyłu za biurkiem, żeby Iwlew jej nie widział rozebranej i w pośpiechu wciągała rajstopy. Trudno było sobie wyobrazić bardziej niewygodną pozycję.

— Nie patrzę, nie męcz się tak...

Odwrócił się i stał w oczekiwaniu. Zadzwonił telefon potęgując nerwową atmosferę. Należało robić wszystko szybciej. Iwlew podniósł słuchawkę.

— Sławku, dlaczego nie otwierasz? Jesteś mi potrzebny...

— Zaraz będę...

Otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Nadia przesunęła palcem po jego policzku, na którym przez dzień zdążył pojawić się zarost i wyfrunęła na korytarz. Pozostał ledwo uchwytny zapach luksusowego mydła i Iwlew pomyślał, że trudno mu będzie teraz obejść się bez niego.

28. Ku chwale ojczyzny

— Co robiłeś, Sławku?

— Bylem zajęty...

— Tak też mi się wydawało...

— Coś się dzieje?

— Nic szczególnego. W domu wszystko w porządku?

— Naturalnie! Czemu pan pyta?

— Tak sobie... Może się przejdziemy? Głowa mi pęka.

W trzy minuty później, już w paltach, wyszli na bulwar naprzeciwko redakcji. Teraz można było szczerze rozmawiać bez większego ryzyka. Wiosenne słońce oślepiało i obaj dziennikarze mrużyli oczy jak koty, które wylazły na powietrze z ciemnego strychu.

— Podoba ci się Jagubow? — spytał Rappoport, wchodząc na suchy chodnik.

— Odpowiedzieć szczerze? — spytał Iwlew i wziął starszego kolegę pod rękę, by ominąć wraz z nim kałużę. — Pożyjemy, zobaczymy. A co takiego?

— Już dawno prowadzę dwie księgi rachunkowe: do jednej wpisuję nazwiska przyzwoitych, do drugiej — łobuzów. Gdzie wpisać Jagubowa?

— A gdzie wpisałeś mnie?

— Do tych przyzwoitych. Ale to nie znaczy, że raz na zawsze.

— A pan, Jakowie Markowiczu? W której księdze umieścił pan siebie samego?

— Na pierwszym miejscu w jednej i drugiej. To chyba nie świadczy o braku skromności?

— Ależ mistrzu! Wie pan dobrze, jak pana szanuję! Choć nie wykluczam, że popełnił pan grzechy, których dziś żałuje.

— Wszyscy grzeszą, Sławku — Rappoport nie chciał dalej rozwijać tematu. — Wpisuję ludzi do tej księgi nie za to, że grzeszą lub nie, a za postawę, jaką reprezentują. Zastanawiam się czy ktoś jest człowiekiem, czy żalowaną kreaturą.

— Pan z pewnością jest człowiekiem i to rozumnym!

— Naturalnie, Sławku. Gdyby świat był nieco mądrzejszy, już dawno zostałbym naczelnym, a Makarcew i Jagubow byłiby moimi popychadłami.

— To kariera! Pan jest po prostu porządnym człowiekiem, a dopiero potem — dziennikarzem. To, co pan pisze, trafia do milionów!

Trudno było zgadnąć czy Sławek mówi z ironią czy poważnie. Rappoport zerknął na niego zza okularów i skrzywił się.

— Nie wiem, co to za zawód — dziennikarstwo, Sławku — burknął. — Ja osobiście jestem profesjonalnym kłamcą. Innego rodzaju, jak zechciałeś to określić, „dziennikarzy”, nie spotkałem u nas nigdy, a za granicę nikt mnie nigdy nie wypuścił. Ale nie wstydzę się, że jestem kłamcą, wprost przeciwnie, nawet się tym szczycę.

— Szczyci się pan?

— A co mogę robić innego? Przypuśćmy, że chciałbym pisać o tym, co naprawdę widziałem, powiedzieć to, co naprawdę myślę. Nie wolno mi! Nie mogę robić tego, co lubię, ale lubię to, co robię. Pracuję twórczo, z poświęceniem piszę dzieła ku chwale ojczyzny. Produkuję kłamstwo w postaci czystej, bez jakiegokolwiek domieszki prawdy. Doktor Goebbels mawiał, że kłamstwo powinno być wielkie, wówczas ludzie w nie uwierzą. Ale to nie całkiem tak. Nie ilość jest ważna, lecz możliwość porównania. Jeśli czytelnik nie ma okazji do porównań, nie ma też wątpliwości. Jak głosi hinduski aforyzm, ten kto nie wie, że widzi kolor niebieski, nie dostrzega tego koloru. Byle głupiec powinien rozumieć filozofię naszych gazet. Na polecenie z góry wymyślam jakąś przeszłość, wysysam z palca pseudobohaterów i pseudozadania na użytek mas, jak choćby ten subotnik, a potem kreuję na papierze radość owych mas. Na lipnych fundamentach buduję świetlane jutro. Mam rację?

— A co właściwie z tym subotnikiem?

— Chcesz igrzysk? Owszem, mam coś w zanadrzu. Komitet miejski partii zaakceptował inicjatywę pracowników stacji Moskwa-Sortownia. Zdecydowano, że subotnik obejmie całą stolicę. Profesorowie będą odśnieżać chodniki, pisarze — czyścić klatki w ogrodzie zoologicznym. Artyści — sprzątać na podwórkach. Wszyscy hegemoni naszego miasta będą pracowali za bezdurno!

— Nie wszyscy, Rap.

— Większość! Pod wpływem propagandy społeczeństwo robi się jeszcze gorsze od swych przywódców. Robotnicy chcą, żeby posadzić Sołżenicyna, choć nie przeczytali ani linijki z tego, co napisał. Wystarczy się zająknąć, a już dzwonią wiekowi emeryci, że to oni brali udział w pierwszym subotniku. Nauczyliśmy ludzi, że grzeje ich słońce konstytucji, a w jej gorących promieniach dojrzewają owoce. Więc prawdziwe słońce wydaje się im gorsze.

— Zdarzają się czasem błędy.

— Owszem, zdarzają się. Na przykład, szlag ich trafił ze złości, więc powiedzieli ludziom, że Stalin trochę się mylił. Sądysz, że wszyscy uwierzyli? Na odwrót! Oskarżają Chruszczowa, że oczercił wodza. Dlaczego? Cóż, prawda przeszkadza wierzyć ślepo, tak jak niegdyś. Zrozumieli, że łąć trzeba na okrągło, a nie tylko od czasu do czasu. I bez odpoczynku!

— Ale pan chyba zdaje sobie sprawę, że kłamie? — spytał Iwlew.

— Ja to co innego. Ja jestem kłamcą profesjonalnym. Przetwarzam stare kłamstwa na nowe i zakopuję prawdę jeszcze głębiej.

— A więc prawda istnieje! Środki się skompromitowały, ale cel, jak mi się wydaje, wciąż jest szlachetny. Tylko jak do niego dojść...

— Daj spokój, Sławku! Prawda i cel potrzebne są tylko mnie i tobie, to znaczy, zawodowcom, żebyśmy rozumieli, dlaczego kłamiemy. Naiwny, jak zechciałeś się wyrazić, dziennikarz, próbując uniknąć konfliktu sumienia, będzie kłamał szczerze, by usunąć przeszkody na drodze ku świetlanej przyszłości. I co z tego? Tylko uba-brze w gównie tę przyszłość i samego siebie.

— Przesada! — zaprotestował Iwlew. — Dzisiaj nawet funkcjonariusze partyjni, którzy przed dziesięciu laty, usłyszawszy jakiś kawał, krzyczeli, że trzeba o nim donieść, po cichutku, w tajemnicy przed żonami, słuchają w ubikacji BBC. Chcą zrozumieć...

— Gdzie tam... Stali się tylko jeszcze bardziej cyniczni. Zrozum, chłopcze: kult i dyktatura jednakowo rządzą wszystkich — tych na górze i tych na dole. Nikt wtedy za nic nie odpowiada osobiście. Rób, co ci każą i nie martw się o nic.

— Społeczeństwo nie może żyć bez moralności. Bez niej ulega degradacji. A czy wtedy możliwy jest postęp?

— Masz rację, chłopie!

— Czyli bezgraniczne oddanie, które chcemy ludziom zaszczepić, zmienia ich w stado baranów?

— Trudno zaprzeczyć! Naturalnie, propaganda to jedno z najbardziej cynicznych działań w dziejach ludzkości. Samo jej istnienie świadczy o jednym: przywódcy rozumieją, że dobrowolnie ludzie za nimi nie pójną. Tak, to ohydne, narzucać komuś poglądy. Ale ja? Ja przecież nie narzucam poglądów własnych. Dlatego jest mi lżej. Kłamię, nie troszcząc się o pozory. Piszę parodie, tylko że ludzie tego nie widzą.

— Ma pan niezwykły talent, Rap. Nie żal panu samego siebie?

— Takiego talentu mi nie żal. Słuszne myśli spisuję lewą ręką, niesłuszne — prawą. A sam jestem przeciętny.

Doszli do pętli tramwajowej na końcu bulwaru i zawrócili. Oczy Iwlewa zaśmiały się nagle:

— Czy mógłby pan, Jakowie Markowiczu, napisać artykuł bez ani jednej pańskiej myśli?

— Nie bądź śmieszny, chłopcze! Wszystkie moje artykuły są takie. Zgodnie z prawem Tawrowa-Rappoport: „Ani linijki z myślą”. Tworzę ocean kłamstwa, kąpię w nim naszych przywódców. Oni wchłaniają te bujdy, połykają je, potem wymiotują. Rozumiem ich, nawet im współczuję. Im więcej krytyki słyszą z za granicy, tym bardziej chcą być chwaleni w kraju. I kiedy czytają, że ich kłamstwa są prawdą, zaczynają myśleć, że nie kłamię. A kiedy się uspokoją, kłamię jeszcze bardziej, całkowicie oderwani od realiów. Zaklęty krąg: na górze myślą, że kłamstwo jest potrzebne tym na dole, a na dole, że tym na górze. Więc jestem im potrzebny: sami nie potrafią przekonująco łączyć. No i mam reputację wiernego sługi partii...

— Jak mówił Nikita Chruszczow, jej pomocnika...

— Pomocnicy...To słowo mnie upokarza, Sławku. Nie można nas używać jak dziewcząt ulicznych, przyciskanych w bramie do ściany. Wykwalifikowani kłamcy często wchodzi do elity partyjnej, jeśli, rzecz jasna, nie są Żydami. Inna sprawa, że nasza epoka stworzyła nową odmianę Żyda.

— Żyda-antysemity?

— Aha! Tacy gotowi są topić własnych współplemieńców. Ja, na szczęście, jestem inny. Ja tylko kłamię...

— A pańskie osobiste poglądy?

— Osobiste?! Wybito mi je z głowy metalową kłamrą. Mówiąc szczerze, nie żal mi ich.

— A innych?

— Hm... jeśli ludzie uprawiający nasz zawód mają jakieś poglądy, to tylko te inne...

— Dostojewski pisał o ludziach, którzy z pianą na ustach udowadniają, że to oni mają rację, chcą nawrócić innych na swoją wiarę, ale sami w nic nie wierzą. „Po co w takim razie przekonujesz innych?” — „Bo sam siebie chcę przekonać.”

— Synku! Chciałbym zakończyć moje dni na takiej katordze, jak ta, gdzie wypoczywał Dostojewski kształtując tam swe poglądy. Mnie pozostało tylko jedno: śpiewać tę samą piosenkę, co nasi wodzowie. Niech walczą tacy jak ty. Ja musiałem zrezygnować z zasad ze względu na okoliczności. Jedno mnie, Sławku, pociesza: ignorujemy prawdę, staramy się ją zniszczyć. Ale kłamstwo wciąga jak bagno.

— Pana również! Utonie pan! Może lepiej tonąć w prawdzie?

— Co? Pisać prawdę dla siebie samego? I tak ją dobrze znam. A jak napiszę dla innych — znów mnie wsadzą.

— A jeśli znajdzie się jakaś szczelina?

— Szczelina, żeby poszukać, ukryć się? Szczelina... Zresztą, gdzie jest w ogóle prawda. I do kogo należy? Do ciebie? Do mnie? Do nich? Lion Feuchtwanger ogłosił światu, że faszyci robią z Niemiec dom wariatów. Ale gdy pojechał do kraju, w którym dyktatura była znacznie grosza od faszystowskiej, sam zaczął puszczać bańki mydlane.. Wiesz, co myślę o *Sołżenicynie*, Sławku. Ale czy to, że on, a nie kto inny, stał się wyrazicielem naszej łagrowej epoki, wynika z jego talentu? Nie, to kwestia przypadku. Znam starego pisarza: ma w szufladzie utwory podobne do *Jednego dnia Iwana Denisowicza*, tyle że napisane wcześniej. Z punktu widzenia miłośników prawdy znacznie bardziej posępne i wyraziste. Tylko nie dotarły do Twardowskiego ani do władz. A gdyby nawet dotarły, nie opublikowano by ich; bohater jednego z opowiadań jest Żydem, mordują go bestialsko, a gdy ciało wywożą z łagru, strażnik przebija mu serce, zgodnie z przepisami, bagnetem. Ani krzty optymizmu. Do szczeliny wcisnął się Aleksander Isajewicz, i chwala Bogu. Wielu innych pozostało za drzwiami, a te się zatrzęsęły.

— Kim jest ten autor?

— Nietaktowne pytanie, mój chłopcze.

— Przepraszam — zmieszal się Wiaczesław. — Myślałem, że może go znam.

— Jeśli znasz, to się domyślisz. Usiądźmy na chwilę, o, jest wolna ławka, zmęczyl mnie ten marsz.

Jakow Markowicz wyjął z kieszeni „Prawdę Robotniczą”, rozłożył ją i usiadł na gazecie ciężko dysząc.

— W porządku! — Sławek zajął miejsce obok starego dziennikarza. — Załóżmy, że nie istnieją przekonania, ale uczciwość — zwykła ludzka uczciwość chyba jeszcze istnieje?

— He, he! Uczciwość! A komu ona potrzebna! Czy może żółć rozlać się po ciebie i uczynić je zdrowym? Nie, nie chcę utonąć w bagnie kłamstw wraz z tymi wszystkimi, dla których zmarnowałem życie. Powtarzając dzień w dzień idiotyzmy o promiennych ideałach, wciągam ludzi pod wodę. Uczciwość tylko przeszkadza.

— A co z sumieniem?

— Sumienie? — Rappoport zamilkł, w jego oczach pojawiła się złość. Skrzywił się, wyjął z kieszeni cukierka, rozwinął paperek, zaczął ssać. Sok żołądkowy połączył się z cukierkiem, Jakow Markowicz czknął i poczuł się lepiej. — Nie widziałeś mojego sumienia, Sławku, ale ja też go nie widziałem. Jeśli nawet kiedyś miałem sumienie, to już dawno popłynęło właściwym nurtem. Moja matka siedziała za caratu po to, żebym był wolny. A ja? Mnie straszili, że jak się nie przyznam, wsadzą moją żonę. Skończyłem wtedy uniwersytet sumienia. A od syna słyszę teraz, że to ja jestem wszystkiemu winien, także temu, że nasza wolność jest gorsza niż więzienie; wtedy oskarżam o to moją matkę. Koło się zamknęło. Po diabła mam borykać się z sumieniem? Resztki sił stracę, by udowodnić, że najbardziej postępowy jest radziecki paraliż.

— Mistyfikator z pana!

— Ja? Skądże. Takie czasy. Przyszłe pokolenia nazwą je nie erą atomową ani kosmiczną, lecz Erą Wielkiej Lipy. Jestem synem swoich czasów, nie jem darmo chleba. Potrzebują mnie. Makarcew mnie trzyma, bo ma ze mną spokój. Sam jest zerem, chociaż udaje porządnego człowieka. Jagubow też beze mnie nic nie znaczy! Nie do Lenina, a do mnie należałoby się modlić. Nawiasem mówiąc, Lenina z jego bałaganiarskim myśleniem, nie zatrudniłbym w „Prawdzie Robotniczej”. Dawno by go u nas posadzili za prawicowe lub lewicowe odchylenie. Ten ustrój może istnieć tylko dzięki takiemu robactwu jak ja. Masz jakieś pytania?

Iwlew zwrócił uwagę na młodą kobietę z dzieckiem w wózku, na jej długie nogi w botkach i powiedział:

— To głupstwo, rzecz jasna, ale zapytam. A jeśli wszystko nagle się zmieni? To nieprawdopodobne, ale kto wie?

— Ciekawe! Tylko za ile lat — pięćdziesiąt czy może pięćset? Ten kraj, przyjacielu, tyle wycierpiał, że zasługuje na lepszych przywódców... I na uczciwszą prasę...

— A pan?

Rappoport zasłonił ręką oczy i zamyślił się.

— Ja jestem częścią tego systemu, śrubką w maszynie. Co mam robić, skoro jeszcze nie umarłem? Myślę jedno, mówię co innego, a jeszcze coś innego piszę. Bogate życie intelektualne! Cóż, atmosfera w naszej prasie jest wyjątkowa, tylko takim powietrzem można swobodnie oddychać.

— A co pan zrobi, gdy nastąpią zmiany?

Staruszek-emeryt postukując laską podszedł do ławeczki, zakaszał i usiadł ostrożnie. Rappoport wstał, złożył gazetę, schował ją do kieszeni. Znów poszli bulwarem i Jakow Markowicz wychrypiął:

— Co zrobię? Pytasz poważnie? Wtedy, być może, otworzą granice. Wyemigruję, jeśli, rzecz jasna, doczekam.

— Ucieknie pan przed wolnością? Dokąd?

— Czemu nie? Na Zachodzie twierdzą, że nasza ideologia przyciąga tylko te narody, które żyją w nędzy. W rzeczywistości przyciąga ludzi żądnych władzy, chętnie stosujących przemoc. A oni rozumieją, że najłatwiej oszukać ciemnotę. Niemało też na świecie naiwnych, zmęczonych nazbyt spokojnym życiem.

— Niczego ich nie nauczył nasz ogród zoologiczny?

— Co to jest klatka uświadamiamy sobie siedząc w niej. A ich swędzą ręce bez łańcuchów. Koniecznie chcą poczuć smak knuta. Wystarczy zgasić światło, a karaluchy wylażą ze wszystkich szpar. Nie trzeba ich zachęcać, pożrą wszystko, co wokół leży. A gdy schwytają łup, odgródzą się od świata drutem kolczastym i zaczną wydawać — co takiego? „Prawdę”, naturalnie.

— „Prawdę Robotniczą”?

— Nie mam nic przeciwko temu! Tak czy owak natychmiast będą potrzebni profesjonalni kłamcy.

— Ale pan nie zna obcych języków!

— Wcale nie muszę. Będę potrzebny, kiedy nawet kogutom kazać pisać po rosyjsku. Moim zadaniem jest ogłupiać tłumy, kształtować instynkty stadne, szczuć jednych na drugich, bo człowiek człowiekowi jest bratem, przyjacielem, wilkiem. Póki będę żył, starczy dla mnie roboty. Bez kłamstwa, Wiaczesławie, ludzie zapominają, o ist-

nieniu prawdy. Wynika z tego, że choć nie mam sumienia, wykonuję zastępczo obowiązki sumienia postępowej ludzkości. Tak to jest, przyjacielu. Wybacz mi tę szczerłość. A w ogóle, nie słuchaj mnie, bo nie umiem klamać. Mam nadzieję, wszystko to zostanie między nami? Zwłaszcza, że jest powód, by trzymać język za zębami...

— Powód? Zawsze istniał jakiś powód...

Jakow Markowicz pogłaskał się po brzuchu, który znów zaczął go poboлеwać.

— Śledczy Czajłyj, nigdy go nie zapomnę, był bardzo sympatyczny. Mówił przyjaźnie, ze zrozumieniem. Opowiadał, jak bardzo kocha swoje dzieci. I żeby lepiej mnie widzieć w trakcie intymnej rozmowy, świecił mi prosto w oczy żarówką lampy na biurku. Przesuwał ją tuż do moich oczu i trzymał tak tę lampę po kilka godzin. Jak dziesięć jaskrawych słońc. Gdy zamykałem oczy, odrywał się od protokołu i kłuł mnie piórem w szyję. Widzisz te niebieskie kropki? Nie żał mi tego, że na jedno oko widzę w pięćdziesięciu procentach, a na drugie — w dwudziestu pięciu. I nie tego, że mam kłopoty z kupnem okularów — nikomu się nie chce szlifować dla mnie soczewek. Przykro mi tylko, że oczy bolą nawet wtedy, gdy ktoś chce włączyć światło. Facet dopiero zbliża się do guzika, a ja już czuję się tak, jakby łapał mnie prąd. Nic na to nie poradzę! Staram się sam zapalać światło i jak tylko mogę odwracam własną uwagę.

— Dlaczego pan o tym mówi?

— Bo tak samo się czuję, gdy spodziewam się kłopotu. Ręce same się cofają, palce dotykają palców: za chwilę po mnie przyjdą... Słyszałeś, że po redakcji krąży maszynopis?

— Jeszcze nie. Ale chyba dotrze i do mnie?

— Ostrożnie, Sławku, nie podoba mi się ta historia...

— Co pan! To nie pięćdziesiąty drugi rok...

— Ale i nie pięćdziesiąty siódmy! Moim zdaniem, coś się kotłuje... Czemu nie miałbyś jechać w delegację?

— Chce mnie pan ukryć? Nie mam się czego bać!

— Tacy ludzie w ogóle nie istnieją. Czemu się wciąż oglądasz za kobietami, tak jakbyś nigdy ich nie widział? Aha, jeszcze jedno, Wiaczesławie. Jak chcesz przelecieć dziewczynę, rób to lepiej w mieszkaniu.

Iwlew podrapał się po nosie i wymamrotał:

— W którym mieszkaniu?

— W moim. W razie potrzeby nie krępuj się, bierz klucze.

29. Dość tego!

Wieczorami każdy, kto zgodnie z harmonogramem dyżurów umieszczonym pod szkłem przez Annę Siemionownę, spełniał obowiązki „świeżej głowy”, zamiast szukać, czy w składzie gazety nie ma błędów, zapoznawał się z szarą teczką. I każdy, dokonawszy tego odkrycia, dochodził do wniosku, że lepiej trzymać język za zębami: niemal z pewnością szarą kopertę umieszczono w biurku naczelnego specjalnie, żeby łowić pechowców na prymitywną przynętę. Gdyby Markarcew sam był dysydem, nie trzymałby samizdatu w swoim gabinecie. Zresztą inne myśli też przychodziły ludziom do głowy. Może to nowa metoda wychowawcza, Igor Iwanowicz chce w ten sposób zwiększyć swój prestiż? Lub wkrótce rozluźnią kaganiec? Złudzeń nie miał tylko Jakow Markowicz. Wahał się między zaufaniem do naczelnego a chęcią ostrzeżenia przyjaciół przed niebezpieczeństwem.

W „Prawdzie Robotniczej” wciąż pojawiały się jakieś błędy, a Jagubow nie mógł pojąć, dlaczego. Sekretarzowi komitetu partyjnego i dyrektorowi fabryki samochodów zmieniono imiona. Ludowego artystę ZSRR obrażono, nazywając tylko zasłużonym. Podano niewłaściwy wynik dwóch meczów hokejowych, które odbyły się w różnych miastach, więc Jagubow musiał posadzić przy telefonie pracownika działu sportowego, by do jedenastej wieczorem ten uspokajał zdenerwowanych czytelników. Niektórzy grozili nawet, że po czymś takim przestaną prenumerować „Prawdę Robotniczą”. Nie było to groźne: nakład gazety był ustalony odgórnie i zależał od przydziału papieru, sprowadzanego z Finlandii. Skutkiem zmniejszenia prenumeraty byłby tylko wzrost sprzedaży detalicznej, nic ponadto. Jednak za błędy nikt po główce nie pogłaszcze. W zawizowanych szpaltach Jagubow polecił tak uciąć zdjęcie, aby Lenin patrzył w dal, a nie pod nogi. Metrampażysta odciął również część głowy wodza i Jagubow musiał tłumaczyć się w KC. Metrampażystę wyrzucono z pracy, dyżurni dostali naganę.

Zarządzenia Jagubowa o udzielanych naganach Kaszyn wieszano na widocznym miejscu, jednak co dzień wciąż popełniano jakieś gafy. Kolejna „świeża głowa”, naczytawszy się w gabinecie szefa samizdatu, niedbale przeglądała kolumny. Na szczęście obešlo się bez poważniejszych ideologicznych lapsusów — w takiej sytuacji nie telefonowałiby czytelnicy, lecz towarzysze z KC i redakcja miałyby się z pyszna.

Jakow Markowicz męczył się nad materiałami związanymi z subotnikiem. Codziennie napływały do niego w tej sprawie nowe artykuły i informacje. Jagubow domagał się szerokiego, i co, irytowało Tawrowa najbardziej, twórczego ujęcia. Toteż gdy Anna Siemionowna zajrzała do Rappoport, spytał ją:

— Znów mam iść do Jagubowa? Nie sądzi pani, że mi już obrzydł?

— Wewnętrzny telefon wciąż u pana zajęty. Może nie działa?

— Skąd! — burknął Rappoport i wstał.

W rzeczywistości wyciągał przewód od aparatu z rozetki, podejrzewając, że Jagubow lub ktoś inny go podsłuchuje. Bezceremonialnie przypatrując się nogom i apetycznym pośladkom sekretarki, powlókł się za nią do zastępcy naczelnego. Na schodach nie mógł się powstrzymać i delikatnie pogłaskał Annę Siemionownę po sterzących z tyłu okrągłościach.

— To pan, Jakowie Markowiczu? — spytała Ania cicho.

— Och, Aneczko! Wspomnienia młodości...

Łokotkowa zachichotała, lecz dla porządku rzekła pouczająco:

— Komu jak komu, ale panu z tym nie do twarzy.

— Zgoda, nie do twarzy — zgodził się natychmiast. — Do całkiem innej części ciała.

Jagubow krążył po gabinecie podniecony. Na widok Tawrowa uśmiechnął się przyjaźnie.

— Proszę wejść, panie Rappoport — rzekł zacierając ręce. — Mam dla pana nowinę.

Nie będzie na mnie wrzeszczał — błyskawicznie zorientował się dziennikarz. — Ale czemu się tak cieszy?

— Dzwonili z KC w sprawie subotnika?

— Już pan wie? I wie pan, kto dzwonił?

Rappoport mógłby wpaść i na to (nic w tym nadzwyczajnego!), ale Jagubow nie dał mu czasu.

Właśnie dzwonił przez specjalny telefon towarzysz Chołutłow. Jego szefowi doniesiono o naszej inicjatywie, a on z kolei zawiadomił... sami rozumiecie kogo... — Jagubow zrobił wymowną pauzę. — A stamtąd otrzymaliśmy polecenie, by pozdrowić zespół redakcyjny. To wielki zaszczyt! Idziemy słuszną drogą. — Za kilka dni zbierze się Biuro Polityczne i podejmie uchwałę. Chcą, by subotnik objął cały kraj.

— Cieszę się — Jakow Markowicz głośno wypuścił nosem powietrze.

Jagubow nie zwrócił uwagi na jego ostatnie słowo.

— To wielki zaszczyt, ale i wielka odpowiedzialność. Mamy dziewięć milionów nakładu, czyta nas cały kraj.

— A konkretniej? — przerwał Tawrow.

— Konkretniej? Musimy pracować tak, by zasłużyć na zaufanie.

— Mój subotnik już się zaczął.

— Aha! — podchwycił Jagubow. — Słusznie to pan określił. Członek Biura Politycznego (na razie nie wiadomo jeszcze który) wypowie się w naszej gazecie na ten temat. A pan przygotowuje dla niego artykuł.

— To już konkret — pochwalił Tawrow.

Jagubow oczekiwał aż dziennikarz uświadomi sobie stopień odpowiedzialności, podszedł do biurka i wziął szpalty korektorskie.

— Aha, byłbym zapomniał! To o jubileuszu Komuny Paryskiej. Proszę poprawić. Nie potrzeba żadnych barykad, i mniej o powstaniu oraz tłumach, które wyległy na ulice. Wszystko to ma wartość wyłącznie historyczną. Trzeba też dodać, że była konieczna nowa, silna władza. Jasne?

Rappoport znów skinął głową, bez słowa wyjął z rąk Stiepana Trofimowicza artykuł i nie zaglądając do swego pokoju, poszedł do biblioteki.

Siedział tam Iwlew.

— I co, połknęli haczyk? — zawołał Sławek, lecz natychmiast ściszył głos.

— Cóż, nie mają nic do roboty. Zrozumieć, co dzieje się w polityce lub w gospodarce nie potrafią — brak im wykształcenia. A subotnik to coś dla nich. Lecz nasi potomkowie... Oni będą panem pogardzać...

— Jest pan młodszy ode mnie i ma większą niż ja szansę spotkać się z potomkami. Gdyby do tego spotkania doszło, proszę ich poinformować, że w artykułach dla członków Biura Politycznego korzystałem z terminologii nazistowskiej: „walka o nasze ideały”, „wielkie zwycięstwo” i tak dalej. Niby drobiazg, a przyjemnie.

— Ach, tutaj jesteście! — rozległ się wrzask na całą czytelnię.

W drzwiach stał brodaty Maksym Pietrowicz.

— Ciszej, Maks — przywołał go do porządku Tawrow. — Cóż to za orgia?

— Orgia dopiero się zacznie.

— Już wiesz?

— „Był piątek, a wkrótce nastąpiła sobota” — to z ewangelii świętego Łukasza. Pan stawia, Jakowie Markowiczu.

— Ale ty nie pijesz, podobno skończyłeś z tym raz na zawsze.

— Skończyłem, ale nie z pićciem. Chodźmy!

Zakamorny, Rappoport i Iwlew gęsiego opuścili bibliotekę i udali się do działu wychowania komunistycznego. Jakow Markowicz przekręcił klucz od środka, żeby nie pchał się nikt obcy; na biurku natychmiast pojawiła się butelka wódki, którą Maksym wyjął z kieszeni wymiętoszonego palta.

— Jaka operatywność! — zachwycił się Rappoport. — Podzielmy obowiązki: ja nalewam, wy pijecie.

Wylał resztki herbaty ze szklanki pod biurko, wziął z parapetu inną szklankę i napelnił obie.

— Sobie też proszę nalać — powiedział Wiaczesław.

Rappoport spojrział na zegarek.

— Jak mawiał mój przyjaciel Misza Swietłow, nie piję między czwartą a czwartą pięć.

Maksym podniósł szklankę i podrapał się nią w czubek nosa.

— No to siup w głupi dziób...

— I żebyśmy zawsze pili, a nasi wrogowie — wyli — podchwycił Rappoport.

Był to rytuał, modlitwa, danina złożona epoce. Iwlew zakrztusił się, na dnie jego szklanki zostało trochę wódki. Oderwał kawałek czystej kartki, która leżała na biurku Jakowa Markowicza, zżuł ją i wypluł. Zakamorny wypił do dna i wciągnął głęboko powietrze, zgodnie z systemem jogów, zakąszając tlenem.

— No i co? Nakręcana żaba już skacze? — spytał Maksym.

— A jakże inaczej? — zdziwił się Jakow Markowicz. Trzy etapy wydawania gazety zgodnie z prawem Rappoporta. Pierwszy etap — totalny burdel i bałagan. Drugi — rzeź niewiniątek. Trzeci — nagrody dla tych, co nic nie robili.

— My nic nie robimy? — obruszył się Iwlew. — A kto, jeśli nie pan wciągnął nas do tej afery z subotnikiem?

— Nikogo do niczego nie wciągamy, Sławku. Płynę z prądem, starając się omijać wiry. A teraz po prostu nazwałem rzeczy po imieniu. — Rappoport wskazał palcem aparat telefoniczny i skończył szeptem. — Powiedziałem tylko, że pracujemy w naszym kraju jak w państwie niewolniczym, tylko Bóg wie czemu niewolnicy krzyczą „hura!”

— No, no... — wymamrotał Iwlew. — Zmusić dwieście milio-

nów ludzi, by tyrali za darmo i to jeszcze w sobotę, gdy cała Europa odpoczywa, bo grzech pracować w tym dniu... A sprawcą tego wszystkiego jest prosty radziecki dziennikarz Rappoport!

— Biblia powiada — zauważył Maksym — że nie człowiek został stworzony dla soboty, lecz sobota dla człowieka. Rappoport wprowadził do Biblii poprawkę: człowiek jest dla soboty!

— Jeszcze się doczekacie! — rzekł ponuro Rappoport. — W soboty będą subotniki, a w niedziele — niedzielniki. Święta staną się częścią urlopu, a urlopować będziemy na emeryturze. Emerytury starczy nam na leki.

— Że też cię ludzie tolerują, Rap... — zdziwił się Zakamorny.

— Ludzie? Ludzie mnie lubią — Rappoport pogłaskał czule aparat telefoniczny.

— *Można by ludzi zmieniać w gwoździe*

Byłoby więcej w sklepach gwoździ — zadeklamował Iwlew*.

— Powtarza się pan, Wiaczesławie Siergiejewiczu — zauważył Zakamorny. — Pan pozwoli, doleję...

Podniósł do oczu butelkę, zobaczył, ile w niej zostało i dwoma gwałtownymi ruchami tak pochylił szyjkę butelki, że idealnie podzielił resztę jej zawartości między sobą a Iwlewem.

— Subotnik to grabież stulecia! — teatralnie powiedział Maksym. — Wypijmy, Sławku, za autora tego pomysłu: wyciągnie przecież miliardy z kieszeni mas pracujących. Szkoda, że nie dla siebie. Rappoport jak był żebrakiem, tak nim zostanie. Nie ma nawet z czego opłacić składek partyjnych. Wypijmy za Jakowa Markowicza Tawroporta, naszego wodza i nauczyciela! — Wypił i zaczął chodzić po pokoju. Iwlew przełknął wódkę i zapalił papierosa.

— Nie dopijesz? — spytał Maksym Iwlewa. — Bo jeśli nie, to ja mogę. I wypił resztkę wódki z kieliszka kolegi.

— Nie bądź alkoholikiem, Maks — rzekł z wyrzutem Rappoport — staczasz się.

— Bzdura! Robię to samo co pan, tylko w innej formie. My, alkoholicy, przyspieszamy agonię, czyli sprzyjamy postępowi.

— Uspokój się, Maks! — poprosił Jakow Markowicz. — Czy ten telefon nie przestanie dzwonić? Przechylił się nad biurkiem, dał znak ręką, żeby wszyscy ucichli i podniósł słuchawkę.

— Czy to Jakow Markowicz? — spytał ciepły głos kobiety.

* żartobliwa trawestacja *Ballady o gwoździach* Mikołaja Tichonowa (przyp. tłum.)

- Ja, o co chodzi? — spytał niegrzecznie.
— Tu mówi Makarcewa.
— Kto?
— Zinaida Andriejewna, żona Igora Iwanowicza...
— Ach, przepraszam bardzo... Nie dosłyszałem. Mamy tutaj nie-
wielką naradę. Jak on się czuje?
— Lepiej. Już wolno mu rozmawiać. Prosi, żeby go pan odwie-
dził. Nie wiem dlaczego, ale bardzo mu zależy. Przenieśli go dzisiaj
z Granowskiego na Szosę Rublowską... Prosił, żeby o tym nie mówić
w redakcji...
— Jasne! Jutro będę!
— Dziękuję. Już wypisali dla pana przepustkę. Będzie potrzeb-
ny samochód?
— Nie, jakoś sobie poradzę...
Przez chwilę Rappoport stał w zamyśleniu.
— Żona Makarcewa? — spytał Iwlew.
— Skąd to ci do głowy przyszło?
— Nietrudno się domyśleć. Czego chciała?
— Szef chce mi pogratulować.
— Tylko tyle?
— Czy to mało? Na koń, czekał! Mówiąc po rosyjsku, dość
tego szabas! — Szabas to rosyjskie słowo? — spytał zdziwiony Maksym
Pietrowicz.
— Nic podobnego! Starohebrajskie i znaczy „sobota”.
— A w słownikach podają, że rosyjskie. Nawet to ukrywają przed
ludźmi.
— Dzięki tobie, Rap, zruszczyło się.
— No, dzieci, wynoście się, póki nas Kaszyn nie przyłapał na
chlaniu.
Zakamorny zabrał z biurka butelkę i wsunął ją do wewnętrznej
kieszeni palta.

30. Zimne szkło

Tego wieczora „świeżą głową” była Nadia. Dyżur nocny był dla niej udręką. Dziewczyna lubiła towarzystwo, a pod wieczór re-
dakcja pustoszała. Trzeba było gromadzić wieści tylko dla siebie,
czekać z nowinami do następnego dnia. Więc ogarniał ją smutek i

nuda. Gdy Jagubow podpisał numer do druku, natychmiast wszyscy się rozjechali, w redakcji została tylko ona.

Na podpisanych szpaltach coś tam poprawiano w drukarni, potem zabierano je, żeby przygotować matryce. Szpalty, teraz już niepotrzebne (chyba że zdarzyłoby się coś nadzwyczajnego), przywożono z powrotem i nazajutrz rano, gdy już nikt z nich nie korzystał, rozsypywano. Matryce szły do działu stereotypów. Stereotypiści odlewali w metalu półokrągłe tarcze i rozlane słowa na rozlany papierze nabierały metalicznego brzmienia. Haki transportera przenosiły stereotypy do działu rotacyjnego. Tam stawiano je na rotację, przesuwano między wałkami papier, próbowano uruchamiać maszyny. Farba układała się nierówno. Maszyny zatrzymywano, stereotypy zdejmowano, podkładano kawałki gazet tam, gdzie farba ułożyła się źle, znów stawiano stereotypy na miejsce i znów uruchamiano maszyny. Potem zaczynały się kłopoty z drugą, czerwoną barwą, którą było wyróżnione hasło lub ramka wokół jakiejś ważnej informacji. A drogocenny nocny czas, kiedy należało oglądać kolorowe sny lub się z kimś kochać, mijał bez sensu.

Nadia była potwornie znudzona. Nawet nie ma gdzie zadzwonić, zwierzyć się komukolwiek. Wszyscy już dawno śpią. Siedziała w dużym fotelu przy biurku naczelnego. Demokrata Makarcew się łudził, że przywilej ten zwiększa poczucie odpowiedzialności „świeżej głowy”. Drzwi do drugiego, osobistego gabinetu Makarcewa i jego pokoju wypoczynkowego z osobnym wyjściem, były, naturalnie, zamknięte. Po lewej stronie stał martwy pulpit interkomu. Nie ma sensu naciskać guzików, w żadnym dziale nikt się nie odezwie — wszyscy już wyszli z gmachu. Wahadło zegara powoli wędrowało to w jedną, to w drugą stronę. Nadia starzała się w gabinecie, ale nikogo to nie obchodziło.

Z nudów zaczęła wysuwać szuflady z biurka. Były tam informatory z telefonami KC, miejskiego komitetu partii, Mossowietu opatrzone nadrukiem „Do użytku służbowego”, tak jakby ktoś kiedykolwiek czytał je dla przyjemności. Paczki reklamowych prospektów firm turystycznych wielu krajów, które zwiedził naczelny, Nadia przejrzała bez szczególnego zainteresowania. Potem zobaczyła kopie sprawozdań finansowych przemieszane z pocztówkami świątecznymi, które przysłano naczelnemu przed Nowym Rokiem i Świętem Armii Radzieckiej, a sekretarka nie zdążyła ich wyrzucić. Odłożyła to wszystko na bok.

Nagle spojrzenie dziewczyny padło na szarą, grubą kopertę.

Wyjęła ją z biurka. W jakiej to sprawie naczelny chce zasięgnąć rady KGB? Otworzyła dzieło de Custine'a i zatoneła w lekturze zapominając o całym świecie. Gdy oderwała się od markiza, było już po pierwszej. Za chwilę ruszą maszyny rotacyjne. Myśli Nadi wróciły do Iwlewa. Zacerwieniła się na myśl o tym, ile głupstw narobiła dzisiaj, i postanowiła solennie, że nigdy się to nie powtórzy.

— Przysięgnij! — zaapelowała do samej siebie.

— Przysięgam! — dała sobie samej słowo honoru.

W tym momencie otworzyły się obie pary drzwi, tworzące razem przedpokój i do gabinetu wszedł Iwlew. Zrenice Nadi poszerzyły się, znów poczuła, że się czerwieni. Gdyby stanął przed nią sam Jezus Chrystus, chyba byłaby mniej zdumiona. Ale dzisiaj Iwlew był dla niej ważniejszy od Syna Bożego. Tamten był istotą bezcielesną, a do Iwlewa już należała, choć nic jeszcze między nimi nie zaszło.

Wiaczesław jeszcze trzymał za klamkę, gdy Nadia znalazła wyjście z sytuacji. Tylko kobieta potrafi przeobrazić niespodziewaną sytuację w zwykłą, tak jakby była oczywista.

— Pan do kogo? — spytała obojętnie i tylko jej oczy figlarnie rozbłysły. — Nie wzywałam pana. Pan w jakiej sprawie?

Przyszedł sam, więc może wreszcie udawać, że go nie potrzebuje, nie czuje do niego nic. Pomyśleć tylko! Kilka godzin temu musiała być równocześnie mężczyzną i kobietą, prosić Iwlewa o względy, walczyć sama z sobą, zabiegać o jego miłość.. A teraz on stoi, wpatruje się w nią i nawet chyba jest zdenerwowany.

— Przeszkodziłem?

Zatrzepotała rzęsami: czy aby nie śni?

— Jest pani zmęczona, senna?

Ależ głupi ten Sławek! Wcale nie dlatego zamknęła oczy.

— Miau! — przeciągnęła się i zamiauczała. — No więc, w jakiej sprawie pan przyszedł?

— W osobistej — rzekł Iwlew. — Można?

Podszedł bliżej, pochylił się i położył ręce na rękach Nadi, leżących na zimnym szkle makarcewowskiego biurka. Poczowała ucisk jego dłoni i natychmiast poddała się, jak wtedy za dnia, w jego pokoju. Pobożne zamiary gdzieś się ulotniły, serce zakołatało. Czekwała. Wypuścił jedną z jej rąk i zgasił światło. Zrobiło się ciemno. Z okna padało rozproszone światło i rysy twarzy Nadi stawały się w jego blasku nieostre. Iwlew pociągnął dziewczynę ku sobie. Wstała z fotela i przepłynęła wokół biurka, tak jakby obracała się w tańcu.

— Tak — spytał Iwlew.

To „tak” dobiegło do niej z daleka, tak, jakby długo krążyło po gabinecie naczelnego odbijając się od ścian i sufitu zanim wpadło jej do uszu.

— Co „tak” — spytała bezgłośnie, samymi tylko wargami.

— Nie rozmyślałaś się?

Uśmiechnęła się kącikiem ust i wolno pokiwała głową, jakby ganiąc go za to, że zwątpił. Potem pochyliła głowę i nadstawiła do pocałunku w pół otwarte usta. Pocałował ich kąciki, wciąż jeszcze bojąc się odmowy. A ona, przestraszona, że uzna jej wstydlivość za brak chęci, przesunęła rękami po jego plecach, odsunęła na bok krawat, rozpięła guziki koszuli i wsunęła ręce do środka, a potem szybko wstała i zaczęła się rozbierać: starannie oddzielając jedną część garderoby od drugiej podawała je Iwlewowi i za każdym razem go całowała.

— Teraz ja ciebie kocham — powiedział Iwlew.

Kiwnęła głową, co mogło znaczyć: to zrozumiałe. Teraz nie można mnie nie kochać. Ale nie ruszała się, stała tuż obok niego, rozebranego i obładowanego jej rzeczami. Obejrzał się, szukając, gdzie położyć te szmatki, wreszcie umieścił je na wąskim, długim stole, przy którym redaktorzy działów naradzali się podczas kolegium. Potem wziął Nadię za łokcie, uniósł do góry i posadził na biurku Makarcewa.

— Zaziebisz się bez pantofli — wyjaśnił.

— Sądysz, że szkło na biurku jest cieplejsze od podłogi? — zapytała Nadia.

Próbował podłożyć ręce tak, by odsunąć dziewczynę od szkła, na którym ją umieścił. Ale nic z tego nie wyszło. Więc podsunął jej pod pupę szarą teczkę, leżącą na biurku. Na teczce Nadi od razu zrobiło się cieplej. Brutalnie obmacał zacichłą, wyczekującą dziewczynę, która nie okazywała sprzeciwu i zaczął działać. Nagle Nadia podniosła wystraszone oczy:

— Ojej! On patrzy! Boję się!

Nad biurkiem naczelnego wisiał portret uśmiechniętego Lenina, powiększony przez fotoreportera Saszę na specjalną prośbę Makarcewa.

— Patrz na mnie, nie na niego — zaproponował Iwlew.

Ze sterty dziewczęcej garderoby wyjął majteczki, wszedł na biurko i zasłonił nimi część oblicza wodza.

— Aha, tak jest lepiej...

Całował jej kolana, brzuch, szyję. Skuliła się z bólu, usiłując powstrzymać jęk, ale jemu nic nie wyszło.

— Czy ty...? — spytał zdumiony.

— Tak, pierwszy raz — wytłumaczyła. — Gardzisz mną za to? Nie odchodź, szkło już się nagrzało, jest ciepłe.

Znów dotknął ciała Nadi, lecz nagle zadzwonił telefon. Nie podnosząc się dziewczyna wzięła do ręki słuchawkę.

— Tak. Zaraz przyjdę...

I rozłączyła się.

— Szkoda, jeśli się to nie powtórzy — powiedziała z żalem.

— Nie boli cię?

— Boli. Ale mimo wszystko szkoda...

— Powtórzymy — rzekł z uśmiechem. — Dlaczego mielibyśmy nie powtórzyć?

— Tylko nie dzisiaj.

— Nie dzisiaj? — obraził się. — Dlaczego nie dzisiaj? A kiedy?

— Kiedy tylko zechcesz. Puść mnie. Szkło jest znowu zimne.

Poza tym muszę podpisać numer do druku.

— Nie zapomnij o majteczkach!

Włodzimierz Ilicz w migotliwym świetle ulicy mrugnął do nich, uśmiech zastygł na jego ustach. Nadia szybko się ubrała, włączyła lampę, wysunęła środkową szufladę, schowała do niej kopertę z szarą teczką w środku.

— Co to takiego?

Zastanowiła się, czy powiedzieć Iwlewowi o szarej teczce, ale pomyślała, że nie warto: po co odwracać od siebie jego uwagę?

— Z nudów szperałam w biurku — rzuciła niedbale. — Może i ty się ubierzesz? Chcesz tu dostać etat Apollina?

Iwlew stał na środku gabinetu i badał Nadię wzrokiem.

— Wciąż jeszcze cię kocham! — oświadczył.

Podbiegła do Iwlewa, opadła na kolana i pocałowała go w członka.

— A wiesz, jak jest mały, to nawet bardziej sympatyczny...

— Mnie też pocałuj! — zażądał.

— A cóż ty masz z nami wspólnego? — wyszeptała figlarnie.

W windzie spojrzała w lustro i aż się cofnęła: bluzka rozpięta, włosy rozczochrane, na policzkach czerwone plamy, usta spuchnięte od pocałunków. W ciągu kilku sekund, gdy winda zjeżdżała do drukarni, Nadia zdążyła się zapiąć, poprawić spódniczkę tak, by suwak znajdował się dokładnie z tyłu, przyglądzić włosy i pomasaować palcami twarz, by choć trochę zniknęły z bladej twarzy czerwone plamy.

W drukarni pracowały wszystkie maszyny rotacyjne, hałas był nieznośny, schody, drzwi i framugi okienne wibrowały, pod nogami

drżała betonowa podłoga. Nadia po prostu ogłuchła. Huk obracających się walców przygwałdał, dusił, odbierał rozum. Między walcami z prędkością, której niezdolne jest uchwycić oko, wylewała się spod podłogi rzeka papieru. Papier błyskawicznie zapełniał się tekstami i fotografiami, rozcinał się, składał i czołgał w górę, do szczeliny w suficie, w postaci gotowych numerów „Prawdy Robotniczej”. Osiem maszyn rotacyjnych wywiezionych w czterdziestym piątym z Niemiec jako honorarium za zwycięstwo już dwudziesty czwarty rok pracowało dla innej maszyny propagandowej ze starannością, cechującą tych, którzy je stworzyli. Trzydzieści tysięcy na godzinę, milionowy nakład w ciągu czterech godzin i dziesięciu minut. O czwartej czterdzieści nad ranem wszystko powinno się zakończyć, o piątej trzydzieści ostatnie ciężarówki opuszczą podwórze przed budynkiem drukarni. Sprawozdanie z wykonania planu, podpisane przez kierownika drukarni, co dzień przed dziesiątą rano trafiało na biurko sekretarki naczelnego. Jeśli nocą wszystko szło zgodnie z planem, Anna Siemionowna po prostu wkładała ten paperek do stosowanej teczki. A jeśli planu nie wykonano, czerwonym ołówkiem podkreślała nazwisko winowajcy i niosła pismo do naczelnego.

Tym razem wszystko było w porządku. Ominąwszy skrzynki ze śmieciami i gaśnice przeciwpożarowe Nadia doszła do biurka kierownika drukarni. Tęgi mężczyzna w brudnym kombinezonie kiwnął jej obojętnie głową, wytarł ręce szmatą umoczoną w benzynie i zręcznie wyszarpnął spod łapek taśmy numer gazety. Końcami palców Nadieżda rozłożyła strony, położyła je na biurku i ostrożnie przycisnęła brzeg palcem, żeby sprawdzić, czy farba już wyschła. Litery odbiły się na jej skórze. Zaczęła sprawdzać tytuły, starając się wniknąć w ich sens i próbować odnaleźć (po dziesiątkach innych ludzi, którzy robili to przez cały dzień i znacznie staranniej) błąd, literówkę, absurd. Sprawdziła, zgodnie z wymogami, czy nie są odwrócone do góry nogami klisze, czy podpisy pod rysunkami zgadzają się z treścią. Robiąc to zastanawiała się, czy kiedy ona tutaj tkwi, on na nią czeka czy już sobie poszedł.

Kierownik stał bok Nadi i patrzył na nią z uśmiechem. Nie doczekawszy się, kiedy dziewczyna skończy czytać, wyjął z szuflady kartonowe pudełko z mlekiem, zębami oderwał brzeg i pił z odgiętą w tył głową tak, że krople padały na gazetę. Gdy skończył, rzucił pudełko w kąt. Nadia bez pytania wyjęła mu z kieszeni na piersiach wieczne pióro, napisała drobnymi literkami: „wysłać”, podpisała się, spojrzała na kierownika i oznaczyła czas (jak być po-

winno, zgodnie z harmonogramem) „0,30”, choć była już za piętnaście pierwsza. Wsunęła mu z powrotem pióro do kieszeni i pobiegła do windy. Gdy zamknęły się za nią drzwi, westchnęła z ulgą na myśl o ciszy i o tym, że wraca na górę. Chwała Bogu, na dzisiaj koniec!

Iwlewa nie było. Nadia zamknęła gabinet, schowała klucz w szufladzie biurka Anny Siemionowny, zeszła na dół po schodach. Pokój korespondentów też był zamknięty. Nadia westchnęła, pomyślała, że właśnie tego mogła się spodziewać, włożyła futro, upudrowała się i umalowała — choć prawie nigdy dotąd tego nie robiła, miała zawsze w torebce francuską kredkę do ust. Czekał na nią ostatni samochód redakcyjny, żeby zawieźć ją do domu. Gdy weszła do ciepłej kabiny i usiadła obok kierowcy, zobaczyła Wiaczesława. Siedział na mokrej ławce pod starym klonem oświetlonym przez mętne światło kołyszącej się na wietrze latarni. Kołnierz miał podniesiony, ręce, jak stara babcia, wsunął do rękawów. Przemarzył pewno na kość. Kierowca podniósł głowę znad kierownicy, wyciągnął rękę, by włączyć zapłon, a drugą przecierał oczy.

— Nie pojedę — nagle powiedziała Nadia. — Przejdę się pieszo, to niedaleko.

Kierowca skinął głową i podał Nadi kartę przewozową.

— Wpisz mi późniejszą godzinę — poprosił.

Nadia szybko się podpisała, kierowca zatrzasnął drzwi i odjechał. A ona cicho podkradła się z tyłu do Iwlewa, odchyliła mu kołnierz, dmuchnęła w ucho. Nie odwracając się przyciągnął dziewczynę do siebie.

— Boli! — zawołała ochryple. — Głowę mi urwiesz!

— Gdzie mieszkasz? — spytał Sławek obwodząc ją wokół ławki i lokując między kolanami.

— Na avenue Starych Kobył...

— Gdzie, gdzie?

— Tak to nazywa jeden z przyjaciół mego ojca. Zaulek Starokoniuszenny..

— Na Arbacie? Dojdziemy za godzinę.

— Dojdziemy. A twoja żona? Będzie się martwiła...

— Jest przyzwyczajona.

Iwlew wziął Nadię za rękę i wyszli na wpół ciemną ulicę. Większa część latarni była wygaszona — w ten sposób miasto oszczędzało energię elektryczną. W pobliżu chodnika było mnóstwo czarnych od brudu zasp, a wokół nich wielkie kałuże. Załomotała ciężarówka — materiały budowlane wożono w stolicy również nocą.

Milicyjny wóz patrolowy ominął ich i zatrzymał się. Milicjanci podejrzliwie patrzyli na Nadię i Iwlewa, lecz wychodzić z ciepłego samochodu, by sprawdzić dokumenty podejrzanych, nie mieli ochoty.

— Lubię Moskwę w nocy — powiedziała Nadia rozmarzona. — Nie ma tłoku, kolejek, chamstwa. Lubię zwłaszcza, kiedy pada śnieg: wszystko staje się wtedy czyste.

— Śnieg przypomina proszek do prania...

— Nie! Raczej białe prześcieradła! — odwróciła się ku niemu i idąc tyłem naprzód pocałowała w policzek. — Wiesz, zawsze myślałam, że odbędzie się to w dwuosobowym łóżku, jak w zagranicznych filmach. Kołdra w drobne kwiatki. A rano rozsunę zasłony — za oknem słońce i las pokryty śniegiem!

— Na biurku naczelnego jest znacznie przyjemniej.

— Gazeta to dom publiczny, sam mówiłeś.

— Zapamiętałaś to?

— Zawsze pamiętam, co do mnie mówisz. Jestem dziś taka szczęśliwa! W końcu cię zdobyłam! Jesteś mój!

Wiaczesław uśmiechnął się, chciał coś powiedzieć, lecz się rozmyślił.

— Wprost nie chce mi się wierzyć... — ciągnęła dalej Nadia. — Powiedz, jestem już kobietą?

— Jeszcze nie.

— Nie? A ja myślałam... Więc kiedy?

— Co kiedy?

— Kiedy zostanę kobietą?

— Skąd mogę wiedzieć? Chyba wtedy, gdy nie będziesz o to pytała.

— Gazeta to dom publiczny — wyszeptała marzycielsko Nadia. — Dwóch socjologów zbiera w naszym dziale materiały do pracy doktorskiej. Wczoraj, gdy zostałam sam na sam w pokoju z takim jednym, podszedł do mnie i położył mi ręce na talii. „Nadiu — powiedział — mam do pani prośbę...”, „Proszę bardzo” — mówię. Zdjęłam tę rękę z mojej talii i wcisnęłam do niej paczkę listów. „Niech pani odkłada dla mnie listy o antyradzieckiej treści, żebym nie musiał wertować całej poczty.”

— A przedtem?

— Przedtem oddawałam takie listy kierownictwu, zgodnie z poleceniem. Nie wiedziałam... A dzisiaj zrozumiałam.

— Dlaczego dzisiaj?

— Znalazłam w biurku naczelnego samizdat. Jak będziesz miał dyżur, koniecznie przeczytaj — taki maszynopis w szarej teczce. Ale nikomu ani słowa! Powiedziałam ci to, bo... nikogo prócz ciebie nie mam. To już moja ulica... W tym domu mieszka Chruszczow...

— Ma ochronę?

— Tu przed każdymi drzwiami jest ochrona. Chodź, nie bój się...

Postali trochę w ciemnościach, poczekali aż windziarz schowa się przy swoim stole w kącie holu. Drzwi windy zatrzasnęły się, zza kraty wysunęły się szczuple palce. Zaczął je po kolei całować.

— Zlituj się nade mną — wyszeptwała. — Bo umrę z miłości...

31. W szpitalu kremlowskim

Gdy zagrożenie dla życia minęło, przewieziono Igora Iwanowicza do nowego szpitalnego budynku na szosę Rublowską. Chory wciąż jeszcze leżał bez ruchu. Z początku wzdrygał się, gdy co jakiś czas we wszystkich salach przenikliwie dzwonił dzwonek. — Niech się pan nie denerwuje — uspokajała ładniutka pielęgniarka.

Specjalnie zatrudniano w tym szpitalu wystrzałowe dziewczyny, lecz unieruchomionemu zawałem Makarcewowi taki serwis nie był potrzebny.

— Dlaczego dzwonią?

— Żeby uprzedzić personel. Gdy dzwonią, nie wolno nikomu wychodzić na korytarz: oznacza to, że przyjechał członek politbiura. A jak już go zbadali, znów można...

Makarcew istotnie się przyzwyczaił. Nawet było mu przyjemnie słuchać dźwięku dzwonka: a więc i tutaj, w szpitalu, znalazł się w pobliżu tych, którzy rządzą. Wczoraj, po kolejnym konsylium, profesor Miasnikow obiecał, że wkrótce pozwoli Makarcewowi obrócić się na prawy bok.

— Miesiąc, najwyżej półtora, i będzie pan zdrow jak ryba, na razie, co prawda, marynowana...

— Potrzebny mi telefon — domagał się Makarcew.

— Telefon? Mowy nie ma! Praca jest wykluczona! Potrzebuje pan pozytywnych emocji!

By te emocje wytworzyć, pozwolono Makarcewowi trochę czytać. Namówił pielęgniarkę, by przyniosła mu z biblioteki „Prawdę Robotniczą”. I czytał swoją gazetę tak jak wszyscy, w dniu, kiedy

trafiła do kiosków, a nie wcześniej. Uważnie przejrzał wszystkie numery, które wyszły pod jego nieobecność.

— To niebywałe, Zino! — rzekł z oburzeniem do żony, gdy ta siadła przy jego łóżku. — Czym oni zapełniają kolumny? Jakies dyrdymały, bzdety, choć setki razy wbijałem im do głów: trzeba poruszać ważne problemy! A oni rozmieniają się na drobne. Po co zgodziłem się wziąć tego Jagubowa?

— Nie denerwuj się, Garik — uspokajała żona, delikatnie wyjmując choremu z rąk „Prawdę Robotniczą”. — Nie ty go wybrałeś. Sam z pewnością znalazłbyś kogoś lepszego... Wkrótce wyjdiesz ze szpitala i Jagubow znów będzie tańczył, jak mu zagrasz.

Jagubowa przyniesiono do redakcji w teczce. Przyznano gazecie jeszcze jednego zastępcę naczelnego i kto jak kto, ale Igor Iwanowicz dobrze rozumiał, czym to pachnie. Wszyscy zastępcy mieli dwóch zwierzchników — redaktora naczelnego i Komitet Centralny. Ale Jagubow bez wątpienia miał ich trzech. „Na co komu fuzja dwóch aparatów — KC i Urzędu Bezpieczeństwa? — zastanawiał się z niechęcią. Ta superkontrola nad tym, co już i tak jest pewne? Nieufność, zakulisowe intrygi. Ponoć skończyliśmy z tym — a teraz znów to samo. Czegoś tu nie rozumiem... Zawsze sam robiłem gazetę, dzięki mnie ludzie stawali się lepsi. A teraz drugorzędni aparatczycy decydują za mnie, zresztą jestem dla nich zbyt staromodny, bo przyjeżdżam wieczorem czytać szpalty. Bo to niby atawizm — wnikliwie badać konkretne sprawy. Miał rację Lenin, kiedy mówił, że jeśli coś spowoduje krach władzy radzieckiej, to tym czymś będzie biurokracja. Przekonacie się teraz, pod moją nieobecność.”

— Dzwoniłaś do Tawrowa? — spytał niecierpliwie żonę. — Jeśli tak, to czemu go nie ma?

— Naturalnie, że dzwoniłam! Powiedział, że przyjedzie... Zraz wytrę ci plecy. Robię to lepiej niż pielęgniarka, chociaż z nią pewno ci przyjemniej — młoda, trzepocze rzęsami.

— Nie mów głupstw, Zinko.

Zamknął oczy i drzemał, a ona, żeby zapobiec odleżynom, przetarła mu plecy watką zmoczoną w spirytusie. Znów usiadła, rozłożyła „Prawdę Robotniczą” i pograżyła się w lekturze. Robiła to czasem w obecności męża. A myślała o czymś całkiem innym. Jak dobrze, że wręczyła kosztowny prezent lekarce opiekującej się Igorem Iwanowiczem. Za resztę dolarów, które mąż przywiózł z ostatniej podróży zagranicznej, kupiła w sklepie walutowym dżinsowy garnitur i japoński zegarek — lekarka, jak się okazuje, ma syna-nastolatka. Była wprost zachwycona i natychmiast poinformowała Zinaidę, że obiecano jej po

znajomości nowy doskonały szwajcarski lek. Tutaj, w szpitalu krem-
lowskim, go nie uświadczysz. Ale Makarcewowi da. Zinaida obiecała
lekarce japońską parasolkę. Spytała też o numer obuwia i obie panie
rozstały się zadowolone. Mężowi, naturalnie, nie warto o tym mówić.

Ładniutka pielęgniarka uchyliła drzwi i powiedziała cicho:

— Ma pan gościa, Igorze Iwanowiczu. Wpuścić?

— No jasne — ucieszył się Makarcew.

Pielęgniarce tej Zinaida ofiarowała francuskie perfumy. Zada-
ne przez dziewczynę pytanie spodobało się Makarcewowi. Osobi-
ście wyrażali zgodę na wpuszczanie do siebie gości tylko ci chorzy,
którzy wracali do zdrowia, a zatem i do steru władzy. Na salę wolno
i niezgrabnie wszedł Jakow Markowicz przytrzymując biały fartuch
koło szyi ręką bardziej kosmatą niż jego głowa. Wymachiwał rękami
i tupał rozpryskując wokół ślinę.

— Ech, Makarcew, Makarcew! Raczyłeś z kimś uzgodnić ten
twój zawał? Nie ty powinieneś chorować, lecz ja...

— Dlaczego ty? — uśmiechnął się słabo Igor Iwanowicz.

— Jestem jak pionier — zawsze gotów, nawet do szpitala.

— Niezbyt przypominasz pioniera, mam rację, Zino?

Zinaida uśmiechnęła się uprzejmie.

— Byłem w obozie, ale nie pionierskim, może dlatego nie wyglą-
dam zbyt świeżo. Mam sto chorób, a ty którąś mi odbierasz!

— Rozliczymy się! Rad jestem cię widzieć, stary. Poznajcie się,
to moja małżonka. Zino, to pan Tawrow, słyszałeś o nim.

— Rappoport jestem — przedstawił się dziennikarz.

— My się już znamy — Zinaida Andrejewna wyciągnęła do
Rappoporta rękę. — Co prawda, zaocznie.

— Zaocznie mogę akceptować tylko uchwały partyjne. Pięknych
kobiet, wie pani, jest tak mało, że trzeba się im przyglądać z bliska.

— Mąż jakoś tego nie widzi — Zina pogłaskała Igora Iwanowi-
cza po głowie.

— Zineczko! — Makarcew poklepał żonę po ręce. — Dość wy-
siadywania! Borys przyjdzie na obiad, a ciebie nie ma w domu. O
mnie się nie martw. A my pogadamy z Jakowem Markowiczem o
naszej pracy. Dla ciebie to mało interesujące...

Przyciągnął żonę do siebie za rękę i pocałował ją w policzek.
Zinaida skinieniem głowy pożegnała się z Rappoportem.

— Tylko nie za długo, błagam. Muisz mnie słuchać, Igorze.
Mówię ci to jako lekarz.

— Nie jesteś lekarką, Zino, lecz żoną polityka na wysokim sta-
nowisku.

Z udaną urazą wydeła usta i cicho przymknęła za sobą drzwi.

— Mówże, co się tam dzieje! — zaatakował Makarcew Jakowa Markowicza, gdy tylko za jego małżonką zamknęły się drzwi. — Aha, przeczytałem twój artykuł „Pisarze — bojownicy ideologicznego frontu”. Dobra robota, słuszne wnioski. Dlaczego się śmiejesz?

— Pisarze — warknął Rappoport — dzielą się na dwie kategorie. Pierwsza to ci, zamiast których ktoś pisze, druga — ci, którzy piszą za kogoś.

— Prawdziwi pisarze też chyba istnieją?

— Obawiam się, że ci prawdziwi nie są bojownikami ideologicznego frontu.

— Niech idą do diabła! — Makarcew udał, że zrozumiał te słowa opacznie. — Dość mamy zmartwień z naszymi pisarzami. Musimy o nich myśleć...

— Skoro tak...

— Mów lepiej o subotniku, Tawrow. Co dalej chcecie robić?

— Nic szczególnego. Poparły nas wszystkie kraje socjalistyczne. Cały obóz wyjdzie do roboty z łopatami. Cóż można jeszcze wymyśleć?

— Dobry jesteś! Trafileś na żyłę złota! Moje gratulacje! Jak tylko wyjdę ze szpitala, wystaram ci się o nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy...

— Nie trzeba. Nie trzeba nagrody — Rappoport wymachiwał gwałtownie rękami. — Lepiej utemperuj Jagubowa...

— Przeszkadza? Sukin kot! Nie rozumie wagi przedsięwzięcia! Zbyt ciasne horyzonty!

— Nie o to chodzi. On rozumie! Wiem, dziś trzeba być antysemitą, ale...

— Bzdura!

— Ale nie można tak po chamsku...

— Bydlak! Nie bój się, Jakowie, póki ja jestem naczelnym, nikt cię nie ruszy. Wiesz co... Przygotuj na zebranie partyjne referat o pracy ideologicznej w nowej sytuacji.

— Ja i referat?

— Ty, ty! Dam polecenie Jagubowowi. A dla ciebie to ważne, wzmocni się twój autorytet... Zaprosimy przedstawicieli komitetu rejonowego, miejskiego, KC...

— Zgoda, co mi szkodzi...

Przez chwilę milczeli. Jakow Markowicz zachodził w głowę, czemu Makarcew kazał mu przyjechać. Chyba nie po to, by gratulować pomysłu z subotnikiem. A tym bardziej nie w sprawie referatu na zebranie partyjne. Znów się boi o ten samizdat?

— A propos, Tawrow, omal nie zapomniałem. — Makarcew prze-
rwał milczenie krzywiąc się z bólu. — Pamiętasz szarą teczkę?

W szpitalu często o niej myślał. Markiz de Custine nie dawał
mu spokoju. Z pewnością postąpił wtedy słusznie. Ale sytuacja się
zmieniła. Ktoś może czegoś potrzebować, zajrzy do jego biurka. Ka-
szyn lub ktoś obcy... Jeszcze komuś przyjdzie do głowy, że Makar-
cew donosi na kolegów... Na myśl o tym Igor Iwanowicz poczuł ból
w piersi.

— A więc, co się tyczy maszynopisu — zły na samego siebie
powtórzył chory i zerknął w stronę drzwi. — Niepokoi mnie ta hi-
storia. Sam rozumiesz, stanowisko zobowiązuje. Skoro ten tekst znaj-
duje się w moim biurku, ktoś nie daj Boże pomyśli, że mam z nim coś
wspólnego. To idiotyczne, prawda?

— Chyba nie każesz mi zanosić tej teczki na Łubiankę?

— Źle o mnie myślisz. Po prostu, póki jestem chory, trzeba ją
ukryć, zabrać z mojego biurka... Licho nie śpi!

— Rozumna myśl — potrząsnął głową na znak zgody Jakow
Markowicz. — Wyniosę ją, tak by nikt nie zauważył.

— Jest w środkowej szufladzie biurka.

— Jak w środkowej, to w środkowej. Schowam gdzieś poza re-
dakcją, zgoda?

— Doskonale — oczy Makarcewa rozbliły. — Nie ma teczki i
koniec. A jak nie ma, to nie ma o czym gadać.

— No właśnie! Po co nam kłopoty...

— Właśnie. — Jakow Markowicz wyciągnął do Makarcewa rękę.
— Nie myśl już o tym. Wracaj do zdrowia! Idę już, a w ogóle to mnie
tu nie było.

Jakow Markowicz zszedł na dół po schodach do wyłożonego
marmurem holu, oddał szatniarce szpitalny fartuch i stękając za-
czął wkładać palto. Nagle podeszła do niego Zinaida Andrejewna.

— Jak to? — zdziwił się Rappoport. — Jeszcze tu pani jest?

— Czekałam na pana... Proszę mi powiedzieć, o co prosił Igor...

— Skąd pani przyszło do głowy, że mnie o coś prosił? Może to ja
prosiłem?

— Nie! Tutaj nikt by nie przyszedł do niego z prośbą... Nie po-
zwoliłabym...

— No dobrze. Przypuśćmy, że prosił on. Ale czy to panią intere-
suje? Kobiety są dalekie od takich problemów. I musiałbym długo
tłumaczyć, od początku...

— Długo? To nic. Wie pan, czułam, że on coś ukrywa. Pytałam,
ale stroił sobie żarty.

— Pani mąż zbyt bierze sobie do serca prestiż gazety... Zaczęliśmy kampanię o szerokim zasięgu. Obejmie wszystkie kraje naszego obozu.

— Subotnik?

— No właśnie! Istnieje jednak pewne ryzyko, więc Makarcew się niepokoi. Mówiąc szczerze, chyba nie bez podstaw...

— Jakie ryzyko?

— Cóż, nasz pomysł mogą przywłaszczyć sobie inni — któraś z gazet lub nawet aparat partyjny.

— Czym to grozi?

— Cóż, powiedzą, że to nie nasza zasługa.

— I co z tego?

— Wtedy nie Makarcew, a ktoś inny zostanie członkiem KC. Chciałaby pani o coś zapytać?

— Mówił pan, Jakowie Markowiczu, że jestem ładna. Chciał pan przez to powiedzieć, że jestem głupia?

— Ależ skąd...

— Więc o co pana prosił mąż?

— Od jutra wciąż będziemy pisać, że subotnik to inicjatywa „Prawdy Robotniczej”. Niezbyt to taktowne, może się nie spodoba w KC. Ale póki tam się połapią, zaakcentujemy nasz priorytet i nielstwo będzie go nam odebrać.

Zinaida Andrejewna nie uwierzyła, więc nabrał dla niej trochę szacunku.

— Jedzie pan do redakcji? — spytała zimno. — Podrzucę pana...

Wyobraził sobie, jak za chwilę będzie się włókl na przystanek, czekał długo na autobus, potem wejdzie do wyziębionej stacji metra „Młodzieżowa” i co najmniej pół godziny przesiedzi na lodowatej ceracie, jadąc do centrum, potem znów czeka go przesiadka. „Wołga” Makarcewa jest ciepła i czysta. Ale już w drodze do szpitala Jakow Markowicz ominął ją z daleka.

— Wie pani, nie byłem w lesie chyba dziesięć lat — Rappoport wskazał ręką okno. — Zapomniałem, jak pachnie, a teraz podobno wiosna. Przejdę się trochę...

— Jak pan woli...

Zinaida Andrejewna szeroko otworzyła szklane drzwi i dumnie wyszła.

32. Zinaida Makarcewa

Życiorys załączony do ankiety niezbędnej w związku z wyjazdem turystycznym za granicę (do kraju kapitalistycznego)

Urodziłam się 3 lutego 1925 roku w Rostowie nad Donem w rodzinie urzędnika. Jestem narodowości rosyjskiej, nazwisko panięskie — Żewniakowa, po pierwszym mężu Flejtman. Ojciec zmarł w 1927 roku, matka jest z zawodu nauczycielką. Do komsomołu wstąpiłam w 1945 roku, do partii nie należę. W 1943 roku rozpoczęłam studia w wyższej szkole medycznej w Taszkencie, ukończyłam ją w roku 1949 specjalizując się w pediatrii. Skierowano mnie do pracy w dziecięcej przychodni nr 1 specsektoru Moskiewskiego wydziału zdrowia, leczyłam dzieci pracowników Moskiewskiego komitetu partii. Po urodzeniu syna przestałam pracować. Jestem starszym lejtnantem rezerwy.

Mój mąż, I. I. Makarcew, jest zastępcą członka KC KPZR i redaktorem naczelnym gazety „Prawda Robotnicza”.

Podpis: Zinaida Makarcewa

DNI POWSZEDNIE ZINAIDY

Zyciorys ten Zinaida Andrejewna napisała w pośpiechu: mąż sterczał nad nią jak kat nad dobrą duszą i poganiał. Gdy tylko podpisała kartkę, porwał ją i pojechał do KC niczego żonie nie wyjaśniając. Dopiero wieczorem dowiedziała się, że, kto wie, może puszcza ją z mężem za granicę.

Złożyło się bowiem tak, że pierwszą swą podróż zagraniczną Chruszczow odbywał razem z Bułganinem. Zachodni przywódcy przychodzili wówczas na oficjalne spotkania z żonami. Gdy głowy państw pertraktowały, ich żony spędzały czas gdzieś na boku. Więc Bułganin chcąc nie chcąc siedział z żonami. Po powrocie do Moskwy, poskarżył się Nikicie Siergiejewiczowi. Zgoda, to jego partyjny obowiązek, ale z drugiej strony, jego też trzeba zrozumieć. Chruszczow zachował się zgodnie z duchem demokratycznych przemian i postawił problem na Biurze Politycznym: jeździć z żonami czy bez żon? Członkowie Politbiura wypowiadali się ostrożnie. Cóż, ma to plusy, ale i minusy. Po dyskusji Nikita Siergiejewicz podsumował jej przebieg następująco: „Żyjesz wśród wilków — wyj tak jak one!”

W następną podróż zabrał ze sobą nie Bułganina, lecz własną połowicę Ninę Pietrownę, w trybie pilnym wyposażoną w kilka sukienek z Paryża, Brukseli i Rzymu. A postępową uchwała dotarła na niższe szczeble: zapoznawali się z nią kierownicy wydziałów KC. Z pewnością nie obeszło się tutaj bez nacisku żon, lecz zdecydował ciepły powiew z góry. Ostrożnie wypowiedziano myśl, że niektóre z osób towarzyszących, te najbardziej ważne, powinny zabierać ze sobą żony, po przejściu przez nie, rzecz jasna, niezbędnego sprawdzianu. Żony te nigdy nie wyjechały, lecz problem wentylowano jeszcze niżej, już na poziomie Makarcewa. Przygotowywano wizytę rządową do Wielkiej Brytanii. Wtedy to właśnie Igor Iwanowicz zamiast jeść obiad w stołówce KC niespodziewanie przyjechał do domu i kazał Zinaidzie szybko pisać życiorys. Kwestię tę rozstrzygnęła ostatecznie małżonka Nikity Siergiejewicza:

— Ja jadę, bo muszę. Ale one? Po co odrywać je od dzieci, wyrzucać na wiatr państwowe pieniądze?

Wyjątek zrobiono tylko dla małżonki ministra spraw zagranicznych Gromyki, zresztą też nie na długo. Co prawda później niektóre żony też zaczęły wyjeżdżać zagranicę, z grupami turystycznymi. Ale Zinaida nie rwała się na wycieczki. Napisany przez nią życiorys leżał wśród służbowych dokumentów jej męża.

Chociaż nikt, nawet Igor, o tym nie wiedział, Zina pochodziła z rodziny arystokratycznej. Jej ojciec, hrabia Andriej Żewniakow, świetnie wykształcony na Sorbonie i w Heidelbergu, był właścicielem dóbr na południu Rosji, ofiarowanych jego przodkom przez Katarzynę II. Młody adwokat z Rostowa i właściciel majątku, po rewolucji stracił wszystko, zataił swoje pochodzenie i poszedł pracować do sądu — władza sowiecka potrzebowała adwokatów. Bronił nie tylko innych, także samego siebie, cudem ocalał, ożenił się z nauczycielką, lecz wkrótce zmarł osierociwszy dwie córeczki.

Siostry wyrosły na piękne dziewczyny, smagłe, o południowej, nieco zimnej urodzie. Matka po cichutku nazywała je hrabiankami. Żyło się im w Rostowie ciężko, nieraz nawet głodowały. Podczas wojny ewakuowały się do Azji Środkowej. Zina zdała maturę i poszła na studia medyczne. Profesor Flejtman, który wykładał studentom ewakuowanej szkoły wyższej terapię ogólną, z miejsca zwrócił uwagę na urodziwą, inteligentną dziewczynę. Jego żona zginęła w pierwszych dniach wojny: była chirurgiem i sama zgłosiła się na front. Flejtman oświadczył się Zinie i został przyjęty — uznała, że nie wypada mu odmówić. Gdy skończyła studia, mąż dzięki swemu koledze, pracow-

nikowi czwartego zarządu ministerstwa zdrowia, załatwił jej pracę w specprzychodni moskiewskiego wydziału zdrowia.

Lecz nagle profesor Flejtman oświadczył Zinie, że powinni się rozejść. Nic z tego nie rozumiała i dumnie odeszła. Gdy była już żoną Makarcewa, dowiedziała się, że Flejtman został usunięty ze wszystkich stanowisk, a wkrótce potem aresztowany w związku ze sprawą lekarzy. Rozwiódł się, by ją ratować. Naprawdę kochał Zinę.

Makarcew chronił żonę równie gorliwie jak jej pierwszy mąż. Już dawno rzuciła pracę w przychodni i nie zamierzała podejmować jej na nowo. Nie musiała też się martwić o poziom życia: zawsze wiodło się im dobrze, nawet wtedy gdy Makarcew był o włos od śmierci. Przywykła do trudnego etatu żony aparaczyka i dzielnie dźwigała to brzemie. Chociaż skończyła już czterdzieści pięć lat, czas nie wycisnął na niej piętna: twarz, figura, chód — wszystko było bez zarzutu. Igor starzał się znacznie szybciej, a przecież mogło być odwrotnie.

Był dumny, że ma tak piękną żonę, cieszył się, gdy udawało się im spędzać czas razem. Ale zdarzało się to rzadko. Gdy Zinaida zaczynała narzekać, że stęskniła się za przyrodą, wysyłał ją do ośrodka wczasowego dla elity partyjnej; gdy dawała mu do zrozumienia, że jest zmęczona, godzinę później zamawiał dla niej turnus. Lubiła wypoczywać w Gruzji, w Liwadii, w sanatorium KC w pobliżu Borżomi. Pałac rodziny carskiej w bajecznie pięknym lesie, mało ludzi, lecznicza woda. Czarne oczy Zinaidy znów jakby oglądały dawno minione dzieciństwo.

Zwyczajów wczasowych Zinaida Andrejewna nie akceptowała. Oburzała ją niepowściągliwość mężczyzn, a jeszcze bardziej kobiet, ich jednodniowe romanse. Było w tym coś z kocich wesel, napawało obrzydzeniem. Krzywiła się i starała nie zawierać bliższych znajomości, by potem nie słyszeć: „Napili się koniaku a potem...” Czasami próbowała współczuć takim kobietom, zrozumieć je. Ale natychmiast myślała z oburzeniem: „My z Garikiem też mamy problemy, ale ani ja, ani on nie robilibyśmy czegoś takiego...”

O męża zadba jak najlepiej, zrobi wszystko, by wrócił do zdrowia. Niektórzy przeszli trzy, cztery zawały, a pracują jak gdyby nigdy nic! Jedynym problemem życia Zinaidy, wyslizgującym się jej z rąk i sprzecznym z logiką, był syn. Ale w końcu wszyscy mają kłopoty z dziećmi. Chłopak dorośnie i zmadrzeje. Gdyby mąż jej pomagał, częściej interweniował, ona też denerwowałaby się mniej. Ale Igor w tej kwestii przerzucał całą odpowiedzialność na nią. Nieraz błagała

go, by poważnie zajął się Borysem, porozmawiał z synem po męsku. Makarcew obiecywał, długo się przymierzał do rozmowy, próbował ją podjąć, odkładał na później. A teraz, gdy się rozchorował, Zinaida myślała: „Cóż, teraz Igor będzie miał więcej czasu, by pomyśleć o synu, a chłopak stanie się bardziej tolerancyjny dla ojca. I wszystko się ułoży.”

33. I tak cię pocałuję!

Nadia Sirotkina była pewna, że nareszcie odzyska spokój — Iwlew, bez względu na to czy chciał tego, czy nie, należy do niej. Nic od niego nie chce, a to, co chciała, już zdobyła. Miłość tak długo rodzi stan dyskomfortu, wyczytała w jakiejś książce, póki nie zostanie zaspokojona. Teraz, gdy wszystko już się stało, a nic więcej stać się nie może, zainteresowanie Iwlewem osłabnie. Wystarczająco długo więził Nadię. Ale amnestia dla niej nie nadchodziła.

— To minie — przekonywała samą siebie.— Wystarczy go widzieć, choćby z rzadka, i nic więcej. No, jeszcze słuchać, co mówi — nie do niej, do innych. Grunt, to skoncentrować uwagę na czymś innym — przecież wszystko już się stało! Ale coś nowego rządziło teraz Nadię. Jeśli dawniej, w myślach, w pracy lub w domu, gdy po północy kładła się spać, rozmawiała z Iwlewem, słuchała go, spacerowali po ulicach i to najzupełniej jej wystarczało, teraz czuła w ustach kwaśny smak, miała ochotę raz jeszcze nadgryźć jabłko. Wstydziła się, przekonana, że udawanie nowoczesnej aktywnej kobiety przerasta jej siły i długo nie może trwać. Ale to nie było udawanie.

Powstrzymywała ją tylko obawa, że Iwlewa odstraszy. Nie wiedziała, co robić. Wieczorem mówiła sama do siebie, że jutro do niego podejdzie i zaprosi do kina. Kupowała bilety, lecz nazajutrz spotykała go w redakcji zaafierowanego sprawami, których sens był dla niej niejasny lub wydawał się mało ważny, skoro między nimi zaszło coś takiego. Iwlew klócił się z kimś na korytarzu, klął jak szewc, a ona spieszenie przechodziła obok, bez niechęci słuchając soczystych wiązanek. Ale on nie miał do niej głowy. Biegła więc do toalety, darła bilety na strzępy i spuszczała wodę, płakała, a potem długo patrzyła w okno na gmach drukarni, w którym huczały maszyny rotacyjne, czekała, aż oczy nie będą zaczerwienione. Wreszcie zdecydowała się.

— Słuchaj! — zaszczebiotła kiedyś wesoło, niby to przypadkiem zatrzymując Iwlewa na korytarzu.

— Cześć!

Iwlew patrzył na nią z roztargnieniem, czekał, co powie. A ona umilkła, zabrakło jej nagle powietrza, starczyło lekkości tylko na powitanie.

— O co chodzi? — spytał ze zdziwieniem.

Zacisnęła pięści. Paznokcie wpily się w dłonie. Po długim milczeniu wreszcie sobie przypomniała, co chciała powiedzieć. Szepcąc, cedząc powoli słowa oświadczyła z udaną bez troską:

— Wiesz, obchodzę dziś rocznicę.

— No to gratuluję. A jaką?

— Równo trzy lata temu wycięli mi ślepa kiszka.

— Trzeba zawiadomić Rapa. Może napisze o tym wstępniak.

— Nie trzeba. Ale jeśli chcesz, moglibyśmy uczcić... Na przykład, iść do Domu Dziennikarza. Mam pieniądze.

— Tylko że... — zawahał się Iwlew. — Dziś w nocy wylatuję...

— Dokąd?

— Do Nowosybirsk. Mam splotzić na prośbę Rapa artykuł dla sekretarza obkomu. O subotniku. Jakow Markowicz nie lubi jeździć, więc muszę go zastąpić. Trzeba pomóc staremu.

— Długo cię nie będzie?

— Tydzień.

— A wieczorem?

— Co wieczorem?

— Nic!

Nadia, cała zaczerwieniona, nagle znienawidziła Iwlewa. Zapra gnęła odpowiedzieć mu opryskliwie lub nawet go uderzyć, postawić kropkę nad i. Ale znów się uśmiechnęła, odeszła, usiłując iść lekko, swobodnie. Dzień włókł się niczym taśma na magnetofonie ze zużyтыми bateriami. A wieczorem Nadia Sirotkina pożyczyła od Inny Swietłozierskiej z hali maszyn perłową kredkę do ust, wymalowała sobie wargi i pojechała do Domu Dziennikarza. Sama jedna. Ze stanowczym zamiarem wypicia lampki wina dla upamiętnienia wyciętej ślepej kieszki.

Nie odważyła się wejść sama do restauracji. Kupiła w bufecie kawę i kieliszek koniaku. Wypatrzyła pusty stolik pod ścianą, siadła plecami do drzwi, żeby nikogo nie widzieć. Łyknęła trochę koniaku i zrobiło się jej ciepło. Iwlew na pewno tu zajrzy przed odlotem. Wypiła jeszcze trochę i Iwlew stał się nierealny. Wyjęła papierosa, z nadzieją, że resztki tego wstrętnego typu znikną z tytoniowym dymem — jedynym (jeśli nie liczyć alkoholu) narkotykiem, nie wiadomo czemu nie zakazanym w jej kraju. Nie miała zapalek, więc rozejrzała się dokoła.

— Pani pozwoli?

Tyczkowaty chłopak w kraciatym swetrze przysunął do jej twarzy piękną zagraniczną zapalniczkę, zręcznie przekręcił ją w rękę i zapalił oświetlając czyste czoło Nadi. Podziękowała kiwnięciem głowy.

— A czy za to — spytał chłopak — nie da mi pani papierosa?

— Za to nie dam nic. A po prostu tak — z przyjemnością.

Bez ceregieli przysiadł się i zapalił. Był młodszy od Nadi i nie mógł wzbudzić jej zainteresowania. Powinna była od razu mu powiedzieć, że zaraz zjawi się jej mąż. Ale Iwlew, jak się okazało, nie opuścił jej marzeń, należało więc dokonać zemsty. Rola demonicznej uwodzicielki nie pasowała do Nadi, lecz skoro trafiła się okazja, trzeba z niej skorzystać.

— Nie pierwszy raz tu panią widzę.

Powiedział to, co należało, nic więcej.

— Ma pan dobrą pamięć — powiedziała Nadia.

— Nawet rodzice to mówią.

— Dlaczego „nawet“?

— Bo wszystko ich we mnie drażni. Wyobrażam sobie, jak podskoczyłaby na krześle matka, gdyby się dowiedziała, że chcę się ożenić.

— Gratuluję! — Nadia wymówiła te słowa naśladowując intonację Iwlewa i rozzłościła się sama na siebie.

— Dzięki! Tylko ja nie mam jeszcze dziewczyny...

— No, to chyba nie problem!

— Owszem, dla mnie problem! Mam bardzo surowe wymagania: waga 40 kilo, wzrost — 160 cm, rozmiar stanika czwórka. Mówiąc krótko, ktoś taki jak pani.

„Ale ja noszę trójkę” — Nadię świerzbil język, by to powiedzieć. Nie chciała jednak demoralizować małolata, i bez tego za dużo jest na świecie świństw. Więc powiedziała zażartobliwie:

— Wschodni sułtan z pana!

— No to wypijmy!

— Po filiżance kawy.

— I po kieliszku koniaku!

— Nic pan jeszcze nie pił?

— A pani? — odparował. — Wypiłem cztery pięćdziesiątki. Cóż to znaczy...

— A ile może pan wypić?

— Ze trzy razy tyle — powiedział chełpliwie. — Więcej nie próbowałem. Może spróbujemy dzisiaj?

„Tata i mama nie będą się gniewali?” — miała ochotę zapytać. Ale nie chciała upokarzać chłopca.

— Nie, byłoby za drogo. Ale jeden mały kieliszek...

Wypili.

— Piła pani wódkę meksykańską? — spytał młody człowiek. Do butelki przywiązany jest woreczek z pieprzem, w środku pływa robak w spirytusie. Dodaje szczególnego aromatu. Na stole stoi dodatkowy kieliszek, a na zakąskę trzeba pocałować robaka...

Wypili jeszcze po trzy kieliszki i Nadia pomyślała, że fakt, iż upiła się bez Iwlewa, jest wystarczającą zemstą za jego egoizm. Nowy znajomy niezgrabnie pomógł jej włożyć futro. Przy tej okazji jakby przypadkiem musnął ręką jej szyję i włosy, a ona, również jakby przypadkiem, odsunęła się. Na ulicy chłopak wziął ją pod rękę i podprowadził do beżowego „moskwicza”. Zimny silnik długo nie chciał zapalić, wydawało się, że nie zapali nigdy. Nadia siedziała w wyziębionym samochodzie z nosem wetkniętym w puszysty kołnierz. Wreszcie silnik zapalił i jej nowy znajomy, nie rozgrzewając go, ruszył z kopyta. Silnik szarpał, kichał. Samochodów, przechodniów i milicjantów na bulwarze Nikickim było mało, padał lekki suchy, rozplywający się na asfalcie śnieg. „Moskwicz” wyskoczył z tunelu i zahamował na skrzyżowaniu: paliły się czerwone światła.

— Mani pomysł. Pojechałabyś na wycieczkę do lasu?

— W nocy?!

— Nie jesteśmy przecież dziećmi! Pospacerujemy.

— Jest strasznie zimno!

— Włączę ogrzewanie.

Chłopak przesunął przycisk i ciepłe powietrze zaczęło ogrzewać nogi.

— Innym razem, dobrze? — powiedziała ciepło Nadia. — Ojciec na mnie czeka, będzie zły. To tutaj.

— Odprowadzę cię.

— Nie trzeba, sama pójdę.

— Odprowadzę! — uparł się chłopak i wszedł za dziewczyną na klatkę schodową.

Windziarz dokładnie go obejrzał, lecz zrozumiał, że przyszedł z Nadią, nie powiedział nic, tylko obserwował ich badawczo, gdy szli na górę po schodach.

— A pocałunek? — spytał, gdy wyciągnęła do niego rękę.

— Jaki? — podniosła w górę zdziwione oczy.

— Chciałbym...

— Nie za prędko?
Niezręcznie przyciągnął ją do siebie. Nadia odsunęła się.
— Proszę mnie puścić, sir. Nie jestem meksykańskim robakiem.
Nie wolno!
— Czemu nie wolno? — zgłupiał nagle chłopak.
— Bo mówię, że nie!
Pochyliła się, prześlizgnęła mu się pod ręką, zaczęła szukać w torebce klucza.
— A kiedy będzie wolno? — spytał, zachwiał się i oparł ręką o ścianę.
Nadia wzruszyła ramionami i włożyła klucz do dziurki.
— Poczekaj jeszcze trochę... Strasznie mi się nie chce wracać do domu...
— Może innym razem. Zapamiętasz mój telefon?
Zapisał numer na paczce papierosów.
— Może jednak pojedziemy do lasu?
Ale ona już otwierała drzwi.
— Nie pomyliś mnie przez telefon z innym Borysem? Nie masz znajomego o tym imieniu? Nazywam się Makarcew. Znasz Makarcewa? Chciałem powiedzieć, mojego ojca. Wszyscy go znają.
— Makarcewa?— powtórzyła Nadia. — A kto to jest?
— Jak cię wpuścili do Domu Dziennikarza? Gdzie ty studiujesz?
— Pracuję. — powiedziała. — Jestem krawcową. A do Domu Dziennikarza przyprowadzili mnie znajomi.
— Bardzo chciałbym cię pocałować.
— Mówiłam przecież, że nie!
Pospiesznie zamknęła za sobą drzwi. Chłopak przycisnął usta do dziurki od klucza i wyszeptał:
Zobaczysz, i tak cię pocałuję! Prosto w usta!
Borys Makarcew wracał zeskakując po pięć stopni w dół po schodach i omal nie runął na zakręcie. W ostatniej chwili uczeplił się poręczą.

34. Borys Makarcew

Ankieta kandydata na wyższą uczelnię

Borys Makarcew, syn Igora, urodzony 29 października 1950 roku w Moskwie.

Rosjanin.

Bezpartyjny. Członek Komsomołu.

Wykształcenie średnie. Ukończył szkołę nr 109 w Moskwie z francuskim językiem nauczania. Świadectwo dojrzałości nr 9836457

Przygotowania zawodowego brak.

Znajomość języków obcych: francuski (czyta, może się porozumieć).

Praca wykonywana od początku działalności zawodowej (łącznie z nauką w szkołach średnich i wyższych, uczestnictwem w oddziałach partyzanckich, pracą pozaetatową): nie pracował.

Najbliżsi krewni: Igor Makarcew — ojciec, Zinaida Makarcewa — matka.

Podlega obowiązкови służby wojskowej. Książeczka wojskowa nr 741374K wydana przez komendę wojskową rejonu Timiriaziewskiego.

Stan zdrowia: praktycznie zdrów. Podstawa: zaświadczenie z przychodni specjalnej Moskiewskiego wydziału zdrowia dla kandydatów na studia.

Dowód osobisty: VIII MX Nr 381014, wydany w Moskwie 11 listopada 1966 roku.

Adres: Aleja Pietrowsko-Razumowska 18 m. 84. Telefon 258-71-44.

KŁOPOTY BOBA

Igor Iwanowicz nie wątpił, że jego syn, jak wszystkie dzieci działaczy partyjnych wysokiego szczebla, pójdzie na studia do Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Marne świadectwo dojrzałości nie ma większego znaczenia, zawsze można tu lub tam kogoś przycisnąć. Makarcew bardzo pragnął, by jego syn, zwany w domu Bobem, też został dziennikarzem. Jednak nic nie wskazywało, że chłopak się interesuje dziennikarstwem ani w ogóle czymkolwiek. Pozostawało mieć nadzieję, że z czasem nabierze rozumu. Gdyby zechciał studiować na Uniwersytecie Moskiewskim, Makarcew za-telefonowałby do dziekana wydziału dziennikarstwa Zasurskiego — jego demaskatorskie artykuły o krajach kapitalistycznych „Prawda Robotnicza” drukuje często, gdy tylko Zasurski wraca z zagranicy. Wszystko pójdzie dobrze, byle dobrze zacząć. A już on się postara, by syn zaczął dobrze!

Tak myślał Makarcew, gdy Bob zdawał maturę. Ale gdy chłopak skończył szkołę, oznajmił rodzicom, że świadectwo dojrzałości wręcza im na pamiątkę, a sam zamierza odpocząć. Instytut Stosunków Międzynarodowych ma gdzieś, siedzą tam same maminsynki, amatorzy ciuchów, a jego ciuchy nie interesują.

— Więc po co uczyłeś się francuskiego?

Jak się wyjaśniło, po to, by bez skrępowania gadać przez telefon: po co starzy mają rozumieć, co mówią młodzi?

— Sądzisz, że moje życie jest nieciekawe? — spytał Igor Iwanowicz.

— Byle robot jest od ciebie szczęśliwszy! Odwalił osiem godzin, napił się wódki i żyje sobie beztrosko. A ty trzęsiesz się po nocach, czy nie popełniłeś błędu wieczorem i czy nie wywalą cię jutro.

— Nie chciałbyś mieszkać za granicą? — próbował kupić Boba ojciec. — Tyle rozrywek, filmów, których nigdy u nas nie będzie...

— Myślisz, że nie wiem, po co tam ludzie siedzą? I jak za to płacą? Ojca jednego z moich kumpli awansowali na dyrektora instytutu. Za co? Za to, że w Anglii, kiedy odbywał staż w jakiejś firmie, podwędził kilka ampulek...

— To skrajności!

— Nie, to szpiegostwo przemysłowe. To ten twój handel zagraniczny. A dziennikarstwo? Czy napisałeś kiedykolwiek prawdę o tym, co sam widziałeś za granicą? Sto razy obsmarujesz dziegiem, zanim wciśniesz do gazety.

— To zwykła gra ideologiczna, reagujesz na nią zbyt emocjonalnie, bierzesz sobie do serca.

— Co to, to nie! Do całkiem innej części ciała.

— W porządku, synu. Więc idź do fabryki.

— Jeszcze czego! Niech tyrają robote!

— W takim razie do wojska.

— Nie pójdę. Zatelefonujesz, że mam szmery w sercu i odczepią się.

— Nie zatelefonuję, synu. Daję ci słowo honoru!

— Jak matka przycisnie, to zatelefonujesz!

— Mówię to w jej obecności. Słyszysz, Zino? Mamy syna pasożyta. Nie zgadzam się na to! Jesienią sam zadzwonię do Ministerstwa Obrony. Przyjadą i go zabiorą. Pójdiesz do marynarki wojennej — tam służba trwa rok dłużej. Ale jest jeszcze jeden wariant — po krótkim wahaniu Makarcew zaproponował synowi transakcję. — Jak pójdiesz do Instytutu Stosunków Międzynarodowych, kupię ci samochód. Będziemy z matką oszczędzać, ale kupię. I pamiętaj, ja słowa dotrzymuję!

— Gównu warte te twoje słowo!

W miesiąc później Borys zakomunikował matce, że zgoda, pójdzie na studia do Instytutu.

— Do jakiego, synku?

— Języków obcych, imienia Thoreza. Znasz taki? Będę tłumaczem.

— Dlaczego właśnie tam? Ojciec wolałby coś solidniejszego...

— Podobno są tam fajne dziewczyny. Tylko niech ojciec o nic się nie stara, jasne? Jeśli do kogokolwiek zadzwoni, dam sobie spokój, jasne?

— W porządku, dziecko! Ojciec nie ruszy palcem.

Makarcew chciał zadzwonić do rektora, lecz żona namówiła go, by tego nie robił. Jak Bob się dowie, wszystko przepadnie! Nastrój rodziców poprawił się. Dzieciak był przemęczony i miał zszarpane nerwy, ale teraz wszystko wróci do normy. Syn Makarcewa nie może być inny, to oczywiste. Niech skończy tylko studia, wszystko jedno jakie. A jak się wyszaleje, ojciec zawsze coś dla niego znajdzie, tak by zaszedł wysoko. Gdy dowiedzieli się od syna, że został studentem, Makarcew przywiózł do domu butelkę szampana. Zadzwonił też do dyrektora fabryki samochodów: ten obiecał mu przydzielić ze swego limitu jeden wóz poza kolejnością. Słowem, gdy Bob skończy osiemnaście lat, otrzyma obiecany samochód.

Świeżo upieczony student łaskawie przyjął prezent. Lecz ani tryb jego życia, ani stosunek do rodziców nie zmieniły się. Podręczniki poniewierały się na biurku. Tak jak dawniej wracał do domu późną nocą. Gdy matka nie spała, już z daleka czuła odór wódki.

Czasami, zjawiwszy się nad ranem, zaglądał do kuchni:

— Nie ma faszysty?

— Jak śmiesz tak mówić o ojcu!

— Pardon, madame, zapomniałem, będę mówił „nazi”...

Chłopak ładował się w brudnych butach na tapczan i wydzwaniał do kolegów. Do słuchawki telefonicznej, przemieszane z francuszczyzną, leciały ordynarne wyzwiska, od których Zinaidę bolała głowa.

Potem zbierało się towarzystwo, pięć lub sześć osób. Jacyś nowi, których wcześniej tu nie było. Borys zabierał z kuchni szklanki i zamykał za sobą drzwi. Ze strzępów rozmowy, jakie dolatywały do Zinaidy, nic prócz chamskich odzywek, zrozumieć nie mogła. Młodzi ludzie nie rozmawiali ani o dziewczętach, ani o polityce, ani o sprawach studenckich, ani o hokeju. Wydawało się jej, że po prostu ćmią papierosy i piją. Czasem przynosiła im jedzenie. Mówili, że nie chcą, lecz pochłaniali wszystko, zostawiając na podłodze brudne talerze. O co im chodzi? Ku czemu zmierzają? Co jest dla nich święte? Słuchają godzinami idiotycznej muzyki i nie mają sobie nawzajem nic do powiedzenia.

— Bob, wkrótce minie miesiąc, jak tata jest w szpitalu. Naprawdę nie masz czasu, żeby go odwiedzić?

— Przecież tam nie wpuszczają, sama mówiłaś....

- Już dawno wpuszczają. Trzeba dodać ojcu otuchy.
- A kiedy wraca do domu?
- Na razie nie ma o tym mowy. Może za miesiąc...
- No to się wtedy zobaczymy. Niech ode mnie odpocznie. A ja od niego.
- Zmęczyły mnie ustawiczne kłamstwa, że wciąż masz zajęcia, wykłady, kolokwia.
- Nic nie szkodzi, mamuśka! Bujaj dalej! On jest przyzwyczajony do bujania!

35. Piątek, szósta rano

Zinaida nie kładła się spać. Późno wróciła ze szpitala, zobaczyła, że kolacja, przygotowana dla Boba, jest nietknięta: a więc jeszcze nie przyszedł. Otworzyła telewizor, obejrzała końcówkę programu — sport i ostatnie wiadomości, okryła plecy chustką i wyszła na balkon. Czasem Bob wystawał z kolegami koło altanki na podwórzu. Ale nikogo tam teraz nie było.

O w pół do drugiej rozebrała się. Stała przed wielkim lustrem w pokoju sypialnym z nadzieją, że koncentrując uwagę na samej sobie, zapomni o zmartwieniach. Sceptycznie dotknęła fałd, zresztą niewielkich, na brzuchu i biodrach. Wciąż jeszcze była bardzo ładna i myślała nie bez dumy, że nie ma na świecie nic bardziej harmonijnego niż kobieca sylwetka. Jadła teraz bardzo mało, wypróbowała mnóstwo diet, ale przestały pomagać. Można jeszcze wypróbować głodówkę w klinice modnego doktora Nikolajewa, choć podobno trudno się tam dostać. Igor załatwiłby to błyskawicznie. Ale głodówka wydawała się jej okrucieństwem wobec siebie samej. Tylko wtedy, gdy jest naga widać, że przytyła, w ubraniu — ani trochę!

Uniosła rękami w górę piersi, obiekt podziwu męża. Teraz, niestety, zachowywały formę tylko we francuskich biustonoszach. Straciły urodę przez tego hultaja Boba! A on zdaje się, w ogóle nie przyjdzie do domu na noc i nawet nie uprzedzi o tym telefonicznie. Zinaida włożyła angielską jedwabną koszulę nocną z koronkami i położyła się na swej połowie niesamowicie szerokiego fińskiego łóżka. Poczytała jakąś bzdurną powieść, zgasiła światło i zapadła w drzemkę. Wciąż miała nadzieję, że lada chwila usłyszy głośnie kroki syna.

Obudził ją telefon. Podniosła słuchawkę aparatu stojącego na nocnej szafce po stronie Igora Iwanowicza. Jednak zadzwonił! —

pomyślała budząc się natychmiast. Ma poczucie obowiązku! Która to godzina? Jej ulubiony zegarek, prezent ślubny od matki, wskazywał siódmą dziesięć.

— Chciałbym rozmawiać z ojcem Borysa Makarcewa — poprosił zachrypnięty głos.

— Nie ma go.

— A gdzie jest?

— W szpitalu, nie wie pan? O co chodzi?

— A pani kim jest dla niego?

— Żoną.

— Matką Borysa Makarcewa?

— Tak. Coś mu się stało? Kto mówi?

— Kapitan Utierin, starszy inspektor MUR-u.*

— Pani syn, Borys Makarcew, potrafił nocą dwóch pieszych na prospekcie Kutuzowa. Jeden zginął na miejscu, drugi zmarł w szpitalu. Sprawca znajdował się pod wpływem alkoholu.

— Co z Borią? — spytała niezbyt dobrze rozumiawszy, co się stało. — Co z moim synem?

— Cały i zdrowy, śpi w celi na komisariacie.

— Dziękuję, że pan zadzwonił. Zaraz przyjadę go zabrać! — Zinaida całkiem się obudziła, zupełnie jakby się spodziewała czegoś podobnego.

— Zabrać? To niemożliwe... Będzie śledztwo...

— Śledztwo? Proszę mi powiedzieć... — zawahała się, świadoma, że trzeba zachować się z godnością, nie okazywać strachu. Tak czy owak bez jej zgody nie mogą nic z chłopcem zrobić. Ale chciała jak najprędzej wiedzieć wszystko, przygotować się do walki o syna. I zapytała śmiało:— Niech mi pan powie, to poważna sprawa?

— Grozi mu kara do dziesięciu lat pozbawienia wolności z artykułu 211 kodeksu karnego plus okoliczności obciążające — dodatkowe pięć lat. Ale o tym zadecyduje sąd...

— Sąd?

— A co pani myślała? Może pani teraz do nas przyjechać? Proszę zabrać ze sobą dowód osobisty. Zapisała pani moje nazwisko? Utierin.

Zinaida obrzuciła wzrokiem sypialnię, tak jakby znalazła się w niej po raz pierwszy. Do piętnastu lat? Boria?! To jakiś absurd! Jeszcze pożałuje ten kapitan Utierin... Igor, jak na złość, leży w szpitalu.

*MUR — *Moskowskij ugołownyj rozysk*: Moskiewskie kryminalne biuro śledcze.

On wiedziałby, co robić, zatelefonowałby gdzie trzeba. Trudno, pojedzie sama. Zasłoniła palcami usta próbując się skoncentrować, potem zajrzała do książki telefonicznej. Zadzwoiła do dyspozytorni i gdy odezwał się zaspany głos, powiedziała zimno:

— Zamawiam samochód dla żony Igora Makarcewa.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— Przyjąłem — odpowiedział głos.

Zinaida usłyszała westchnienie, a potem krótkie sygnały. Wstała i zaczęła szybko się ubierać. Uczesała się, nie patrząc w lustro, poszła do kuchni, po krótkim wahaniu wyjęła z lodówki kilka puszek kawioru; gromadziła je po to, by wkładać do kieszeni pielęgniarkom. Teraz kawior mógł się przydać. Pieniądze również. Ale w domu było ich mało, a o siódmej rano kasa oszczędności jest zamknięta. Włożyła botki, futro, czapkę, w której wyglądała młodo i ładnie, zamknęła mieszkanie na klucz i nacisnęła przycisk windy. Winda nie nadjeżdżała. Zinaida nerwowo postukała w drzwi szybu, popędzając jadącego. Winda zatrzymała się i wysiadł z niej Losza Dwojeninow.

— Wzywała mnie pani, Zinaido Andrejewno?

— Owszem, Losza. Jedźmy jak najprędzej.

Gdy wsiedli do samochodu, Losza zapalił papierosa i w milczeniu czekał na dyspozycje. Zinaida zawahała się, czy mówić, dokąd jedzie, ale doszła do wniosku, że i tak nic nie da się ukryć.

— Czy wiesz, gdzie jest MUR?

— Na Pietrowce 38. Każdy wie. Tam jedziemy?

— Tam, Losza. Masz, póki nie zapomniałam.

Poszperała w torebce i podała Dwojeninowowi puszkę czarnego kawioru.

— Dziękuję — powiedział kierowca — zapuścił silnik, ruszył, zręcznym ruchem wsunął puszkę do schowka. — Jak się czuje Igor Iwanowicz? Mógłby już wracać. Wszyscy stęsknili się za nim...

— Masz rację, Losza. Ja też nie mogę się doczekać.

Zinaida odpowiadała jak automat. Po chwili wyjęła z torebki kartkę z krzywo napisanym nazwiskiem „Utierin”. Loszy przyszło do głowy, czy nie poprosić Zinaidy Andrejewny, by przypomniawszefowi, że obiecał zatelefonować do „Sowtransawto” w sprawie jego pracy. Chyba jednak poczeka, aż szef wyjdzie ze szpitala, nie wypada prosić przez trzecią osobę. Nie przeszkadzał Zinaidzie Andrejewnie gadaniną, mknął pustymi ulicami na Pietrowkę.

36. Władimir Utierin

Ankieta dla speckadr

Starszy inspektor MUR-u, kapitan milicji.

Urodził się 29 stycznia 1932 roku, we wsi Znamienka, obwód smoleński. Narodowość rosyjska.

Członek KPZR od 1952 roku, legitymacja partyjna nr 3453211.

Wykształcenie specjalne i wyższe: w 1963 r. ukończył specszkolę KGB oraz wydział prawa na uniwersytecie Moskiewskim. Językami obcymi nie włada. Za granicą nie był.

Stan cywilny: żonaty. Zona, N. P. Utierina. jest laborantką wydziału naukowo-technicznego w MUR-ze. Syn dziewięcioletni.

Oficer rezerwy wojsk wewnętrznych.

Dowód osobisty nr IV NE 651127, wydany w Moskwie 14 lipca 1967 r. Zameldowany na pobyt stały: prospekt Wernadzkiego 15/14, m. 26, tel. 130-92-81.

Informacje o przebiegu pracy, krewnych, świadectwa o stanie zdrowia znajdują się w aktach osobowych.

KARIERA KAPITANA UTIERINA

Winogradow, zastępca kierownika grupy szyfrantów Centrum, wróciwszy wraz z szyfrantem Kaszynem z Hawany, polecił młodszemu lejtnantowi Utierinowi, złamać kodowe słowo „kepud”. Lejtnant zrobił to bez wszelkich tablic, lecz uśmiechnął się przy tym ironicznie, z czego pułkownik wywnioskował, że doskonale wie, jak go obrażono. Utierina zdegradowano i podobnie jak Kaszyna przeniesiono do wydziału dziesiątego „Siódemki”. Była to służba obserwacji zewnętrznej. Małomówny i pracowity, otrzymał numer 43-85 i zadomowił się w wydziale. Praca wymagała zręczności i sprytu, czyli wrodzonych cech Władimira, w dodatku była znacznie ciekawsza.

Agentów przywożono do pracy niewielkimi grupami. Kierownik przydzielał punkty obserwacyjne, rozdawał fotografie, wyjaśniał, kto komu przekazuje obiekt w razie niebezpieczeństwa. Obiektami byli cudzoziemcy oraz spotykający się z nimi obywatele radzieccy. Pracownicy zapamiętywali, z kim owi cudzoziemcy rozmawiali, fotografowali te spotkania ukrytymi pod ubraniem mikrokamerami. Władimir nie popełniał żadnych błędów, i wkrótce

awansował — został kierownikiem grupy operacyjnej. Druga wpadka wynikała i tym razem nie z jego winy.

Któregoś dnia zgromadzono w Centrum pracowników służb obserwacji zewnętrznej. Wszystkie bieżące zadania zostały odwołane. Do zebranych przemówił siwy pułkownik w cywilnym garniturze, dotychczas nie znany tajniakom.

— Nasz wywiad, towarzysze, dowiedział się, że na lotnisku Szeremietiewo wylądował udając turystę niejaki herr Zigmaringen, skromny niemiecki biznesmen, wielbiciel malarstwa i muzyki symfonicznej. W rzeczywistości ów Zigmaringen vel Majer, vel Lutthens to agent zachodniemiecki. Zbadaliśmy jego akta (ponad 300 dokumentów) i poprosiliśmy nasze służby w RFN o dodatkowe informacje. Niestety, odpowiedź nie była pomyślna. Przyjazd Zigmaringena jest do tego stopnia utajniony, że pozostaje nam tylko go obserwować. Postanowiono nie stawiać przeszkód Zigmaringenowi, dać mu wizę, nie odmawiać prośbom, nawet jeśli wybiegną poza ustalone przez Inturist trasy wycieczkowe. Jego bagażu nikt oficjalnie nie będzie sprawdzał. Chyba rozumiecie, jak odpowiedzialne powierzono wam zadanie? Tylko w Moskwie zgodnie ze stanem gotowości nr 1 włączamy do działania 456 ludzi i na czas operacji podłączamy was do 12 wydziału*.

Niezbędna ilość waszych ludzi będzie zaangażowana we wszystkich miastach, przez które wiedzie trasa Zigmaringena. Wszyscy nasi pracownicy zatrudnieni jako obsługa w hotelach, na lotniskach, miejscach publicznych, w których ten człowiek się pojawi, zostali już poinformowani. Dalsze instrukcje otrzymacie, gdy cudzoziemiec wylądował. Wymagamy od was czystej pracy. Herr Zigmaringen nawet nie powinien się domyślać, że jest obserwowany. Niech się rozkoszuje wolnością. A wy w razie czego natychmiast kontaktujcie się ze mną!

Były to dla Utierina trudne dwa tygodnie. Gdy biznesmen i znawca muzyki klasycznej herr Zigmaringen, niewysoki, szpakowany, w szarym palcie zbiegł po schodkach z samolotu, a w jego stronę ruszyła tłumaczka, kierownik grupy inwigilującej zameldował z samochodu przez nadajnik radiowy:

— Przyjeliśmy obiekt. Grupa 21-14 przystąpiła do pracy.

A gość, jak gdyby nigdy nic, chodził w Moskwie na koncerty symfoniczne, zwiedzał Tbilisi, pojechał do Taszkientu i Samarkandy. I przez całe dwa tygodnie ani razu nie zatrzymał się na ulicy,

* wydział 12 siódmego wydziału operacyjnego KGB: operacje specjalne związane z inwigilacją.

żeby zagadnąć jakiegoś przechodnia, nigdy nie zainteresował się chemią, choć twierdził, że jest specjalistą w tej branży.

— Po co przyjechał? — zachodzili w głowę wywiadowcy.

— Chciałbym przedłużyć pobyt jeszcze o dwa tygodnie — powiedział niemiecki turysta do tłumaczki. — Jeśli to, rzecz jasna, nie jest zbyt trudne...

— Czegoś pan nie zdążył załatwić? Może ja pomogę?

— Nie zdążyłem zwiedzić Ermitażu i Muzeum Rosyjskiego.

Wizę przedłużono. Utierin został wezwany na kolejną naradę: przeklęty Niemiec będzie ich dręczył jeszcze przez dwa tygodnie!

— Pracujcie ze zdwojoną czujnością! — uprzedził pułkownik. Niewykluczone, że stary wyga płacze za sobą ślady, przytępia naszą czujność i w końcu coś namota. Dokładny przegląd jego bagaży, niestety, nic nie dał!

Przejąwszy obiekt od kolegi nr 43-85 obserwował Niemca na okrągło. Na szczęście, gość nie miał zwyczaju rozglądać się dokoła. Czasem biegał, chwytając tłumaczkę za rękę, tak że Utierin i jego koledzy mogli odsapnąć dopiero w samochodzie.

Wyjechał Zigmaringen dzień wcześniej, niż planował: nagle wymienił bilet na nocny lot wyciągając z łózka wszystkich agentów. Przed wejściem do samolotu ucałował w usta tłumaczkę nr 21-14 i ofiarował jej w prezencie 100 dolarów, które potem oddała za pokwitowaniem do księgowości „Inturistu”.

— Teraz wszystko jasne! — podsumował siwy naczelnik. Zigmaringen zestarzał się, postanowił zerwać z przestępczą działalnością. W naszym kraju odpoczywał. Dobrze pracowaliście, towarzysze, daliście z siebie wszystko!

Dwa tygodnie później wywiad radziecki wysłał do kraju z Izraela kopię informacji o sprawozdaniu, jakie Zigmaringen rozesłał do wywiadów wszystkich państw, zaprzyjaźnionych z RFN. Studiując rosyjską sztukę fotografował pracowników służby obserwacji zewnętrznej, żeby ich mogły rozpoznać zainteresowane wywiady.

Przez cały miesiąc kolegów Utierina przesortowywano i przemieszczano. Jego też wezwano na rozmowę.

— Jak tam u was z dykcją? — spytał jeden z członków komisji. — Uczyliście się w szkole wierszy na pamięć?

— „Burza mgłami niebo kryje, kłęby śnieżnych wichrów gna” — zadeklamował były numer 43-85.

— Jak na początek wcale nieźle! Z czasem się podciągniecie!

Przenieśli Utierina do grupy skandowania, gdzie mu się bardzo spodobało. Ludzie z tej grupy lepiej się ubierali, chodzili w śnież-

nobiałych koszulach i w krawatach, a z kieszonek na piersi sterczały im chusteczki. Kierownik grupy skandowania zapoznał swoich ludzi z Prowem Carskim, ludowym artystą ZSRR, sekretarzem organizacji partyjnej Teatru Małego, któremu polecono w ramach pracy społecznej przygotowywać nowicjuszy. Carski przez całe życie grał Czackiego, ale buntował się tylko na scenie. Zaczął od dykcji. Kazał Utierinowi kilkanaście razy powtarzać frazy w rodzaju „Karol kupił Klarze korale korolu koralowego” lub „Sasza sobie szosą szedł”. Potem podchodził do pianina i brał akord:

— A teraz głośno i dźwięcznie: „Niech żyje partia komunistyczna!” Utierin wykrzykiwał hasło. Carski krzywił się.

— Ciszej, gołąbeczku. Niech żyje — intonacja w górę, partia komunistyczna — intonacja w dół. Więcej uczucia, szczerości, pasji. Niech pan posłucha!

I zabrzączał aksamitnym, profesjonalnym tenorem. Głos uniósł się górę, zawisł tam na chwilę, a potem uroczyście opadł. Gdzie tam eks-tajniakowi do ludowego artysty!

— Zrozumiałe? — spytał Carski uszczęśliwiony własnym talentem. — No przyjaciele, teraz wszyscy razem: „Niech żyje — intonacja w górę — pauza — nasza kochana — krótka pauza — władza radziecka-a-a!”

Pianino potwierdziło słuszność tej myśli potężnym tryumfalnym akordem.

— Nie tak ponuro! Ciepłej, z głębi duszy! Tak, żeby wszyscy goście na sali pragnęli krzyczeć razem z wami. No — artysta zajrzał do kartki — „Niech żyje potężna awangarda naszej partii, jej lenińskie Biu-u-uro Polityczne!”

Po kilku lekcjach Utierin udoskonalił swoje aktorskie rzemiosło. Lecz dawne doświadczenie też się przydawało. Na zjazdach i konferencjach partyjnych członków grupy skandowania równomiernie rozsadzano na salach, tak by każdy z pracowników odpowiadał za grupę delegatów lub deputowanych. Władimir obserwował ruchy rąk podlegających mu widzów. Łokciem mógł niepostrzeżenie zbadać zawartość kieszeni przechodzącego obok człowieka, naciśnąć biodrem teczkę, by zbadać, czy jest twarda i ile ważą znajdujące się w niej przedmioty.

Teksty do skandowania rozdawano pracownikom wcześniej, oznaczając ptaszkami, po jakich słowach referatu kto ma wołać „Niech żyje!”, kiedy należy klaskać, kiedy oklaski mają być burzliwe, po jakim akapicie winny długo nie milknąć, a kiedy wstać i urządzić owację. Do obowiązków należało także rozgrzewanie sąsia-

dów: zachęcanie, by klaskali i wydawali okrzyki. Robiono to tak. Gdy zbliżały się słowa, po których winny były grzmieć klaski, Utierin odwracał się ku swoim sąsiadom z prawej i lewej strony i mówił z radosnym uśmiechem:

— Świetnie powiedziane, prawda? Genialne! Zasłużył na oklaski!

W tym momencie mówca przerywał orację (w jego referacie widniał w stosownym miejscu ptaszek), a Utierin klaskał zachęcając innych własnym przykładem. I niepodobna byłoby ustalić, kto klaszcze z entuzjazmu, kto z grzeczności, a kto po prostu dlatego, że ma taką pracę.

Pracował Władimir solidnie, a wieczorami miał wolny czas. Zamarzyło mu się, by zostać śledczym: gdy ukończył drugi rok wydziału prawa, przeniesiono go do grupy zwalczającej naruszanie zasad radzieckiej moralności.

Zadania były różne. Dyżurowano w pobliżu cerkwi, a w święta, podczas nabożeństw, gdy młodzi próbowali wejść do środka, chwymano ich, prowadzono na bok i bito. Przed ambasadami dawano łupnia Żydom, pragnącym wyjechać do Izraela. Przed uczelniami czekano na studentów, wyjmowano z teczek samizdat, bito studentów kastetami. Ale ostrożnie, żeby nie poranić — w celach wyłącznie wychowawczych.

Potem była praca w grupie wypełniaczy. Zajmowali oni wszystkie miejsca na publicznych procesach politycznych: toteż, choć każdy obywatel miał prawo przyjść na taki proces, miejsc na sali zawsze brakło. Gdy należało kogoś wpuścić, jeden z wypełniaczy niby to przypadkiem wstawał i wychodził zwalniając dokładnie jedno miejsce. Utierin musiał wypełniać sale, gdy przed studentami występował senator amerykański i członek Politbiura włoskiej partii komunistycznej, ludzie ci mogli bowiem powiedzieć nie całkiem to, co trzeba; wypełniał salę Biblioteki Literatury Zachodniej na spotkaniu z socjologiem z RFN, sale wystaw zachodniego malarstwa. Zapelniał też ulice wraz z grupą skandowania, a gdy należało tłuc szyby, współpracował również z grupą do walki z naruszaniem moralności, wyrażając w ten sposób gniew i oburzenie radzieckiego społeczeństwa.

Nadszedł dzień, kiedy Utierin zameldował zwierzchnikom, że ukończył studia. Młodszy lejtnant bezpieczeństwa awansował na kapitana milicji; skierowano go do MUR-u na stanowisko starszego inspektora.

Z Pietrowki Władimir nawet teraz chodzi często piechotą do

metra, zwalniając kroku koło Łubianki. Spacerujący przed gmachem agencji udają zwykłych przechodniów. A przechodnie udają, że nic o tym nie wiedzą. Utiern idzie powoli i robi oko do dawnych kolegów.

— Co słyhać, Wołodia? Ile ci teraz płacą?

— Tyle, ile mogą — cicho odpowiada Utiern udając, że przygląda się pomnikowi Dzierżyńskiego. — A ty wciąż na ulicy?

— Cóż, nie chcą mnie jeszcze przenieść do grupy skandowania.

— Jasne! No to cześć!

Władimir idzie dalej. A agent rozpaczliwie rozciera uszy i nagle, żeby się rozgrzać, biegnie do chłopca z prowincji, który właśnie sfotografował pomnik Dzierżyńskiego.

— Tu nie wolno robić zdjęć! — mówi surowo, odbiera nastolat-kowi aparat i zaświeca kliszę.

37. Trzeba szukać dojść

Pół godziny Zinaida Andrejewna czekała w biurze przepustek, dopóki jej nie wezwano do okienka i nie zwrócono dowodu osobistego z włożoną weń kartką. Serce jej kołatało, myśli krążyły bezładnie. Ale starała się zachować zimną krew, myślała, jak przekazać złą nowinę Igorowi; czy w ogóle można o tym mówić mężowi w jego obecnym stanie zdrowia?

Makarcew nieraz powtarzał żonie, że wie dzie się jej zbyt dobrze. — Jak sobie poradzisz, gdy umrę? — pytał z niepokojem. Zinaida odpowiadała na to ze śmiechem, że jak będzie trzeba, to się nauczy, a w ogóle jest pewna, że on ze swoją energią, nie tylko ją przeżyje, ale się jeszcze raz ożeni. Naturalnie, nie chciałaby tego, ale nie będzie miała wpływu: wszyscy mężczyźni są jednakowi. No i ma teraz okazję przekonać się, czy potrafi być samodzielna. Lepiej, żeby tej okazji nie było. Za co Pan Bóg się na nią pogniewał? Wspomniała o Bogu ot tak, ponieważ spotkało ją nieszczęście. Do tej pory nie był jej potrzebny.

Wytłumaczono jej, gdzie jest pokój śledczego Utierna. Drzwi były zamknięte, więc czekała na korytarzu oparta o ścianę. Mijali ją zaaferowani mężczyźni w mundurach i cywilnych ubraniach. Jednego spróbowała spytać, lecz odmownie pokręcił głową, więc znów stała i czekała. Nie było nikogo, kto by ją chronił przed lekceważeniem. Nikt tu jej nie potrzebował, ale od wszystkich była zależna, i czuła się poniżona. Po czterdziestu minutach (a może nawet po go-

dzinie) zjawił się mężczyzna o wysportowanej sylwetce, nieco prostacki, w mundurze. Wyjął z kieszeni pęk kluczy, odnalazł właściwy i otworzył drzwi.

— Pani Makarcewa? — spytał ochryple nie podnosząc oczu. — Proszę wejść.

Wszedł pierwszy do gabinetu dzwoniąc kluczami. Zinaida Andrejewna, nie przyzwyczajona do takiego traktowania, była bliska łez. Trzeba było zastąpić Igora, być mężczyzną, więc mocno zacisnęła wargi.

— Proszę siadać.

Utierin nawet na nią nie spojrzał, bez pośpiechu zapalił papierosa, zręcznie wyrzucił zapalną za okno i zaczął przeglądać akta. Dym tanich papierosów dopłynął do Zinaidy, która zaniósła się kaszlem.

— Makarcew Borys, syn Igora, urodzony w 1950, narodowość rosyjska, komsomolec — to pani syn? — śledczy spojrzał wreszcie na Zinaidę.

— Mój, naturalnie, że mój! — krzyknęła z rozpaczą, tak jakby ktoś usiłował odebrać jej syna.

— No ta-a-k... Lubi wypić?

— Nie — odpowiedziała po krótkim wahaniu Zinaida Andrejewna. — Lubi sok pomidorowy.

— Pomidorowy... to dobrze.

— No, może od święta po kieliszku z ojcem...

— Z ojcem? Proszę, oto protokół pierwszego przesłuchania... „Wieczorem 15 marca spotkałem się z Kotłowem, moim kolegą szkolnym. Kupiliśmy butelkę wódki i usiedliśmy u niego w domu, żeby pogadać. Przyszedł jeszcze jeden kolega, Diemczenko. Resztę wódki daliśmy jemu. Następnie pojechałem do Domu Dziennikarza, a tam poznałem dziewczynę, imienia nie pamiętam...” Kto to taki, ten Diemczenko?

— Kotłow to kolega Bori z tej samej klasy. A Diemczenko nie wiem, po raz pierwszy słyszę to nazwisko...

— Jak nazywa się dziewczyna, też pani nie wie?

— Nie wiem — cicho odpowiedziała Zinaida Andrejewna i zamknęła oczy.

— No tak... „Postawiłem jej koniak i zaproponowałem wycieczkę za miasto. Ale odmówiła, musiała wracać do domu. Więc sam postanowiłem pojechać za miasto. Dwóch mężczyzn, którzy przechodzili na drugą stronę Kutuzowskiego Prospektu, zauważyłem dopiero wtedy, gdy znaleźli się przed maską, było bardzo ciemno. Wcisnąłem hamulec i gwałtownie skręciłem w prawo, ale oni też

pobiegli w prawo, więc ich potrąciłem. Chciałem zahamować, ale póki myślałem, czy się zatrzymać, odjechałem dość daleko, a wówczas jeszcze dodałem gazu. Gdy byłem już na Szosie Mińskiej, opamiętałem się i stanąłem. Wsiadłem z samochodu, żeby podejść do inspektorów ruchu drogowego...”

— On się tylko przechwala! — zawołała Zinaida — sam siebie szkaluje!

— Zobaczymy — powiedział inspektor przerzucając kartki. — A oto wynik ekspertyzy medycznej... B. I. Makarcew. Godzina i czterdzieści minut po wypadku. Znaczny stopień upojenia alkoholowego.

— Nie mógł dużo wypić!

— Co najmniej dwie szklanki wódki lub koniaku!

— Nikt nie widział przebiegu wypadku! Pewno przejechał ich ktoś inny, a pan oskarża Borysa!

Utierin po raz pierwszy się uśmiechnął.

Oto zeznania świadków: taksówkarz Mamiedow, nr wozu 13-77 MMT. Jechał za „moskwiczem” Makarcewa w odległości stu metrów. Widział, co się stało i z najbliższego automatu telefonicznego zadzwonił na milicję. W pościg ruszył wóz patrolowy. Kierowca śmieciarki nr 91-54 MOP nazwiskiem Okoń jechał z lewej strony naprzeciw. Protokół po wypadku samochodowym... Nadmierna prędkość, ok. 95 km na godzinę. Z prawej strony samochodu widać wgniecenie i krew.

— A ci dwaj? — zawahała się Zinaida, nie wiedząc jak ich nazwać i jak zapytać. — A oni jak?

— Właśnie przyniosłem wyniki ekspertyzy. Sekcja zwłok wykazała obecność alkoholu we krwi obu denatów — w średnim stopniu.

— Więc sami byli sobie winni!

— Gorzej, przechodzili na drugą stronę w niedozwolonym miejscu.

— No widzi pan, przecież mówię! I drogo ich to kosztowało.

— A jakże, kosztowało — Utierin podrapał się w głowę. — To z pewnością pomniejsza winę pani syna. Ale sporo jeszcze zostaje. Pijany za kierownicą — raz. Nadmierna prędkość — dwa. Obaj potrąceni nie żyją — trzy. Nie zatrzymał się, żeby udzielić pomocy — cztery... O wszystkim zadecyduje sąd.

— Sąd? Chwileczkę, proszę poczekać... — oczy Zinaidy napełniły się łzami, dłużej nie potrafiła być silna.

— Niech pan powie, co robić, żeby uniknąć procesu?

Utierin przyjrzał się jej bacznie. Pytanie można było zrozumieć

różnie, lecz samo jego postawienie świadczyło o tym, że rozmówczyni miała jakieś plecy.

— Nie mogę udzielać takich rad. Niech pani sama decyduje.

— Muszę poradzić się męża. Ale on teraz leży w szpitalu. Wie pan, kim jest mój mąż?

— Wiem. Tego dowiedzieć się nietrudno.

— Ja też tak myślę... Ale czy mogłabym zobaczyć syna?

— Prosi pani o widzenie?

— Tak! Tak! Widzenie!

Utierin zgasił papierosa o obcas buta, wrzucił peta do kosza na śmieci, powoli wstał, akta włożył do sejfu, zamknął go i opuścił pokój. Zinaida zdążyła się wypłakać, wytrzeć łzy, doprowadzić się do porządku. Tylko oczy wciąż miała czerwone i opuchnięte. Jeszcze nigdy nie czuła się taka stara.

— Ponieważ jest pani żoną towarzysza Makarcewa, zezwolono na widzenie — w progu znów stanął Utierin. — Tylko że pani syn nie życzy sobie tego.

— To niemożliwe! — zawołała Zinaida Andrejewna zaskoczona jeszcze bardziej odmową Borysa niż tym, co działo się poprzednio. — To nieprawda!

— Jeśli pani chce — powiedział zimno śledczy — możemy go przyprowadzić.

— Siłą? Nie, lepiej nie! Czy mogę odejść?

Podniosła się dumnie z krzesła.

— Podpiszę przepustkę.

Utierin spojrział na zegarek, odnotował na przepustce godzinę, złożył swój podpis. I spojrział w ślad za Makarcewą. „Ci na górze zawsze sobie biorą najładniejsze kobiety” — pomyślał bez zawiści. Zinaida wyszła za bramę nie czując nóg i stanęła, nie wiedząc, co robić, do kogo zwrócić się o pomoc. To drugi cios po zawale Igora! Nieszczęścia chodzą parami. Ale nie powie nic mężowi. Sama będzie walczyć o syna.

Igor choruje, lecz z jego pozycją muszą się liczyć. A ona nie ma prawa się poddać, pozwolić, by nieszczęście zszarpało jej nerwy. Postąpi tak, jak zrobiłby mąż, zacznie od tego co najważniejsze. Należy działać tak, jakby to nie był jej syn, lecz czyjeś obce dziecko, które spotkało nieszczęście i trzeba je ratować. To obowiązek społeczny. Zinaida stanowczym krokiem podeszła do samochodu. Dwojeninow spokojnie drzemał za kierownicą. Schował ręce w rękawy, żeby nie marzły i dosypiał to, co zabrano mu nocą.

— Nie pojedę, Losza... Muszę iść tu niedaleko. Jesteś wolny.

— Rozumiem. Coś się stało?

— Sprawy społeczne — uśmiechnęła się beztrąsko. — Wracaj do redakcji.

Był ranek, jasny i wesoły. Zaczynał się dzień roboczy, Zinaidę spiesznie omijali ludzie. Na ulice wyprowadzano dziecięce wózki. Wszyscy wokół wiedzieli, dokąd idą i co robią. A Zinaida, zdecydowana, że będzie działać, usiłowała skierować myśli w jednym kierunku. Lecz one się rozpełzały, zamiast nich przychodziła inna, niepotrzebna, rozpaczliwa: co teraz będzie? Myśl ta zbijała z tropu, przeszkadzała innym myślom, podsycala panikę.

Potrzebny jest jej kompetentny doradca. Nie przyjaciółka, która zacznie biadolić, a potem obdzwoni wszystkich znajomych: „Słyszeliście, jakiego to synalka mają Makarcewowie?” Potrzebny jest prawnik. Trzeba natychmiast odszukać Korienia.

Samuel Aronowicz Korień, jeden z wiceprzewodniczących moskiewskiego kolegium adwokackiego, był przyjacielem jej pierwszego męża. Posadzili ich w tym samym czasie. Po rehabilitacji Korień kilka razy dzwonił do Zinaidy, usiłując odnowić przyjacielskie więzi, lecz ona nie miała na to ochoty. Po co wspominać dawne dzieje? Zresztą obecne stanowisko Igora wymagało przemyślanego doboru przyjaciół. Teraz, wygrzebawszy z torebki kilka dwukopiejkowych monet, dodzwoniła się do Samuela Aronowicza bez trudu. Korień szczerze się ucieszył, wypytywał, co słyhać. Gdy jednak się dowiedział, że synowi Zinaidy grozi sprawa karna, natychmiast zaprosił ją do siebie.

Wysiadła z taksówki przed starym obdrapanym budynkiem, weszła nie zdejmując futra do pokoju pełnego krzesel i ludzi i natychmiast odnalazła zwalistego, przygarbionego Korienia. Wstał i ruszył jej na spotkanie, objął ją i jak za dawnych czasów pocałował w oba policzki, potem posadził na krześle, poprosił, by chwilę poczekała. Samuel Aronowicz postarzał się, jego lysina rozpełzła się na wszystkie strony, sine policzki z czerwonymi żyłkami zwiotczały, czarny garnitur obsypany łupieżem i popiołem od papierosów nie leżał na nim, lecz wisiał. Zinaida pomyślała, że widocznie kiepsko u niego z nerkami, a i serce chyba nawala. Żydzi wcześniej dojrzewają i równie wcześniej się starzeją. Dotyczy to nie tylko mężczyzn. Zdziwiła się, że zapomniała na chwilę o synu, lecz chaotycznie krążące myśli nie chciały jej słuchać.

— No, madame, jestem do dyspozycji! — otrząsając marynarkę z popiołu rzekł z galanterią Samuel Aronowicz. — Mam nadzieję, Zino, że twój mąż nie chce rozwodu?

W swoim czasie Korień, na prośbę Flejtmana, szybko załatwił w sądzie jego rozwód z Zinaidą. Ale teraz Zinaida Andrejewna nie potrafiła reagować na żarty, obejrzała się, czy przypadkiem ktoś nie słyszy.

— Nie martw się! — dotknął zreumatyzowanymi palcami jej ramienia. — Tutaj każdy martwi się o własne sprawy...

— Bob przejechał dwie osoby — rzekła szybko — Obie nie żyją...

Zacisnęła zęby, żeby powstrzymać łzy, lecz nic z tego nie wyszło — lunęły niczym woda zza przerwanej tamy. Wyjęła chusteczkę, całą moką. Korień nie pocieszał jej, odczekał chwilę.

— Jest pełnoletni? Ma prawo jazdy? Jechał własnym wozem? Był trzeźwy? Z jaką jechał prędkością?

Pytania sypały się jedno za drugim, a Zinaida kiwnięciem głowy potwierdzała lub zaprzeczała.

— Nie zatrzymał się? No, to jeszcze nie największy błąd. Co takiego? Ależ zachował się fatalnie, im dalej, tym gorzej. To naturalne w jego sytuacji. A gdzie był przedtem? Co robił? Jak to — nic jeszcze o tym nie wiesz? No dobrze, wszystko to da się wyjaśnić. Ale fakt pozostaje faktem. Nie można o wszystko go oskarżyć, to jeszcze dzieciak. Gdyby był starszy, od razu by się połapał, że trzeba zostawić wóz i wiać. Tak, tak! Zatelefonować do GAI i powiedzieć, że skradziono mu samochód. Kto wie, czy by coś mu wtedy udowodnili. A propos, co na to twój mąż?

Wyjaśniła, jak wygląda sytuacja. Samuel Aronowicz schwycił się za głowę.

— Po co do mnie przyjechałaś? Nawet jeśli znajdę najlepszego adwokata... Nie miałby żadnych szans.

— Więc co robić? — wyszeptala.

— Szukaj dojsć. Bez męża chyba nie dasz rady. Spróbuj, ale nie sądzę, by się udało. Tylko się nie załamuj, rób wszystko, co możesz.

— Ale co ja mogę?! Co?

— Nawiąż kontakt z rodzinami ofiar. Pomóż im, spełnij ich żądania. Masz pieniądze?

— Półtora tysiąca na książeczkę oszczędnościowej...

— Tylko tyle?!

— Nigdy nic nie odkładaliśmy, a wydatków bieżących mamy sporo.

— Podrzucić tym rodzinom jakieś deficytowe towary. Żony ofiar będą składać zeznania!

— Jak ja tych ludzi znajdę!?

— Sprawa jest jeszcze w MUR-ze? Kto ją prowadzi? Spróbuję się dowiedzieć. Zadzwoni do mnie. Nawet nie obdarzyłem cię żadnym komplementem. Takie życie — istny dom wariatów. Spotykamy się,

kiedy coś się stało, a jak nie, to nikt nikomu nie jest potrzebny. Nie uwierzysz, ale ja nie mam już nikogo, nawet krewnych. Żyją, tylko że spotykamy się wyłącznie na pogrzebach, jak ktoś umrze. Może w niebie urządzimy sobie *rendez-vous*? No, Zineczko, nie rozpaczaj...

Gdy wyszła na ulicę, zerknęła na mały zegarek. Czas do szpitala. Jeśli nie zjawi się o umówionej porze, Igor będzie się denerwował. Złapała taksówkę i pojechała na Szosę Rublowską, przysięgając sobie w głębi ducha, że powita męża uśmiechem, tak jakby nic się nie stało. Zanim weszła na górę, zadzwoniła ze szpitalnego holu do garażu i zamówiła wóz.

Igor Iwanowicz czuł się znacznie lepiej. Włączyli mu nawet telefon, więc humor miał o niebo lepszy. Zinaida wypytywała go o samopoczucie, trochę skrzyczała z powodu telefonu i chętnie rozmawiała na różne tematy, byle tylko nie wypytywał o syna. Ale mimo wszystko coś zauważył.

— Co ci dolega, Zino?

— Nic takiego, mój kochany. Raz w miesiącu zawsze czuję się kiepsko. Wiecznie szukasz dziury w całym...

Utyskiwała z przesadą, byle dał jej spokój. Gdy wróciła do domu, poczuła głód: nie jadła dzisiaj nic, a należało się przymusić, żeby nie tracić sił. Jadła nie czując ani smaku, ani zapachu, zastanawiając się, czy warto dzwonić do przyjaciół Igora. A może to pogorszy sprawę? Ukryć i tak się nie uda. Kto pomoże, jak nie oni? Igor też zawsze gotów jest przyjść im z pomocą. Wiedziała, że mąż rzadko o cokolwiek prosi ludzi z KC, na ogół wykorzystuje przyjaciół w ministerstwach i resortach. Postanowiła działać podobnie.

Przyniosła telefon na tapczan i zadzwoniła do Dieriuginów. Paweł Łukianowicz był jednym z wiceprzewodniczących Gosplanu. Od wielu lat Makarcewowie i Dieriuginowie spędzali razem święta, ich dacje stały w sąsiedztwie, dzieci chowały się i dorastały razem. Usłyszawszy głos Zinaidy pani Natalia ucieszyła się.

— Co tam u was słyhać? — zapytała. — Jak tam Igor Iwanowicz? Kiedy wyjdzie ze szpitala?

— Wkrótce. Ale stało się nieszczęście, pani Natalio, nasz Bob...

— Co takiego?

Makarcewa zaczęła opowiadać, dając rozmówczyni do zrozumienia, że milicja czeka tylko na polecenie: jeśli zadzwoni ktoś ważny, Borysa wypuszczą...

— Przecież to zabójstwo... — wyszeptała Natalia Siemionowna. — A poza tym, jak pani to sobie wyobraża, kto będzie dzwonił?

— Myślałam, że Paweł Łukianowicz. Mógłby skontaktować się ze Szczolokowem. Nie żeby wywierał presję, skąd, niech tylko da do zrozumienia, że decyzja w tej sprawie zostanie podjęta na wyższym szczeblu...

— Naturalnie, powtórzę mężowi — po chwili milczenia zdecydowała Natalia Siemionowna. — Ale chyba się nie zgodzi. To nie jego resort.

— Może lepiej, żebym sama zadzwoniła?

— Po co? I tak za chwilę będę telefonowała do męża, żeby napił się wody mineralnej. Miał w nocy zgagę. Jak się zgodzi, przedzwonię do pani. Chociaż wątpię. Sama pani wie, jaki jest skrupulatny... Zwłaszcza gdy chodzi o sprawy prywatne. Serdecznie pani współczuję!

Po krótkim wahaniu Zinaida wykręciła numer Rigo Artemiewicza Badaliana, przewodniczącego Komitetu Państwowego do spraw energii atomowej, i na szczęście zastała go w domu. Rigo Artemiewicz szczerze się przejął: syn Makarcewa to niemal jego własne dziecko! Zrobi wszystko, co będzie mógł, a może nawet jeszcze więcej. Zająłby się tą sprawą natychmiast, ale, niestety, za półtorej godziny wylatuje do Włoch, będzie w Moskwie za miesiąc. Wówczas można będzie wrócić do sprawy, zastanowić się, co robić, jak ratować chłopaka...

— Dzięki, Rigo! To późno, ale mimo wszystko dzięki!

Raz jeszcze przewertowała notes z telefonami i znalazła wpisany tam przez Igora Iwanowicza numer Szaptały. Ignacy Daniłowicz Szaptała pracował w dnipropietrowskim obkomie i w KC Kazachstanu wraz z towarzyszem Krzaczystym, obecnie był zastępcą kierownika wydziału organów administracji. Jego interwencja mogłaby zmienić niejedno. Szaptałowie często odwiedzali Makarcewów. Igor Iwanowicz i Szaptała często jeździli razem za granicę. Z żoną Szaptały Tamarą Bogdanowną, okrągłutką, wciąż odmładzającą się babcią, Zinaida Andrejewna dwukrotnie wypoczywała w sanatorium i panie były w przyjaźni.

Tamara Bogdanowna zatrajkotała wesoło, opowiadając o wnukach, które włożą jej na głowę.

— No, a co u pani?

Zinaida wyjaśniła, co się stało. Tamara Bogdanowna umilkła, a potem nagle zapytała:

— Co teraz będzie z Igorem Iwanowiczem?

— Mąż o niczym nie wie. Nie chcę go martwić.

— Ależ ja nie o tym mówię, moja droga! Jak to wpłynie na jego pozycję?! Syn w więzieniu!

— Ja do tego nie dopuszczę! — zawołała Zinaida. — Może Ignacy Daniłowicz mógłby pomóc, zadzwonić do Szczelokowa.

— Nie może tego zrobić... Nadszarpnęłoby to jego autorytet.

— Tamaro Bogdanowno, błagam, niech pani zapyta męża!

— Nawet nie zamierzam, proszę to sobie wybić z głowy! W jego sytuacji to niemożliwe. Jeśli kogoś poprosi, potem ten ktoś pierwszy mu to wytknie. Nie ma mowy, Zinaido Andrejewno. Zresztą, byłoby to bezprawie.

— Cóż z tego, że bezprawie! — krzyknęła zrozpaczona Zinaida. — Ale to nasz jedyny syn! Cóż z tego, że to nieuczciwość.

— Sama jestem matką, mam już nawet wnuki. Ale nie pozwolę mieszać w to mojego męża. Moja kochana, proszę do nas nie dzwonić, póki wszystko się nie wyjaśni. Kto wie, co może się zdarzyć... Pani też dla dobra męża zrezygnowałaby z ryzykownej przyjaźni.

Zinaida przez jakiś czas tępo patrzyła w sufit. I nagle zadrżała. O nie, nie podda się. Musi dalej próbować. Zatelefonowała do Korienia.

— Zino, już coś wiem. Ci dwaj zabici to robotnicy, nałogowi pijacy. Obaj znajdowali się w ewidencji przychodni antyalkoholowej, jednego przymusowo leczono. Żona tego drugiego jest chyba nawet zadowolona z tego, co się stało. Powiedziała, że wreszcie odechnie. Ma sześćioletnie dziecko. W drugiej rodzinie jest dwójka dzieci, jedno psychicznie chore. Wystaraj się o sanatorium dla tego małego. Musisz ich ułagodzić, obiecać złote góry. Zapisz adresy.

38. Noc w Nowosybirsku

Iwlew powoli wszedł po schodach na piętro, a potem do pokoju. Na Syberii panował mróz, wiosna była jeszcze za górami. W podszytej wiatrem jesionce Wiaczesław niemal godzinę jechał wyiębionym, potwornie zatłoczonym autobusem. A półbuty miał na gumowej podeszwie, w środku nieocieplane. Chodził po mieście z opuszczonymi uszami czapki, z tasiemkami zawiązanymi pod brodą, tym też się różnił od zahartowanych Sybiraków.

Dziś skończył artykuł dla Rappoporta. Ukaże się to dziełko w „Prawdzie Robotniczej” pod nazwiskiem Daniłowa — sekretarza obkomu do spraw agitacji i propagandy. Daniłow miał opowiadać o tym, jak masy pracujące regionu nowosybirskiego, skupione wokół ukochanej partii czekają niecierpliwie na subotnik. Pomocnik sekretarza dał Iwlewowi stare referaty, z których Wiaczesław wyciął trzy

fragmenty (z lokalnymi cyframi i faktami). Resztę dodał od siebie. Autoryzując tekst Daniłow czytał go z niezadowoleniem. Krzywił się, sugerował, że Iwlew zniekształcił słowa, których nie wypowiedział, ale które miał na myśli. Wykreślił akapit z krytyką lokalnych porządków: „To niepotrzebne.” Wreszcie podpisał się, wręczył Iwlewowi tekst i oświadczył:

— Można drukować.

Żadnym wspomnieniom Daniłow nie pozwolił wypłynąć z pamięci, a przecież mógłby. Sławek wiedział, że dwa lata temu „Prawda Robotnicza” zadarła z rejonowym komitetem partii i Makarcew przegrał w tym konflikcie. Redakcja miała wtedy w Nowosybirsku własnego korespondenta — młodego, energicznego chłopaka o wyrazistym nazwisku Przydybajło. Gdy tylko w Moskwie ukazał się pierwszy interwencyjny reportaż, wezwano Przydybajłę do Daniłowa. Sekretarz zganił go łagodnie:

— Czemu nas kompromitujesz na cały kraj, kochasiu? Nie mam nic przeciwko krytyce, nawet ją lubię, ale krytkować trzeba ze znajomością tematu... A tu widzę czystą kpinę... Jesteś nowy, nie wszystko wiesz, mnóstwa rzeczy nie widziałeś. Gdybyś przyszedł do obkomu ze swymi wątpliwościami, podpowiedzielibyśmy ci, co i jak... Masz łeb na karku, mógłbyś rzeczywiście pomóc regionowi. A ty wypisujesz duby smalone, aż strach czytać!

Po drugim krytycznym reportażu Daniłow znów wezwał Przydybajłę:

— Zachciało ci się prać publicznie nasze brudy? Taki, powiadasz, jest twój zawód? W porządku! Skoro ty nam nie chcesz pomóc, my też cię nie poprzemy. A propos — już otrzymaliśmy sygnał: wczoraj wieczorem, w restauracji „Ob” wyrażałeś się niecenzuralnie w obecności kobiet. Widziano cię w stanie alkoholowego upojenia.

— To niemożliwe! Nie piłem, nikomu nie urągałem.

— Nie byłeś wczoraj w restauracji „Ob”?

— Byłem! Ale sam i z nikim nie rozmawiałem. Zjadłem kolację i wyszedłem.

— No widzisz! Nawet nie pamiętasz, w jakim wyszedłeś stanie! Ale widziano cię — rwałeś się do bijatyki. Uważaj, nie skompromituj swojej gazety! Dobry z ciebie chłopak i chyba niegłupi. Ale brak ci poczucia rzeczywistości.

— Poczucia czego?

— Czasu i przestrzeni, chłopie! Osobiście nawet mi się podobasz. Nazwisko też masz ładne. My, Sybiracy, jesteśmy gościnni. Daliśmy ci samochód, mieszkanie, wszystko, co trzeba. Ale milicja,

sam wiesz, jednakowo traktuje wszystkich. Wszyscy są równi wobec prawa.

Ostrzeżony po raz drugi Przydybajło powinien był wreszcie zrozumieć, że musi mieć się na baczności. Ale on był chyba zbyt młody, rozpierała go pryncypialność, więc przygotował trzeci krytyczny materiał. Nie skrytykował w nim obkomu, ale niższe władze — oblispolkomowskie. „Prawda Robotnicza” wydrukowała i ten artykuł, gdyż prasa centralna lubi wytykać błędy prowincji. Regionalne władze bezpieczeństwa już otrzymały ustne polecenie obkomu: zainteresujcie się tym Przydybajłą. Gdyby w jego dowodzie osobistym zamieszczono adnotację, że był karany, nigdy już nie mógłby pisać, nawet do gazetki ściennej. Co gorsza, nie mógłby nawet mieszkać w największych miastach kraju. Makarcew wycofał się i zabrał Przydybajłę z Nowosybirska.

Zrozumiałe więc, że korespondenci z prowincji chwalili władze lokalne. Gdy gazeta moskiewska otrzymywała polecenie skrytykowania owych władz, musiała tam wysłać własnego korespondenta.

Artykuł Daniłowa był już gotowy. Reszta czasu przed powrotem z delegacji należała już wyłącznie do Sławka. Dawniej, gdy znalazł się sam jeden w obcym mieście, najchętniej leżał w hotelu pod ciepłą kołdrą, rozmyślał, pisał lub spał. Ostatnio jednak stał się trochę ruchliwszy. Tu, w Nowosybirsku, chodził po nie znanych sobie instytucjach z notesem i ogryzkiem ołówka. Specjalnie ciął ołówki na maleńkie kawałki, temperował je i wrzucał do kieszeni, by zawsze mieć pod ręką. Zapisał już trzeci notes, a gdy wieczorem w hotelowym pokoju, czytał swoje notatki, najbardziej interesujące było w nich to, co ludzie zastrzegłszy się: „tego proszę nie zapisywać!” lub „To nie nadaje się do druku.” Kiwał wtedy ze zrozumieniem głową i pytał: „A jakie macie sukcesy?” „Co pochwalić?” Opowiadali mu o sukcesach, a on zapisywał to, co powinien był usunąć, gdyż nie nadawało się jakoby do druku.

Przed drzwiami swego pokoju zaczął szperać w kieszeniach, żeby odnaleźć klucz.

Nagle ktoś cicho zawołał:

— Wiaczesławie Siergiejewiczu!

W małym holu, pod palmą gnijącą w drewnianej donicy, przy-ciskając do piersi rękawiczki siedziała Nadia.

— Zwariowałaś! — powiedział zdrętwiałymi wargami.

— Aha — zgodziła się dziewczyna. Uśmiechała się uszczęśliwiona, lecz obawiała się do Iwlewa zbliżyć.

— Wejź! — wpuścił ją do pokoju. — Co też ci przyszło do głowy!

— Sama się dziwię. Jesteś sam?

— Nie, to pokój dwuosobowy. Ale sąsiada chyba nie ma. Dyżurna widziała cię?

— Niestety. Dałam jej w prezencie angielskie rajstopy. Nie obawiaj się, ja tylko na chwilę. Zaraz wracam do Moskwy. Jest taki nocny lot.

— Ty chyba rzeczywiście masz fioła — zakręcił palcem koło skroni Iwlew. — Pięćdziesiąt cztery ruble w jedną stronę, tyle samo w drugą i nawet nie pocałujemy się?

— Dlaczego nie? — Nadia zdjęła futro i rzuciła się Iwlewowi na szyję. — Utyłeś w tym Nowosybirsku.

— Włożyłem na siebie wszystko, co miałem. Jestem jak sople lodu...

— Nie starczy mi energii, by roztopić lód. Macie tutaj prysznic?

— Chyba jest gorąca woda...

— Natychmiast pod prysznic, bo się zaziębisz!

Rozbudził w niej macierzyńskie uczucia. Był jej synem, wyróżnionym i niepraktycznym.

— Szybciej, szybciej! — poganiała Iwlewa ściągając z niego palto, marynarkę, koszulę, spodnie — I nie wchodzi boso na zimną posadzkę!

Skulony wszedł pod szeleszczące strumienie wody i mocno zaciśnął powieki. Nadia weszła za nim. Wodny pył dosięgał ją, osiadał na włosach, na ubraniu. Przyglądała się Iwlewowi tak, jakby koniecznie chciała zapamiętać jego proporcje, by potem z pamięci rysować.

Pod prysznicem, wokół którego kłębiła się lekka para, wyścielając ciasne pomieszczenie, stał obcy człowiek. Tylko taka idiotka jak ona mogła niemal sześć godzin lecieć z Europy do Azji, by na niego jedynie spojrzeć, rozebranego i skostniałego z zimna. I cóż, patrzy na niego — i nic nie czuje. Może lecieć z powrotem. Zresztą niech tam. Skoro zapędziła Iwlewa pod prysznic. To do końca będzie mu matkować.

Wzięła leżącą na półce myjkę, zmoczyła ją, namydliła. Wyciągnęła Iwlewa spod wody i zaczęła go namydlać począwszy od głowy, nie szczędząc nosa, warg, uszu. A on stał pokornie, nie otwierając oczu. Stała na palcach, odwróciła go, roztarła mu do czerwoności plecy, znów odwróciła i równie mocno roztarła brzuch. Potem, nie chcąc Wiaczesławowi sprawić bólu, odłożyła myjkę, namydliła ręce i myła nimi pewne miejsce na oślep, patrząc na jego twarz, która

zaczęła szybko ożywać. Znów wepchnęła go pod prysznic, by zmyć pianę i postanowiła, że za chwilę włoży futro, cicho wyjdzie, pojedzie na lotnisko. Z centrum jedzie się tam ponad godzinę, więc mogłaby się spóźnić na ostatni lot do Moskwy.

Odwróciła się, żeby odejść, lecz Wiaczesław schwycił ją za spódnice i przyciągnął do siebie.

— Puszczaj, chuliganie!

Ale on z uporem ciągnął ją ku sobie.

— Puść natychmiast! Zmoczysz mi spódnice, może nawet porzujesz... A ja nie mam zapasowej.

— Podrę — rzekł Iwlew.

— Spieszę się! A w ogóle to na mnie nie zasługujesz. Cześć!

— Nie zasługuję — zgodził się i obiema rękami wciągnął Nadie pod prysznic.

Usiłując się wyrwać uderzyła go w rękę, a potem w twarz. Ale nadaremnie — już była cała mokra. Nawet w botkach chlupotała woda. Po plecach, pod ubraniem, ciekły strumienie wody, splątane włosy zasłoniły twarz.

— Odczep się, dzikusie!

Ugryzła Iwlewa w ramię, ale on nie zwrócił na to uwagi. Opadł na kolana, wymacał suwak i odpiął go. Mokra, ciężka od wody spódniczka opadła na posadzkę. Nadia próbowała go walnąć kolanem w szczękę, szarpała za włosy, lecz on nie czuł bólu. Przytulił się do niej twarzą. A ona przestała walczyć, stała bez ruchu trzymając go za głowę. Oczy jej zastygły. Przelknęła powietrze i poczuła, że własne ciało nie należy już do niej. On jest teraz jego panem. Gryząc wargi, żeby stłumić krzyk polykała wodę zalewającą jej usta.

— Koniec! — zawołała nagle ochryplym głosem, tak jakby się ucieszyła z odzyskanej wolności.

Ciało znów stało się wolne, należało do niej. Żeby ostatecznie powrócić na ziemię zamknęła kran z gorącą wodą. Teraz lała się tylko lodowata. Iwlew jak oparzony wybiegł spod prysznic. Nadia z trudem ściągnęła z siebie resztę ciuchów i rozwiesiła to wszystko na kaloryferze. Wiaczesław poszedł się ubrać i po chwili wrócił.

— Przyszedł ten drugi gość — powiedział szeptem. — Śpi w ubraniu. Chyba jest pod gazem...

— Co zrobimy?

— Nie przejmuj się!

— Daj mi swoją koszulę. Wszystkie moje rzeczy są mokre.

Nie zapalając światła wślizgnęli się pod koc. Nadia co chwila zerkała na łóżko w przeciwległym kącie — pochrapywał tam jakiś typ.

- Kto to?
- Chyba inżynier... Zdaje się, porządny chłop.
- Dla ciebie wszyscy są porządni, panie dziennikarzu! Mój Boże! Gdybyś wiedział, jakie to szczęście przytulić się do ciebie plecami! Mój główny organ to plecy. Jak mi woda pociekła za kołnierz, myślałam, że zemdleję, tak mi było dobrze.
- A czy to nie moja zasługa?
- Nadia odwróciła się ku niemu, zasłoniła dłonią usta.
- Wiesz, myślałam, że po tym, co się stało w gabinecie Makarcewa, szybko mi to przejdzie, ale skąd. Powiedz, jestem już kobietą?
- Prawie!
- Jak będę prawdziwą kobietą, chyba oszaleję ze szczęścia!
- Zmyślasz, dziewczyno!
- Naturalnie! — przytaknęła gorliwie Nadia. — Powiedz, dlaczego nie jesteś wulgarny? Mężczyźni zazwyczaj są tacy...
- Obudził ich sąsiad. Pluł i parskał nad umywalnią. Potem wrócił w bieliźnie i zaczął się ubierać.
- Wybacz, stary! Widzisz, jak wyszło... — rzekł Iwlew i ziewnął.
- Zdarza się, chłopie!
- Nadia wołała udawać, że jeszcze śpi. Sąsiad zniżył głos do szeptu.
- No, a kobitka jak? W porządku?
- Owszem, zna się na rzeczy — pochwalił Iwlew.
- Ostrożnie przesunąwszy rękę pod kocem w dół Nadia tak ścisnęła pewną „rzecz”, że Iwlew stęknął.
- Co ci jest? — spytał sąsiad.
- Przygryzłem sobie język — odpowiedział Wiaczesław.
- Nadia zachichotała pod kocem.
- Nie ma pani koleżanki?
- Mam — chętnie odpowiedziała Nadia wysunąwszy głowę spod koca. — Tylko że ona ma zasady.
- Jakie, jeśli to nie tajemnica?
- Skąd, żadna tajemnica: najpierw ślub, a dopiero potem łóżko.
- Nic z tego — powiedział sąsiad. — No, czas na mnie... Do zobaczenia wieczorem.
- Niech ci się szczęści! — Sławek na pożegnanie pomachał mu ręką.
- Tobie również!
- Gdy sąsiad wyszedł, Nadia wylazła spod koca i kręciła się naga po pokoju.
- Powiedz, nie jesteś o mnie zazdrosny?
- Nie!

— Dlaczego? — warknęła urażona. — Na przykład z Saszą Kakabadze byłam w teatrze...

— No i na zdrowie!

— Dziwny jesteś... Mógłbyś przynajmniej udać, że jesteś zazdrosny... Podeszła do okna, odsunęła zasłonę, otworzyła notes Iwlewa i zaczęła przewracać kartki.

— Słuchaj, dlaczego w Nowosybirsku ludzie są tacy źli?

— A w Moskwie niby lepsi? No i jak? Smakuje?

Nadia zaczęła głośno czytać:

„Dla mnie dziennikarz to ideał człowieka, postać z gruntu szlachetna. Zresztą, jeśli okoliczności zmuszą mnie do tego, by wyruszyć gdzieś daleko i rzucić dziennikarstwo, nie będę płakał...” Czyje to słowa? Twoje?

— Nie, to Pisariew.

— Ależ to nie ma sensu, Sławek! Pisariew walczył o lepsze jutro sto lat temu, a co się od tamtej pory zmieniło?

— A ty? Ty czego pragniesz?

— Ja? Ja pragnę, żeby było dobrze mnie i tobie. Czy nie wszystko jedno, co stanie się później?

— Mnie nie jest wszystko jedno.

— Dzieciak z ciebie! Po co wyjaśniać komuś, kto wszystko rozumie? Bo ten, kto nie rozumie, ma wszystko w nosie. Wyraźnie jesteś pod wpływem Rapa!

— Owszem. I jestem mu za to wdzięczny...

— Ja też. Ale bądź ostrożny.

Patrzył na Nadię i golił się.

— Zaraz polecę, nie obawiaj się!

Złapała wysuszone, lecz zmięte ubranie, szybko włożyła je na siebie, schwyciła futro.

— Do redakcji nawet wieczorem nie zdążę dojechać — powiedziała. — Aha, omal nie zapomniałam. Przecież przyleciałam po radę. Syn Makarcewa przejechał dwie osoby.

— Coś podobnego! — Iwlew wyłączył elektryczną golarkę i nagle zrobiło się cicho. — Jak nie wyciągną go z tego, będzie się miał z pyszna...

— A ja? Bo i ja z nim piłam...

Wiaczesław zdębiał. Chciał o coś zapytać, lecz tego nie zrobił i Nadia właściwie oceniła jego wielkoduszność.

— Chyba to ja jestem winna.

— Głuptas! A ty co masz z tym wspólnego? Trzymaj język za zębami, smarkata!

— Ale oni już wiedzą. Znaleźli u niego mój numer, zapisał go na pudełku od papierosów. Powiem, że to ja go upiłam.

— Jemu to nic nie pomoże, a tobie zaszkodzi. On nazywa się Makarcew, a ty jak?

— Nadia Sirotkina — odparła z uśmiechem.

Odwróciła się gwałtownie i wyszła. Iwlew stał i milczał. Przechodząc koło drzwi wskazała palcem łóżko sąsiada.

— W nocy, gdy spadł z nas koc, gapił się na mnie. Zauważyłam to. Wyzwij go na pojedynek!

— Masz to i owo, na co warto się gapić.

— Komplement na jego poziomie! Cześć!

39. Jagubow podejmuje decyzje

— Mogę prosić do telefonu towarzysza Kaszyna? Walek, to ty? Głos ci się zmienił?

— Kto mówi?

— Nie poznajesz starych przyjaciół? Utierin.

— Wołodia! Kopę lat! Wpadłbyś kiedy...

— Mam mnóstwo roboty.

— A ja myślałem, że żołnierz nawet gdy śpi, jest na służbie.

— Chciałbym zasięgnąć twojej rady, Walek...

— Dla ciebie wszystko!

— No to słuchaj. Pracuje u was niejaki Igor Makarcew?

— Jak to, nie wiesz?

— Muszę wiedzieć! Jego żona przybiegła do mnie z krzykiem: „Pan nie wie, kim jest mój mąż!”

— A o co chodzi?

— O co? Hmm... prowadzę śledztwo w sprawie ich synalka. Czemu milczysz? Dzwonię do ciebie po starej znajomości. Z jednej strony — żeby cię przygotować, z drugiej — żeby samemu się nie zbłąźnić. Pracuję tu od niedawna. Na co mi kłopoty? Ja mam swoich zwierzchników, a ty swoich. Ale na górze obaj mamy wspólnych. A co oni wymyślą, Bóg raczy wiedzieć...

— Trudne pytanie, kolego. Chyba musimy słuchać naszych bezpośrednich zwierzchników. A inni w razie czego wprowadzą poprawki. I wtedy będziesz ich słuchał. Ale co ja mam robić? Krótko mówiąc, informuj mnie o sprawie, a ja będę informował ciebie. Zgoda?

Kaszyn odłożył słuchawkę i przez jakiś czas siedział bez ruchu

z oczyma wlepionymi w akwarium. Młodego Makarcewa widział dwa razy, kiedy wioził do szefa ważne dokumenty; Igor Iwanowicz zapomniał je podpisać przed wyjazdem za granicę. Zwyczajny chłopak, nic podejrzanego. Ale co teraz będzie? Trzeba natychmiast zawiadomić Jagubowa.

Jagubow, który przeglądał jakieś papiery, słuchał niezbyt uważnie, lecz przy słowach „potrafił samochodem dwóch pieszych” zerwał się z krzesła, stanął na palcach i zaczął się kołysać. Jego brwi ściągnęły się.

— Niestety! Można powiedzieć tragedia. Nie wiesz, ile za coś takiego dają?

— Do piętnastu lat...

— No tak. Tragedia dla całej redakcji... Mówiłeś o tym komuś?

— Skąd! Przed chwilą dzwonił do mnie kolega z MUR-u.

— Doskonale! Ale my nie będziemy bić piany.

— Rozumiem, Stiepanie Trofimowiczu.

Gdy Jagubow został sam, podrapał się w brodę i podszedł do okna. Zbliżył twarz do szyby — chłodne powietrze z otwartego lufcika pomagało się uspokoić. Czegóż takiego się nie spodziewał. Niesamowity pech! Biedny Igor Iwanowicz! Najpierw zawał serca, a teraz historia z synem! Miejmy nadzieję, że tam, na górze, zrozumieją sytuację.

Ludzie mniej sentymentalni pomyślą, że można było się tego spodziewać. Zastępca członka KC nie najlepiej wychował syna. Chłopak od dawna robi, co chce, Igor Iwanowicz nieraz się na niego skarżył. Mówiąc uczciwie, byłyby to zarzuty uzasadnione. Niestety swoją drogą, a wina swoją. Przy takim sposobie myślenia Duży Dom inaczej zinterpretuje ten incydent.

Zawał? Przykro tak nawet myśleć, lecz bądźmy obiektywni: Igor Iwanowicz prowadził tryb życia daleki od doskonałości. Lubił sobie podjąć, wypić. A przecież wypoczywać po pracy trzeba koniecznie, brak wypoczynku źle świadczy o działaczu partyjnym. Szef mawiał, że przez całe życie chciał uprawiać gimnastykę. Ale kiedyś stwierdził, że zacznie się gimnastykować dopiero wtedy, gdy zawiozą go w trumnie na cmentarz: będzie wstawał wczesnym raniem, zanim pojawią się wycieczki, i biegał wokół własnego grobu. W naszych warunkach, kiepskie zdrowie to duża wada. Zwłaszcza gdy takiego pracownika można bez uszczerbku zastąpić innym, bardziej aktywnym.

Zaczną się zastanawiać, czy taki styl życia nie upowszechnił się w kolektywie. I trzeba będzie uczciwie się przyznać: owszem, w

naszej redakcji panuje chaos, bałagan, brak dyscypliny. W takich warunkach czujność polityczna też słabnie. Tam gdzie jest wilgoć, pojawia się pleśń. Dzisiaj niepokoi się tym on, Jagubow, jutro miejski komitet partii, a pojutrze — Duży Dom. Sprawa syna Makarcewa to niepokojący sygnał, zrobimy błąd, nie wyciągając z niej wniosków. Leży to również w interesie Igora Iwanowicza.

40. Nie chce człowiek mieć za złe, ale musi

Gdy Zinaida Andrejewna wychodziła z MUR-u, Rappoport właśnie się obudził i to dwie godziny wcześniej niż zazwyczaj. Długo jęczał, sapał, stękał, zanim zwłókł się z łóżka. Kręcił się bez końca w stroju niedbałym po mieszkaniu, mamrotał, że szefowie nie dają mu spokoju nawet w nocy. Mimo to przywłókł się do redakcji półtorej godziny wcześniej niż zwykle.

Gmach „Prawdy Robotniczej”, wzniesiony na początku lat trzydziestych, gdy w architekturze moskiewskiej był jeszcze modny konstruktywizm i Corbusier, ćwierć wieku później sprawiał wrażenie bardziej nowoczesnego niż powojenne budownictwo w stylu stalinowskiego baroku. Z początku Rappoport miał zamiar wziąć od woźnej klucz do gabinetu naczelnego. Należało tylko złożyć podpis w zeszytcie. Można było tam wpisać byle jakie nazwisko, lecz woźna mogła sobie potem przypomnieć, kto naprawdę przyszedł, a to nie mieściło się w planach Jakowa Markowicza. Rzucił okiem na zegar, poszedł do swego pokoju i czekał.

— Już jesteś? A ja patrzę i widzę — drzwi otwarte. Sprzątać czy nie?

Masza, tłusta sprzątaczką w ciemnym fartuchu, pończochach zwiniętych w obwarzanki i męskich buciorach, stała w drzwiach z wiadrem i szmatą czekając na odpowiedź. Wszyscy byli przekonani, że ta kobieta raczej brudzi niż sprząta i nazywali ją kocmołuchem.

— Naturalnie, że trzeba posprzątać — powiedział Jakow Markowicz. — Straszny tu bałagan!

— Pewno znów pan popijał? Są butelki? Jeszcze trochę, a zawiadomię naczelnego!

Regularny dochód ze sprzedaży butelek był poważnym dodatkiem do skromnych zarobków Maszy. Utyskując, że ludzie piją, sprzątaczką pragnęła, by pili jak najwięcej.

— Może i są, proszę poszukać — rzekł rozbawiony Rappoport.
— A ja wyjdę, żeby nie przeszkadzać...

Winda zawiozła Jakowa Markowicza na piętro, gdzie znajdował się gabinet naczelnego. Drzwi do gabinetu były otwarte. Sprzątaczką szła z pękiem kluczy i otwierała po kolei wszystkie pokoje, (z wyjątkiem tych, których drzwi były zalakowane), wsypywała zawartość koszy na śmieci do dużych papierowych worków po korespondencji. Dopiero potem przecierała parkiety mokrą, namotaną na szczotkę szmatą. Po takim sprzątaniu podłogi robiły się szarobure, a deski pękały, lecz wygodna Masza wołała je przecierać, niż pastować. Opieczętowane pokoje sprzątała w dzień, w obecności upoważnionych osób.

Rozejrzawszy się dokoła Jakow Markowicz wszedł do gabinetu. Panowała tam zadziwiająca cisza. Rozstawione pod ścianami krzesła i fotele były puste, telefony milczały. Raził szpetotą żółty korytarz i drzwi obite fioletową dermą. Na drzwiach wisiała pod szkłem czarna tabliczka: *Igor Iwanowicz Makarcew*.

Nie marnując czasu Tawrow zajrzał do biurka sekretarki. Górne szuflady były zapelnione ryzami papieru, blankietami i kopertami. W dolnej szafce znajdowały się pantofle, które Anna Siemionowna wkładała po przyjściu do pracy, mydelniczka, nożyczki, flakonik z lakierem do paznokci, krem do rąk, paczka herbaty. Z tyłu za tym wszystkim, pod starym żurnalem mody, leżało pudełeczko po spinaczach. Jakow Markowicz przysunął je do siebie palcem. Zamiast spinaczy był tam klucz — wiedział o tym każdy, kto dyżurował wieczorem w redakcji. Gabinet Masza sprzątała w obecności Anny Siemionowny.

W gabinecie panował półmrok, zasłony były zasunięte. Jakow Markowicz okrążył wielkie biurko i usiadł na fotelu. Wysunął środkową szufladę i zajrzał do środka, ostrożnie uniósł w górę stos papierów. Szarej teczki nigdzie nie było. Wyciągnął więc szufladę do końca, położył ją sobie na kolanach i starannie przeglądał jej zawartość. Teczki, którą niedawno trzymał we własnych rękach w tym oto gabinecie w obecności szefa, nigdzie teraz nie było — ani w kopercie, ani bez niej.

Uniósł papiery leżące na biurku, przejrzał boczne szuflady. Tutaj teczki też nie ma. Nie chciał się irytować, ale musiał: idiotyczna sytuacja. Doświadczony zek zdawał sobie sprawę, że dłużej nie wolno tu siedzieć. Rozejrzał się, czy aby czego nie zostawił, zamknął gabinet, położył klucz na miejsce, ostrożnie wyjrzał na korytarz, westchnął z ulgą i powlókł się do windy. Właśnie stanęła na piętrze. Żeby nie natknąć się na wysiadającego Tawrow uciekł po schodach

na górę. Z windy wyszła Anna Siemionowna i szybkimi kroczkami podreptała do sekretariatu. Gdy zniknęła za drzwiami, Jakow Markowicz wszedł do windy i zjechał na swoje piętro. Masza, która skończyła właśnie sprzątać, szła korytarzem wlokąc za sobą miotłę i zamykając kolejno drzwi.

— Moje proszę zostawić otwarte! — krzyknął Rappoport do sprzątaczkki.

Kobieta kiwnęła głową i poszła dalej stukając buciorami.

41. Przykręcanie śrub

W środku dnia Anna Siemionowna biegła po redakcji od drzwi do drzwi. Każdemu, kogo dopadła, podawała długopis i listę obecności:

— O szesnastej zero zero narada u Jagubowa. Obecność obowiązkowa! Proszę o podpis.

Chwytała listę i biegła do innych pokoi. Nigdy tak nikogo nie zwoływano jeszcze na narady. I wcale nie o to chodzi, że jesteś karierowiczem, pędzisz na dźwięk pierwszego dzwonka, siadasz i słuchasz, kto się spóźnił, a kto cię wyprzedził, usiadł koło naczelstwa i gorliwie wylazi ze skóry. Wszyscy spieszyli się: prestiż redakcyjny zależy przecieź od stopnia poinformowania. Kogo zmieszano aktualnie z błotem? Kto przegrał? Kogo pochwalą? Wszystko to jest ważne, smutne lub przyjemne. Jak bez liturgii niepełny jest obrządek chrześcijański, tak bez narad nie istnieje gazeta partyjna.

— Trzeba się podpisać? — pytano Aneczkę. — Nie wie pani, dlaczego?

— Nie mam pojęcia!

— Może coś z Makarcewem?

— Nie, bo wiedziałabym.

— Może chcą nam powiedzieć o jego Borysie?

Wiadomość o tym, co się przydarzyło synowi Makarcewa, już w godzinach rannych obiegła redakcję, więc przedyskutowano ją ze szczegółami. Zachodzono w głowę, o co właściwie chodzi? Dziennikarze odwoływali spotkania, przenosili na kiedy indziej międzynarodowe rozmowy telefoniczne. Jeśli ktoś chciał wykręcić się od narady, zmieniał rozkład swoich zajęć. A sekretarka otwierała coraz to nowe drzwi:

— O szesnastej zero zero. Proszę się podpisać.

— Dla pani, Aneczko — rzekł Rappoport. — podpiszę wszystko!

— Zawsze pan sobie żartuje, Jakowie Markowiczu.

— Gdzie tam!

Iwlew właśnie wrócił z Nowosybirsk i zatelefonował do Rappoporta na dwie godziny przed naradą.

— Mam już dla pana artykuł.

— Mogłem się spodziewać. A kiedy będziesz?

— Jakowie Markowiczu, proponował mi pan klucze.

— Proszę bardzo! Choćby natychmiast.

— No to łapię taksówkę.

— Doskonale. Tylko za chwilę zacznie się narada. Jagubow przykręca śrubę. Więc musisz, Sławku, przyjść albo udawać, że jeszcze cię nie ma. Wyjdę na ulicę, poczekaj w taksówce za rogiem.

Gdy Rappoport oddał Iwlewowi klucze i wrócił do redakcji, wszyscy już szli do sekretariatu. Aneczka biegła tam i z powrotem, przenosiła krzesła od naczelnego do gabinetu Jagubowa. Przed drzwiami panował tłok. Stiepan Trofimowicz Jagubow siedział wysoko za biurkiem na nowej poduszce z dermy, dostarczonej mu przed chwilą przez Kaszyna. Ładnie palił papierosa i co jakiś czas, dwoma palcami, w których tkwił ów papieros, a równocześnie drugą ręką wskazywał nowoprzybyłym wolne miejsca.

— Dlaczego tu, a nie na sali? — spytał ktoś ostrożnie. — Strasznie tu ciasno...

— To narada robocza — wyjaśnił Stiepan Trofimowicz przetaczając papierosa z jednego kącika ust do drugiego. — Ciasno, ale przytulnie. Mam rację, Jakowie Markowiczu?

Rappoport stał w drzwiach trzymając w rękach okulary i szukając ślepymi oczyma wolnego miejsca.

— Niech pan siada tutaj! — wskazał Jagubow. — To miejsce Poliszczuka, ale ponieważ nieodpowiedzialnie się spóźnia, odwołujemy rezerwację...

Na twarzach pojawiły się uśmiechy. Spóźniony Poliszczuk musiał skromnie usiąść na brzeжку krzesła przy drzwiach. Jagubow zastukał ołówkiem w blat biurka.

— No to chyba zaczniemy? — spytał, a gdy wszyscy umilkli, polecił — Anno Siemionowno, proszę zamknąć drzwi i sprawdzić, czy na korytarzu nie kręcą się obcy. A więc tak, towarzysze! — rzekł i zgasił papierosa. — Nie będziemy teraz wygłaszać patetycznych oracji o tym, co dzieje się w naszym kraju. Rozumiemy to właściwie: wydajemy przecież gazetę partyjną, czyli skuteczną, celną broń. Wszystko w imię wielkich celów. Porozmawiajmy o tym, co nam

przeszkadza, co hamuje nasze wejście na szczyt, tak dzisiaj bliski jak nigdy dotąd.

— Znowu bliski? — ze zgrozą pomyślał Jakow Markowicz. Ale skinął głową na znak, że się z Jagubowem zgadza.

— No więc — ciągnął dalej Stiepan Trofimowicz — nasza gazeta powinna nie tylko śmiało mówić o tym, co dobre, lecz równie śmiało krytykować to, co złe. Wszystko to wymaga poczucia odpowiedzialności. Każdy fakt jest dla nas ważny w jego rozwoju historycznym. Służymy partii i będziemy walczyć nie tylko ze szkodliwymi ideami, ale i faktami, jeśli przeszkadzają iść naprzód. Po ukazaniu się gazety słowo drukowane też staje się faktem historycznym!

— „Ależ on myśli tak samo jak ja — myślał Rappoport. — Więc czemu go nie lubię? Może dlatego, że taki nadęty.”

— Sami wiecie — powiedział Jagubow — że im bardziej współtworzymy historyczne fakty, tym bliższe są nam świetlane wyżyny.

— Alpinista! — pomyślał z ironią Rappoport. — Ciągnie nas wszystkich za sobą w górę, zmusza do wspinaczki. Ciekawe, jak uda mu się wciągnąć na szczyty maszyny rotacyjne? Jeszcze nabawi się przepukliny. Cóż, jak zgłodnieje, to zejdzie na dół.

Jakow Markowicz znów skinął głową na znak solidarności z postępowym myśleniem zastępcy naczelnego.

— W ostatnim czasie — kontynuował Jagubow — sekretariat otrzymuje wadliwie napisane artykuły, musimy je autorom zwracać. Poszczególne działy muszą zadbać o stosowny poziom! Rozpatrzmy tę kwestię dialektycznie, z punktu widzenia potrzeb państwa. Czy partia nie zdaje sobie sprawy, co jest złe? Zdaje sobie! Czy warto pisać o przejściowych trudnościach, skoro każdy wie, że je przeżyjemy? Czy warto o nich pisać, skoro wkrótce odejdą w przeszłość?

„Tyle jest zła, że nie widać za nim dobra” — pomyślał Jakow Markowicz, ale zaprzeczył kiwnięciem głowy, na znak, że zgadza się z Jagubowem: tak, tak, nie ma sensu pisać o tym, co złe.

— I jeszcze jedno: trzeba pracować profesjonalnie, nie po amatorsku. Komuniści muszą zdawać sobie sprawę, jak reaguje władza zwierzchnia na naszą pracę. Porozmawiajmy konkretnie. Podlegamy dwóm władzom: jedna z nich to czytelnicy, druga — Duży Dom. Tylko że czytelnicy pozbawią nas chleba!

Jakow Markowicz zamrugał, zdjął okulary, zamknął oczy, przetarł szkła. „Nie doceniałem go. Czyżby był ode mnie mądrzejszy? Z pewnością ma więcej sprytu. Przy Makarcewie taki był cichutki, skromniutki. A teraz rozkwitł. Szybko rosną nasze kadry!”

— Bądźmy szczerzy — uśmiechnął się Stiepan Trofimowicz. — Czasem chcemy opisać jakieś mankamenty lub popełnione błędy, ale by artykuł mógł się ukazać, zaczynamy od wyliczania tego, co dobre. W Dużym Domu pokazano mi artykuł angielskiego dziennikarza. Píše on, że artykuły w prasie radzieckiej należy czytać od miejsca, w którym pojawia się słowo „jednak”. Nie będziemy schlebiać gustom burżuazyjnej prasy. Proszę nie używać słowa „jednak”.

— A słowo „ale” można? — spytał cicho ktoś z tyłu.

Jagubow usłyszał.

— „Ale” można — odpowiedział. — Myślę jednak, że to niestosowne żarty. Dziś zatelefonowano do mnie z powodu recenzji teatralnej. Skrytykowaliśmy przedstawienie, które spodobało się towarzyszom z Dużego Domu. Wezwałem kierownika działu: „Z kim pan to uzgadniał?” Z nikim. A przecież zawsze trzeba uzgodnić.

— Wszystko uzgodnić? — spytał Aleksiejew.

— Jeśli nie chcecie popełniać błędów — wszystko!

— Ale z kim?

— Zastanówcie się — i zawsze znajdziecie odpowiedź. Jeśli będzie wam to sprawiać kłopot, zastanowimy się wspólnie. Prasa może być prawdziwą bronią tylko w silnych rękach. Załóżmy, że nie zgadzacie się z opinią autora — nie ja was będę uczył, co wtedy robić. Najpierw wytłumaczycie mu, że napisał świetny artykuł, lecz po co te końcowe wnioski: mądry czytelnik i tak się domyśli, nie trzeba mu podpowiadać. Autor przerabia tekst. Potem prosicie, żeby złagodził początek i tytuł, po co to walenie po szczękach? Następnie trzeba trochę zmienić środek: artykuł ma wyrażać nie tylko opinię autora, ale i redakcji. W ten sposób jesteście bliżej partii. Teraz zlecaćie doświadczonemu dziennikarzowi przeprowadzenie korekty. Wówczas i my będziemy spokojni i autor uniknie kłopotów. Niejednznaczność i aluzyjność są niebezpieczne. Do czego doprowadził brak czujności w prasie czeskiej? Wszyscy bardzo lubimy Igora Iwanowicza, ale chyba zlekceważył zagrożenia, wynikające z apolityczności. W dodatku, gdy zachorował, sytuacja uległa zmianie. Od dziś będziemy dawać mniej literatury i sztuki, mniej sportu, za to więcej materiałów propagandowych. Po co, na przykład, w naszej gazecie krzyżówki? To marnowanie papieru!

— Z tego samego powodu co rubryka sportowa, żeby zwiększyć nakład — poinformowano Jagubowa.

— Pięćdziesiąt procent nadsyłanych listów to rozwiązania krzyżówek — zauważył Poliszczuk.

— Wybaczcie, koledzy — rzekł Stiepan Trofimowicz prokura-

torskim tonem. — Pozwolę sobie mieć inne zdanie. Sport jest potrzebny dla obronności kraju. A krzyżówki? Trzeba kształtować gusty, a nie schlebiać im. Jeśli zamiast krzyżówki czytelnik zobaczy artykuł o współzawodnictwie socjalistycznym — bojowy, z biglem — tylko nam za to podziękuje.

— Racja! — zawołał głośno Tawrow, a w duchu pomyślał: „pcha się ten Jagubow nie tam, gdzie trzeba. To jego podstawowy błąd”.

Krzyżówkę drukowano w każdą sobotę wraz z nazwiskami trzech czytelników, którzy jako pierwsi nadesłali rozwiązanie poprzedniej. Treść krzyżówek była ideologicznie słuszna. Przygotowywało je do druku, wybierając materiał z obszernej poczty, trzech starych bolszewików z działu „pożytecznych rad”, który powstał w redakcji na zasadach społecznych. O tym, że krzyżówki cieszą się popularnością, świadczyło chociażby to, że gdy czasem pojawiały się w nich błędy, czytelnicy zarzucali redakcję listami, domagali się korekty, grozili, że zawiadomią KC. Strach pomyśleć, co by było, gdyby pewnej soboty nie wydrukowano krzyżówki w „Prawdzie Robotniczej”.

„Niezbyt dobrze zna pan gazetę, Stiepanie Trofimowiczu — myślał Rappoport. — Chyba pana przeceniłem. Nie rozumie pan, że żadnych reform przeprowadzić u nas się nie da, jesteśmy tylko częścią totalnego bagna. Z braku doświadczenia i nadmiernej gorliwości łatwo pan kark sobie skręci.”

— Polecilem sekretariatowi — ciągnął dalej Jagubow — nie drukować nazwisk osób, które rozwiązały krzyżówki. Bóg wie, kto mógłby znaleźć się na takiej liście! Zapamiętaliście, Poliszczuk?

— Tak jest — odpowiedział sekretarz redakcji.

— To dobrze! — pochwalił Jagubow. — Teraz chciałbym przejść do spraw organizacyjnych i dyscypliny pracy. Chodzi mi o partyjność w życiu codziennym. Nie chcę nikomu stawiać zarzutów konkretnie, wszyscy tu obecni są, jak sędzę, ideologicznie dojrzały. Ale wszyscy muszą się mobilizować.

W gabinecie było cicho, teraz jednak cisza stała się wręcz grobowa. „Będzie wojna z Chinami” — pomyślał Jakow Markowicz.

— Trzeba przyciągnąć do współpracy utalentowanych autorów. Niestety, czasem pojawiają się na naszych łamach przypadkowi, nigdzie nie sprawdzeni ludzie. Nawet ich drukujemy na pierwszej stronie! W dziale wychowania komunistycznego zagnieździł się niejaki Zakamorny, nieudacznik usunięty z partii, w gruncie rzeczy — pasożyt. Osobnik ten mieszka w Moskwie bez meldunku. Czy aby nie mamy zbyt miękkich serc, Jakowie Markowiczu?

— Może i mamy — ponuro uśmiechnął się Rappoport.

— To miękkie serce wyjdzie panu bokiem! Naszym podstawowym obowiązkiem jest znajomość środowiska — trzeba poprosić autorów, by wypełniali ankietę i osobiście sprawdzać, gdzie kto pracuje i jak jest w swym zakładzie pracy oceniany. Zobowiązuje nas do tego plan: określony procent robotników, kolchoźników i działaczy partyjnych powinien zabrać głos na naszych łamach w ciągu miesiąca. Należy się im za to sześćdziesiąt procent honorarium. A nasi etatowi pracownicy, którzy dla nich piszą, niech się wstydzą brać za to pieniądze.

„Ojoj! — zmartwił się Tawrow — znów ryzykowne posunięcie! Jeśli przestaną płacić murzynom, kto zechce to gównu pisać! Znów przegina pałę!”

— Jeśli chodzi o dobre serce — Stiepan Trofimowicz podniósł w górę palec. — Zamierzamy zlikwidować „dział pożytecznych rad” jako zbędny. Skargi i prośby należy wnosić do stosownych instancji, gospodarczych lub związkowych. Gazeta ma inne zadania.

„Znów przesadził! I to po raz trzeci” — pomyślał z niepokojem Jakow Markowicz. — „Ale nie dam się wywieść w pole. Z pewnością uzgodnił tam, gdzie trzeba, to co mówi.”

— Co się tyczy „działu pożytecznych rad” — ciągnął dalej Jagubow — już zasygnalizowaliśmy ten problem władzom. I uzyskaliśmy poparcie. Po co jakieś niechlujne typki mają się pętać po redakcji?

„Dział pożytecznych rad” był dzieckiem Makarcewa. Pracowało tam ośmiu emerytowanych prawników z solidnym stażem partyjnym. I nieustannie płynął do nich strumień petentów ze skargami, podaniami, prośbami o pomoc. Czytając te skargi prawnicy wynajdowali nowe tematy, co zwiększało prestiż „Prawdy Robotniczej” w lokalnych organach władzy. Przychodzili do prawników najrozmaitsi ludzie: amnestionowani, lecz nie zrehabilitowani, a wskutek tego bez pracy, mnóstwo obdartych (Jagubow miał rację) starców i starszek, walczących o emerytury lub przydziały mieszkań. Gdy nie udawało się im nic załatwić przez prawników, próbowali się na nich skarżyć, zabiegali za pośrednictwem Łokotkowej o spotkanie z naczelnym. A ten przyjmował ich, wypytywał, czasami pomagał.

Jagubow sporządził dla Anny Siemionowny spis instytucji, do których powinna kierować takich petentów — nie wolno mu tracić czasu na kilku czytelników, skoro na „Prawdę Robotniczą” czekają miliony.

— Walentynie Afanasjewiczu — Jagubow odszukał wzrokiem Kaszyna. — Czemu pan milczy? Udzielam panu głosu.

Kaszyn wstał, nieco speszony; bolała go chora noga, więc oparł się rękami o stojące przed nim krzesło.

— Cóż — powiedział z uśmiechem winowajcy. — Naturalnie, że ważna jest dyscyplina. Pracownicy przychodzą później niż powinni, wychodzą wcześniej, czasami w ogóle nie przychodzą. Gdzie ich szukać w razie potrzeby? Niektórzy piją podczas pracy. Mam rację, Stiepanie Trofimowiczu? Nie będę wymieniał nazwisk, ale kto chce, domyśli się. Od jutra obowiązuje wpisywanie się do księgi na portierni. Jeśli pracownik od rana robi, dajmy na to, reportaż, powinien poprzedniego dnia wpisać do księgi, dokąd i kto go posłał oraz kiedy wróci. Wszyscy inni po przyjsciu do redakcji udadzą się do sekretariatu podpisać listę obecności.

W gabinecie rozległ się lekki szmer.

— Wprowadzamy również... — Kaszyn znów uśmiechnął się ze skruszoną miną — przepustki: etatowi pracownicy wchodząc i wychodząc mają obowiązek okazywać wartownikom służbowe legitymacje. Inni zamawiają przepustki przez telefon. Przy wyjściu przepustkę podpisuje kierownik działu, oznaczając na niej godzinę. Stempel stawia osobiście sekretarka, tak jak w innych urzędach. I jeszcze jedno. Prosimy o uporządkowanie biurka, ich zawartość raz w miesiącu będzie kontrolowana przez trzyosobową komisję.

— A kieruje tą komisją sekretarz redakcji Kaszyn — dokończył Jagubow. — To też jest konieczne, drodzy towarzysze. Niektórzy spośród nas zapominają, że dokumenty partyjne trzeba przechowywać w szafach pancernych.

— Pokoje też zamykajcie na klucz — polecił na zakończenie Kaszyn.

— Jak lubi powtarzać nasz naczelny — uśmiechnął się Stiepan Trofimowicz — ład poszerza horyzonty.

— Nowy ład — wyszeptał Rappoport, ale tak cicho, by nikt nie usłyszał.

Pod koniec narady Jakow Markowicz, wyraźnie zdenerwowany, co chwila zerkał na zegarek. Iwlew czeka na niego i nie może wyjść. Może się nie nudzi, ale jest żonaty, chyba spieszo mu do domu.

Jagubow zamilkł na chwilę, tak jakby się wahał, czy warto mówić o drobiazgach, w końcu jednak powiedział:

— I jeszcze jedna prośba, towarzysze. Redakcja nie jest stadionem, proszę więc, by mężczyźni przychodzili do pracy w marynarkach i krawatach, a kobiety ubierały się skromniej. Mam na myśli... hm... długość spódniczek. Bierzmy przykład z Dużego Domu. Aha, zapomniałbym. Walentynie Afanasjewiczu, tu jest spis osób, które powinny być obecne na dzisiejszej naradzie. Proszę wyjaśnić, dla-

czego nie przyszyły. W naszym kraju jest, jak wiecie, demokracja, dyscyplina obowiązuje wszystkich jednakowo: i sprzątaczkę, i członków kolegium redakcyjnego. Musimy zwiększyć czujność — wobec siebie samych i wobec innych.

— Zwiększymy — mruknął Rappoport, tym razem dosyć głośno.

Gdy wreszcie wolno było się rozejść, popchnął dwie niemłode dziennikarki, przecisnął się do drzwi i pobiegł do swego pokoju. Rzucił okiem na biurko, nie zamierzając niczego sprzątać, wyjął z szafy kapelusz, wcisnął go na głowę, omotał szyję przetartym niemal do dziur szalikiem, i wyciągnął rękę, by zdjąć z wieszaka palto. Ale palta nie było. Jakow Markowicz ze zdumieniem obejrzał wieszak, spojrział na podłogę (może spadło?), wetknął nos za szafę. Nawet nie zaklął, taki był zdumiony.

— Koledzy! — wrzasnął do mijających jego pokój dziennikarzy. — Nie zauważyliście, kto do mnie wchodził? Zniknęło moje palto!

— Porządne?

— Nie tyle porządne, co jedyne.

— Ja bym nie ukradł — powiedział Aleksiejew. — A gdyby mi je skradziono, tylko bym się cieszył.

— Ale ja nie mam innego — żalił się Jakow Markowicz.

— To dopiero dzień! Co chwila radosne nowiny! — zastępca sekretarza Jezikow pokręcił malutką główką na długiej szyi. — Dlaczego nie masz innego palta? Czy może chodzi ci o to, że wciąż obcinają nam honoraria?

— Mam jeszcze łagrowy waciak.

— W waciaku nie wpuszczą cię do KC.

— Jak ja wyjdę bez palta na taki ziąb! — narzekał Jakow Markowicz — strasznie bolą mnie plecy!

— Ociera się pan plecami o subotnik — kpił Jezikow. — Z nagrody za pomysł z subotnikiem kupi pan sobie nowe palto.

— Nie kupi — zaprotestował Aleksiejew. — Dadzą mu najwyżej pięćdziesiąt rubli. W dodatku musi się podzielić nagrodą z Leninem: obaj na to wpadli!

— Ja też umiem żartować — rzekł smutno Rappoport — ale gdzie jest palto?

— Nic więcej nie ukradli? — zapytał nagle Jezikow. — Trzeba sprawdzić!

Weszli we trójkę do pokoju.

— Teczka! — krzyknął Jakow Markowicz.

— No tak! A pan wciąż tylko o palcie! Było coś w niej wartościowego? W teczce tej leżała zazwyczaj jakaś trefna lekturka. Natychmiast

o tym pomyślał. Dziś, na szczęście, nic takiego nie było. Jak dobrze, że nie znalazł szarej teczki Makarcewa!

— Wartościowego. Raczej nic...

Jakow Markowicz kupił niedawno broszurę ze świeżymi przemówieniami wodzów, zamierzając ją pociąć na zakładki. Ale rozmyślił się, zostawił sobie na pamiątkę: bądź co bądź historyczna relikwia o kolektywnym kierownictwie. Nosił ją zawsze ze sobą w teczce, z myślą, że jeśli gdzieś tę teczkę zgubi, broszura zamaskuje inne, niecenzuralne teksty. Wyjmował broszurę w metrze, a w redakcji kładł na biurko, żeby każdy, kto wchodzi do pokoju, widział tytuł. I cóż — broszura leży na biurku, a teczkę skradziono.

— Trzeba zawiadomić Kaszyna — postanowił Aleksiejew. — Niech wezwie milicję. Skandal! Nie pamiętam, by coś takiego kiedykolwiek miało miejsce, choć pracuję w redakcji od czterdziestego piątego roku. O, Walentin Afanasjewicz. Wystarczy o nim pomyśleć, a natychmiast się zjawia!

Do pokoju wszedł Kaszyn i spytał z uśmiechem:

— Co się stało?

— Palto i teczka — Rappoport rozłożył bezradnie ręce.

— Jasne! — kiwnął Kaszyn. — Proszę do mnie.

I wyniósł teczkę oraz starannie złożone do góry podszewką palto Rappoporta ze swego gabinetu.

— Co to za spektakl! — obruszył się Rappoport.

— Spektakl? Nigdy nie zamyka pan pokoju na klucz. A ja za wszystko ponoszę odpowiedzialność materialną. Dlaczego nie chce pan pilnować swego mienia?

— Niby przed kim pilnować? Co to za kretyńskie zarządzenie?

— Nie moje, Jakowie Markowiczu. Ja jestem tylko wykonawcą. A czy te zarządzenia są mądre, nie wiem. Nie moja rzecz. Jak pan chce, może pan złożyć skargę.

— I owszem, złożę! Inaczej wleziecie ludziom na głowy!

Wyrwał z rąk Kaszyna palto i teczkę i wściekły pobiegł do Jagubowa. Anna Siemionowna zasłoniła drzwi do gabinetu własnym ciałem.

— Wzywał pana?

— On mnie? — nie zrozumiał Rappoport.

— Kazał wpuszczać tylko tych, których wzywa — rzeka Ania cicho.

— Co jeszcze nowego wymyśli?

Rappoport odepchnął Annę Siemionownę i szarpnął klamkę.

— Proszę na to spojrzeć! — krzyknął od progu pokazując Jagubowowi palcem teczkę i palto.

— Co się stało, Jakowie Markowiczu? — spytał usłużnie Jagubow.

Stał przy oknie ze spodeczkiem w jednym ręku, a z filiżanką herbaty w drugiej. Wypił trochę, odstawił filiżankę na spodeczek.

— To skandal! — wrzasnął Rappoport. — To niesłychane!

— Niech się pan uspokoi — Stiepan Trofimowicz postawił filiżankę na parapet, wyjął z kieszeni czyściutką chusteczkę do nosa, wytarł usta. — Apel o wzmożenie czujności skierowany był do wszystkich pracowników, zatem do pana i do mnie również. Niech się pan cieszy, że to Kaszyn, a nie ktoś obcy.

— Nie mógł powiedzieć od razu? Nie mógł? — skarżył się Rappoport. — Dzisiaj zabiera nam rzeczy, jutro zacznie grzebać po kieszeniach...

— Nie sądzę — uśmiechnął się krzywo Jagubow. — Do kieszeni pewno nie zaglądał. Zresztą...

— Co zresztą?

Jagubow zawahał się. „Zresztą, jak się panu u nas nie podoba, to kolegium redakcyjne i partia przychylią się do pańskiej prośby o zwolnienie...” Nie wolno, Makarcew byłby wściekły, w dodatku, kto wie, może komitet miejski i KC jeszcze potrzebują tego typu. Gdyby nie miał mocnych pleców, nie rozmawiałby ze mną takim tonem...”

Jakow Markowicz wyczuł, co Jagubow chciał powiedzieć. „Nienawidzi mnie, to jasne. Zaraz mu wygarnę, co o nim myślę. Nie mam nic do stracenia!”

— No więc co „zresztą”? — powtórzył z naciskiem, umieszczając w tym pytaniu cały swój zapas wściekłości.

— Hm... — po krótkim wahaniu skończył Stiepan Trofimowicz. — Kaszyn posunął się za daleko. Każdy ma wady. Pan też niepotrzebnie się irytuje...

— Niepotrzebnie? — Rappoport zmienił ton gniewny na płaczący. — Jakże ja mogę pracować w takich warunkach. Jeśli mnie nie szanują... Może się komuś nie podoba mój piąty punkt? Dawniej tego nie odczuwałem.

— A teraz pan odczuwa? — roześmiał się Jagubow. — Czy może się tylko panu wydaje? Niech pan pomyśli, Jakowie Markowiczu. Nam, działaczom partyjnym, nie wolno być antysemitami. Najważniejsze, naszym zdaniem, są poglądy. Dzieli nas narodowość, ale stoimy po tej samej stronie barykady. Inna sprawa, że niektórzy pana współplemieńcy zachowują się niewłaściwie.

— A kto robił rewolucję?

Jagubow nie odpowiedział. Żydzi brali udział w rewolucji, to fakt, ale po co? Rappoport nie mógł znać najnowszych trendów na

szczyście. Żydzi szli do rewolucji, żeby zdobyć władzę i propagować w Rosji syjonizm. Dobrze, że partii i Stalinowi udało się w porę zlikwidować żydowskie zagrożenie. Choć nie do końca. Nie faszyzm zagraża ludzkości, lecz Żydzi. Rwą się do władzy, w USA im się udało. Pragną panować nad światem. A ponieważ komuniści reprezentują interesy wszystkich narodów, naszą misją historyczną jest ratowanie ludzkości. Tak więc antysemityzm, jeśli patrzeć na to pod kątem postępu, jest polityką humanitarną. Mówiąc między nami Marks psuje obraz dziejów komunizmu. Należałoby je zaczynać od Lenina, nie cofać się w średniowiecze.

— Rewolucjonistami byli nie tylko Żydzi, Jakowie Markowiczu — zauważył z grzecznym uśmiechem Stiepan Trofimowicz. — Osobiście nie lubię tylko tych Żydów, którzy są naszymi wrogami. Ale nie lubię też Francuzów, Anglików, Hiszpanów, a nawet Rosjan, jeśli to wrogowie. Pan chyba również, Jakowie Markowiczu?

— Naturalnie — bąknął przestraszony Rappoport. Wreszcie do niego dotarło, że trzeba siedzieć cicho: zawsze rację będzie miał Jagubow. W dodatku Jakow Markowicz był zmęczony, z głodu bolał go brzuch. — Oburzam się jako stary członek partii! Należę do niej od 1934 roku!

— Wiem! — Jagubow postanowił odsunąć od siebie podejrzenia. — Proszę mi wierzyć, lubię Żydów, mam nawet żydowskich przyjaciół. Znam członków partii, którzy twierdzą, że Żydzi są bardziej pracowici i uparci niż my. Szybko robią kariery, zajmują odpowiedzialne stanowiska. Tak było w latach trzydziestych! Czy to słuszne, żeby Rosjanami rządzili Żydzi? Zwolennicy takiego punktu widzenia pytają: a gdyby tak w Izraelu rządzili Rosjanie? Jeszcze raz powtarzam: tylko niektórzy tak myślą, ja stanowczo się z nimi nie zgadzam! Pan pozwoli, Jakowie Markowiczu, pomogę panu...

Wyjął palto z rąk Rappoporta, rozłożył je i czekał. Rappoport pośpiesznie wsunął ręce w rękawy. Był o głowę wyższy od Jagubowa i znacznie tęższy. Ale Stiepan Trofimowicz uprawiał sport.

— Nawiasem mówiąc — przypomniał sobie Jagubow — już dawno chciałem zasięgnąć pana rady. Zaproponowano mi pisanie doktoratu w Wyższej Szkole Partyjnej. Temat: *Rola prasy w komunistycznym wychowaniu mas pracujących na podstawie materiałów z „Prawdy Robotniczej”*. A pan dobrze zna ten problem. Nie będzie pan miał za złe, jeśli go podejmę?

— Dlaczego?

Jakow Markowicz zrozumiał: nie wyrzucą go, ale musi wysmażyć Jagubowowi ten doktorat.

— Pomoże mi pan zebrać materiały? Na ten czas byłby pan zwolniony z obowiązków...

— Lenin mówi: „Partia to pomoc wzajemna” — wyrecytował Jakow Markowicz (Cytat ten, naturalnie, wymyślił na poczekaniu).

— Właśnie! — ucieszył się Jagubow. — Zatem umowa stoi.

Lecz nagle pomyślał: czy aby Rappoport nie sprowokował go do nieprawomyślnych wypowiedzi? Kto wie, może donosił w łagrze i ta nitka wciąż się za nim ciągnie. A teraz, gdy on, Jagubow, został szefem gazety, KGB chciałoby wiedzieć, czy jest lojalny. Przypomniał sobie przebieg rozmowy: z pewnością nie mówił nic niewłaściwego. Zresztą, gdy Rappoport napisze mu doktorat, dostanie butelkę koniaku. Wszystko układało się jak najlepiej. Jagubow wesoło pogwizdywał.

Drepcząc korytarzem Jakow Markowicz zamartwiał się, że Iwlew pewno klnie go w żywe oczy — trzeba brać taksówkę, zbyt drogą na jego kieszeń.

— Przepraszam, czy pan Tawrow?

Przed Rappoportem wyrósł nagle jak spod ziemi młody Gruzin w kraciastym palcie, zamszowej cyklistówce i figlarnym jedwabnym szaliczku w kwiatki.

— Aha — mruknął Tawrow — Tylko, że się piekielnie spieszę!

— Bo ja — oznajmił młody Gruzin akcentując po kaukasku słowa — nazywam się Zurab Makaszwili. Muszę coś panu powiedzieć. Chodźmy do pokoju, kochany!

— A tutaj nie można?

— Broń Boże! Nie zabiorę dużo czasu.

— Więc co takiego, terrorysto? — spytał Jakow Markowicz, gdy weszli do pokoju.

Drzwi nie były zamknięte, Rappoport i tym razem wyszedłby z redakcji zapominając zamknąć je na klucz.

— Na pewno jest pan Jakowem Markowiczem?

— Klnę się na moją matkę-nieboszczkę! Co dalej?

Zurab zamknął za sobą starannie drzwi, odpiął guziki palta a potem marynarki i wydobyl przyciśniętą do brzucha paskiem od spodni szarą teczkę. Jakow Markowicz od razu ją poznał — to ta sama, którą pokazywał mu Makarcew, której dziś rano bezskutecznie szukał w jego gabinecie. Zmarszczki na twarzy Rappoporta pogłębiły się, wargi się zacisnęły. Udał, że nie wie, o co chodzi.

— Co to za księga?

— Nie poznaje pan?

„Wpadłem. I to głupio, nie z własnej winy. Ale będę się wypie-

rał, wypierał do końca. Byle tylko nie bili po plecach. Drugi raz tego nie zniosę, załamie się, wydam wszystkich...”

— Nie mam pojęcia — wymamrotał.

— Proszę się nie martwić, zaraz wszystko wytłumaczę — uspokoił Rappoport Makaszwili. — Sasza Kakabadze to mój stary kumpel, chodziliśmy razem do szkoły. Wczoraj zawiadomiłem go telefonicznie, że jestem w Moskwie — przyleciałem z Tbilisi tylko na jeden dzień, zatwierdzić projekt, więc wieczorem wpadł do mnie. Zatrzymałem się w hotelu „Rossija”, jak zwykle, bez kłopotów — trzeba tylko podając dowód osobisty recepcjonistce włożyć między kartki dwadzieścia pięć rubli. Sasza przyjechał, wypiliśmy gruzińskiej wódki, a wtedy pokazał mi tę teczkę. Mówił, że w redakcji sporo osób ją czytało. Zostawił mi na noc, ale rano się nie odezwał. A ja muszę wracać do Tbilisi. Szukam go od kilku godzin, a on, jak się okazuje, nawet w domu nie nocował.

— Ale co ja mam z tym wspólnego? — spytał nieco uspokojony, lecz wciąż jeszcze czujny Jakow Markowicz.

— Pan? Sasza opowiadał mi wczoraj o subotniku — i strasznie mnie tym rozbawił. Pokazał fotografię: profesorowie z Akademii Nauk odśnieżają ulicę przed szaszłykarnią. Nadaje się do chińskiej prasy. Jest pan genialny, Jakowie Markowiczu! Sasza bardzo pana chwalił.

— I co jeszcze o mnie nakłamał?

— Nie trzeba się bać, Jakowie Markowiczu. Zurab Makaszwili trzyma język za zębami. Zresztą ja ich nienawidzę! Aha, co pan myśli o Stalinie?

— Chciałbym szanować pańskie uczucia, Zurabie... Wiem, że w Gruzji...

— Daj pan spokój! Stalin to bandyta, faszysta! Wymordował trzy czwarte moich krewnych tylko dlatego, że dziadek coś tam wiedział. Uczyli się razem w seminarium. Dziadek był bolszewikiem, a na Dżugaszwilego mówili „kinto”.

— Co to znaczy „kinto”?

— Kinto? To włóczęga, wyciruch spod płota.. Na polecenie Lenina rabował banki. Zrobił z partii bandycką szajkę. Dziadek mówił, że zresztą wcale nie był Gruzinem, tylko Osetyńczykiem albo Tatarem.

— No, to nie takie pewne — zaproponował Jakow Markowicz — zresztą Tatarzy też mogą złożyć protest.

— Wszystko jest pewne — krzyknął Zurab. — Mój dziadek chował jego matkę, umarła jeszcze przed wojną. „Kinto” nawet nie przy-

jechał na jej pogrzeb. Gruzin nigdy tego by nie zrobił! Więc nie trzeba się bać Zuraba. Ale co się stało z Saszką? Powiem panu w tajemnicy, on wziął tę teczkę z biurka naczelnego. Nie daj Boże, się wyda...

— Naiwny prowincjusz z pana — burknął Rappoport. — No niech tam, dawaj pan!

42. Randka u Rappoporta

Gdy wszyscy już usiedli na swoich miejscach, a Jagubow zastukał ołówkiem w blat biurka rozpoczynając zebranie, Iwlew i Nadia Sirotkina siedzieli w taksówce. Wiaczesław zatelefonował do niej natychmiast po spotkaniu z Rappoportem.

— Mam klucz — powiedział. — Mogłabyś urwać się z pracy?

— Teraz?

— Naturalnie.

— A narada?

— Może nie zauważą. A jak nie, to powiesz, że rozboleł cię ząb. Czekam w taksówce, za rogiem.

Pojechali, a Nadia nie pytała dokąd. Zatelefonował, więc przyszła. Taksjusz jechał szybko, zrywami, gwałtownie hamując. Na zakrętach Nadia chwyciła Iwlewa za kolano, żeby nie polecieć na bok, potem zawstydzona cofała rękę. I natychmiast się uspokajała, bowiem on do drobiazgów, które wydawały się jej takie ważne, nie przywiązywał najmniejszej wagi.

— Izmajłowo? — zdziwiła się wyjrzawszy przez okno, tak jakby myślała, że Iwlew wiezie ją na wyspę Fidzi. — Jadłeś obiad?

— Jestem potwornie głodny — rzekł rozbawiony jej logiką.

— Trzeba coś kupić do zjedzenia...

— I do picia, kolego! — zwrócił się Iwlew do kierowcy. — Stań na chwilę koło delikatesów!

W sklepie Nadia zajęła kolejkę do działu mięsnego, Iwlew — po alkohol. Spotkali się przy drzwiach wyjściowych. Ona trzymała w ręku rumsztyki, on — cztery butelki piwa.

— A teraz chleb — stwierdziła Nadia i dodała z niemieckim akcentem: — Ruskie lubią dużo chlepie...

Weszli do piekarni.

— A masło? Czy tam, gdzie mnie wiesz, znajdzie się trochę masła?

Minęli jeszcze kilka ulic.

— Nie szukaj, ja zapłacę — wyjęła z torebki trzyrublowy banknot.

Iwlew postawił przed drzwiami butelki i długo się grzebał: nie wiedział, jak otworzyć, rozglądał się, czy ktoś nie idzie po schodach. Wreszcie weszli do przedpokoju. W ciemnościach rozblły dwie pary zielonych oczu.

— Ojej! Jakie śliczne!

Dwa koty, jeden szary, a drugi czarny, otarły się o nogi Nadi, a potem skoczyły jej na ręce. Więc weszła do pokoju trzymając je na ręku. Wchodziła ostrożnie, jakby z obawą, że się na kogoś natknie. Gdy się przekonała, że nikogo nie ma, zaczęła chodzić przed ścianami, tak jakby była w muzeum, oglądając fotografie, książki na półkach, filizanki i spodeczki w serwantce. Książki pokrywała gruba warstwa kurzu, talerzyki również.

— Mogę się tu rozejrzeć? — spytała Nadia.

— Rób, co chcesz.

Iwlew z zafrasowaną miną ruszył w stronę szafy.

— Aj-jaj-aj! — pokiwała głową z wyrzutem. — Nieładnie grzebać w cudzych rzeczach...

— Wykonuję polecenie — wytłumaczył Wiaczesław i wyjął z szafy czyste prześcieradło.

Pochyliła się nad gazową kuchenką udając, że nie razi jej ta rzeczowość. Iwlew rozłożył prześcieradło, przysunął do tapczanu stolik na gazety, nakrył go „Prawdą Robotniczą”. Nadia wniosła patelnię z pachnącymi rumsztykami i pokrojonym chlebem na talerzyku, przygotowała sos, postawiła dwie szklanki, położyła noże i widelce przetarte uprzednio serwetką. Kotom wsunęła pod stół talerz z kawałeczkami mięsa, i zaprosiła Iwlewa wzrokiem, by usiadł.

— Najpierw się rozbierz — poprosił.

— Do naga?

— Do naga.

— Wstydę się! Co pomyślą o nas koty? A w ogóle, to ty pierwszy!

Poczekala, póki nie zdjął marynarki, odwróciła się na obcasach i wyszła do kuchni. Wiaczesław wdychał zapach rumsztyków, i zakręciło mu się w głowie.

Nadia stanęła w drzwiach w botkach włożonych na gołe nogi i napawała się wrażeniem, które wywarła. Na cienkim łańcuszku między piersiami dziewczyny wisiał mały srebrny krzyżyk. Iwlew przypatrywał się jej długo, nie miał siły odwrócić oczu. Wreszcie łaskawie do niego podeszła — czuła, że ma nad nim władzę. Schwycił ją za palce, posadził obok siebie na tapczanie. A ona drżała — może z zimna, a może na jego widok.

— Piwo! — przypomniał sobie. — Gdzie jest piwo?

Piwo zostawili na klatce schodowej.

— Nie chodź boso, zaziębisz się!

Iwlew wyskoczył do przedpokoju i zasłonił ręką ucho nasłuchując. Za drzwiami było cicho. Otworzył drzwi i wyjrzał na klatkę schodową: nikogo nie ma... I piwo jest na miejscu. Uszczęśliwiony schwytał butelki i gołą piętą zamknął za sobą drzwi.

— A gdyby się zatrzasnęły? — Nadia przymrużyła oczy.

— Wpuściłabyś mnie.

— Gdzie tam! Leżałabym na tapczanie z kotami i czekałabym na powrót pana domu.

Iwlew otworzył butelkę w milczeniu, potem chlusnął piwem na Nadię.

— Wariat! — zachichotała, instynktownie zasłaniając się rękami. — Nienormalny! Zniszczysz tapety!

Wypił jeszcze trochę, znów chlusnął na nią piwem, postawił butelkę na podłodze i upadł na Nadię, zbierając językiem z jej skóry krople gorzkiego pianistego płynu.

— Rób ze mną, co chcesz! — wyszeptała. — Wszystko, co chcesz, tylko jak najprędzej!

Ze wszystkich sił starała się mu pomóc i nagle, zapomniawszy o nim, zaczęła kręcić głową, miotać się na tapczanie. W końcu wygięła się, odrzuciła w tył głowę i wydała gardłowy dźwięk, podobny do ptasiego głosu.

Potem ucichła, przez chwilę leżała bez ruchu, słabą ręką zdjęła włosy zasłaniające jej oczy i wstydliwie potarła nosem o policzek Iwlewa.

— Czy to ja?

— Zuch jesteś! — pochwalił dziewczynę.

— Uśmiechnęła się z trudem, tak jakby była chora.

— Czy wreszcie jestem kobietą? — zapytała nie otwierając oczu, a potem odpowiedziała sama: — Tak, jestem!

— I to patentową — zapewnił ją Iwlew. — Mogę dać ci papierek.

— Nie trudź się.

Usiedli i pochłaniali twarde jak podeszwa rumsztyki, zapijając je piwem. Nadia odcinała kawałki swojej porcji i podsuwała je Iwlewowi.

— To cudownie — na prześcieradle i bez świadków — westchnęła. — Na biurku też było dobrze, i w hotelu, gdy obok leżał ten mężczyzna. Ale teraz było znacznie lepiej... Wstyd mi, że w ogóle nie czuję przy tobie skrępowania. Zrozumiałam, co to takiego miłość. Myślę, że to obnażanie duszy.

— Ciała również.

— Wiem, kto tu mieszka — wskazała na kopertę z adresem leżącą koło tapczanu.

— On mówi, że jego mieszkanie to piórnik — jest wąskie i długie.

— Ty chyba zasypiasz..

— Całą noc leciałem samolotem.

— Pośpij trochę, a ja pójdę do łazienki.

Rozluźniwszy się na myśl, że nie musi być grzeczny i opiekuńczy, Wiaczesław zasnął i spał jak zabity. Koty drzemały obok na podłodze. Nadia weszła do maleńkiej łazienki, westchnęła, spojrzała w lustro i odwróciła się niezadowolona. Otworzyła krany, uregulowała wodę i weszła pod prysznic. Odwróciła się plecami do lustra, zobaczyła na wieszaku stare kalesony Jakowa Markowicza i dyskretnie cofnęła wzrok. Widniały na nich szare wyblakłe litery, więc ostrożnie rozprostowała trykot dwoma palcami, żeby przeczytać. Z tyłu widniała pieczęć „GULAG MSW ZSRR. Karlag, szpital nr 1”.

Ręcznik był wątpliwej świeżości, więc się nie wytarła. Iwlew spał z rozrzuconymi rękami i nogami. Cichutko położyła się obok na tapczanie.

— Jakow Markowicz jest bardzo miły...— szepnęła Iwlewowi do ucha. — W ubikacji przykleił na drzwiach szczęśliwe numery Totolotka: 13, 19, 25, 31, 41 i 49.

— Głuptas — mruknął Iwlew przez sen. — To rozgłośnia BBC.

— A gdzie jest jego żona? Nigdy o niej nie słyszałam...

— Trzy lata temu wynieśliśmy ją stąd na cmentarz. Rak. Nie chcieli jej brać do szpitala, żeby nie podwyższać procentu umieralności...

— Ma dużo książek. Co czyta?

— Wszystko chciałabyś wiedzieć! Zbiera literaturę partyjną, przeważnie starą, usuniętą z bibliotek. Szpera u bukinistów, wymienia za chodliwe tytuły.

— Po co?

— Chyba go to interesuje.

— Mogę otworzyć szafę z książkami?

— Nie. On nie lubi, gdy ktoś rusza jego książki.

— A dlaczego pisze takie dęte artykuły? Przecież tego nie można czytać!

— On ich nie czyta. On je montuje.

— Ale montując chyba nie myśli o innych? Nie wierzy w to, co pisze...

— A ty wierzysz? — Iwlew uważnie spojrzał na Nadię.

— Ja? Ja jestem z innego pokolenia. Ja przynajmniej się wstydzę.
A on nie!

— Skąd wiesz?

— Sam mi powiedział. Wiem, że się nie wstydzi. I często posługuje się ironią. A ironia to obojętność, gdzieś o tym czytałam.

— A ja czuję się winny wobec Rapa. Pomyśl tylko: chodziłem do szkoły, gadałem bzdury o sensie życia, poszedłem na uniwersytet — a on w tym czasie siedział w łagrze. Kochałem dziewczyny — a on siedział. Ludzie tacy jak on odsiadawali za siebie, za mnie, za ciebie, za nas wszystkich. Rap nie ma już sił, jest zbyt zmęczony.

— I dlatego został lokajem? Rap — czyli rab, niewolnik. Niewolnik z własnej woli! — Głuptas! Niewolnik w kajdanach to nie lokaj. Spróbuj samotnie iść wszystkim na przekór! Mam krótki rozum, wiadomo — baba. Mogłabym tylko pomagać innym. Tym, których zżera ogień — wstała i na bosaka podeszła do Iwlewa, przytuliła się do jego piersi.

— Trzymaj się mnie. Bo spłoniesz.

— Niech tam! Z tobą nie boję się nawet spłonąć.

I Nadia pocałowała go w szyję.

Iwlew wyciągnął rękę, schwycił swoje spodnie, wyjął z nich pasek, opasał nim Nadię i zaciągnął klamrę na jej brzuchu. Patrzyła na to w milczeniu.

— Czy tak jest ładniej?

— Nie o to chodzi! Będę miał się za co trzymać... — i przyciągnął ją za pasek do siebie.

— A to co? — zauważył na brzuchu dziewczyny niewielką bliznę.

— Ślepa kiszka. Brzydko wygląda?

— Bardzo ładna! — zaczął całować to miejsce.

— Dziwne — zamyśliła się Nadia. — Dziwne, że mnie jeszcze chcesz po tym, co się stało... A może udajesz? Jeśli tak, to nie trzeba. Pójdę sobie.

— Boisz się spotkania z Rapem?

— Po co ma nas razem widzieć?

— Bzdura!

Iwlew leżał na tapczanie i czytał. Nadia, żeby mu się nie narzucać, włożyła ubranie, usiadła w kuchni na taborecie i paliła papierosa za papierosem. Gdy Rappoport zadzwonił do drzwi, poszła je otworzyć.

— Nie wątpilem w dobry gust Iwlewa...

— Dziękuję — odpowiedziała uprzejmie.

— Chyba coś smażyliście. — weselo powiedział Rappoport wchodząc do pokoju w towarzystwie kotów, które powitały go już

od progu, a teraz ocierały się o niego. I dużym porowatym nosem wciągnął powietrze.

— Zaraz coś przygotuję, Jakowie Markowiczu. — Nadia, uradowana, że znalazło się dla niej zajęcie, pobiegła do kuchni. — Każdy chłop uwielbia żarcie...

— Uwielbia żarcie? — powtórzył Rappoport. — Ta dama nas obraża, przyjacielu.

— Naturalnie... — szczebiotła Nadia — Tylko żarcie i baba do łóżka.

— A jeszcze lepiej — marzycielsko powiedział Rappoport wchodząc do kuchni — żarcie i pogaduszki. Kociaczki, dobrze że zostawiłyście mi coś na ząb...

Usiadł na tapczanie i cicho, tak by nie usłyszała Nadia, powiedział do Iwlewa:

— Za korzystanie ze sprzętu zapłacisz piwem! Chociaż piwa nie wolno mi pić. Dlaczego nie pytasz, co było na zebraniu?

— Jan Žižka, bohater czeski, chciał, by jego skórą, gdy umrze, obciągnięto bęben — skrzywił się w ironicznym uśmiechu Iwlew. — Jagubow już to robi z nami.

— Cóż, nowa miotła zamiata lepiej — powiedział Rappoport. — Zabronił publikować Zakamornemu. Teraz muszę wypisywać jego honoraria na cudze nazwiska. Jagubow zaciska śrubę.

— Jaka różnica, Makarcew czy Jagubow. Obaj to stalinowskie sokoły.

— Jest między nimi, Sławku, pewna różnica: ten pierwszy to istotnie stalinowski sokół, ale drugi to sęp.

— Wart Pac pałaca...

— Pierwszym nazistą był, jak wiadomo, Iwan Groźny — zauważył Jakow Markowicz. — Gdy Rosjanie zajęli Połock, spotkali tam Żydów. Spyтали cara, co z nimi robić. A on powiada: „Nawrócić na wiarę prawosławną albo utopić w rzece.” Żeby uniknąć kłopotów utopili...

— Och, ci Żydzi — zawołał Wiaczesław. — Zapoczątkowali chrześcijaństwo, wymyślili komunizm. Po co? Protestowanie mają we krwi. A potem sami cierpią.

— Co innego Moskowici! — naśladując jego ton kpił Rappoport. — Pięć lat temu umarł mój sąsiad za ścianą. A nazwisko na drzwiach jak wisiało tak wisi. Nowy lokator o to nie dba. Totalna bierność.

— Nadiu, czas na nas! — powiedział Iwlew, gdy dziewczyna postawiła przed Jakowem Markowiczem dymiący rumsztyk i piwo — Pogadać można i w pracy.

- Jak ci się podobało w mojej norze?
- Byłam tu szczęśliwa.
- Ech, dziecinko... — westchnął Jakow Markowicz, ale nie powiedział nic więcej. — Aha, jeszcze jedno — Kakabadze gdzieś zniknął.
- Jak to?! — zmartwiła się Nadia. — Może pojechał na zdjęcia. Albo wysłali go w teren.
- Chyba nie... Był u mnie jego przyjaciel. Sasza wyszedł w nocy z hotelu „Rossija” i nie dotarł do domu.
- Myślałby kto! — rzekł lekceważąco Iwlew. — Pewno się gdzieś upił, a teraz śpi.
- On się nie upija.
- Jutro rano dowiemy się od Swietłozierskiej — uspokoił Nadie Iwlew. — Chodźmy!
- Dlaczego od niej? — zdziwiła się Nadia.
- Nie zadawaj głupich pytań!

Rappoport włożył sobie do ust duży kawałek mięsa, rzucił małe kawałki kotom. Zwierzęta przytuliły się do swego pana, grzały go, mruzczały. A on wyjął z teczki ciężką kopertę. Otworzył szarą teczkę i nie przestając jeść powoli czytał „Rosję w 1839 roku” markiza de Custine’a. Zagryzał markiza rumsztykiem, zapijał piwem szkodliwym dla zdrowia. Ale ponieważ dzieło de Custine’a było jeszcze szkodliwsze, ryzyko wynikające z picia piwa zmniejszało się. Jadł powoli, leniwie, rozkoszując się zakazanym piwem i takąż lekturą, a ponadto nie zakazaną jeszcze ciszą.

43. Maria Swietłozierska

Ankieta dla Działu Kadr

Maszynistka w redakcji „Prawdy Robotniczej”.

Nazwisko panieńskie — Pieskowa. Nazwisko po pierwszym mężu — Wieriedina, po drugim mężu Griaznowa, po trzecim — Swietłozierska.

Urodzona 9 listopada 1934 r. w Bałachnie, obwód gorkowowski.

Narodowość rosyjska. Pochodzenie społeczne — chłopskie. Bezpartyjna.

Wykształcenie podstawowe (sześć klas).

Stawała przed sądem z powództwa pierwszego męża Wieriedina i drugiego męża Griaznowa, ponieważ nie chciała się zgodzić na rozwód. (Spraw sądowych z powództwa cywilnego w ankiecie można nie wymieniać — uwaga sekretarza redakcji W. A. Kaszyna).

Krewnych za granicą i w kraju nie posiada. Faktycznie niezamężna. Ale prawnie mąż istnieje, więc trzeba podać jego dane. Jednak wypełniająca ankietę oświadczyła, że ich nie zna, a w ogóle brzydzi się o mężu pisać. Mąż, Alfred Swietłozierski, według danych z dowodu osobistego żony, jest sierżantem wojsk wewnętrznych MSW (odnotował to na podstawie ustnego oświadczenia zainteresowanej W. A. Kaszyn).

Przebieg pracy i zajmowane stanowiska: dojarka z komsomolskiego zaciągu „Wszyscy na fermy!” Maszynistka sztabu wojsk wewnętrznych MSW. Dozorczyńni i maszynistka gazety „Czerwona Gwiazda”. Obecnie maszynistka w „Prawdzie Robotniczej”.

Podlega obowiązkowi służby wojskowej, w stopniu szeregowca. Zaliczona do służby nieliniowej. Książeczka wojskowa nr SZN 3812467 Zameldowana czasowo, na okres sześciu miesięcy: miasto Kriżacz, obwód wladimirski, dom Griaznowej.

W rzeczywistości mieszka pod adresem: 123826 Moskwa, Szosa Nowochoroszewska 27, blok 2, m. 44, tel. 255-21-54.

SZCZEBLE KARIERY MARIII SWIETŁOZIERSKIEJ

Przyszła z ogłoszenia, gdy „Prawda Robotnicza” szukała maszynistek. Sekretarz redakcji Kaszyn przyjął ją bez rekomendacji, zapominając w umowie o pracę wspomnieć, że kandydatka musi przejść miesięczny okres próbny. Zagadkowa stanowczość i odwaga Walentyna Afanasjewicza mogła nasuwać rozmaite podejrzenia.

A wyglądało to tak. Otworzyła drzwi małego gabinetu, w którym siedział Kaszyn i zastygła w progu trzymając za plecami torebkę. Kaszyn spojrział na nią pytająco, lecz ona milczała pozwalając przyjrzeć się sobie dokładnie. Niezbyt ładną, zbyt grubo ciosaną, prostacką twarz ze spleśzczonym nosem i małymi oczkami, zdobił promienny, beztroski uśmiech. Ale figura! Gdyby nazwać tę kobietę boginią Wenus, mogłaby się poczuć urażona — demonstrowała bowiem własny, znacznie doskonalszy wzorzec. Od stóp do głów emanowała zdrowiem, harmonią kształtów, niepowtarzalnym splotem niewinności i chęcią natychmiastowego oddania się mężczyźnie. Kaszyn wciągnął głęboko powietrze i omal się nie zakrztusił. Spojrzał za okno, ale co chwila wracał wzrokiem do stojącej w drzwiach kobiety, po czym znów, niby to obojętnie, się odwracał. Swietłozierska szybko zrozumiała, że odniosła zwycięstwo i powiedziała skromnie: — Jestem maszynistką, przyszedłam z ogłoszenia...

— A gdzie pani pracowała do tej pory? — Kaszyn wykorzystał okazję, by jeszcze raz przejechać się wzrokiem po ciele nowoprzybyłej.

— W „Czerwonej Gwieździe”.

— Dlaczego chce pani zmienić pracę?

— Bardziej mi odpowiada „Prawda Robotnicza”.

— A uposażenie?

— Dziewczyny mówiły, że jest identyczne...

— No cóż — sekretarz redakcji zerwał się z miejsca znacznie szybciej niż zazwyczaj. — Zrobimy tak: proszę usiąść za biurkiem i wypełnić ankietę.

Swietłozierska przycupnęła na brzeżku krzesła, wyciągnęła na bok długie nogi. Walentin podszedł do akwarium tak, żeby te nogi widzieć, i zaczął sypać rybkom karmę. Rybki podpływały do jego rąk.

— Ach, jakie śliczne! — przymknęła oczy z radości.

— Ma pani rację — zgodził się zadowolony Kaszyn.

Nie umiał zmieniać oficjalnego tonu na prywatny w kontaktach z kobietami, a tym bardziej przechodzić z tonu prywatnego na intymny. Panicznie bał się pięknych kobiet, peszył się w ich obecności i czerwienił. Przypuszczał, że łatwiej jest zdobywać kobiety brzydkie. Twarz nowej była nieładna, więc doszedł do wniosku, że to dobrze: z jednej strony podoba mu się, z drugiej — jest brzydka. Nie będzie zbyt zadzierała nosa, właściwie go oceni.

— T-aa-ak... — wziął do ręki ankietę i krążył wokół maszynistki, patrząc na przemian to na ankietę, to na Swietłozierską. — Nazywa się pani Maria Abramowna?

— Tylko w dowodzie osobistym — odpowiedziała surowo. — Wszyscy mówią do mnie „Inna”.

— Dlaczego, pani Maszo?

— Żadnych Masz! Nie cierpię tego imienia! Jestem wściekła, gdy mówią do mnie „pani Mario”, a za Marusię gotowa jestem oczy wydrapać — zademonstrowała z uśmiechem, jak by to wyglądało. — Z ostatnim mężem rozeszłam się częściowo właśnie z tego powodu.

— Dobrze. Może być „Inna” — nagle coś przyszło mu do głowy, pochylił się nad kobietą i rzekł poufnym tonem:

— Zrobimy tak: schowam tę tajemnicę głęboko do sejfów, wezmę ten grzech na siebie, jako odpowiedzialny za dobór kadr. Ale imię ojca ma pani jakieś dziwne... Żeby Rosjanka...

Jak się potem okazało, Inna bardzo lubiła, gdy myślano, że jest Żydówką. Była z dziada pradziada Słowianką i imię jej ojca, Abra-

ma Pieszkowa, dalekiego krewnego wielkiego pisarza Maksyma Gorkiego-Pieszkowa, emanowało prawosławną, starodawną przeszłością z nad Wołgi. Przywiozła Inna z nad tej rzeki pszeniczne włosy ściągnięte w staromodny kok (było jej w nim bardzo do twarzy) i wymowę, której Żydzi, mimo ich uzdolnień, nigdy nie umieli sobie przyswoić.

Przyczepić się do życiorysu Swietłozierskiej było łatwo, lecz Kaszyn tak strasznie chciał przyjąć nową maszynistkę, że pewne słabe jego punkty (choćby nieudane życie rodzinne) ocenił jako plus osobiście dla siebie, a inne (jak brak stałego meldunku w Moskwie, wskutek czego formalnie nie wolno było jej na stałe zatrudnić) jako dogodny punkt wyjścia do dalszych działań. Załatwi jej meldunek, jeśli dziewczyna właściwie się zachowa. Trzeba pomagać bliźnim zwyczajnie, po ludzku.

Inna miała własny powód, dla którego zameldowała się okresowo w obwodzie włodzimierskim. Gdy postanowiła rozwieść się z Griaznowem, swoim drugim mężem, przyjechała do stolicy, by zacząć nowe życie. I na ulicy Gorkiego, w samym centrum miasta, stanęła w swej ulubionej pozie niczym posąg współczesnej Afrodyty z torebką za plecami. Od razu przykleił się do niej jakiś Włoch, wychodzący z budynku centralnego telegrafu. Był to, jak się okazało, techniczny przedstawiciel firmy „Olivetti”, która zawarła kontrakt na dostawy specjalnych mebli dla KC KPZR. Spotykała się z Aldem w jego pokoju hotelowym dwa razy w tygodniu przez trzy miesiące, i chociaż Włoch źle mówił po rosyjsku, a włoskie słownictwo Swietłozierskiej ograniczało się do słowa „Ciao!”, czuła, że wprowadził ją w świat namiętności, uprzednio jej nie znany. Zaczęły jednak Innę obserwować służby wywiadowcze. Ale Włoch dostarczał meble dla KC, więc nie kazano robić mu przykrości. Przypuszczano, że gdy wyjedzie, dziewczyna zacznie się spotykać z innymi cudzoziemcami, a wówczas organy zadecydują, co z nią robić. Lecz po wyjeździe Włocha Inna zniknęła z Moskwy.

Odnalazła się w Kirzaczu, w pobliżu Włodzimierza, w domu matki Griaznowa, gdzie urodziła Włochowi syna uczciwie wyznając wszystko teściowej. Ta przywiązała się do dziecka i gdy tylko eks-synowa opuściła miasteczko, udało się jej w miejscowym USC uzyskać zgodę na adopcję czarnowłosego malucha — dała za to urzędnicze kure i dwadzieścia pięknych jaj. Od Inny domagała się pieniędzy tylko na meldunek, za który należało dawać w łapę trzy ruble miesięcznie miejscowemu milicjantowi.

Uwolnwszy się od Włocha i jego dziecka Inna nie mogła zna-

leżać sobie miejsca. Tak bardzo była znudzona, tym, co działo się dokoła, że szybko wyszła za sierżanta służby czynnej Alfreda Swiętłozierskiego — chyba głównie dlatego, że jego imię przypominało jej Alda. Innych podobieństw nie było. Ale długo nie wytrzymała z nowym małżonkiem. Czula do niego fizyczny wstręt, a głupie żarty sierżanta bolały ją niemal tak jak chore zęby.

Wróciła więc znów do Moskwy, by po raz drugi zacząć nowe życie, tym razem w charakterze maszynistki. Ale została dozorczynią: tylko taki etat dali jej bez zameldowania. Pracowała wśród równie debilnych jak jej ostatni mąż ni to wojskowych, ni to dziennikarzy. Chodziła w ciuchach, podarowanych jej przez Alda, więc oficerowie nie dawali jej spokojnie przejść. Podobało się jej w „Czerwonej Gwiazdzie”, ale pragnęła inteligentniejszego otoczenia. Wreszcie trafiła do „Prawdy Robotniczej”.

W hali maszyn dziewczyny paplały tylko o ciuchach i chłopach, a w przerwach między rozmowami, pracowały. Swiętłozierska, dziewczyna o ciętym języku, od razu się tam zaaklimatyzowała. Na pytanie: „Ilu miałaś mężczyzn, Inno?” natychmiast odpowiedziała pytaniem: „Kiedy? Dzisiaj?”, przez jej życie przewinęło się bowiem czterystu osiemdziesięciu mężczyzn. Pierwsze setki nazwisk tonęły w niepamięci, ale liczby Inna pamiętała.

— Ona ma wspaniałą figurę — mówiły z dumą maszynistki. — Najlepszą w redakcji. Szkoda, że nie może chodzić nago. Każde ubranie, nawet z importu, psuje taką sylwetkę.

— Nie psuje! — uspokajała koleżanki Swiętłozierska. — Jak się od razu kobieta rozbiera, to i obiecywać niczego jej nie trzeba. A jak chłop jest pod gazem, poderwie pierwszą lepszą. Więc nie martwcie się, dziewczyny!

Z taką mądrością życiową Swiętłozierska mogłaby zejść daleko — gdyby tylko miała choćby marne, lecz wyższe wykształcenie. Tak myślały jej koleżanki. Ale ona przekonywała nie tyle koleżanki, co siebie samą:

— Bzdury! Nie brak dyplomu mi przeszkadza, ale to, że jestem kobietą: hormony szaleją.

— A u mężczyzn nie szaleją?

— Owszem, krótko, ale zaraz potem odpoczywają! — A u kobiet na okrągło! Gdyby nie hormony, wiele bym zdobyła...

W „Prawdzie Robotniczej” zlecano jej najbardziej odpowiedzialne zadania. Chyba urodziła się ze znajomością poprawnej ruszczyzny — bo skąd się to u niej brało? Ukończyła tylko sześć klas... A

waliła w maszynę, jak karabin maszynowy, seriami. Palce nie bolały jej nigdy i nigdy nie brała zwolnień lekarskich, nawet nazajutrz po skrobance.

— My, maszynistki, jesteśmy najniezwyklejsze w redakcji — filozofowała. — Musimy z zastanowieniem przepisywać brednie, które inni bezmyślnie wysysają z palca.

Powodziło się Swietłozierskiej nienajgorzej, gdyż ciągle brała jakieś chałtury. W pracy potrafiła przepisać dwa lub nawet trzy lewe artykuły. Z Bałachny, swej rodzinnej miejscowości, przywiozła umiejętność wróżenia z kart, co przyciągnęło do niej zaintrygowane koleżanki. Wróżyła wszystkim — wszystkich spotykały przecież jakieś nieszczęścia, każdy miał kłopoty. Wszystkich mężczyzn w redakcji, od Makarcewa począwszy, a na pijaczkach z drukarni kończąc, setki razy oceniała na podstawie kart, dzieliła ich na króli i waletów, łączyła na krzyż z damami. Wiedziała dużo i mogłaby nadużyć czyjegoś zaufania, lecz nigdy tego nie robiła. Męska część redakcji mówiła o niej „swoją chłop”, choć coraz mniej było takich, którzy osobiście nie mogli się przekonać, że jest kobietą.

44. Jedyne wyjście

Nazajutrz rano Iwlew pobiegł do Swietłozierskiej. Gdy zobaczyła go w drzwiach, machnięciem ręki dała znak, żeby nie wchodził, zerwała się z krzesła i miękko, niczym kotka, prześlizgnęła się między stolikami do wyjścia. Miała zwyczaj rozmawiać ze wszystkimi w kącie na korytarzu: oparta jedną ręką o ścianę, w drugiej trzymała papierosa, a półotwarte usta zbliżała do twarzy rozmówcy tak, jakby natychmiast chciała mu się oddać. Drzwi hali maszyn co chwila otwierały się z trzaskiem, dziennikarze odbierali zostawione poprzedniego wieczora do przepisania teksty, kąt był zaciszny i ciemny.

— Co zrobiłaś z Saszką? Tylko nie kręć!

— Co ci do głowy przyszło?

— Nieważne. Telefonowała jego matka, szaleje z rozpaczy.

— Oj, Sławku! — przestraszyła się Swietłozierska. — Naprawdę nie wiem!

— Był u ciebie ostatniej nocy?

— Skąd! Co prawda, obiecał, że przyjdzie. Ale przyjechał jego kolega z Tbilisi. Czekałam do pierwszej w nocy, słuchałam, czy nie idzie. Lubi przychodzić, kiedy już leżę w łóżku, więc kładę się wcze-

śniej. Czekałam, czekałam, ale kiedy się obudziłam rano, byłam sama. Tylko tobie mówię szczerze, daję słowo...

— To poważne?

— Gdzie tam! Powiedział, że idealnie nadaje się do łóżka, ale żenić się mamusia nie pozwala. Zresztą po co mi to? W łóżku jest świetny — wyję z rozkoszy. Sińce po dwa tygodnie mi nie schodzą. Prawdziwy mężczyzna!

I dwiema rękami poprawiła stanik, przekrzywiony od nazbyt żywej gestykulacji.

— Dobrze, Inko. — Wiaczesław pogłaskał dziewczynę po ramieniu. — Znajdziemy twojego Gruzina. Idź, wal dalej w klawisze.

— Ja nie walę, lecz piszę. Zamknij drzwi, muszę podciągnąć pończochę.

— Pomóc ci?

— Wszyscy jesteście tacy sami — Inna wydeła wargi. — Najpierw chcecie zapiąć, a potem odpiąć. W tył zwrot!!

Na biurku poniewierało się mnóstwo nie przeczytanych listów i starych notesów. Iwlew przysunął do siebie telefon, położył na nim ciężką książkę telefoniczną i zastanawiał się, w którym miejscu ją otworzyć. Po krótkim wahaniu zaczął od kostnic. W pięciu, które sprawdził, wśród rozpoznanych zwłok nie było Saszy Kakabadze. Do nie rozpoznanych można będzie wrócić, gdy inne poszukiwania okażą się bezskuteczne. Jeśli Saszka żyje, zadanie będzie łatwiejsze.

Wiaczesławowi przyszło do głowy, że Kakabadze wyrwał się do swego Tbilisi, siedzi tam z przyjaciółmi i popija „Izabelę”. Ale natychmiast zrezygnował z tej wersji. Wiedzieliby o tym tbiliski przyjaciel i matka. Można zatelefonować do dyżurnego milicji miejskiej, ale tam rozmowę zapisaliby na magnetofon, a Iwlew nie chciał za wcześnie robić hałasu, żeby Saszy nie szkodzić. Ze słuchawką telefoniczną w ręku przespacerował się po izbach przyjęć pogotowia ratunkowego. Nikogo takiego nie przywieziono. Wypadku samochodowego z udziałem kogoś takiego też nie było. „Ślepy zaułek” — pomyślał Iwlew, i w tym momencie zadzwonił telefon.

— Wiaczesławie Siergiejewiczu — usłyszał oficjalny głos Rappoporta — Proszę natychmiast do mnie przyjść...

Jakow Markowicz spacerował po pokoju wymachując rękami, co świadczyło o skrajnym wzburzeniu. Na krześle siedziała skulona miniaturowa osiemdziesięcioletnia staruszka. Buzia niczym pomarszczona piąstka, oczka-paciorki. Babcia często nimi mrugała, zahipnotyzowanym wzrokiem wodząc za Jakowem Markowiczem, który krążył po pokoju.

- Niech pan siada — Rappoport zrobił szeroki gest ręką.
- Stiepanido Nikiticzno, może pani powtórzyć to, co mówiła?
- Od początku?
- Naturalnie. To nasz pracownik, on też musi o wszystkim się dowiedzieć.

Tawrow odwrócił się do Iwlewa i wyjaśnił:

— Stiepanida Nikiticzna od lat prenumeruje naszą gazetę. Jest emerytowaną nauczycielką, działaczką komitetu blokowego, kobietą z zasadami. Bardzo lubi sztukę, w szczególności muzykę i malarstwo.

— Ależ nie o to chodzi, Jakowie Markowiczu! Chodzi o to, że mieszkam na pierwszym piętrze!

— Niech pan zapamięta, Iwlew, na pierwszym!

— A na parterze, pode mną, jest milicja. Ścisłej, jak się dowiedziałam, areszt tymczasowy. Mieszkam sama, zawsze jest u mnie cicho. Telewizorem ga-a-rdzę! A ponieważ cierpię na bezsenność, słyszę nocą każdy szmer. Więc słyszę, jak na dole zamykają się i otwierają drzwi, słyszę, jaki tam krzyk. I uderzenia, gdy kogoś biją w areszcie, też doskonale słyszę. Nawiasem mówiąc, biją każdej nocy, ale zazwyczaj pijaków, chuliganów. Mają takie metody pedagogiczne. Ale przedwczoraj przed pójściem spać wzięłam dwie tabletki, żeby zasnąć, bo byłam u siostry w Zagorsku i wróciłam strasznie zmęczona. W środku nocy obudziłam się: uderzenia były takie, że dom aż się trząsał.

— Uwaga, panie Iwlew! — wtrącił Rappoport.

— Człowiek, którego bili, mówił, że nazywa się Kakabadze i pracuje w „Prawdzie Robotniczej”. Nie mogłam uwierzyć, że ktoś o tak wysokiej pozycji społecznej, jest zwykłym chuliganem. Wstałam, podeszłam do telefonu, wykręciłam 02 — na milicję i powiedziałam, dyżurnemu, że moja cierpliwość się wyczerpała. Kto widział, żeby radziecka milicja torturowała człowieka? Co na to zwierzchnicy milicjantów? Zagroziłam, że jeśli nic nie zrobią w tej sprawie, jutro pójde się poskarżyć do ministra spraw wewnętrznych.

— I pomogło? — spytał milcząco dotąd Iwlew.

— Proszę sobie wyobrazić, że tak! — powiedziała z dumą starsuszka. — Po kwadransie przyjechał autobus, wybiegli z niego ludzie z automatami, wdarli się do aresztu. Stałam przy oknie i widziałam. Nie wiem, co tam robili, ale na dole zrobiło się cicho. Po kilku minutach wyprowadzili milicjantów w kajdankach i wywieźli.

— A teraz, Stiepanido Nikiticzno — przerwał kobiecie Rappoport. — niech pani opowie to, co najważniejsze.

— Najważniejsze było to, że potem zasnąłam. A nazajutrz rano budzi mnie dzwonek do drzwi. Wszedł młody człowiek, bardzo elegancki, w mundurze, z początku pomyślałam — chyba generał. Ale przedstawił się jako major milicji. Bardzo dobrze wychowany młody człowiek, najwyżej pięćdziesięcioletni. Wszedł do pokoju, wytarł w progu nogi i prosił się wyobrazić, zdjął czapkę.

— Stiepanida Nikiticzna — zauważył Rappoport — ma duże poczucie humoru.

— A co pan myślał? Jeszcze niejedno mogłabym powiedzieć! No więc ten generał, to znaczy major, piękny jak generał, powiada: „Proszę wybaczyć, że przeszkadzono pani spać. Podjęliśmy już stosowne kroki, nie trzeba pani nikogo więcej niepokoić. Ten, kto zasłużył na karę, poniesie ją, proszę się nie martwić.” „Jakże — powiadam — nie martwić się? A co z tym młodym człowiekiem, którego milicjanci omal nie zatłukli na śmierć.” „Gdzie tam na śmierć — powiada ten major — jest żywy i zdrowy. A w ogóle, to niepoprawny chuligan, będzie ukarany zgodnie z prawem.” Wtedy mówię do niego: „Wie pan, każdej nocy słyszę, jak tu biją ludzi. I chyba się domyślam, kto to robi!” „Lepiej się nie wtrącaj, babciu. Bo pójdziesz pod sąd za rozgłaszanie tajemnicy.”

— Tak powiedział? — uśmiechnął się krzywo Iwlew.

— Nie to mnie rozzłościło, że chciał mnie zastraszyć, a to, że nazwał babcią. Dział wychowania komunistycznego redakcji winien interweniować w tej sprawie!

Wstała, podała mężczyznom chudziutką zasuszoną rączkę i wyfrunęła za drzwi.

— Co ty na to? — Jakow Markowicz stał przed Iwlewem z szeroko rozstawionymi nogami.

— Każda normalna gazeta na świecie rozsypałaby skład i na pierwszej kolumnie nagłośniłaby tę historię!

— Nie bulgocz, Sławku, nie jesteś czajnikiem. Zastanów się: jeśli Saszę zatrzymała milicja, bo coś przeszkrobał, dlaczego nie ma jego nazwiska na liście?

Chodziło mu o listę, sporządzaną w Zarządzie Spraw Wewnętrznych Moskiewskiego Komitetu Wykonawczego, którą co dzień rano otrzymywał pierwszy sekretarz komitetu miejskiego. Byli na niej działacze partyjni, aktorzy, dziennikarze i ludzie z elity, którzy w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin naruszyli ład i porządek. Jeśli Kakabadze znalazł się na tej liście, to zawiadomiono już Kaszyna, by podjął stosowne kroki.

— Nie wiem. A co pan sądzi?

— Chyba musieli mieć powód, żeby go nie umieszczać na tej liście.

— Morda w kubel?

— Jeśli istotnie są winni i chcą coś ukryć przed komitetem miejskim, to żeby ratować Saszę, warto sobie przypomnieć: nie wypadliśmy sroce spod ogona! Jesteśmy gazetą centralną! A skoro tak, to powalczmy o honor munduru. Jagubow to mięczak, ale może udało się go podłączyć do sprawy Makarcewa?

— Mamy walczyć z MSW?

— Po pierwsze, MSW to jeszcze nie KGB, w dodatku lubi udawać, że przestrzega praworządności. Po drugie, to tylko zarząd miasta, a my nie podlegamy władzom miejskim. Jeśli podejrzana afera wypłynie na jaw, ministerstwo się od niej odetnie. No, co Sławku, zaryzykujesz? Jeśli tak, to lepiej, żebym to ja pogadał z Kaszynem.

— Dlaczego?

— Kuzyn mojej zmarłej żony jest księgowym w „Zoozjednoczeniu”.

Rappoport wszedł do Kaszyna tryumfalnie, tak jak się wchodzi z gratulacjami.

— No, Walentynie, chyba się ucieszysz. Potrzebne ci deficytowe rybki?

— A ma pan dojście?

— I to jakie! Można zdobyć rarytasy! I to bez spekulacji, najzupełniej legalnie, choć spod lady.

— Cudownie! — Kaszyn podniósł się zza biurka. — Jestem pana dłużnikiem, Jakowie Markowiczu.

— Nic takiego! No, muszę iść — Rappoport odwrócił się w stronę drzwi. — Aha, Walentynie, chciałem coś spytać. Nie słyszałeś nic o Saszy Kakabadze? Gdzieś zniknął, a to przecież nasz chłopak, komsomolec... Nie ma go przypadkiem na liście?

— Przecież bym wiedział — obruszył się Kaszyn. — A co się stało?

— Tak właśnie myślałem. Czyli nic złego nie zrobił.

— Nic złego? O co chodzi?

— Mówią, że pobiła go milicja. Trzeba to wyjaśnić. Masz kogoś w MSW? Dowiedz się! My, gazeta partyjna, jesteśmy od nich chyba silniejsi!

Walentin zamyślił się. Wyjaśnić, co się stało z pracownikiem redakcji, powinien — należało to do jego obowiązków. Wykręcił numer Utierina i poprosił o informację — co się z tym Kakabadze stało? Kaszyn i Tawrow rozmawiali o rybkach, kiedy Utierin oddzwonił.

— Kakabadze Aleksander, syn Szałwy — to wasz człowiek? Owszem, jest u nas. W szpitalu więziennym, stan ciężki. Bójka po pijanemu.

— Dlaczego w więziennym?

— Pewno coś przeskrobał! Wyjaśnią to...

— Zanim wyjaśnią, mnie wezwą moi szefowie. I co — wyjdę na idiotę?

— Sami powinnniśmy wyjaśnić — wtrącił się Rappoport.

— Wołodia — rzekł Kaszyn do słuchawki — załatw przepustkę, a my wyślemy dziennikarza. Zgoda?

Rappoport wpadł do pokoju korespondentów specjalnych.

— Sławku, Kaszyn pomógł ci wejść do MUR-u. Ale bądź ostrożny. Mogą i ciebie wmotać w tę sprawę.

— Nie dam się!

— No to do dzieła!

Wiaczesław zbiegł po schodach zapinając w pośpiechu palto i zatrzymał pierwszy z brzegu samochód — załadowany śniegiem spychacz. Za trzy ruble kierowca zgodził się zawieźć go, gdzie tylko zechce, i rzeczywiście, miał wszystko gdzieś, nie zatrzymywał się nawet na czerwonym świetle. Szybkie przybycie niewiele pomogło — minęły niemal dwie godziny, zanim wydano Iwlewowi przepustkę.

— Rozmawiać pozwalam krótko — z udaną surowością powiedział chirurg w oficerskich naramiennikach. Był chudy i długi. Wydawało się, że ramion w ogóle nie ma.

— Co się z nim właściwie stało? — zapytał Sławek.

— Będzie pan o tym pisał? — zainteresował się chirurg. — Jeśli tak, to jak najładniej, dziennikarze to potrafią. Bójka po pijanemu i te pe. Człowiek namęczy się przy kimś takim, a czy warto? Pęknięcie podstawy czaszki, dwa złamane żebra, spuchnięta prawa nerka, twarz jak mielony kotlet.

Chirurg odwrócił się i odszedł. Jego kroki głośno stukwały po korytarzu. Sławek wyjął z kieszeni dwudziestokopiejkową monetę, rozejrzał się dokoła i podał młodemu, sympatycznemu strażnikowi.

— Chcę z nim pogadać sam na sam. Bez obawy, nic złego się nie stanie.

Strażnik rozejrzał się, czy kto nie widzi, schował pieniądze za cholewę i został na korytarzu. Na sali było dwanaście łóżek, wszyscy chorzy w stanie ciężkim. Wokół odór szpitalny. Pod sufitem dwa okna w kagańcach. Sufit z żółtymi zaciekami — coś ciekło z rur kanalizacyjnych. Iwlew szedł od łóżka do łóżka w poszukiwaniu Saszy Kakabadze.

— To ty? — Sasza próbował się uśmiechnąć.

Oczy jego zrobiły się mokre, lzy popłynęły strugami. Iwlew uklęknął na brudnej podłodze, jak najbliższej zabandażowanej, kulistej głowy.

— Jak ci się udało tu wejść? — wyszeptał Kakabadze. — Myślałem, że tu umrę i nikt się nie dowie.

— Bzdura! Wszędzie potrafimy się wcisnąć. Ale mamy za mało czasu, a tobie nie wolno mówić. Powiedz tylko to, co najważniejsze.

— Znów będą mnie tłukli, jeśli powiem. A to strasznie boli...

— Za co?

— Za co mnie pobili? Ot, tak sobie. Sadyści.

— Ale kto? Mów stary, kto?!

— Szukałem taksówki.

— Spieszyleś się do Inki.

— Powiedziała?

— Tak. To dobra dziewczyna, odda ostatnią koszulę.

— Wiem. Ale nie mów Nadi.

— Nadi? Nie powiem. Szukałeś taksówki i...

— Aha! Na chodniku stał milicjant. Macham ręką, ale taksówki nie chcą się zatrzymać. Podchodzi do mnie: „Tu nie wolno parkować, nikt tutaj nie stanie. Wynoś się stąd.” Rozzłościłem się: przemarzłem, a on w walonkach, nie ma nic do roboty. Mówię do niego: „Zalóżmy się. Jak się zatrzyma — dam ci rubla, a jak nie — ty dasz mnie! Zaraz się zatrzyma, zobaczysz!” A on na to: „Faktycznie, zatrzyma się.” Patrzę, a tuż obok staje wóz milicyjny. A w nim dwóch mentów. „Siadaj!” Mówią. A ja na to: „Nie pasuje mi ta taczka, poczekam na taksówkę!” — „Siadaj!” — mówią. Wciągnęli mnie siłą do samochodu.

— I gdzie zawieźli?

— Ale zrozumiałem to dopiero następnego dnia, a bić mnie zaczęli od razu, już w radiowozie. Związali mi ręce paskiem i bili. Myśleli, że każdy Gruzin ma dużo pieniędzy — i szukali ich. A gdy mnie przywieźli na komisariat, włączył się do tego tutejszy dyżurny. Mówię im: „Jestem nietypowym Gruzinem, nie mam nawet grosza.” „Dowiedz się — mówią na to — gruziński gnoju — czy warto dymać nasze baby!” Kopali mnie, lupili kastetami, rzucali z kąta w kąt, bili taboretami po głowie. I wciąż pytali, gdzie chowam pieniądze. A gdy już nie mogłem się ruszać, stanęli wokół mnie i siusiali, tak, żeby trafić mi w usta. Zakrztusiłem się...

Sasza zamknął oczy i skrzywił się — może z bólu, a może od tych wspomnień.

— Mówią, że pójde pod sąd. Ale za co? Sławku, strzeż się ich!

— Uspokój się, Sasza. Teraz my włączyliśmy się do sprawy. W razie czego poprosimy Makarcewa.

Drzwi sali otworzyły się. Chudy chirurg przywołał palcem Iwlewa. Sławek pogłaskał Saszę po twarzy zbierając palcami jego łzy i wyszedł.

— Pan z „Prawdy Robotniczej”? — kapitan w milicyjnym mundurze pociągnął Iwlewa za rękaw. — Bardzo mi miło, starszy inspektor Utierin. Polecono mi z panem porozmawiać. Prasa sporo o nas pisze, nie możemy się uskarżać, ale nie wszyscy rozumieją naszą specyfikę. Chodźmy do mnie na górę.

Poszli wąskim piwnicznym korytarzem, pod zakratowanymi żarówkami do windy. Po drodze dwukrotnie sprawdzano ich dokumenty. W pokoju Utierin wskazał Wiaczesławowi krzesło.

— Ciężkie ma pan zadanie — Władimir Kuźmicz przeszedł do meritum. — Sam nie zajmowałem się tą sprawą, pułkownik kazał mi panu wyjaśnić. Poszlaki przeciwko Kakabadzemu są poważne. Pańska gazeta ma wątpliwości, twierdzicie, że go pobito w komisariacie. Mówiąc między nami, zdarza się, że czasami biją na milicji — różni ludzie u nas pracują. Ale to była bójka. Świadców Kakabadze nie ma.

— Owszem, ma — powiedział zimno Iwlew.

— Znaleźliście? — zdziwił się szczerze Utierin. — Wiaczesławie Siergiejewiczu, telefonowałem do Kaszyna, żeby mi coś o panu powiedział. Podobno jest pan doświadczonym, mądrym dziennikarzem.

— Dziękuję!

— Oboje mamy zwierzchników — każdy swoich. Musimy wykonywać polecenia. A z naczelstwem lepiej się nie spierać, mam rację?

— W stu procentach.

— A propos, jak tam wasz Makarcew — wciąż jeszcze leży w szpitalu? Ten to ma pecha — najpierw zawał, a potem historia z synem. Rad byłbym znaleźć okoliczności łagodzące, ale nic nie mam! Pójdzie chłopak siedzieć na piętnaście lat. A jak go wypuszczą, będzie skończony. Moi zwierzchnicy sądzą, że moglibyśmy dojść do porozumienia. Niech pan porozumie się z redakcją. Oficjalnie nikt nie zaproponuje wam czegoś takiego, to chyba jasne?

— Rozumiem — Iwlew podniósł się z krzesła.

Utierin też wstał i uśmiechnął się przepraszająco. Mocno, jak starzy przyjaciele, uścisnęli sobie dłonie.

Na ulicy zimny wiatr zmiatał kurz, kręcił z niego spirale. Na bulwarze Twerskim dzieci bawiły się wśród kałuż na suchych wysepkach asfaltu. „Zgódź się!” — powie Rappoport. „Żadnych artykułów! — oświadczy Jagubow. — Krytyka milicji to krytyka władzy. Wykry-

wanie przestępstw jest obowiązkiem organów ścigania. My zajmujemy się propagandą.” „To prawda, coś tu śmierdzi, ale to wyjątkowy przypadek — powie Makarcew. — Przecież tu chodzi o życie. Wyobraź sobie, Wiaczesławie, że twój syn ma poważne kłopoty.” Co powie na to Poliszczuk?

45. Lew Poliszczuk

Ankieta dla kadr kierowniczych

Pochodzenie społeczne — urzędnicze. Dziadek, również Lew Wiktorowicz Poliszczuk — z zawodu robotnik, brał udział w trzech rewolucjach, członek partii od 1906 roku, obecnie na emeryturze specjalnej (informacja podana w życiorysie).

Członek KPZR od 1949 roku, legitymacja partyjna nr 0269311. Przedtem bezpartyjny. Naganą partyjną z wpisaniem do akt zatarto rok temu ze względu na nienaganną postawę.

Wykształcenie wyższe, inżynier, ukończył Wyższą Szkołę Techniczną im. Baumana w 1955 roku.

Autor prac naukowych z dziedziny socjologii (napisanych we współautorstwie).

Za granicą był w Szwecji, Austrii, Arabii Saudyjskiej, Bangladeszu, Kuwejcie, Afryce Południowej, Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej, w Mongolii (trzykrotnie) jako kierownik delegacji młodzieżowych podczas wyjazdów organizowanych przez biuro podróży „Sputnik”.

Żonaty, posiada sześciolatnie dziecko.

Członek egzekutywy w redakcji, zastępca przewodniczącego Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Mongolskiej .

Stosunek do służby wojskowej: major rezerwy, korpus oficerów politycznych, w ewidencji specjalnej.

Dowód osobisty UP FI 283 452, wydany przez 21 komisariat m. Moskwy, 8 stycznia 1960 r. Zameldowany na stałe pod adresem: ul. Kondratiuka 10, korpus 3, m. 67, tel. 253-28-14.

Uzupełnienie ankiety: wzrost 176 cm, kolor oczu zielony, kolor włosów — ciemny szatyn, wąsy czarne.

W dziesiątej klasie Lew, zawsze wytrwale dążący do celu, został wicemistrzem sportu w warszawach. Gdy zdawał do wyższej szkoły technicznej im. Baumana, najbardziej patriotyczna katedra Instytutu — sportowa — przycisnęła komisję rekrutacyjną i Poliszczuka przyjęto, choć zabrakło mu jednego punktu. Na drugim roku studiów został mistrzem sportu, więc nie tyle studiował, co jeździł na zawody. Ponieważ był towarzyski, wybrano go na członka komitetu komсомоłu, a wkrótce potem na sekretarza. Otworzyła się przed nim perspektywa wspaniałej kariery. Po uzyskaniu dyplomu inżyniera młody komunista i rumiany komsomolski lider Lew Poliszczuk, posiadacz nieskazitelnej ankiety (nikt nie wiedział, że jego babka była Żydówką) z rekomendacji stosownych instytucji podjął pracę w Wydziale Nauki KC Komsomołu. Był kuratorem młodzieży w rosnących jak grzyby po deszczu syberyjskich miasteczkach akademickich.

Poliszczuk miał poważną wadę, która podczas studiów niezbyt mu przeszkadzała, lecz z czasem zaczęła szkodzić: ufał ludziom. Oni natomiast często go zawodzili. Dwukrotnie poparł w miasteczku akademickim pod Nowosybirskiem coś, co przypominało kluby dyskusyjne. Jednak dyskusje szybko przeobraziły się z czysto naukowych w społeczne, więc polecono zamknąć młodzieżowe klubokawiarnie. Pierwszy sekretarz KC WŁKSM Pawłow wezwał do siebie Poliszczuka i oznajmił:

— Striptizów nie będzie.

W ślad za Siemiczastnym i Szelepinem rwał się do KC KPZR lub przynajmniej do KGB Pawłow. Podobnie jak niemal wszyscy działacze Komsomołu Poliszczuk rozumiał, że należałoby odmłodzić rząd i biuro polityczne; najlepsze kadry dostarczyłaby, naturalnie, wierna pomocnica partii, organizacja komsomolska. Lecz jeśli dla Poliszczuka odmłodzenie było niezbędne, by zwalczyć stagnację, to Pawłow i jego ludzie chcieli po prostu zachapać to, co uznali za własne. Kremlowscy starcy doskonale zrozumieli, że wystarczy wpuścić do Dużego Domu choćby jednego komsomolskiego lidera, a za nim pojawią się inni, związani ze swymi poprzednikami jak alipiniści tą samą liną. I choć oba szare gmachy stoją naprzeciwko siebie, KPZR i KC WŁKSM dzieli mur nie do przebycia.

Lew zrozumiał to do końca, gdy skorumpowany Pawłow został przewodniczącym Komitetu do spraw sportu — zostawiono mu Olimp sportowy, by odciąć raz na zawsze od partyjnego. Poliszczuk

nie był już wówczas gorliwym działaczem komsomolskim. Jego koledzy pichcili rozprawy doktorskie, żyło się im weselej. Po zmianach na Kremlu i trzęsieniu ziemi, jakie te zmiany wywołały, Poliszczuk przeskoczył z ręcznikiem do instytutu naukowego, gdzie po wieloletniej przerwie reaktywowano socjologię. Bez względu jednak na to, jaki aspekt życia usiłowali badać socjolodzy, o publikowaniu wyników tych badań nie było mowy — nieustannie „kolidowały z rzeczywistym stanem rzeczy”. Wożono tajne sprawozdania do partyjnych bossów, ale im też się one nie podobały. Gdy Poliszczuk zakończył swą rozprawę doktorską „Pragnienia młodzieży radzieckiej i ich realizacja”, pracownię socjologiczną zlikwidowano. Odtąd instytut zajmował się badaniami, których wyniki znane były z góry.

Na szczęście, dzięki niezłej intuicji, Lew Wiktorowicz w ostatniej chwili załapał się na etat w Instytucie Międzynarodowego Ruchu Robotniczego. Powstał tam właśnie sektor futurologii. Obrona doktoratu stawała się realna, cóż bowiem bezpieczniejszego niż badać przyszłość? Kto sprawdzi wyniki takiej rozprawy? Naukowcy przygotowywali skomplikowany program badań komputerowych: zamierzali udowodnić, że komunizm kroczy drogą postępu znacznie szybciej niż gnijący kapitalizm. Sektor pracował intensywnie, przygotowano kilka rozpraw doktorskich i habilitacyjnych. Atmosfera była napięta, gdyż władze instytutu obiecały ogłosić wyniki przed zbliżającym się zjazdem partii. Ale komputer nagle oświadczył, że międzynarodowy ruch robotniczy nie ma istotnego znaczenia, komunizm nie kroczy drogą postępu, a kapitalizm nie gnije. W dodatku ideologia, z punktu widzenia futurologii, nie odgrywa żadnej roli w rozwoju gospodarczym. W określonym punkcie komunizm i kapitalizm muszą się spotkać. Ideologia, oświadczył komputer, tylko hamuje konwergencję, przeszkadza jej.

Nie można było ukarać maszyny za antyleninowskie stanowisko, lecz sektor futurologii rozwiązano. Poliszczuk gorączkowo szukał nowego miejsca pracy — niestety, tym razem się spóźnił. No i wlepili mu naganę z wpisaniem do akt za ideologiczne bałaganiarstwo, choć sam nawet nie pracował z komputerem.

Właśnie wtedy, by odmłodzić kadry, Makarcew szukał sekretarza redakcji. Owsiejew, ten poprzedni, szedł po wielu latach pracy na emeryturę. Naczelnny zdawał sobie sprawę, że jeśli nie znajdzie swojego człowieka, przyślą mu kogoś z KC; ten ktoś będzie słuchał gorliwie swych protektorów, a nie jego. Poliszczuk, polecony Makarcewowi przez znajomych, od razu przypadł mu do gustu. Naczelnny

miał już taką cechę — ktoś podobał mu się od pierwszego wejrzenia lub nie. Cecha ta szalenie przeszkadzała mu kierować gazetą.

Na nowej posadzie mistrz warcabów znów poczuł się jak ryba w wodzie. Przydało się dawne doświadczenie organizatorskie. Praca w gazecie mu odpowiadała. Ryzykowna zasada, by ufać ludziom, (do końca jej w sobie nie zwalczył), gwarantowała dobre kontakty z działami redakcyjnymi. Nie cierpiał tylko Poliszczuk wizyt w Dużym Domu. Na szczęście Makarcew chętnie biegał tam sam, a kiedy nie mógł, ułatwiał Poliszczukowi życie, posyłając do KC swych zastępców. Do tego czasu marzenia Poliszczuka o karierze jeszcze bardziej zbladły. Miał wrażenie, że dotyka głową sufitu.

Jagubow bardzo się zdziwił, że Poliszczuk jeździ do pracy metrem i trolejbusem, choć przysługuje mu służbowy samochód. Na obiady chodził Poliszczuk do stołówki KC WLKSM, gdzie go wpuszczano z przyzwyczajenia, a mógłby jadać w Dużym Domu. Jagubow go za to skarcił. Poliszczuk wysłuchał bez słowa protestu, lecz postępowania nie zmienił. Gdy Makarcew kazał drukować gniewne tyrady ludu pracującego, oburzonego na Sołżenicyna, Poliszczuk oświadczył, że jest chory, poprosił, by go ktoś zastąpił na stanowisku dyżurnego redaktora i opuścił gmach. Numer do druku podpisał sam Igor Iwanowicz.

W gabinecie Poliszczuka czasami zbierało się kilka osób na pogawędkę. Kiedyś ze smutnym uśmiechem Poliszczuk zauważył, że nazwy ulic moskiewskich przemianowywane są dość monotonnie. Ich patronami są partyjni przywódcy, krajowi i zagraniczni. Stawia się też przywódcom pomniki, więc miasto zaczyna przypominać cmentarz komunistów całego świata.

— Jak byliśmy w Szwecji — opowiadał przyjaciółom. — Mer Sztokholmu rzucił się do nas z uściskami. „Bardzo szanuję sowieckich dziennikarzy. Są tacy mądrzy! Nasi w porównaniu z wami to prymitywy! Że też przy waszej drakońskiej cenzurze, potraficie jeszcze w ogóle pisać!”

Lew jak tylko mógł starał się być przyzwoity. Żeby walczyć, trzeba być bohaterem, a on jest zwykłym człowiekiem. Chce czynić dobrze nie uczestnicząc w podłościach, dobrowolnie nie dolewać oliwy do ognia. Zresztą, nawet najmniejszy przejaw przyzwoitości mógł stać się przyczyną kłopotów.

Gdy Nadia przyniosła Poliszczukowi kolejną stertę listów (pod nieobecność Jagubowa) ten przejrzał je i niektóre, nazbyt gwałtowne, pełne nienawiści i jadu, a zwłaszcza pisane w obronie więźniów politycznych, podarł na drobne kawałeczki i wyrzucił do kosza.

— Nic nie widziałaś!

Nadia potakująco kiwnęła głową i więcej na ten temat nie rozmawiali. W redakcji przyjaźniła się z Poliszczukiem Raisa Kaczariowa, redaktor działu literatury i sztuki. Różnie o tej przyjaźni mówiono. Energii Raisa miała mnóstwo. Często wpadała do Poliszczuka na papierosa, zasiadywała się, paplała jak najęta, dawała rady (jak zwykle mądre) — w czyjej obecności jak się zachowywać, gdzie być bardziej gorliwym, a gdzie się wstrzymać, by uniknąć wpadki. Rozumiała Lwa lepiej niż ktokolwiek inny. Żona Poliszczuka wiedziała o tej przyjaźni, udawała, że ją to niewiele obchodzi, lecz była zazdrosna.

Dawni koledzy Lwa — działacze komsomolscy urządzili się nieźle w różnych organizacjach. Któregoś dnia szef Poliszczuka z KC Komso-
mołu, obecnie funkcjonariusz bezpieczeństwa, na wieść, że Lew Wikto-
rowicz został dziennikarzem, pogadał z nim, a potem zaproponował:

— Nie przeszedłbyś do nas? Dwa lata pracowałbyś w szkole spe-
cjalnej: znasz języki, masz wyuczony zawód. Pojechałbyś za granicę jako
korespondent „Prawdy Robotniczej” lub jakiejś innej gazety. Z rodziną,
rzecz jasna. I zbierałbyś dla nas informacje. To dzisiaj dość proste.

— Wspaniała propozycja! — odpowiedział Lew, lecz następnego
dnia odmówił: — żona — stwierdził, nie wyraziła zgody.

— Dureń z ciebie! — zawołał Makarcew, który sam niezbyt ko-
chał KGB, gdy sekretarz redakcji opowiedział mu tę historię.

Pewnego razu Poliszczuk nie na żarty uraził naczelnego, i gdy-
by ten był choć trochę głupszy, nie wybaczyłby mu tego. Dział infor-
macji znalazł zdolnego chłopaka i chciał go zatrudnić. Gazeta kula-
ła bez dobrych reporterów, potrzebny był materiał do każdego nu-
meru, a chłopak chętnie biegał i pisał. Ale Makarcew z uporem się
nie zgadzał: kandydat był bezpartyjny.

— No to przyjmujemy go do partii — namawiał szefa Poliszczuk.

— Lepiej od razu wziąć partyjnego — protestował Makarcew.
— Gazeta to nie przedszkole, potrzebujemy doświadczonych dzien-
nikarzy.

— Ależ on świetnie daje sobie radę!

— Zrozum, Lwa: to ja odpowiadam za politykę kadrową, fakt,
że ktoś daje sobie radę, nie wystarcza!

— Nie wiedziałem, że przeszkadza panu piąty punkt!* — wy-
cedził Poliszczuk na odchodnym.

— Czekaj! — krzyknął Makarcew. — Nie spiesz się za bardzo!

* Piąty punkt: inaczej narodowość żydowska (zgodnie z piątym punk-
tem w dowodzie osobistym).

Zastanów się, jak z tym jest w naszej redakcji, porównaj z innymi. Anonimy, że zatrudniamy zbyt wielu Żydów, biją we mnie, nie w ciebie! Wiesz co? Jedź do KC i powiedz im, że jestem antysemitą. Głośno powiedz. Wtedy przestaną się mnie czepiać.

— Tam nie powiem. Na tamtym szczelbu to chyba za mało. Ale tutaj...

— Widzieliście liberała? — roześmiał się nagle Makarcew. — Czego cię uczyli w tym komsomole! No dobra! Gdzie to podanie? Przyjmiemy chłopaka!

Nie poruszali już tego tematu, lecz stosunki między nimi pozostawały chłodne. Makarcew nie był zły na Poliszczuka. Ale to przykre, gdy oskarżają nas o coś, co w rzeczywistości nie istnieje.

46. Za plecami Jagubowa

Nie zdejmując palta Iwlew poszedł do gabinetu sekretarza redakcji. Lubił Poliszczuka. Poza pracą nie spotykali się, lecz ponieważ myśleli podobnie, nabrali do siebie zaufania, zbliżyli się i dyskutowali na tematy, o których jeszcze niedawno nie wolno było nawet myśleć.

— No i co tam z Kakabadze? — Lew nakrył dłonią stertę płacht z korektą, żeby się nie rozleciały w przeciagu.

Wiaczesław upadł na krzesło i krótko przedstawił sytuację. Powiedział też Poliszczukowi o propozycji Utierina.

— Szkoda mi Igora Iwanowicza — westchnął Poliszczuk. — Ale nie pozwolimy, żeby pluli nam w twarz. Tu chodzi nie tylko o Kakabadzkiego, chodzi o naszą gazetę. Musimy w tej sprawie zabrać głos. W przeciwnym razie będziemy takimi samymi bandziorami jak ci z MSW. Czemu milczysz, chłopie?

— Przypuśćmy, że przymkniemy na to oczy, a wtedy obu wypuszczą. Ale dlaczego przez tego gnojka — syna Makarcewa, Sasza Kakabadze ma całe życie chodzić opluty?

— No to dogadaliśmy się. Napisz o tym.

— A kto wstawi na kolumnę? Chyba nie Jagubow?

— Jagubow miał dziś pecha. Gdy rano zjawił się w redakcji, strażnik kazał mu okazać legitymację. Stiepan Trofimowicz powiada: „Jestem Jagubow, dziadku”. A ten na to: „Mnie tam wszystko jedno, Jagubow czy kto inny — gdzie legitymacja?” Więc wyjął z kieszeni legitymację i pokazał ją staremu. Ten obejrzał dokument: „Nie mogę wpuścić — przeterminowana.” „Czy ty rozumiesz, z kim

rozmawiasz?” „Nie muszę. Kaszyn zabronił wpuszczać z nieprzedłużonymi legitymacjami.” Jagubow zażądał zwrotu legitymacji i zaczął szarpać się ze starym. Ten ze strachu rozerwał dokument i dopiero wtedy oddał. Stiepan Trofimowicz odepchnął strażnika i zastosował jakiś specjalny chwyt, omal nie złamał staremu szyi, i ruszył do windy. Strażnik zerwał się z podłogi, dogonił go, schwycił za kołnierz. I tak szarpnął, że kołnierz został mu w rękach.

— I jak się to skończyło?

— Zatelefonowali do mnie. Zamówiłem jednorazową przepustkę. Jagubow, jak na złość, nie miał ze sobą dowodu osobistego. Więc go przeprowadziłem zostawiając własny dowód w zastaw.

— Wpadł we własne sidła...

— Nawet mu to do głowy nie przyszło. Powiedział, że słuszną sprawę czasem psują nieuświadomieni ludzie. Aneczka przez pół dnia przyszywała mu kołnierz.

— Może Jagubow puści ten artykuł...

— Niby dlaczego?

— A dlatego — wypalił Iwlew — że zrobiłby w ten sposób świństwo Makarcewowi. Jeśli gazeta wystąpi przeciwko MSW, gebiści załatwią jego syna.

— Niezły ruch! — skrzywił się Poliszczuk i pomacał językiem szczoteczkę wąsów, jakby sprawdzając, czy nie odrosły.

Nagle zawahał się:

— Ale jak stchórzy, będzie za późno.

— No a ty... nie stchórzysz?

— Ja? Ja bym zaryzykował. — Poliszczuk zastukał palcami po biurku odciągając moment podjęcia decyzji, potem spojrzął na zegarek. — Jagubow wyjedzie koło ósmej. Do tego czasu materiał musi być gotowy. Ale bez rozgłosu. Dwieście linijek wystarczy?

— Zmieszczę się...

— Synu mój! — zawołał Jakow Markowicz, gdy Iwlew krótko opowiedział mu o wszystkim. — Jeśli chcesz doprowadzić sprawę do końca, broń Boże nie uogólniaj! Pisz, że milicję mamy najlepszą w świecie, ci trzej gliniarze są wyjątkiem.

Patrząc wślad za oddalającym się Iwlewem nagle pomyślał: a może to Poliszczuk zostawił na biurku Makarcewa szarą teczkę? Chyba jednak nie. Poliszczuk tylko gada, nie jest skory do działania. Skądinąd przyjemnie się dowiedzieć, że ktoś jest lepszy, niż się nam wydawało...

Iwlew zamknął się w swym pokoju na klucz, wyciągnął z kie-

szeni dwa notesy, od obu oderwał okładki, rozpatroszył kartki. Oczyszczył połowę biurka, żeby zrobić więcej miejsca i zaczął rozkładać pasjans: co się przyda do artykułu, a co nie, co warto będzie wykorzystać kiedy indziej.

„Komisariat nie rejestruje kradzieży i grabieży, ponieważ walczy o lepsze miejsce we współzawodnictwie z innymi komisariatami.” Może się przyda, ale raczej nie. „Gdy każą nam schwycić jakiegoś mordercę, do zbrodni przyznaje się natychmiast od 60 do 80 osób.” To na pewno się nie przyda. „MUR chlubi się wysokim procentem rozpoznania zwłok. W kostnicach panuje porządek i czystość”. A oto plakat z Lefortowa: „Nasza kostnica zajęła pierwsze miejsce w socjalistycznym współzawodnictwie pracy, wyprzedzając inne kostnice Moskwy. Gratulujemy zwycięstwa!” Raport kierownika kostnicy: „Nie ilość zwłok jest ważna, towarzysze, lecz jakość ich obsługi. Krewni naszych zwłok zawsze będą zadowoleni!” Iwlew zanotował to ot tak, dla siebie. A to relacja Kakabadzego, rozmowa z Utierinem, notatki z ekspertyzy medyczno-sądowej — w tej lub innej formie wszystko to trzeba wykorzystać. Wiaczesław położył na biurku czystą kartkę. Tytuł przyszedł do głowy natychmiast, więc zapisał go drobnym maczkiem na samym rogu: „Mętna woda”. Dobrze znane kryteria — co wolno, a czego nie wolno — pozwalały wystrzegać się niebezpieczeństw. Pamiętając radę Jakowa Markowicza Wiaczesław opisał bez wzburzenia spotkanie Saszy Kakabadze z milicją. Pewno artykuł nie ukaże się w druku, trzeba będzie go odłożyć na stertę innych, też odrzuconych. Pisał takich artykułów coraz więcej. Okolicznościowe teksty szybko się starzały, dezaktualizowały z braku głębi i nadmiaru subiektywizmu. Dawniej smażył artykuły na każdy temat bez wysiłku. Ale gdy spoważniał, przychodziło mu to z coraz większym trudem.

Od rozmyślań odciągnął Wiaczesława jakiś szmer. Ktoś podsunął pod drzwi kartkę. Sławek podniósł ją i przeczytał: „Wpuść mnie na chwilę.” Przekręcił klucz: to Nadia. Obejrzała się na wszystkie strony, czy aby kto nie widzi, wślizgnęła się do pokoju i sama przekręciła klucz w zamku.

— Jesteś zajęty? Tylko ci pokażę moje nowe spodnie. Ładne? Nie za wąskie? Dotknij...

Grzecznie dotknął, a ona skoczyła na niego jak kotka, oplótła go rękami i nogami. Zachwiał się, ale utrzymał się na nogach, chwycił dziewczynę w ramiona i posadził na biurku. Kartki z notesów znów się pomieszały. Nadia czołgała się w dół wciąż ściskając Wiaczesława.

— Puść, podstępna zmijo!

— Pracuj, nie będę ci przeszkadzać — rozsunęła ręce i nogi.

Iwlew upadł na krzesło i oparł głowę na maszynopisie. Próbował uspokoić kołatanie serca i przemyśleć resztę artykułu. Nagle usłyszał skrzypienie desek parkietu, poczuł, że Nadia jak kotka ociera się o jego kolana i leciutko poruszył nogą. No i doczekał się!

— Teraz jesteś mój! — rozległ się radosny głos spod biurka. — Jak będziesz się opierał, to ci go oderwę...

Zagryzł usta, wsunął rękę pod biurko, pogłaskał Nadię po głowie. Pokój zakołysał się, popłynął, nagle się zatrzymał. Jeszcze przez kilka chwil Nadia siedziała na podłodze, potem wstała i bezszelestnie ruszyła do drzwi.

— Zamknij za mną, pracusiu.

Gdy szeroko otworzył okno, wilgotne wieczorne powietrze wypełniło pokój. Kartki na biurku poruszyły się. Iwlew zatrząsnął się z zimna. Zamknął okno, z trudem zebrał uwagę i dopisał jeszcze dwa akapity.

Materiały bez wizy „Pilne, do numeru!” przepisywała dyżurna maszynistka późno wieczorem. Gdy Wiaczesław wszedł do hali maszyn, Swietłozierska nie pytając o nic wyjęła mu z rąk kartki, tak jakby czuła, co napisał. Nie kończąc dotychczasowej roboty wyszarpaneła kartkę z maszyny i wpiła wzrok w drobne pismo Iwlewa. Dwukrotnie stukot „Continentalu” zamierał. Nie wierząc własnym oczom kilkakrotnie czytała relację o tym, jak milicjanci katowali Kakabadzego i jakie chłopak odniósł rany. Co jakiś czas wstawiała z krzesła i wypijała pół szklanki zimnej wody. Gdy wreszcie wydrukowała podpis: „Iwlew, nasz korespondent specjalny”, podbiegła do Wiaczesława.

— Zaraz tam pojedę! — rzuciła przepisany artykuł na biurko.

— Nigdzie nie pojedziesz, głupiutka — łagodnie przywołał ją Iwlew do porządku. — To szpital więzienny...

Swietłozierska usiadła na krześle i rozplakała się. Wiaczesław podniósł jej głowę obiema rękami, zobaczył jak łzy spływają po policzkach i wpadają do ust. Powoli pocałował dziewczynę w pierś w jedno, a potem w drugie oko.

— Pojadę — powtórzyła ponuro.

— Mowy nie ma — rzekł gniewnie, tak jakby karciał nieznośne dziecko. — Jeśli chcesz, tymczasowo go zastąpię...

— Bęcwał! Wszyscy jesteście bęcwałami...

Jakow Markowicz, który jeszcze czekał w redakcji, wyrzucił z tek-

stu jeden akapit i dwa zdania na końcu, po czym bez słowa zwrócił stroniczki autorowi. Poliszczuk włączył z ciężkim westchnieniem interkom.

— Aniu, Jagubow już wyjechał?

— Przed chwilą. Nie pożegnał się z panem?

— Owszem, ale wyleciało mi to z głowy.

Czytając „Mętną wodę” Poliszczuk co chwila wyciągał z kieszeni chusteczkę i ocierał nią czoło. Nie zauważył, jak do pokoju wszedł zasapany Rappoport, usiadł obok Iwlewa, poczekał, kiedy Poliszczuk skończy czytanie i wyseplenił:

— Wie pan, Lowa, czym się pan różni od Zoi Kosmodemiańskiej? Panu nikt nie wzniesie pomnika. Usprawiedliwiają pana dobre intencje i dyletantyzm. Ale i tak wywalą pana z roboty i z partii, nie dadzą żyć, zgnoją. Chce pan tego? Lepiej, chłopcy, zróbcie tak: przygotujcie skład, umieśćcie artykuł na kolumnie i zaproście przedstawiciela MSW, niech sobie poczyta. Chwytaacie moją myśl? Albo — albo. Pół godziny na wahania i uzgadnianie sprawy. Najprawdopodobniej zechcą ukręcić sprawie łeb i dadzą Kakabadzemu spokój. Nie przyjdzie im do głowy, że nie mamy zamiaru drukować artykułu! A potem szybko zatrzemy ślady!

— Szantaż? — wyszeptał Poliszczuk.

— Ale w szlachetnym celu! Zresztą, kto żyje wśród wilków, musi wyc tak jak one...

Poliszczuk zamknął oczy i przez chwilę zastanawiał się nad tą propozycją. Odwaga i tchórzostwo tak harmonijnie współlistniały w jego duszy, że granica między nimi całkiem się zatarła. Spojrzał na Iwlewa, a ten w milczeniu skinął głową.

— Niech to szlag... — wycedził Poliszczuk ze złością. — Życie to same kompromisy. Pomagamy sobie wszyscy nawzajem w nieuczciwości...

Jakow Markowicz nie odezwał się. Poliszczuk połączył się przez interkom ze swoim zastępcą w drukarni i poprosił, by jak najprędzej przygotowano skład. I niech na drugiej kolumnie zwolnią 180 linierek. W tym właśnie momencie zatelefonował z domu Jagubow. Interesował się, czy podpisano już numer do druku.

— Wszystko zgodnie z rozkładem jazdy — wesóło złożył raport Poliszczuk i mrugnął do Iwlewa. — Czwarta i trzecia kolumny już podpisane, lada chwila spodziewamy się następnych. Wkrótce kończymy...

— Informacje TASS-u nie są opóźnione?

— Skąd. Już kończymy. Dobranoc!

Poliszczuk powiesił słuchawkę i spojrział na Tawrowa.

— Nie podoba mi się ten zamęt. Och, jak mi się nie podoba! — warczał Rappoport. — Wierzcie szakalowi, który porządnie w życiu oberwał...

Czekając na kolumnę, naradzili się, jak rozmawiać z przedstawicielem MSW.

— Najwyższy czas go zaprosić — rzekł Poliszczuk wyraźnie podenerwowany.

Wbiegła Anna Siemionowna i zaterkotała:

— Proszę, Lwie Wiktorowiczu, świeżutka druga. Tylko ostrożnie: zbyt dużo nalali wody, źle złożyli, niech się pan nie ubrudzi!

Gdy tylko wybiegła, Poliszczuk wyjął z sejfu informator telefoniczny do użytku służbowego, by zadzwonić do MSW, gdy nagle zahuczał interkom.

— Wołobujew niepokoi. Dobry wieczór! Nie mogę znaleźć w księdze rejestracyjnej... Macie, panowie, wizę na materiał „Mętna woda”?

— To szczególny przypadek. Po co wiza?

— Wiza? Dla porządku. Stiepan Trofimowicz wie o tym?

— No pewno! Zaraz przyślę na dół Iwlewa, on pana uspokoi... — I Poliszczuk z wściekłością wyłączył interkom.

47. Delez Wołobujew

Ankieta dla działu kadr

Stanowisko: starszy pełnomocnik Komitetu Ochrony Tajemnic Państwowych w Prasie przy Radzie Ministrów ZSRR (Gławlit).

Urodzony 21 stycznia 1919 roku w Taszkencie.

Narodowość rosyjska. Ojciec Rosjanin, matka Uzbeczka.

Pochodzenie robotniczo-rolnicze.

Członek KPZR od 1941 roku, legitymacja partyjna Nr 12108742.

Uprzednio bezpartyjny, do innych partii nie należał, szeregów KPZR nie opuszczał, partyjnych kar nie udzielano mu.

Ukończył Akademię Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych Armii Czerwonej im. Stalina w 1950 r. Dyplom nr x 8642.

Odznaczenia: Bohater Związku Radzieckiego, posiada order Lenina i medal Złotej Gwiazdy, a ponadto inne ordery i medale w ilości 29.

Podpułkownik wojsk pancernych rezerwy, zdemobilizowany. Książeczka wojskowa nr TB 1722048. Kod 012/001200.

Dowód osobisty IV CE Nr 764802, wydany przez 58 komisariat miasta Moskwy 29 maja 1961 r. zamiast wojskowego zaświadczenia. Ważny do 29 maja 1971 roku. Zameldowany na stałe: Moskwa B — 232, ul. Rusakowska 25, m. 17, tel. domowy 264-88-14.

ZWYCIĘSTWA I KLĘSKI DELEZA WOŁOBUJEW

Ani rodowód, ani życiorys Deleza Nikołajewicza nie zapowiadały, że będzie on zaledwie pełnomocnikiem Gławlitu. Został cenzorem wskutek nieporozumienia.

Jego ojciec, cóż z tego, że niemal analfabeta, był zajadłym bolszewikiem. Pięknie brzmiące imię jego syna, podobne do ozdobnych imion wschodnich, w istocie było skrótowcem. W pełnym brzmieniu, gdyby ktoś chciał ów skrótowiec rozszyfrować, należało mówić tak: „Dzieło Lenina doprowadzimy do końca!”

Mikołaj Wołobujew wyjechał wraz z czerwonym oddziałem do Azji Środkowej, by walczyć z basmaczami i wprowadzić tam władzę radziecką. W owym czasie emir Buchary, zażarty wróg Sowieków, chorował na syfilis. A medycy dokonali już odkrycia, że wszystkie choroby biorą się z nerwów, poza syfilisem — ten jest skutkiem nadużywania przyjemności. Aby wyleczyć emira nadworny lekarz, niemal absolwent Sorbony (a może Machaczkały), zalecił emirowi, by wymienił swój harem na nowy, zdrowy kontyngent dziewcząt. Sypiając z nimi emir wyzdrowieje. Kadrowcy emira, uzbrojeni w karabiny, porywali więc dziewczyny i wieźli je do Buchary.

Po przybyciu na miejsce bolszewik Mikołaj Wołobujew postanowił, że najlepszym sposobem agitowania nieświadomych Uzbeków na rzecz władzy radzieckiej będzie sprzeciwienie się emirowi. Jak śmie leczyć się kosztem kobiet pracujących, które powinny być żonami robotników i chłopów. Gdy czwórka czerwonoarmistów z odważnym komisarzem na czele zabrała ludziom emira trzy młode Ubeczki i zobaczyła je bez parandzy, trzech natychmiast je poślubiło. Dwaj, dla których nie starczyło dziewcząt, zrozumieli, że bili się bez powodu. Wśród ożenionych był komisarz Wołobujew.

Po zwycięstwie nad emirem Mikołaj Wołobujew został zastępcą ludowego komisarza oświaty i pracował na tym posterunku do 1937 roku: rozstrzelano go wówczas za „Próbkę reaktywowania w republice emiratu Bucharskiego”. Delez miał wtedy osiemnaście lat, a jego przedwcześnie owdowiała matka trzydzieści cztery. Już urodziła piątkę dzieci, w drodze było szóste.

Gdy wybuchła wojna, Delez Wołobujew postanowił krwią zmyć hańbę ojca, choć wraz z matką się go wyrzekli. Służył w wojskach pancernych: był mechanikiem, kierowcą, dowódcą czołgu. Nieraz palił się w czołgu, taranował przeciwnika, był w okrażeńiu. Z rozpaczliwym uporem szukał śmierci, ale takich, jak wiadomo, kostucha nie bierze. Ordery sypały się na niego niczym grad. Otrzymałby również drugą gwiazdę Bohatera Związku Radzieckiego, lecz nie bez trudu wręczono mu pierwszą — sprzeciwiła się specjednostka, zaniepokojona defektami jego biografii. Prasa frontowa opisywała natomiast bohaterskie czyny Deleza chętnie i nawet tłumaczyła jego odwagę magicznym brzemieniem imienia, które nosił.

Delez wciąż wycinał z gazet artykuły o swoim bohaterstwie z nadzieją, że znikną gdzieś w cieniu pochlebnych słów trzy krótkie słowa „syn wroga ludu”. I widać zniknęły, gdyż skierowano go na studia do Akademii Wojsk Pancernych. Bohater Związku Radzieckiego podpułkownik Wołobujew po ukończeniu akademii dowodził różnymi jednostkami, potem służył w sztabie generalnym. Pracował nad realizacją tajnego stalinowskiego planu wyzwolenia Europy, którego celem był tryumf komunizmu na całym świecie.

Wieczorami z przyjemnością wyciągał prasowe wycinki i rozczytywał się w nich. Szkoda tylko, że o jego bohaterskich czynach nikt nie wspomniał nawet słowem przez ostatnie piętnaście lat. Postanowił więc sam napisać o sobie książkę — nie będzie gorsza od tych, jakie się ukazują. I nie będzie w jego wspomnieniach drętwych, dętych słów, jakich pełno jest zazwyczaj w książkach o wojnie. Ciężką pracą zdobył tytuł bohatera i opíše wszystko tak jak było.

Żona posłusznie zajmowała się dziećmi, a on pisał. Potem zaczął biegać po redakcjach. Chętnie brali, żeby poczytać, ale zawsze odmawiali. Delez nie rozumiał dlaczego. A sprawa była jasna: akcenty poustawiał nie tam, gdzie należało.

Pisał, na przykład o tym, jak po zajęciu niemieckiego miasta żołnierze radzieccy grabili miejscową ludność albo jak zajmowali dom na nocleg, wypędzali gospodarza, lecz zostawiali jego córki. Pojawiali się też w jego wspomnieniach Polacy lub Czesi, którzy strzelali do naszych. W dodatku żołnierze szli do ataku z okrzykiem „Za ojczyznę! Za Stalina!”, a przecież po roku 1956 ginąć należało już nie za Stalina, lecz za partię. Pechowy autor dostrzegł wreszcie w swojej książce dwie warstwy: dozwoloną i nielegalną. „Wolno” było tak mało w porównaniu z tym, co „zabronione”, że ze wspomnień Deleza Niokolajewicza nie ostało się właściwie nic.

W tym czasie przyznano mu już wojskową emeryturę (rok w wojsku liczy się jako dwa lata), więc postanowił odwiedzić rodzinny Taszkient. W samolocie siedział obok niego niziutki człowieczek. Delez nie od razu sobie przypomniał kto to, choć jego twarz wydała mu się znajoma. Ale gdy sąsiad zręcznie przerzucił językiem papierosa z jednego kącika ust do drugiego, już wiedział, z kim ma do czynienia. Człowiek ten dowodził jego czołgistami i kierowcami ciężarówek, gdy w 1956 roku oczyszczali z trupów ulice Budapesztu. Nawet rozmawiali stojąc na moście między Budą a Pesztem, zastanawiali się, ile jeszcze zostało roboty. Obaj otrzymali za to odznaczenia, byli na tej samej liście nagrodzonych.

Gdy Wołobujew usłyszał, że Jagubow jest szefem agencji prasowej „Nowosti”, pomyślał, że to zrządzenie losu: wreszcie jego wspomnienia ujrzą światło dzienne. W Taszkencie pokazał Stiepanowi Trofimowiczowi pomnik swego zrehabilitowanego ojca. Jagubow zaproponował wówczas Delezowi, że pchnie go na stanowisko pełnomocnika Gławlitu.

Odtąd Wołobujew bacznie przyglądał się tekstom innych autorów, dbając, by nie było w nich nic takiego, na co pozwalał sobie niegdyś sam. Kontaktów ze Stiepanem Trofimowiczem oficjalnie nie utrzymywał (znajdowali się przecież na różnych szczeblach służbowej hierarchii), lecz gdy Jagubow przeniósł się do „Prawdy Robotniczej”, zabrał ze sobą Wołobujewa. Cenzorski talent Deleza Nikołajewicza rozwinął się wówczas w pełni. Nie drukować innych było nawet ciekawiej niż drukować teksty własne.

Delez zaczął nie od zakazów, a od szczegółowego wyjaśniania pracownikom, co wolno pisać, a czego nie. Tajemnicą państwową jest dokładna odległość między dwoma miastami, wszystkie cyfry dotyczące produkcji przemysłowej (można podawać jedynie procenty) — bo to dane strategiczne. Nie wolno wymieniać kolchozów, w których hoduje się mak. Nie wolno krytykować wyrobów produkowanych na eksport: byłby to cios dla naszego handlu zagranicznego. Wyjaśniwszy to pracownikom redakcji Wołobujew przystąpił do akcji wychowawczej.

— Obowiązkiem naszego kolektywu — mówił na zebraniu — jest pomagać Gławlitowi. Lecz odmawiając autorom powołujcie się nie na cenzurę, a na samych siebie.

Gdy jednak rozmawiał z poszczególnymi pracownikami w cztery oczy, prosił, by nie nazywali go cenzorem. Od tego słowa wiał chłód.

— Jestem tylko redaktorem politycznym...

Makarcew go nie znosił, lecz wrodzona delikatność nie pozwalała mu ingerować w decyzje niezależnych od niego osób. Skoro Wołobujewa wyznaczyli na to stanowisko, trzeba się z tym pogodzić. W głębi ducha Makarcew myślał, że nie pozwoli Gławlitowi wtrącać się do spraw, za które sam odpowiada przed władzą najwyższą. Zresztą Wołobujew nie nagrzewał przesadnie atmosfery.

— Moim obowiązkiem jest zwracać panu uwagę na pewne sprawy, Igorze Iwanowiczu, a także meldować o nich moim zwierzchnikom. Natomiast podejmować decyzje, jeśli nie dotyczą konkretnych tajemnic państwowych, będzie, naturalnie, pan!

Słowo „naturalnie” uspokajało Makarcewa, który zapominał o kolejnym konflikcie. Energia Deleza szukała ujścia, lecz towarzyszyła mu również świadomość ryzyka. Bohaterstwo na tyłach przeszkadzało, brak bohaterstwa był pomocny. Zasmakowawszy w nowej profesji Wołobujew rozmyślał o swoim nowatorskim wkładzie w działalność Gławlitu. I doszedł do wniosku, że nie jest skuteczny — pracuje przecież z materiałami, które już ktoś napisał. Gdyby cenzor mógł się podłączyć do autora na stadium zamysłu, nie istniałaby potrzeba eliminowania tego, co zbędne.

W styczniu 1969 roku Wołobujewowi stuknęła pięćdziesiątka. Przygotować dyplom z gratulacjami dla jubilata Jagubow kazał Kaszynowi, lecz napisał go, naturalnie, Jakow Markowicz. Kaszyn krążył z tym dyplomem po wszystkich działach. Wszyscy pracownicy „Prawdy Robotniczej” łącznie z Makarcewem, złożyli swe podpisy pod słowami: „Życzymy Panu, serdeczny przyjacielu naszej gazety, zdrowia i dalszej owocnej działalności na niwie prasy wielkiego Lenina.” Grafik redakcyjny Matrikułow zgodnie z pomysłem Jakowa Markowicza sportretował Wołobujewa, w jednej ręce trzymającego sierp, a w drugiej młot. Jakow Markowicz wyjaśnił potem przyjaciółom, że młotem cenzor wali autora po łbie, a sierpem po...

48. Niekontrolowane skojarzenia

Na drzwiach pokoju widniała tabliczka „Pełnomocnik Gławlitu. Wstęp wzbroniony”.

— No i co? — spytał od progu Wiaczesław, bez entuzjazmu uściśnął dłoń Wołobujewa i usiadł na krześle.

Delez uśmiechnął się do niego ciepło.

— Niech mi pan powie, Wiaczesławie Siergiejewiczu, skąd w

redakcji ten ciągle pośpiech? Jestem tutaj nowy, więc proszę, domagam się, by materiały przynoszono mi wcześniej, no, choćby na tydzień przed oddaniem do druku. Muszę uzgodnić wszystko na górze. A wy zawsze wszystko robicie w ostatniej chwili!

— Przecież to gazeta! Po co nam starocie sprzed tygodnia?

— To niewłaściwy sposób myślenia. Czy to ja wymyślam zakazy? W Gławlicie nie siedzą przecież głupcy! Powstała tam nawet grupa podtekstu, czyli niekontrolowanych skojarzeń. Otrzymałem polecenie: za pierwszym razem trzeba czytać tekst, za drugim — podtekst. Dawniej najważniejsza była kontrola i profilaktyka tekstu, dzisiaj — podtekstu. Dajmy na to, autor pisze o średniowieczu, a czytelnik sobie myśli: u nas jest jeszcze gorzej. Tekst umacnia władzę radziecką, podtekst usiłuje ją zniszczyć.

— Ale co ma z tym wspólnego „Mętna woda”?

— Zaraz wyjaśnię. Krytykuje pan milicję, niby nic strasznego. Ale czytelnik sobie pomyśli, że mętna woda to cały system, mam rację?

— Gdzie tu logika? — Iwlew zerwał się z krzesła i trzasnął nim o podłogę.

— Po co szukać logiki? Coś, co wolno było drukować wczoraj, dziś już nie nadaje się do druku. Dziś dozwolone są karykatury przywódców jednych państw, jutro innych. A ja stosuję się tylko do najnowszych instrukcji.

— No dobrze — Wiaczesław udał, że ustępuje. — Jak zwykle ma pan rację. Zdejmiemy ten materiał, Delezie Nikołajewiczu!

— Nie ja się niepokoję, lecz Stiepan Trofimowicz.

— Przecież nie ma go w redakcji!

— Zatelefonowałem do niego do domu. Nic nie wiedział o „Mętnej wodzie”. Ale on wszystko wyjaśni, może nawet już wyjaśnia.

— W domu?

— Dlaczego w domu? Zaraz tu będzie...

Iwlew patrzył Wołobujewowi prosto w oczy i zastanawiał się: wygarnąć, co o nim myśli czy po prostu plunąć w tę gębę — okrągłą, zdrową, spokojną. Ale nie zrobił nic z tych rzeczy, wyszedł zamykając za sobą starannie drzwi.

Ciepłe, przed chwilą wydrukowane srebrzyste odlewy trzeciej i czwartej kolumny, już podpisane przez dyżurnego redaktora, którym dzisiaj był Poliszczuk, chwiejąc się na hakach i poskrzypując, już dawno przypelzły do drukarni. Drukarze popijali bezpłatne mleko z kartonowych opakowań, zdejmowali ciężkie bloki i wstawiali

je na maszyny rotacyjne. Powoli kręcąc korbami robili wszystko, by farba odciskała się równomiernie.

TASS dał sygnał, że wszystko w porządku, więc ruszyła pierwsza kolumna. Sygnał TASS-u oznaczał, że do numeru nie wejdzie pilna informacja; TASS był tylko pośrednim ogniwem w jej przekazywaniu. Gdzie powstają ważne materiały, obowiązujące całą prasę, nie wiadomo. O tym, że się pojawiają, redakcje uprzedzane są wcześniej. U składaczy wciąż jeszcze znajdowała się druga kolumna, a na jej dole artykuł Iwlewa „Mętna woda”. Robotnicy podchodzili i czytali go w lustrzanym odbiciu. Było to dość niezwykle: drukarze pogardzali swoją gazetą, a informacje czerpali w domu z zagłuszanych wrogich rozgłośni.

Metrampaże opóźniali druk, a drukarnia — kolportaż. Ciężarówki czekały na worki z matrycami, żeby je zawieźć na lotniska. Tam samolotami leciały do miast, w których drukowano „Prawdę Robotniczą”; ukazywała się w kioskach wczesnym rankiem wraz z lokalną prasą. W przypadku kilkuminutowego opóźnienia gazeta nie docierała na czas do czytelników. Miliony ludzi idących do pracy nie mogły jej kupić, a wówczas cały nakład szedł na przemiał.

W milczeniu oczekiwano na sygnał z drukarni. Tylko z pokoju Rappoporty, u którego siedział Zakamorny, dobiegał śmiech. Drzwi działu listów były uchylone. Nadia, nasłuchując, czy nie rozlegną się kroki na korytarzu, rejestrowała pocztę, choć spokojnie mogła to robić jutro. Jeśli Iwlew zauważy, że jest jeszcze w redakcji, pójdą razem do metra. Kaszyn karmił rybki w swoim gabinecie z nadzieją, że złapie wychodząc maszynistkę Swietłozierską; ona zaś czekała na informacje z TASS-u (na wszelki wypadek, gdyby dyżurny redaktor musiał coś dodatkowo zamieścić w numerze). A Jagubow wchodził już do działu składu. I tak się spieszył, że kierownicy drukarni i odlewni z trudem za nim nadążali. Szef działu składu wyszedł mu na przeciw.

— Gdzie najbliższy telefon?

Pokazano mu. Jagubow był blady, z lekka rozczochrany. Marynarka, włożona w pośpiechu na niebieski jedwabny podkoszulek była zapięta na wszystkie guziki, a nie na środkowy, jak zwykle. Stiepan Trofimowicz podszedł do telefonu i wykręcił numer Poliszczuka.

— Lwie Wiktorowiczu! Proszę natychmiast zejść do drukarni. — Nie czekając na odpowiedź Jagubow odłożył słuchawkę, wyciągnął rękę i zażądał: — Kolumnę!

Podano mu pachnącą farbą płachtę i Jagubow zagłębił się w lekturze, tak jakby nie istnieli stojący wokół niego, oczekujący na

decyzję ludzie. Gdy skończył czytać, starannie złożył papier i podarł go na drobne kawałki. Potem zmiął je, rozsunął palce, a strzępy wyrzucił do skrzynki na śmieci.

— Ile odbiliście egzemplarzy? — zapytał.

Kierownik działu składu zagiął palce:

— Dyżurny redaktor to raz, cenzor — to dwa, „świeża głowa” — trzy, biuro kontroli, dział i korektornia — razem sześć, jak zwykle.

— Proszę je natychmiast odzyskać. Jeśli ktoś swój posiał, straci legitymację partyjną. Uprzedźcie robotników, majstrów, ochronę...

— Jasne!

Zjawił się wyraźnie speszony Poliszczuk. Ludzie rozstąpili się przepuszczając go do Jagubowa.

— Nieladnie wyszło, Stiepanie Trofimowiczu — próbował złagodzić konflikt. — Nie zawiadomiłem pana, sam postanowiłem zadecydować. Ale nie chcieliśmy tego drukować. Tylko w celach pertraktacji. Zachowali się niewłaściwie wobec naszego Saszy...

— A wobec mnie pan zachował się właściwie, Lwie Wiktorowiczu — przerwał Poliszczukowi Jagubow. I wycedził przez zęby: — A może ja tu nie pracuję? Zresztą o tym potem... — Odwrócił się do kierownika działu składu. — Czego pan tu stoi? Całą noc chce pan tu tkwić? Lwie Wiktorowiczu, chodźmy do mnie.

Jagubow pochylił głowę i nie patrząc na nikogo ruszył do drzwi. Poszedł na górę do swego gabinetu, otworzył go własnym kluczem.

— Proszę siadać, towarzyszu Poliszczuk — teraz, gdy środki zostały podjęte, Stiepan Trofimowicz uspokoił się i złagodniał. Siedział i palił w zamyśleniu papierosa za papierosem. — To ci historia! Jak mam to rozumieć? Nie mnie pan oszukał — jestem szeregowym pracownikiem partii. Oszukał pan samą partię!

— Makarcew z pewnością by mnie poparł.

— Wątpię! Czyżby Igor Iwanowicz w imię osobistych sympatii narażał honor gazety?!

— Co z tym wspólnego mają osobiste sympatie? Na odwrót! To obrona honoru gazety!

— Pomieszanie z poplątaniem! Ręczy pan za tego fotografa jak za samego siebie? Widzi pan? Po co podważać prestiż gazety z powodu jednego pracownika? W dodatku, jeśli mam być szczery, powiem: nikt w naszym kraju nie więzi niewinnych ludzi!

Poliszczuk zdusił w sobie protest.

— Zgadza się pan ze mną? — ciągnął dalej Jagubow. — Ale przypuśćmy, że Kakabadze istotnie nie jest winien. Nie upił się i nie

wszczął bójki. Ale kto tak robi? Trzeba uzyskać zgodę na wyższym szczeblu. Wtedy i ja bym pana poparł... Jest pan mądrym człowiekiem, Lwie Wiktorowiczu, szkoda mi pana. KC nie wybacza czegoś takiego, sam pan rozumie. Mimo dobrej ankiety jest pan skończony. Mógłbym pogadać na górze z moimi ludźmi, żeby ukręcili łeb sprawie, wziąć część winy na siebie, zwolnić kogoś z wykonawców. Ale powiem szczerze — nic darmo. Nie teraz i nie dla mnie — ja niczego nie potrzebuję. Ale dla tych, którzy pana wyciągną z błota, ryzykując pobrudzenie.

— Co mam robić? — głucho spytał Poliszczuk.

— Nie jesteśmy na bazarze — uśmiechnął się Jagubow. — Sam jeszcze nie wiem. Na przykład, gdy egzekutywa podejmie problem uzdrowienia redakcji, pan bez wahania go poprze...

— Czyli pana, nie Makarcewa? — uściślił Poliszczuk i zacisnął pięści. — A jeśli pan przegra?

Gest ten nie został niezauważony. Na twarzy Stiepana Trofimowicza pojawił się uśmiech.

— Amerykanie twierdzą, że ten szef jest dobry, pod nieobecność którego wszystko toczy się bez zmian. Styl Makarcewa, mówiąc między nami, to dzień wczorajszy, arytmia. Niech pan pomyśli, kogo warto poprzeć.

Zadzwoił telefon wewnętrzny.

— Ile? — spytał Jagubow. — No dobrze, sam się tym zajmę.

Odłożył słuchawkę, wstał, podszedł do Poliszczuka.

— Musimy się naradzić. Choć udamy, że „Mętnej wody” w ogóle nie było, dowiedziałem się właśnie, że odzyskano nie wszystkie odbitki. Ktoś ukrył jeden egzemplarz.

— Kto mianowicie?

— I co z takim robić? — nie odpowiadając na pytanie zastanawiał się głośno Jagubow.

— W jakim celu?

— No właśnie: ja też się zastanawiam. Może nie my mamy prawo to wyjaśniać...

— Wziął po prostu, żeby poczytać — odpowiedział szybko Poliszczuk, zdecydowany na wybór mniejszego zła. — Postawmy sprawę na politbiurze, niech towarzysze zadecydują.

— W takim razie włączcie jako punkt obrad również sprawę komunisty Rappoport.

Stiepan Trofimowicz spojrział uważnie na Poliszczuka usiłując wyczytać z jego twarzy, jakie wywarł wrażenie, lecz ten odwrócił się i ruszył do drzwi.

Ze swego gabinetu Lew zatelefonował do Jakowa Markowicza.

— W pokoju jest ktoś prócz pana?

— Aha.

— Więc niech pan słucha. Jagubow wie, kto wziął artykuł. Żeby uniknąć kłopotów natychmiast trzeba go zwrócić Kaszynowi. A on niech odda Igorowi Iwanowiczowi. Rozumie pan?

— Nie udało się?

W słuchawce rozległ się krótki, przerywany sygnał. Jakow Markowicz posępnie spojrział na Iwlewa, Zakomornego i Nadię, którzy siedzieli obok; nie mogąc się doczekać, kiedy Sławek do niej zajrzy, dziewczyna sama przyszła do Jakowa Markowicza.

— Wszystko jasne, moi drodzy! — Iwlew podniósł się z krzesła. — Można się było tego spodziewać. Nie doceniliśmy Wołobujewa. To przecież cerber Jagubowa.

— Dawniej to dopiero byli cenzorzy! — rzekł z rozmarzeniem Maksym i wypuścił kółko dymu. — Gonczarow, Tiutczew, Aksakow, Łażecznikow. Intelktualiści. Ale w tym wypadku, koledzy, samiście sobie winni...

— Interesujące! — warknął Jakow Markowicz.

— Jest taki rodzaj modliszki — Zakamorny mówił pięknie, co chwila spoglądając na Nadię, by od niej czerpać natchnienie. — Żywi się owadami. Jej wzrok działa w szczególny sposób. Jeśli owady nie poruszają się lub pełzną wolno, modliszka ich nie widzi. Jej nerw wzrokowy ulega podrażnieniu tylko wtedy, gdy obiekt porusza się szybko. W tym momencie modliszka chwyta swą ofiarę! Pełnomocnik Gławlitu też widzi tylko gwałtowne ruchy. A gdy ktoś sący prawdę pomalutku i często, może napisać nawet tekst antyradycki. Mądry czytelnik wszystko wychwyci.

— Ezopie ty nasz! — Iwlew walnął Zakomornego w ramię. — Wyobraź sobie: mnóstwo linijek, w których nie ma nic poza słówkiem „Hura!” Ale gdy pewnego razu usuniesz wykrzyknik, modliszka zaczał się i capnie!

— Wszystko jest znacznie prostsze — Rappoport podrapał się w plecy. — Stiepan Trofimowicz chciałby żywcem pogrzebać Makarcewa. Musi więc natychmiast udowodnić, że od czasu, gdy on tutaj rządzi, „Prawda Robotnicza” jest jeszcze gorliwsza. Makarcew wydawał bezbarwną gazetę, Jagubow chce drukować brunatną. W łagrze, moje dzieci, robiłem gazetę dla zeków, marzących o wolności. A teraz robię dla zadowolonych z tego, że siedzą za drutem kolczastym. Jagubow to wartownik z karabinem.

— Proszę się nie denerwować, Jakowie Markowiczu — Nadia pogłaskała dziennikarza po ramieniu — Rozboli pana żołądek.

— Jak zwykle, kobieta ma rację — odpowiedział stary sapiąc. — Do domu, czekać!

Na korytarzu Nadię zaczepił Kaszyn. Spytał ją o coś cicho, ona odpowiedziała i wróciła do kolegów, a Kaszyn poszedł dalej.

— Czego chciał? — zapytał Iwlew.

— Poinformował mnie, że mam wkrótce urodziny. Spytał, czemu go nie zaprosiłam.

— Komi iii — czne — rzekł przeciągle Maksym. — Tylko jego ci brakowało.

I postukał znacząco palcami w ścianę.*

— Co mu odpowiedziałaś?

— Że zapraszam moich gości do restauracji.

— Do której?

— To on powinien wiedzieć, a nie ty. Ty, jak zechcesz, przyjdiesz do mnie. A on pojedzie na wygwizdów...

— Mądra sztuka z tej Nadi — zachwycił się Rappport, spojrzawszy na Iwlewa i dodał: — Niektórzy nie potrafią docenić...

Wiaczesław puścił tę uwagę koło uszu. W windzie Nadia wsunęła mu rękę do kieszeni, a on ją mocno ścisnął. Na klatce schodowej spotkali Stiepana Trofimowicza. Zastępca naczelnego udał, że nie dziwią go te nocne marki — tak właśnie być powinno. Nie miał wątpliwości: czekali na artykuł. Znał się świetnie na ludziach. Przeszedł obok nich z pochyloną głową i zajrzał do pokoju z tabliczką „Pełnomocnik Gławlitu”. Wołobujew podniósł się na jego widok z krzesła.

— Dzięki ci, Delezie — Stiepan Trofimowicz mocno potrząsnął jego rękę. — Jestem twoim dłużnikiem.

— Co tam, nic ważnego...

Po tym goście przyjaźni Jagubow wyszedł równie szybko, jak wszedł.

49. Urodziny

Tyczkowata, nieco niezdarna Katia i ruchliwa okrągłutka Lusia, szkolne koleżanki Nadi, biegały z talerzykami z kuchni do pokoju, a goście chodzili to tu, to tam, przerzucając się replikami. Wszyscy przyjechali prosto z redakcji, byli więc głodni i wściekli na spóźnialskich. Żeby przygotować się jak najlepiej Nadia nie poszła tego

* po rosyjsku „stukacz” — donosiciel, konfident.

dnia do pracy. Katia i Lusja ofiarnie pomagały jej od rana. General Sirotkin obiecał, że wróci późno w nocy. Windziarz dostał polecenie wpuszczania gości. Nadia obiecała przyjaciółkom, że mężczyzna przyjdzie tylu, ile trzeba, choć jak na razie wybór był skromny.

— A Sławek będzie? — spytała Nadię w cztery oczy Lusja, choć nie wolno było wymieniać głośno tego imienia.

— Daj spokój! — zawołała Katia — wszystko już ci wytłumaczyłam!

— A cóż ja takiego mówię? Chciałam tylko zerknąć na faceta, któremu uległaś... Przystojny?

Nadia zaprzeczyła kiwnięciem głowy. Krajała cebulę i mogła nie kryć łez. Już niemal przekonała samą siebie, że nie chce, by Iwlew przyszedł. Po co niepotrzebne plotki? A jeśli, nie daj Boże, przyniosłby mimozę — byłoby jej potwornie głupio. Wystarczy to, co wie sama: Iwlew należy do niej. Nie potrzebuje, by każdy o tym wiedział, wcale nie jest próżna. Mimo to marzyła w głębi duszy, że Sławek wpadnie. Nie musi wchodzić do środka — wyszłaby na schody i wzięłaby z jego rąk gałązkę mimozy. Albo gdyby zadzwonił, że nie może przyjechać... Niech wymyśli jakiś powód, choćby nieprawdziwy!

Rozległ się dzwonek u drzwi.

— Zakamorny! — zawołała Nadia z nadzieją, że to Iwlew. Dzwonek rozległ się jeszcze raz, jeszcze bardziej przenikliwy, więc zawołała: — Już biegnę!

W progu stanął Maksym, nieco naburmuszony. Płaszcz na jego piersi sterczał. Zakamorny podtrzymywał wypukłość skrzyżowanymi na piersiach rękami.

— Można całować? — spytał nie zwracając uwagi na Rappoportę i Aneczkę z mężem.

— Dzisiaj można — Nadia podsunęła mu policzek.

— A w usta? — zgarnął dziewczynę ogromnym łapskiem, pocałował ją w policzki, usta, szyję. — A to drobny prezencik...

Rozpiął płaszcz i wydobyl miękki żywy kłębek.

— Piesek? — spytała Nadia nie wiedząc czy cieszyć się, czy złościć.

Szczeniak drżał z zimna, sierść miał posklejaną, łapy brudne. A Zakamorny wyjął z kieszeni butelkę „Stolicznej” i postawił na stoliku przed lustrem.

— To jeszcze nie wszystko, Nadiu — Maksym wskazał na szczeniaka. — Reszta będzie później...

Nadia zaniósła szczeniaka do pokoju. Gdy opuściła go na podłogę, podbiegł do szafy, zrobił tam kałużę i schował się pod krzesłem.

— Nie miała baba kłopotu — rzekła Raisa Kaczkariewa, redaktorka działu literatury i sztuki. Zawsze potrafiła w stosownych okolicznościach powiedzieć to, co i bez niej każdy wiedział. — Szczeniak to jak dwójka małych dzieci. Ten nie jest rasowy, więc będzie z nim łatwiej.

— A propos — włączyła się do rozmowy Inna Swietłozierska, siedząca na parapecie w takiej pozie, by wszyscy widzieli jej nogi. — To piesek czy suczka?

— Wyjaśni się w procesie prokreacji — odpowiedział Maksym. — Ale, ale, zapomniałbym, witajcie, suki!

— Fe, jak brzydko — zauważył siedzący na fotelu Jakow Markowicz. — Na co ty sobie pozwalasz?

— Sławek zna już najnowszą anegdotę — wyjaśnił Sierioża Matrikułow, młody grafik. Po ukończeniu studiów poligraficznych pracował trzy lata na Sachalinie, a od niedawna w „Prawdzie Robotniczej”.

— Zgadłeś! — roześmiał się Zakamorny. — No więc, wyobraźcie sobie, wszystkich wywalili z roboty. Pozostały tylko Lory, Dory, Żory i suki. Lory to kochanki funkcjonariuszy partyjnych, Dory to ich dzieci, Żory — żony...

— Proszę nie obrażać mojej żony! — wtrącił Poliszczuk.

— Żona nie protestuje — zauważył Rappoport. — Może nie czuje się urażona.

— No i... — Maksym utrzymał pauzę — suki. Czyli Przypadkiem ocalała kategoria inteligentów.*

— Napijemy się czegoś? — jęknęła Raisa. Czy nas tu zaproszono na odchudzanie głódówką? Szczeniak już dostał kielbasy. Dla nas chyba zabraknie...

Zakomorny stanął w pozie recytatora:

*Mięsa brak i coraz gorzej w całym kraju
A partia z rządem tak to masom wyjaśniają.
Znowu narozrabiał podły inteligent!
Całe mięso zżera jego psi kontyngent.*

— Boję się Maksyma — rzekła Kaczkariewa.

— I słusznie — zgodził się Rappoport.

— Chociaż właściwie boję się wszystkich, Jakowie Markowi-

* skrótowce : LORY — *Lubownicy Otwiertstwiennych Rabotnikow*, DORY — *Dieti Otwiertstwiennych Rabotnikow*, ŻORY — *Żony Otwiertstwiennych Rabotnikow*, wreszcie SUKI, czyli *Śluczajno Ucelewszaja Kategorija Intelligentow*.

czu. Wygląd mam mężczyzny, ale duszę zajęczą. Dziś wezwał mnie Jagubow i wręcza książkę. Jakiś Sizow napisał. „Szybko — powiada — proszę to zrecenzować i nie szczędzić pochwał.” „Jak to?” „A tak to, że Sizow jest zastępcą przewodniczącego Rady Miejskiej Moskwy i decyduje o przydziale mieszkań.” Poszłam do biblioteki i widzę: poświęcono Sizowowi już pięćdziesiąt dwie recenzje. Kto tylko o nim nie pisał!

— Każdy potrzebuje mieszkania — zauważyła żona Poliszczuka.

— Prócz mnie — powiedział Maksym i rozlał wódkę. — Ale gdzie jest, u diabła, Nadia? Mamy pić za zdrowie jej koleżanek?

Przyjrzał się bacznie Kati i Lusi. Podobała mu się Lusja, lecz bardziej osiągalna była Katia.

— Czemu nie? — spytała Katia zadziornie i Zakamorny uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Spójrzcie, kochani — Nadia weszła do pokoju i postawiła na stole pasztet z rybiej wątróbki. — Dostałam dzisiaj wspaniałe prezenty! Cała wystawa!

Na pianinie stał lichtarz z kawałka drewna. To robota Poliszczuka — zaiste ma złote ręce! Już od pół roku, zakupiwszy niezbędne narzędzia, Lew rzeźbił wieczorami w drewnie i miał z tego wielką frajdę. Lichtarz wyobrażał skulonego maleńkiego człowieczka z gigantycznym penisem, na którym stała ogromna świeca. Obok lichtarza leżała ukradziona z windy tabliczka: „W razie uszkodzenia ścian kabiny natychmiast należy opuścić windę i zawiadomić administratora” Niektóre słowa na tabliczce były wyskrobane, pozostało tylko „Natychmiast”, „opuścić” i „zawiadomić”. Obok pudełek z czekoladkami leżał prezent od Jakowa Markowicza: kawałek drutu kolczastego, przewiązany różową wstążką.

— Ja też chcę coś takiego — poprosiła Raisa.

— We krwi mej płonie ogień żądry — zaśpiewał Rappoport.

— Wspaniałe prezenty — powtórzyła Nadia i spojrzała zakłopotana na podłogę.

Szczeniak wydalil właśnie porcję żółtego śluzu, która płynęła po wyczyszczonym do blasku parkiecie.

— To na apetyt — burknął Jakow Markowicz.

— Ech, Nadiu! — z rozmarzeniem zawołał Zakamorny. — Nie możesz sobie wyobrazić, jaka jest druga część mojego prezentu. Szczeniak nabrudził, napuścił ci pcheł. To, naturalnie, urocze. Ale prezentem będzie też to, że zabiorę pieska i wypuszczę na podwórko, skąd go wzięłem.

— Ruch szczeniakiem — powiedział Poliszczuk.

Maksym wstał z za stołu, wyniósł szczeniaka za drzwi, poszedł do łazienki umyć ręce.

— No jak, nalaliście? — spytał wróciwszy do pokoju. — No to już czas. Pijemy za zdrowie Nadi, do dna! Niech nam żyje!

Wypili, postawili kieliszki i w milczeniu rzucili się na jedzenie. Wpierw pochłaniali to, co najsmaczniejsze, a potem jak leci. Jakow Markowicz powiesił marynarkę na krzesło i przyjrzał się wszystkim uważnie.

— Jestem tu najstarszy, moje dzieci — oznajmił. — I powiem wam, nie wierzę, że ludzie są sobie bliscy ze względu na pokrewieństwo, płeć lub rasę. Wierzę wyłącznie w pokrewieństwo ducha. I właśnie to chcą nam odebrać, prześladowają za tożsamość poglądów.

— Boją się telepatii — wtrącił Maksym. — A nuż nie da się kierować takimi ludźmi?

— Słuchajcie! — przerwała Kaczkariewa. — Tydzień temu Jagubow wysłał mnie do Kaługi. Gdy podjeżdżaliśmy do miasta, zobaczyłam wielki plakat z napisem „Naprzód do komunizmu!” Za plakatem znak drogowy: „Ostrożnie, stromy zjazd”. Przejechaliśmy ze sto metrów — a tu drogowskaz: „Droga na wysypisko”.

— Symbolistka z pani — zaśmiał się Poliszczuk. — A może świat istotnie toczy się w przepaść?

— My zawsze jesteśmy pierwsi — powiedziała Nadia.

— Błogosławiony ten, komu odpuszczono jego bezprawne czyny i grzechy — zaśpiewał Maksym. — Wypijmy za naszych przywódców. Niech wyprawiają sobie bez końca uroczyste pogrzeby!

Jakow Markowicz też podniósł w górę kieliszek, lecz natychmiast go odstawił. Ze smutkiem spojrzął na pieprzne potrawy, takie apetyczne (wcale nie było po tym stole widać, jak niełatwo zdobyć coś do jedzenia). Odłamał kawałek chleba, posmarował go masłem i powoli miażdżył zębami.

— Dlaczego pan nie pije, Jakowie Markowiczu? — pochyliła się ku niemu Swietłozierska. — Nie piją tylko kapusie.

— Uspokój się, dziecko — odpowiedział czule. — Doleję ci wódki, daj tu kieliszek...

— Swietłozierska instynktownie umacnia obóz socjalistyczny — prychnął śmiechem Zakamorny. — Kto nie pije, ten szkodzi naszej gospodarce.

— Jeśli nie zawodzi mnie pamięć — zauważył Rappoport — jeszcze niedawno Marks twierdził coś wręcz przeciwnego: alkoholicy niszczą system.

— Dialektyka — zauważył Lew.

— Czekaście! — krzyknęła Inna. — Maks, czy ty nie przesadasz? Dość już tej wódki?

— I rozmawiali ze sobą o wszystkich wydarzeniach, mówi święty Łukasz — zacytował ironicznie Maksym. — Nie martw się, kochana, moja potencja na tym nie ucierpi.

— Mnie tam wszystko jedno!

A Sierioża Matikułow przyciskał kolano do uda Inny.

— Przesada to nasza cecha zawodowa — powtarzał swoje Jakow Markowicz. — Co robi normalna prasa? Spełnia trzy prymitywne funkcje: informuje, uczy i daje rozrywkę. My mamy zadania trudniejsze: dezinformujemy, zaciemniamy, zadziwiamy.

— Apele o pokojowe współistnienie — burknęła Kaczkariewa — spikerzy radiowi czytają z taką rozpaczą, jakby już zaczynała się wojna.

— Zgodnie z marksizmem pierwotna jest materia, a świadomość wtórna — rozgadał się zaczerwieniony od wódki Poliszczuk. — Ale ponieważ jesteśmy pewni, że nasze idee przeobrażają życie, wydaje się nam, że i słowa przeobrażają materię. Zamiast dóbr materialnych muszą starczyć obietnice. Słowo staje się niebezpieczniejsze od czynu. I dlatego cudze opinie miażdżymy gąsienicami czołgów.

— Wiecie, co? — znów włączył się Rappoport. — Naiwni potomkowie czytając nasze gazety (archiwa zostaną przecież zniszczone!) pomyślą, że byliśmy wolni i szczęśliwi.

— Szczęście na papierze!

— O rzeczywistym szczęściu nie mamy pojęcia.

— Ma rację parteigenosse Rappoport — rzekł głośniej Maksym. — Nigdy nie kierowaliśmy się humanizmem, o którym tyle gardłują nasi przywódcy. Kieruje nimi jedynie żądza władzy i strach. Czechosłowacja to żądza władzy. Szczelina w żelaznej kurtynie z Zachodem — to strach przed Chinami. Media zaś muszą maskować prawdziwe intencje liderów. My, dziennikarze, jesteśmy iluzjonistami!

— Tsss! — Jakow Markowicz podniósł ręce. — Dziewczyny, nie nudno wam? Katia i Lusja jakoś posmutniały... Gadamy tylko o polityce. Ani kszty zainteresowania płcią piękną. Wypijmy za piękne damy!

— Za kobitki! — zawołał Zakamorny. — Wciąż się zastanawiam, jak nazwać nasze społeczeństwo...

— Zlecili ci — zainteresował się Poliszczuk — czy sam na to wpadłeś?

— Sam. Są takie talerzyki z kartonu — zjadłeś i wyrzucasz. Także ręczniki, chusteczki do nosa, skarpetki. Tak samo my — jesteśmy

społeczeństwem jednorazowego użytku. Żyjemy krótko, umieramy szybko. Mamy filozofię jednorazowego użytku: powiedzieliśmy coś i natychmiast o tym zapominamy. Nie mamy ani przeszłości, ani przyszłości: każdego z nas można wypluć do słuwalczki.

— Ponoć w Odessie jest tajna papiernia — przypomniał sobie Lew. — Swego rodzaju antyPolitzdat. Broszury z przemówieniami naszych wodzów idą tam na przemiał, potem znów produkuje się z nich papier.

— Szkoda ludzi — powiedział Siemion, mąż Aneczki, milczący do tej pory. Jakow Markowicz uśmiechnął się, chciał zaprzeczyć, ale machnął ręką. A Maksym poparł Siemiona.

— Ludzie degradują się. Poziom kultury mierzy się ilością nie książek, lecz klozetów. A u nas z ubikacji korzysta dwadzieścia procent ludności. Reszta, nawet przy pięćdziesięciostopniowym mrozie, używa oczka w drewnianej wygódce. Ludzi się rozleniwili. Mańkut potrafił niegdyś podkuć pchłę, teraz nie umie nareperować nawet kranu.

— Podobno nasz system jest monopartyjny — zawołał Poliszczuk opróżniwszy kieliszek. — Tymczasem od dawna mamy drugą partię — partię tumiwisistów. Tumiwizm — to powszechna filozofia, wszystko u nas każdemu zwisa.

— Na nieszczęście, komuniści rządzą, a tumiwisiści się z tym godzą — wtrącił znowu Siemion.

— To nie tak — zaoponował Rappoport. — Pracował u nas sympatyczny chłopak, miał takie śmieszne nazwisko Miesiąc. Pojechał w delegację do Kurska, a wieczorem, gdy zapaliły się latarnie, wyszedł na balkon i zaczął siusiać na przechodniów. No i obsiusiał instruktora z wydziału propagandy obkomu, gdy ten kulturalnie przechadzał się po deptaku z małżonką. Makarcew musiał zwolnić Miesiąca jako dysydenta. Jak widać tumiwisiści też coś robią! Ze mną sprawa jest trudniejsza, ja jestem komunistą-tumiwisiścią.

— To możliwe — powiedział Zakamorny. — Choćby ta historia z subotnikiem. Wszystkim pan w duszę napluł, Rap!

— I napluję jeszcze... Nie szokuję was, młode damy?

— Myśli pan, że jesteśmy dziećmi? Ależ my... — speszona Katia nie dokończyła zdania.

— Więc w co mamy wierzyć? — cicho spytała Nadia, nie zwracając się do nikogo z osobna.

— Nie wiem — smutno odpowiedział Rappoport. — Ja, dziecin-ko, wierzyłem kiedyś w Stalina.

— Pan?

— Tak, tak. Wierzyliśmy w Stalina, a on nas opluł. Więc my go też opluliśmy. Dobrze byłoby móc wierzyć w Boga, ale u nas to nierealne. Proszę wierzyć w ludzi, którym... pani wierzy. Cóż innego pozostaje?

Uchwyciwszy aluzję Nadia pokraśniała. Lecz Iwlew nie przyszedł, nie zatelefonował, a teraz już na pewno się nie zjawi.

— Panowie, posłuchajcie! — Aneczka wstała, przeciągnęła się, zmierzyła wszystkich wzrokiem. — Nie można gadać przez okrągłą dobę. Może coś zaśpiewamy?

— Koniecznie! — z radością zawołał Siemion i zaintonował wysokim tenorem:

*Od samiutkiej Moskwy do stepowych kresów,
Od Północy do Południa łańcuch skalny
Gospodarzy człowiek, wolny już od dawnych biesów
Byle tym człowiekiem nie był Żyd nachalny...*

— Sioma, na litość boską, nie można bez polityki? — wyrwało się Łokotkowej. — Boję się tego waszego gadania...

— Aniu, przestań — uciał Siemion.

— Oj, chłopaki! — krzyknęła piskliwie Inna. — Nie bądźcie nudni! Włożyłam dziś nową sukienkę. Żeby który chociaż spojrzal. Mam taki dekolt, że wszystko widać do kolan. Dość tego gadania! Zaraz się rozbiorę.

Wstała i kołyszając biodrami zaczęła krążyć wokół stołu. Okrążyła wszystkich gości i siadła Rappoportowi na kolana.

— Niech pan patrzy, ile chce, panie Rap! Prawda, że ładne? Tylko pan jest prawdziwym mężczyzną. Reszta to śmiecie! Proszę dotknąć koszulki — włoskiej produkcji. Ale mój Włoch się ulotnił. — I uniosła sukienkę w górę.

— Zwariowałaś, Inka? — wyszeptała Nadia.

— Lepiej włącz muzykę. Potańczmy! Rozruszamy mężczyzn, dziewczyny! Jeśli jeszcze będą gadać o polityce, nie wiem, co zrobić! Kobieta czeka na miłość — a chętnych nie ma. To świństwo!

Nadia nastawiła płytę i usiadła w kącie. Też sporo wypła, więc przycichła. Mężczyźni wciąż spierali się przy stole — prócz Jakowa Markowicza, którego Swietłozierska wyciągnęła na środek pokoju. Tańczyła wokół niego, to opadając na podłogę, to znów się podnosząc, a Rappoport niezgrabnie kręcił się w kółko, lecz wciąż się odwracał, by słuszeć rozmowę za stołem.

Widząc, że Jakow Markowicz nie zwraca na nią uwagi, Inna

gwałtownym ruchem podniosła sukienkę, zdjęła ją przez głowę i rzuciła Rappoportowi.

— Zmarzniesz, dziecino — rzekł błagalnie stary dziennikarz wciąż jeszcze z rozpędu tupiąc buciorami.

A ona już zdjęła króciutką, przezroczystą koszulkę, zręcznie skacząc to na jednej, to na drugiej nodze, odpięła pończochy, i rzuciła to wszystko Rappoportowi na szyję. Stanik poleciał na jego ręce. Jakow Markowicz nie zdążył go chwycić. Schylił się stękając, żeby go podnieść, a gdy wstał, Swietłozierska trzymała w rękach maleńkie kolorowe majteczki i tryumfalnie rozglądała się po pokoju, pewna, że teraz już na pewno wszyscy mężczyźni umilkli i gapią się tylko na nią.

— Gdy w towarzystwie — zauważył Maksym — ktoś mówi „Dziewczyny, rozbierzmy się” są dwa wyjścia: albo wszyscy się śmieją..

— Albo zdejmują ubrania — zakończył Sierioża Matrikułow.

— Lowa, czas do domu — Poliszczukowa wzięła męża pod rękę. — Bardzo przepraszamy, ale nasz malec sam siedzi w domu... Chodźmy, Lowa!

— Nie udawaj świętej, moja droga! — Poliszczuk dotknął językiem wąsów.

— Nie będę, ale chodźmy...

Poliszczukowie wyszli do przedpokoju. Nadia, Katia, Lusia, naga Inna i Anna Siemionowna wzięły się za ręce, i krążąc w kółko wokół Rappoporta obwieszzonego garderobą Swietłozierskiej śpiewały:

— Stary niedźwiedź mocno śpi...

Maksym, Matrikułow, Siemion, mąż Ani i podobna do mężczyzny Raisa obserwowali je w milczeniu. Gdy Poliszczuk wychodził, zgasił światło, było więc ciemno.

— Coście tacy skwaszeni? Napijmy się. Za tych, którzy pływają po morzach, oburzają się, cierpią, płaczą w niewoli, pomódlmy się do Pana, niech ich ocali.. — zaśpiewał Maksym. Nikt nie poparł tego toastu, więc Zakamorny wypił sam. — Wiecie, co powiedział Camus? „Historycy przyszłości tak oto scharakteryzują człowieka naszych czasów: uprawiał miłość i czytał gazety.”

— Nie chcę już czytać gazet! — zawołała Inna, zaczerwieniona od tańca, a może od zainteresowania, które w końcu wymusiła.

— Jak nie chcesz gazet, to chodź ze mną, ubiorę cię. Bądź co bądź byłem kiedyś kierownikiem placu tańców, więc warto mnie słuchać.

— A co z Saszą Kakabadze, Inko? — półgłosem spytała Nadia.

— Jego też kocham! Ale go tu nie ma!

Maksym zdjął z ramion Jakowa Markowicza ubranie Inny, wziął maszynistkę pod rękę i zaprowadził do łazienki. Inna rozłożyła ręce i oparła je o framugi.

— Gdzie mnie ciagniesz, gwałcicielu?

*O, córo grzechu, spójrz na te białe kafelki
Jesteś ty, jestem ja — w tajemnej jaskini łazienki
Daj mi szczęście czym prędzej, piękna Afrodyto
Pałam namiętnością, co w sercu rozkwita.*

Nie wiadomo, czy była to improwizacja, czy też wierszyk, recytowany przez Maksyma w podobnych sytuacjach. Końca nikt nie dosłyszał, gdyż Nadia włączyła wrzaskliwy jazz.

Gdy Maksym z Inną zniknęli w łazience, tyczkowata Katia wzruszyła ramionami:

— Mężczyźni są niezależni tylko wtedy, gdy rozmawiają na wzniosłe tematy. Ale gdy zobaczą kobiece ciało, można z nimi zrobić absolutnie wszystko.

— Z panią zgadzam się absolutnie na wszystko — Matrikułow objął Katię. — Zatańczymy?

Dziewczyna poszła za nim, spoglądając na wszystkich z wyso-
ka, nieco ironicznie. Przy stole wydawało się jej, że zwrócił na nią uwagę Maksym, wymieniali dość długo spojrzenia. Ale Zakamorny zniknął w łazience i długo stamtąd nie wychodził. Inna nic szczególnego w sobie nie ma, a jej twarz jest po prostu wulgarna.

— Dajcie papierosa! — jęknął Maksym z łazienki.

Katia wyślizgnęła się z objęć Matrikułowa, schwyciła ze stołu papierosy, zapalki i pobiegła do łazienki. Otworzyła drzwi i w słabym świetle dochodzącym z kuchennego okna, zobaczyła Innę pochyloną nad wanną i stojącego za nią Maksyma.

— Dzięki, Katiu! — rzekł Zakamorny, gdy dziewczyna wsunęła mu w usta papierosa i zapaliła zapalkę. — Dzięki, mój aniele! Chodź, to cię uściskam!

Maksym wetknął zapalonego papierosa Innie do ręki, ale ona upuściła go do wanny. Zakamorny objął Katię jedną ręką i przyciągnął do siebie. Dziewczyna poddała się ulegle, lecz gdy poczuła, że ciągnie ją za rękę Siergiej, objęła Zakamornego za szyję, zapominając o Innie. Siergiej głaskał Katię. Inna powolnymi, pieszczotliwymi ruchami rozpiniała guziki Siergiejowi.

Tymczasem w pokoju Lusia zaprosiła do tańca Siemiona. Ania

patrzyła coraz bardziej podenerwowana, jak jej mąż przyciska Lusię, a ta nie okazuje żadnego sprzeciwu. Jak tak można, jak można? Cóż, jego mogłaby zrozumieć, upił się, więc mu wszystko jedno z kim. Ale Lusie jest kobietą, wie, że ja z nim przyszedłam! Chyba istnieje kobieca solidarność! Czyżby nie było już nic świętego? — myślała z rozpaczą Ania.

— Chcę pić! — zawołała Lusie.

Lusia i Siemion poszli do kuchni.

— Siemion! — krzyknęła Łokotkowa. — Mnie też chce się pić!

— Przypadkowe romanse tylko wzmacniają rodzinę — rzekł Siemion do żony. — Nie bój się, Aniu, nie ma powodu!

W kuchni, gdy Lusie piła, Siemion zgasił światło. Z łazienki dobiegało sapanie, jęki, jakieś słowa.

— Nie — mówiła Lusie. — Nie.

— Dlaczego nie?

— Bo nie! Niech pan przynajmniej zamknie drzwi!

Siemion zamknął drzwi i zabarykadował je krzesłem. Ania nie wytrzymała, wstała i poszła do kuchni. Drzwi były zamknięte. Weszła więc do ubikacji, usiadła na desce klozetowej i zaczęła płakać. Z łazienki dobiegał ochryply kobiecy głos: „O-o-o-a!” Na brzeżku muszli klozetowej siedzieć było niewygodnie, a włamywać się do kuchni — wstyd. Z pewnością rozmawiają, nic innego dziać się nie może. Łzy jednak kapały bez końca, Ania nie ocierała ich.

Raisa Kaczkariewa na wół leżąc na tapczanie rozmawiała z Nadią. Rappoport stał przed szafą z książkami i sam ze sobą się bawił. W półmroku zgadywał, co też stoi na półce, wyjmował książkę i sprawdzał, czy wygrał. Gdy rozległ się dzwonek, poszedł otworzyć drzwi. Ale to dzwonił telefon w sąsiednim pokoju. Jakow Markowicz usiadł na obrotowym krześle.

— Z kim chce pan rozmawiać?

— Z Tawrowem.

— To pan, Igorze Iwanowiczu? — zdumiał się Rappoport, który nigdy niczemu się nie dziwił, i na wszelki wypadek rozejrzył się dokoła. — Skąd pan dzwoni?

— Ze szpitala, niestety...

— Skąd się pan dowiedział, gdzie jestem?

— Od „świeżej głowy” w redakcji. Dobrze się bawicie?

— Nie wiem... — zawahał się Rappoport. — W zasadzie tak... A jak pan się czuje?

— Powoli wracam do zdrowia. Mogę już spacerować — dwieście metrów dziennie. Gimnastyka lecznicza na leżąco. Zmęczyłem się...

— Zmęczyło pana chorowanie? To rozumiem!

— Gdzie tam, coś zupełnie innego. Co wyrabia ten Jagubow? I jeszcze ma poparcie! Należałoby rozdeptać tego łobuza, ale na razie sił mi brak.

— Jeszcze się pan nawojuje!

Nastąpiła pauza, wypełniona jazzem dobiegającym z drugiego pokoju. Makarcew mówił z trudem, więc Rappoport go nie popędzał. Jak się okazało, zrozpaczona Zinaida, niczego nie załatwiwszy, opowiedziała wszystko mężowi.

— Mój syn zabójcą?! — krzyknął z rozpaczą Igor Iwanowicz. — W takim razie nie mam syna! Zniszczy mi życie!

— Owszem, masz — zaprotestowała zimno. — Twoje histerie nikomu nie są potrzebne, zwłaszcza mnie. Musisz wyzdrowieć choćby po to, żeby ratować Boba!

Równie bladej i zaciętej Zinaidy Makarcew nigdy nie widział. Gdy wyszła, zazgrzytał zębami, zaczął stękać, nie miał siły wziąć się w garść, wreszcie postanowił zatelefonować do Jakowa Markowicza. Ale domowy telefon starego zeka nie odpowiadał.

— Może powinienem pójść na emeryturę?

— Dzwoni pan, żeby mi to powiedzieć?

— Nie, Jakowie Markowiczu... Nie chcę nic ukrywać... Kiepsko z moim synem, bracie...

— Rozumiem..

— Nie ma pan na górze jakichś dojsć? Gdybym był zdrow, wiedziałbym, do kogo się zwrócić... Ale teraz wyszedłem z gry...

— Mogę spróbować...

— Bardzo pana proszę! Sam ma pan syna!

— Tylko bez emocji.

— Przepraszam, oderwałem pana od towarzystwa.

— Głupstwo, i tak już się wybierałem do domu. Niech pan wraca do zdrowia, wszystko będzie dobrze.

— Tak pan sądzi?

— Jestem pewien!

Drzwi łazienki otworzyły się. Następowwała tam wymiana dekoracji. Zapinając guziki koszuli Maksym zaprosił Rappoporta:

— Przyłącz się do nas!

— Byłbym rad, moi mili, ale z czym do gościa...

— Zawsze udajesz starszego, niż jesteś, Jasza!

Jakow Markowicz po ojcowsku poklepał Zakamornego, poczłapał korytarzem i cicho zamknął za sobą drzwi.

— Rap już poszedł — rzekła z roztargnieniem Nadia.

— A ty wciąż jeszcze czekasz na Sławka? — spytała Raisa grubym, przepalonym głosem.

Nadia przysunęła do siebie lichtarz i machinalnie głaszała człowieczka po sterczącym, zalanym stearyną penisie. Płomień kołysał się od ruchu rąk.

— Głaszcz, głaszcz — powiedziała Kaczkariewa — skoro nic innego nie masz pod ręką.

Objęła Nadię, przytuliła, zaczęła głaszać jej ramiona i pierś. Nadia oklapła, przywarła do Rajki i obie pocałowały się w usta.

— Szczęśliwa jesteś, Nadiu! Dla dziewczyn w twoim wieku nie brak chłopaków. A moich zabrała wojna i łagry. Sama rosłam — musiałam być babą i chłopem. Całowałam się tylko z dziewczynami.

— Rozumiem.

— Czasem myślę, że bez chłopów jest lepiej! Niech ich diabli. Jedyna przyjemność, jaką od nich mamy, to skrobanki...

Obróciwszy Nadię na bok Kaczkariewa wcisnęła ją pod siebie, i ciężko dysząc przytuliła się do niej. A potem jak szalona zaczęła całować szyję i ramiona dziewczyny.

— Nie wariuj, Rajka, puść mnie!

Nadia wyrwała się i usiadła, poprawiając bluzkę.

— Jestem lepsza od chłopów — powiedziała Rajka z urazą. — Poszperała palcami na stole, odnalazła pudełko papierosów, ale było puste. Zmięła je i z wściekłością rzuciła w przeciwległy kąt.

50. Deszcz

Deszcz w kwietniu pada w Moskwie rzadko, więc drobne krople klejące się do twarzy i rąk irytowały Rappoporta. W dodatku na ulicach było niemal całkiem ciemno: władze miejskie oszczędzały elektryczność. Jakow Markowicz potykał się na wyboistym asfalcie, wpadał w kałuże i wyrwy, toteż od czasu do czasu kłął jak szewc.

Szedł ulicą i szukał automatu telefonicznego. Zegary wskazywały już prawie pierwszą w nocy. W jednej z budek kołysał się sznur, słuchawka była oderwana. Jakow Markowicz przedreptał jeszcze ze dwa skrzyżowania. Kapelusz cały przemókł, lada chwila nasiąkną wodą buty, a wtedy zaczną boleć plecy. Inny automat miał słuchawkę, ale gdy wpadła do niego moneta, rozległ się przerywany

krótki sygnał. Monety automat nie zwrócił. Trzeci, stojący obok poprzedniego, nie zdradzał oznak życia. Rappoport zaklął z wściekłością.

Ruszył dalej, ale nie napotkał już więcej automatów, choćby zdewastowanych. Nawet przy świetle widział kiepsko, a teraz miał wrażenie, że całkiem oślepl. Jako drogowskaz służył mu ogromny, rozświetlony napis na dachu jakiegoś budynku: „Komunizm pierwszy wszędzie!” Brakowało czterech pierwszych liter w słowie „pierwszy”. Podzielić się tym odkryciem nie było z kim, a trzymać w pamięci nie warto: życie zawsze podrzuca coś dowcipnego, gdy zachodzi taka potrzeba. Zresztą, gdy jej nie ma — również. Zadzierać głowę, by patrzeć na dach było niewygodnie. Dziennikarze to krety — przypomniał sobie Rappoport słowa Zakomornego. Nie wolno im patrzeć na światło, mogą oślepnąć. Siedzą w tych swoich dziennikarskich norach do późnej nocy, pichcą jakieś bzdury, nocą zadowoleni wyłazą spod ziemi, a nad ranem śpią snem sprawiedliwych, nie pamiętając, co robili poprzedniego dnia.

No, nareszcie jest automat! Dwukopiejkowych monet Rappoport już nie miał, więc wrzucił dziesięciokopiejkówkę. Za trzecim razem ugrzęzła i numer zaskoczył.

— Syzyf? Nie śpisz jeszcze?

— Kto mówi? — rozległ się męski głos. — Niezbyt dobrze słyszę. Proszę zadzwonić jeszcze raz.

Jakow Markowicz błyskawicznie przekręcił słuchawkę i wrzasnął:

— To Syzyf? Halo, Syzyf! Nie odkładaj słuchawki! Automat, niech go szlag, jakiś trefny!

Znów szybko przekręcił słuchawkę i przysunął ją do ucha.

— Rapik? To ty, rybko? Skąd dzwonisz?

— Mówię przecież, że z automatu — Rappoport co chwila wprawnie przekładał słuchawkę od ust do ucha. — Stary, musimy się zobaczyć. Mam do ciebie interes!

— Zobaczyć się? Lepiej bez interesu. Ale, ostatecznie, niech będzie interes. Przyjeżdżaj!

— Teraz? — Rappoport zerknął na zegarek. — A kiedy się wyśpię?

— Ludzie w naszym wieku nie muszą już spać.

— Zależy jacy...

— Co mówisz? No to czekam! Chlapiemy sobie po kieliszeczku herbaty!

— Jadę! — szczechnął Jakow Markowicz i rzucił z zaciętrzewieniem słuchawkę.

Znów ruszył brzegiem chodnika, co chwila rozglądając się, czy

nie zobaczy taksówki. Nie lubił chodzić pieszo. Już się, chłopcy, nachodziłem, najeździłem, nalatałem i napływałem po uszy — mawiał często. No, a podróżować z taką ankietą jak moja, sami rozumiecie... Jedyne, co jeszcze muszę robić, to ruszać się. Ruszając się między kałużami złapał w końcu taksówkę.

51. Syzyf

Życiorys

Urodziłem się na barykadach 1905 roku w rodzinie płomiennego bolszewika. Mój ojciec, Antoni Sahajdak, rosyjski rewolucjonista, przyjaciel i współpracownik Lenina, poległ w obronie władzy radzieckiej. Jako reprezentant klasy robotniczej zostałem skierowany na studia do wyższej szkoły medycznej, a po jej ukończeniu zostałem seksuologiem. Od tej pory całe moje życie poświęcam walce ze schorzeniami seksualnymi mas pracujących.

Do partii komunistycznej wstąpiłem po to, by aktywnym działaniem przyspieszyć budownictwo socjalizmu. Jako doktor nauk medycznych i profesor wiele uwagi poświęcam pracy społecznej, a także propagandzie marksistowskiej nauki o seksie wśród ludności.

Jestem twórcą nowej gałęzi medycyny radzieckiej — impotentologii. Napisałem szereg rozpraw naukowych wykorzystywanych w gospodarce narodowej. W szczególności zasługuje na uwagę moje fundamentalne dzieło „Podstawy teoretyczne impotentologii” (Wydawnictwo Medyczne, 1967, do użytku służbowego).

Ja, wierny syn partii komunistycznej, uważam ją za inspiratorkę i organizatorkę wszystkich moich sukcesów.

Notatka Syzyfa Antonowicza na kopii życiorysu, przechowywanej w jego domu:

Urodziłem się w znacznej odległości od barykad. Mojego ojca — Żyda przechrztę, komiwojżera, zastrzelono podczas próby ucieczki przez zieloną granicę do Polski. Czy miałem mamę, Bóg raczy wiedzieć. Byłem sierotą bez nadzoru. Kradłem, w końcu dwa bochenki chleba wymieniłem na dyplom ukończenia wyższej szkoły medycznej w Saratowie. Moich rozpraw naukowych nie pisałem, lecz na ich obronie byłem obecny. Zawód — więzień łagrów. Do partii musiałem wstąpić — bez tego nie daliby mi stopnia naukowego doktora

nauk. Wiedzę rozpowszechniam tylko za żywą gotówkę, chociaż nie zawsze. Twórcą nowej gałęzi nauki zostałem dzięki niskiemu poziomowi nauki w kraju. Jednak stwierdzenie, że partia inspirowuje mnie do badań nad impotencją, jest świętą prawdą.

LINIA KRZYWA SAHAJDAKA

Gdy Syzyfowi Antonowiczowi stuknęła sześćdziesiątka, postanowił skromnie uczcić to wydarzenie z kilkoma przyjaciółmi w restauracji „Aragwi”. Jakow Markowicz zauważył wówczas:

— To nieprawdopodobne, Syzyf, żeby o tobie zapomnieli!

I rzeczywiście, w dniu jubileuszu rozległ się w mieszkaniu Sahajdaka telefon.

— Wszystkiego najlepszego, Syzyfie Antonowiczu, najlepsze życzenia!

— Dziękuję — ucieszył się Syzyf — Bardzo dziękuję!

— Czy wie pan — ciągnął dalej jego Krzaczasty rozmówca — że Prezydium Rady Najwyższej odznaczyło pana orderem Sztandaru Pracy? Gratulacje!

Syzyf Antonowicz nie miał pojęcia o odznaczeniu, lecz tego samego dnia przysłano po niego samochód i gospodarz Kremla z uśmiechem powiesił mu na piersi „Czerwony Sztandar”, a następnie uściskał jego spracowaną dłoń. Ministerstwo Zdrowia zaniepokoiło się po tym telefonie, nie wiedząc, co robić. W żadnych instytucjach naukowych Sahajdak nie pracował, ważnych stanowisk nie piastował, był jakby na emeryturze. Ale wypisywał recepty na czerwonych blankietach z fioletowym nadrukiem:

*Syzyf Antonowicz Sahajdak
profesor, doktor medycyny
impotentolog generalny*

Jak uczcić jubileusz takiego specjalisty nie bardzo wiedziano ani w Ministerstwie Zdrowia, ani też w Akademii Nauk Medycznych. A dyrektyw w tej sprawie nie było. Na wszelki wypadek delegacja Ministerstwa Zdrowia z wiceministrem na czele pofatygowała się do mieszkania Sahajdaka. Powitał ich w szlafroku, wysłuchał życzeń, poczęstował koniaczkiem. Odpowiadając przemówieniem na przemówienie jubilat oświadczył:

— Dziękuję w imieniu sekretarza generalnego i moim własnym.

— Dziwak jesteś, staruszkule! — łagodnie skarcił przyjaciela Rapoport. — Dlaczego nie poprosiłeś, żebym ci urządzili jubileusz w Teatrze Wielkim? Krzaczasty nie odmówiłby. Myślisz, że dzwonił kiedyś do kogokolwiek, by złożyć mu życzenia? W życiu! A tobie kłania się nisko! On boi się wyłącznie własnych służb!

Nie można jednak twierdzić, że Syzyf Antonowicz nie miał wykształcenia. Zapoznał się wnikliwie z treścią rozpraw naukowych, które rzekomo napisał, studiował literaturę przedmiotu, znał ludową medycynę. Ten mądry człowiek zawsze dostrzegał sedno, więc szybko został mistrzem w swej dziedzinie. Leczył lepiej niż tam, gdzie lśniły parkiety, a lekarze mieli słuszne ankiety — nie bał się bowiem leczyć i z organami bezpieczeństwa metod terapeutycznych nie uzgadniał. W dodatku można było przyjść do niego po cichu, dyskretnie. Syzyf Antonowicz zdobył nieoficjalnie większy autorytet niż główny urolog Ministerstwa Zdrowia, akademik Łopatkin; zresztą obaj współpracowali na zasadach partnerskich. Przywódcy partii i rządu byli w takim wieku, że mało który spośród nich nie leczył się u Sahajdaka.

— Zna pan... takiego to... — pytał z uśmiechem Syzyf Antonowicz.

— Naturalnie! — odpowiadano.

— Usunąłem mu prostatę — mówił Sahajdak niedbale. — Wielu innym również. A o takim to słyszeliście? Temu nie usuwałem. Usunął doktor Rabinowicz z Rygi. Prostate to drugie serce mężczyzny. Pierwszego nigdy nie mieli, drugie — ja im usunąłem. Wyobrażacie sobie władze państwowe bez prostaty? Chętnie by nam zabronili nie tylko czytania literatury o seksie, ale i współżycia płciowego. Niestety, jak dotąd nie nauczyli się produkować młodych marksistów w inny sposób.

Gdy Jakow Markowicz nie może się dodzwonić do Syzyfa Antonowicza, jest pewien, że zwierzchność ma kłopoty z oddawaniem moczu. Jeśli zaś Sahajdak jest w domu, lecz prosi, by zatelefonować do niego za godzinę, znaczy to, że wbił oczy w mikroskop, a obok niego, czerwony jak rak, siedzi wysokiej rangi gebista, który złapał trypra. Albo minister, zwierzający się szeptem, że ma kłopoty z erekcją.

— W Anglii pan potrafił, a w kraju nie! — irytująco żartuje Syzyf Antonowicz.

— W Anglii na nic sobie nie pozwalałem! — zapewnia błagalnie minister.

— Wiem! — uspokaja go Sahajdak. — To tylko żarty.

Wszyscy jego pacjenci mniej bali się ujawnienia tajemnic pań-

stwowych niż wenerycznych. To zrozumiałe: tajemnice państwowe są własnością państwa, a weneryczne — ich osobistą. Pacjenci starannie ukrywali przed sobą nawzajem, że chodzą do Sahajdaka. Niektórzy dawali mu do zrozumienia: KGB wie, że opowiada antyradzieckie kawały. Jednak Syzyf Antonowicz nie był zbyt strachliwy.

— Mam ich wszystkich tutaj! — wyjaśnia przyjaciołom podnosząc w górę palec wskazujący. — Znam dobrze organy bezpieczeństwa. Dzięki mnie lepiej funkcjonują.

Myśl ta dotarła na sam szczyt i spodobała się. Szefowie partii i rządu śmiali się do rozpuku.

— Nic śmiesznego w tym nie widzę! — zareagował natychmiast profesor Sahajdak. — Stalin kierował się teorią akademika Pawłowa. Wierzył, że można wytworzyć u ludzi odruchy warunkowe, wytresować ich jak psy. Ja natomiast idę dalej. Sądzę, że prawdziwy uczonek, ktoś taki jak ja, potrafi wytworzyć odruchy warunkowe także u przywódców partii i rządu.

Leczenie notabli partyjnych to zaszczyt: szkoda tylko, że finansowo nieopłacalny. Wszyscy oni sądzą, że lekarz powinien być wdzięczny już za to, że do niego przyszli. Jednak przyczyny ideowe, a także prestiżowe, chęć zapewnienia sobie osobistego bezpieczeństwa, kazały Sahajdakowi bezpłatnie leczyć przywódców; inna sprawa, że przyjmował co najmniej członków KC. Pieniędzy Syzyf Antonowicz nie potrzebował. Każdego lata wyjeżdżał nad Morze Czarne i wynajmował dom letniskowy, tak duży, że w letnim sezonie mieściłoby się tam ze dwadzieścia osób płacących dziennie pięć rubli za łóżko. Syzyf truduł się od rana do wieczora niczym Syzyf z mitów greckich.

Przed domem, obrośniętym winoroślami, wyczekiwała długa kolejka. Głównie mężczyźni w średnim i podeszłym wieku, ale zdarzali się i młodzi. Wszystkim był potrzebny generalny impotentolog. Profesor pobierał 50 rubli za wizytę. A gdy wyznaczył kurs leczenia, pacjent dopłacał jeszcze od 400 do 500 rubli. Pielęgniarka za dodatkową setkę mogła nie rejestrować chorego w księdze. Syzyf Antonowicz udzielał konsultacji sprawcom gwałtów pragnącym uniknąć wyroku, uczył ich udowadniać, że wszystko działo się na zasadach dobrowolności. Przemieniał też doświadczone damy w dziewicę drogą chirurgicznej interwencji.

Pieniędze, zarobione latem, wydawał zimą na życie. Mieszkał w moskiewskim spółdzielczym bloku. Wylegując się w szlafroku na tapczanie oglądał mecze hokejowe w telewizji. Miał wspaniałą bi-

bliotekę. Rozczytywał się w nieuznawanych filozofach i w zakazanej literaturze, podziwiał dobrych poetów, oglądał obrazki w zachodnich czasopismach. Wszystko to dostarczali Sahajdakowi jego pacjenci — bezpieczniacy. Tym, którzy przynosili zakazane książki, wykladał krótko zasady treningu autogennego i pokazywał ćwiczenia jogów na wzmocnienie potencji. Generałowie, ministrowie, pułkownicy biegali po pokoju na czworakach i powstrzymywali oddech złani potem, a Syzyf Antonowicz stał na tapczanie z nahajką i pokrzykiwał:

— Żywo! Kto chce, żeby mu stał, musi biegać. No, byczku, raźniej!

Przy okazji zwierzał się poufnie pacjentom, że głupcom trening autogenny nie pomaga.

Najbardziej ciekawscy interesowali się, jak to wygląda u samego doktora.

— To wasz problem — odpowiadał profesor. — U mnie nic nie wygląda.

W siódmym sektorze Karłagu (a wpakowała go tam żona aparatczyka, której odmówił skrobanki), profesor Sahajdak został skopany ciężkimi butami oraz zbity stojącym na biurku globusem: nie chciał donosić na innego zeka, niejakiego Rappoportta. Część kopniaków dosięgła pachwiny. Rany zagoiły się, lecz potencja nie wróciła. Syzyf obmacywał ze smutkiem czułe miejsca, stwierdzając, że wytworzyły się tam zrosty. Erotyczne pragnienia pozostały, lecz nie mógł ich zaspokajać — dla Sahajdaka jako seksuologa było to podwójnie przykre.

Dwa lata później chirurg Baumbach, z którym Syzyf pracował w łagrowym szpitalu, zaproponował mu operację; tego rodzaju zabiegi chciał robić jeszcze na wolności, dawno temu, po studiach w Berlinie i w Wiedniu. Po krótkim wahaniu Sahajdak się zgodził... Chirurg wstawił mu chrząstkę zmarłego więźnia. I gdy tylko zagoiły się szwy, Syzyf Antonowicz gotów był do miłosnych potyczek o każdej porze dnia i nocy. Doktor Baumbach mógł osobiście obserwować skutki operacji: do Sahajdaka ustawiała się zazwyczaj długa kolejka więźniarek. Niektóre inteligentne damy prosiły o książkę zażaleń, by wpisać tam wyrazy wdzięczności. A ponieważ książki takiej w łagrze nie było i być nie mogło, nieraz powtarzały Sahajdakowi, że genialny chirurg Baumbach skorygował pomyłkę natury, od której, jak mawiał sam Miczurin, nie możemy spodziewać się łask.

Syzyf Antonowicz nieraz zastanawiał się później, czy nie przeprowadzać takich operacji. Mógłby zarabiać w ten sposób niezły

szmal. Ale przestałby być niezwykle, tymczasem miłość własna była dla niego ważniejsza od pieniędzy. W dodatku aparatczycy po uzyskaniu takiego organu czuliby się niezależni od generalnego impotentologa. Sahajdak marzył, by to ważne stanowisko wpisano do statutu partii. Fundamentalne dzieło profesora Sahajdaka *Teoretyczne podstawy impotentologii*, napisane, rzecz jasna, przez Jakowa Rappoportę, a zadedykowane potajemnie chirurgowi Baumbachowi, zostało opublikowane na polecenie naczelnika Gławlitu ZSRR, któremu Syzyf Antonowicz masował prostatę. Na takiej samej zasadzie dla wydawnictwa „Wiedza” powstała broszura popularno-naukowa pod tytułem *U nas nie ma impotentów!* Jakow Markowicz miał wielką frajdę, kiedy ją pichcił. Sam jednak stanowczo odmówił leczenia, stwierdziwszy, że bez seksu żyje mu się znacznie spokojniej.

Syzyf Antonowicz myślał czasem, że dobrze byłoby pojechać za granicę, obejrzeć to i owo. Ale rozumiał: nie wypuszczą go za żadne skarby. Któregoś dnia przeczytał we wspomnieniach Winstona Churchilla, że ster władzy winni trzymać w rękach ludzie zdrowi fizycznie: choroba może odbić się fatalnie na ich decyzjach. Generalny impotentolog posiadał na ten temat zbyt ściśle tajne informacje wagi państwowej.

52. Krąg dziesiąty

Na ulicy Festiwalowej, w pobliżu Dworca Rzecznego, Jakow Markowicz wygramolił się z taksówki. Choć bywał tutaj często, stał długo zastanawiając się, do którego spośród dwudziestu bliźniaczo podobnych domów powinien wejść. Pytać o tej nocnej porze nie było kogo. Wreszcie przypomniał sobie, który to budynek, wjechał windą na ostatnie piętro: właściciel mieszkania nie znosił, żeby mu ktoś łaził nad głową. Gdy Jakow Markowicz zadzwonił do drzwi, rozległ się najpierw psi jazgot, a potem odgłosy kroków. Syzyf Antonowicz, mężczyzna o gigantycznej posturze, z lwią grzywą siwych włosów, w szlafroku, przypominającym chałat aresztanta (chyba zużyto na niego cały kupon niebieskiej tkaniny w białe paski) uściskał Rappoportę. Śnieżnobiała suczka Kicia z radosnym skomleniem obskakiwała Jakowa Markowicza, usiłując liznąć go w rękę.

— Jak się masz, chłopie! Jakże się cieszę! — Sahajdak załączył do tych słów długą tyradę, ale zrozumieć ją człowiek postronny

mógłby tylko po jej przetłumaczeniu z języka łagrowego na plugawy, a potem dopiero z plugawego na rosyjski. — Rozbierz się, stary grzybie... Zaraz wracam.

Szyzyf Antonowicz poczłapał do pokoju i podniósł rzuconą na tapczan słuchawkę telefoniczną.

— A więc tak, koteczku! — kontynuował rozmowę. — Osobne mieszkanie dla siebie i młodej żony zdobędziesz tylko w jeden sposób. Wierz mi, nic tak nie działa na komisję mieszkaniową jak nietrzymanie moczu. Dam ci zaświadczenie. Zakwestionują? Niemożliwe! Nawet Jagoda nie zmusiłby twych mięśni do lepszego trzymania moczu! No, co? Zgadzasz się? Więc słuchaj. Na kilka godzin przed wizytą komisji mieszkaniowej zbierz, ile się da zbędnych ciuchów. Starannie pozamykaj wszystkie okna. I niech cała rodzina siusia na te szmaty! Zrozumiałe? I tata, i mama, i twoja młoda żonka, nie mówiąc już o tobie! A dalej samoobsługa: po wysiusianiu się każdy łapie swoją szmatę i biegnie wieszać ją na kaloryferach, Aha, i pijcie wszyscy jak najwięcej herbaty! Chcesz mieć nowe mieszkanie czy nie? Jeśli chcesz, musisz się nawąchać... A sąsiadom powiedz, że jak za bardzo będą szurać, to zarazisz ich wszystkich nietrzymaniem moczu. Jasne?

Jakow Markowicz opadł na niski fotel i z roztargnieniem patrzył na znane sobie przedmioty. Suczka położyła się przy nim waląc ogonem w podłogę. Mieszkanie Sahajdaka było przeciwieństwem jego własnego. Ściany, tapczan, podłogę pokrywały dywany. Stare wazy, lichtarze, posążki, na wpół bądź całkiem nagie figurki we frywolnych pozach zapełniały płaskie przestrzenie serwantki, biurka i etażerek, stały na półkach przed książkami, między matowo połyskującą w półmroku porcelaną i srebrami. Po obu stronach drzwi wisały gobeliny, japoński i chiński. Kryształowy żyrandol na suficie mógł konkurować chyba tylko ze swoim krewniakiem z Teatru Wielkiego.

— Wybacz, Jasza — Szyzyf Antonowicz zaniósł aparat telefoniczny do kąta i zakrył go grzałką na czajnik — ruską babą w saraфанie. Potem zaczął krążyć po pokoju zatrzymując się to przed japońskim gobelinem, to przed perskim dywanem. — Bez moich rad zestarzeją się i umrą w kołchozowym mieszkaniu. No, dobra! Przyjechałeś, Jasza, w samą porę. Wróciłem dopiero wczoraj.

— A gdzie byłeś? — zdziwił się Jakow Markowicz, który wiedział, że przed nadejściem lata profesor nie rusza się z domu.

Sahajdak podszedł do Rappoporty i powiedział cicho:

— Umarł Wielki Zek.

— Baumbach?! Ale gdzie?

— W łagrze. Byłem tam, przyjacielu. Zadzwoiła do mnie jego krewna, staruszka. Zawiadomili ją telegraficznie o jego śmierci. Teraz czasem zawiadamiają. Natychmiast wysłałem telegram, że przyjadę i sam go pochowam. Musiałem, Jasza, chyba rozumiesz...

— A gdzie to jest?

— Gdzie? Ostatnio pracował w Potmie.

— Słyszałem. Supertajna szaraszka.*

— No właśnie! Z trudem ich odnalazłem. W końcu zgodzili się wydać zwłoki. Ocaliłem staruszkę przed zbiorową mogiłą.

— Sam umarł, czy mu pomogli?

— Zrobiłem sekcję zwłok i wiem, że zmarł po prostu ze starości. Zacząłem szukać trumny, ale bez skutku. Więc sam ją zmajstrowałem, wykradłszy deski z tartaku. Ugodziłem się w Sarańsku z taksówkarzem, że za pięćdziesiąt rubli zawiezie mnie tam i z powrotem. Ale z trumną nie chciał za nic w świecie. Więc posadziłem Baumbacha na tylnym siedzeniu i całą drogę trzymałem go w objęciach. W Sarańsku znalazłem dojście do obkomu partii; dzięki nim zdobyłem cynkową trumnę i zgodę na przewiezienie zwłok do Moskwy. Przedwczoraj skremowałem Wielkiego Zeka.

— Czemu nie zadzwoniłeś?

— Wybacz wielkodusznie, ale chciałem stać na honorowej warcie sam. Był moim nauczycielem. Już dogorywałem, gdy mnie ocalił.

— Uratował nas i pół Karagandy.

— Był świetnym urologiem. Do tego stopnia, że któregoś dnia więźnia Baumbacha władze łagrowe przebrały w mundur generała służby wojskowej i wywiozły samolotem. Konsultował kolkę nerkową samego Własacza. A po konsultacji zdjęli ze starego ten mundur i znów wepchnęli go do łagru, każąc podpisać oświadczenie, że będzie milczał — w przeciwnym razie go rozwalą. Nie zrobili tego — kto wie, mógł jeszcze być potrzebny. Cała łagrowa władza go słuchała. Gebiści wyzdychaliby bez niego na syfilis! Ja go tylko naśladuję i to nieudolnie!

— Ale dlaczego nie chciał wyjść na wolność? Swoje dwadzieścia pięć już dawno odsiedział!

— Po prostu był od nas mądrzejszy. Rozumiał, że wychodzić nie warto. Nigdzie nie ma większej wolności niż w łagrze. Dawali

* szaraszka — obóz dla naukowców; por. np. Szaraszka Mawrino, opisana przez Solżenicyna w powieści *Krąg pierwszy*.

jeść, warunki miał niezłe, prycza bez dziur, a i żon ze siedem lub osiem i wszystkie go uwielbiały. A dochód — daj Boże każdemu. Czego jeszcze potrzebuje człowiek radziecki? Szanowali go wszyscy — kryminaliści i polityczni. Myśleli, że był Żydem, tymczasem nazwisko Baumbach — to przypadek. Trafił do łagru z dowodem osobistym pewnego złodzieja, ale ten też ukradł komuś dokumenty. Teraz mogę to ujawnić. Naprawdę nazywał się Zinowiew, za to go wsadzili. Rosyjski inteligent czystej krwi... Był prawdziwszym Zinowiewem niż ten od Kamieniewa i Trockiego. Ale ludzie myśleli, że skoro urolog, to na pewno Żyd...

— Może i racja...

— Rap, ja z nim do końca korespondowałem! Naturalnie, nie posyłał mi listów pocztą. Doradzał mi w skomplikowanych przypadkach. Mimo wszystko Berlin i Wiedeń to nie Wyższa Szkoła Medyczna w Saradowie, zwłaszcza, jeśli w niej się nie studiowało.

— Teraz wreszcie odpocznie.

— Na tamtym świecie? Jesteś pewien?

— Jeśli chodzi o niego — w stu procentach! Tylko mnie na tamtym świecie będzie gorzej niż tu.

— Może być gorzej?

— Może, przyjacielu. Zaraz ci udowodnię. Podaj mi ten tom we wspaniałej oprawie.

— Dante? A ja myślałem, że czytasz tylko partyjne referaty.

— Stul gębę! — Jakow Markowicz otworzył ciężką księgę i przeczytał: *W życia wędrówce, na połowie czasu/ Straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi/ W głębi ciemnego znalazłem się lasu.* — To „Piekło”. Poszukajmy dla mnie stosownego kręgu.

— A jaki ci najbardziej odpowiada? — uśmiechnął się Syzyf Antonowicz. Patrząc Rappoportowi przez ramię oglądał w książce drzeworyty.

— W tym sęk, że każdy. W każdym kręgu piekiel znalazłoby się dla mnie miejsce. Wchodzę, na przykład, do piekielnego przedsionka, gdzie siedzą dusze, którym na ziemi zło było równie obojętne jak dobro. Jak myślisz, mógłbym usiąść obok nich?

— Przypuśćmy...

— Chodźmy dalej. Schodzę niżej, do pierwszego kręgu, który z taką znajomością rzeczy opisał w ślad za Dantem nasz Aleksander Isajewicz. Siedzą tam dusze nie ochrzczone i cnotliwe, lecz niechrze-

przekład Edwarda Porębowicza.

ścijańskie. Pasuję do nich? Chyba tak, i to doskonale! Spójrz tylko, jakie tam siedzi doborowe towarzystwo: Sokrates, Platon, Seneka, Cicero. Karola Marksa, na szczęście, nie ma. Dante nie musiał go szanować. Nikt mu nie wciskał socjalizmu. Gdyby było inaczej, i ja bym się załapał. Ale obok wielkich filozofów? O nie! Zepchną mnie jeszcze niżej, w sam głąb piekielnego leja!

— A co jest jeszcze niżej?

— W kręgu drugim?

— Tam siedzą ludzie zmysłowi, rozpustni. Niezłe towarzyscho! Ja też lubię pogadać o seksie!

— Przesadzasz, Jasza, wyolbrzymiasz swoje wady!

— Nie wyolbrzymiam, Syzyfie! Ekstrapoluję! Mówiąc prościej, widzę przyszłość. Trzeci krąg to żarłocy i opilcy. Im mniej wolno mi jeść, tym bardziej mi się podobają. Krąg czwarty — skąpcy i rozrzutnicy. Cóż, nie jestem skąpcem, to pewne. Ale rozrzutnikiem i owszem, nie da się ukryć. Rozrzutnie wyzbywam się sam siebie, puszczam życie na wiatr. Krąg piąty — awanturnicy. Och, jaki ze mnie awanturnik! Gotów jestem pozostać w piątym kręgu.

— Zabawne — wycedził Syzyf Antonowicz.

— Idźmy dalej, bracie Wergiliuszu! Kto siedzi w kręgu piątym? Heretycy. Dusza się wprost raduje. Jest tam, nawiasem mówiąc, Epikur. Chętnie bym się napił z nim herbaty! Najlepiej zielonej — przeszedłem właśnie na zieloną, serce mniej dokucza. No, jeszcze niżej! Krąg siódmy: gwałtownicy wobec bliźnich — jar pierwszy. Najwłaściwsze miejsce dla dziennikarza z legitymacją partyjną. Jar drugi — gwałtownicy wobec siebie i własnego mienia. Mogę umieścić mój tyłek na dwóch stołkach razem. Zresztą jar trzeci też się nadaje — jestem gwałtownikiem wobec Boga, natury, sztuki!

— Fenomenalnie! — zarechotał Sahajdak. — Znakomity przekrój naszej wspaniałej rzeczywistości!

— Nie podniecaj się, pozwól, że skończę! Krąg ósmy: oszuści. Jar pierwszy: uwodziciele i alfonsi!

— Nie jesteś alfonsiem!

— No to sprawdź, poproś mnie o klucze do mieszkania! Drugi jar — pochlebcy. Trzeci jar: świętokupcy.

— A to co za jedni?

— Ci, którzy zachęcali bliźnich, by szli ku świetlanej przyszłości, chociaż sami nie mieli tam zamiaru iść. W czwartym jarze ósmego kręgu siedzą wróżbici, w piątym łapówkarze. A co, mam bezpłatnie pisać te łajdactwa? Szósty jar — obłudnicy. Tu nie zaprzeczysz, doskonale się nadają! Jar siódmy — złodzieje. Czyżbym był złodzie-

jem? Kradnę? Owszem, gdy piszę, że „zwycięstwo komunizmu jest nieuniknione”, kradnę ludziom resztki nadziei.

— Dość tego bicia się w piersi! Ludzie nie są tacy głupi.

— Ludzie — nie wiem, ale Dante głupi nie był! Więc fałszywych doradców umieścił jeszcze niżej — w jarze ósmym. W dziewiątym — szerzycieli waśni. Też znalazłoby się dla mnie miejsce. Jar dziesiąty — fałszerze metalu. Dante to wielki spadkobierca Ezopa! Diabli wiedzą, co miał na myśli. W każdym razie w dziesiątym jarze ósmego kręgu cierpią fałszerze pieniędzy, słów i ludzi! Można by tam spotkać cały Związek Dziennikarzy!

— A kto jest w kręgu dziewiątym?

— Dziewiąty krąg brzmi wprost fantastycznie, profesorze — siedzą tam zdrajcy przyjaciół.

— Przyjaciół — czyli czytelników „Prawdy Robotniczej”?

— No właśnie. Jak ci się to podoba? — Rappoport spojrzał dumnie na Syzyfa, tak jakby sam napisał *Boską komedię*. No więc tak: pierwsze koło dziewiątego kręgu to zdrajcy krewnych, drugie — zdrajcy ojczyzny i stronnictw, trzeci — zdrajcy przyjaciół i własnych gości, czwarty — zdrajcy dobroczyńców.

— Ale ty, Jasza, nigdy nie byłeś suką!

— Skąd wiesz, kto był, a kto nie? No więc tak... A najniżej, w samym środku ziemi, tkwią zdrajcy majestatu, boskiego i ludzkiego. Naturalnie, że pójdę do kręgu, który wskaże mi partia, ale lepiej do dziewiątego. A w ogóle, to dla mnie za mało tych kręgów, Syzyfie. Dante był naiwny, nie żył w XX wieku. Potrzebny mi dziesiąty krąg; Dante nie przewidział, że na niego zasłużę.

— Przesadzasz!

— Gdzie tam! W dziesiątym kręgu siedzą deprawatorzy nie jednostek, a narodów, może nawet całej ludzkości. Widzę tam Lenina, Stalina, Mao i pomniejszych kundelki, polityków, którym wolno wszystko, i ich dziennikarzy. Może i mnie ktoś ustąpi miejsca w piekielnym kotle? Całe życie dla nich ujadalem. I wiem, jaką dostanę karę: czytanie na głos moich własnych artykułów, od rana do wieczora, przez całą wieczność. Może każą mi pisać referaty dla Lucyfera? Hasła — dajmy na to takie: „Diabły wszystkich krajów łączcie się!”, „Wszystkie drogi prowadzą do piekła!” A jeśli nie słyszeli tam jeszcze o subotnikach, pomogę! Byle tylko znaleźć dziesiąty krąg, właściwe miejsce dla mnie. Jak sądzisz, zaufają mi?

— Na pewno, Jasza...

— Jeśli zaufają, nie pójdę. Będzie to znaczyło, że znów chcą mnie oszukać, wycisnąć więcej niż dać!

— Z twoją uczciwością, Jasza, mógłbyś pomyśleć o skrusze. A wtedy miałbyś szansę dostać się do Raju!

— Dzięki, w Raju już żyłem i mam dość! O uczciwości myśleć za późno, a na cholere mi skrucha?

— Może i masz rację — zgodził się Sahajdak. Wyrazić skruchę, znaczyłoby napisać „Krağ drugi”, potem „Krağ trzeci” i tak dalej. Jeden człowiek nie da rady. Do tego potrzebny jest zespół zdrowych moralnie autorów. Ale skąd go wziąć?

Szyf Antonowicz zwałił się na tapczan i uniósł ręce w górę.

— Tylko do Piekła — powtarzał Jakow Markowicz — Może mam napisać podanie? „Proszę uprzejmie wydelegować mnie do dziesiątego kręgu piekieł...” I tak dalej.. Zresztą już coś podobnego przeżywałem...

— Kiedy? — ze strachem spytał Sahajdak.

— Jako młody chłopak, dzieciak prawie, prosiłem, żeby mnie wysłali do Hiszpanii. Marzyłem o światowej rewolucji. Matka już siedziała w łagrze. W imię światowej rewolucji wyrzekłem się własnej matki. Byłem przekonany, że zdradziła towarzysza Stalina.

Szyf Antonowicz wstał z tapczanu.

— No, Jasza, dość już tego. Nerwy mi wysiadły po pogrzebie Baumbacha. Pascal mówił, że istnieją dwa rodzaje ludzi: grzesznicy, którzy uważają się za sprawiedliwych, i sprawiedliwi, którzy sądzą, że są grzesznikami. Twoim samobiczowaniem udowadniasz, że należysz do drugiej kategorii. Zostaw Dantego w spokoju. Co cię do mnie przyniosło w samym środku nocy?

— Interes.

Nagle smukła ręka objęła Jakowa Markowicza. Nozdrza wyczuły subtelny aromat perfum. Złoty deszcz włosów zaszeleścił na jego twarzy przesłaniając gobeliny, drogocenne posążki i Szyfa Antonowicza. Do ust Rappoporta przywarł policzek — delikatna skóra, cudowny owal twarzy. Jakow Markowicz cmoknął weń dwukrotnie czując miękkie wydatne wargi obok swych ust i pocałował drugi policzek.

— Jak się masz, dziecino! — rzekł czule i objął niezgrabnie młodą kobietę. — Jeszcze nie śpisz?

— Właśnie się obudziła — wyjaśnił Szyf Antonowicz.

Ała pogłaskała Rappoporta po nie ogolonych policzkach i cicho przysiadła obok niego na egipskim pufie nie zapinając jaskrawego szlafroka, po którym spacerowały baśniowe żar-ptaki z długimi ogonami. Poły szlafroka zwisały jej po obu stronach bioder zakrywając buty Jakowa Markowicza nie czyszczone od minionej jesieni.

53. Ała

Żałosne okruchy informacji, jakie udało się nam zebrać.

Zawód: motylek.

Nazwisko i imię ojca: prosi, by zwracać się do niej po imieniu

Rok urodzenia: zmieniała pięć lub sześć razy i by nie dopuścić do możliwości ustalenia tych danych nigdy nie podaje nazwy miejscowości, w której przyszła na świat.

Narodowość: zawsze ta sama, jak u mężczyzny, z którym...

Pochodzenie społeczne: takie same jak narodowość.

Przynależność partyjna: pisze, że jest komsomolką.

Wykształcenie i uprawiane niegdyś zawody: studentka akademii medycznej, doktorantka na wydziale filozofii, solistka baletu w teatrze operetki, modelka, pielęgniarka (zależnie od sytuacji). Czy ma na swym koncie jakieś wynalazki? Owszem, wykorzystuje je w codziennej pracy.

Językami obcymi nie włada. Ojczystym również.

Książeczki pracy nie posiada.

Nagrody państwowe: na razie nie otrzymała.

Stosunek do służby wojskowej: nader życzliwy!

Dowód osobisty zgubiła. Posługuje się dokumentami koleżanki.

Adres: nigdzie nie zamieszkuje stale.

ŻYWOT ŚWIĘTEJ AŁY

A gdy wyłoniła się z morskiej piany nie wiadomo kiedy, Głos z góry obwieścił:

— Piękna będzie tak, że oczu nie da się od niej oderwać, zdrowa jak ryba, a jej cel na ziemi — dawać mężczyznom radość.

Rosła niczym kwiat polny, nie wiedząc co to krzywica ani angina. A gdy dorosła, nie używała żadnych kosmetyków, nawet z importu. Wkrótce osiągnęła wiek, w którym mogła realizować swe powołanie i odtąd czas się dla niej zatrzymał. Żyła w oczekiwaniu na spokój i szczęście, a wokół niej dźwięczały anielskie głosy.

I spotkała na Srietience koło kina „Uran” anioła ziemskiego nazwiskiem Sahajdak — właśnie była amnestia i wypuszczono go na wolność. Poszli razem do kina na komedię „Wiosna” (bilety kupiła Ała) i zaczęli żyć jak Mąż z Żoną.

Krążyły, co prawda, po Moskwie plotki, że zanim do tego doszło, Ała dorabiała na dworcu Kazańskim z oficerami, a potem awansowała do restauracji „Centralna”. W środowisku aktorskim znano ją jako Alkę z lusterkiem, ponieważ lubiła oglądać w lustrze pewne sytuacje. Zresztą może nic takiego nigdy się nie działo.

Tłumy pacjentów waliły do Sahajdaka, lecz przepisywane im zastrzyki, nie mówiąc już o wywarze z żeń-szenia lub wyciągu z jelenich rogów — pantokrynu, nie zawsze skutkowały. Spostrzegawczy Syzyf Antonowicz wkrótce zauważył, że zastrzyki oddziaływały znacznie skuteczniej, gdy robi je nie on, lecz pielęgniarka. Nieprzeciętny analityk, znakomity uczeń Wielkiego Zeka Baumbacha wyczuł, że lada chwila dokona Odkrycia Stulecia.

I oto pewnego razu, gdy Ała z miłym uśmiechem natarła pacjentowi skórę watką ze spirytusem, by wstrzyknąć mu sinestrol, generalny impotentolog cichcem zamienił strzykawkę (zamiast sinestrolu dając zwykłą glukozę) i wyszedł z pokoju, oświadczając, że wróci za pół godziny. Ani Ała, ani Syzyf Antonowicz nie domyślali się wtedy, że w gabinecie pod postacią Pacjenta zjawiała się pozaziemską istotą, by pozwolić młodej damie spełniać odtąd jej przeznaczenie. Cud się stał, Pacjent odzyskał upragnioną potencję. Ała zaś poznała swoje możliwości. Wkrótce doktor Sahajdak opracował specjalną, supertajną kurację.

Zgodnie z planem etap A — czyli cykl zastrzyków — doktor przeprowadzał sam. Etap drugi kuracji zaczynał się od wytworzenia sytuacji lawmejkowej.*

Gdy Pacjent się podnieca, doktor znika. Chory siada na tapczanie i widzi stos fotografii. Zaczyna oglądać wspaniałe pejzaże, a na ich tle uroczego Motylka, co wprowadza go w stan podniecenia i niecierpliwości.

W tym momencie do gabinetu przyfruwa Motylek, niby to przypadkiem, szukając kwiatka, na którym można by usiąć, napić się słodkiego nektaru. Nie nosi białego fartucha, lecz mini-spódniczkę i przezroczystą bluzkę z ogromnym dekoltem.

Pacjent patrzy na fotografię, a potem na Motylka i dostrzega podobieństwo oraz różnice. Różnice polegają na ilości szmatek, jakie ma na sobie Motylek i dziewczę z fotografii. Rozbudza to u pacjenta zamiar tzw. sekspoznania. Z uśmiechem nr 2 stopniowo przechodzącym w nr 3, Ała wytwarza atmosferę sympatii, wzmacnianą przez naukowo dozowane spożycie alkoholu. Profesor Sahajdak, stojący w

* termin profesora Sahajdaka

tym czasie przy desce rozdzielczej, włącza cichą muzykę i obniża oświetlenie pokoju o 74,3 proc. Przy reszcie światła następuje etap C.

W pokoju jest ciemno, lecz nie aż tak, by nie było widać urody Ałły. Dziewczyna rozkochanym wzrokiem patrzy na Pacjenta ostrożnie dotykając boskimi paluszkami stref erogennych, oznaczonych strzałkami na wykresach. Gdy poziom lawmejkowy zostanie osiągnięty, na dany przez profesora znak Ałła przenosi Pacjenta do łazienki lub zostawia go na tapczanie. W ciężkich wypadkach zgodnie z punktem D stosuje masaż telepatyczny organów, za pomocą hipnozy pobudza instynkty lub stosuje inne sposoby, znane jej jako kobiecie i profesjonalistce. Jeśli z jakiegoś powodu wciąż nie udaje się Ałle osiągnąć pozytywnych efektów, przechodzi do masażu fizycznego. Z początku wykorzystywana jest w tym celu aparatura. Jeśli i to nie pomaga, Ałła wprowadza oddziaływanie osobiste, a wówczas rywalizować z nią trudno. Nie przypadkiem, na prośby wielu pacjentów, generalny impotentolog nadał Ałle zaszczytny tytuł Najlepszej mineciary Związku Radzieckiego.

Po wykonaniu ściśle z metodologią medycznych wskazań A, B, C i D, seans kończy pomyślnie etap E. Ałła kocha wszystkich pierwszą miłością i dla każdego klienta jest uosobieniem niewinności i czystości.

Ma ona w zapasie (i nosi ze sobą odwiedzając pacjentów) jedną tylko pomoc naukową, oznaczoną w instrukcji jako ZDW — Zbiornik Dodatkowych Wrażień. W walizeczce z dziurkami siedzi piesek imieniem Kicia. Kicię kształciła osobiście, wytwarzając u zwierzątka odruchy warunkowe, sama Metodyczka. Rezultaty działalności Kici, przed powierzeniem jej pacjentów, sprawdził profesor Sahajdak na samym sobie.

— Ach, ty lizusko! — zawołał.

W nigdy nie wygłoszonym przemówieniu profesor Sahajdak oznajmia:

— Moje fundamentalne badania pozwalają Metodyczce dokonać procesu deimpotentyzacji tak, że podnieci nawet nieboszczyka, jeśli, naturalnie, pozostało po nim coś więcej niż szkielet.*

*Gdy powieść już została napisana, dowiedzieliśmy się o nowej, sensacyjnej hipotezie profesora Sahajdaka. Ałła może pomagać pacjentom nawet w stanie nieważkości, gdzie w celu podniesienia jakiegoś organu (na przykład, ręki) nie trzeba przewycięzać przyciągania ziemskiego. Praktyczny sprawdzian nowego programu prof. Sahajdaka będzie możliwy, gdy Metodyczka poleci wraz z pacjentem na radziecką orbitalną stację kosmiczną.

Naruszenie zasad metodologicznych następuje zazwyczaj pod koniec kuracji, gdy kierownik naukowy przerzuca Metodyczkę na inny obiekt. Ała podaje wówczas pacjentowi kartkę, na której widnieją słowa: „Jest pan całkowicie wyleczony, proszę kochać inne kobiety! Życzę sukcesów w pracy i życiu osobistym dla dobra ludu pracującego miast i wsi!”

Eks-pacjent nie chce kochać innych kobiet, ponieważ, jak sądzi doktor Sahajdak, inne nie osiągnęły jeszcze lawmejkowego poziomu jego Metodyczki. Domaga się, by przedłużyć leczenie na etapie E i Syzyf Antonowicz musi interweniować osobiście.

— Na razie nie można — wyjaśnia dostojnym pacjentom. — Gdy wejdzie w życie program KPZR o harmonijnym rozwoju ludzkości, wtedy owszem... Będzie to etap zakończenia budownictwa komunizmu, lecz kiedy to nastąpi — pan wie lepiej. Ja ze swej strony zabiegam o to, by doskonały, komunistyczny poziom obsługi klienta wprowadzać i doskonalić już dzisiaj. Niestety, na razie obejmuje on tylko szczególnie zasłużonych. Mamy tu jakby tajne biuro przydziału seksualnych rozkoszy. To nie moja wina: otrzymaliśmy właśnie polecenie, by przerzucić Metodyczkę do obsługi towarzysza... — W tym momencie generalny impotentolog robił wymowną pauzę i mocno ścisnął prawicę swego eks-pacjenta.

W intensywnym rozkładzie zajęć Ały jest też kilka minut na odpoczynek lub ideologiczne samokształcenie; jej obowiązkiem jest przecież duchowa bliskość z pacjentem. Najchętniej Ała czyta gazety, gdy jest w nich mowa o burzy oklasków, jakimi witają zebrani jej najlepszych pacjentów. Wszystkich nazywa w myślach po imieniu: Nik, Witia, Andriusza, Misza, Kola, Lonia i tak dalej. Dla każdego była niezastąpiona. Jedno z tych imion wspomina ze szczególną czułością — zwłaszcza, że do tej pory nie udało się jej tego pacjenta wyleczyć.

Odpowiedzialnych towarzyszy Ała pociąga tak mocno może dlatego jeszcze, że jest głuchoniema. Chyba Bóg zrządził tak specjalnie: niech Politbiuro pozna Kobietę Idealną, która nie rozpowiada innym, co usłyszała. Głuchota sprzyjała wypracowaniu innych metod porozumiewawczych — za pomocą rąk, ust, nóg i niektórych innych części jej Pięknego Ciała. Życzenia swego szefa i klientów dziewczyna czytała z ust, w skrajnych przypadkach porozumiewając się językiem migowym.

Niegdyś Syzyf Antonowicz trzymał całą grupę ładniutek kom-somolek, obsługujących zbiorowo wielkich i mądrych pacjentów. Ała była od nich znacznie lepsza, w dodatku tańsza.

Motylek stale doskonalili swoją wiedzę, wzbogaca doświadczenie, nigdy nie poprzestaje na tym, co osiągnie. Dewiza Ałły brzmi następująco: „Dziś muszę dawać lepiej niż wczoraj, jutro — lepiej niż dziś.”

— Nigdy nie chałturzy — pochwalił ją kiedyś w rozmowie z Rappoportem Syzyf Antonowicz. — Szalenie pracowita! Nie oszczędza się dla naszej komunistycznej partii!

I rzeczywiście, przez długie lata wspólnego życia tylko raz, po trudnym dniu roboczym, Ałła poskarżyła się Syzyfowi Antonowiczowi:

— Miałam do czynienia z takimi mężczyznami, jakich nie zniosłaby żadna kobieta na świecie! Jestem święta. A w ogóle, to obywatele Kraju Rad mają prawo do odpoczynku!

Sahajdak tak się zdumiał, że nazajutrz, wykorzystawszy swoje znajomości, wysłał żonę do sanatorium Rady Ministrów ZSRR.

54. Kieliszek herbaty

Syzyf Antonowicz dotknął ramienia Ałły.

— No, dziecinko, dość lenistwa. Zrób nam herbaty, a my pogadamy.

Ałła z uśmiechem skinęła głową, wstała, niedbałym, uroczym gestem zarzuciła za plecy swoje wspaniałe włosy. Poły szlafroka zasłoniły cudownie piękne nogi; za to podniósł się szeroki, cienki rękaw, obnażając po ramiona łabędzią rękę. Spójrzcie, jaka jestem i podziwiajcie! Zapamiętujcie, zabierzcie ze sobą wspomnienie, myślcie o mnie w marzeniach sennych. Jestem królową, a wy — niewolnikami! Wszyscy mężczyźni są moi, zrobią wszystko, co zechcę. A ja od was nie potrzebuję nic. Żyję w innym, niedostępnym dla was świecie. Słyszę jak jeden obłok ociera się o drugi, oglądam kolorowe sny. Znam was na wskroś.

Pieszczotliwie powiodła ręką koło ust Jakowa Markowicza i wyszła z pokoju. Rappoport poczul przez chwilę nieuchwytny aromat, coś dalekiego, zapomnianego zakołysało się, zaniepokoiło, opadło i zgasło.

— Czego chcesz, zeku? — spytał Sahajdak.

— Hmm... Trzeba pomóc Makarcewowi.

— Aj-aj-aj! Złapał trypra?

— Nie.

— Naganiacz mu się zacina? Oni wszyscy boją się nie chorób, lecz rejestracji w speklinice. Biuro Polityczne uwielbia wściubiać nos w karty chorobowe swych pracowników.

- To wyjątkowa sprawa.
- Wyjątkowa? Jeśli chcesz mnie namówić, żebym go leczył, to niepotrzebnie się fatygowalesz! Twój Makarcew jest tylko zastępcą członka KC. Alła nie zadaje się z tak niską rangą. Niech jak najprędzej wciśnie się do KC.
- Zobaczysz, jeszcze będzie zastępcą członka Politbiura!
- Makarcew? Z jego podejrzliwością? Jak mawiał prezydent Kennedy — bez komentarzy. Jeśli Makarcew jeszcze awansuje, to chyba tylko na kandydata do usunięcia prostaty.
- Stary, błagam! — zawołał Rappoport. — Zmień kierunek swoich myśli! Makarcew miał zawał i leży w szpitalu.
- Ach tak! Za wysoko skakał?
- A jego syn po pijanemu potracił dwóch przechodniów. Jeśli pójdzie pod sąd, dadzą mu piętnaście lat.
- Zabił? Syn aparaczyka? A niech sobie siedzi od dzwonka do dzwonka! Nawet mnie nie proś!
- Ale w zasadzie... W zasadzie chyba mógłbyś? Choćby dlatego, że prawo w naszym kraju nie istnieje.
- Nie istnieje? Wprost przeciwnie, mamy za dużo przepisów prawnych. Jedne są dla mas, inne dla wierchuszki, trzecie dla lokai, czwarte dla cudzoziemców, piąte...
- Więc mógłbyś... W takim razie zrób to. Nie dla Makarcewa, dla mnie.
- Przecież on wyciska cię jak cytrynę! Tyrasz, a on zbiera kapitał. Murzynom na plantacjach żyło się lepiej!
- No i co z tego? Zresztą w naszym wieku trzeba już myśleć o Bogu. Pomóż!
- Makarcew jest twoim Bogiem? No dobra, pies z wami tańcował... Tylko ze względu na naszą przyjaźń, stary! — Syzyf Antonowicz splunął poirytowany, a suczka spojrzała na swego pana z niepokojem.
- No dobrze, ze względu na przyjaźń. Ale i tobie Makarcew może się przydać...
- Do czego?
- Nie chciałbyś otrzymać nagrody leninowskiej?
- Na cholerę mi to? I po co mi Makarcew? Wydrukuję notkę o bohaterskim wyczynie profesora Sahajdaka? Mnie reklama nie jest potrzebna. Jeśli zechcę otrzymać nagrodę leninowską, znajdę właściwego faceta, żeby mu leczyć prostatę. Gdybym tak mógł wydrukować artykuł o moim nowym odkryciu! Ale nic z tego...
- O jakim odkryciu?

— Sformułowałem prawo Sahajdaka: u wysokich partyjnych aparatczyków impotencja seksualna i impotencja polityczna to system naczyń połączonych. Pierwsza pociąga za sobą drugą.

— Faktycznie? — uniósł nie strzyżone brwi Rappoport. — Odkryłeś coś takiego?

— Owszem, odkryłem! A któż inny! Za takie prawo mógłbym dostać Nobla. Przygotowałem już metodę leczenia, nie mogę jej tylko sprawdzić doświadczalnie. Proponuję leczyć impotencję drogą rezygnacji z kariery politycznej. Ale nikt spośród tych, którym dawałem to do zrozumienia, nie chce rezygnować. Więc jak sprawdzę?

— Na królikach nie można?

— Niestety. Chyba nie dadzą mi Nobla.

Weszła bezszelestnie Ała z tacą. Na stole pojawiły się trzy ma-lutkie filiżanki z chińskiej porcelany, czajnik i cukiernica. Z czajnika płynął rozkoszny zapach. Ała znów usiadła obok mężczyzn.

— Mądra dziewczynka! — pochwalił Jakow Markowicz. — Och, jaka mądra!

— Zaraz ci naleję — rzekł Syzyf Antonowicz. — Rumianek świetnie działa na sen.

W milczeniu wypili po dwie filiżanki. Jakow Markowicz z podwójnym zadowoleniem, gdyż rozkoszował się widokiem siedzącej w pobliżu Ały. Skończył pić i wstał postępując.

— Koniec, moje dzieci! Jutro rano idę do roboty. Ty też się zmęczyłaś, dziecińo. Do zobaczenia, aniele!

Pocałował Ałę w jeden policzek, potem w drugi. A ona rzuciła mu się na szyję, przywarła do niego całym ciałem. Potem ruszył do drzwi. Suczka wstała niechętnie i powlokła się za nim. Syzyf Antonowicz podał przyjacielowi palto.

— Dziękuję, stary — Rappoport stuknął Syzyfa Antonowicza pięścią w brzuch. — Prawdziwy z ciebie przyjaciel...

— Dobra, dobra... Dziś był wyjątkowy dzień. Właściwie nie dziś, ale wczoraj. Czyż mogłem ci odmówić?

— Jaki dzień?

— 17 kwietnia! Urodziny moje i Chruszczowa.

— Wszystkiego najlepszego!

Rappoport otworzył drzwi. Sahajdak wyszedł w szlafroku na klatkę schodową, wsadził dłoń do skrzynki na listy. Wszyscy lokatorzy schodzili po pocztę na parter poza jednym tylko generalnym impotentologiem.

— Jeszcze na coś czekasz? — spytał Jakow Markowicz. — Bo ja,

były zek, mam wrażenie, że sam żyję w takiej skrzynce. Czasami ktoś ją otwiera: wówczas przez szczelinę oglądam świat. A potem znów siedzę w ciemnościach... Czytam gazety, które wpychają mi do skrzynki...

— Idź, wiesz gdzie? Idź już spać!

— Zrozumiałem — kiwnął Jakow Markowicz i powoli ruszył schodami w dół.

Ała posłała łóżko i położyła się. Pies spał w jej nogach popiskując we śnie. Sahajdak wziął prysznic, bez szlafroka wrócił do pokoju i rzucił się na łóżko. Ała wzięła z nocnego stolika słoik z pachnącym olejkiem, nałała sobie trochę olejku na dłoń i zrobiła Syzyfowi Antonowiczowi masaż. Zaczęła od nóg, skończyła na szyi. Z rzadka laskotała i całowała męża, a on krzywił się udając, że nie sprawia mu to przyjemności. Gdy doszła do szyi, z wysiłkiem przewróciła Syzyfa na brzuch, raz jeszcze polalała go olejkiem i znów przejechała się od szyi do nóg. Gdy procedura dobiegła końca, Sahajdak otworzył oczy. Ała położyła się obok niego na plecach, zamknęła oczy i czekała. Syzyf Antonowicz wziął olejek i teraz on rozcierał ciało żony.

Po masażu zasnęli zadowoleni z siebie i spali spokojnie, równo, długo.

55. Subotnik u Nadi

Nadia walczyła sama z sobą goniąc resztkami sił. Lecz za każdym razem okazywało się, że walka nie ma sensu i trzeba się poddać.

Wstawała rano, robiła kawę, doprowadzała twarz do porządku, biegła do fryzjera, żeby się uczesać lub położyć lakier na paznokcie, a potem do redakcji. Patrzyła na zegarek i myślała z dumą: już ponad godzinę nie pomyślałam o Iwlewie. A więc to mija. Wkrótce w ogóle o nim zapomnę, a gdy spotkam na korytarzu, pomyślę z uśmiechem: cóż w nim takiego? Na co mi był potrzebny? Zwyczajny mężczyzna, niechlujny, średniego wzrostu, a mnie podobają się wysocy. W dodatku egoista, jakich świat nie widział.

Spotykając Iwlewa na korytarzu, łaskawie kiwała głową na jego lakoniczne „Cześć!” i szybko przechodziła obok, tak jakby się gdzieś spieszyła. Wieczorem też była zajęta: sklepy, kina, przyjaciółki... Na uniwersytecie też trzeba się czasem pokazać: latem czekała Nadię obrona dyplomu.

Zmęczona zaglądała do pokoju ojca. Wracał do domu późno i

długo siedział za biurkiem, czytał, kładł się, znów wstawał, krążył po pokoju. Zaglądała do niego przed pójściem spać, całowała w lysiejącą głowę, pytała, czy nie spóźnił się rano na basen, gdyż zaspała i nie przygotowała mu kawy. Nie, nie spóźnił się. Kochał córkę, a po śmierci żony, uczucie to jeszcze bardziej się wzmoгло. Klepał Nadię po pupie, jakby była małym dzieckiem, i mówił: „No, to idź już! Ja jeszcze trochę się pokręcę...”

Nadia brała prysznic, smarowała twarz kremem, podziwiała swe ciało w lustrze (tyle dobra się marnuje!), wkładała piżamę, którą niedawno przyjaciel jej ojca przywiózł z Brukseli, rzucała na łóżko nie doczytany „Nowyj Mir”, wślizgiwała się pod kołdrę. Otwierała czasopismo, lecz nie czytała go, kładła na twarzy i wspominała miniony dzień, jego plusy i minusy. Była z siebie dumna — nigdy długo nie myślała o Iwlewie. A gdy kąpała się wieczorem, nawet nie wspominała, jak stali we dwoje ze Sławkiem pod prysznicem w nowosybirskim hotelu. Czyli wszystko przemija. Dzień niczym rok, a rok — niczym wieczność.

Podnosiła w górę czasopismo, usiłując zrozumieć jego treść, lecz po przeczytaniu kilku linijek czuła, że rozprasza się, zasypia, nie ma siły opędzać się przed snem. Gasiła światło i nagle stawał przed nią Wiaczesław. Nie, nic z tego! — przekonywała go. Lecz odepchnąć Sławka nie mogła, było to ponad jej siły.

Bała się poruszyć, żeby Iwlew nie zniknął. No, może pozwalała sobie trochę pofantazjować: był bardziej czuły i namiętny niż w rzeczywistości (tego pragnęła), a ona bardziej powściągliwa i chłodna (nigdy jej się to nie udawało). W dodatku mówił do niej nieustannie: słyszała mnóstwo chaotycznych słów, takich, jakie chciałaby usłyszeć, lecz których nigdy w rzeczywistości nie wypowiedział.

Potem milczał, a ona niemal słyszała, jak nad nią sapie i coraz szybciej oddycha. Kuliła się, podciągała kolana do podbródka, a ręce mimo woli pomagały mężczyźnie, zastępowały go. I zaczynała cichutko pojękiwać, tak, żeby nie usłyszał za ścianą ojciec. Odwracała się na plecy, pragnęła stać się cieniutka jak dywanik przed łóżkiem. Po kilku chwilach wracała do rzeczywistości. Z wdzięcznością całowała Iwlewa w szyję. A on unosił się na rękach, obrzucał ją władcym spojrzeniem i mówił: „Czas na mnie.”

Rano w redakcji siedziała na pół przytomna. Była pewna, że Iwlew jeszcze bardziej niż ona chciałby z nią się przespać. U mężczyzn pociąg płciowy przejawia się silniej. Milczy tylko dlatego, że nie mają gdzie się spotkać. W delegację służbową nikt go nie wysyła,

a Rappoport często odwiedza syna. A przecież gdyby się spotykali, szybko by im przeszło.

Któregoś dnia, w porze obiadowej, Nadia krążyła po stołówce z tacą w poszukiwaniu wolnego stolika. Dostrzegła Iwlewa, który siedział i jadł, chciała jak najprędzej przejść obok i usiąść gdzieś z boku, lecz on odsunął krzesło i zaprosił ją z ironiczną galanterią.

— Pomyje! — rzekł odstawiając talerz. — Wszystko rozkradają, żeby chociaż te resztki przygotowywali po ludzku.

— Jak chcesz, nakarmię cię kotletami... Wczoraj wieczorem usmażyłam. Mam też sos z adżyki i pomidory — pycha!

— Gdzie?

— U mnie w domu.

Oczy mu zapłonęły, lecz natychmiast zgasły.

— W domu? Brakowało tylko, żebym się nadział na twego papcia!

— Nie zaprosiłabym cię, gdyby był w domu. No jak, jedziemy? Kotlety czekają...

Iwlew z nienawiścią spojrział na kotlet wieprzowy, nadział go na widelec, obejrzał pod światło.

— Przezroczysty jak bańka mydlana.

— Moje kotlety są inne, rentgenem ich nie prześwietlisz.

Rzucił mięso na talerz.

— No to jazda!

— Pić nie będziemy, zjemy tylko kotlety z adżyką — mówiła mu do ucha, gdy jechali taksówką.

Wódka sprawiała Iwlewowi coraz mniej przyjemności. Podniecenie szybko wypierała apatia, a to go irytowało. Nadia zaś pragnęła, żeby uczucie było czyste, płynęło samo z siebie, bez niepotrzebnych dodatków.

Gdy zdejmował palto i rozglądał się po ogromnym mieszkaniu, Nadia pobiegła do kuchni, włączyła gaz, wrzuciła na patelnię kotlety.

— Wejdz! To mój pokój — wróciła, wskazała Iwlewowi drzwi i zaczęła zdejmować futro oraz botki. — Nie zdążyłam posłać łóżka... Chociaż dzisiaj, nawiasem mówiąc, jest 19 kwietnia, subotnik.

— No to do roboty!

Położyli się i wszystko potoczyło się dalej tak, jak w marzeniach sennych Nadi.

— O Boże, kotlety! — krzyknęła nagle z rozpaczą i pobiegła do kuchni.

Kłębił się tam gęsty dym. Z przepaszającym uśmiechem Nadia wniosła do pokoju patelnię. Potem ze spalonych na węgiel kotletów

wydłubywali to, co jeszcze ocalało w środku, smarowali chleb czerwoną adżyką i z apetytem pochłaniali. I znów wskoczyli pod kołdrę. Iwlewowi żal było Nadi i odrobinę także siebie. Była czuła, posłuszna, zmieszana. Tak jakby się domyślała, że w jego sercu nie ma dla niej miejsca. Rozumiał to, ale nie mógł jej pomóc.

— Mam wrażenie, że leżymy tak po raz ostatni. Zawsze sądzę, że to ostatni raz...

— To dobrze. Więc każdy następny raz jest jak prezent...

— Tak. Ale to okropne.

— Na odwrót, to wspaniałe. Inaczej byłoby potwornie nudno. Chce się z tobą żenić Sasza Kakabadze, gdy tylko wyjdzie ze szpitala.

— A ja chcę cię udusić — chwyciła Iwlewa za szyję i położyła się obok niego.

Uniosła się na rękach tak, że piersi stały się ostre, a potem rozplaszczyły się na jego piersiach. Osypała jego oczy pocałunkami.

— Chcę, żebyś oślepl i na nikogo prócz mnie nie patrzył!

— Tego chcą wszystkie kobiety. Powinny rodzić mężczyzn ślepych jak kocięta.

— Tak bardzo cię pragnę, że oszaleję!

— Połóż sobie na brzuchu mokry ręcznik, tak robią Włoszki.

— Ale ja jestem Rosjanką, mój kochany! Ja kładę na brzuch kartkę papieru.

— I co dalej?

— Piszę podanie do organizacji partyjnej: kochał mnie niepartyjnymi metodami. Podobno zgodnie z zasadą jogów kobieta wysiłkiem woli może ustrzec się ciąży.

— No to ćwicz silną wolę.

— Robiłam to! Tak długo, póki nie spotkałam ciebie.

Pobiegła do łazienki w szlafrocisku narzuconym na ramię. Wia-czesław podniósł się z tapczanu i chodził po pokoju, oglądając bibeloty z różnych krajów i jakieś buteleczki. Przymierzył stanik Nadi. Nie wracała, więc poszedł jej szukać.

W dużym mieszkaniu (dziś takich nie budują) z rzeźbionymi sufitami i oszklonymi matowo drzwiami znalazł bez trudu drogę. Boso poczłapał do salonu, otworzył jeszcze jedne drzwi — był tam gabinet, jaki teraz można oglądać chyba tylko w muzeum. Jedną ścianę, od podłogi do sufitu, wypełniały książki. Iwlew przespacerował się przed półkami — było tam mnóstwo wspaniałych albumów, stare encyklopedie, ociekające złotem woluminy sprzed stu laty. Stała tam drabinka — a na niej dwie książki, zdjęte lub nie

odłożone na miejsce. W obu wiersze, drukowane przedrewolucyjną czcionką. Iwlew nawet nie słyszał o takich poetach. W poprzek pokoju, wezłowiem do półek, stał wąski tapczanik — na półce, przy nim, popielniczka wypełniona niedopałkami, tranzystorowe radio, telefon. Przed oknem rozkraczyło się wielkie rzeźbione biurko na lwich łapach, zavalone książkami oraz angielskimi i niemieckimi czasopismami. Przewertował kilka. Kartki z przekładami włożone w czasopisma — pełny serwis. Psychologia, filozofia, psychiatria... Interesujący zestaw. A to? Nauki okultystyczne, jeśli Iwlew właściwie rozumie, telekineza, telepatia.

Dobre wychowanie nie pozwalało czytać porozrzucanych na biurku, pisanych ręcznie kartek. Oczy prześlizgnęły się i wydobyły z obfitości trzy grube tomy w czerwonej oprawie. Iwlew otworzył jeden z nich i przeczytał nadruk: „Ścisłe tajne.”

Nie mógł już powstrzymać ciekawości i zapoznał się z autorem oraz tytułem dzieła: W. G. Sirotkin, generał-major bezpieczeństwa. *Możliwości sterowania procesami myślowymi w walce ideologicznej. Rozprawa doktorska.* Chrząknął, chciał poczytać, lecz usłyszał kroki na korytarzu. Szybko zamknął maszynopis i ruszył do drzwi, lecz te otworzyły się same.

— Chyba przeszkodziłem...

W progu stał barczysty sześćdziesięcioletni mężczyzna w szarum garniturze. Chciał wejść, lecz spieszył się na widok obnażonego Sławka. Przez jakiś czas obaj milczeli skonsternowani. Przyglądali się tylko sobie nawzajem. Wreszcie mężczyzna spytał:

— Mógłby mi pan wyjaśnić, co to wszystko znaczy?

— Może wpierw się ubiorę — odpowiedział z godnością Wiaczesław.

— Chyba tak. Gdzie jest, u diabła, moja córka?

— W łazience... Z koleżanką — skłamał bez zmrużenia oka Iwlew, bokiem przechodząc przez korytarz do pokoju Nadi.

— Z jaką koleżanką?

— Ze swoją. To znaczy z moją. Przepraszam!

Tylko tego brakowało! Iwlew wpadł do pokoju Nadi, złapał ubranie i pobiegł do łazienki.

— Twój ojciec!

— Gdzie? — Źrenice dziewczyny rozszerzyły się. — Nigdy jeszcze nie wracał o takiej porze!

— Szybko, ubieraj się!

— Wiesz — wyszeptła Nadia. — Pewno zatelefonowała do niego sąsiadka. Schizofreniczka, emerytowany major. Kiedy zabrak-

nie soli i dzwonię do sąsiada, żeby pożyczyć, natychmiast zapala się u niej światło. Po śmierci mamy coraz częściej przychodzi do ojca, a mnie wciąż podgląda.

— Jasne. Zaraz się stąd wyniosę, jeśli się uda. Aha, przyszedłem tutaj z twoją koleżanką. Dlaczego nie mówiłaś, kim jest twój ojciec?

— Wszyscy wiedzą prócz ciebie. A co, nie ufałyś mi wtedy?

Wzruszył ramionami.

— Ohyda!

— Jak też tak sądzę. Ale to mój ojciec!

— A niepotrzebne gadanie u ciebie w domu?

— Na odwrót, głuptasie! Jeśli przyjdą tutaj, to na samym końcu.

— Tatuś nie pozwoli cię skrzywdzić.

Przytuliła się do niego i przez chwilę milczeli.

— Jest dobrym ojcem — powiedziała Nadia. — Kocha mnie, daje mi pieniądze. Nie powinnam brać, lecz brak mi charakteru. Pogardzasz mną? Zapnij mi stanik!

Sławek pogłaskał Nadię po głowie i wyjrzał na korytarz. Nie było tam nikogo, więc szybko się ulotnił.

A Nadia poszła do kuchni.— To ty? — udała zdumienie na widok ojca.

Trzaskał pokrywkami garnków.

— Przyjechałem zjeść kotlety, które wczoraj smażyłaś. A gdzie twoja koleżanka z tym nudystą?

— Poszli sobie.

— Tak też myślałem. Nawet się sobie nie przedstawiliśmy.

— Nie żartuj! — powiedziała oschle Nadia. — Oni nie mają się gdzie spotykać.

Ojciec patrzył na nią bacznie, pełen wahania: nakrzyczeć czy przemilczeć? Nagle poczuł, że boi się córki... Nie, do tego nie dopuści.

— Powinni się pobrać — powiedział — wtedy będą mieli gdzie.

— Powiem im to.

— A gdzie kotlety?

— Wybacz, ale zjedliśmy.

— No tak, rozumiem, pewno za moje zdrowie. Wiesz co, moja panno? Dawno powinniśmy porozmawiać. Wciąż odkładałem, ale teraz mam powód. Co prawda, czasu zostało mi niewiele...

— O czym chcesz rozmawiać, tato?

— Prowadzisz tajemnicze, niezrozumiałe życie...

— Ja?! Zawsze jestem na widoku. Po prostu nigdy o nic nie pytasz. To u ciebie wszystko jest ściśle tajne.

— Wiesz, gdzie pracuję, więc o czym tu gadać!
— Dobrze, nie gadajmy. Ale to ty zacząłeś!
— Zacząłem, bo jesteś moją córką. Chcę znać twoje życie.
— Nawet jako ojciec nie przestajesz być kagebistą, tatko. Chcesz wiedzieć wszystko o innych. A o tobie nikt nie ma prawa nic wiedzieć, nawet własna córka!

— Jestem czekistą, moja kochana.

— Wiem, tatusiu! Słyszę to od dwudziestu lat... Ale teraz oboje jesteśmy dorośli, a mamy, która nas godziła, nie ma już na świecie. Nawiasem mówiąc, prosiła mnie, żebym o ciebie dbała. Zróbmy tak: jeśli chcesz coś wiedzieć o mnie, mów mi również o sobie! Bo jak nie, to nie...

— Ktoś cię nakręca, moje dziecko...

— Nic podobnego, bądź spokojny.

— A co mówią o naszej firmie w redakcji?

— Chcesz, żebym składała ci donosy?

— Nasłuchwałaś się bzdur! Ale nawet jeśli tak nie myślisz, powinnaś być bardziej tolerancyjna.

— Nie wiem, co mówią o twojej firmie inni, ja opowiadam wszystkim, że w gabinecie twojego szefa wisi portret Puszkina.

— Dlaczego? — uśmiechnął się krzywo generał Sirotkin.

— Bo mówił o „Szlachetnych porywach duszy.”*

— Słyszałem — zaśmiał się. — Ale to kiepski dowcip. Nie zajmujemy się porywami duszy, brak nam na to czasu.

— Robicie wszystko, by ludzie przestali myśleć!

— Fe, Nadiu — skrzywił się generał Sirotkin. — Nie jesteś już dzieckiem. We wszystkich krajach świata istnieją organy represyjne. „Jesteśmy zbrojnym ramieniem partii” — powiedział Mienżyński. Mnie osobiście twoi myśliciele nie przeszkadzają. Ale władza kieruje się określonymi zasadami. Społeczeństwo nie może istnieć bez dyscypliny. Wrogowie tylko czyhają, byśmy się skłócili. Musimy być monolityczni. Sącząca się przez szczelinę woda potrafi rozsądzić gigantyczną tamę. Może doczekam czasów, kiedy nasza instytucja nie będzie musiała istnieć. Ale w tym celu potrzebna jest wysoka świadomość społeczna.

— Chcesz, by wszyscy stali się robotami...

— A twoim zdaniem to normalne, gdy awanturnicy i ignoranci

* gra słów. Po ros. *Duszi prekrasnyje porywy* można odczytywać również jako „duś szlachetne porywy”.

chcą pisać i mówić wszystko, co ślina na język przyniesie? Jeśli chcesz wiedzieć, nie czekać ich nie lubią, lecz społeczeństwo. To ono domaga się dla nich kary. Sołżenicyna, na przykład, musimy chronić przez okrągłą dobę. Niegłupi, a tego nie rozumie. Tymczasem jego krytycyzm potrzebny jest najwyżej kilku setkom neurotycznych inteligentów! Gdyby był użyteczny, dawno przetarłby sobie szlaki. Wiem sto razy więcej o okrucieństwach i niesprawiedliwości niż Sołżenicyn. Tylko że ja chronię nasz system, a on chce go zburzyć. Ja służę narodowi, a on komu? Jeden człowiek jest mądrzejszy niż partia z cztertnastoma milionami członków? Kto mu uwierzy?

— Ci, których prześladujesz!

— Jeśli nie chcesz przestrzegać obowiązujących zasad, miej pretensje do siebie samej. Takich też próbujemy wychowywać, choć nie zawsze z dobrym skutkiem.

— Zwłaszcza twój Stalin dobrze wychowywał!

— Stalin nie jest mój, Nadiu. To właśnie Stalin był awanturnikiem, w dodatku niebezpiecznym — skupił w swoich rękach zbyt wiele władzy. Gdyby dać nieograniczoną władzę Sołżenicynowi, jeszcze nie wiadomo, jak by rządził. Wszyscy dzisiejsi obrońcy praw człowieka, jeśli pozwolić im na legalną działalność, zaczną rwać się do władzy. Nasze prawo jest humanitarne, lecz do czegoś takiego nie można dopuścić.

— A obecny sekretarz generalny?

— Ten realizuje wolę partii. Cokolwiek postanowimy, zawsze podpisuje. Zrozum mnie właściwie — nie dlatego, że dbamy o bezpieczeństwo państwa, tamte czasy dawno minęły. Jesteśmy silni, gdyż reprezentujemy średnie ogniwo partii. To my decydujemy, co Politbiuro winno wiedzieć, a czego nie. Musieliśmy obalić Chruszczowa, bo za daleko się posunął. Pozbawimy władzy każdego, kto nam przeszkodzi, bo wyrażamy wolę narodu. Zrozumiałaś?

— A jakże!

— Cóż, jeśli rozumiałaś, to powiedz teraz coś o sobie... Chciałaś, więc wszystko ci opowiedziałem. Jak nazywa się nasz gość?

— Na co ci to?

— Czy ojciec nie ma prawa wiedzieć, z kim spotyka się jego córka?

— To Kulikow. Andriej Aleksandrowicz.

— Kolega z pracy?

— Nie, jest inżynierem, pracuje w jakimś utajnionym biurze, więc nie pytałam.

- Chyba znam skądś tę twarz...
- Bardzo zwyczajna... Jak wiele innych. Sama czasami go z kimś myślę... Wiesz co, tatusiu? Niech ci nie przyjdzie do głowy go śledzić, sprawdzać albo coś w tym stylu. Jeśli się o czymś takim dowiem, wyprowadzę się z domu.
- Jak to, wyprowadzisz się? Co ty pleciesz?
- To, co słyszałeś.
- Ale dokąd?
- Wyprowadzę się... I nie znajdziesz mnie!

56. Wasilij Sirotkin

Pieczęć: Ściśle tajne specjalnego znaczenia

Ankieta specjalna dla kadr kierowniczych Komitetu Bezpieczeństwa Państwa przy Radzie Ministrów ZSRR.

Ranga: generał-major bezpieczeństwa państwa.

Stanowisko: naczelnik 5 Głównego Zarządu, członek kolegium Komitetu Dla potrzeb służbowych posługuje się też nazwiskami: Siewierow Gordiej Wasiliewicz oraz Gordiejew N. N.

Urodzony 3 października 1910 roku w Tule.

Narodowość rosyjska. Ojciec, matka, dziadkowie — Rosjanie.

Pochodzenie społeczne. Ojciec robotnik, matka chłopka.

Członek KPZR od 1929 roku. Nr legitymacji partyjnej 00010907.

Uprzednio do partii nie należał, nie opuszczał jej szeregów, nagan partyjnych nie miał.

Wykształcenie wyższe. Ukończył z wyróżnieniem Akademię KGB.

Za granicą nigdy nie był.

Najbliżsi krewni: Córka Nadieżda (Dokładny spis krewnych, przyjaciół i znajomych, żywych lub zmarłych, z miejscem zamieszkania oraz pracy lub miejscem, gdzie są pochowani, w załączeniu).

Do organów partyjnych, sowieckich i innych nie był wybierany ze względu na specyfikę swej pracy.

Odznaczenia państwowe: order Lenina, order Czerwonego Sztandaru i Czerwonej Gwiazdy, liczne medale (informacje nie publikowane w prasie ogólnodostępnej).

Stosunek do służby wojskowej: nie podlega Ministerstwu Obrony.

Dowody osobiste na wymienione wyżej nazwiska. Wszystkie dokumenty oryginalne znajdują się w Centrum.

Adres: Moskwa, Zaulek Starokoniuszenny 19, m. 41. Tel. 241-41-14 (utajniony).

Wzrost 171 cm, oczy piwne, włosy siwe.

Stan zdrowia: zwapnienie naczyń pierwszego stopnia, objawy astmy. Praktycznie zdrowy. W ewidencji speclecznicy KGB.

KARIERA GENERAŁA

Wszystko, co generał-major Sirotkin w życiu osiągnął, zawdzięczał własnym zdolnościom. Jeśli coś mu się nie udało, to tylko dlatego, że przeszkodzili mu w tym ludzie bądź okoliczności.

Wasilij Gordiejewicz nie lubił wspominać dzieciństwa, a tym bardziej młodości. Niczym się w tamtych latach nie wyróżniał, był taki sam, jak inni. A już od dawna przywykł, że traktowany jest ze szczególnym szacunkiem, nawet wtedy, gdy nie nosi generalskiego mundurku. Przywykł mówić powoli, z godnością. To, co mówił, z miejsca uznawano za polecenia.

W chwilach szczerości z podwładnymi generał-major Sirotkin się zwierzał, że wszystko, co osiągnął, zawdzięcza swym przekonaniom, wierze w słuszność idei, której służy. Jednakże jego poglądy, choć sądził, że są niezniszczalne jak granit, doskonalily się z biegiem czasu. Za młodu Sirotkin dzielił ludzi na proletariuszy (czyli tych dobrych) i burżuazję (czyli wrogów). Sam należał, rzecz jasna, do dobrych. Młodzieńczy idealizm z czasem wyparł pragmatyzm, czyli wspinanie się po szczeblach kariery za pomocą „ideowości”.

Gdy wdrapał się na szczyt kariery, wprowadził inny podział: na swoich (czyli funkcjonariuszy organów bezpieczeństwa) oraz obcych. Poglądy (komunista — nie komunista) nie miały już szczególnego znaczenia. Dzisiaj jesteś komunistą, jutro zdrajcą ojczyzny. Lecz gdy pracujesz dla służb bezpieczeństwa, to już do końca życia. Zdrajcy ojczyzny noszą na sobie piętno hańby, a gdy wracają do kraju, idą na dziesięć lat za kratki. Zdrajców własnych KGB szuka po całym świecie, a odnalazwszy likwiduje bez sądu i śledztwa. Wierność ojczyźnie Sirotkin uważał za rzecz najważniejszą, lecz tak naprawdę określenie to identyfikował z wiernością organom bezpieczeństwa.

Awans na średni szczebel aparatu kierowniczego bardzo ucieszył Wasilija Gordiejewicza. Stało się to w okresie, gdy wpływy KGB nieco osłabły. Sirotkin mówił, że organy bezpieczeństwa są teraz potrzebne, by chronić państwo przed pogrobowcami Stalina, donosicielami, żądającymi, by wsadzać do łagru każdego, kto im nie przypadł do gustu. Partia kierując państwem popełniała mnóstwo błędów — mogli temu zapobiec tylko tacy ludzie, jak Wasilij Gordieje-

wicz, naturalnie, gdyby uzyskali władzę. Było to z wielu względów niemożliwe. Koledzy Sirotkina zaczęli zachęcać władze partyjne do połączenia sił z organami bezpieczeństwa; wówczas partia i KGB z pewnością będą silniejsze. A poglądy pomagają w realizacji zamierzeń — teoria zawsze wspiera praktykę. Wasilij Gordiejewicz wciąż czekał na swoją szansę, choć zdawał sobie sprawę, że jest ona coraz mniejsza.

Za granicą Sirotkin nie był nigdy. Gdy kierował wydziałem, bardzo się tym martwił, marzył o służbie wywiadowczej. Przeszkodą okazały się języki obce. Dwukrotnie chodził na kursy językowe, gdzie uczono świetnie, po czekistowsku, lecz on beznadziejnie włókł się w ogonie za innymi. Wymowę miał tak koszmarną, że surowi wykładowcy (niegdyś rezydenci wywiadu) kpili sobie z niego, toteż by nie tracić autorytetu musiał zrezygnować.

Ktoś mógłby pomyśleć, że skierowano Sirotkina do Urzędu Spraw Wewnętrznych, gdyż nie mógł pracować za granicą. Ale to nieprawda. Większość szefów służb wywiadowczych nie zna języków obcych. Był potrzebny w kraju, by zwalczać ideologię burżuazyjną. Miał duże doświadczenie pod tym względem. Po wojnie z jego inicjatywy w wielkich miastach montowano wywiezione z Niemiec zagłuszarki zagranicznych stacji radiowych. Dopiero później nauczano się produkować je w Rosji. Wasilij Gordiejewicz nie przeczuwał, że i nad nim gromadzą się chmury. Ucierpiał w dziwnych, niejasnych dla siebie samego okolicznościach.

— Gdzie Pietrow? Przyszedłem go aresztować.

— Właśnie udał się do waszego gabinetu, żeby zaaresztować was, towarzyszu!

Takie oto żarciki opowiadano sobie w tamtych czasach. Miejsce pobytu Sirotkina nie uległo zmianie. Nie wracał jedynie do domu. Zwieziono go tylko windą sześć pięter w dół, do celi. Nie bito, nie torturowano, nie przesłuchiowano. Był przecież człowiekiem KGB. „Zakonserwowali na krótko” — żartował później. Siedział w dobrych warunkach, czytał książki.

Nie można powiedzieć, że po zrehabilitowaniu opuścił Łubiankę. Gdy w pierwszej kolejności zwolniono z więzień funkcjonariuszy KGB, Wasilij Gordiejewicz wsiadł znów do windy i wrócił na górę do swego gabinetu. A stamtąd zatelefonował do domu. Nie wiedział, że żona się go wyrzekła: też pracowała w KGB, miała stopień kapitana. To, co zrobiła, Sirotkin uznał za rozsądne, nawet konieczne: ktoś musiał przecież dbać o dziecko. Żonę zwolniono ze służby

bezpieczeństwa, lecz znalazła sobie pracę i czekała na powrót męża. Gdy Wasilij Gordiejewicz zatelefonował do domu, słuchawkę podniosła Nadia. Alewtina Pietrowna, powitała męża czule. Przez miesiąc mała nazywała ojca wujkiem, potem znów do niego przywykła.

Córka urodziła się późno, gdy Wasilij Gordiejewicz zbliżał się do czterdziestki. A gdy podrosła, stracił żonę. Był troskliwym ojcem, choć nie miał zbyt wiele czasu. Niejedno dla Nadi poświęcił, a teraz dziewczyna ma własne życie, którego on, ojciec nie zna i się boi. Próbował chronić córkę, lecz sam tego nie dostrzegając, stawał się dla niej przykry, wszystko miał jej za złe. Sam siebie przekonywał, że jest surowy dla dobra Nadi, i nieustannie gderał. Śmierć żony mocno go zraniła. Natomiast swych podwładnych, w przeciwieństwie do córki, z biegiem lat traktował coraz łagodniej. Nie był, co prawda, łagodny wobec wrogów ideologicznych, ale oni w pewnym sensie nie byli ludźmi.

Przez wiele lat Wasilij Gordiejewicz kierował służbą BP*, osiągnął stanowisko zastępcy naczelnika. Jednak w 1969 roku, gdy w związku z groźbą fermentu po wydarzeniach w Czechosłowacji, powstał wyspecjalizowany Główny Urząd (piąty), generałowi Sirotkinowi powierzono funkcje, wypełniane niegdyś przez oddziały służby politycznej.

Sprawy, które przekazywano nowemu urzędowi, selekcyonowane były przez rejonowe, krajowe i republikańskie służby bezpieczeństwa. Aparat centralny wybierał najciekawsze i najważniejsze, resztę odsyłał do wyjaśnienia. Najtrudniejsze zadania, związane z zagranicą i szczególnie niebezpieczne dla państwa, Sirotkin powierzał naczelnikowi działu Szyroninowi. Był to człowiek niezbyt inteligentny, lecz staranny, metodyczny. Dział Szyronina zajmował się inwigilacją, podsłuchem, ujawnianiem podejrzanych adresów, zainteresowań i kontaktów obywateli o wrogich poglądach, słowem, nakrywaniem obserwowanych obiektów czapką.

Szyroninowi brakowało sprzętu i ludzi. Takie obiekty jak Solżenicyn wymagały więcej sił niż powstające co jakiś czas organizacje antysowieckie; szybkie aresztowanie ich członków pozwalało kierować kadry do udziału w następnej operacji. Szyronin nieraz proponował, by odizolować Solżenicyna od społeczeństwa. Sirotkin składał raport w tej sprawie samemu Kegelbanowowi. Ale Politbiu-

* Służba bezpieczeństwa politycznego — dział II Głównego Zarządu KGB, kontrolującego państwo za pośrednictwem wielostopniowej siatki informatorów.

ro prowadziło podwójną grę z Zachodem i sprawa zawisła w próżni. Mimo wszystko rząd i partia zdawały sobie sprawę, w jak trudnych warunkach pracuje 5-ty urząd; podrzucano więc na ten cel dodatkowe środki.

Sprawy w nowym urzędzie toczyły się wcale nie tak świetnie, jak pisano w sprawozdaniach dla Przewodniczącego KGB. Niezłe wyniki osiągał dział do walki z samizdatem, kierowany przez Judaniczewa. Samizdat wciąż istniał, choć konfiskowano tony nielegalnych wydawnictw, a ludzi, którzy je rozpowszechniali i czytali, starano się odnaleźć. Należało jak najprędzej skończyć z samizdatem. System profilaktycznych środków, nie pozwalających na ukazanie się jakichkolwiek informacji bez wiedzy Gławlitu przygotowano starannie, w uzgodnieniu z władzami partyjnymi i administracyjnymi. Na propozycję Sirotkina Rada Najwyższa zaakceptowała nowy przepis prawny; nielegalna pisanina była karana odtąd znacznie surowiej niż, dajmy na to, bezprawne przechowywanie broni palnej.

Samizdat stawiał jednak opór, wymykał się z rąk. Wasilij Gordiejewicz i bez tego spodziewał się nieprzyjemności. Gdy w Ministerstwie Obrony zaczęto masowo zwalniać niemłodych oficerów, Sirotkin obawiał się tego samego w resorcie bezpieczeństwa. To niesprawiedliwe zastępować doświadczonych czekistów żółtodziobami. Generał był absolutnie pewien, że stać go jeszcze na niejedno. Bez jego doświadczenia nie dadzą sobie rady. Zabrał się do pisania rozprawy doktorskiej — poszczególne rozdziały przygotowywali jego podwładni. Gdyby zawarte w niej myśli wcielono w życie, przyniosłoby to owocne skutki, uchroniłoby obóz socjalistyczny przed destruktywnym wpływem Zachodu i wpływem informacji poza granice kraju.

Książki Sirotkin zawsze traktował z szacunkiem, uważał je za źródło wiedzy. Chętnie czytał nie tylko instrukcje służbowe, lecz i skonfiskowane przez funkcjonariuszy oszczercze teksty samizdatu. Często zaglądał do księgarni pisarzy na Moście Kuznieckim, kupował spod lady dzieła dawnych poetów, czytał je wieczorami. Zainteresował się też literaturoznawstwem, zwłaszcza pracami z dziedziny stylistyki.

Zadziwiał Wasilija Gordiejewicza abstrakcyjny, absolutnie bezpartyjny charakter tych badań. Z jego punktu widzenia stylistyka mogłaby stać się nauką bardziej ścisłą — gdyby tak zaczęła badać sposoby rozpoznawania anonimowych autorów. Tą drogą pomogalaby partii w walce o leninowską, partyjną literaturę. Na razie jed-

nak wszystkie prace z tej dziedziny mówiły o stylu klasyków. Sirotkin wpadł na pomysł, by powołać w urzędzie specjalną grupę filologów-stylistów; opracowaliby oni precyzyjne kryteria oceny indywidualnego stylu. Wówczas każdy autor, choćby ukrywał się pod pseudonimem lub drukował tekst na niezewidencjonowanej maszynie, odnalazłby się bez trudu — niemal tak, jakby zostawił na kartce ślady palców. Na wydziale filologicznym Uniwersytetu Moskiewskiego przygotowywano już specjalną grupę studentów: po uzyskaniu dyplomu mieli pracować w służbie bezpieczeństwa.

Wasilij Gordiejewicz często wybiegał myślą poza potrzeby powierzonej mu placówki. Partia poleciła organom troszczyć się o ideową czystość szeregów ludu pracującego miast i wsi, tymczasem prasa partyjna zadań tych nie spełnia. Na odwrót — rozmija się z nimi, przeszkadza Komitetowi Bezpieczeństwa. Gdy trzeba było trochę postraszyć, dziennikarze pisali o demokracji. Gdy celowe było wychwalanie jedności — perorowali o różnych nurtach literatury partyjnej. Prasa dużo pisze o mądrości partii, lecz nie dba o autorytet urzędu, bez którego partia jest niczym. Zamiast szacunku wpaja ludziom strach. Chwali zagranicznych agentów wywiadu, wielbi żołnierzy pogranicza, a przecież najtrudniejsza jest praca funkcjonariuszy organów — wymaga bwiem taktu, męstwa i artyzmu. Ludzie nic nie wiedzą o tej zaszczytnej misji. A przecież szybciej wcielono by w życie program budowy nowego społeczeństwa, gdyby wszystkie środki informacji: prasę, radio, telewizję i kino powieńczyć organom bezpieczeństwa. Sam Lenin pisał, że gazeta to „podstawowa, najniezbędniejsza część naszych działań wojennych”. Słowa te generał-major Sirotkin cytował przy każdej okazji.

Wasilij Gordiejewicz, człowiek zorganizowany i taktowny, nawet odpoczywał w sposób zorganizowany. Przedstawicielowi takiego urzędu, człowiekowi na jego poziomie, nie wypadało inaczej. Odpoczynek uzgadniano zawczasu. W piątek wieczorem cztery lub sześć samochodów, nie licząc ochrony, wyruszało na tereny łowieckie. Tam czekali już na nich gajowi, służba rozpalala ogień w fińskiej łaźni, jedzenie przywożono z Moskwy. Skład towarzystwa zgodnie z tradycją był zawsze inny. Najczęściej jednak przyjeżdżali dwaj naczelnicy innych zarządów, ich zastępcy oraz zastępca Sirotkina. Tak też było ostatnim razem, w marcu.

Sirotkin znał się na polowaniu, a na broni myśliwskiej w szczególności. W specjalnej szafie miał kolekcję strzelb — ponad dwadzieścia. Kiepskiej broni się pozbywał, oddawał ją kolegom. Zresztą

lubił dawać — książki, pamiątki, kosztowne naczynia. Nieboszczka żona miała mu to za złe. Sobie zostawiał najlepsze strzelby z wygrawerowanym własnym nazwiskiem. Na polowanie brał dubeltówkę z optycznym celownikiem: otrzymał ją na 25-lecie Rewolucji Październikowej od Ławrentija Berii. Po tym, co stało się później z ofiarodawcą, jego nazwisko trzeba było ze strzelby usunąć, lecz reszta napisu pozostała jako symbol kariery. Ta broń nigdy nie zawodziła!

Strzelać bez pudła, nawet w półmroku, Sirotkin nauczył się za młodu, w wojskach NKWD. Był konwojentem na Północy, potem skierowano go do grupy poszukiwawczej. Ścigali zbiegłych zeków, strzelać należało bez pudła. Czasami, zgodnie z rozkazem, strzelano w nogi, podbrzusze lub plecy: ścigany umierał wtedy długo i w męczarniach. Ludzi takich spisywano na straty i zostawiano dogorywających w lesie. W grupach tych Wasilij Gordiejewicz służył pięć lat. Był naczelnikiem grupy ścigania, naczelnikiem łagru, potem pracował w rejonowym aparacie KGB. Nie należał do tych, co nagle niczym Filip z konopi przez protekcję wspinają się na szczyt.

Doświadczenie myśliwskie miał Sirotkin ogromne. Ale niedawno, w marcu 1969, strasznie się zblamował. Już od wieczora dla myśliwych przygotowano kolację i rozpalono w kominku. Wypili po kieliszku, słuchali muzyki Bacha. Zastępca Sirotkina, pułkownik Szyronin, bardzo lubił tego kompozytora. Pogoda była wiosenna, wilgotna. Gajowemu kazano wpuścić do pokoju psy. Żyjące w szopie zwierzęta były zaniedbane i cuchnęły. Szefowie resortu postanowili, że trzeba wprowadzić w gospodarstwie łowieckim etat psiarczyka. I rozeszli się po pokojach, pamiętając, że nazajutrz muszą wstać o świcie.

Łoś, którego mieli upolować, już został schwytyany i bez sukcesu bódl i gryzł ogrodzenie.

Nazajutrz rano włożyli japońskie sportowe spodnie i kurtki, zielone płaszcze z kapturami, kalosze, zawiesili strzelby lufami do ziemi, żeby nie wilgotniały, i ruszyli do lasu. Gajowi bez strzelb (w takich gospodarstwach nie wolno nosić broni) wypuścili łosia, wyłożyli dla niego w specjalnym miejscu sól i rozeszli się po lesie, by krzykiem przeszkadzić zwierzęciu, gdyby szło nie tam, gdzie trzeba. Zapytano dostojnych gości, czy nie uwiązać łosia na postronku, żeby było im wygodniej strzelać, ale odrzucili tę propozycję. Strzelać ze specjalnej wieży też nie chcieli: wszystko musiało być jak prawdziwe.

Nocą spadł młodziutki śnieg, a poranny wiatr pędził śnieżny pył ponad krzewami, przeszkadzając myśliwym wpatrywać się w dal. Łosia zobaczyli o świcie. Zaczęli strzelać, zranili go, ale on wciąż

się ruszał, zakrwawiony czołgał się po ziemi. Naboje, jak na złość, się skończyły, ostatni został w strzelbie Wasilija Gordiejewicza.

— No to — powiedzieli mu — pokaż, co umiesz!

General-major wystrzelił bez pośpiechu, a gdy okazało się, że celnie, wszyscy wyrazili podziw. Podeszli do łosia, ale on wciąż żył i choć nie mógł się poruszać, nie pozwalał gajowemu zbliżyć się do siebie, gdy ten chciał go zakłuć nożem. Sirotkin zmiażdżył zwierzęciu kręgosłup, ale dobić łosia nie było czym. Więc wysłano gajowego po naboje. Wasilij Gordiejewicz ubolewał nad niepowodzeniem, pomyślał, że chyba się starzeje. Towarzysze uspokajali go: zamieć zasypała śniegiem oczy, wilgoć uniemożliwiła celny strzał.

Łoś stracił dużo krwi i leżał bez ruchu spoglądając na myśliwych szklistym wzrokiem. Ale gdy załadowali strzelby i znów podeszli bliżej, zaczął się miotać, choć byłoby dla niego lepiej, gdyby wreszcie zdechł. Przebierającego kopytami łosia dobili czterema strzałami.

Ponieważ najsmaczniejsza u tej zwierzyny jest wątroba, kazano gajowemu wyciąć ją jeszcze gorącą; wszyscy chcieli spróbować dzieła swych rąk. Resztę tuszy myśliwi zostawili. Potem jegrzy zabrali ją na koniu. Sirotkin żałował, że Nadia nie chciała z nim pojechać. Byłoby mu przyjemnie mieć obok siebie córkę, a koledzy mieliby damskie towarzystwo. Lecz dziewczyna odmówiła kategorycznie.

57. Stenogram narady

Pieczęć: Ściśle tajne. Bez prawa wynoszenia z gabinetu

V Główny Zarząd KGB,

25 kwietnia 1969 roku

Porządek dnia:

1. Wskazania KC KPZR i zadania organów bezpieczeństwa w świetle przygotowań do stulecia urodzin Lenina.
2. O nowych metodach walki z rozpowszechnianiem informacji szkalujących sowiecki ustrój społeczny i państwowy.
3. Podsumowanie osiągnięć komunistycznego subotnika.

Obecni: general-major tow. Sirotkin (przewodniczący), zastępca kierownika działu organów administracyjnych KC KPZR tow. Szaptała, wiceminister sprawiedliwości ZSRR tow. Pluchow, zastępca prokuratora naczelnego ZSRR, tow. Wasinski, pułkownik tow. Sokołow, pułkownik tow. Szyronin, pułkownik tow. Judaniczew, podpułkownik tow. Koladniec.

SIROTKIN: Wszyscy już są? No to pozwólcie, towarzysze, zacząć. W tych dniach nasza partia, naród radziecki i postępowa ludzkość pragną godnie powitać setną rocznicę urodzin Włodzimierza Lenina, twórcy pierwszego w świecie państwa socjalistycznego. Jubileusz odbędzie się za rok.'

Inspirator i twórca organów bezpieczeństwa Lenin poświęcał wiele uwagi ich systematycznemu umacnianiu. Historia potwierdziła mądrość i przenikliwość genialnego wodza. Uchwała KC KPZR, dotycząca przygotowań do obchodów stuletniego jubileuszu urodzin Lenina, głosi... (w tym momencie generał cytuje stosowny fragment). Wytyczono nowe zadanie dla organów bezpieczeństwa, a w szczególności dla V Zarządu. Obowiązkiem wszystkich czekistów jest starać się wykonać to zadanie jak najlepiej. Mamy spis przedsięwzięć i wyznaczone osoby, odpowiedzialne za ich wykonanie. Część operacji zorganizujemy wspólnie z innymi urzędami i resortami, zgodnie z decyzją Kolegium Komitetu Państwa. Jakie to będą przedsięwzięcia, powie wam zastępca naczelnika V-go Zarządu pułkownik Sokołow.

SOKOŁOW: (wstaje, czyta)

SIROTKIN: Jeśli nie ma pytań, możemy przejść do drugiego punktu porządku dnia. Oddaję głos naczelnikowi wydziału, pułkownikowi Szyroninowi.

SZYRONIN: Do obowiązków naszego Wydziału, określonych przez władze Goskomitetu, należy...

SIROTKIN: (przerywa mu): Obowiązki naszego Wydziału znane są wszystkim tu obecnym. Proszę zapoznać towarzyszy z błędami, jakie popełniły czechosłowackie organy bezpieczeństwa, zanim wprowadziliśmy do tego kraju wojska państw Układu Warszawskiego i przedsięwzięliśmy stosowne środki.

SZYRONIN: Zrozumiałem, Wasiliju Gordiejewiczu. Wydarzenia czeskie przekonały nas, że nawet minimalne odstępstwo od leninowskich norm wewnątrzpartyjnej demokracji grozi niebezpieczeństwem. Ale my przewidzieliśmy rozwój wydarzeń w Czechosłowacji. Gdy tylko wśród reakcyjnej części inteligencji czeskiej zaczęło się gadanie o „komunizmie z ludzką twarzą”, zrozumieliśmy,

'Zestawienie tekstów pozwala dojść do wniosku, że przed naradą W.G. Sirotkin przestudiował wstępniak z „Prawdy Robotniczej” i teraz powtarzał jego treść. Tymczasem na liście honorariów do tego numeru gazety na wstępniaku niebieskim ołówkiem w poprzek tekstu wpisano nazwisko autora (J. M. Rappoport) oraz należną mu kwotę 35 rubli.

że pod tą maską kryją się ideologiczni dywersanci. Towarzyszom w Pradze polecono prowadzić kontrpropagandę. Ale nikt ich nie słuchał. Gdy w prasie czeskiej pojawiły się materiały, uprzednio krążące nielegalnie...

PLUCHOW: Czyli antyradzieckie?

SZYRONIN: Naturalnie! A także apele o „wolność słowa”, nasz urząd zgodnie z instrukcją tow. Kegelbanowa nawiązał bezpośrednią współpracę ze stosowną placówką w Pradze, ale im nie było spieszno zapobiegać niebezpieczeństwu, powoływali się na demokratyzację w świetle norm leninowskich. Wiedzieliśmy, że o każdym naszym przyjeździe do Pragi informowano Dubczeka. W szczególności, podczas jednej z takich wizyt w lipcu minionego roku, na miesiąc przed tym jak generał Sztemienko otrzymał rozkaz przerzucenia wojsk do Czechosłowacji, dowiedziawszy się, że pułkownik Sokołow jest w Pradze, Dubczek zapragnął się z nim spotkać. Zapewniał pułkownika, że nie ma podstaw do niepokoju. Ale w gazetach już pojawiały się artykuły o nacjonalistycznych treściach. Ich autorzy twierdzą, że suwerenności państwa jakoby zagraża nie Zachód, lecz Wschód.

SZAPTAŁA: My też czytamy gazety, towarzyszu Szyronin... (śmiech)

SZYRONIN: Mówiąc krótko, przedstawiliśmy władzom Goskomitetu szczegółowy referat, który omawiano w KC KPZR i tow. Kegelbanow polecił, by nasz urząd opracował system metod, które pozwoliłyby rejestrować niepokój w środowisku inteligencji, a także niezadowolone wśród niedojrzałej politycznie części klasy robotniczej.

WASINSKI: A chłopci?

SIROTKIN: Ideowo-polityczna świadomość chłopstwa nie budzi w zasadzie niepokoju. Istniejące tu i ówdzie odchylenia likwidują okręgowe i krajowe urzędy Goskomitetu własnym wysiłkiem. Na razie otrzymaliśmy polecenie, by nie robić w tej kwestii uogólnień.

SZAPTAŁA: Mam nadzieję, że się dowiemy, jakie to metody prewencyjne?

SIROTKIN: Naturalnie. Po to zwołaliśmy naradę. Należy krytycznie stwierdzić, że służby, od których przejęliśmy akta spraw, mocno zaniedbały swoją pracę. W efekcie mamy do czynienia z brakiem nadzoru w sferze nauki, literatury, sztuki, a co za tym idzie — samowolę. Autorzy anonimowych broszur, a nawet niezadowoleni z naszej ideologii literaci, mielią ozorami jak najęci, zupełnie jakby nasze służby nie istniały. Dziesiąty wydział PB nie miał sił zmagać się z tymi problemami.

SZYRONIN: My sobie damy z nimi radę, Wasiliju Gordiejewiczu!

SIROTKIN: Jeszcze długo poczekamy na oklaski. Trzeba też wyjaśnić, jakie aberacje psychiczne popychają ludzi do antyspołecznych działań.

SZYRONIN: Zmobilizowaliśmy się i uwzględniamy już błędy popełnione przez czeskie służby bezpieczeństwa. Zwiększyliśmy ilość etatów, ilość i jakość informacji, zdobywanej od ludności. Pomaga w tym nowoczesny sprzęt techniczny. Komitet Bezpieczeństwa zakupił go we Francji i w Japonii. Sprzęt, który rozmieściliśmy w obiektach Ministerstwa Łączności, kontroluje praktycznie wszystkie gałęzie gospodarki narodowej, nauki i kultury, a także, jak uzgodniono, obiekty Ministerstwa Obrony. Sądzymy...

SZAPTAŁA: (przerywa mu) Co konkretnie robicie w związku z samizdatem?

SIROTKIN: Głos ma pułkownik Judaniczew, naczelnik wydziału do walki ze szkalowaniem naszego ustroju.

JUDANICZEW: Strumień samizdatu dziś jeszcze nie jest groźny, ale rozwija się bez nadzoru. Staranne zbadanie informacji, zgromadzonej przez odpowiednie służby BP, a także przez naszych pracowników, pomogło dość dokładnie poznać tych, którzy rozpowszechniają poglądy odmienne od przyjętych, a nawet całkowicie z nimi sprzeczne.

WASINSKI: Jaka jest skala tego zjawiska?

JUDANICZEW: Na razie mogę podać dane tylko w przybliżeniu... Zarejestrowaliśmy około 180 autorów rozpowszechniających kłamliwe, oszczercze teksty. Przypuszczamy jednak, że jest ich dwa lub trzy razy więcej. Nie włączamy do tej grupy (choć obserwujemy) autorów, którzy bezpośrednio nie szkalują naszego ustroju, lecz z różnych przyczyn nie mogą swych dzieł opublikować. W postaci rękopisów przekazują je nam redakcje i wydawnictwa. Osobno rejestrujemy tych, którzy rozpowszechniają nielegalną literaturę — mamy ich w ewidencji, na obszarze całego kraju, około dwunastu tysięcy. Ilość czytelników tej literatury, choć te cyfry ustalić jest jeszcze trudniej, waha się od 50 do 200 tysięcy.

SIROTKIN: (przerywa) Ostatnie cyfry zawyżyliśmy celowo, towarzysze. Mniej więcej dwukrotnie.

SZAPTAŁA: I słusznie.

SIROTKIN: Też tak sądzymy. Chciałbym podkreślić, że przede wszystkim interesuje nas polityczne zagrożenie ze strony prasy, radia, telewizji. Domagają się od nas walki z tym niebezpieczeństwem przywódcy partii i państwa, zaniepokojeni praskimi wydarzeniami.

JUDANICZEW: Pozwólcie zameldować o podjętych środkach. Dzięki nowelizacji Kodeksu Karnego Federacji Rosyjskiej i innych republik przestała obowiązywać szkodliwa uchwała z 1956 roku, kiedy to zniesiono odpowiedzialność karną za antyradzieckie wypowiedzi. Zrobiono wiele, by zarejestrować wszystkie rodzaje aparatury powielającej, przede wszystkim maszyn do pisania, a następnie by je kontrolować. Stosowne siły i środki pozwoliły zatrzymać osoby rozpowszechniające samizdat, toteż skala tego zjawiska wyraźnie się zmniejszyła. Według najnowszych obliczeń o osiemdziesiąt procent. Wspólnie z organami bezpieczeństwa przy Urzędzie Celnym Ministerstwa Handlu Zagranicznego i z Zarządem Wojsk Ochrony Pogranicza stworzyliśmy system metod, uniemożliwiających przywożenie do kraju bądź wywożenie za granicę maszynopisów, filmów, zapisanych taśm magnetofonowych. Głównit otrzymał specjalne polecenie, by zapobiegać przenikaniu samizdatu na łamy prasy. Kolejny etap to wykrywanie autorów nielegalnych tekstów i grupowanie ich wedle skali społeczno-politycznego zagrożenia. Listy z ich nazwiskami są już przygotowane, dostarczone wam i władzom Goskomitetu. Należy zbadać stan zdrowia psychicznego tych ludzi, odizolować najbardziej aktywnych i resocjalizować poprzez pracę.

GŁOS: Już dawno należało to zrobić!

JUDANICZEW: A teraz pokażemy fotografie. Proszę włączyć ekran. (Komentuje zdjęcia). Oto Sołżenicyn: pracuje nad swoimi, pożałuj Boże, dziełami. Jego osobiście, czcionki jego maszyny do pisania i czcionki jego maszynistki znają wszyscy nasi funkcjonariusze. Tu Sołżenicyn przekazuje na dworcu swym przyjaciołom maszynopis, który pojedzie do Leningradu. Zawartość tej teczki sfotografowaliśmy, a w mieszkaniu Sołżenicyna i u podejrzanych, których odwiedza, wprowadziliśmy podsłuch. Osoby mające z nim kontakt w różnych miastach też obserwujemy. Rozmach jego działań jest tak wielki, że odwiedził nawet mieszkanie zastępcy członka KC.

SZAPTAŁA: Kogo mianowicie?

SZYRONIN: Makarcewa, naczelnego „Prawdy Robotniczej”.

JUDANICZEW: Pracę profilaktyczną z Sołżenicynem utrudniają jego kontakty z korpusem dyplomatycznym. Właśnie z tej przyczyny ostatecznej decyzji, jak z nim postąpić, nie podjęto. Tymczasem propaganda imperjalistyczna bardzo liczy na Sołżenicyna. A to jest Amalrik, autor przesłanego na Zachód maszynopisu *Czy Związek Radziecki przetrwa do 1984 roku?*

SIROTKIN: (przerywa) Wszyscy towarzysze to czytali. Kto złoży raport o świeżo ujawnionych przypadkach łamania kodeksu karnego?

KOLADNIEC: Mogę, Wasiliju Gordiejewiczu?

SIROTKIN: Proszę. Zastępca naczelnika nowego wydziału podpułkownik Koladniec.

KOLADNIEC: Zlikwidowaliśmy ostatnio kilka dużych ośrodków samizdatu. W niektórych znaleźliśmy kilkaset maszynopisów o antyradzieckiej treści. Obecnie nie istnieje antyradziecka książka, która nie byłaby znana służbie bezpieczeństwa. Często jesteśmy nawet informowani o zamiarach pisania tekstów antyradzieckich.

SZAPTAŁA: Czy nie można się dowiedzieć, co piszą tacy ludzie we własnych domach? Zainstalować jakiś odtwarzacz z maszyny do pisania? Nie jestem inżynierem, ale...

SIROTKIN: Technicznie, jak dotąd, to nierealne.

WASINSKI: Trzeba komuś zlecić...

KOLADNIEC: Samizdatowcy to na ogół ludzie już karani i młodzież, najczęściej studencka. Wielu spośród nich zatrzymało MSW, a my przesłuchiwaliliśmy, urządzaliśmy konfrontacje, po czym zwalnialiśmy. Pozwalało to ujawnić dziesiątki ich klientów. Tak na przykład w jednym z mieszkań (pokazuje slajd) znaleziono gruby maszynopis z analizą nie tylko błędów kultu jednostki, lecz i dziejów naszego państwa, oraz rzekomych wad naszego społeczeństwa, których niepodobna wykorzeńić. Takie uogólnienia są jeszcze bardziej szkodliwe niż książki Solżenicyna, ale to moja prywatna opinia.

SZAPTAŁA: Znaleźliście autora?

SZYRNIN: Nie było to łatwe, Ignacie Daniłowiczu, ale znaleźliśmy.

SIROTKIN: (do sekretarza): Proszę przynieść akta. Aha, i maszynopis. Powieliliśmy go, może towarzysze zechcą się zapoznać...

KOLADNIEC: Aby zmylić trop autor ukrył się pod nazwiskiem markiza de Custine'a, Francuza z XIX wieku, twierdząc, że to utwór historyczny. Z inicjatywy Wasilija Gordiejewicza zorganizowaliśmy ekspertyzę filologiczną i schwytaliśmy, jak to się mówi, przestępcę na gorącym uczynku. Jest to zgodna z najnowszymi zaleceniami walka na ideologicznym froncie! Iwlew, z wykształcenia historyk, członek KPZR, dziennikarz „Prawdy Robotniczej” Oto on (pokazuje kadry filmowe): w pracy, w domu, z żoną, z przyjaciółmi. Amoralny typ, nawiasem mówiąc.

SIROTKIN: Wiadomo, co z nim zrobić!

SZAPTAŁA: Rosjanin?

KOLADNEC: Tak jest!

WASINSKI: Bez prewencji robią się coraz bardziej bezczelni! Wciąż im za mało demokracji! Wróg wkrada się pod samo serce partii — do prasy.

SIROTKIN: Nawiasem mówiąc, w swoim czasie niektórzy towarzysze mieli pretensje do służb bezpieczeństwa, że prewencyjnie obserwują Solżenicyna — no a teraz.. Jak się okazało, Iwlew był z nim związany. Niedaleko pada jabłko od jabłoni...

JUDANICZEW: Pozwólcie, Wasiliju Gordiejewiczu, opowiem coś śmiesznego! Otóż na przesłuchaniu pewien dość znany pisarz zapewniał nas, że „Kronika wydarzeń bieżących” — gazetka, którą niemal do końca rozpoznaliśmy — jest jakoby naszą robotą! Wiadomości o represjach i prześladowaniach rozchodzą się szybko i zaskaszają nazbyt aktywnych, choć nie prowadziliśmy jeszcze konkretnych działań.

SZAPTAŁA: Chcecie powiedzieć, pułkowniku, że organy bezpieczeństwa powinny publikować samizdat? (śmiech)

JUDANICZEW: Czemu nie? I robić samizdat potrzebny partii, państwu, organom bezpieczeństwa. Sami ujawnialibyśmy wówczas podejrzanych. Ale jesteśmy żołnierzami. Będzie tak, jak nam rozkażą!

SZAPTAŁA: Jedno z nowych zadań służb bezpieczeństwa polega na tym, by niwelować sprzeczności społeczne, zamiast je potęgować. Co konkretnie robicie w tej sprawie?

SZYRONIN: Konkretnie? Zarząd proponuje nowe metody resocjalizacji. Proszę pozwolić mi przeczytać listę osób wyselekcjonowanych dla prewencyjnej izolacji w miejscach pozbawienia wolności. Wpisano na nią najbardziej aktywne, a zatem i społecznie niebezpieczne jednostki; nie wolno dopuścić, by informacje o nich przesączyły się za granicę. (Czyta listę).

SZAPTAŁA: Wszystko to trzeba jeszcze uzgodnić.

SZYRONIN: Byle jak najprędzej...

SIROTKIN: Zwłoka jest śmiertelnie niebezpieczna. Przygotujemy projekt uchwały i jeśli Jegor Andronowicz się zgodzi, zaczniemy od razu. Co prawda, skarżą się na nas szefowi KGB.

SZAPTAŁA: Kto mianowicie?

SIROTKIN: Towarzysze zatrudnieni „na zewnątrz”. Twierdzą, że niewłaściwie rozumiemy sytuację międzynarodową; każde nasze działanie wywołuje negatywną reakcję zagranicy. Mówią, że im przeszkadzamy. Ale jeśli rozumować w ten sposób, to i oni nam przeszkadzają. Za granicą łatwiej się pracuje niż w kraju. I budżet mają lepszy niż my. Nie skarżymy się, broń Boże. Ale chyba skuteczniejsza jest praca w zespole.

SZYRONIN: Jak na polowaniu: trzeba wspólnie zaatakować dzikie zwierzę i zwyciężyć.

JUDANICZEW: Grunt to nie popełnić błędu, Wasiliju Gordiejewiczu.

SIROTKIN: A więc, towarzysze, jeśli nas poprzecie, poprosimy szefa o zgodę. Wówczas tow. Wasinski zadba o przestrzeganie praworządności socjalistycznej.

WASINSKI: Postaramy się. Nie wolno nam zwlekać...

SZAPTAŁA: Krótkie pytanie, Wasiliju Gordiejewiczu. Podobno wśród dysydentów jest znaczny procent osobników narodowości żydowskiej. Może warto utworzyć w KGB stosowny wydział?

SIROTKIN: Problem ten istotnie nabrzmiał. Wspomniana narodowość posiada wiele innych negatywnych cech, budzących nasz niepokój. Już zasięgnęliśmy rady w tej sprawie i nasze propozycje przyjęto. Gdy dostaniemy nowe etaty, zatrudnimy fachowców. A teraz przejdę do ostatniego punktu narady: to podsumowanie osiągnięć subotnika. Oddaję głos pułkownikowi Judaniczewowi.

JUDANICZEW: Kolektyw naszego Zarządu porządnie się napracował wykonując polecenie Goskomitetu w sprawie subotnika. Zgodnie z wstępnymi podliczeniami pierwsze miejsce zajęły służby obserwacji zewnętrznej. Przeszukania i aresztowania w dniu subotnika też były nieopłacane, co pozwoliło zaoszczędzić dla skarbu państwu 32,7 tysięcy rubli. Służby Zarządu, łącznie z aparatem, pracując bezpłatnie dla uczczenia subotnika zaoszczędziły kwotę 298,100 tysięcy rubli. Leninowski subotnik w całym kraju bardzo się udał. Obyło się bez ekscesów i nieporządku. Niemala w tym zasługa służb bezpieczeństwa, mamy prawo być z tego dumni. Interwencja specwojsk nie była potrzebna, choć wszystkie dywizje znajdowały się w stanie gotowości. Nawet obserwowani przez nas obywatele zachowywali się przyzwoicie. Zgodnie z danymi nasłuchu radiowego nikomu z nich nie udało się tego dnia przekazać na Zachód oszczerczych wiadomości o subotniku. Kolektyw V Zarządu gotów jest do wykonania nowych zadań, które stawia przed nami partia i rząd.

SIROTKIN: składa podziękowanie wszystkim zebrany i ogłasza, że porządek dnia został wyczerpany.

Dwa egzemplarze: pierwszy — dla Przewodniczącego KGB, tow. J. A. Kegelbanowa, drugi — do archiwum V Głównego Zarządu.

Stenografowała i opracowała stenogram starszy lejtnant N. Matiukowa (podpis).

58. Audiencja u przewodniczącego*

Trzymając pod pachą cienką teczkę Sirotkin wkroczył do sekretariatu Jegora Andronowicza i bez słowa uściśnął dłoń jego sekretarza Szamajewa. Ten oderwał się na chwilę od papierów i uniósł się z krzesła:

— Wkrótce powinien przyjść...

— Poczekam.

Swym podwładnym Sirotkin nigdy nie kazał czekać. Teraz, gdy sam przyszedł do zwierzchności, nie usiadł, lecz podszedł do okna i z roztargnieniem obserwował plac Dzierżyńskiego. Na jezdni widniały wymyślne esy floresy wymalowane białą farbą. Strumień samochodów od strony prospektu Marksa objeżdżał pomnik dokoła i rozpadał się na mniejsze strumyki wpływające do sąsiednich ulic. Wasilij Gordiejewicz stał tak mniej więcej pół godziny, nie ujawniając żadnych uczuć. Bał się odejść, gdyż mógł utracić szansę, że będzie przyjęty jako pierwszy. Do sekretariatu zajrzało jeszcze dwóch szefów zarządów — pytali, kiedy zjawi się Kegelbanow. Uściśnęli Sirotkinowi dłoń, wymienili uwagi o pogodzie i wyszli.

Ale oto milicjanci regulujący ruchem zaczęli energiczniej odganiać pałkami samochody w stronę chodnika po to, by oczyścić środek placu. Sirotkin zrozumiał, że czekanie się kończy. Przemknęła czarna „wołga” z migającym żółtym kogutem, za nią jeszcze dwie. „Zatrzymajcie się! Stańcie bliżej chodnika! Nieźle się starają!” — pomyślał z zadowoleniem Wasilij Gordiejewicz. Pokazują szefowi, że nie na darmo im płaci. A do Łubianki zbliżał się już czarny, pięcotonowy, pancerny ZIL 114 z kuloodpornymi szybami. Za nim jeszcze jedna „wołga”, w niej ochroniarze w kuloodpornych kamizelkach.

Sirotkin nie skrzywił się, nie westchnął. Tak przecież być powinno. Przewodniczący przychodzą i odchodzą, a my zostajemy. Dziś

* Życiorys Jegora Andronowicza Kegelbanowa, członka Politbiura, Przewodniczącego Komitetu Bezpieczeństwa Państwa przy Radzie Ministrów ZSRR, w swej oficjalnej wersji jest tak szeroko znany z literatury partyjno-politycznej, że raz jeszcze go przedstawiać nie ma sensu. Żadnych upadków, linii krzywych ani parabol w oficjalnej części biografii przewodniczącego nie było i być nie mogło. Jest prosta jak lot kuli, czysta niczym źródło idei Lenina. Natomiast wersja druga, nieoficjalna, jest tak utajniona, że nie mamy pewności, czy sam przewodniczący ma prawo się z nią zapoznać, widnieje bowiem na niej nadruk ŚT SW OT (Ściśle tajne szczególnej wagi, teczka specjalnego znaczenia).

Jegor Andronowicz rządzi, a jutro gdzieś zniknie, tak jak wszyscy bez wyjątku jego poprzednicy: Jagoda, Jeżow, Beria, Sierow, Siemiczastny, żelazny Szurik. Ten, który jest teraz, długo zajmuje kierowniczy fotel, ale też źle skończy. Oni się zmieniają, my pracujemy. Rozkazywać umie każdy, lecz Urząd Bezpieczeństwa potrzebuje mądrych, patrzących w przyszłość szefów. Nieszczęściem naszych przewodniczących był zawsze brak inteligencji. Martwi niemożność korzystania z osiągnięć nauki, które pozwoliłyby udoskonalić pracę resortu.

Weźmy, dajmy na to, konserwatyzm urzędu, który pracuje „na zewnątrz”. Co za absurdalne odcinanie się! A jakie mają cele? Dysydenckie myślenie, z którym walczymy od kilku lat, przyszło do nas z Zachodu. Tylko z Zachodu! Cierpi na tym podstawa naszego istnienia — ideologia. A urząd tak jak przedtem gada o wywiadzie przemysłowym, o zakupie dla nas na Zachodzie firm i banków. Lepiej gdyby wysłano tam grupę filozofów, pisarzy, dziennikarzy, wydawców. Można by zapelnąć naszymi ludźmi, prasę, radio i telewizję, nie tylko komunistyczną. I literatura zachodnia byłaby taka, jakiej potrzebujemy. Dopiero wtedy zaczęłoby się pokojowe współistnienie... Lecz tacy ludzie jak Kegelbanow nie rozumieją tego, twierdzą, że to za drogie, nie do końca skuteczne. W rzeczywistości to awanturnictwo — marnować pieniądze na zbrojenie, środki zagłady fizycznej. Wroga trzeba zniszczyć nie fizycznie, lecz duchowo. A ja marnuję siły na głupią bieganinę, żeby się przypodobać szefowi.

Do gabinetu zajrzał Szamajew i wyszedł. Znaczyło to, że przewodniczący wjechał już na górę specjalną windą i ukrytymi drzwiami wszedł do gabinetu.

— Jegor Andronowicz prosi, żebyście trochę poczekali...

Sirotkin skinął głową ze zrozumieniem i zabębnił palcami po leżącej na parapecie teczce. Wkrótce zadzwonił brzęczyk.

— Teraz można.

— Zdrowia życzę! — Sirotkin wyprężył się po wojskowemu przy drzwiach.

— Wejdz, towarzyszu Sirotkin — powitał go życzliwie Kegelbanow i dotknął palcem na nosie złotej oprawki okularów.

Stał w kącie gabinetu, koło telewizora, w jaskrawym świetle słonecznym napływającym z okna, i poprawiał w wazonie czerwone goździki. Potem wytarł ręce chusteczką i usiadł za biurkiem.

— Wybacz, że kazałem czekać. Słucham uważnie.

Wasilij Gordiejewicz wyjął z teczki stenogram i pochyliwszy się położył go przed Kegelbanowem. Sam usiadł obok szefa na niskim fotelu, i patrzył na przewodniczącego z dołu w górę.

— Wiosna? — Kegelbanow wskazał ręką na okno, a jego oczy za szklami okularów uśmiechnęły się.

— Tak jest, wiosna — powściągliwie zażartował Sirotkin.

Kegelbanow westchnął i zaczął czytać. W którymś miejscu, nie odrywając oczu od linijek, uderzył kilkakrotnie dłonią o biurko, wymacał ołówek, wziął go do ręki, zaznaczył coś na marginesie. Sirotkin wyciągnął szyję i zrozumiał, co przykuło uwagę Jegora Andronowicza. Wyciągnął kolejny papierek i trzymał go na podorędziu, tak, by gdy szef skończy czytanie, położyć mu go na biurku. Ale Kegelbanow zapytał:

— Co to jest?

— Rejestr dysydentów — zameldował Sirotkin. — Zgodnie z rozkazem wykonaliśmy solidną robotę.

Kegelbanow przeczytał listę i spojrzał na bukiet czerwonych goździków w odległym kącie gabinetu.

— No ta-a-ak.. — rzekł przeciągle myśląc o rozmowie, jaką odbył pół godziny wcześniej z towarzyszem, który wolał zawsze pozostawać w cieniu — A więc sądzisz, że mamy w naszym kraju jedność?

— W jakim sensie? — ostrożnie spytał Wasilij Gordiejewicz. Domyślał się zasadzki, ale nie wiedział jakiej.

— Mam na myśli jedność dialektyczną — oczy Kegelbanowa patrzyły, jak się wydawało Sirotkinowi, z drwiną. — Z jednej strony przestępstw politycznych w kraju nie ma. A z drugiej? Z drugiej, wykrywamy je. Mam rację?

— Właściwie tak — Sirotkin udął, że się zgadza, doceniając przy okazji poczucie humoru szefa. — Ale można to sformułować jeszcze inaczej: przestępstwa wykrywamy, więc jest ich coraz mniej.

— Może i mniej. Ale wciąż są popełniane.

Wasilij Gordiejewicz był służbistą, nie odpowiedział więc — niech zwierzchnik wypowie swoją myśl do końca.

— Naturalnie, im szybciej zwalczymy przestępczość, tym mniej będziemy mieli kłopotów — Jegor Andronowicz wstał, znów podszedł do kwiatów i poprawił je. Refleksy od kryształowego wazonu zatańczyły na suficie. Sirotkin też wstał i stojąc odwracał głowę za krążącym po gabinecie przewodniczącym. — Brak jedności nie jest na razie sprawą wielkiej wagi, można by ją zlekceważyć. Ale powinniśmy zademonstrować jedność partii i narodu w przededniu stuletniego jubileuszu Lenina. I musi to być jedność nie dialektyczna, ale bezwzględna! Jak sądzisz, Wasiliju Gordiejewiczu, nie przeszkodzi ta wasza przewencyjna działalność dyrektywie o bezwzględnej jedności?

— Pijemy piwo nawarzone w Czechosłowacji — ostrożnie przypomniał Sirotkin, lecz natychmiast zamilkł. — Poczuję, że nie myśli unisono ze swoim zwierzchnikiem. Coś się zmieniło, szefa nie interesuje już poprzednie zadanie. Co zrobić, żeby przyjął raport?

— Jeśli dobrze rozumiem, Jegorze Andronowiczu, pokazowe procesy nie są już potrzebne?

— Pokazowe? Cóż, zastanówmy się. Procesy robicie wy, a Zachód ma pretensje do Politbiura. Kogo więc, pytam, i przed kim chronimy?

— Istniało uzasadnienie polityczne...

— No więc tak, Wasiliju Gordiejewiczu — łagodnie przerwał mu Kegelbanow. — W ramach zawodowych działaj, wykazuj inicjatywę. Za to cię cenimy. Ale do polityki się nie wtrącaj. Zostaw ją nam, działaczom partyjnym. Zgoda?

— Jestem wojskowym. Otrzymuję rozkaz i wykonuję go.

— No to dobrze. Więc rozumiesz, że sytuacja się zmieniła. Choć nie na tyle, żeby nic nie robić. Trzeba wychowywać inteligentów, zwłaszcza tych związanych z ideologią. Ale nie potrzebujemy laurowych wieńców. Im mniej nas widzą, tym lepiej.

— A co z nową metodą? — ostrożnie, jakby mimochodem, spytał Wasilij Gordiejewicz.

— Jeśli lekarze wyrażają zgodę, nie mogę zabronić... Ale nie wszystkich od razu pędźcie do psychiatrów. Przecwiczcie na jednym. Takim, którego w Europie nikt nie zna.

— Znajdziemy!

— Jasne, że znajdziecie. Ale, powtarzam, bez polityki. Urozmaicajcie metody! Dlaczego muszę was tego uczyć?! Resztę spraw przekażcie na razie moskiewskiemu zarządowi, niech dopilnuje, potem się zobaczy...

— Rozumiem — kiwnął Sirotkin. — Wziąłem ze sobą akta. Chcecie zobaczyć?

Lecz Kegelbanow myślał już o innych, ważniejszych sprawach państwowych.

— Nie drepczmy w miejscu — rzekł i skrzywił się. — Lada dzień stanie na politbiurze problem, jak zdobyć środki, niezbędne do rozbudowy służb bezpieczeństwa. Musimy wzbudzić zainteresowanie, sprawić, by góra uwierzyła w naszą przydatność... Masz jakieś propozycje, towarzyszu Sirotkin?

— Potrzebne są pieniądze na badania...

— Nad ludźmi?

Sirotkin przytaknął. Kegelbanow myślał chyba pół minuty. Jego złote okulary iskrzyły się w słońcu.

— Ciekawy pomysł, ale przedwczesny. Na razie podgońcie teorię. Co jeszcze? Potrzeby urzędu proszę sformułować na piśmie. Pomyślimy o nich. To wszystko?

— Mam pytanie — Wasilij Gordiejewicz zrozumiał, że audycja dobiegła końca. — Dzwonili z MSW: w Moskwie po mieszkaniach chodzi morderca z lutownicą. Zabija kobiety, niektóre przedtem gwałci. Jest już około czterdziestu ofiar. Nie potrafią go znaleźć i proszą o pomoc.

— Pomoc? Co też oni sobie myślą... Wyobrażają sobie, że mamy móstwo wolnego czasu? Albo zbędnych pracowników? Mam rację?

— Tak właśnie im odpowiedziałem — zameldował Sirotkin i jeszcze raz pochylił głowę.

59. Żywot szefa partii*

Dopiero po ósmej wieczorem Krzaczasty skończył podpisywanie papierów i zwolnił z gabinetu trójkę sekretarzy. Od razu zrobiło się cicho, tak cicho, że aż zabolalo w uszach. Nie cierpiał takiej ciszy — przygnębiała go. Podszedł do okna zawieszzonego ciężką białą kotarą i wyjrzał przez szparę. Tam też było cicho. Plac ze skwerem przed oknem był pusty. Turystów na Kreml już dawno nie wpuszczano. Tylko na dole, przed bramą, stały dwa samochody. Jego nowego ZIL-a nie było: po co ma się ktoś domyśleć, gdzie jest teraz ten, kto nim jeździ. Ochrona wciąż wymyślała jakieś sprytne manewry.

Był zmęczony. Oczy, strudzone od ciągłego napięcia co chwila wilgotniały. W dole brzucha coś ciążyło — od dawna nie mógł się pozbyć tego przykrego wrażenia. Ale uśmiechał się, z nieutraconą mimo podeszłego wieku ciekawością oglądał plac, i nastrój miał dobry. Dzień minął pomyślnie, udało się załatwić wiele spraw, a wartość przemijającego czasu Krzaczasty odczuwał teraz mocniej, choć nie tracił autoironii. Pomagało mu to zachować optymizm i siłę ducha — cechy, które większość jego najbliższych współpracowników już dawno utraciła.

* Biografii przedstawionego niżej bohatera też nie będziemy relacjonować. Napisano o nim całe tomy, wydano mnóstwo monografii, lecz jakie naprawdę było jego życie, Bóg raczy wiedzieć. Koleje jego losu były zmienne, można więc przedstawiać je rozmaicie, zależnie od sytuacji wewnętrznej, międzynarodowej bądź historycznej. Wszystko wówczas bywa płodem fantazji, łącznie ze stanowiskami i tytułami, ponieważ tak trzeba. O popelnionych przez siebie błędach, jeśli takowe w ogóle istniały, bohater nie ma zielonego pojęcia, zwłaszcza że on i jego biografia to dwa odmienne byty.

Teraz także, przypomniawszy coś sobie o czymś chrząknął, podszedł do biurka, poszperał w dolnej szufladzie i wyjął niewielką kolorową reprodukcję obrazu Nałbandiana. Josif Wissarionowicz w mundurze wojskowym stał na środku gabinetu. Był to ten sam gabinet, w którym Krzaczasty stoi teraz. Meble, co prawda, inne. Reprodukacja była pomięta, widocznie leżała od dawna w szufladzie. Gdy Krzaczasty zaczynał pracę w tych pomieszczeniach jako nowy szef, znalazł ją w biurku jednego z urzędników i zabrał do siebie. Papierowy Stalin uśmiechał się pod wąsem.

Krzaczasty wyjął z szuflady biurka nożyczki i starannie wyciął głowę generalissimusa tak, by nie uszkodzić kołnierzyka i gwiazdy marszałka. Następnie wziął tę głowę w dwa palce i wrzucił do kosza na śmieci. Wyszukał w szufladzie własne zdjęcie stosownej wielkości i podłożył pod reprodukcję. Głowa jest nieco większa, trzeba jeszcze trochę powiększyć otwór.

Przyjrzał się swej podobiznie odzianej w mundur generalissimusa i doszedł do wniosku, że wygląda świetnie. Gdyby objął władzę w młodszym wieku, osiągnąłby znacznie więcej. Policzył ilość orderów i medali Stalina, a potem swoich. Stalin miał jedenaście odznaczeń więcej. Lecz Josif Wissarionowicz już nie zostanie odznaczony, a ja czemu nie, jeśli zasłużę.

Myśl ta rozbawiła Krzaczastego. Stalin nigdy nie przywiązywał wagi do błyskotek, ale przekonywano go, że to ważne. Z tradycją nie można walczyć. I im więcej ma człowiek władzy, tym mniej może zrobić. Panem samego siebie Krzaczasty był za młodu, gdy zajmował skromne stanowiska. A tu wszystko kręci się jak w maszynie, chcesz tego czy nie. Byle podwładny tobą pomiata, każdy robi, co mu się podoba. Czasami jeszcze nie zdążył pomyśleć, a już decyzje były podjęte.

Nagle zadzwonił telefon. Krzaczasty zdjął słuchawkę i zakaszłał.

— Dzwoni towarzysz Sahajdak. Można połączyć? Łączę!

— Czołem, Syzyfie Antonowiczu! — przywitał Krzaczasty dzwoniącego. — Jak zdrówko?

— A wasze, towarzyszu? — spytał Sahajdak. — Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, czas na spotkanie ze mną. Kiedy wykroicie pół godzinki?

— Choćby jutro. Ale nie, jutro środa, posiedzenie Rady Ministrów. No to w czwartek. Nie, w czwartek obrady Politbiura. Piątek też zajęty — sekretariat KC.

— No to kiedy?

— Wiesz co? Teraz.

— Hm — chrząknął Syzyf Antonowicz. — Jestem gotów.

— Świetnie! Wysyłam samochód.

Krzaczasty ściągnął łokciem z biurka reprodukcję portretu Stalina z wyciętym na miejscu głowy otworem, podarł ją i wrzucił do kosza. Nagle zadzwonił drugi, bezpośredni telefon.

— Tu Kegelbanow. Moglibyście mnie przyjąć, towarzyszu? Chciałem złożyć krótki raport...

Krzaczasty zasapał w słuchawkę nie bardzo wiedząc, czy się zgodzić. Kegelbanowa przyjąć trzeba — chyba to coś ważnego, coś, o czym nie chce mówić przez telefon. Ale musi mu odpowiedzieć, zadecydować, choć jest już bardzo zmęczony.

— Zróbmy tak — odpowiedział po chwili — Jak tylko się zwolnię, natychmiast zadzwonię. Gdzie będziesz? Na dacy? W porządku!

Spojrzał na swój elektroniczny zegarek: było wpół do dziesiątej. Za chwilę przywiozą Syzyfa Antonowicza. Usłyszał kroki za drzwiami — może to już on.

Korytarzem, w towarzystwie zastępcy komendanta Kremla odzianego w granatowy garnitur, kroczył potężny, tęgi Syzyf Antonowicz w zamszowej marynarce koloru opalonych damskich pleców i w starannie wyprasowanych szarych spodniach. Wymachiwał walizeczką „dyplomatką”, a obok niego dreptała miniaturowa Alla co chwila dotykając ramieniem ręki męża. Sahajdak był zdziwiony, że zaproszono go na Kreml, a nie na daczę, lecz nie zamierzał sobie nad tą zagadką łamać głowy. W domu wszedł na balkon, gdzie Alla zażywała słonecznej kąpieli.

— Zbieraj się, mała, i to prędko! — zawołał. — Jadę załatwić pewną sprawę, będziesz mi potrzebna. Tylko ubierz się jak najskromniej i nie zapomnij o komsomolskim znaczku.

Alla, trochę podobna do stewardesy Aeroflotu, szła teraz korytarzem. Miała na sobie skromny kostium, spódniczkę sięgającą niewiele powyżej kolan. Na jednej z jej sterzących piersi widniał znaczek komsomolski, na drugiej oznaka „Przodownik współzawodnictwa socjalistycznego”. Zielony kolor ścian, na które kładły się ledwo widoczne cienie od fałd białych jedwabnych kotar szczelnie zasłaniających okna, tworzył przyjemny półmrok. Pod nogami połyskiwał idealnie czysty parkiet. Miękkie dywany zagłuszały kroki. Na każdym zakręcie stał żołnierz w brązowym mundurze i rozglądał się czujnie.

Wreszcie zastępcę komendanta zatrzymał się, poprosił, by poczekali. Syzyf Antonowicz postawił dyplomatkę koło tapczanu i ułonał w miękkim fotelu. Alla z rękami na ściśniętych kolankach skromnie przycupnęła obok. Długo nie czekali. Gdy tylko major otworzył

drzwi, wyszedł z nich Krzaczasty rozkładając ręce, by wziąć w ramiona Sahajdaka, który natychmiast wstał z fotela.

— Witaj, kochany! — zawołał gospodarz. — Jakże się cieszę! Dzięki, że o mnie nie zapominasz.

Gość musiał się nieco pochylić, a gospodarz stanąć na palcach, by zrównali się wzrostem i mogli się uściskać.

— Madame! — odwrócił się po chwili gospodarz do Alły i pocałował jej wąską dłoń. Alła wzruszająco zamrugła długimi rzęsami.

„On chyba farbuję brwi” — pomyślał Syzyf Antonowicz nie przestając się uśmiechać.

— Nie byliście jeszcze tutaj? — spytał Krzaczasty. — No to chodźmy, pokażę.

Otworzył drzwi, zaprosił ich ruchem ręki, uprzejmie przepuścił naprzód. W długim pomieszczeniu ze ścianami obitymi mahoniem wokół nieprawdopodobnie długiego stołu pokrytego zielonym sukniem stały starannie poustawiane krzesła obite zieloną skórą. Na stole leżały zatemperowane cztery ołówki i czysty notes.

— Tu obraduje Politbiuro — powiedział gospodarz. — Jak piszą gazety, zgodnie z leninowską tradycją...

Sahajdak spojrzał bacznie na swego rozmówcę. W duszy Syzyfa Antonowicza dziwacznie splotły się ze sobą troska i odraza, niechęć do poszczególnych ludzi i świadomość, że trzeba ich leczyć. Jak chory ząb, który unicestwia zdrowie ciała, cierpienie to było jedyną usterką szczęśliwej, absolutnie cynicznej egzystencji Sahajdaka. O co właściwie chodzi, wielokrotnie pytał sam siebie. Czy twój pacjent jest winien, że nie znalazło się dla niego na świecie mniej odpowiedzialne stanowisko? Czyż nie pragnie uciec na wieś, niańczyć wnuków? Czyż jego sytuacja nie jest tragiczna?

— Wybacz, szefie! — Sahajdak oderwał się od niestosownych myśli, przecież Krzaczasty coś do niego mówi. — Nie dosłyszałem...

— Powiedziałem, że na samym końcu stołu zawsze siedzi towarzysz Krzaczasty — zaśmiał się gospodarz jakby zapraszając innych do śmiechu. — Tutaj wygłasza referaty. No a tu podpisuje ważne dokumenty w obecności członków Politbiura. Dopiero w tym miejscu staje się jasne, kto ma coś do powiedzenia, a kto nie ma nic.

— Jasne! — uśmiechnął się Syzyf Antonowicz.

Gospodarz się roześmiał, jego oczy rozbłysły. Gdy ze śmiechu pochylał się to w prawo, to w lewo, jego brylantowa spinka na czerwonym krawacie migotała. Alła grzecznie siedziała obok. Wszystko odczytywała z ruchu warg, lecz potrafiła nie zwracać uwagi na to, co nie budziło jej zainteresowania.

— A co to za drzwi? — spytał Sahajdak.

— Do orzechowego pokoju. Możcie tam zajrzeć! To pomieszczenie dla członków Politbiura: siedzą tam przed posiedzeniami, rozpatrują sprawy. Demokracja! A teraz proszę do mojego gabinetu.

— Właśnie stąd kieruję państwem — rzekł zmęczonym głosem i obwiodł wokół ręką.

— Czy mógłbym spróbować? — uśmiechnął się Syzyf Antonowicz i zbliżył się do fotela.

Część biurka zajmowała szklana półkula z wciśniętymi w nią złotymi monetami. Obok leżały gazety — „Izwestija”, „Prawda”, „Prawda Robotnicza”, a za nimi pióra kulkowe niemieckiej firmy „Wolf”.

— A to co takiego? — Sahajdak wskazał palcem kilka aparatów telefonicznych na małym stoliku.

— Łączność z każdym punktem w kraju.

— A te przyciski? Jest ich co najmniej pięćdziesiąt...

— Górne — do każdego z członków Politbiura, niżej — sekretariat KC, reszta Rada Ministrów, Urząd Planowania, ministrowie...

— Jasne. A ten czerwony aparacik? — Syzyf Antonowicz przekręcił się na obrotowym fotelu.

— Czerwony łączy mnie bezpośrednio z przywódcami państw Układu Warszawskiego.

— A to?

Pod szkłem leżały dwie fajki — szara i czerwona. A poniżej... raz, dwa, trzy... piętnaście przycisków.

— U-u-u! — zdumiał się Sahajdak. — Macie tu chyba łączność z samym Panem Bogiem...

— No właśnie!

— A ja? Pasuję do tego miejsca?

— Do siedzenia na fotelu, i owszem — zgodził się Krzaczasty. — Ale co dalej, Syzyfie Antonowiczu? Jak rządzić? Co konkretnie robić? Łatwo jest opowiadać kawały o przywódcach. Ale jak trzymać ster? Odrobinę zбочysz z kursu i co dalej? Chodźmy lepiej napić się kawy, kochany!

Rozsunął zasłony i otworzył ukryte drzwi przypominające szafę na książki. W sąsiednim pokoju niczym w prywatnym mieszkaniu stały pokryty pstrokatym dywanem tapczan, fotele, lustro. Na brązowym stoliku przy telewizorze leżały zapalniczka i papierosy. Ała wzięła ze stołu kolorową fotografię. Widniał na niej Krzaczasty — siedział w okularach za biurkiem i coś pisał.

— Na fotografiach mnie odmładzają — powiedział gospodarz.
— A ja młody nie jestem!

— Cóż, zdarza się — stwierdził beznamyślnie Sahajdak.

— Zdarza się? A kto im każe pisać bzdury? Domagamy się, krytykujemy, a sensu żadnego. Czasem nawet w gazetach nie ma nic do czytania.

Ostrożnie zastukano do drzwi, wszedł kelner i szybko nakrył do stołu.

— Koniaczek?

— W żadnym razie! Możesz odejść...

Gospodarz odprowadził kelnera wzrokiem, przyłożył palec do ust, i dopiero wówczas podszedł do drzwiczek ukrytego w ścianie sejfu.

— Pić nie będziemy — powiedział surowo. — Ale po kieliszeczku, z okazji spotkania... Jeszcze niedawno dużo piłem, jadłem i byłem zdrów jak ryba. A ty patrzysz na mnie z wyrzutem — tyć mi nie wolno, siedzieć bez ruchu cały dzień też nie wolno! I jak tu kierować państwem?

Szyzyf Antonowicz tym samym tonem, co rozmówca, zaproponował:

— Może na stojąco?

Sekretarz generalny uśmiechnął się i pogłaskał swą chorą nogę; tkwiła w niej kula. Sahajdak wiedział o jej pochodzeniu. Na bohaterkiej Małej Ziemi pułkownika, choć nie miał jeszcze tak wspaniałych brwi, jakiś oficer przyłapał in flagranti ze swoją połowicą. Pułkownik wyskoczył przez okno, lecz kula go dopadła.

— Boli? — spytał troskliwie Szyzyf Antonowicz.

— Ciągnie...

— No to zajmijmy się wnętrzem. — Sahajdak wstał, otworzył „dyplomatkę”, wyjął z niej miękki biały fartuch. — Gdzie tu jest klozet? Musicie oddać mocz. Skontroluję strumień....

— Czy to ważne? — spytał z obawą gospodarz i zerknął na Ałłę.

— Bardzo. Ona się odwróci. No tak... Wcale niezły strumień...

— No właśnie! Mówię przecież, że jeszcze na coś mnie stać! Słuchaj, Szyzyfie Antonowiczu, powiedz mi po przyjacielsku... jaki strumień ma ten... no, wiesz, ten, który zawsze lubi pozostawać w cieniu...

— Ale przecież... — zawahał się Sahajdak.

— Wiem, wiem... etyka lekarska. Ale mnie, po starej znajomości, możesz chyba powiedzieć? Gorszy ma strumień od mojego czy lepszy? Nikomu nie pisnę słówka!

— Cóż... Naturalnie — zaczął kręcić doktor. Ale szybko znalazł wyjście:

— Powiem wprost: obaj pod tym względem jesteście w porządku. Obaj moglibyście iść nawet na subotnik. Zresztą, zobaczymy. Proszę zdjąć spodnie i stanąć na czworakach, jak zwykle, w pozie konika. Ała, dziecino, podaj rękawiczki i wazelinę.

Pacjent pokornie spuścił spodnie i wgramolił się na tapczan. Górna część jego ciała, w koszuli i krawacie, wciąż jeszcze była sekretarzem generalnym, dolna zaś, pokryta bladą skórą, niczym się nie różniła od szeregowego członka partii. Syzyf Antonowicz doświadczonym ruchem wsunął na prawą rękę gumową rękawicę. Ała otworzyła słoik. Doktor zaczerpnął palcem porcję wazeliny, a drugą ręką poklepał pacjenta i usiadł na brzegu tapczanu. Przesunął palcem po ciele rozdzielając je wzdłuż na dwie połowy, tak jakby szukał miejsca na resekcję, wymacał potrzebny punkt i gwałtownie wprowadził palec.

— Ojej!

— Ciężkie leczenie, łatwa śmierć — zażartował Syzyf Antonowicz. — No, zobaczymy, co się tam dzieje. Znacie anegdotę? Urolog mówi do pacjenta: „Proszę się schylić.” A ten na to: „Kochany. W takiej intymnej chwili mów do mnie po imieniu!” Boli?

— Nie bardzo.

— A tak?

— Och! Boli!

— Przy okazji, mam drobną prośbę. Jest taki Makarcew, naczelny „Prawdy Robotniczej”.

— Wiem, a jakże!

Lekarz łagodnie wodził palcem wokół gruczołu krokowego.

— No więc, jego syn siedzi w areszcie.

— U Szczałokowa?

— No, może nie osobiście u niego... Czy nie dałoby się zamknąć sprawy, wypuścić dzieciaka?

Syzyf Antonowicz nacisnął mocniej.

— Ojej! Strasznie boli!

Kątem oka doktor spojrział na telefon, łączący gabinet z państwami Układu Warszawskiego. Dobrze, że wódz nie może teraz po niego sięgnąć, w przeciwnym razie Bóg wie, jak skończyłby się masaż...

— Rozumiem, że boli — rzekł nagle Sahajdak bez litości. — Ale masaż jest konieczny, drogi towarzyszu! Poczuj się pan lepiej, zdolność do pracy też wzrośnie... Więc co będzie z tym małym Makarcewem?

I nacisnął jeszcze mocniej.

— Postaram się...

— To dobrze. — Palec Sahajdaka złagodniał i czule powędrował w poprzek. — No, dość już na dzisiaj. Ała, dziecko, zastrzyk z nowokainy.

Ała szybko wyjęła strzykawkę, odbiła główkę ampułki. Potarła watką skórę pacjenta w miejscu, gdzie kończą się plecy, zręcznie zrobiła zastrzyk, pocałowała je.

— Proszę się ubrać — Sahajdak zdjął gumowe rękawice. — Jestem zadowolony.

— Dzięki, Syzyfie Antonowiczu, masz rozum ministra. A propos Makarcewa. Przecież to on wpadł na pomysł z subotnikiem, a teraz wszystkie resorty chcą z tego mieć pieniądze. A ty jak byś wykorzystał uzyskane kwoty?

— Jeśli nie żartujecie, to na impotentologię! Od tego zależy przyszłość ludzkości!

— Wiem, wiem od czego — Krzaczasty klepnął doktora po ramieniu. — Według ciebie — od łóżka. Ale minister obrony sądzi, że od raket. Komu zatem wierzyć? Syzyfie Antonowiczu, gdybym tak mógł sam podejmować decyzje! Ze wszystkim muszę zwlekać, o wszystko walczyć, z każdym wszystko uzgadniać. Czasem po prostu opadają ręce! Władzę dzisiaj ma każdy. Każda kucharka rządzi państwem. Jak nie zechce — nie nakarmi, a ty nic jej nie zrobisz. Każdy ma władzę, bo jest demokracja. Tylko ja jeden jej nie mam. Od wszystkich jestem zależny. Pomogę ci w sprawie Makarcewa. Makarcew to nasz człowiek. Ale jak pomóc, jeszcze nie wiem. Kręcę się, jak wół w kieracie.

W bramie wieży Spaskiej zapaliły się zielone światła i wartownicy stanęli na baczność. Samochód przemknął przez Plac Czerwony, koło miejsca kaźni i pomnika Minina i Pożarskiego, w stronę ulicy Kujbyszewa.

Syzyf Antonowicz w milczeniu patrzył na ulicę. Im dłużej leczył Krzaczastego, tym bardziej go lubił. Naturalnie, mnie on traktuje lepiej niż innych. Cały czwarty urząd Ministerstwa Zdrowia dyżuruje przy nim dniami i nocami. Ale leczę go ja, innym nie ufa! Co mnie zresztą obchodzą inni? A on śmieje się, żartuje, bynajmniej nie z radości. To taniec na pogrzebie. Wszyscy w kraju są nieszczęśliwi, a on chyba bardziej niż ktokolwiek. Nie miał w życiu szczęścia. Wszyscy są zwyczajni, a on musi być wodzem. W dodatku to rozumie, zna swoje miejsce. Ja w porównaniu z nim jestem wolny! A on w

porównaniu ze mną jest niewolnikiem. Ten, który lubi zawsze stać w cieniu, stoi za jego plecami, manipuluje nim, ale i on nie jest najważniejszy. Mój Boże, jaka to straszna rzecz władza. Wszyscy są skuci jednym łańcuchem, ciągną jeden drugiego, choć nie wiedzą, dokąd iść. Rappoport ma rację — żyjemy w klatce. Mam rację, dziecinko?

Na znak zgody Ała opuściła rzęsy. Zawsze czytała myśli męża i przyjmowała je bez protestu.

60. „Trzy siódemki”

Krzaczasty usiadł przy biurku, skrzywił się, pomasaował palcami brwi — podobno pomaga to na łupież. Wysunął szufladę, wyjął papierosy. Kazali mu ograniczać palenie, przywieźli importowaną papierośnicę z zegarowym mechanizmem: otwiera się tylko raz na godzinę. Ale już po dwudziestu minutach Krzaczasty nie mógł się doczekać, kiedy papierośnica się otworzy. Należało więc uciekać się do podstępu. W drugiej kieszeni marynarki i w biurku miał zawsze paczkę zachomikowanych papierosów: korzystał z niej, gdy papierośnica była zamknięta. A lekarzom mówił, że dzięki nowej papierośnicy pali teraz znacznie mniej. Od palenia oderwał go telefon. Gdy usłyszał, kto mówi, ucieszył się, oczy mu rozblęły:

— Tato, kiedy wracasz?

— Co słyhać, córeczko? Mam mnóstwo pracy. Dopiero teraz kończę...

Był rad, że Galina zatelefonowała. Ale do domu nie chciało mu się jechać. Chwile spokoju zdarzały się tak rzadko...

— Wracaj natychmiast! Brat przyleciał. Ja też nie mogę się ciebie doczekać...

— No dobrze! Skoro jest cała rodzina, powiedz matce, że zaraz będę w domu...

Żona drzemała w kuchni, zamiast położyć się spać. Gdy trzasnęły drzwi od windy, poszła otworzyć. Dwa psy, dog i lajka syberyjska, rzuciły się z piskiem do przedpokoju wyprzedzając gospodynię. Podskakiwały, usiłowały liznąć swego pana po twarzy. Uspokajał je, głaskał, targał za uszy.

— Proszę cię, nie gniewaj się na córkę — szybko powiedziała żona, by uprzedzić ewentualne wyrzuty. — Prosi, żeby jej pożyczyć dwa i pół tysiąca...

— Znam dobrze te „pożyczki”! — rzekł Krzaczasty ze śmiechem.

Żona powiesiła w przedpokoju jego płaszcz.

— Mizernie wyglądasz. Znowu ćmisz papierosy? Zjesz kolację?

— Nie mam czasu. Przywiozłem dokumenty, muszę popracować...

Spojrzał na jej miłą, okrągłą twarz z brzydtko sterczącymi zębami.

— Daj Galinie pieniądze. Naturalnie, że daj. Co robić, skoro ma diabła za skórą!

— Już dałam.

Martwił się, gdyż córka traktowała go instrumentalnie i przysparzała wielu zmartwień. Urodziła dziecko, zostawiła na wychowanie dziadkom, a sama przechodzi z rąk do rąk. Awanturuje się, pije wódkę, przynosi wstyd rodzinie. Dobrze, że chociaż za granicę jeździ incognito. Niedawno mu doniesiono, że spotyka się z pułkownikiem MSW. Powinien się z nią ożenić, bez ślubu to nieprzyzwoitość! Jest dorosła, po czterdziestce!

Pocałował córkę, lecz nie chciał z nią rozmawiać. Poszedł do swego pokoju, żeby położyć się na tapczanie i czytać ważne dokumenty. Ale tam leżał rozwalony, i do tego jeszcze w butach, jego syn. Obok, na podłodze, stała butelka i kieliszek. Psy, które przyszły za panem, siedziały na dywanie merdając ogonami.

— Znowu pijesz, synku?

— Co u ciebie, tato? Bo ja mam kaca...

— Pozwól, że ja się położę, a ty posiedzisz — ojciec pochylił się nad synem i pocałował go. Gdy się pochylał, zauważył, że w stojącej na podłodze butelce jest tylko woda mineralna. — Na długo przyjechałeś?

— Na dwa dni, chyba że pomożesz zostać dłużej...

— Znudziła ci się Szwecja? Czego właściwie chcesz?

„Dlaczego dzieci nie pytają, jak się czuję lub co porabiam? Dlaczego przypominają sobie o ojcu tylko wtedy, gdy czegoś im trzeba? To moja wina. Bez względu na to, jakie są — moja. Ja w jego wieku wszystko zdobywałem ciężką pracą, a on miał zawsze wszystko podane na tacy. Ale to dobry chłopak.”

— Jak tam moje wnuki?

— Doskonale. Prosiły, żebym cię uściskał. Latem przywiozę je wam na daczę.

— Czego ode mnie potrzebujesz, synku?

Ojciec położył się na tapczanie, a syn usiadł w fotelu.

— Nic szczególnego... Myślę, że i dla ciebie byłoby to korzystne.

— Co mianowicie?

— Chciałbym zostać przewodniczącym KGB.

— Ty?

— Dlaczego nie? Nie jestem głupszy od Kegelbanowa. Zresztą on cię sprzeda przy pierwszej okazji. Ze mną miałbyś więcej spokoju...

— No, cóż. Niezła myśl, synku. Tylko czy dasz radę? Zresztą spróbujmy. Zgłoś się w poniedziałek do działu kadr na Łubiance.

— Mówisz poważnie, czy żartujesz?

— Żartuję? Niby dlaczego? Za bardzo depczą ci po piętach ludzie Kegelbanowa? Chronią cię, strzegą przed wścibstwem burżuazyjnych pismaków, w kraju dbają, by twoja żona nie wiedziała, że masz kochanki, płacą za ciebie, wożą cię...

— Czemu nie korzystać z życia, póki mogę? Ty też nie traciłeś czasu. To nie mnie, lecz ciebie pilnują kagebiści.

— I co z tego? A kim ty byłbyś, gdyby nie ja? I nie wrzeszcz tak. Na górze wszystko słyhać.

— Kegelbanowowie są na dacy, ojczu. Już dawno powinienes mieć własny dom. A ty mieszkasz w pięciu pokojach na czwartym piętrze bloku. W Szwecji lepiej się powodzi zwykłym robotom. Aż wstyd o tym opowiadać na Zachodzie...

— Ale ja, synku, nie żyję dla Zachodu. Służę rosyjskiemu społeczeństwu. Kegelbanow robi wszystko, co mu każe, a gdybyś ty został przewodniczącym KGB, rodzonego ojca wsadziłbyś za kartki. Żartuję, naturalnie... Ale nie dam ci tego stanowiska.

— Daj spokój, tatko, ja też żartowałem. Na co mi to? I bez twojej pomocy daleko zajdę. Wypijmy za moją karierę!

— Za to — z przyjemnością!

Wyjęli z serwantki butelkę koniaku, stuknęli się kieliszkami.

-- Wrócisz do siebie, czy zanocujesz u nas?

— Pojadę, tato. Wyśpię się, a od jutra rana zacznę robić karierę.*

— No to jedź, a ja odpocznę. Już pierwsza po północy...

Ojciec zerknął w szczelinę kotary zasłaniającej okna. Czekał, kiedy syn odjedzie. Gdy ruszył, za jego samochodem natychmiast pojechała czarna „wołga”, oba wozy zniknęły za bramą. Krzaczasty położył się na tapczanie i przysunął bliżej japońskie tranzystorowe radio. Słabą ręką kręcił galką, natknął się na muzykę, potem usłyszał, jak mówiono o nim po rosyjsku: „Kremłowski władca myśli

* Dalsza wspinaczka syna szefa państwa po szczeblach kariery wyglądała następująco. Zaprzyjaźnieni z nim kagebiści spili do nieprzytomności w pociągu „Moskwa-Helsinki” jego szefa — dyrektora zjednoczenia „Import surowców przemysłowych”, towarzysza Siedoja, gdy ten jechał do Finlandii. Pijanego sprowokowali do antyradzieckich wypowiedzi, wywołali bójkę i wysadzili go z pociągu. Po tym incydencie Patoliczew namówił sekretarza generalnego, by dał to stanowisko przedstawicielowi handlowemu ZSRR w Szwecji. Zachodnie gazety pisały: „Syn pomaga ojcu w brudnych interesach”. Gdy Krzaczasty obchodził siedemdziesiąte urodziny, jego syn był już wiceministrem handlu zagranicznego.

trzeźwo.” Nagłe wycie zagłuszałek nie pozwoliło mu jednak dowiedzieć się, o czym mianowicie trzeźwo myśli.

Próbował drzemać, lecz czuł lekki ból w pachwinie. Cóż, poboli i przestanie. Nagle przypomniał sobie prośbę Sahajdaka. Jutro będzie zajęty, zabraknie mu czasu. Co robić, żeby wszystko rozstrzygnąć pomyślnie, lecz zgodnie z przepisami? Krzaczasty podniósł się z tapczanu i ruszył do drzwi, a za nim oba czworonogi.

— Ts-s-s-s! — pogroził im palcem.

Wszyscy już spali. Córka została u rodziców na noc, na wieszaku wisiał jej płaszcz. „Rzadko kiedy chce być sama w łóżku” — pomyślał nie bez irytacji, wziął palto i trzymając je na ręku odsunął ciężką zasuwkę.

— Co ci chodzi po głowie? — usłyszał za sobą gniewny szept.

— Nie martw się, mamu. Dlaczego wstałaś?

Jego matka, mimo osiemdziesięciu dwóch lat, była silną, zdrową kobietą. Syna traktowała surowo, przekonana, że dzieci są zawsze dziećmi i wystarczy im na coś pozwolić, a zaraz zrobią Bóg wie co...

— Mówisz, że mam się nie wtrącać? Do wychodzenia w deszcz z tymi twoimi kundlami jestem dobra, a teraz mam się nie wtrącać? Natychmiast wracaj! Dokąd idziesz o tej porze?

Krzaczasty śmiał się wesoło. Było mu przyjemnie, że matka traktuje go jak małe dziecko. Czuł się przez to młodszy, bardziej energiczny. Objął staruszkę za ramiona, pocałował białe włosy:

— Kładź się, mamusiu, nie martw się. To sprawy państwowe.

Matka odsunęła się od niego i zapytała z powagą:

— Co za państwowe sprawy po nocach? Znam cię, ty niecnoto! Wracaj, mówię po dobroci!

Psy warknęły, czując, że narasta konflikt, lecz nie wiedziały, czy sprawa jest poważna i po czyjej stronie się opowiedzieć. Toteż warczały bez przekonania. Tymczasem ich pan otworzył drzwi: zwierzaki zawsze chętne do wyjścia na spacer, wybiegły na klatkę schodową i w ten sposób opowiedziały się za nim, warcząc teraz na kobietę. Krzaczasty pospiesznie zamknął drzwi, żeby matka nie zdążyła za nim wyjść.

— Poczekaj tylko! — ścigał go jej krzyk. — Portki ci spuszczę i przyleję twoim własnym pasem, nic mnie nie obchodzi, co ludzie powiedzą... Nie zechce ci się więcej wałęsać...

On i psy już jechali w dół windą.

Z głównej bramy wyskoczyło dwóch zuchów w błękitnych japońskich kurtkach — obaj przecierali oczy i przeciągali się.

— T-ss-s! Zostańcie tu, chłopcy, pojedę bez was.

Spiesznie podszedł do mercedesa (niedawno otrzymał go w prezencie) i usiadł za kierownicą. Ochroniarze pobiegli do swoich „wołg”.

— Hej! — pogroził im palcem. — Kazałem wam zostać!

Psy na tylnym siedzeniu mercedesa warczały niezadowolone.

— Towarzyszu sekretarzu, nie wolno wam bez ochrony! To niemożliwe! Zresztą, mielibyśmy przykrości...

— Ale ja szybko wrócę, chłopcy. Jak nie powiecie, nikt się nie dowie. Idźcie spać!

Udając, że go posłuchali, ruszyli do bramy. A on włączył silnik i ruszył z kopyta. Ochroniarze odczekali chwilę, po czym szybko wsiedli do samochodów — pojedą tak, że ich nie będzie widział, ale nie stracą go z oczu.

Na mokrym, polanym wodą, Prospekcie Kutuzowa Krzacasty spojrział na budkę: nie było w niej milicjanta. Zawrócił na prawo, ku panoramie bitwy pod Borodinem, zastanowił się przez chwilę, zdjął słuchawkę telefoniczną i wykręcił numer.

— Kegelbanow?

— Tak jest. Czołem! — odpowiedział nieco zaspany głos.

— Stało się coś?

— Co słyhać, bracie? Śpisz?

— Skąd... — rzekł tamten z wahaniem.

— Jesteś mi potrzebny.

Jegor Andronowicz wiedział już, o co chodzi, i miał gotową odpowiedź, chociaż skarcił podległe sobie służby: członkowie Politbiura już dawno postanowili, że nie będą się nawzajem podsłuchiwać.

— Przyjadę za dwadzieścia minut — zameldował.

Gorliwość ta spodobała się Krzacastemu:

— Wiesz co? — powiedział zadowolony. — To ja do ciebie przyjadę. Tylko bez hałasu, bardzo cię proszę...

Zegarek wskazywał za dwadzieścia drugą. Noc była jasna, cicha, niebo rozgwieżdżone. Mercedes skręcił z szosy Mińskiej na Rublowską, z Rublowskiej na Uspieńską i pomknął pustą drogą, po linii osi, z piśkiem hamując na zakrętach. Krzacasty lubił szybką jazdę.

Ochroniarze daczy Kegelbanowa, już uprzedzeni, powitali dostojnego gościa. Na spotkanie z przywódcą partii, oświetloną, wyasfaltowaną drogą spieszył Jegor Andronowicz, w ciemnym garniturze, śnieżnobiałej koszuli, krawacie, i narzuconym na ramiona palcie. Nie zdążył się tylko ogolić. W mercedesie otworzyły się szeroko drzwiczki, kierowca czekał, aż Kegelbanow podejdzie do wozu.

Psy, nie czekając na rozkaz, przeskoczyły na przednie siedzenia i z jazgotem wybiegły z samochodu. Jegor Andronowicz podniósł rękę w geście powitalnym i uśmiechał się, choć widok psów nieco go speszył.

— Serdecznie zapraszam — Kegelbanow wyciągnął rękę i pomógł gościowi wygramolić się z samochodu.

— Ładny dom... — powiedział z rozmarzeniem gość, patrząc na porośnięty dzikim winem budynek. — Pamiętam każdego, kto tu mieszkał... Ale nie wejdę do środka. Pogadajmy na powietrzu.

Skulony od nocnej wilgoci Kegelbanow stał przed Krzaczastym i opatulał się paltem. Niebo na wschodzie już się rozjaśniało.

— Jegorze Andronowiczu, jak pan myśli, na co wydać pieniądze uzyskane dzięki subotnikowi?

Kegelbanow wykręcił się żartem:

— Cóż, na wzmocnienie organów nie odmówiłbym...

— Tak, tak, na wzmocnienie organów — zaśmiał się gość. — Przeznaczmy te środki na rozwój urologii.

— Urologii? Dlaczego?

— Wlecze się w tyle za urologią zachodnią. Musimy myśleć o przyszłych pokoleniach, a te zależą od urologii. Nie wierzysz? Spytamy ministra zdrowia...

Krzaczasty wrócił do samochodu, zapalił papierosa, zdjął słuchawkę telefoniczną i wykręcił numer.

— Piotrowski? Żona? Mąż śpi? Proszę obudzić, poczekam. Towarzyszu Piotrowski, mamy tutaj małą naradę. Czy urologia jest ważna? Tak? I to bardzo? Tak myślałem. A Kegelbanow powątpiewa... Jest propozycja, by pieniądze zdobyte dzięki subotnikowi przeznaczyć na rozwój urologii. Co, onkologii również? Ministerstwo Zdrowia nie będzie się sprzeciwiać? No to dobranoc.

Odłożył słuchawkę, podszedł do krzewów róż, już odsłoniętych po zimie, dotknął gałęzi.

— Aha, propozycję zorganizowania w całym kraju subotnika wysunął naczelny „Prawdy Robotniczej”, nasz człowiek...

— Wiem — potwierdził Jegor Andronowicz, zadowolony, że jego służby nie popełniły błędu i rozmowa będzie właściwym torem. — Ma jakieś kłopoty z synem?

Zadał to pytanie, by ostatecznie się przekonać, że o drugim zmartwieniu redaktora Makarcewa jego rozmówca jeszcze nie wie. Sam Makarcew nie interesował Kegelbanowa, jednak szef bezpieczeństwa dobrze się orientował, że dziennikarz współpracuje z to-

warzyszem Cherlawym, tym, który lubi zawsze pozostawać w cieniu. Cherlawy niedawno zauważył: niech sobie niektórzy wyobrażają, że to oni rządzą państwem. Tę aluzję rozumieć trzeba jednoznacznie, choć można interpretować różnie. Karta atutowa nigdy nie zawadzi. Należy ją trzymać w rękę, a kiedy i jak się ją wykorzysta, zobaczymy. Sprawa młodego Makarcewa to pestka.

Krzaczasty pospacerował nieco, po czym oświadczył:

— Na co Makarcewowi to zmartwienie, zawał chyba wystarczy...

— Zrozumiałem — powiedział Kegelbanow. — Rano pojedę do Komitetu i razem z MSW załatwimy tę sprawę pozytywnie. Są jeszcze jakieś polecenia?

I natychmiast zmienił temat, co bardzo Krzaczastemu przypadło do gustu. „Stalin był dobrym organizatorem — pomyślał. — Ale bał się swych współpracowników, pozbywał się ich. Ja jestem inny — wierzę moim towarzyszom, a oni mi ufają. Aparat pracuje świetnie, wszyscy znamy się od lat jak lyse konie, razem szliśmy naprzód, razem robiliśmy kariery.”

— Zjemy kolację?

— Jaka znów kolacja? Wkrótce czas na śniadanie!

Roześmiali się, uścisnęli sobie ręce. Gość zatrzaskał drzwiczki samochodu, gwałtownie zawrócił i pojechał z powrotem drogą wśród drzew. Ochroniarze zamknęli za nim bramę. Niebo jeszcze bardziej się rozjaśniło — nadchodził świt. Koło domku ochrony Krzaczasty zatrzymał się i wysiadł. Pod rynną, koło ściany, bieląła wanna na deszczówkę. Wody w wannie nie było, ale coś w niej się ruszało.

Tłuste pająki pełzały po dachu, zwisały na sieciach nad wanną, biegły w dół i znów wspinały się pod górę. Krzaczasty przeciągnął ręką w powietrzu i kilka owadów spadło do wanny. Wydostać się po gładkich emaliowanych ścianach nie mogły. Niektóre, zagryzione przez swych współbraci, leżały bez ruchu z łapkami uniesionymi w górę, inne jeszcze usiłowały wrócić na dach. Ale tam, w splecionych przez nie sieciach, czyhały już na zdobycz inne owady. Te w wannie miały się, konwulsyjnie przebierały łapkami, pełzły po ciałach swoich współplemieńców i z szelestem spadały po śliskich ściankach w dół. Tam zaś atakowały je następne. Krzaczasty patrzył jeszcze trochę na pajęczą walkę o byt, rzucił patyczek w krzaki i wezwał ochronę.

Wyjechał za bramę i dodał gazu. Teraz jak najprędzej chciał wrócić do miasta. Zmęczenie dawało mu się we znaki, ziewnął, zamrugał i nagle zobaczył w lusterku: z tyłu pędzą za nim dwie czarne wołgi z kogutami na dachach. No, no, nie zostawili go, robotne

chłopaki, nie jedzą darmo chleba... Krzaczasty zmniejszył prędkość i pomachał ochroniarzom. W odpowiedzi go pozdrowili. Ale natychmiast znów wcisnął pedał gazu gwałtownie przyspieszając.

— Figa z makiem! Nie dogonicie mnie!

Znów pozostali w tyle. On miał „mercedesa”, a oni „wołgi”, te zaś jeszcze nie dorównywały międzynarodowym standardom. Na Prospekcie Kutuzowa szybkościomierz wskazywał 160 km. Krzaczasty mknął środkiem jezdni, między dwiema liniami ruchu, na okrak. Przed jego domem stały jeszcze dwie „wołgi”, a w nich kilku ochroniarzy. Zaniepokoił się nie na żarty. Ominął ich, wpadł na most przy hotelu „Ukraina” i w ostatniej chwili zauważył, że dwie inne czarne „wołgi” stoją na samym środku mostu, a chłopcy wymachują do niego, by się zatrzymał. Gwałtownie zahamował, a „mercedes” wpadł w poślizg na niedawno polanym wodą asfalcie. Prawym bokiem uderzył w „wołgę”, rozwalil jej drzwi i stanął. Pokrywa bagażnika otworzyła się. Wkrótce otoczyły ich inne samochody. Chłopcy w czarnych garniturach i w krawatach wybiegli z wozów i rzucili się Krzaczastemu na pomoc.

— No co, dogoniliście? — spytał gramoląc się z wozu. — Stara gwardia się nie poddaje! Kto da mi papierosa?

Psy wylazły za Krzaczastym i stanęły obok swego pana merdając ogonami. A on śmiał się. Oni również, zadowoleni, że nikt obsztorcowywać ich nie będzie, a wszystko skończyło się bez kłopotów.

Rzucił peta na ziemię.

— Wiecie co, chłopaki: mam propozycję!

Podszedł do bagażnika, spojrzął na uszkodzone drzwiczki samochodu, wyjął z lodówki butelkę. Ochroniarze uśmiechnęli się, zaczęli głośno gadać, zacierać ręce.

— No, kto wybije korek? Markowy portwajn „Trzy siódemki”. Po jednym łyku.

— Ale z czego mamy pić?

— Też mi arystokrata! Prosto z butelki.

Chłopcy przynieśli korkociąg, zwany w żargonie partyjnym „towarzyszem agitatora”. Krzaczasty wyjął z rąk oficera butelkę, odrzucił głowę i cienki czerwony strumyk popłynął mu do ust. Pił spokojnie, małutkimi łykami, potem oderwał butelkę od ust, spojrzął, ile wypił.

— Teraz wy! Do dna!

Butelka krążyła od jednego do drugiego, wszyscy pili, wszystkim było dobrze, lecz nagle w wozie zadzwonił telefon.

— To moja żona, chłopcy — wyjaśnił. — Dobrze, że przez telefon nie czuć zapachu...

Podali mu słuchawkę.

— No tak, to ja. Zaraz wracam!

— Musicie już jechać— rzekł troskliwie jeden z ochroniarzy — Pewno jesteście zmęczeni...

— Mam końskie zdrowie! Nic mnie nie bierze...

Nagle strasznie zachciało mu się siusiać — nie robił tego już dość dawno. Rozejrzał się, gdzie by tu.... Rozpinał guziki podchodząc do balustrady mostu w towarzystwie swoich psów. Za nimi szli ochroniarze.

— Zasłońcie mnie, chłopaki!

Otoczyli Krzaczastego zwartą ścianą, a on stanął twarzą do rzeki. W dole, za czarnymi stalowymi kratami, zdobionymi w sierpy i młoty, cicho płynęły kry na burych wodach rzeki Moskwy. Zionęło chłodem i wilgocią.

— A w ogóle, chłopcy powiem wam jedno — grunt to zdrowie!

Poczuł lekkie ukłucie, ale po chwili strumień uryny popłynął normalnie. Nie mógł oderwać od niego oczu. Strumień był dobry, wręcz znakomity i płynął na pohybel wrogom pokoju, demokracji i postępu.

61. Kibice

Kaszyn oderwał się od papierów, oparł głowę na rękach i obserwował w tej pozie rybki w akwarium. Rusalki potrzebowałyby większego zbiornika, właściwie basenu. Kobiety-ryby są lepsze od zwykłych kobiet, ponieważ same uwodzą mężczyzn. Zazwyczaj trzeba wokół dziewczyny tańczyć, urabiać ją, i nie wiadomo, czy coś z tego wyjdzie. Po raz nie wiadomo który zastanawiając się nad tym, jaka perspektywa jest realna, Kaszyn analizował swe błędy. Lecz dobrze pamiętał o wadach kobiet, które chciałby uwieść.

Sekretarkę naczelnego miał już od dawna na oku, ale nie chciała zrozumieć, o co mu chodzi, choć dawał jej to dawno do zrozumienia. Po pierwsze, rozmawiał cieplej niż z innymi, po drugie, częstował cukierkami, po trzecie, zwierzał się jej. A ona? Żeby chociaż zatrzymała się w jego gabinecie minutę dłużej. Chwyta kart-

kę z poleceniem — i biegnie do swego Igora Iwanowicza. A przecież była wtedy samotna! Gdy któregoś dnia położył wreszcie rękę na jej talii, krzyknęła gniewnie:

— Co to za żarty? Proszę sobie nie pozwalać!

— Żarty? — rzekł Kaszyn urażony. — Dla mnie to poważna sprawa.

— Jeśli poważna, to tym bardziej nie wolno!

No i zrozum taką! Ale potem już nie próbował. Zresztą, z jej ankiety wynika, że jest starsza od Kaszyna o całe siedem lat, więc mogłaby nie zadzierać nosa. Gdyby doszło między nimi do kontaktów miłosnych, perspektywa małżeństwa lub narodzin dziecka (to też należy brać pod uwagę!) byłaby zerowa. Inne związki Walentin nie tylko z racji swoich służbowych obowiązków, lecz i poglądów, lekceważył, choć uważał za realne. Gdyby ktoś mu zaproponował romans, nie odmówiłby, ale jakoś nie było chętnych.

Do łóżka najlepsza byłaby Inna Swietłozierska; promieniuje czymś zadziwiającym, niepojętym. Chociaż, kiedy się z nią rozmawia, powstaje wrażenie, że mogłaby wzbudzić nie tylko pragnienia miłosne. Sama nic nie mówi o perspektywach na przyszłość, wręcz odwrotnie, twierdzi, że wszystkie chłopcy chcą jednego. A przecież Kaszyn nie jest taki. Nieraz okazywał jej sympatię: rozmawiał cieplej niż z innymi kobietami, częstował cukierkami, zwierzał się. A rękę trzymał przy sobie. Kiedy ją zaprosił na szaszłyk, odpowiedziała: „Innym razem”. Tymczasem w redakcji już czterech facetów się z nią przespało, bez żadnych perspektyw na przyszłość! I sama ich kokietowała! Uśmiechała się mile, a przechodząc obok mężczyzn zachowywała się w szczególny sposób; Kaszyn widząc to, nawet gdy z kimś rozmawiał, zapominał, co się wokół dzieje.

Albo taka Sirotkina. Też podoba się Kaszynowi, chociaż jest bardzo młoda. Z tą trzeba by koniecznie się żenić. I chociaż różnica wieku mogła być przyczyną kłopotów, w zasadzie małżeństwo go urządziło — zwłaszcza, że darzy ojca Nadi ogromnym szacunkiem. Gdyby ożenił się z Sirotkiną, teść mógłby się postarać, by znów go zatrudnili w organach bezpieczeństwa. Był więc autentycznie zainteresowany Nadią. Rozmawiał z nią cieplej niż z innymi, trzy razy poczęstował czekoladą, dwukrotnie się zwierzał. Raz zaprosił do kina, a raz do cyrku. Oba razy odmówiła: na kino nie ma chęci, a cyrku nie lubi.

W ostateczności jest jeszcze Raisa Kaczkariewa. Ale ma prostackie maniery, a on chciałby spotkać kobietę choćby pod niektórymi względami niezmierną.

Trudno zatem mówić, że było w czym wybierać. Ale samymi marzeniami człowiek się nie naje. Wybór był i perspektywy otwierały się nęcące, zwłaszcza gdy Kaszyn sobie wyobrażał, jak wyglądałby romans z jedną lub drugą. Przetworzenie zamysłu w realność było wszakże odległe, należało jeszcze nad nim solidnie popracować. Gdyby nie nadmiar pracy, dałby radę. Ale od rana do wieczora był zajęty — tyle spraw na głowie!

Spojrzał na zegarek. Wezwali go dzisiaj na szesnastą. Gdyby wybierał się gdzieś indziej, skorzystałby z samochodu redakcyjnego, ale do u r z ę d u jechał zawsze metrem. Na Placu Rewolucji było tłoczno, przed hotelem „Metropol” kręciło się mnóstwo cudzoziemców. Do okien zagranicznych eleganckich samochodów zaglądali gapie. Dzień był ciepły i do tego stopnia słoneczny, że niepodobna było patrzeć na okna górnych pięter — błyszczały oślepiająco. Ale Kaszyn w górę nie patrzył. Powoli szedł ku ulicy Nieglinnej i patrzył tylko na kobiety, tak jakby je widział po raz pierwszy w życiu.

Bez ciepłych okryć wszystkie stały się zgrabniejsze i niemal nagie. Widać było kolana, a nawet uda. Niektóre w ogóle nie nosiły pończoch, inne miały na sobie cieniutkie bluzeczki. To, co sterczało z przodu i z tyłu, stało się jeszcze bardziej wypukłe, całowitą nagość przesłaniała tylko cieniutka tkanina. Serce Kaszyna łomotało. Kobiety stały się bardziej dostępne, czuł to całym ciałem. Oto one, tuż obok, wybieraj, którą chcesz! Wszystkie są twoje! Tylko poczucie obowiązku nie pozwalało mu przystanąć lub pójść za którąś z nich.

Zanim wszedł do hotelu „Armenia”, obejrzał się jak zwykle: czy nie idzie za nim ktoś znajomy? Zegar w holu wskazywał za trzy minuty czwartą. Kaszyn wszedł na pierwsze piętro, ominął dyżurną, która nie zapytała go o nic, i zastukał do drzwi z numerem 27.

W pokoju siedział za biurkiem mężczyzna, młodszy od Walentina. Kaszyn nie widział go tu przedtem. Mężczyzna wstał na powitanie, powiedział, że nazywa się Pochlebajew i z miłym uśmiechem uścisnął ciepłą dłoń Kaszyna. Zaprosił go, by zajął miejsce w fotelu, a następnie usiadł obok, również w fotelu, nie za biurkiem.

— Zarekomendowano mi pana z najlepszej strony, Walentynie Afanasjewiczu, powiedziano, że mogę na panu polegać. Zwłaszcza, że jest pan naszym pracownikiem.

— Formalnie nie pracuję w Urzędzie Bezpieczeństwa.

— Wiem! Ale teraz wiele osób włączamy do operacji...

— W związku z samizdatem?

— Właśnie! Dostaliśmy stosowne polecenia. Trzeba przywrócić porządek, szybko się pozbyć kłopotu.

— Myślałem o tym — przytaknął Walentin. — Co prawda, od niedawna pracuję w gazecie. Kiepsko u nas z dyscypliną pracy, ale mówią mi: to praca twórcza, jak przykręcisz śrubę, przestaną pisać. I coś takiego mówią szefowie gazety!

— A jaki to ma związek z samizdatem? — zdziwił się Pochlebajew.

— Duży! Proszę pamiętać, że we wszystkich zakładach pracy pod koniec dnia roboczego inżynierowie i projektanci wkładają notatki i szkice do walizek i zanoszą to wszystko do specwydziału. Wyrzucać notatek do kosza nie wolno. No a jak to wygląda w redakcji? Sprawdzam zawartość biurka i koszy na śmieci, lecz wszystkiego nie upilnuję! Jak dowiem się, gdzie kto jedzie, co czyta, o czym pisze? Totalny chaos! A przecież to gazeta centralna!

— Owszem, to problem poważny, ale nie my go będziemy rozstrzygać. Mamy teraz do wykonania konkretne zadanie. W naszej kartotece figuruje niejaki Wiaczesław Iwlew.

— Tak, to nasz pracownik. Rocznik 1935, narodowość rosyjska, członek KPZR, wykształcenie wyższe, uposażenie 180 rubli.

— Sprawdzamy go. Jeśli to istotnie on, zechce nawiązać kontakt z zagranicą. Więc na co czekać? Pomóżmy mu! Krótko mówiąc, proszę zaprosić Iwlewa na mecz hokejowy.

Pochlebajew wstał, podszedł do biurka, wyjął z teczki bilety. — Hokej jest odległy od naszych zainteresowań, więc nie wzbudzi podejrzeń.

— Skąd mogę wiedzieć, czy Iwlew jest kibicem?

— Kadrowiec, a nie wie! Na ten mecz ludzie się pchają, chyba nie będzie problemu. Pójdzie pan z nim, napijecie się piwa, albo nawet czegoś mocniejszego, niech się chłop rozluźni... Jasne?

— Jasne!

— A na trybunie siadźcie tak, żeby on zajął miejsce 22, a pan 23. Obok was będzie siedział gość z RFN, też nasz współpracownik.

— Rozumiem.

— W takim razie proszę działać, nie zatrzymuję pana.

Z powrotem Kaszyn pędził jak na skrzydłach. Cóż, wielu problemów organy same nie rozwiążą, muszą jego, Kaszyna, prosić o pomoc. Udowodni im teraz, że popełnili błąd zwalniając go ze służby. Nie przyglądał się już kobietom, chociaż niektóre — była godzina szczytu — dotykały go w tłumie plecami, ocierały się o niego w metrze. Teraz z pośpiechu nawet kulał mocniej niż zwykle. Idąc ko-

rytarzem i uśmiechając się do wszystkich minął drzwi z napisem „Korespondenci specjalni”, ale po chwili wrócił, tak jakby sobie coś przypomniał. Iwlew siedział na biurku i czytał książkę.

— Dzień dobry, Wiaczesławie Siergiejewiczu — rzekł Kaszyn wesoło. — W redakcji wszystko gra. Więc może pójdziemy na mecz hokejowy? Podobno świetne widowisko...

Sławek wziął z biurka czystą kartkę, włożył ją między strony i odłożył książkę. — A gdybyśmy tak poszli do Teatru Wielkiego?

— Po co do Wielkiego?

— A po co na mecz hokejowy?

— Bo mam bilety! Towar nie do zdobycia...

— Jeśli nie do zdobycia, to weź kogoś z kibiców. Docenią to. A mnie ani hokej, ani balet nie nęca...

— Wszystkim proponowałem — nikt nie ma czasu! — nalegał Kaszyn. — A my jeszcze nigdzie nie byliśmy razem. Napijemy się piwa albo czegoś mocniejszego...

Iwlew spojrział na niego zdumiony.

— Od dzieciństwa nie chodziłem na mecze hokejowe i nie pójdę, póki żyję! To rozrywka dla debilów.

— Może jeszcze się namyślisz...

— Daj mi święty spokój!

Kaszyn wyszedł od Iwlewa rozmyślając nad tym, jak ciężka jest praca w gazecie. Trzeba wykonywać polecenia, nadskakiwać pisma-kom. A ci krzywią się, nie raczą nigdzie iść. Kaszyn był tym zmęczony. Nawet na Kubie, mimo nieznośnych upałów, było mu łatwiej.

Wiaczesław natychmiast opowiedział Rappoportowi o propozycji Kaszyna.

— Odbiło mu?

Jakow Markowicz nie odpowiedział. Stęknął, podniósł się z krzesła i ruszył ku drzwiom. Gdy były już otwarte, burknął:

— Możesz na mnie poczekać, stary? Coś mnie kłuje w dołku.

Iwlew skinął na znak zgody i przez zapocone szkła okularów zaczął obserwować chmury — długie, podobne do ręczników frotte, wolno pełznące za oknem. Nie zauważył, jak wrócił Rappoport i znów usiadł przy biurku.

— Tak właśnie myślałem, mój chłopcze, tak myślałem...

— O czym?

— O hokeju... Sęk w tym, że Kaszyn nikogo z kibiców nie zapraszał. Tylko ciebie.

— Skąd pan wie?

— Spytałem czterech chłopaków, oni naprawdę tym żyją. Zdzi-

wili się, gdy im powiedziałem, że Kaszyn idzie na mecz hokejowy. Chętnie by poszli, ale nie mają biletów. Obawiam się Danajczyków, nawet jeśli przynoszą dary.

62. Wieczne mrozy

Nadia stanęła w drzwiach hali maszyn wymachując nad głową listem:

— Dziewczyny! Która chce szybko wyjść za mąż?

Wszystkie błyskawicznie podniosły w górę ręce z wyjątkiem kierowniczkini działu niemłodej Nonny Abelewej.

— Jednego pasożyta mam dość, po dziurki w nosie!

Maszyny do pisania ucichły, głosy tonęły w miękkim obiciu ścian.

— A ty, Nadiu? — zainteresowała się Swietłozierska.

— On nie lubi chudzielców.

— Jedz więcej chleba, to utyjesz.

— Ale się podnieciły — warknęła kierowniczkini. — Wpierw spytajcie, kogo wam rai.

— Wspaniały kandydat na męża! — zachwalała Nadia. — „Zwracam się do ciebie, kochana gazeto, z prośbą o pomoc. Chciałbym się ożenić, potrzebny mi wierny przyjaciel i towarzysz, by iść z nim dalej przez życie. Jestem starym bolszewikiem, członkiem partii od 1918 roku, weteranem rewolucji i wojny domowej. Skończyłem osiemdziesiąt jeden lat, ślepnę i potrzebuję przewodnika.” Podpis.

— O rany! — ryknęła śmiechem Abelewa.

— No, no! — zawołała Swietłozierska. — On pewno widział żywego Lenina.

— Lenina może i widział, ale twoich walorów już nie zauważy.

— Wielu mężczyzn chce na mnie patrzeć — obraziła się Inna. — Ale nikt się nie kwapi do żeniaczki!

— Więc i ty jesteś zainteresowana? — upewniła się Nadia. — W takim razie tak odpiszę staruszkowi: „Odpowiadając pozytywnie na prośbę przedstawiciela proletariatu, redakcja «Prawdy Robotniczej» przydziela wam żonę-przewodnika w ilości sztuk jedna.”

— To niby przedstawiciel proletariatu? Raczej darmozjad z emeryturą specjalną!

— A ty jakiego chciałabyś męża? — obruszyła się Nonna Michajłowna. — Chłopa na schwał, żywiciela rodziny? Takich teraz nie uświadczysz...

— Nadiu — spytała Inna krzywiąc nosek. — A czy on ma szablę?
— Naturalnie! — odpowiedziała Sirotkina.
— No to jest prawdziwym mężczyzną!
— Ja uważam — oznajmiła Abelewa — że nie szabla świadczy o męskości.

— A co mianowicie?

— Hobby.

— Hobby?

— No nie, źle mnie rozumiecie! Gdy facet jest, na przykład, kibicem, filatelistą, amatorem trunków. Zresztą dość już gadania! — surowo osadziła dziewczyny kierowniczką. — Pogadałyście, a teraz do roboty!

Nadia opuściła halę maszyn przy akompaniamencie chichotu maszynistek. Swietozierska wybiegła za nią.

— Poczekaj, Nadiu — szepnęła ochryple i obejrzała się w poszukiwaniu cichego kącika. — Słuchaj, pęknieś ze śmiechu! Kaszyn mnie wczoraj obraził.

— Ojej — Nadia zatrzymała się jak wryta. — W jaki sposób?

— No więc tak. Już od dawna się na mnie gapił. Ale miałam inne plany. Wczoraj wieczorem, niby to przypadkiem, spotkał mnie na ulicy. Znów zaprosił do szaszłykarni. Żal mi się go zrobiło. W końcu to mężczyzna. „Szaszłyk — powiadam — mogę podsmażyc w domu, na patelni, trzeba tylko kupić surowiec.” Okropnie się ucieszył! Nie tylko na szaszłyk, ale na wódkę dał forszę. Wypiliśmy, zżarliśmy szaszłyk — a ten wciąż siedzi. Więc mówię: „Strasznie tu gorąco, proszę zdjąć marynarkę... A ja, jeśli wolno, włożę podomkę — już wiosna...” Rozebrałam się, nie zapięłam wszystkich guzików, wracam do niego. Trochę ożył, zdjął ze mnie tę podomkę. Mówię do niego: „Zamarzną, zimno!”, a on: „Przecież pani powiedziała, że tu gorąco.” Ale nakłada na mnie tę podomkę. „W porządku — mówię — wytrzymam.” Dopiero wtedy zaczął rozpinać pas. Nawiasem mówiąc wojskowy, z gwiazdą. Ale nie zrobił nic! Ab-so-lut-nie! Podły typ!

Nadia uśmiechnęła się uprzejmie.

— Czego się śmiejesz? Przecież to świństwo! Nic podobnego mnie jeszcze nie spotkało. Przez cały dzień jestem wściekła. Zbrzydłam, czy się zestarzałam? Nie zniosę takiego afrontu. Przecież ja tego idiotę już wykreśliłam z planu.

— Z jakiego planu, Inko?

— Jest jednym spośród trzech redakcyjnych facetów, których jeszcze nie zawlokłam do łóżka. Bo jak się z nimi prześpię, pójdę pra-

cować gdzie indziej — do „Izwestij” a może do „Prawdy”. W przeciwnym razie umarłabym z nudów. Podobno w „Komsomolce” jest dużo młodych mężczyzn, słyszałaś?

— A co myślisz o tym Sasza?

— Kakabadze? Gruzini są lepsi od Rosjan, to fakt. Ale, po pierwsze, nic nie wie, a po drugie — nic mu nie obiecywałam. Nie chodzę na smyczy. A faceci? Faceci, co robią? Mam ich gdzieś! Po prostu miło patrzeć, jak się ponizają, kłamią, nawet forsy nie szcędzą, kiedy są napaleni. Marcowe koty! Warto by ich wszystkich wykastrować, ale wtedy życie byłoby jeszcze nudniejsze... Jak tu przyszedłam, myślałam, że zacznę od góry i będę wędrowała w dół...

— Czyli od kogo?

— Od Makarcewa, aniołku. Dwa razy przepisywałam coś pilnego w jego gabinecie. Już mu oczy zaczęły błyszczeć. Ale Anna Siemionowna domyśliła się: „Niech ci do głowy nie przyjdzie go podrywać!” Też mi madonna! Już wymyśliłam, jak go osiodłać, a on dostał zawału. Chyba już nie będę na niego czekać, zajmę się raczej Jagubowem.

— Nie brzydzisz się, Inka?

— Czego? Wszyscy są na niego wściekli, ale mnie się on podoba. Ma takie usta, że chyba wszystko bym oddała, żeby ich dotknąć.

— No to oddaj!

— Ale on nie bierze. Może się brzydzi, jestem bezpartyjna.

— To karzeł!

— Podobno u karłów...

— Bzdura!

— Wierzę tylko własnym oczom, Nadiu.

— Inka! — zawołała Nadia, lecz zawstydzona nagle umilkła. Dawno już chciała zapytać, ale nie miała odwagi. Wreszcie zdecydowała się. — Powiesz mi prawdę?

— A po co miałabym kłamać? Tylko tobie się zwierzam. O co chodzi?

— Iwlewa też uwiodłaś?

— Nie-e-e..

Nadia zaczerwieniła się, choć nie spodziewała się innej odpowiedzi.

— Czego się martwisz, głuptasie? — Swiętoziorska pocałowała Nadie. — Zresztą, jeśli chcesz wiedzieć, zdarzyło się to tylko raz, na wycieczce. Chciałam go tylko zaliczyć.

To głupio, ale w oczach Nadi pojawiły się łzy.

— Nie płacz, dziewczyno! Mądra baba powinna się cieszyć,

kiedy jej chłop śpi z innymi. Jeśli tak jest, to wszystko z nim w porządku. Byle nie obściskiwał dziewczyn po kątach. Dopiero gdy idzie którąś odprowadzać, robi się przykro. Poczekaj no! Już się z nim nie spotykasz? Jak nie macie gdzie, przychodźcie do mnie. W moim pokoju nawet umyć się można, tylko nie rozlejcie wody. I trzeba wytrzeć tę cholerną podłogę, bo gospodyni będzie się darła, nawet za rubla nie zamknie jadaczki! Przyjdź z własnym prześcieradłem. Albo sama, bez faceta!

— Co ty gadasz?

— Nic takiego! Próbowałam z Rajką Kaczkarową. Ale ona jest gorsza niż chłop, strasznie ordynarna.

— Łóżko nie jest dla mnie najważniejsze, Inno — powiedziała Nadia, cała zaczerwieniona. — Ja chciałabym pójść z Iwlewem do teatru. Nigdy w życiu nie byłam w teatrze z mężczyzną... Zresztą postanowiłam z nim zerwać!

Odwróciła się gwałtownie i poszła do hali maszyn.

— Gdzie się włóczysz! — rzuciły się na nią koleżanki. — Trzy razy do ciebie dzwonili. Biegnij do korespondentów!

Poszła przekonana, że wreszcie zdecydowanie powie „nie”. W pokoju korespondentów przymknęła za sobą drzwi i oparła się o framugę nie patrząc na Iwlewa, który siedział za biurkiem i coś przepisywał. Nabrała powietrza w płuca przygotowując się do rozmowy. Zaraz wyłoży mu kawę na ławę ze spokojem i godnością.

— Chodź tutaj, Nadia — powiedział nie odrywając oczu od książki. — Chcę cię pocałować...

— Nie — odpowiedziała cicho.

Stanowczy ton, z takim trudem zdobyty, roztopił się w owym „nie”.

— Pojedziemy za miasto?

— Po co?

— Na daczę do przyjaciela.

— Po co? — powtórzyła. — Wolałabym do teatru.

— A na mecz hokejowy? Nie chciałabyś na mecz?

— Dlaczego na mecz? — Nadia odżyła. — A w ogóle to z przyjemnością. Dokąd chcesz, byle tylko iść, a nie leżeć.

— Dobrze się czujesz?

— Jak nigdy!

— No to jedziemy.

Po krótkim wahaniu uległa, zdecydowała, że zerwie później — po co urządzić sceny w redakcji? Pozwolili jej wyjść na trzy godzi-

ny. Iwlew czekał na nią koło metra mrużąc oczy w słońcu. Dojechali do stacji „Komsomolskiej” i przeszli na Dworzec Kazański, tam automat wyrzucił bilety do stacji Udielnaja. Na peronie tłoczyły się baby z workami. W kolejce elektrycznej cuchnęło jak w nie wywietrzonej chłopskiej chacie. Po drodze w milczeniu patrzyli przez okno. Iwlew był pochmurny, więc zrobiło się jej go żal.

— Zobacz, jak tu pięknie! — Nadia schwyciła Iwlewa za rękę i pociągnęła go z peronu na uliczkę, tonącą w sosnowym lesie. — Słońce, ptaki, a jakie powietrze! Można oszaleć!

Płaszcz się jej rozpiął, muskał jego rękę. Nadia biegła, a Iwlew kroczył za nią, ciężko i powoli, ostrzegając ją z rzadka: „Teraz na prawo. Prosto. Tam jest kałuża.” Domki letniskowe stały ślepe, z oknami zabitymi deskami na zimę i dla ochrony przed złodziejami. Na pagórkach już roztajał śnieg, żółciła się zeszłoroczna ciepła trawa, lekka para unosiła się nad powracającą do życia ziemią. Koło gliniastego urwiska sterczały świeczki podbiału, gotowe się złocić. A nad urwiskiem nabrzmiały pęki szarej olszyny.

— Nie biegnij tak szybko! Drugi dom za rogiem jest nasz — powiedział Iwlew. — Właściciel mówił, że ma tam drewno. Rozpalimy w piecu, może być jeszcze zimno. Chwileczkę, Nadiu... A cóż to takiego?

Zatrzymał się nagle, ścisnął rękę Nadi, pociągnął dziewczynę za sobą. Koło domku letniskowego (klucze do niego miał Iwlew w kieszeni), stały dwie czarne „wolgi”, jedna z otwartym bagażnikiem. Wiaczesław przygryzł wargi i skrzywił się, jakby go rozboleły zęby. Odpoczął na świeżym powietrzu, rozkoszował się Nadią, biegnącą przed nim lekko, w podskokach, lecz teraz trzeba było wracać do rzeczywistości.

— Co się stało? — zapytała Nadia zaglądając z niepokojem Wiaczesławowi w twarz. — Ktoś przyjechał?

Jej myśl toczyła się utartym torem, więc Iwlew nie odpowiedział. Tamci nie zauważyli ich jeszcze: oba samochody były puste. Ale w każdej chwili mogli zauważyć, trzeba brać nogi za pas...

Wciąż ściskając rękę Nadi cofnął się za róg. Za dwoma parkanami był ogród; nagie krzewy, nie porośnięte zielenią, nie przeszkadzały widzieć tego, co się tam działo. Po ogrodzie krążyło pięciu mężczyzn; co chwila pochylali się, jak gdyby czegoś szukając. Podszedł do nich szósty. Zdjęli płaszcze, oddali mu, a on zaniósł je do samochodu.

— Kto to? — szeptem spytała Nadia.

— Oni — odpowiedział równie cicho.

Zrozumiała, o co chodzi.

— Czego szukają?

— Skrzynki z nielegalną literaturą, jeśli jeszcze jej nie znaleźli...

— Kto ją tu schował?...

— Chyba ja...

Mężczyźni w ogrodzie znów czegoś szukali, to pochylając się, to wyprostowując. Można było zauważyć, że trzymają w rękach długie cienkie stalowe żerdzie, połyskujące w słońcu. Wiaczesław skrzywił się z bólu, tak jakby dźgali nie ziemię w ogrodzie, lecz jego własne ciało.

— O Boże! — jęknęła cicho Nadia.

— Już dawno chciałem ukryć te książki gdzie indziej. Ale nadeszła zima i nie zdążyłem.

— Trzeba było dać mnie.

— Tobie?

— Naturalnie! Najbezpieczniej byłoby u mnie. Chodźmy stąd, boję się o ciebie! Proszę cię, chodźmy!

Potarła czołem o policzek Iwlewa, wzięła go pod rękę i poprowadziła. Nie opierał się. Nie oglądając się za siebie przeszli kilkaset metrów i ominęli staw. Domki letniskowe pozostały z tyłu. Mokra, śliska ścieżka wiodła do lasu. Cienie od pni i gałęzi zamigotały na ich twarzach, brzozowy las przyjął gości życzliwie, ukrył ich przed światem. Nadia co chwila spoglądała z trwogą na Iwlewa. Żeby go uspokoić wsunęła rękę pod rozpięty płaszcz mężczyzny, objęła go i poszła kryjąc głowę pod jego pachą.

— Niewygodnie ci! — objął ją za szyję.

— No to stań na chwilę.

Długo obejmowali się na pagórku, przypominającym mogiłę, pod trzema brzozami. Nadia zadygotała.

— Zimno ci? — zapytał Iwlew.

— Skąd ci to do głowy przyszło? Po prostu nie chcę iść z tobą do teatru.

— A gdzie?

— Do lasu, na trawę...

Było szybko i źle. Ale Nadia chciała, żeby Iwlew choć na chwilę zapomniał o tym, co przyprawiało go o szaleństwo. I osiągnęła cel, podziwiając swego mężczyznę, a nawet nieco przesadzając z okazywaniem mu uczuć. Nauczyła się tego i tak wciągała się w grę, że zapomniwała o grze.

— Kiedy stoisz, trawa wydaje się ciepła... — powiedziała. — Ale ziemia jeszcze nie odtajała. Wybacz, mnie jest chyba zimniej niż tobie...

Nie odrywała wzroku od jego oczu. Znowu przygasły. Co można z nich odczytać? Niepokój, tragedię, gorycz... No i bieg czasu. Iwlew postarzał się. Na skroniach przybyło mu siwizny.

— Chcesz, urodzę ci dziewczynkę?

— Dla pełni szczęścia?

— Wybacz, całkiem zgłupiałam. Gdyby tak można było żyć wyłącznie miłością.

— Znudziłoby ci się szybko.

— A cóż innego można robić? — cichutko spytała Nadia. — Mówiłeś kiedyś, że życie jest jak rzeka. Zapamiętałam to. Gdy byłam mała, nie umiałam pływać, nie wiedziałam, gdzie jest głębia, a gdzie wiry. Ale teraz płynę sama. Tylko dokąd?

— Tam, dokąd wszyscy, Nadiu. Życie to setki strumieni: więzi międzyludzkie, praca, byt... Większość ludzi całe życie płynie z prądem.

— To samo byłoby ze mną, gdyby nie ty.

— Nie jestem lepszy od innych. Niełatwo płynąć pod prąd, który ciągle nas znosi. Ale nikt tego nie doceni.

— No to wyjedźmy stąd, uciekajmy! Rzekę pokrywa lód, a na brzegu panuje mróz!

— Wejść do innej rzeki? Ale i tam zapragnę płynąć pod prąd.

— Mówisz tak pod wpływem Rappoporty!

— Taki już jestem. Dziennikarstwo to wieczne niezadowolenie.

— I co teraz będzie? — skinieniem głowy wskazała letniskowe domki za drzewami.

Iwlew wzruszył ramionami.

— Zanim wyjechaliśmy z redakcji, dzwoniła moja żona. Powiedziała, że telefonuje z automatu.

— Ona cię kocha — rzekła Nadia uprzejmie. — Poczekaj jeszcze trochę. Wkrótce będziesz należał tylko do niej.

— Kocham cię — powiedział Iwlew.

— A ją?

— Ją również.

— Czy można kochać dwie kobiety naraz?

— Jeśli nie, to rozstańmy się sympatycznie, jak mawiają w Odesie. Od razu będzie nam lżej.

— Mile to „sympatyczne rozstanie”. Na stację wracamy razem czy osobno?

— Jasne, że razem. Ale wyłącznie jak przyjaciele!

— Dobrze. Jak przyjaciele!

63. Antonina Iwlewa

Dokumenty złożone w związku ze staraniami o wyjazd zagraniczny. Opinia (w trzech egzemplarzach), o tow. A. D. Iwlewej, urodzonej 29 sierpnia 1939 roku.

Rosjanka, bezpartyjna, wykształcenie średnie zawodowe. Nauczycielka gry na fortepianie i solfeżu w podstawowej szkole muzycznej nr 38. Adres domowy: ul. Marii Ulianowej 4 m. 31. Mąż, Wiaczesław Siergiejewicz Iwlew, urodzony w 1935 roku, dziennikarz „Prawdy Robotniczej”. Syn Wadim Iwlew, urodzony w 1963 roku, uczęszcza do przedszkola.

Tow. A. D. Iwlewa — nazwisko panięńskie Kosych — pracuje w szkole muzycznej nr 38 od 1962 roku. Uprzednio przez trzy lata była nauczycielką w Buriackiej Republice Autonomicznej — osada Mogojtuj — skierowana tam do pracy po ukończeniu szkoły muzycznej.

W szkole muzycznej nr 38 tow. Iwlewa dała się poznać jako świetny fachowiec. Polecenia administracji wykonuje bez zarzutu. Dwukrotnie otrzymała nagrodę. W zespole pedagogów cieszy się autorytetem.

Tow. A. D. Iwlewa pracuje społecznie jako agitator, systematycznie uczestniczy w szkoleniu politycznym, ideowo i moralnie jest bez zarzutu. Przedtem nie była zamężna, dzieci z innych związków nie posiada.

Za granicę tow. Iwlewa nigdy nie wyjeżdżała. Nie zwracała się z prośbą o zezwolenie na wyjazd zagraniczny, toteż nie uzyskała odmowy.

Dyrekcja, organizacja partyjna i związek zawodowy popierają prośbę tow. Iwlewej o zgodę na wyjazd turystyczny do Bułgarii organizowany przez Komsomol i biuro podróży „Sputnik” na okres 20 dni. Decyzja egzekutywy z 15 marca 1969 roku, protokół nr 6. Dyrektor szkoły muzycznej nr 38 N. Czuczulina

Sekretarz organizacji partyjnej W. Ochotniczenko

Przewodniczący związku zawodowego A. Broder

Rozmowa w rejonowym Komitecie partii miała przebieg pozytywny. Politykę partii kandydatka rozumie właściwie. Na pytanie jednego z członków komisji, dlaczego jej ojciec miał takie dziwne imię, odpowiedziała: „Moja matka nie była zamężna, imię ojca zmyśliła, żeby mnie zarejestrować w urzędzie stanu cywilnego”.

Zastępca przewodniczącego komisji do spraw wyjazdów dzielnicy Oktiabrskiej KPZR — M. Feldebin.

Komitec Rejonowy KPZR popiera starania tow. Iwlewej o wyjazd na wycieczkę turystyczną do Bułgarii.

Sekretarz B. Siniukow.

Inne załączniki do dokumentacji niezbędnej w związku z wyjazdem: ankieta, życiorys, sześć fotografii, zaświadczenie lekarskie, m.in. z kliniki psychiatrycznej o tym, że A. D. Iwlewa nie jest jej pacjentką. Uwaga: Paszport zagraniczny należy zwrócić wraz z kwitem po opłaceniu wycieczki. Bilet kolejowy nie będzie wydany do rąk własnych. Turyści otrzymują od kierownika grupy paszport tuż przed przekroczeniem granicy. Waluta zostanie przydzielona w hotelu, po zajęciu miejsc w pokojach.

O przepisach obowiązujących turystów radzieckich za granicą kandydatka została poinstruowana.

(W przededniu wyjazdu zdecydowano, że zamiast A. D. Iwlewej pojedzie na wycieczkę inny kandydat).

DOLE I NIEDOLE TONI IWLEWEJ

W 1938 roku wydział prasy Komisariatu Spraw Zagranicznych zażądał od londyńskiej gazety „Daily Telegraph”, by w trybie natychmiastowym odwołała swego moskiewskiego korespondenta, ponieważ usiłował przeprowadzać wywiady z byłymi więźniami. Wkrótce na jego miejsce przyjechał młody reporter Donald Oxbee, absolwent uniwersytetu w Cambridge.

Już podczas pierwszej rozmowy w Komisariacie Spraw Zagranicznych wytłumaczono Donaldowi, jakie aspekty rosyjskiego życia winny interesować cudzoziemca. Choć kiepsko władał językiem rosyjskim, wszystko zrozumiał: pedantycznie nosił swe artykuły do Komisariatu na kontrolę, posłusznie wykreślając z nich wszystko, o co go proszono.

Oxbee, sympatyk komunistów perorujących o powszechnym braterstwie, w poszukiwaniu fotografii do artykułu o życiu robotników radzieckich odwiedził pewnego razu agencję TASS. W dziale kroniki prasowej wybrał kilka zdjęć, na których śmiali się umorusani traktorzyści i kopiący ziemię robotnicy. Wytłumaczono mu, że fotografie dla zagranicy trzeba retuszować. Młoda retuszerka powiedziała Oxbeeowi, że skoro to pilne, zostanie dłużej w pracy. Niech cudzoziemiec wpadnie za trzy godziny. Na imię ma Ksiusza. Przez trzy godziny reporter „Daily Telegraph” spacerował po Moskwie i żeby nie zapomnieć, powtarzał dziwne imię retuszerki:

— Ksju— szu-a. — Ksju-szua... To całkiem łatwe!

Do niczego dobrego doprowadzić to nie mogło. Gdy po trzech godzinach Donald wrócił do redakcji, Ksiusza nie usunęła jeszcze do

końca brudu z policzków sfotografowanych robotników, nie przebrała ich z kombinezonów w garnitury i krawaty. Mister Oxbee pochylił się nad dziewczyną, żeby zobaczyć, jaka zręcznie pracuje, i nie mógł już oderwać oczu od maleńkiego uszka oraz rudych loczków. Zaczął gwałtownie oddychać, loczki zakołysały się — a on zamarł przestraszony, że przeszkodzi retuszerce w jej odpowiedzialnej pracy.

Gdy fotografie były już gotowe, zaproponował, że podwiezie „miss Ksjuszua” do domu. Okropnie się przestraszyła, a on nie rozumiał dlaczego. Poszli więc na piechotę. Nigdy jeszcze, od dnia przyjazdu do Moskwy, mister Oxbee nie spacerował tyle, co wtedy. Odtąd retuszerka serwisu fotograficznego i reporter „Daily Telegraph” spotykali się codziennie. Dwa miesiące później, przed wyjazdem na krótko do Londynu, Donald oświadczył się Kseni. Znow się przestraszyła, ale powiedziała „tak”.

Złożyli papiery w urzędzie stanu cywilnego i Oxbee wyjechał. Przy okazji zajrzy do rodziców w Cambridge po błogosławieństwo. Ksenia liczyła dni. Donald już dawno powinien był wrócić, a wciąż go nie było. Miesiąc później zwolniono ją z TASS-u za romans z cudzoziemcem. Nie wiedziała co robić, spodziewała się wszystkiego najgorszego. Koleżanki radziły zmienić mieszkanie — z pewnością po nią przyjdą. Miesiąc później, dzięki jednej z przyjaciółek, która pracowała w TASS-ie, odszukał Ksenię nowy korespondent „Daily Telegraph”. Powiedział, że mister Oxbee nie otrzymał wizy radzieckiej, bo prowadził w Moskwie amoralny tryb życia. Gorąco prosi „miss Ksjuszua”, by przyjechała do niego do Londynu. Rodzice zgadzają się na ich małżeństwo, w prezencie ślubnym chcą im ofiarować fermę w Szkocji. Ksjusza rozplywała się w szczęśliwym uśmiechu, lecz nie wiadomo czemu nie pojechała nigdzie. W sześć i pół miesięcy później, nocą, sama poszła na piechotę do izby przyjęć Szpitala Położniczego nr 7.

Córeczce dała imię Antonina. W metryce dziecka zamiast nazwiska ojca widniała kreska. Ksjusza bała się iść gdziekolwiek do pracy, w obawie przed aresztowaniem. Sprzątała więc mieszkania, myła okna, a podczas wojny wyjechała nad Bajkał; tam pracowała w kolchozie. Po wojnie wróciła do Moskwy, chcąc dać dziecku lepsze wykształcenie. Dziewczynka, mówili wszyscy, ma duże uzdolnienia muzyczne, spójrzcie tylko na jej giętkie palce! Gdy Tonia otrzymała swój pierwszy dowód osobisty, był już 1955 rok i nie wsadzano tak łatwo do więzień; zaczęła więc pisać w ankietach, że jej ojciec ma na imię Donald.

List od ojca przyszedł niespodziewanie. Wrzucił go do moskiew-

skiej skrzynki pocztowej jakiś cudzoziemiec. Mister Oxbee pisał, że czekał na ukochaną sześć lat, potem stracił nadzieję i ożenił się. Ma dwie córki Carol — nazwaną tak na cześć matki i Suzy — na cześć Ksjuszua. Prawda, że te imiona brzmią podobnie? List posyła na wszelki wypadek, niezbyt wierzy, że dojdzie. Ksenia ukryła list przed córką i nie odpowiedziała mister Oxbee'owi, choć nie miała do niego żalu, wprost przeciwnie, była wdzięczna, że pamiętał.

Tonia była posłuszną dziewczynką. Jeśli coś było nie w porządku, jej matka natychmiast uderzała w płacz (nerwy miała zszarpane doszczętnie!). Dziewczynka nie mogła tego znieść i posłusznie wykonywała wszystko, na co nie miała najmniejszej ochoty. Została pionierką i zawsze chodziła w czerwonym krawacie, potem była działaczką Komsomołu. Nadażała ze wszystkim: pochłaniały ją lekcje, praca społeczna, muzyka. Wypożyczone pianino domagało się wkładu finansowego, nie używane stać nie mogło.

Nie była brzydka. Zgrabna, długonoga (gdyby tylko ją dobrze ubrać!) z falującymi włosami (gdyby tylko uczesać ją tak, by w tej fryzurze było jej do twarzy!), o subtelnych rysach (tylko te drobne pryszczki na podbródku, powstałe od ciągłego pocierania o szorstką szkolną sukienkę!). Wszystko jej w szkole wytłumaczyli, wskazali, jak rozumieć to czy tamto. Nie wytłumaczyli tylko, jak radzić sobie z tym, że urodziła się kobietą.

Po ukończeniu szkoły muzycznej samotnie pojechała na Syberię. Odpracowała tam trzy lata i wróciła do stolicy. Życie w Moskwie stało się teraz łatwiejsze, pojawiły się nawet zagraniczne ciuchy. Dawne koleżanki szkolne stroiły się, malowały, prowadziły dziwne życie. Kiedyś niemal siłą zawlokły Tonię na wieczorek taneczny. Siedziała samotnie w kącie, nie umiała tańczyć. Nikt nawet na nią nie spojrział. Przeplakała całą noc, żeby nie budzić matki zatkała sobie usta poduszką — miały tylko jeden pokój w mieszkaniu komunalnym, a matka rano szła do pracy. Jak dawniej była retuszerką.

Nazajutrz Antonina wyszukała w gazecie ogłoszenie i poszła do płatnej szkoły nowoczesnego tańca. Otwierano wówczas w Moskwie takie ośrodki, od wielu lat zapomniane. Do tej pory wolno było tańczyć walca, a w wyjątkowych sytuacjach tango. W pałacu kultury niemłoda, krzywonoga kierowniczką z huzarskimi wąsami kazała tym, co wnieśli do kasy stosowną opłatę, stanąć w dwuszeregu: chłopcy — po prawej stronie pod ścianą, dziewczyny po lewej. Pierwszy i pierwsza w szeregu zebrali kwitki. Kierowniczką przeliczyła je, potem przeliczyła uczestników. Liczby zgadzały się, więc uroczyste oświadczyła:

— Uwaga! Niech kawalerowie podejǳą do dam. Naprzóǳ marsz! Teraz bierzemy prawą rękę damy lewą ręką, a prawą rękę kładziemy damie na talii... Świetnie!

Chociaż nauczycielka muzyki Antonina miała już prawie dwadzieścia trzy lata ani prawej, ani lewej ręki nikt jej na talii jeszcze nie kładł. Z przejęcia nie przyjrzała się nawet swemu kawalerowi. Odsunęła się tylko od niego jak najdalej, przerażona dotknięciem męskiej ręki.

— Proszę stanąć tak, jak powiedziałam! — poleciła instruktor-ka. — Zaraz sprawdzę, co z tego wyszło.

Stać tak było niewygodnie a nawet krępująco. Jakie to głupie, idiotycznie głupie — Tonia nie uwierzyłaby, gdyby ktoś jej powiedział.

— Hej, dziewczyno, nie odsuwaj się od partnera! — Do pani mówię, tak jest! Jak pani się nazywa?

— Ja? — ocknęła się Tonia. — moje nazwisko Kosych.

— Nie trzeba być taką kosą! — zażartowała kobieta. — I proszę zapamiętać: odsuwanie się od partnera jest równie brzydkie jak klejenie się do niego. Zapamięta pani?

— Wcale się nie odsuwam — nieśmiało zaprotestowała Tania i rumieniec wypłynął na jej twarz.

— Proszę się ze mną nie spierać, chyba widzę lepiej!

Tonia wybuchnęła płaczem, wyrwała się z objęć kawalera i uciekła. Za drzwiami przywarła do kolumny i pozwoliła łzom płynąć bez końca. Coś się z nią działo. Zawsze umiała nad sobą panować, radziła sobie z myślami, uczuciami, postępowaniem. Dziwiła się, dlaczego inni poddają się przelotnym, niczym nieuzasadnionym słabościom. Ale teraz... Nagle poczuła, że na jej talii znów leży czyjaś ręka. Odsunęła się, lecz ręka nie dawała za wygraną.

— Proszę się nie przejmować... Ona po prostu jest głupia.

Tonia otworzyła mokre oczy i z trudem rozpoznała swego kawalera. Wszedł z sali zaraz po niej. Okazało się, że i on po raz pierwszy jest na tańcach. Z jego długich, mętnych wywodów Antonina zrozumiała: jest tutaj z tego samego powodu co ona. Miał już dwadzieścia siedem lat.

Był taki sam jak ona, przedtem i teraz. Niczego nie musiał wyjaśniać ani usprawiedliwiać. Ona również. Z ironicznym uśmieszkiem wspominała swe pionierskie i komsomolskie fascynacje — były małe i żalosalne w porównaniu z tym, co połączyło ich teraz.

Gdy rodzice Sławka wyjechali latem na Krym, Tonia zaczęła u niego nocować. Wystraszona Ksenia Zacharowna myślała, że dziewczyna powtórzy jej los, lecz Iwlew wkrótce do niej przyszedł i spytał,

czy nie ma nic przeciwko temu, że się z jej córką ożeni. Sensacyjna nowina, że Tonia Kosych wyszła za dziennikarza, w dodatku sympatycznego chłopca, zaszokowała jej szkolne koleżanki.

Nastaly dni przyjemnych kłopotów. Wkrótce Ksenia Zacharowna wyznała córce, że od dawna jest związana z pewnym mężczyzną, malarzem-portrecistą, i chce, by z nią zamieszkał. Dotychczas krępowała się powiedzieć o tym Toni.

Pakując swoje rzeczy przed wyprowadzką Tonia znalazła schowany niegdyś przez matkę list od Donalda Oxbee i zabrała go ze sobą. Strasznie zapragnęła zobaczyć (nic ponadto!) ojca, choć zdawała sobie sprawę, że to nierealne. Nawiązać korespondencji też nie może — mąż pracuje w gazecie partyjnej! Zresztą gdyby nawet odnalazła ojca, ten mógłby się przerazić: obca kobieta, o której nawet nie słyszał, chce być jego córką! Gdyby tak pojechać do Anglii na wycieczkę... Inna sprawa, że podczas wyjazdu turystycznego odłączyć się od grupy niepodobna. Ale przynajmniej zobaczyłaby ojczyznę swego ojca!

Rozmyślenia te zeszyły na plan dalszy, gdy urodził się Iwlewow syn. Było ich teraz troje, mały pochłaniał całą uwagę Toni. Okropnie szczęśliwa, nie zauważała niczego, choć czuła, że Sławek się zmienił. Jak? — nie potrafiła wyjaśnić. Każdy z biegiem czasu staje się kimś innym. Wkrótce po historii z telegramem, który Sławek wysłał do Sołżenicyna, dyrektorka szkoły muzycznej wywołała Tonię z lekcji. Młody człowiek za dyrektorskim biurkiem zaczął ją wypytywać o pracę, rodzinę, męża.

— Przepraszam, kim pan właściwie jest?

— Jestem z Komitetu Bezpieczeństwa. Chciałbym, by wpłynęła pani na męża.

Wystraszona Antonina zacisnęła wargi.

— Nie rozumiem...

— Ma jakieś podejrzone znajomości, a my chcemy ludzi wychowywać, ostrzegać... Proszę nam pomóc — leży to również w pani interesie.

— Mąż jest niezależny.

— Tym bardziej! Po co wtrąca się do spraw, za które grożą surowe kary? A propos, pisuje coś w domu?

— Nie.

— Czyta maszynopisy?

— Nie.

— Niezbyt pani rozmowna... Szkoda! Chcieliśmy tylko pomóc, zapobiec rozpadowi rodziny...

- Nie potrzebuję pomocy.
- Aha, jeszcze jedno: nasza rozmowa musi pozostać w tajemnicy.
- Mam ukrywać coś przed mężem?
- Jest pani obywatelką radziecką?
- Jestem. Ale nie mam przed mężem tajemnic.
- Cóż... Pożałuje pani.
- Grozi mi pan?
- Tylko ostrzegam.

Nie powiedziała Wiaczesławowi o tej rozmowie nie ze strachu, lecz żeby go nie martwić.

Gdy zaproponowano jej wycieczkę do Bułgarii, zgodziła się chętnie. Związek zawodowy dał skierowanie dla szkoły muzycznej poza sezonem wakacyjnym, więc chętnych, a zwłaszcza takich, którzy mieli pieniądze, nie było zbyt wielu. Pomyślała, że rozstanie będzie dla obojga pożyteczne — niech Iwlew trochę potęskni! Przyzwyczał się, że ona zawsze czeka, a wszystko jest przygotowane, zapięte na ostatni guzik. Ona też musi być samodzielna! Poza tym musi jechać do kraju socjalistycznego; bez tego nie puszczą jej do kapitalistycznej Anglii! Marzenie, by zwiedzić ten kraj i zobaczyć ojca, wciąż było żywe. Ale z wycieczki do Bułgarii nic nie wyszło.

64. Nie zapisujcie telefonów!

Tonia wstała koło siódmej, żeby przed pójściem do pracy zawieźć synka do matki. Iwlew spał, więc po cichutku wyslizgnęła się spod kołdry: niech jeszcze trochę pośpi! Rozespany Wadik marudził. Wypili szklankę ciepłej słodkiej herbaty, jedną na dwoje, Antonina ubrała malca w czapkę i kurteczkę. Już spokojniejszy, sam włożył buciki.

Gdy wyszli na ulicę, Wadik potknął się, upadł i zapłakał. To przez sznurowadła w bucikach — były nie zawiązane. Tonia posadziła dziecko na laweczce i uklękła przed nim. Dozorczyńni, zamiatająca chodnik, zatrzymała się w oczekiwaniu, kiedy odejdą.

— To „wołga” — powiedział Wadik.

Znał wszystkie marki samochodów. Z „wołgi” wysiadł mężczyzna w zielonkawym płaszczu i w kapeluszu. Zatrzymał się, wyjął z kieszeni reklamówkę, a z reklamówki gumowe chirurgiczne rękawiczki i ruszył w stronę klatki schodowej naciągając te rękawiczki.

— Kto to? — spytała dozorczynię zdziwiona Tonia.

— Ten typ? — kobieta machnęła miotłą w stronę domu. — Co

dzień rano przyjeżdża, grzebie w śmietniku. Spytałam, dlaczego rozsypuje śmieci wokół kontenera, a on, że jest ze zjednoczenia, sprawdza, co wyrzucamy. Kto tam wie, czego szuka... Skąd mogę wiedzieć?

Mężczyzna nie wszedł na klatkę schodową, lecz do piwnicy. Tonia zawiązała synkowi sznurowadła i podniosła dziecko z ławki.

Zostawiwszy Wadika u matki pojechała do szkoły. Miała cztery lekcje i radę pedagogiczną. Z rady udało się jej zwolnić — powiedziała, że źle się czuje. Zajrzała do jednego sklepu, potem do drugiego — w domu nie było nic do jedzenia. W sklepach również. Ale coś tam w końcu kupiła. Postąpiła w kolejce do pralni, odebrała koszule męża: nie miał już ani jednej czystej. Torba zrobiła się ciężka (nuty i produkty żywnościowe), w dodatku pod pachą Tonia niosła pakiet z koszulami. Szybko wracała do domu, żeby zrobić jak najwięcej: odkurzy pokój, wyszoruje podłogę w kuchni, zrobi pranie, umyje głowę, przygotowuje się do jutrzejszych lekcji. Może i dobrze, że nie puścili jej za granicę. Przez te dwa tygodnie jej mężczyźni zarośliby brudem! I nie wiadomo jak mały zniósłby nieobecność matki.

Przed bramą zatrzymało TONIĘ dwóch mężczyzn. Pomyślała, że są pijani i spróbowała przebiec, jak w dzieciństwie, pod ich rozłożonymi rękami.

— Chwileczkę! — powiedział jeden z nich. — Dokąd pani tak pędzi?

— Nie pańska sprawa!

— Może i moja — dodał drugi i mocno ścisnął jej łokieć.

— Puszczaj! — krzyknęła Tonia.

— Spokojnie! Jesteśmy z milicji. Nie ma się czego bać. Co jest w tej paczce?

I nie czekając na odpowiedź pierwszy z mężczyzn wyciągnął TONIĘ paczkę z koszulami spod pachy.

— Nie ma pan prawa!

— Mam! Dajcie no tu tę paczkę!

Szybko rozwinięli papier, lecz na widok koszul starannie ją znów zapakowali i zwrócili TONIĘ.

— To wszystko. Takie głupstwo i tyle nerwów? Do widzenia.

Grzecznie przepuścili TONIĘ. Gdy w kilka sekund później obejrzała się za siebie, by sprawdzić, czy za nią nie idą, już gdzieś zniknęli. Tak była zdenerwowana, że nie mogła długo znaleźć kluczy. W końcu weszła do mieszkania i poczuła jakiś dziwny zapach. Przestraszyła się — czy aby nie jest znowu w ciąży? — lecz natychmiast stwierdziła, że to absurd. Otworzyła drzwi do kuchni i uzmysłowiła sobie, że to papierosy, tylko nie takie, jakie pali mąż, bardziej słodkie. Owszem, Sławek siedział od rana w domu, przeglądał jakieś papie-

ry. Koło zsypu na śmieci poniewierały się kartki. Pewno nie było jego ulubionych papierosów, więc kupił byle jakie.

W pokoju Tonia przesunęła palcem po biurku — trzeba wytrzeć kurz. Leżały tam zdjęte z półki kartonowe teczki. Widocznie mąż czegoś szukał, spieszył się i nie posprzątał. Tonia niczego nie dotykała. Zdjęła bluzkę i spódniczkę, włożyła szlafrok i poszła do łazienki zrobić pranie.

Koło ósmej wrócił Sławek, zmęczony i zasepiony. Nie chcąc wracać do domu, Nadia pojechała z nim metrem. Zgodził się, choć wolał zostać sam. Próbował pożegnać się z dziewczyną na stacji, ale poprosiła, by pozwolił jej wjechać schodami na górę. A gdy już znaleźli się na ulicy, stwierdziła, że odprowadzi go do domu.

— Koniecznie chcesz, żeby nas zobaczyła moja żona? — zapytał Iwlew. — O to ci chodzi?

— O nic mi nie chodzi — cicho odpowiedziała Nadia. — Wszystko już zdobyłam, mam ciebie. Niczego więcej nie potrzebuję. Żegnaj!

Beznamiętnie pocałowała go w usta i nie oglądając się wróciła szybko do metra. Przez chwilę patrzył w ślad za nią, potem wzruszył ramionami i poszedł do domu. Gdy był już na klatce schodowej, ktoś szarpnął go za rękaw.

— Ten? — spytał w ciemności leniwy głos.

— Ten! A któż jeszcze! Masz, sukinsynu!

Uderzyli w brzuch. Iwlew skulił się z bólu. Stracili z głowy czapkę i szarpali za włosy odchylając głowę do tyłu. Poczul, że go kopią. Ilu jest tych oprychów? Trzech, czterech? Nie widział. Bili w milczeniu, dopóki nie otworzyły się drzwi na klatkę schodową — to wracali do domu sąsiedzi: mąż i żona z dzieckiem. Bandydzi przepuścili sąsiadów, a sami jeden za drugim wybiegli na ulicę. Sąsiedzi nie zauważyli leżącego Iwlewa, ominęli go.

Poleżał trochę i wstał. W windzie spojrział w lustro. Na twarzy ani jednego siniaka. Potwornie bolał brzuch i plecy. Obmacał całe ciało: dobrze, że nie połamali rąk i nóg, czaszka też chyba jest cała.

Do domu wślizgnął się cichuteńko, powoli zdjął płaszcz, długo mył się pod zimną wodą, potem wszedł do kuchni i bez słowa usiadł przy stole. Tonia szybko podała mu kolację o nic nie pytając. Zjadł, pocałował żonę w policzek, poszedł do swego pokoju, ale natychmiast wrócił.

— Toniu! Kto wywrócił mi wszystko do góry nogami?

— Chyba ty sam! — odłożyła nóż, którym kroїła cebulę i spojrziała z niepokojem na męża. — Któż by inny?

— Ja-a-a?! — wyjąkał zdumiony.

— Nie ty wyrzucałeś śmieci? — wskazała palcem na nie zamienioną podłogę koło zsypu.

Wiaczesław uklęknął. Każdy ruch sprawiał mu ból. Podniósł z podłogi strzęp jakiejś kartki. Ależ to jeden z jego nie publikowanych artykułów!

— Co za swołocz tu grzebała?

— Kiedy weszłam, miałam wrażenie...

— Więc to, co uznali za niepotrzebne, darli i wyrzucali do zsypu? Idę na milicję!

Dyżurny lejtnant na komisariacie przyjął skargę obojętnie i niczego nie zapisał. Spytał tylko o nazwisko i miejsce pracy.

— Dobrze, będziemy szukać.

— Nikt nie przyjdzie, żeby obejrzeć?

— Niby co obejrzeć? I tak wszystko jasne — złodzieje. Powiedziałem, że będziemy szukać. A co ukradli?

— Ukradli? Podręcznik francuskiego. Oni mnie pobili, panie władzo!

— Wiesz co, chłopie — lejtnant patrzył na Iwlewa z ironią, choć nie bez współczucia.— Lepiej siedź cicho! Kto ich tam złapie!

Tonia krzątała się jeszcze w kuchni. Iwlew usiadł na stołku, bezmyślnie przypatrując się strzępom kartek i brulionom na podłodze. Zona przykucnęła obok niego

— Wzięłaś mój notes z telefonami?

— Skądże...

— No to wiem, co jeszcze zginęło. Maks Zakamorny skreślił o tym wierszyk: I ze sto razy go recytował:

*Nie notujcie telefonów przyjaciół
Głęboko w pamięci trzeba je kryć!
Tego wymaga nasz czas,
by zwyczajnie, po ludzku żyć...*

65. Maszyna do pisania

Swietłozierska wróciła z redakcji koło dziesiątej. Zatrzymała się przy otwartym oknie, szarpnęła zamek błyskawiczny, zdjęła sukienkę, stanik i westchnęła z ulgą. Wiedziała, że z ulicy widać ją jak na dłoni, ale miała to w nosie. Wiosenne powietrze przyjemnie draż-

niło nozdrza. Inna przeciągnęła się rozkosznie, zajrzała sobie pod pachy i pomyślała, że trzeba natychmiast zgolić tam włosy. Wzięła żyletkę, lecz ktoś zadzwonił.

Zasłaniając ręką piersi otworzyła drzwi — w progu stał Iwlew.

— Sławek? Wejdz, proszę! Wybacz, jestem w negliżu.

— Widzę. — Iwlew postawił teczkę przy drzwiach. — Przepraszam, Inko, za późną wizytę. Ale muszę ci odebrać maszynopis!

— Jeszcze nie skończyłam przepisywać!

— Cóż, trudno... Daj też swoją maszynę do pisania.

— Po co?

— Przywiozłem ci nową, lepszą...

— To znaczy?!

— Nie bądź głupia, dziewczyno. Śledzą mnie. Chcesz, żeby i ciebie w to wmieszali?

— Mnie? Niby w co?

— Przepisywałaś moje teksty, głuptasie!

Świetłozierska gwizdnęła.

— Wejdz, Sławku, proszę. Rozbierz się.

Gospodyni krzątała się po kuchni; kiedy do jej lokatorki ktoś przychodził, nigdy nie wchodziła do pokoju.

— Co to? — przestraszył się Iwlew.

Po ręce Inny płynął strumyczek krwi.

— Głupstwo! Zacięłam się żyletką. Zliżesz?

Iwlew objął Inną, pocałował ją, zebrał językiem krew.

— Dziękuję — powiedziała. — Jeśli potrafisz, zgól mi włosy pod pachami.

Podniosła do góry ręce i obracała się, gdy to robił.

— Mężczyzna — to zupełnie coś innego. Wszystko potrafi. Jak ci się podobają moje majteczki?

— Szalenie!

— Są włoskie. Stare, ale o ile lepsze od naszych! Te kokardki z przodu można rozwiązać.

— Włóż coś na siebie, Inka!

— Jak sobie życzysz — rzekła bez urazy. — Chciałam jak najlepiej. I tak powiedziałam już Nadi, że z tobą spałam...

— Po co, głuptasie?

— To dobry znak: jak nabujam, że kogoś uwiodłam, potem na pewno to się spełni. Kłamstwo staje się prawdą.

— Rozumiem — Iwlew odłożył żyletkę. — A co na to twoja gospodyni?

— Kiedy przychodzi do mnie mężczyzna, idzie do kuchni. Przecież jej płacę.

— Za co?

— Za każdego mężczyznę. Więc jest zadowolona, jak przychodzi wielu. Skąpa jędra: liczy, ile papieru odrywam w klozecie.

Inka postawiła na stole lustro i zakręciła włosy na papiloty. Głowę przewiązała kolorową chustką.

— Straszny upał! Nie patrz na mnie. W papilotach wyglądam brzydko. A w ogóle, Sławku, starzeję się, czas robić karierę, jak inni...

— Po co?

— Żeby tacy jak ty siedzieli razem ze mną.

— To ja jestem stary, Inko. Zwyczajny radziecki impotent... Nie porównuj mnie z innymi.

— Myślisz, że jeszcze jestem ładna?

— Nawet bardzo. O ciebie się nie martwię, Inko...

— Jagubow też dziś mówił, że nieźle się prezentuję. Miał, co prawda, na myśli moją ankietę. Powiedział, że mnie poprze, gdy zechcę wstąpić do partii.

— No i co?

— Przecież ci mówiłam — chcę coś osiągnąć. Obiecał, że zostanę kierowniczką hali maszyn.

— Oho!

— Jasne, że mnie poprze. Chce się ze mną przespać, a ja mam trzymać język za zębami. Zresztą, wisi mi to...

— Na co ci to, dziewczyno...

— Na co? A tobie na co było?

— Ja zapisałem się do partii, bo w nią wierzyłem. A dziś robią to tylko głupcy lub karierowicze.

— Słusznie! Należę do obu tych kategorii. Gdy przyjmą mnie do partii, może wypuszczą za granicę. Strasznie bym chciała pojechać do Włoch na wycieczkę...

— A co byś tam robiła?

— To samo co tutaj, tylko bez obłudy. Mężczyźni są tam nie gorsi od naszych, wiem coś o tym. Nikt z porządnych ludzi mi nie pomoże, a Jagubow — owszem. Głupio nie skorzystać, skoro ma na mnie ochotę.

Wiaczesław wstał.

— Dobra z ciebie dziewczyna, Inko, szczerza, naturalna. Zwróć mi maszynopis, na co ci kłopoty. Przeze mnie cała twoja kariera może runąć...

Wyjęła z nocnego stolika teczkę i trzymała ją w rękach, tak jakby nie chciała oddać.

— Naprawdę przyjechałeś, żeby mnie ratować?

Podeszła bliżej do mężczyzny.

— Powiedz coś, co mnie obrazi. Jakąś obelgę, jeśli chcesz. Nazwij kurwą, uderz nożem, daj mi w pysk. Bez obawy, nie będę krzyzczeć, jestem wytrzymała. No!

Patrzył Ince w oczy. Były suche, lecz rozjuszony.

— Co z tobą? — spytał skonsternowany.

— Ścierwo ze mnie, Sławku.

— Dlaczego?

— A dlatego! Bo wszystko, co dawałeś mi do przepisania w czterech egzemplarzach, przepisywałam w pięciu.

— Po co?

— Piąty dla pewnego klienta. Prosił mnie o to. Tyle mi płacił za piąty, co ty za cztery. A mnie pieniędzy zawsze brakuje, wiesz o tym. Myślałam, że chciał tylko poczytać... Bydlę! Jak przyjdzie, odgryzę mu kutasa! Nie bój się ich, Sławku. Nic ci nie zrobią. No, nie przejmuj się. Zaraz cię rozweselę...

Zdjęła z gwoźdźca na ścianie gitarę, przesunęła palcem po strunach, nastroiła instrument, odkaslnęła.

— Chcesz wódki?

Przecząco kiwnął głową. Inna wzięła z parapetu butelkę, wlała znajdujące się w niej resztki do szklanki, wypila, oblizwała się, odczekała chwilę, by alkohol uderzył falą podgrzanej krwi.

— Posłuchaj, Sławku!

Wszyscy wokół wiedzieć chcą

Co nam daje partia nasza?

Partia to nie kurwa mała,

By każdemu dawać miała...

Ech!

66. Kipisz

Na ławce okupowanej zwykle przez babcię, *vis à vis* wejścia na klatkę schodową siedział młodzieniec w granatowej sportowej kurtce i popatrywał w stronę drzwi. Wychodzący wczesnym rankiem z domu Wiaczesław nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie to, że młody człowiek podniósł się z ławki zbyt szybko. Kroki w bramie były coraz głośniejsze i Iwlew zrozumiał, że jest śledzony. Nie odczepili się od niego, wczorajsze wydarzenia to małe piwo.

W tłumie na przystanku próbował przedrzeć się tam, gdzie najciaśniej, na sam brzeg chodnika. Gdy nadjechał trolejbus, runął jak taran do tylnych drzwi, lecz nie wsiadł razem z innymi. Przecisnął się przez tłum, okrążył z tyłu trolejbus i przebiegł na drugą stronę ulicy. Zatrzymał jadący w przeciwnym kierunku mikrobus z napisem „Torty, ciastka”.

— Kolego, strasznie się spieszę! Zawieź mnie, to niedaleko! Dam trzy ruble!

Obejrzał się i zobaczył, że dwaj osobnicy biegną za nim. Za zakrętem poprosił kierowcę, żeby się zatrzymał, rzucił na siedzenie trzy ruble i dał nura na szkolne podwórko. Okrążył biegiem budynek. Z tyłu za szkołą była dziura w ogrodzeniu, znał ją dobrze. Przez dziurę wydostał się na sąsiednią ulicę i miał szczęście — natychmiast złapał taksówkę. Zgubił prześladowców, wysiadł w centrum koło GUM-u, gdzie zawsze było tłoczno i zatelefonował do Rappoporty.

— Kiedy wybiera się pan do redakcji?

— Potrzebne ci klucze, Sławku?

— Nie, ale chciałbym się z panem spotkać.

— Coś się stało?

— Tak, stało się.

— Dobrze, stary! Tylko skończę się golić i wypiję herbatę.

— Naturalnie, Jakowie Markowiczu. Będę czekał przed stacją metra „Park Izmajłowski”.

— Nie za daleko dla ciebie?

— I tak nie mam nic innego do roboty.

Długo nie czekał. Wkrótce zjawił się Jakow Markowicz w kapeluszu i za luźnym płaszczu, jak zwykle szurając nogami.

— Jakie to kataklizmy każą człowiekowi dobrowolnie wstawać skoro świt?

I podał Iwlewowi kościstą rękę. Wiaczesław opowiedział mu o wszystkim. Stary dziennikarz słuchał w milczeniu i posapywał patrzając gdzieś w bok. Raz tylko uniósł w górę brwi i zapytał:

— Inna? Gdybym usłyszał to od kogoś innego, nie uwierzyłbym. Chyba za krótko siedziałem...

— Co robić, Rap?

— No tak! Teraz pytasz, co robić! Czy ja jestem Czernyszewski? A pytałeś, gdy pakowałeś się w tę historię? Tak czy owak ostrzegalem cię. A zachowałeś się gorzej niż Swietłozierska!

— Ja?!

— Naturalnie. O takich jak Inna nasz przyjaciel Zakamorny powiedziałby słowami świętego Marka: „Ojcze, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią!” Ale ty wiedziałeś! Po to uczyłeś się francuskiego, żeby tłumaczyć francuskich marksistów?

— Custine strasznie się bał, że wpadnie w łapy Trzeciej Kancelarii, Jakowie Markowiczu. Ale kto mógł przypuszczać, że go schwytają sto trzydzieści lat później!

— Nie jego, a ciebie, mój drogi! I co chcesz udowodnić tym swoim heroizmem? Że od czasów cara Mikołaja nic się w Rosji nie zmieniło? Powiadasz, że zmieniło się na gorsze? To fakt, Rosja nie miała szczęścia: zgwałcili ją Mongołowie, a nie Francuzi, lub, co byłoby jeszcze lepsze, Anglicy. Potem by się wynieśli, zapłodniwszy naszą ojczyznę europejską kulturą, a nie Bóg wie jakim świństwem! Sądzisz, że nie wiedzieliśmy o tym bez twojego Custine’a? Więc czego teraz chcesz?

— Chciałem tylko pana ostrzec — śledzą mnie.

— Dzięki! Ale ja zawsze mam wrażenie, że wlecze się za mną ogon. Zwłaszcza w ostatnich dniach.

— Dlaczego?

— Taki rok! Zbliża się dziewiąta fala i za chwilę nas zaleje. Już nieraz przewracały mnie fale, lecz się podnosiłem. Teraz nie zdążę... Przed 1968 rokiem nasz rząd i partia wahały się strachliwie. Lecz gdy zdławiły bunt czeski i wszystko się im upiekło, zrozumiały, że skoro za granicą, w Czechosłowacji, ludzie cierpią w pokorze, to we własnym kraju sam Lenin przykazał, żeby cierpieli jeszcze więcej! No i są już pierwsze ofiary. Ty, Sławku, masz talent. A dla talentów nie ma miejsca w naszym systemie. Zresztą może nie ma go nawet w układzie słonecznym! Jedźmy do roboty, Kaszyn od niedawna sporządza listy spóźnialskich.

Weszli do metra i jadąc w tłoku rozmawiali o sprawach nie związanych z tamtą.

— Jak ci się układa z Nadią?

Sławek wzruszył ramionami.

— Cóż, to nie moja rzecz, chyba jestem staromodny, ale po co zawracasz dziewczynie głowę?

— Sam to rozumiem. Ale gdy słyszę jej głos, natychmiast myślę o łóżku.

— Nie udawaj, Sławku, seksualnego maniaka. Radzę ci jak ojciec.

— Jako ojciec spóźnił się pan, już się z nią nie spotykam.

— I słusznie! Zdradzać żonę można z kimś mniej porządnym.

Wjechali po ruchomych schodach na górę i rozstali się; po co mają ich widzieć razem. Iwlew zatrzymał się przed kioskiem, żeby kupić papierosy i przyszedł do redakcji nieco później niż Rappoport.

Jakow Markowicz zwałił się na krzesło nie zdejmując kapelusza i płaszcza, po czym otworzył kluczem szufladę biurka. Leżała tam na stosie papierów cienka teczka z napisem „Sprawy osobiste”, a w niej kilka mało ważnych wycinków z „Prawdy Robotniczej”. Jakow Makowicz umieścił tam kilka włosów wydartych z własnej kudłatej piersi. Taki mały fortel. Rappoport otworzył teczkę, ostrożnie podniósł pierwszy wycinek — włos pod nim nie było. Powoli podniósł drugi — włos leżał z boku, ktoś go widocznie zrzucił.

— No-no-no — zaśpiewał dziennikarz.

Dalej można już było nie patrzeć. Jakow Markowicz nie bał się kipiszu — był czysty. Walczyć z przeszukiwaniami też nie miał zamiaru. Chciał tylko trzymać rękę na pulsie redakcyjnego życia. Kipisz przynosił mu więcej informacji niż ludziom, którzy rewidowali pokój.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Można?

— Właż.

Ochrzanilby chętnie gości za to stukanie, ale był zbyt leniwy.

Do pokoju weszło dwóch młodzieńców o pyzatyh gębach — jeden w czarnym garniturze, drugi w szarym. Ich twarze wydały się Rappoportowi znajome. Nie lubił takich fizjonomii, toteż nie od razu je sobie przypomniał.

— Jesteśmy z KC Komsomołu, towarzyszu Tawrow — przypomniał typ w szarym garniturze. — Pamięta pan, wspinaczka na szczyt...

— A jakże — ożywił się Rappoport. — Chcieliście wnieść popiersie Lenina... eee... na Elbrus?

— Na sam Szczyt Komunizmu. No więc...

- I donieśliście? Zdaje się, było was trzech?
- Widzi pan, Stiepanow, ten, który niósł popiersie, pośliznął się...
- Upuścił Lenina?
- Tak, i spadł w przepaść. Ale dzięki naszym staraniom otrzymał pośmiertnie tytuł mistrza sportu...
- Szkoda popiersia — zauważył Jakow Markowicz, przypatrując się badawczo przedstawicielom młodej generacji.
- Stiepanowa też szkoda. Ale nasz kolega... ten tutaj... Postanowił iść w jego ślady.
- Pańskie nazwisko? — spytał Rappoport.
- Rediukin.
- Wniesie pan popiersie na szczyt?
- Jasne!
- Ale przecież się umówiliśmy, młodzi ludzie: podamy tę informację dopiero wtedy, gdy posąg znajdzie się na szczycie. Teraz to przedwczesne, chyba rozumiecie...
- Towarzyszu, Tiażelnikow zatelefonował do Jagubowa, przed chwilą byliśmy u niego. A Jagubow zgodził się: „Grunt to przyciągnąć uwagę społeczeństwa, popiersia i tak nikt nie zobaczy za chmurami.”
- Więc po co zawracacie mi głowę! — zirytował się Jakow Markowicz. — Trzeba było do razu zaśpiewać, że wszystko uzgodniliście z szefem. No więc tak. Po prostu o tym napisać? Zbyt drobna sprawa. Czym można zainteresować szeroką publiczność? A może tak: Rediukin wysunął inicjatywę: „Na każdym szczycie — popiersie Lenina!” Nad tytułem jeszcze pomyślimy. Zbliża się stulecie urodzin wodza, a jeszcze tylu obiektów przyrody nie wykorzystaliśmy propagandowo! Przyjdźcie po świętach, załatwimy sprawę.
- Znów zadzwonił telefon. Jakow Markowicz mocno uściskał gościom dłonie i wypchnął ich za drzwi.
- Cześć, stary! — w słuchawce zahuczał głos Sahajdaka.
- Masz jakieś nowiny, Syzyf?
- Zrobi wszystko, o co prosileś, Jasza — skromnie oznajmił Syzyf Antonowicz. — Gówniarz przeszedł już ekspertyzę psychiatryczną. W instytucie Serbskiego stwierdzili, że jest zdrow, lecz podczas wypadku doznał na tle nerwowym pomroczości jasnej. Nie pójdzie pod sąd, rodzice mogą go zabrać.
- Dzięki ci, Syzyfie. Byłem absolutnie pewien, że możesz wszystko.
- Uratować smarkacza udało się bez trudu. Takie reguły gry, powiedziałby Makarcew. Ale reguły się zmieniają — wkrótce trzeba będzie grać inaczej.

67. Powrót syna marnotrawnego

Zinaida Andrejewna zamówiła samochód na dwunastą trzydzieści. Dwojeninow wyjechał z garażu jak zwykle nieco wcześniej, powiedziawszy dyspozytorowi, że jedzie do redakcji. Ale z automatu zadzwonił do redakcji: pracuje dziś u żony Makarcewa, może to potrwać kilka godzin! Teraz do dwunastej trzydzieści był wolny, lecz nie zamierzał brać łebków. Szybko wyjechał na szosę Wołokolską i co chwila przecinając linię osi, omijał kolumny ciężarówek. Spieszył się do rodzinnego Anosina.

W ubiegłą niedzielę pochowali babkę Agafię. Aleksy i Luba też byli na pogrzebie, przyjechali w piątek, po tym jak Kławdia znalazła ciało babki zgięte na podłodze przed ikoną. Staruszka umarła ze starości, dożyła osiemdziesięciu dwóch lat. Do ostatniego dnia życia pracowała w warzywniku, hodowała szesnaście kur i jednego koguta.

Z początku chcieli zawieźć Agafię do Zwienigorodu, ale Losza skoczył na motocyklu sąsiada do cerkwi i umówił się z batuszką, że ten odprawi mszę na miejscu za trzydzieści rubli. Na wieść, że Agafia była mniszką, pop obniżył cenę.

Cmentarz w Anosinie leży na wzgórzu. Widać go ze wszystkich stron, choć jest otoczony drzewami. Grób wykopali na skraju cmentarza. Dół niezbyt głęboki — ziemia jeszcze nie odtajała, nie chciała przyjąć nieboszczki. Stypa była ponura, hałaśliwa, samych butelek po wódce trzeba odwieźć do sklepu dziewiętnaście, a jeszcze siedem ćwiartek i dwie wypchane torby butelek po portwajnie. Wszystko wypili do dna, żeby babka Agafia spoczywała w spokoju i by ziemia była dla niej lżejsza od puchu.

Po drodze Losza postanowił zajechać do Pokrowskoje, spróbować szczęścia — a nuż przyjmie go przewodniczący kolchozu? Tak i tak, umarła rodzona babcia, trzeba przepisać dom na wnuka. Mar-na, co prawda, ta chałupa, przegniła, ze słomianym dachem, ale jestem spadkobiercą, w razie potrzeby migiem załatwię wszystko z notariuszem, wiecie dobrze, gdzie pracuję.

W ciągu trzech dni, jakie minęły od pogrzebu, Losza zdecydował, że nie będzie robił przybudówki do rodzicielskiego domu: wszystkie siły i pieniądze włoży w chałupę Agafii. Będzie miał własną dachę, rzadko kto może marzyć o czymś takim.

Do zarządu kolchozu podjechał z szykiem i postawił wóz tak, by tylny numer MOS i następujące po nim cyfry było widać z okien gabinetu przewodniczącego.

Przewodniczący był na miejscu. Nikanora Dwojeninowa znalazł od dawna, ale nie poparł prośby jego syna. Spadek spadkiem, tylko Losza już dawno nie jest zameldowany w Anosinie. A działka leży w dobrym miejscu, damy ją członkowi artelu. Dom wybudujemy nowy — gdy władza zwierzchnia przejedzie obok szosą, kolchoz nie będzie się wstydził. Więc Losza musi obejść się smakiem.

— Co tam u was w KC? — zmienił temat przewodniczący.

— Wszystko po staremu — odpowiedział Losza.

— Jak po staremu, to dobrze — rzekł przewodniczący. — A w ogóle, jeśli ruszyć głową, to znalazłoby się wyjście...

Pomyślał, że tacy kierowcy jak Dwojeninow są na wagę złota. Gdyby miał szofera, który uprzednio pracował w KC, wyglądałoby to nieźle.

Zaproszony do powrotu na wieś Losza uśmiechnął się w głębi duszy.

— Gdyby odbudować dom, przyzwycząić się na nowo do życia na wsi — rzekł wymijająco — wtedy mógłbym pomyśleć. Ale z drugiej strony to dom babki Agafii, nie można go tak po prostu...

— Po prostu nie można — zgodził się przewodniczący. — Ale stara umarła, a ziemia nie jest twoja ani moja, lecz kolchozowa, i ta pod domem i ta wokół domu. Więc można.

Nagle Dwojeninowa-juniora olśniło:

— A gdyby matka rozwiodła się z ojcem, można by na nią przepisać dom? Jest kolchożnicą!

— Po to się z nim rozwiedzie?

— Nie po to. Już dawno chciała.

— No, w tych sprawach decyduje sąd.

Po drodze do Anosina Losza zatrzymał się przed sklepem i wziął poza kolejką butelkę wódki. Gdy matka nakryła do stołu, postawił na nim tę butelkę, choć sam nie zamierzał pić. Szybko opróżniono butelkę. Nikanor chciał już biec po następną, lecz Losza nagle powiedział, że spotkał przewodniczącego kolchozu. Kto wie, co zrobią z domem babki, ale jest pewien sposób, żeby go odziedziczyć.

Matka zgodziła się na rozwód z miejsca — niech Losza skorzysta — ale ojciec się rozplakał:

— Walczyłem na froncie! Czy o to walczyłem?

— Milcz! — warknęła na męża Klaudia. — Musimy to zrobić dla rodziny. Milcz, jak nie umiesz myśleć!

Nikanor pokiwał głową, że niby się zgadza, ale łzy ciekły mu po twarzy.

— Boję się, strasznie się boję.

— Potem znów się zarejestrujemy, durniu — spokojnie wytłumaczyła mężowi Kława. — A na razie będziemy żyć na kocią łapę. I tak już dawno u ciebie nic z tych rzeczy. Grunt to przepisać na Loszę dom matki, żeby nam nie zabrali...

Opowiedziała Aleksemu, ile się nasprzątała w domu Agafii po pogrzebie.

— Mnóstwo śmieci wyniosłam i jeszcze sporo zostało. Zobacz, może coś sobie weźmiesz...

— Idziemy pieszo, czy pojedziemy?

— Można i na piechtę, nogi nie odpadną, ale troszkę daleko...

Pragnęła, żeby syn powiózł ją przez wieś. Pojechali. Losza osobiście przekręcił klucz w drzwiach, obejrzał izbę zastanawiając się, jak by tu się im mieszkało z Lubą latem. W stercie szmat nie znalazł dla siebie nic przydatnego.

— Trzeba to spalić — zdecydował.

Całą ścianę i kąt aż do okna zajmował ikonostas, uratowany przez babkę: w czasach rewolucji zabrała go z klasztoru. Dwojeninow zaczął zdejmować ikony i składać je na środku izby. Klaudia patrzyła na to bez słowa.

— No tak — rzekł mentorskim tonem Aleksy, gdy zdjął już wszystkie święte obrazy. — Będzie więcej miejsca i mniej kurzu! Moją sytuację też zrozumcie. No, tatko, bierz ten chłam, niesiemy do wazywnika!

— Już dawno trzeba było spalić! — oświadczył Nikanor odkuwając się za pomysł z rozwodem.

Ciężkie, okute miedzią ikony położyli na grządce, wilgotnej od nieroztającego śniegu.

— Oby tylko nie było nieszczęścia, to przecie ikony — mamrotała Klaudia idąc za mężczyznami...

— Jak nie rozumiesz, to siedź cicho! — pouczał żonę Nikanor. — Bo po rozwodzie ochajtnę się z inną.

— Kto by cię chciał, stary dziadu? Ledwo się na nogach trzymasz!

— Nieważne. Znajdę młodszą, nie bój się. Znam swoją cenę.

Nie wiadomo czemu Nikanor poweselał i ikony z domu wynosił biegiem, przygadując i dodając synowi otuchy. Do stosu z ikonami Losza dorzucił starą odzież, dwa połamane taborety, wcisnął pod to wszystko paczki starych gazet, wyjął z kieszeni zapalniczkę firmy „Ronson” (prezent Makarcewa) i podpalił. Szmaty zatliły się, poszedł dym. Taborety zwęglaly się. Pokryte farbą i metalem ikony trzeszczały, lecz nie chciały się palić.

Gdyby to wszystko wymyślił Nikanor, Klaudia przyłapałaby mu

pierwszą rzeczą, jaka wpadłaby jej w ręce, a ikony wyciągnęłyby z ognia. Niech by sobie leżały w szopie. Kto wie, co się zdarzy. To przecie sam Pan Bóg! Ale synek wie najlepiej, był oficerem, a teraz pracuje w ważnym urzędzie. Dobrze wie, co robi! Może znów kazali niszczyć święte obrazy, a może Losza boi się donosu. W zeszłym roku chodził do babki letnik, malarz artysta. Mówił, że to ikony bardzo stare, z siedemnastego wieku. Za każdą dawał osiemdziesiąt rubli. A ikon Agafia miała kilkanaście. Dałby i więcej, ale babka nie chciała: to święte obrazy z klasztoru, grzech sprzedawać. Teraz Klaudia nic o tym nie wspomniała, żeby biedy nie napytać. Lepiej niech już spłoną...

Aleksy z ojcem poszli do chaty, żeby pogadać o remoncie, policzyć, ile potrzeba desek, sprawdzić, gdzie przegniły belki. Wszystko zrobią sami, nikogo do roboty nie wynajmą.

— Zaczniemy w majowe święta. Tylko trzeba mamę z ojcem jak najszybciej rozwieść.

— Dobrze, synku, dobrze! — mamrotała Klaudia. — Jutro pojedziemy. Ale co gadać, jak zapytają, po co ten rozwód?

— Powiedz, że stary pije... Alkoholik i basta.

— Ja — alkoholik? — obruszył się ojciec. — Nie pozwalaj sobie, Loszka! Wypić potrafię, ale alkoholik... to za wiele.

— Nie bądź, tatko, dzieckiem. Nie wszystko ci jedno?

— Nie słuchaj, synku tych głupot! Nie wstyd ci, stary!

— Tylko dla papierka — wyjaśnił Aleksy.

— Cóż, jeśli dla papierka, to się zgadzam!

Gdy Dwojeninowie znów weszli do warzywnika, ikony już się paliły czystym pomarańczowym płomieniem, bez czadu i dymu. Wokół było pełno popiołu.

— Na nawóz pójdzie — powiedział Aleksy i zerknął na zegarek.

— Jak tam twój naczelnik? — spytał ojciec — Wyszedł ze szpitala?

— Dzisiaj go odbieram.

— Znaczy, wydobrzeł. Bo można wyjść ze szpitala nogami do przodu. Mnie też noga bardzo boli. I bardziej kuleję.

— Piłbyś, stary, mniej — wytknęła mężowi Klaudia.

— Lekarz mówił, że to... no... wyleciało mi z pamięci...

— Zakrzepowe zapalenie żył — wyrecytowała żona.

— No właśnie! Powiedział, że wezmą mnie do szpitala. Ale po co się kłaść, jak mogę chodzić? Kiedy nie będę chodził, to się położę, prawda, synku? Leczy się człek czy nie — i tak choróbsko wylezie bokiem.

— Kto tam wie! — powiedział Losza. — A w ogóle to poszedłbyś do szpitala na badanie...

— Jeszcze mi tego brakowało! Zawsze znajdą coś takiego, że kładź się, człeku, do trumny. A kto chałupę wyrychtuje?

— Czas na mnie — powiedział Aleksy. — W majowe święta przyjedziemy z Lubką, chyba że będę miał dyżur. Przywieziemy jakieś żarcie.

Wyszedł za furtkę i czarna „wołga” zniknęła za lasem, zanim Klaudia zdążyła dobiec do płota. Dwojeninow był spóźniony, lecz miał nadzieję, że w tak radosnym dniu nie będą go zbyt rugać. Zinaida Andrejewna już czekała przed domem na ulicy. Była strasznie przejęta i wciąż popędzała Loszę. Obiecali zwolnić Igora Iwanowicza o czternastej, zaraz po konsylium. Z holu Zinaida zatelefonowała do męża.

— Dlaczego tak późno? — spytał. — Nie mogę się doczekać...

— Wypisali cię?

— Kilka godzin temu, jestem już ubrany — powiedział Makarcew, chociaż lekarze wyszli niedawno, a on dopiero przed chwilą zdjął piżamę i włożył spodnie.

Pomagała mu pielęgniarka, żeby mniej się ruszał. Do holu wszedł z ordynatorem działu kardiologicznego — kobietą, która trzymała go pod rękę. Podeszedł do żony i pocałował ją w uszmińkowane wargi. Zaczęła mrugać oczyma, żeby nie pojawiły się łzy.

— Mój Boże, czyżby to koniec naszych zmartwień? — jęknęła radośnie.

— Jeszcze nie — powiedziała pani ordynator. — Igor Iwanowicz musi zacząć nowe życie i bardzo się oszczędzać. Obowiązuje go lekka dieta, odpoczynek, spacer, dużo snu, żadnej przesady w niczym — spojrzała na Zinaidę Andrejewnę.

— Rozumiem, rozumiem — Makarcew rozłożył ręce. — Jaka tam przesada!

— Proszę nie żartować, Igorze Iwanowiczu! Nie wolno też panu pracować. Musi pan wyjechać do sanatorium na miesiąc lub półtora.

— Mowy nie ma! — zaprotestował Makarcew. — Już dosyć wymęczyliście mnie odpoczywaniem! Dla mnie najlepsze sanatorium to praca.

— Jeśli pan nie będzie mnie słuchał, Igorze Iwanowiczu, zatelefonuję do KC, poskarżę się na pana...

— Dobrze, niech tam. Na tydzień do domu, a potem do sanatorium...

— A w domu szpitalny reżim, przyjadę sprawdzić.

— Despotka!

Zinaida Andrejewna podała mężowi palto, sprawdziła, czy

szyję okrywa mu szalik, choć na ulicy było ciepło i słonecznie, zapięła górny guzik palta. Aleksy wyskoczył z samochodu, otworzył przed szefem drzwiczki i czekał uśmiechnięty.

— Jak się masz, przyjacielu! — powiedział wesoło Makarcew i mocno uściśnął Dwojeninowowi rękę. — Pewno myślałeś, że się nie wykaraskam?

Makarcew zanosił się śmiechem. Był szczęśliwy.

— Gdzie tam, Igorze Iwanowiczu. Troszkę pan się pochorował i tyle. Zdarza się... Mój tatko ma, na ten przykład, zakrzepowe zapalenie żył. A radzi sobie całkiem nieźle!

— Wiesz, Zina, jak on się przestraszył, gdy upadłem? — mówił Makarcew sadowiac się na przednim siedzeniu. Głowę odwrócił do tyłu, w stronę żony, a ręką otwierał skrytkę. — Losza, masz dla mnie fajki?

— Garik! — Zinaida Andrejewna położyła mężowi rękę na ramieniu. — Nie wolno ci...

— Znów ten domowy terror. Tego nie wolno, tamtego też nie. Dopiero teraz się zacznie. Nawet nieszczęsnego papierosa nie mogę zapalić. Będziemy palić, Alosza, podczas jazdy, tak żeby nikt nie zauważył.

Podobała mu się taka demokratyczna rozmowa z kierowcą, a Losza mknął po obwodnicy, żeby przez Prospekt Leningradzki wyskoczyć ku stacji „Dynamo”, do domu Makarcewa, a potem jechać do redakcji, opowiedzieć tam wszystko ze szczegółami.

— Przepisałam dla ciebie dietę z jakiejś książki, Igor — przypomniła sobie Zinaida Andrejewna. — Jak odżywia się amerykański milioner. O dziewiątej kasza owsiana bez mleka i dziesięć deka gotowanej cielęciny. Filiżanka zielonej herbaty. O dwunastej trzydzieści — trzydzieści deka gotowanej głębokowodnej ryby, bez soli, pięć przepiórczych jajek na surowo, filiżanka kawy, kawałek żółtego sera. O piątej — pół szklanki mocnego bulionu, lekko podsmażona dziczyzna, pięć deka kawioru z cytryną, dwie morele. O dwudziestej trzydzieści — herbatka.

— Skąd weźmiesz głębokowodną rybę? A koniak? Chyba się przesłyszałem, prawda, Losza?

— Koniak osobno, Igorze Iwanowiczu, tak samo jak papierosy...

— Czemu nic nie mówisz o Bobie, Zino? — nagle spytał surowo Makarcew. — Kiedy go wypuszczą?

— Nie chciałam ci przypominać, Garik. Wczoraj telefonowali, pozwolili dziś po niego przyjechać.

— Dziś?! To czemu milczysz, u diabła!

— Myślałam, że odwiozę cię do domu i pojedę — zamknęła oczy, jej usta rozplynęły się w uśmiechu. — Taki dzisiaj dzień — mnóstwo kłopotów.

— Nie, nie zgadzam się. Pojedziemy razem.

— Nie wolno ci!

— Pozytywne emocje są pozytywne! Aleksy, zawracaj. Sam wiesz, w którą stronę...

— Pietrowka 38?

Dwojeninow zerknął w boczne lusterko i zaczął szybko zmieniać pasy, śmigać z lewego na prawy, wyprzedzać samochody usiłujące skręcić w lewo. Wszyscy umilkli. I milczeli tak długo, póki kierowca nie stanął przed gmachem MUR-u.

— Garik, posiedź w samochodzie, ja sama...

— A dasz radę beze mnie? Mimo wszystko...

— Siedź, siedź...

Gdy żona zniknęła za bramą, Igor Iwanowicz wyciągnął z kieszeni szklaną fiolkę, wytrząsnął z niej na dłoń dwie pigułki, wrzucił je do ust i przyłożył palec do warg, dając Loszy do zrozumienia, że zażywanie lekarstw to tajemnica. Aleksy kiwnął głową: Jasne, rozumiem!

Przesiedzieli tak ze czterdzieści minut i kierowca pomyślał o Annie Siemionownie. Na pewno sądzi, że już dawno odwiózł Igora Iwanowicza, a teraz wozi po Moskwie łebków. Loszka zawahał się: może warto spytać szefa o miejsce w „Sowtransawto”? Po krótkim zastanowieniu rozmyślił się: Makarcew z pewnością nie ma do tego głowy.

Z początku Igor Iwanowicz nie poznał Boba. Ostrzyżony do gołej skóry jego syn wyszedł z bramy w kurtce, bez czapki, z nieobecnym wyrazem twarzy. Za nim dreptała Zinaida Andrejewna, niosąc w wyciągniętej ręce czapkę, której chyba demonstracyjnie chłopak nie chciał włożyć. Aleksy odwrócił się, by nie okazywać nadmiernej ciekawości. Borys otworzył drzwi, usiadł na tylnym siedzeniu i bez powitania, tak jakby nie zauważył ojca, rzekł do kierowcy:

— Daj zapalić!

Aleksy zerknął na Makarcewa. Jego szef siedział podenerwowany, sztywny, z oczyma wbitymi w szybę. Dwojeninow wyjął paczkę papierosów, wysunął z niej jednego, pstryknął ładną zapalniczką.

— Jedźmy — wycedził Makarcew, gdy Zinaida Andrejewna usiadła obok syna. — Jak najprędzej do domu...

— Dlaczego mnie zabraliście? — spytał Borys.

— Nie trzeba tak, synku — powiedziała cicho Zinaida Andrejewna.
— Kto was prosił?
— Pogadamy w domu — uciał Makarcew.
— Przyjechaliśmy po ciebie prosto ze szpitala, właśnie wypuścili tatę...

— A ja niby skąd wracam? Rano przywieźli mnie z wariatkowa...

— Jesteś głodny?

Borys plunął na dywanik, roztarł ślinę nogą i nie odzywał się przez całą drogę. Gdy wysiedli na ulicy Pietrowsko-Razumowskiej, tuż przed domem, Igor Iwanowicz, przytrzymując rękami drzwiczki, poprosił kierowcę:

— Losza, powiedz w redakcji, że u mnie wszystko w porządku, czuję się dobrze, wkrótce będę w pracy. O całej reszcie nic nie mów...

— Jasne, Igorze Iwanowiczu — rzekł urażony Aleksy. — Nie jestem dzieckiem...

— Wiesz, co? Nie mów, że wkrótce wrócę do pracy...

— Rozkaz.

Makarcew zatrzaskał drzwiczki i kierowca odjechał.

— Po co mnie zabraliście? — krzyknął Borys stając w progu.

— Jesteś naszym synem — wyjaśnił Makarcew. — Nasz syn powinien siedzieć w domu, a nie w więzieniu.

— Może w więzieniu byłoby mi lepiej?

— Pomyśl o ojcu, Boria! Miał zawał. Pomyśl o jego sytuacji: kandyduje na członka KC!

— Wciąż mam myśleć o jego pieprzonej karierze? Mam trząść portkami razem z nim?

— Chyba rozumiesz — powiedziała Zinaida Andrejewna. — Teraz droga do członkostwa w KC może być dla niego przez ciebie zamknięta.

— O jednego faszystę będzie mniej. Wiedz, że specjalnie potraściłem tych dwóch typków, żeby ci podłożyć świnie!

— Mnie? — Makarcew wciąż jeszcze stał zgnębiony w przedpokoju, a zimny pot zalewał mu czoło. — Kłamiesz, łobuzie! Jestem twoim ojcem!

— Ojcem? Nawet ojcowie-pijacy są lepsi od ojców-skurwysynów!

— Ja jestem skurwysyn? Jak śmiesz...

— A kimże ty jesteś? W domu udajesz zasadniczego, a w KC liżesz dupy łajdakom. Takich jak ty wkrótce będą wieszać. Zniszczyłeś mi życie, stalinisto! Nie o mnie się boisz, lecz o własną skórę!

— Głuptasie! — Makarcew usiłował się uśmiechać, lecz ręce

mu drżały. — Ja też omal nie padłem ofiarą represji. Także ty i twoja matka. Nie mówiliśmy ci o tym.

— Omal nie padłeś ofiarą. Lepiej byś uczciwie zgnił w łagrze!

— Myślisz, że jestem idiotą i nic nie rozumiem? A nie przychodziło ci do głowy, że ocaliłem nas z matką, żeby chronić ciebie? I że robiłem karierę po to, żeby tobie żyło się lepiej? Gdyby mnie wtedy zgarnęli, wylądowałbyś w sierocińcu. Bez mojej pozycji i prestiżu, nie mógłbyś nawet marzyć o studiach. Pognaliby cię ze szkoły do fabryki, do tokarki. A ty żyjesz niemal jak w komunizmie i dla własnej przyjemności oskarżasz ojca. Musisz wreszcie zrozumieć, czego chcesz od życia!

— A jak mam zrozumieć, skoro nic nie słyhać? Wciąż zagłuszenie „Wolną Europę” ...

— Dobrze, będę ci przynosił francuskie gazety — Makarcew sięgnął do sprawdzonej formy wychowania potomstwa poprzez korupcję. — Albo nawet amerykańskie.

— Dawno mogłeś przynosić...

Zapadła cisza i Zinaida Andrejewna poczuła, że rozmowa o polityce, jak zwykle, się wyczerpała, zakończyła niczym, a intonacje złagodniały. Postanowiła pchnąć dialog swoich mężczyzn na praktyczne tory i zbliżyć ich w ten sposób.

— Opuściłeś dużo zajęć... Trzeba to załatwić na uczelni.

— Na jakiej uczelni?

— Na twojej.

— Jesteście bezdennie głupi! Nie ma żadnej uczelni! Nie domyśliliście się tego?

— Więc co ty właściwie robisz? — Makarcew doszedł do wniosku, że syn sobie z nich drwi.

— Nic! Nawet nie poszedłem na egzaminy wstępne...

— Co w takim razie robiłeś?

— Piłem. Słuchałem muzyki. Spałem z dziewczynami, jak nie było was w domu. Mama ci nie mówiła?

— Zinaido! — krzyknął Igor Iwanowicz. — Słyszysz?!

Żona nie obejrzawszy się za siebie wyszła z przedpokoju.

— Może — spytał Makarcew. — Nie jesteś nawet komsomolcem?

— Jasne! Po maturze spaliłem legitymację, żeby nie płacić składek! Makarcew oparł czoło o framugę drzwi.

— Cóż to takiego?! — wydusił. — Tak jakbym znalazł się w obcym domu. No dobrze, synu. Nie mówmy już o tym. Było, minęło. Spróbujmy żyć na nowo. Zastanówmy się, co robić dalej. Pójdiesz do pracy czy na kursy przygotowawcze do egzaminów wstępnych na uczelnię?

— Jeśli pójdę na studia, to tylko do seminarium duchownego.

— Wierysz w Boga?

— A co z tym ma wspólnego Bóg? Zrobię to, żeby ci zniszczyć karierę!

— Znowu głupie żarty. Mógłbyś zająć się samokształceniem, przygotować się...

— Ty już mnie przygotowałeś! Jest w tym domu coś do żarcia? Mam zdechnąć z głodu? W pudle dawali przynajmniej jakąś lurę.

Borys wyszedł do kuchni.

— Posłałam ci łóżko, Igor, idź się położyć — do przedpokoju wróciła Zinaida.

— Ładny prezent dla rekonwalescenta. Może mam wracać do szpitala?

— Uspokój się, Garik...

— Jestem spokojny, Zino, absolutnie spokojny. Nie tak łatwo mnie zniszczyć. Nie robiłem kariery dla siebie, lecz dla partii. I nie było to łatwe! Ocalałem, gdy rządziła mafia gruzińska, gdy przyszła mafia ukraińska również. I nie zniszczą mnie smarkacze bez zasad, wiary i przekonań. Jeszcze powalczę! Ten cynizm to kwestia wieku, przejdzie chłopakowi! Sam też nie chcę, żeby wściubiał nos w sprawę partyjne. Byle tylko nie kradł, nie zabijał.

Uświadomił sobie nagle, że wygaduje głupstwa. Machnął ręką i poszedł do swego pokoju. Wciąż nie mógł się uspokoić, krążył od drzwi do okna i z powrotem, serce łomotało jak szalone. Może lepiej się położyć?

Gdzieś z boku coś zaszeleściło i stanął przed nim nagle markiz de Custine. Z uśmiechem winowajcy położył Makarcewowi rękę na ramieniu, a ten instynktownie się cofnął. Był zdumiony, lecz nie odezwał się słowem. Zapachniało wytworną wodą kolońską. Makarcew patrzył na nieproszonego gościa: markiz miał na sobie eleganczką kamizelkę w błękitne paski i niebieski frak. Kokieteryjnie zawiązana kokarda dodawała mu szyku. Gdy poruszał palcami, blask brylantów z jego pierścieni, rozjaśniał sypialnię.

— Cóż, to bardzo przykre — rzekł współczująco markiz, przyciskając szpadę do biodra. — Za moich czasów młodzi ludzie też byli nieznośni: konno po pijanemu turbowali przechodniów, unikali kary dzięki możliwym protektorom. Najlepiej byłoby wysłać młodzieńca za granicę. Tam miałby szanse wyboru...

— To chyba żarty? — Makarcew uśmiechnął się kwaśno. — Kto go wypuści? Nawet ja przez tę jego aferę nie mógłbym teraz wyjechać... A jak się sprawa zakończy, jeszcze nie wiadomo.

Przez chwilę milczeli. De Custine rozejrzał się dokoła.

— Przepraszam za nieskromne pytanie: sypia pan na tym łożu z małżonką?

— Czasami — kiwnął Makarcew.

— W jakim sensie?

— Zazwyczaj ona śpi, a ja czuwam. Jestem człowiekiem na stanowisku, tak zwanym aparaczką.

— Tak, naturalnie, i z pewnością znajdzie pan jeszcze wyżej, choć nie bez pewnych trudności...

Pod Makarcewem ugięły się nogi, usiadł na łóżku.

— Źle ze mną, markizie — nagle wyznał prawdę. — Źle się czuję, a i dokoła mnie wszystko przybiera fatalny obrót. Koszmar! Coraz trudniej jest żyć!

— Rozumiem — pogłaskał go po łokciu de Custine. — Też przeżywałem ciężkie chwile i panu współczuję. Właśnie dlatego tu jestem: z sympatii do pana. Żałuję, że nie mogę w niczym pomóc, chociaż, proszę wierzyć, czułbym się zaszczycony, gdyby to było możliwe. Niech pan coś weźmie na uspokojenie i położy się do łóżka. Chętnie przy panu posiedzę...

Markiz patrzył, jak Makarcew powoli się rozbiera, polyka dwie tabletki nasenne, kładzie się, przykrywa kołdrą i zamyka oczy.

Rozległy się kroki i uchylily się drzwi.

— Jak się czujesz, Igor? — spytała żona.

Rozejrzał się po pokoju: markiz de Custine zniknął. Na jego miejscu stała Zina podając mu jakieś ziółka. Położył ręce na rozszalałym sercu, żeby się uspokoić i sam siebie zapewniał, że jest już zdrow, więc nic boleć go nie powinno.

68. Brak skromności

Anna Siemionowna zgadywała bezbłędnie, kiedy ma łączyć bez pytania. Zatelefonowano do Stiepana Trofimowicza, gdy ten szykował dokumenty, by jechać z nimi do KC. Jagubow nie znał swego rozmówcy, ale wiedział, że jest „stamtąd”. Dzwoniący interesował się Iwlewem. Jagubow odpowiadał powściągliwie i spokojnie, lecz nie powiedział wprost, co sądzi o tym dziennikarzu: po co narzucać towarzyszom swój osobisty punkt widzenia. Wyjaśnił, że zatrudnił tego człowieka Makarcew, obecnie na zwolnieniu lekarskim.

— Czekać raczej nie będziemy, Stiepanie Trofimowiczu. Mamy wystarczająco dużo materiału i wszystko już zostało uzgodnione.

— Zrozumiałem — odpowiedział Jagubow. — My też weźmiemy pod uwagę wasz sygnał.

Chociaż było już późno, Stiepan Trofimowicz postanowił jeszcze chwilę zostać w pracy. Załatwi sprawę operatywnie, zgodnie z amerykańską instrukcją dla biznesmenów: nie należy sięgać po ten sam papierek dwukrotnie. Specjalnie nic nie uściślał przez telefon, by mieć wolną rękę. Gdy Makarcew wróci, zacznie się sentymentalne gadanie: trzeba chronić zdolnych pracowników, taktownie korygować ich błędy. Naczelnny chce być dobry, lecz, niestety, łamie zasadę partyjnej pryncypialności i „Prawda Robotnicza” wlecze się w ogień. Nie rozumie, że doszło już do fuzji władz partyjnych z organami bezpieczeństwa. Kierując się tym samym programem, pomagamy sobie nawzajem. A Makarcew nie tylko od dawna nie współpracuje ze służbami bezpieczeństwa, lecz patrzy na nie wyniośle. Tacy szefowie, prawdę mówiąc, hamują proces doskonalenia aparatu władzy.

— Anno Siemionowno! — wezwał Łokotkową. — Niech tu natychmiast przyjdzie Kaszyn!

W oczekiwaniu na sekretarza Jagubow krążył koło biurka. Walentin wszedł uśmiechnięty.

— Jakie dziś piękne słońko, Stiepanie Trofimowiczu! Chyba wzięło pod uwagę dzień urodzin Włodzimierza Ilicza... Może wymienimy w gabinecie zasłony na jaśniejsze, byłoby radośniej, przyjemniej dla oka...

— Wymienić można — zgodził się Jagubow nie słuchając tej gadaniny. — Powiedz no, Walek, z jakiego artykułu najłatwiej pozbyć się Iwlewa?

Kaszyn spoważniał, spojrzał bacznie na zastępcę naczelnego:

— Ale Makarcew — zauważył jakby mimochodem. — Wróci zaraz po świętach...

— Wiem.

— Z jakiego artykułu chce go organizacja partyjna utracić? — Kaszyn rozważał za i przeciw.

— W protokole odnotujemy to później — Stiepan Trofimowicz skrzywił się zdumiony tępotą sekretarza redakcji. — Nie rozumiesz?

— Telefonowali? — Kaszyn wskazał dużym palcem coś z tyłu, za swym ramieniem. — Sami nie podpowiedzieli z jakiego artykułu?

— Jasne, jeśli mają nam wszystko podpowiadać, to na co jesteśmy potrzebni?

— Proste jak drut, Stiepanie Trofimowiczu. Skoro tak, to czterdziesty siódmy artykuł kodeksu pracy, punkt c — brak zaufania.

— To zbyt mocne — po krótkim milczeniu zaproponował Jagubow — zacznij się gadanie... No a postawa moralna?

— Naturalnie, że i w związku z postawą coś znajdziemy... A gdyby tak zastosować nowy przepis? Mowa tam o „braku skromności”. Przepis ten stosowany jest w odniesieniu do pracowników frontu ideologicznego. I nie wolno zwolnionym na jego podstawie odwoływać się do sądu pracy.

— Świetnie! — ucieszył się Stiepan Trofimowicz. Szybko napisz stosowne pismo. Aha, jeszcze jedno: z datą o tydzień wcześniejszą. Inaczej pomyśl, że się spóźniłeś, czekaliśmy, aż nam wytkną...

Walentin powlókł się do drzwi. Stiepan Trofimowicz odprowadził go pobłażliwym spojrzeniem, usiadł za biurkiem, wyjął z portfela złożoną poczwórną kartkę. Były na niej zapisane w dwóch słupkach nazwiska. Nad lewym słupkiem figurował znak minus, nad prawym plus. Jagubow przesunął wzrok po lewym słupku. Na samej górze widniało nazwisko Poliszczuka, a przy nim dwa znaki zapytania, które Stiepan Trofimowicz z przekonaniem wykreślił. Dalej szli Rappoport, Matrikułow (ze znakiem zapytania), Iwlew, Kaczkariewa (ze znakiem zapytania), Zakamorny (już skreślony) i jeszcze kilku innych. Ostatni w kolumnie był Makarcew. Jagubow wyjął z kieszeni długopis i starannie wykreślił nazwisko Iwlewa.

Oczy jego powędrowały wzdłuż prawej kolumny. Tu były nazwiska zaufanych towarzyszy. Ze spisu tego został już skreślony Wołobujew — udało się go przecież wcisnąć do „Prawdy Robotniczej”. Reszta pracowała tu i tam — w rejkomach, instytutach naukowo-badawczych, w służbie bezpieczeństwa. Większość z nich nie miała nic wspólnego z dziennikarstwem, lecz w ich zdolności praktyczne i organizacyjne Jagubow nie wątpił.

Przyjrząwszy się słupkowi po prawej Jagubow postawił grubą kropkę przy nazwisku Awdiuchina. Był to instruktor w wydziale agitacji i propagandy gorkomu, kiedyś pracowali razem na Węgrzech. Małomówny, godny zaufania towarzysz. Umie gromadzić informacje, co jest dla korespondenta nader istotne. Z początku każemy pisać za niego Rappoportowi, niech dzieli się doświadczeniami.

W dalszych rozmyślaniach przeszkodził Jagubowowi Kaszyn.

— Proszę, Stiepanie Trofimowiczu — położył na biurku szefa kartkę.

— Na co mi to pismo? — zdziwił się Jagubow.

— Do podpisu. Baba z wozu, koniom lżej.

— Walku kochany! Zaczynam się o ciebie martwić! Wezwij Iwlewa, niech napisze, że odchodzi na własne życzenie. Potem wyjaśnij mu, co to takiego brak skromności. Wszystko załatw zgodnie z przepisami i dopiero wtedy przynieś.

Kaszyn zabrał pismo i wyszedł speszony. Jagubow wzruszył ramionami i znów krążył po gabinecie zastanawiając się nad ostatecznym rozstrzygnięciem kwestii. Pochwalił sam siebie za odwagę. Naczelnego nie ma, a on wziął na siebie odpowiedzialność, chociaż Kaszyn próbował mu przypomnieć, że Makarcew nie pozwala, by w czasie jego nieobecności ktoś inny decydował o sprawach kadrowych. Ale teraz Igor Iwanowicz chyba będzie milczał. Musi siedzieć z gębą na kłódkę i przełknąć tę żabę. Makarcew miał poparcie w KC. Lecz jeśli Politbiuro otrzyma stosowne materiały, od razu wyciągnie wnioski. „Nie chodzi o moją kandydaturę! — pomyślał natychmiast Jagubow. — Broń Boże! Chodzi o partyjną pryncypialność. Zdjęli Dubczeka, a Igor Iwanowicz wyrażał się kiedyś o nim przychylnie.”

Obmyśliwszy ten krok Jagubow poszedł do gabinetu Makarcewa i przez telefon specjalny zadzwonił do Szamajewa, sekretarza Kegelbanowa. Jegor Andronowicz na pewno zrozumie: z byle powodu nie będzie zwracał mu głowy. Szamajew powitał Jagubowa ciepło, lecz gdy ten poprosił o spotkanie z szefem, zapytał, w jakiej sprawie. Stiepan Trofimowicz wyjaśnił lakonicznie, o co chodzi, pomijając własną rolę. Powołał się na opinię partbiura i kolegium redakcyjnego, on sam referuje tylko to, co postanowił kolektyw. Zawahał się, czy nie przypomnieć, jak Makarcew ukrywał się przed służbą bezpieczeństwa w trudnym dla partii okresie, lecz zdecydował, że ten argument przyda mu się później. Wspomniał tylko o synu naczelnego.

— Zapisaliście? — spytał po krótkim oczekiwaniu Jagubow.

— Wszystko zapisuję — uspokoił go Szamajew. — Zamelduję szefowi.

Stiepan Trofimowicz wszedł do sekretariatu uskrzydłony.

— Losza, jedziemy do KC! — zawołał i cicho gwizdnał.

Aleksy zerwał się i pobiegł obracając kluczykami na breloczku. Gdy zastępca naczelnego wsiadał do samochodu, silnik już był włączony. Dwóch pracowników ukloniło się grzecznie Stiepanowi Trofimowiczowi, a on dostojnie kiwnął im głową. Wkrótce to jemu kierowca będzie otwierał drzwi. To przywilej tych, którzy mają rangę nie niższą od kierownika wydziału KC. Zresztą, czy to istotne, sam może sobie otworzyć. To takie demokratyczne...

Kaszyn obserwował wyjazd Jagubowa przez okno. Przed jego biurkiem siedział Iwlew.

— Do kogo zaadresować podanie? Na czyje nazwisko?

— Pisz do Makarcewa. On jest naczelnym — Kaszyn spojrzał na Iwlewa współczująco. — Wiesz, że ja z tym nie mam nic wspólnego. Kazali, to muszę. Gdybym ja tu rządził, pracowałbyś w redakcji choćby do emerytury. Może znajdziesz sobie zajęcie...

Walentin napomknął o tym, co powinien był zataić. Artykuł, na podstawie którego zwolniono Iwlewa, wykluczał przyjęcie go gdziekolwiek do pracy. Zresztą Wiaczesław nie zwrócił uwagi na te słowa.

— Mam gdzieś, kolego, tę gazetę! — rzucił lekkomyślnie. — Nie o to chodzi...

Napisał zamasyście podanie, złożył podpis, podał kartkę Kaszynowi.

— Po książeczkę pracy przyjdź później, dobrze?

Na korytarzu Iwlew zatrzymał się. Zdecydował, że odejdzie jak najszybciej, żeby nikogo nie spotkać, nie tłumaczyć się, nie słuchać wyrazów współczucia. Potem pomyślał, że powie tylko Nadi. Ale natychmiast przekonał sam siebie, że lepiej dać spokój. Dziewczyna dowie się od innych, gdy jego już nie będzie. Do Jakowa Markowicza też lepiej nie iść. Zajrzał tylko do Poliszczuka.

— Znikam stąd, Lwie Wiktorowiczu. Do usłyszenia!

— Służbowy wyjazd? Dlaczego nic o tym nie wiem?

— Widocznie Siepan Trofimowicz nie był laskaw zasięgnąć pańskiej rady. Już tu nie pracuję...

— Co takiego?! Wytłumacz, człowieku, co się dzieje? Przecież Makarcew zabronił!

— Słyszałem o tym, Lwa... A w ogóle, to bądź ostrożny: ciągnę za sobą ogon...

— Bzdura! Nie uda się im!

Poliszczuk włączył interkom.

— Anno Siemionowno, Jagubow jest u siebie?

— W KC, Lwie Wiktorowiczu. Wróci za dwie godziny.

— Jasne — Poliszczuk nacisnął jeszcze jeden guzik. — Jakowie Markowiczu, mógłby pan wpaść do mnie? Dzięki!

— Wychodzę — powiedział stanowczo Iwlew.

— Poczekaj!

— Wiesz, nie mam nastroju...

— Wszystko uda się odwrócić, jestem tego pewien.

Ale Wiaczesław już opuścił jego pokój i szybko ruszył do windy, żeby nie spotkać Rappoporty.

Na biurku Poliszczuka leżało mnóstwo materiałów związanych z 99 rocznicą urodzin Lenina. Do dzisiejszego numeru, całkowicie poświęconemu tej historycznej dacie, weszła tylko niewielka ich część. Poliszczuk medytował, co z tego się nie zestarzeje przed następną, setną rocznicą, co warto dawać stopniowo, w miarę zbliżającego się jubileuszu, co odświeżyć nowymi faktami, a co wyrzucić. Odsunął na bok nie przejrzone materiały, wyciągnął informator telefoniczny do użytku wewnętrznego i zaczął go wertować.

Zobaczył nazwisko Chardankina — niegdyś pracowali razem w KC Komsomolu. Chardankin wspinał się gorliwie po szczeblach kariery, korzystał z przywilejów, ale nikogo nie niszczył. Gdy zaproponowano mu pracę w urzędzie bezpieczeństwa, najpierw zapytał o warunki i dopiero potem wyraził zgodę. Lew połączył się z nim telefonicznie i spytał, co robić. Szkoda Iwlewa, to mądry chłop...

— My nie zajmujemy się idiotami — odpowiedział z powagą Chardankin. — Od tego jest milicja.

Kazał powtórzyć nazwisko dziennikarza i obiecał, że się dowie. Prosił o telefon za trzy dni. Gdy do pokoju wszedł Rappoport, Poliszczuk rozłożył ręce i wyjaśnił, że próbuje choćby cokolwiek wyjaśnić.

— To żarty Jagubowa — powiedział Lew. — Mnie też chętnie podstawiliby nogę. Jak wróci Makarcew, wycofa zwolnienie.

— Różne bywają żarty — filozoficznie zauważył Rappoport. — Kiedyś Jagubow wezwał mnie i mówi: „Dlaczego tylko pan wysuwa nowe inicjatywy? To nienaturalne. Inicjatywy należą do mas! Nie należy nic zmyślać, trzeba brać pomysły prosto z życia!” — „Słusznie! — odpowiedziałem. — Jak je pan zobaczy, to niech pan chwytaj!” Odtąd nic nie mówi więcej na ten temat...

— Bęwał!

— Wcale nie! — zaproponował Jakow Markowicz. — Zobacz dzisiejszą pierwszą kolumnę. Inicjatywa robotników fabryki „Płomień rewolucji” — chcą zaoszczędzić tyle stali, żeby starczyło jej na 25-metrowy posąg Lenina. W rzeczywistości stal pójdzie na nowe czołgi, ale czy to istotne? Podpis autora, znanego ci poniekąd Tawrowa, Stepan Trofimowicz wczoraj wieczorem raczył wykreślić; zamiast niego umieścił w tym miejscu nazwisko „J. Sidorow”. „Dlaczego?” — pytam. „Powtarzanie tych samych nazwisk nuży czytelnika — wytłumaczył mi. — W dodatku pseudonim Tawrow przypomina czasy, dawno już potępione przez partię. Niech pan wymyśli coś innego” — „Proszę bardzo! Będę się odtąd nazywał Rappoport”. „Ten humor jest

nie na miejscu” — powiada — „może pan się podpisywać jako Iwanow lub Pietrow — mało to na świecie nazwisk?” To chyba sygnał...

— Sygnał?

— No tak! Dawniej drukowano takich jak ja, gdy podpisywali się rosyjskim nazwiskiem. A teraz pytają: jak on nazywa się naprawdę? I nie drukują! Jagubow, jak sędzę, jest chyba strzałką barometru. A sprężyna...

— A Iwlew? Bez zgody organizacji partyjnej, kolegium redakcyjnego...

— Trochę się pospieszyli. Ale gdzie jest Iwlew?

Wiaczesław wyszedł z redakcji i włókł się ulicą, czując jak przypieka słońce. Rozpiął płaszcz, a po chwili go zdjął i trzymał na ręku. Próbował się skupić, zdecydować, co robić, jak żyć dalej. Myśli biegły jak szalone, wpadały jedna na drugą, przeskakiwały przez siebie nawzajem, rozplływały się, zapewne wskutek upału. Zdecydował więc, że wróci do domu, usiądzie przy stole i dopiero wtedy pomyśli. A w ogóle to zacznie nowe życie. Jeszcze nie wiadomo jakie, ale z pewnością nie takie jak dotąd. Dobrze, że się go pozbyli. Bagno wciąga, a żeby się z niego wydostać brak mu było silnej woli. „Pisać do gazety — przypomniał sobie Wiaczesław słowa Jakowa Markowicza — to tak jakby wypróżniać się do morza.”

W centrum miasta, na placach przed hotelami, stało mnóstwo autobusów „Inturistu”. Cudzoziemcy trzymali w rękach kamery filmowe. Uśmiechali się do przechodniów i Iwlew zwolnił kroku próbując uchwycić dźwięki obcych języków. Minał gmach uniwersytetu na prospekcie Marksa. Tu przechodniów było mniej. Dopędziła go grupa milczących młodych ludzi. Zrównali się z Iwlewem i przycisnęli go do ogrodzenia.

— Spokojnie! — szepnął ktoś nad jego uchem. — Wsiadamy do samochodu!

Wykręcili mu prawą rękę, aż jęknął z bólu. Wytężył wszystkie siły sprzeciwiając się absurdowi, chamstwu, poniżeniu.

— Puście! — szarpnął się i wyrwał im na chwilę, ale natychmiast go otoczyli.

— Ty łobuzie!

— Ludzie! — wrzasnął Sławek i cudzoziemcy, z początku nie dostrzegający szarpaniny, zaczęli się im przyglądać. — Ludzie! Chcą mnie aresztować jak za czasów Stalina! A ja nic złego nie robiłem! Za co? To kagebiści, spójrzcie!

Czuł, że zachowuje się głupio, lecz ostatnie słowa uratowały go. Młodzi ludzie uciekli udając, że nic ich Iwlew nie obchodzi. Sa-

mochód odjechał. Wiaczesław stał przez chwilę, otrząsnął rękaw z żółtej kredy, którą się usmarował, gdy przycisnęli go do ogrodzenia, i powlókł się dalej. Teraz jego myśli wirowały w tańcu. Trzeba coś zrobić: zniknąć, wyjechać, ukryć się. Dokąd iść? Do domu nie wolno, do przyjaciół tym bardziej.

Zdenerwowany minął jeszcze kilka przecznic. Teraz musi przejść na drugą stronę i wsiąść do taksówki. Uciec tak, by stracili go z oczu. Wszedł do podziemnego przejścia i pobiegł przed siebie.

Nagle nie wiadomo skąd pojawił się przed Iwlewem markiz de Custine i szeroko rozłożył ręce, jakby chciał go uściskać. Wiaczesław przystanął. Zdumione oczy dziennikarza dostrzegły dziwną postać, podstarzałego muszkietera lub aktora ze staroświeckiej sztuki. Spojrzeli sobie w oczy: chwila ta na długo utkwiła Iwlewowi w pamięci. Często potem łamał sobie głowę usiłując bez powodzenia przypomnieć sobie, gdzie przedtem widział tego człowieka.

Pobiegł dalej podziemnym przejściem, a Custine, przytrzymując szpadę, pędził za nim. Nieliczni przechodnie rozstępowali się i oglądali za nimi, inni nie zwracali na nich uwagi.

Młodzi ludzie czekali za zakrętem, na stopniach. Było ich sześciu. Gdy Iwlew nadbiegł, otoczyli go, wepchnęli do ust tenisową piłkę. Z bólu zachrypiał, ale krzyczeć już nie mógł.

Wywlekli swego jeńca po schodach na górę i wepcheli do „wołgi”, zaparkowanej przed wyjściem. Żeby uniknąć żenującego widoku, włożyli mu na głowę kartonowe pudło od telewizora. Drzwiczki zatrzęsły się i samochód ruszył. W tym momencie zdyszany markiz de Custine wypadł z podziemnego przejścia i podbiegł do „wołgi”. Błękitna kokarda przekrzywiła się, włosy były w nieładzie. De Custine wydobył szpadę, gotowy do boju, ale nie było już z kim walczyć.

— Przekleństwo! — wycedził markiz. — Nie wtrącałem się do niczego w wieku XIX i pokornie znoszę wszystko, co widzę dzisiaj, ale tego już za wiele!

Biegając wbił szpadę w tylną oponę „wołgi”, wyciągnął ją i wbił ponownie.

Wyciągnąwszy szpadę po raz drugi markiz przyjrzał się jej. Zrobiła się krótsza: odłamany koniec pozostał w oponie. Samochód odjechał, lecz rozległ się syk uciekającego z opony powietrza, a wkrótce potem głuchy dźwięk uderzeń felgi o asfalt. Markiz powinien był się obejrzeć: z tyłu zaskrzypiały hamulce, z samochodu wysypali się agenci i pobiegli za nim. W kilka sekund później wykręcali de Custine'owi ręce.

„Wołga” z Iwlewem zatrzymała się. Ci, którzy w niej siedzieli,

wzewali pomoc przez telefon. Iwlewa przesadzili do innej „wołgi”, która z włączonym kogutem pomknęła jak strzała. Przed oczyma miał Iwlew kartonową ścianę, wokół cuchnęło lakierem i tworzywem sztucznym. Nie wiedział, że wiozą go w inną stronę niż ta, gdzie mieszka — do więzienia KGB w Lefortowie.

Na chodniku zebrał się tłum gapiów, ale milicjant kazał się im rozejść. Przechodnie widzieli, jak mężczyznę w dziwnym stroju, pasującym raczej do minionego wieku, dwóch ubranych po cywilnemu agentów doprowadziło do trzeciego samochodu, który przed chwilą nadjechał. Można było pomyśleć, że kręcą tu jakiś film.

Markiz de Custine bez oporu wsiadł do „wołgi”, a gdy zatrzaśnięły się za nim drzwiczki, zniknął. Nie wierząc własnym oczom agenci przeszukali wóz, ale nikogo nie znaleźli.

69. To również przeminie

Towarzyszu Rappoportow! Za chwilę będzie z wami rozmawiał marszałek wojsk pancernych Michail Katukow...

— Dobrze — westchnął z rezygnacją Jakow Markowicz. — Słucham!

— Towarzyszu Rappoportow! — oświadczył marszałek. — Przypominam wam o moim artykule. Ma się ukazać w dniu Zwycięstwa.

— Tak, naturalnie — wybełkotał Rappoport. — Proszę się nie martwić...

— Ja się nie martwię! — ryknął marszałek — Ale jak nie wydrukujecie, przyjadę do was na czołgu!

Jakow Markowicz zamknął oczy. Już dawno wyrzucił do kosza arcydzieło Katukowa. A jeszcze raz pchać się pod czołg z koktajlem Mołotowa nie ma sił. Telefon znowu zadzwonił. Zmęczony Rappoport nie reagował. Ale dzwonki nie milkły, więc w końcu z wściekłością schwycił słuchawkę:

— No?!

— Jakowie Markowiczu — usłyszał głos kobiety. — Tu mówi Tonia.

— Jaka Tonia?

— Tonia Iwlewa.

— Och, naturalnie, przepraszam!

Pewno dowiedziała się czegoś o Nadi i chce, żeby wpłynął na jej męża. Zaraz zacznie ją przekonywać, że to plotki, Iwlew z nikim nie ma romansu. Jeśli jest mądra, pogodzi się z sytuacją.

— Nie wiem, co robić, Jakowie Markowiczu. Nie wiem, do kogo się zwrócić...

— Co się stało, Toniu? — spytał czule Rappoport. — Skąd te nerwy?

— Sławka areszowali — głos kobiety zadrżał i przygasł.

— Jak to? — Tawrow przełknął powietrze i długo trzymał je w płucach: miał wrażenie, że jeśli je wypuści, nikt mu już nie pozwoli oddychać. Pierwszy raz w życiu nie odgadł, po co ktoś do niego dzwoni. — Skąd pani o tym wie? — zapytał zszokowany.

— Sami do mnie zatelefonowali. Powiedzieli, żeby się nie martwić, nie szukać męża. Jest u nich...

— No, no, jaki serwis! Sami zawiadamiają. — Uprzejmie poinformowali Tonię, żeby się dowiedzieć, do kogo będzie dzwoniła. Tawrow ciężko dyszał w słuchawkę. Antonina Donaldowna zrozumiała.

— Telefonuję z automatu, daleko od domu, więc...

Marna pociecha: on przecież z automatu nie rozmawia.

— Radziła się już pani kogoś? — spytał nie wiadomo po co.

— Zadzwońłam do teściowej. Była wściekła. Powiedziała, że jej syn jest zdrajcą ojczyzny i musi ponieść karę. Wstydzi się, że go urodziła. Co robić?

— Nie trzeba płakać, Toniu! — Rappoport przezwyciężył strach i spytał: — Co mu zarzucają?

— Chuligaństwo. Wszczął podobno bójkę, mają naocznych świadków. Naturalnie, o wszystkim zadecyduje sąd, zgodnie z prawem...

— Zgodnie z prawem? No tak...

Stara piosenka. Wszystko się powtarza...

— Niech pan coś zrobi, Jakowie Markowiczu! Przecież to nieprawda! Sławek nie mógł...

— Ależ ja nie wątpię... Tylko co ja mogę zrobić? Kto na coś takiego nie pozwoli? Chyba król Salomon. Może skończy się na strachu? Przesłuchają go, potrzykają i wypuszczą. Nie wolno tracić nadziei. Proszę do mnie dzwonić. Ja też będę z panią w kontakcie.

Poszedł na górę do Poliszczuka, wyciągnął go z pokoju na korytarz, ścisnął kościstymi palcami za ramię i opowiedział, co się stało. Poliszczuk skrzywił się, jakby rozboleł go ząb. Plan walki o powrót Iwlewa do redakcji stawał się nierealny. Ani na zebraniu partyjnym, ani na kolegium nic nie uda się zrobić. Gdy wróci Makarcew, też nic nie poradzi, zresztą nie pozwolą mu pisać słowem o Iwlewie. Telefon do Chardankina też byłby nietaktem: jeszcze pomyśleli, że kwestionujemy słuszność działań KGB. Trzeba milczeć. Iwle-

wa nic już nie uratuje, a sobie i innym można zaszkodzić. Pozostaje tylko nadzieja...

Cóż, to zapłata za karnawał czeski, mamrotał pod nosem Rappoport, drepcząc korytarzem. Fajerwerk się skończył, światła gasną, czas do domu. U nas nic takiego zdarzyć się nie może, nasze państwo jest monolitem. Znów płoną ogniska, bucha czarny dym. Każdy, kto się zbliży, spłonie jak ćma. Cuchnie spalonym ludzkim mięsem. Gdybym był młodszy i nie przetrąciłoby mi kręgosłupa, może spróbowałbym. Ale teraz.... Chcę tylko emerytury, nic ponadto. Nie zaliczą mi łagrowej odsiadki do partyjnego stażu. Drobnostka — a nie chcą. Jak będę na emeryturze, nie tknę gazet! Makarcew obiecał mi odznakę Zasłużonego Działacza Kultury. Dalbym sobie wtedy radę, starczyłoby na żarcie. W dodatku bezpłatna jazda komunikacją miejską. Ale jak będę podskakiwał, szef nic nie załatwi. Iwlewowi nie pomogę, lecz jak mi każą jeść śledzia, a potem nie dadzą wody, sam powiem, gdzie trzymam jego wypociny. Brak mi już sił. Jak znów mnie wsadzą, powieszę się w klozecie. Zawsze noszę w kieszeni krawat...

Własne myśli napawały Rappoporta niesmakiem. Stęknął i powędrował do działu listów.

— Nadieżdo Wasiliewno — zapytał stając w drzwiach — Pomóż mi pani? Lada chwila utonę w oceanie listów.

— Kiedy mam przyjść? — spytała Nadia z uśmiechem.

— Natychmiast.

Szybko wstała zza stolika. Tawrow obejrzał ją z przyjemnością i przepuścił pierwszą. Po drodze opowiedział, co się stało. Zaprowadził dziewczynę do swego pokoju, usadowił w fotelu. Skuliła się, zakryła dłońmi twarz. Była śmiertelnie przerażona, niemal pewna, że lada chwila usłyszy coś jeszcze bardziej przerażającego.

— Rozumiem, że ci ciężko, Nadiu — powiedział Tawrow i dwie głębokie bruzdy, od nosa do podbródka, przecięły jego twarz.

— Co tam ja! Tu chodzi o Sławka!

— To jego wybór. Wiedział, czym ryzykuje.

— Niech pan coś zrobi — oczy Nadi patrzyły błagalnie. — Przecież pan może!

— Ja?! Dlaczego wszyscy proszą mnie? Jestem tylko starym, żalonym ramolem. To fakt, umiem rozkręcać różne imprezy, zrobić z kretyna znaną postać, mogę nawet go wprowadzić do KC. Ale ci wprowadzeni już mnie nie słuchają... Pogadaj lepiej ze swoim ojcem, Nadiu. Mało prawdopodobne, że ci się uda, ale jeśli nie on pomoże, to kto?

— Nadieżdo, jesteś tu? Szukam cię po całej redakcji! Wszystkich już widziałem prócz ciebie!

Drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich Sasza Kakabadze. Wyszedł właśnie ze szpitala i był oszołomiony wolnością.

— Jesteś zdrowy, Sasza? — ucieszyła się Nadia.

— Tych milicjantów skazali, a ja byłem świadkiem. Bóg i prawda istnieją, mam rację?

— Dali ci spokój — ucieszył się Rappoport. — To cudownie!

— Bardzo przepraszam, pewno Nadia jest panu potrzebna. Ale tak się za nią stęskniłem! Wyjdź na chwilkę, Nadiu, muszę ci coś powiedzieć...

— No to już zrobiliśmy z listami porządek — rzekł Tawrow do Nadi. — Idźcie, moje dzieci!

Pochylił nad papierami swoją ciężką głowę, tak jakby ani Nadia, ani Sasza go nie interesowali. Na korytarzu Kakabadze pochylił się, wyciągnął ze stojącej pod ścianą torby aparat i zaczął robić Nadi zdjęcia. Dziewczyna zrobiła śmieszna minę, pokazała Saszy figę — nic nie pomogło. W końcu zasłoniła twarz rękami i odwróciła się do ściany.

— Och, Nadiu, stój tak przez chwilę! Z tyłu jesteś jeszcze ładniejsza. Po powrocie ze szpitala do domu, stwierdziłem, że nie mam twojego zdjęcia. Jakże to? Cała ściana obwieszona fotografiami prócz twojej! Gdy leżałem w szpitalu, wiele myślałem. I postanowiłem: musimy natychmiast się pobrać.

— Zwariowałeś, Saszka? Bądź cicho!

— Nie, jestem tego absolutnie pewny. Powiedziałem mamie, a ona się strasznie ucieszyła. Chcę się z tobą ożenić, Nadiu, to poważna decyzja!

Nie zwracając uwagi na przechodzących korytarzem ludzi Sasza schwycił Nadię za łokcie.

— Puść, Sasza, słyszysz! Puść mnie!

— Mowy nie ma! Bierz moją rękę i serce, Nadiu! Weźmiemy ślub, a potem do Gruzji w podróż poślubną. Powitają nas tam z honorami!

— Co ty gadasz, jaka Gruzja! A Inna Swietłozierska?

— Inna? A cóż ona ma z tym wspólnego? Powiedziała ci? Inna to zupełnie co innego! Nie mogłem przecież żyć w celibacie! Nie bądź zazdrosna!

— Wcale nie jestem!

— No to świetnie. Jak się pobierzemy, zapomnę o innych kobietach. Będę kochał tylko ciebie! Dlaczego płaczesz, Nadiu? Ktoś cię skrzywdził?

Na rzęsach dziewczyny zawisły łzy. Wciśnięta plecami w ścianę, gapiała się na Saszę. Nagle objęła chłopaka za szyję i rozszlochala się.

— Czego płaczesz? Co się stało? Jak płaczesz, twarz robi się niefotogeniczna. A ja chciałbym jeszcze zrobić ci kilka zdjęć. Będę cię fotografował przez całe życie, Nadiu, we wszystkich pozach.

— We wszystkich nie wolno — pochlipywała dziewczyna. — Za to znów cię wsadzą.

— Żonę wolno! Nikt się nie dowie! No to jak, zgadzasz się?!

— Nie, nie! Jesteśmy przyjaciółmi, Sasza. Ale za ciebie nie wyjdę. Odsunęła się od niego jak najdalej. A Sasza nic nie rozumiał.

— Minęła zima, nastąpiło lato, dzięki naszej partii za to! Jak siekierą w łeb... No dobrze, Nadiu! Jeszcze poczekam! I tak się z tobą ożenię. Chciałem cię o coś spytać. Jutro zebranie partyjne.

— Przecież nie jesteś członkiem partii!

— Może powinienem zostać? Wcześniej czy później i tak każdy musi. Czy coś się przez to zmieni? Jagubow prosił mnie, żebym przemówił w imieniu komsomolców na temat usunięcia Iwlewa z redakcji.

— A ty zgodziłeś się?

— Cóż ja mogę? Wszyscy teraz pluja na Sławka — jedno dodatkowe splunięcie niczego nie zmieni. On zrozumie, że nie chciałem... Poproszę, żeby mi wybaczył. Bo jak odmówię, powiedzą, że go bronię. Myślisz, że nie rozumiem, jakie to bagno? Wystarczy pretekst, żeby mnie oskarżyć, bo jestem Gruzinem. Oskarżą mnie o kult jedności. Co robić, Nadiu? Muszę zabrać głos...

Jakow Markowicz, który przechodził korytarzem, poklepał Saszę po ramieniu:

— No, spiskowcy, rozejść się!

Powiedziawszy to zapiął płaszcz, spojrział na windę i ruszył w dół po schodach.

Na skwerku czekał już Zakamorny. Gdy wprowadzono system przepustek, przez jakiś czas otrzymywał przepustki jednorazowe — zamawiał je dla niego telefonicznie Jakow Markowicz. Ale Jagubow dowiedział się o tym karygodnym procederze i kazał go ukrócić.

„A my mieliśmy nadzieję, że jest tym, który nas zbawi.” — zacytował Maksym Rappoportowi ewangelię świętego Łukasza. Siedział rozwalony na ławce przed piaskownicą. Aha, pewno już wie, co stało się z Iwlewem. Jakow Markowicz usiadł obok Zakamornego, rozejrzał się dokoła (czy aby nikt się nimi nie interesuje) i odechnął z ulgą.

— Ile razy mu mówiłem — zasyczał Zakamorny — nie wrzucaj

brulionów do zsypu! Tylko do muszli klozetowej i to po trochu. Diabeł tkwi w szczegółach.

— Uspokój się, Maks. To nie tylko bruliony... Swietłozierska... Piąty egzemplarz...

— Oj-oj-oj! — Maksym splunął. — Gdybym wiedział, nie szedłbym z nią do łóżka. Zresztą, jak nie ona to inna. Ktoś musi to robić! Pomyśleć tylko: potężne imperium boi się zwykłego, szarego człowieka, gdy ten skrzypi piórem po papierze. Na Zachodzie kogoś takiego nazywają dysydem, u nas niesiedzentem. Gdy znudzi się im trzepot skrzydeł przed oczyma, przekłuwają motyla szpilką i wsadzają do pudełka. Don Kichoci byli potrzebni w siedemnastym wieku i to tylko w Europie. A w Rosji motłoch wytykał ich palcami, chciał wieszać za nogi, wbijać na pal. Każdy zdrowy system polityczny dba o swoich opozycjonistów, marnieje bez nich, jak kobieta bez mężczyzny. Ale my?

— U nas, Maksiu, jest tak, jak ci mówiłem: nie wolno się wychylać!

— To przecież brak zasad!

— Brak zasad wykazujemy wtedy, gdy ratując przyjaciół zdradzamy ideę. Natomiast jesteśmy zasadom wierni, gdy w imię idei zdradzamy przyjaciół. Co lepsze?

— A propos „nie wychylania się”, mam pewien pomysł. Nasza granica jest zamknięta na dziesięć spustów. Celnicy odrywają od płaszczy podszewki, ginekolodzy z naramiennikami penetrują dyskretne miejsca. A ptaki swobodnie latają, gdzie tylko chcą. W dodatku nie każdy wraca!

— Co proponujesz?

— Trzeba poustawiać na granicach siatki aż do nieba, żeby ani jeden radziecki słowik ich nie przekroczył! Żurawie i łabędzie też. Może napisać w tej sprawie na Łubiankę? Wnieść osobisty wkład...

— Masz tu, Maksiu, honorarium za artykuły o subotniku!

Jakow Markowicz podał Zakamornemu dwa pięćdziesięciuroblowe banknoty. Ten wziął papierki, przyjrzał się im pod światło.

— Honorarium za działalność propagandową — powiedział z zamyśleniem. — Lenin jest cały przezroczysty.

Powąchał banknot, plunął na niego, przykleił sobie do podeszwy.

— Co to za żarty?

Maksym powtórzył operację z drugim banknotem i wstał.

— Ach, jak przyjemnie spacerować po pieniądzech! — Znów usiadł, odkleił oba papierki, schował je do kieszeni. — Skurczybyki! Dzierżymordy z placu Krwawego Felka! Znów mamy im to puścić płazem? Czemu milczysz, zeku! Choć raz w życiu zaproponuj coś

pryzwoitego, rzuć, na przykład, hasło: „Nie czytajcie gazet, palcie je!” Wyjaśnij prenumeratom — wielbicielom krzyżówek: każdy powinien spalić swojego szmatławca. Wyrwać sznur do radia i telewizora z rozetki! Głuchoniema władza udławi się własną zólcia!

Rappoport uśmiechał się z ironią.

— Nie chcesz? W takim razie ja to zrobię!

— Ostrożnie, mój chłopcze.

— Nie wyglupiaj się Rap! Od dzieciństwa szczałem na tę organizację.

Jakow Markowicz znał ów historyczny epizod biografii Zakamornego.

— Lepiej chodźmy na wódkę, Maks — zaproponował. — Może to poprawi nam humor...

— Nie mam ochoty, wybaczone. Pójdę pisać list do bezpieki.

Maksym odszedł bez pożegnania. Jakow Markowicz spojrzał za nim, wstał z ławki i przygarbiony powlókł się w przeciwną stronę. Na rogu, koło sklepu spożywczego, przystanął.

— Hej, koleś, masz „łysonia”?

Typ, który spojrzeniem wychwycił Rappoporta z tłumu, był chudy i nie ogolony.

— A jest ktoś trzeci? — spytał Jakow Markowicz.

— Ten tam, czekista, trzyma dwie butelki, weźmy go. Nasze będą butelki, ty dorzucisz resztę...

— Zgoda — powiedział Rappoport.

Typ w skórzanej kurtce, na której brakowało tylko ładownicy, stał już z niecierpliwością w kolejce. Dali mu dwa banknoty z „łysoniem” i drobne. Potem w trójkę udali się na skwer.

— Weźmiemy zakąskę? — ostrożnie zaproponował Jakow Markowicz.

— Inteligent... — rzekł z dezaprobatą czekista. — W domu se zakąsisz...

— No, chłopcy, szybciej, bo wyszło mi w gardle! — nie ogolony podważył metalowy korek paznokciem. — Pijemy z butelki, więc bez oszukaństwa!

Pierwszy chwycił butelkę, uniósł ją w górę, zabalgotał. Czekista poruszając wargami liczył jego łyki.

— Stop! — odebrał chudemu butelkę. — Teraz ja.

Potem i on skończył pić. Może wypił trochę więcej, ale niewiele.

* Jubileuszowa jednorublowa moneta z wizerunkiem Lenina.

Jakow Markowicz zamknął oczy, zamierzając zrobić to samo co tamci. Poczul, jak przesuwa mu się we wnętrzościach wędrujący wrzód, rusza w tany, zahacza o wątrobę. Ale nie mógł się już wycofać. Wciągnął głęboko powietrze, ale stał bez ruchu.

— Żyd jesteś? — domyślił się czekista.

— Troszeczkę — przyznał się Rappoport.

— Widzę, żeś obrzydliwy. Ale nie przejmuj się, pij! Będą z ciebie ludzie!

Czekali. Rappoport raz jeszcze westchnął, przyłożył butelkę do ust. Kołysała się między dwoma obłokami, które zatrzymały się nad jego głową. Niebo było bezkresne, wódka lała się bez końca. Jakow Markowicz po męsku otarł rękawem usta i oddał butelkę czekaście.

— Warto doprawić — rzekł nie ogolony. — Dobrze poszła. Ale ja już nie mam grosza...

— Ja też — powiedział czekista i wbił oczy w Rappoport.

— Ja zapłacę, chłopaki — zgodził się dziennikarz. — Jak trzeba, to zapłacę.

— A ty kto, handlowiec? — spytał nie ogolony.

— Mniej więcej...

— No to płac. Czekista, wal do kolejki!

Tamten pobiegł natychmiast.

— Nie bój się, nie zwieje. A ja od razu, jak cię zobaczyłem, pomyślałem — on jest z handlu. Może nawet kierownik sklepu.

— Nie kierownik — uściślił Jakow Markowicz. — Rappoport jestem.

— Na cholere mi nazwisko? Pij i tyle!

Milczeli potem ze dwadzieścia minut, odwróceni od siebie. Każdy z osobna czuł, jak po jego ciele rozplywa się ciepło. Przybiegł czekista z butelką pod pachą.

— Ja pierwszy! — krzyknął Rappoport.

— Cwaniak — warknął nie ogolony.

— Jaki tam cwaniak, czekaści! Śmieć, a nie cwaniak! Teraz ja będę pierwszy! Za mało mi zostawiliście, lajzy!

Przycisnąwszy duży palec do miejsca, w którym kończyła się jego norma, Rappoport wypił swoją część i poczekał, aż skończą pozostali.

— Śmieć ze mnie, a nie człowiek — powtarzał z uporem. — Nawóz, na którym wyrosną kwiaty!

— Rzuciłeś rodzinę? — spytał współczująco nie ogolony. — Będzie im bez ciebie lepiej.

— Co ma z tym wspólnego rodzina! Najgorsze są gazety! Nie czytajcie ich, wrzucajcie do ognia!

Uściskał pijaczkom dłonie i poszedł, próbując stąpać tak, by chodnik nie wyslizgiwał mu się spod nóg. Do metra go nie wpuścili. Niemal pewny, że za chwilę zwali się na ziemię, namówił taskówkacza, by za pięć rubli zawiózł go do Izmajłowa.

Z trudem wsadził klucz do dziurki, wszedł do mieszkania, odsunął od ściany szafę. Przechylił ją na bok, wyjął grubą szarą teczkę, a potem jeszcze kilka kartek. Kartki te rzucił na podłogę. W łazience rozwiązał tasiemkę, wziął zapalną i podpalił dzieło markiza de Custine'a. Na płonącej kartce położył następną, na nią jeszcze jedną i tak dalej: wkrótce w łazience unosił się płomień, a czarny pył sięgnął sufitu. Rappoport rozkaszał się. Mimo to podpalił cały maszynopis, napuścił do wanny wody, by resztki przestały dymić i wyszedł z łazienki. Pamiętał, że usiadł na podłodze, nie mógł dowlec się do tapczanu. Po chwili stracił przytomność.

Gdy otworzył oczy, ktoś szarpał go za ramię. Długo nie rozumiał, co się dzieje. Śniło mu się, że go aresztowali, więc doszedł do wniosku, że chyba nie jest źle: człowiek rozespany ma wszystko w nosie. Bał się tylko bólu, a czyjeś palce tak mocno wpiły mu się w ramię, że jęknął.

— Nie bijcie — poprosił żałośnie. — Nie bijcie mnie...

— Tatu, co ci jest? Obudź się... Źle się czujesz? — Przed Rappoportem klęczał Kostia.

— To ty, synu? — spytał Jakow Markowicz nie otwierając oczu. — Czuję się świetnie. Co prawda, głowa mi pęka...

— Widzę, tato. Na szczęście, nie zaczadziłeś się.

Gdy Konstanty wszedł do nie zamkniętego mieszkania, zobaczył, że ojciec leży na podłodze koło tapczanu. Na brzuchu Rappoporta spały zwinięte w kłębek dwa koty. Z początku Kostia przestraszył się, wyobraził sobie, że to koniec. Ale natychmiast zrozumiał: gdyby ojciec zmarł, koty nie grzałyby się na jego ciele. Jakow Markowicz cmokał i co chwila bełkotał: „Nie czytajcie gazet, wrzucajcie je do ognia!” Wódką cuchnęło nawet od kotów. Kostia podsunął ojcu pod głowę poduszkę, usiadł przy stole i zaczął czytać kartki, które podniósł z podłogi.

Był to paszkwil na samego autora. Jakow Markowicz, pisał, jak wiadomo, o wszystkich i dla wszystkich, natomiast o nim (jeśli pominąć donosy) nie pisał nigdy nikt. Postanowił więc wysmażyć dziełko o sobie samym, takie, by w każdej chwili nadawało się do druku. Gdy człowiek sam się o siebie nie zatroszczy, inni zrobią to nieprofesjonalnie. Paszkwil pod tytułem *Własowiec dziennikarstwa* odwoły-

wał się do najlepszych tradycji prasy partyjnej. Był tu cały wachlarz popularnych epitetów: szubrawiec, zdrajca ojczyzny, wewnętrzny emigrant, zdemoralizowany typ, sprzedawczyk, syjonista, brudny prowokator itd.

— Co to jest, tato?

— To? — Jakow Markowicz usiadł oparłszy się plecami o tapczan. — Kto wie, synku, może wkrótce się przyda...

— Nie chciałbyś wyemigrować?

— Ja?! Zachęcasz mnie do współzawodnictwa? Mowy nie ma, synku. Ty jesteś młody, masz jeszcze nadzieję. A ja...

— Jeszcze ci nie zbrzydło?

— I to jak, mój kochany! Ale obejrzę ten film do końca. Czasem mam wrażenie, że Żydzi bardziej kochają Rosję niż Rosjanie. Więcej o niej myślą, mniej ją przepijają. A mieszkają tu od czasów chazar-skich, nie krócej niż Rosjanie. To przypadek, że wprowadzono w Rosji nie judaizm, lecz chrześcijaństwo. Rosjanie przywykli do ekspansji na obce ziemie. Więc byłoby logiczniej, żeby to oni opuścili kraj. Niech emigrują choćby do Mongołów, od których po części się wywodzą. A Żydzi mogą zostać. Tylko Karolów Marksów nam nie trzeba. Mdli mnie, synu...

— Po co się upiłeś? Chcesz być nacionalistą?

— Mdli mnie od tego, co widzę dookoła..

— Sam mówiłeś, że na pierścieniu króla Salomona widniał napis „To również minie...”

— A jakże! Czego to ja nie mówiłem! Ale gdybym miał taki pierścień, wygrawerowałbym na nim napis: „Nie minie was kara...”

70. Kobieta fatalna

W kasie oszczędności na starym Arbacie wiła się pod ścianą kolejka: starzy ludzie czekali na emerytury. Nadia zajęła miejsce (teraz ona jest ostatnia), podeszła do stolika, wyjęła książeczkę oszczędnościową na nazwisko Gordieja Siewierowa z upoważnieniem na córkę i wypisała czek. Na koncie było ponad dwa i pół tysiąca rubli. Ojciec nie ruszał ich od czasu, gdy umarła matka.

Drobne Nadia zostawiła, a dwa i pół tysiąca odebrała po długim staniu w kolejce. Kazali jej podpisać się trzy razy, a ponieważ była zdenerwowana, każdy kolejny podpis różnił się od poprzedniego. W końcu musiała okazać dowód osobisty: kontroler zapisał

numer, a także gdzie i kto wydał ten dokument. Dopiero potem dostała żeton z numerem, wręczyła go kasjerce, a ta odliczyła pieniądze. Ile tego było, Nadia nie widziała (zbyt wysoko znajdowało się okienko), lecz nie liczyła. Odeszła do stolika, wyjęła z torebki kopertę z nadrukiem „Prawdy Robotniczej”, włożyła do niej pieniądze i zakleiła.

Do stacji metra „Uniwersytet” jechała ze zdecydowaniem; co prawda, nieco go ubyło, gdy wjeżdżała na górę po ruchomych schodach. Iwlew nie życzył sobie, by odprowadzała go pod sam dom, gdy więc razem wracali z pracy, ona zostawała na dole, a jego uwoziły schody. Czasem jednak, w ferworze rozmowy, nie zauważał, że Nadia już stoi na stopniu i udawało się jej go doprowadzić do drzwi wyjściowych metra. Była wtedy bardzo szczęśliwa.

Teraz weszła do bramy, a potem na klatkę schodową. Szła na górę tak, jakby już ze sto razy była u Iwlewa. Pragnęła spotkać się z Antoniną, choć bała się tego. Było to coś w rodzaju gry, którą Nadia wymyśliła, związawszy się z Iwlewem. Antonina Donaldowna była jej nauczycielką w szkole muzycznej nr 38. Nadia lubiła ją, lecz szybko o niej zapomniała, jak zresztą o innych nauczycielach. Zaczęła znów myśleć o Antoninie, gdy dowiedziała się, że Iwlew to jej mąż. Nauczycielka opowiadała kiedyś, jaki jest mądry i niezwykły, więc w redakcji Nadia przyglądała się Sławkowi z dużym zainteresowaniem.

I nawet nie zauważyła, gdy na wpół dziecinna gra przeobraziła się w miłość. Wiedziała tylko, że kocha Iwlewa, ale sprawiało jej to nie tylko przyjemność, lecz ból. Nigdy nie powiedziała Wiaczesławowi, że zna jego żonę.

— Nadia Sirotkina? — zdziwiła się Antonina Donaldowna, gdy otworzywszy drzwi zobaczyła dziewczynę.

Była ubrana w pstrokaty szlafroczek, a w ręku trzymała brudną szmatę. Stała na progu i wpatrywała się w elegancką, wystrojoną Nadię.

— Ja tylko na sekundę, pani Antonino...

— Ależ wejdź. Wybacz, w domu jest bałagan. Rozbierz się, zaraz wrócę...

Podczas gdy Nadia zdejmowała płaszcz, Tonia pudrowała się w łazience, żeby choć trochę ukryć ślady bezsenności i łez. Zdjęła szlafrok, włożyła spodnie i bluzę, przyczesła się i wyszła z łazienki.

— Wszystko wiem — powiedziała Nadia, żeby nie marnować czasu.

— Co to znaczy — wszystko?

— Razem pracujemy z Wiaczesławem Siergiejewiczem. Tylko ja

na podrzędnym stanowisku. Jestem pewna, że nic złego nie zrobił. Muszą go wypuścić! Po prostu muszą!

Tonia milczała. Pokręciła tylko przecząco głową, a łzy płynące po spiesznie upudrowanych policzkach, zostawiały na nich dwie bruzdy.

— Wiem bardzo dobrze, pani Antonino! Gazeta się za nim wstawi, władze wezmą pod uwagę.. Wkrótce wyjdzie ze szpitala nasz naczelny, Makarcew. A on bardzo ceni Iwlewa, wie, że to utalentowany dziennikarz. Zatelefonuje, gdzie trzeba. Zobaczy pani!

— Dokąd zatelefonuje, Nadiu? Jesteś naiwna jak dziecko...

— Nie! — zaprotestowała Sirotkina. — Może jestem naiwna, ale nie tak, jak pani sądzi! Musi mi pani uwierzyć!

— Postaram się...

— Aha, omal nie zapomniałam. Przywiozłam honoraria pani męża — kasjerka prosiła, żeby dostarczyć...

Sirotkina spiesznie wyjęła kopertę i położyła ją na stole. Antonina nawet nie spojrzała w tę stronę.

— A u ciebie, Nadiu, co słyhać?

— U mnie? Wszystko w porządku. Zawsze wesoło. Tylko mam strasznie dużo zajęć, wciąż brakuje mi czasu. Kończę wieczorowe studia.

— Można ci pozazdrościć.

— Wiele osób tak mówi. Aż wstyd, że wszystko tak dobrze się układa. A jak się czuje pani synek?

— Coraz większy, teraz jest u babci...

— No to pójde już — Nadia podniosła się z krzesła. — Przepraszam, że przyszłam nieproszona.

— Na odwrót, Nadiu, bardzo się cieszę. Posiedź, napijemy się herbaty...

— Innym razem... Wpadnę, jak tylko się czegoś dowiem.

Zamykając za Nadią drzwi Tonia poczuła znany sobie zapach perfum. Od dawna ją ten zapach irytował, lecz nie przywiązywała do niego znaczenia. Nagle przyszło jej do głowy, co się za tym może kryć, ale nie pozwoliła sobie na zaskakujące odkrycie.

Na ulicę Nadia wybiegła w podskokach, bardzo z siebie zadowolona. Szczuplutka, skupiona, uśmiechnięta, szybko szła w stronę metra, a przechodnie patrzyli w ślad za nią. Przeczynała, że ojciec jest w domu. Ale gdy istotnie zastała go w kuchni, przypomniała sobie: rano powiedział, że po naradzie przyjdzie wcześniej, a potem znów wyjedzie i nie wróci na noc. Z pewnością ma jakąś kobietę,

inaczej być nie mogło. Uważa Nadię za dziecko, ukrywa przed nią romans. Już od dawna często jej mówił, że nie wróci na noc, gdyż musi służbowo wyjechać. Ale dzisiaj milczał — nie chciał okłamywać córki. To już postęp.

— Dzień dobry, tatusiu!

Wasilij Gordiejewicz siedział bez marynarki w białej koszuli i rozluźnionym krawacie i coś jadł. Objęła ojca za szyję, przytuliła się do niego. Z jej pokoju donosiła się muzyka, pełna czułości i ciepła.

— To ty włączyłeś adapter?

— Aha.

— Zakochałeś się?

Uśmiechnął się, ale nie odpowiedział.

— Ogoliłeś się staranniej niż zwykle, włączyłeś muzykę...

— Ogolilem się u fryzjera w KC, płytę podarował mi mój zastępca. To wszystko?

— Nie. Dokąd się wybierasz?

— Cóż, jeśli mam wyznać uczciwie, to na daczę, pograć w preferansa...

— Chyba będą tam kobiety? Już dawno na to czas...

— Czas? — Wasilij Gordiejewicz znów się uśmiechnął. — Nie, kobiet tam nie będzie. I co to znaczy — czas? Ja nie mówię, że już czas, byś wyszła za mąż...

— Bo jesteś taktowny. A gdybym wyszła? Mam nowego chłopaka... Strasznie poważnie mnie traktuje...

— Nowy? A kto to?

— Oficer. Studiuje w akademii imienia Żukowskiego. Co o tym sądzisz?

— Ja? Skoro pytasz, to chyba sama nie jesteś pewna...

— Ja pewna jestem — szepnęła mu do ucha. — Ale nie wiem, co ty na to... Bo poprzedni...

— Poprzedni?!? Mówisz o tym dysydencie? Nie powiedziałaś mi wtedy prawdy. To wróg władzy radzieckiej, nazywa się Iwlew, pracował w twojej redakcji!

— No właśnie! Od razu się wściekasz. Z nim już dawno zerwałam. Ale jeśli chcesz wiedzieć, wcale nie jest dysydem. Przetłumaczył z francuskiego książkę, którą każdy może wypożyczyć w bibliotece leninowskiej. I to nie z działu prohibitów, z książek ogólnie dostępnych.

— Nie o tę książkę mi chodzi, córko! Chodzi o to, co sam mógłby napisać.

— To takie niebezpieczne?

— Jak dla kogo. Dla ludzi ideologicznie słabych tak. Niestety, większość nie rozróżnia dobra od zła i ulega wpływom takich szkodników jak twój Iwlew. Chciałem powiedzieć twój były...

— Masz rację, tato. Wszystko rozumiem. Teraz ma to dla mnie znaczenie czysto teoretyczne.

— No widzisz.

— Ale jak to zrobiłeś? Naprawdę możesz wsadzić kogoś za kratki?

— Bzdury! Nie prześladowałem nikogo z przyczyn osobistych!

— A mógłbyś go wypuścić? Powiedz — mógłbyś?

— Co masz na myśli? — Wasilij Gordiejewicz wstał i poprawił krawat.

— Zrozum, zerwaliśmy ze sobą, a zaraz potem go zamknęli. Gdyby wyszedł na wolność, mogłabym spokojnie wyjść za mojego oficera, a tak... Proszę cię, tato... Bardzo rzadko cię o coś proszę!

— Mowy nie ma, dziecko! Nie rozumiesz specyfiki naszej pracy. Nie o Iwlewa tutaj chodzi. Musimy odizolować ludzi, z tych lub innych względów niezadowolonych z naszej ideologii. To działalność prewencyjna. Jeśli go wypuścimy, będzie to oznaczało, że jesteśmy słabi; wówczas każdy wróg władzy radzieckiej będzie czuł się bezpiecznie. Zresztą nie ja o tym decyduję.

— A ktc?

— Partia, naród.. Kiedy wreszcie zrozumiesz? Lepiej zapomnij o Iwlewie...

— Dobrze tatku, postaram się. Jak tam twoja habilitacja?

— Chyba w porządku.

— Doskonale! Wypijmy za to, żeby przynajmniej tobie wszystko szło dobrze.

— Jeśli tego chcesz...

Wasilij Gordiejewicz wyjął z barku butelkę eksportowej wódki, nappełnił kieliszki, które postawiła na stole Nadia. Wypili.

Włożył marynarkę i pocałował córkę.

— Jaki jesteś elegancki, tatku... I jaki młody...

Wzięła grzebyk i zaczesła ojcu szpakowate włosy.

— Taki mężczyzna marnuje się bez kobiety!

— Nie wygłupiaj się, mała! — klepnął Nadię po biodrze.

Zamknawszy za ojcem drzwi Nadia poszła do siebie z butelką, przyniesioną z kuchni. Nastawiła płytę, naląła sobie wódki.

— Twoje zdrowie, tatku! — powiedziała głośno i wypila do dna.

Naląła znów i znów wypila, wstała, zaczęła krążyć po pokoju

tak, jakby ją ktoś trzymał za talię, usiadła przy fortepianie. Pobrzdąkała trochę, nie przestając głośno rozmyślać.

„Dzięki ci, tatko za zwróconą wolność. Nie podejrzewałam tylko, że to twoja robota. Nie jestem zwykłą Nadią Sirotkiną. Jestem kobietą fatalną — każdego, kto się do mnie zbliży, spotyka nieszczęście. Przeze mnie zabił dwóch ludzi Bob Makarcew. Przeze mnie ciężko pobili Saszę Kakabadze. Gdy tylko poszłam do łóżka z Iwlewem, natychmiast go posadzili. Kto następny? Kto zaryzykuje pocałunek ze mną? A przecież jestem młoda, nie robiłam jeszcze nigdy skrobanki. Nawet kochać jak należy nie potrafię. A co będzie, jak się nauczę? Gdzie tylko się pojawię — więzienie i śmierć. Jestem wiedźmą, na razie jeszcze początkującą. Córeczką generała KGB. A co będzie za kilka lat?”

Melodia na płycie skończyła się, automatyczny wyłącznik nie działał i płyta wciąż się kręciła. Nadia nie zwracała na nią uwagi. Opadła na tapczan, wyciągnęła rękę w stronę nocnej szafki. Po omacku wyjęła pigułki nasenne i leniwie zaczęła je gryźć. Były niesmaczne. Podniecenie minęło. Nie chciało się jej dłużej mówić. Była po prostu zmęczona. Podniosła głowę tylko dlatego, że skrzypnęły drzwi: stał w nich Iwlew.

— Witaj — powiedziała Nadia i uśmiech szczęścia wykwitł na jej twarzy. Nie była wcale zdziwiona: nie miała wątpliwości, że do niej przyjdzie. — Nie stój tak, nie jesteś u obcych...

Wiaczesław pogroził jej palcem, lecz wciąż się nie ruszał. Nadia roześmiała się dźwięcznie, poweselała, przewróciła się na plecy, wyciągnęła do niego ręce, wzywając gestem, by podszedł. A Iwlew powoli zbliżył się do łóżka i upadł na nią tak jak stał, w ubraniu — i natychmiast rozwarły się zamki jej rąk i nóg. Nagie, bezlistne brzozy, zaszumiały nad głową Nadi. Wokół sterczały cienkie gałęzie z żółtymi pędzelkami na końcach. Połyskiwały kałuże, kwadraty śniegu, miękka, zeszłoroczna trawa.

— Nigdzie — zawołała Nadia uśmiechając się szczęśliwie i głaszcząc Iwlewa po nie ogolonych policzkach. — Nigdzie nie będzie mi tak dobrze jak w lesie, na mokrej ziemi, pod brzozami! Tak dużo człowiekowi trzeba do szczęścia. W rzeczywistości do szczęścia trzeba tak niewiele!

71. Zemsta

Wyszędłszy z domu z niewielkim, przewieszonym przez ramię plecakiem były zek Zakamorny spojrzał na prawo, a potem na lewo. Nikt przed bramą nie czytał gazet, nie odrywał się od muru, nie śledził go.

W redakcyjnym holu oddał plecak do szatni. Postać przez chwilę udając, że czeka na zamówioną przepustkę. A gdy szatniarz się odwrócił, Maksym pochylił się gwałtownie i na czworakach przeczołgał się pod stołem, omal nie zahaczywszy o nogi dyżurnego. Na korytarzach zadbał, by na nikogo się nie natknąć. Z pustego pokoju zadzwonił do Anny Siemionowny:

— Aniu! W bufecie dają salami...

Anna Siemionowna pobiegła na dół, a Zakamorny wszedł do sekretariatu. Pokój był pusty; Zakamorny wkrótce się domyślił, że Jagubowa w gabinecie nie ma. Wyciągnął z kieszeni tubkę kleju, przyłożył ją do dziurki od klucza i gwałtownym ruchem wycisnął zawartość. Jeśli zechcą teraz otworzyć drzwi, muszą je wyłamać. Następnie Zakamorny poszedł na dół do Kaszyna, przyłożył ucho do jego drzwi i zaczął nasłuchiwać. Sekretarz redakcji siedział w swoim małym gabinecie zamknięty od środka na klucz. Maksym wyciągnął drugą tubkę kleju i powtórzył operację. Byle Kaszyn nie próbował wyjść, zanim klej nie przyschnie.

Rozweselony tym sukcesem Maksym udał się na Dworzec Białoruski. Wziął bilet do Zwienigorodu, w na wpół pustym wagonie kolejki elektrycznej położył nogi na przeciwległej ławce. Słońce przypiekało, drzewa za oknami były już zielone. Tam, gdzie nie było widać śmieci i nędznie odzianych ludzi, dusza rozkoszowała się pięknem.

W Zwienigorodzie szedł poboczem szosy tak długo, póki nie minął ścian klasztoru Sawwino-Storożewskiego. Wspomniawszy jego założyciela, kniazia Jurija Dołgorukiego, pomyślał, jak coraz bardziej komplikuje się życie, choć natychmiast odrzucił ten wniosek: na odwrót, wszystko jest jak dawniej prostackie i trywialne. Z wysokiego brzegu zobaczył wstęgę rzeki Moskwy, pola, lasy, i tak dużo powietrza i światła, że zapomniał, po co właściwie przyjechał. Połykiwały kopuły cerkwi. Maksym poprawił plecak, postać przez chwilę i po chwiejnych deskach przeszedł na drugą stronę rzeki. W pobliżu była szosa. Postanowił podejść jak najbliżej do zielonych parkanów, za którymi są piękne ścieżki i czyste baseny kąpielowe, a na

łańcuchach warują motorówki. Między sosnami stoją wspaniałe willle i patrzą dumnie na świat.

Pamiętał, że gdzieś w pobliżu jest piaskowisko: zwożono stamtąd piasek na budowę willi i dróg. Po półgodzinnym marszu istotnie je znalazł. Na czystym piasku poniewierały się odpady i śmieci budowlane.

— Nawet obok rządowych willi paskudzą — obruszył się Maksym. — Zaiste, jeden wielki śmietnik, a nie kraj! Cóż, będę miał mniej wyrzutów sumienia. Wybacz, Panie Boże, grzesznemu!

Przysiadł na ziemi, rozwiązał plecak, wyjął z niego kilka owiniętych w gazety książek i zwitki filmów. Włożył to wszystko do reklamówek, starannie je pozaklejał i wrzucił na dno wykopu.

Potem wyjął z kieszeni czerwoną opaskę, włożył ją na rękaw, imitując służbę dla ojczyzny, a walizkę schował pod krzakiem. Siadł na poboczu drogi i czekał. Nie było pieszych ani samochodów: tylko rano i wieczorem mknęli tędy właściciele eleganckich domów letniskowych, ich znajomkowie i krewni. Ale Maksym wiedział, na kogo czeka i wreszcie doczekał się. Po szosie pełził ciężki ZIL z cysterną mysiego koloru. Zakamorny podniósł się z pobocza i rozkazująco machnął ręką w czerwonej opasce.

— Pełny? — ze znajomością rzeczy spytał kierowcę.

Ten przyhamował i przytaknął.

— No więc dostaliśmy takie polecenie: rozładunek ma być tutaj. Eksperyment naukowy: regeneracja ekskrementów. Nie bój się! Dobrze na tym wyjdiesz. Są na to środki. Wylewaj!

Kierowca posłuchał. Wskoczył z wozu, wyrzucił węża, włączył pompę i zabulgotała, popłynęła do wykopu ohydna ciecz, rozszedł się wokół smród ludzkich ekskrementów. Maksym usiadł obojętnie na poboczu i uciał sobie drzemkę.

— A jak z rozliczeniem? — spytał kierowca, opróżniwszy cysternę.

Maksym wręczył mu pięciorublówkę.

— Za chwilę wracam — rzekł kierowca i szybko schował pieniądze. — Tego skarbu nam nie brak. A w razie czego dostarczę ze Zwienigorodu!

Nielatwo było siedzieć przez pół dnia pilnując ekskrementów elity. Gdy nadjechała dziesiąta ciężarówka, a środki finansowe były na wyczerpaniu, Maksym zdecydował, że czas kończyć imprezę. Zszedł na brzeg cuchnącego jeziora i wyrył niewielką jamę. Włożył do niej pudełko wyjęte z plecaka i zakopał, tuż nad powierzchnią przeciągnął sznurek. Przez chwilę rozkoszował się dziełem swoich rąk, potem wspiał się na górę i powędrował z powrotem do Zwieni-

gorodu. Przed pocztą zobaczył automat telefoniczny, wrzucił monetę, wykecił numer. Słuchawkę owinął chusteczką do nosa, żeby zniekształcić głos, a do ust włożył z obu stron po sucharku.

— Chciałem mówić z naczelnikiem — powiedział Maksym. — Aha, to wy? Tu Zarubin, stary komunista, emeryt. Chciałem przyjechać do was osobiście, ale pomyślałem, że nie zdążę.

— Co się stało?

— Znalazłem skład literatury antysowieckiej, chciałbym pomóc służbie bezpieczeństwa...

Krótko wytłumaczył jak dojechać.

W sklepie spożywczym kupił chleb, puszkę ryby w sosie pomidorowym i butelkę mineralnej. Nic więcej do kupienia tam nie było. Potem ruszył wzdłuż wysokiego brzegu, zabudowanego szopami i chałupkami, przecinając nie zagrodzone, jeszcze nie obsadzone grządki. Gdy zauważył szopę koło nie zamieszkałej dachy, obejrzał się, czy ktoś nie widzi i wślizgnął się do środka odsunawszy źle zamocowane deski. Usiadł na jakiejś belce. Przez szczelinę widział drugi brzeg rzeki Moskwy, a na dole, koło szosy, wykop gotowy do eksperymentu. Rozwiązał plecak i wyjął lornetkę. Na podłodze postawił butelkę, chleb i konserwy, splukał ręce wodą mineralną i zaczął jeść z apetytem. Ale musiał przerwać posiłek. W dole na szosie pojawiła się czarna „wołga”. Wyskoczył z niej facet w sportowej kurtce i ruszył poboczem. Samochód powoli jechał za nim.

— Istotnie zdecydowali się na spacer! — uśmiechnął się zadowolony Maksym.

W pobliżu pierwszej „wołgi” zatrzymały się jeszcze dwie. W ostatniej obok kierowcy siedział oficer: naramienniki było przez lornetkę widać, ale gwiazdek już nie. Pierwszy osobnik, który wyskoczył z „wołgi”, zaczął machać rękami. Wówczas wszystkie trzy wozy zatrzymały się koło wysypiska. Trzasnęły drzwiczki. Maksym policzył: jest ich dwunastu, razem z oficerem.

Rozeszli się na wszystkie strony, rozglądali się, niektórzy przed przystąpieniem do pracy szli w krzaki, skąd wychodzili zapinając rozporki. Stanęli nad brzegiem wykopu zatykając nosy palcami. Reklamówka wypłynęła z dna i kołysała się na powierzchni. Oficer wydał polecenie. Któryś z jego ludzi poszedł do bagażnika i przywlekł stamtąd drąg ze szczypcami na końcu.

Wreszcie wyciągnęli reklamówkę. Stłoczyli się, żeby zobaczyć, co jest w środku. Otwierali z obrzydzeniem. „No i co, skurwysyny? Dobrze się czujecie we własnym gównie?” — napisał tam dziś rano

Maksym przywiązany do lewej nogi długopisem. — „Wkrótce się w nim potopicie, wychowankowie krwawego Felka.” Niestety, nie wszyscy zdążyli przeczytać dzieło Maksyma. Któryś z kagebistów niechcący zahaczył o sznurek. Rozległ się huk eksplozji, echo powtórzyło go kilkakrotnie. Pył i bryzgi uniosły się w górę niczym słup, lecz opadały powoli. Gdy znów można było coś zobaczyć przez lornetkę, Maksym dostrzegł, że specjaliści z KGB szamoczą się w cuchnącej brei. Wylaniały się co chwila na powierzchnię ich ręce i głowy. Szamocząc się i chwytając jeden za drugiego towarzysze wyleźli w końcu na pobocze.

— Wykąpiecie się na Łubiance — pomyślał Maksym. — Jeśli wam dadzą gorącej wody. A jak nie — to w zimnej.

Wstał z belki, na której siedział, wrzucił do plecaka swoje rzeczy, odsuniętą deskę wstawił z powrotem i ogrodami poszedł w stronę szosy. Po drodze zatrzymał się przed cerkwią, przeżegnał się, wszedł do środka. Kupił świeczkę, postawił ją, ukląkł i długo się modlił dotykając czołem podłogi.

— Wybacz, Panie Boże, że unurzałem w gównie sług twoich. Bowiem to nie służdy, a zdrajcy, zdradzili ciebie, Panie, zdradzają nas i doprowadzą do zguby całą ludzkość. Wybacz, że posłużyłem się ich metodami. Zatykają usta tym, którzy potrafią mówić. Czyż nie dałeś nam tego prawa od dnia naszych narodzin?

Wstał, raz jeszcze się przeżegnał, wyszedł ze świątyni i skierował się ku szosie. Zatrzymał ciężarówkę, przejechał kilka kilometrów, wysiadł i ruszył do lasu. Na cichej polanie rozłożył manatki. Stał plecami do zachodzącego słońca, wymierzył krokami odległość od trzech brzoź i zaczął kopać dół.

Z dołu wydobył całe swoje mienie: ciężki, omotany folią kuferek i kanister. Obejrzał się, czy kto nie podgląda, ale o tej porze nawet ptaki zamilkły — było cicho. Z rzadka dolatywał tylko ryk ciężarówek z szosy. Przejęty Maksym uniósł pokrywę kufereka. Leżały tam niemal po sam wierzch starannie poukładane nosy. Duże i małe, gipsowe, gliniane, betonowe, z brązu i z nierdzewnej stali, drewniane, szklane, porcelanowe. Ułamane, odpilowane, odbite młotkiem z wielkich lub małych popiersi, posągów, eksponatów, zachowane dla wieczności nosy geniusza rewolucji, syna, ojca i dziadka proletariuszy wszystkich krajów.

Aby zgromadzić w miarę możliwości najpełniejszą kolekcję leninowskich nosów Zakamorny kradł je na skwerach i stacjach kolejowych, w parkach, fabrykach, urzędach. Nie spał nocami, by zdobywać upragnione nosy. Kolekcjoner spieszył się: w każdej chwili może zająć coś nadzwyczajnego, dajmy na to zmieni się władza, a

wówczas z posągami Lenina będzie to samo co z monumentami towarzysza Stalina: Zakamorny dobrze o tym pamiętał, gdyż na jego własnych oczach strącano je, oplątywano łańcuchami, miażdżono gąsienicami buldożerów. Czy nosy wielkiego Gruzina zachowały się dla potomności? Skąd! A nosy ojca rewolucji są tutaj, można w każdej chwili urządzić wystawę!

Wyjął z plecaka kilka nowych nosów. Jeden pochodził z kina „Kosmos” — by go zdobyć Zakamorny kupił drogi bilet i obejrzał fragment idiotycznego filmu. Drugi — w redakcji „Prawdy Robotniczej”, gdy był tam po raz ostatni. Nowe nosy starannie ułożył w kufierku, a obok nich historyczny dokument, zerwany z tablicy informacyjnej w stosownym urzędzie.

PISMO OKÓLNE Nr 82/4-C

W celu polepszenia jakości produkcji wszystkim fabrykom rzeźby Fundacji Artystycznej ZSRR rozkazuję w trybie pilnym wzmocnić szkielet popiersi W. I. Lenina (wszystkie elementy) poprzez wprowadzenie do nosa metalowego haczyka, nie pozwalającego na uszkodzenie wskutek odłamania.

Podstawa: zalecenie kompetentnych organów.

Zastępca dyrektora (podpis niewyraźny)

Uporządkowawszy nosy i opuściwszy kuferek do wykopanej jamy Zakamorny otworzył kanister i wrzucił do niego kilka, zapisanych drobnym pismem kartek. Czytał czasem swe wiersze przyjaciółom, lecz nigdy ich nikomu nie pokazywał. Nie słuchał niczyich opinii — był przekonany, że kolektyw niszczy jednostkę.

— O ziemio rosyjska! — mamrotał zakopując kanister obok kufierka i maskując wokół ziemię darnią. — Co się kryje w twym umęczonym ciele? Ludzkie kości i rękopisy...

72. Niebieska koperta

Jagubow zdjął płaszcz i podał go Annie Siemionownie.

— Nikogo nie przyjmuję!

— Dzwonił Szamajew.

— Z miejskiego telefonu? Czemu od razu pani nie mówi?

Łokotkowa bez słowa podeszła do drzwi.

— Proszę przynieść mi herbaty, bardzo gorącej, mocnej!

Skoro Szmajew zadzwonił przez telefon miejski, trzeba zrobić tak samo: w słuchawce slychać było jednak tylko długi sygnał. Próbując zebrać myśli Jagubow zacisnął dłonie na skroniach. W pokoju panował półmrok, choć na ulicy świeciło słońce. Okna gabinetu zasłaniał umieszczony wieczorem na budynku przed majowym świętem portret Karola Marksa. Przeświecało ramię, policzek i część brody, lecz portret zasłaniał cztery okna dwóch pięter i kołysał się poskrzypując na wietrze.

Lokotkowa przyniosła herbatę, teczkę z papierami do podpisu, szpalty artykułu wstępnego. Gdy wyszła, Jagubow lyknął trochę herbaty i senność minęła. Przeciągnął się: w mięśniach rąk i w piersi czuł przyjemne zmęczenie. Wbrew swym zasadom nie był dzisiaj na basenie. Skrzywił się na myśl o minionej nocy: żałował, że do tego dopuścił. Przygotował sobie mały wykaz zadań niezbędnych, by wzmocnić ideologiczną dyscyplinę. Należało je szybko wcielić w życie: „Prawda Robotnicza” wciąż popełniała mnóstwo błędów. Z każdym punktem wiązały się konkretne propozycje i kary. Nie należało przedwcześnie obnosić się z tym projektem w redakcji — zbyt wielu było tu jeszcze zwolenników Makarcewa. Natychmiast zawiadomiliby Igora Iwanowicza. Po krótkim wahaniu Jagubow poprosił Annę Siemionownę, by wezwała do niego maszynistkę Swietłozierską.

Inna weszła do gabinetu i stanęła przed biurkiem szefa niezbyt blisko, tak, by ją widział w całej okazałości, lecz nie aż tak daleko, by nie rozróżniał szczegółów i zapachów.

— Mogłaby pani spełnić moją prośbę? — spytał Jagubow, zbyt mało poświęcając uwagi temu, co powinien był dostrzec.

— Nareszcie! — rozpromieniła się Inna.

— Co nareszcie?

— Nareszcie mnie pan zauważył, Stiepanie Trofimowiczu. Kobieta wędnie, gdy nikt nie zwraca na nią uwagi. Jasne, że zrobię dla pana wszystko, co w mojej mocy!

Nieco się spieszył takim przebiegiem rozmowy.

— Cóż, sprawa jest dość prosta. Trzeba napisać kilka stron, ale dyskretnie, żeby nikt nie widział.

— Rozumiem. Sam pan podyktuje? Ale gdzie? Może u mnie w domu?

Dyktować, a zwłaszcza w jej mieszkaniu — coś takiego nie przyszło mu na myśl. Chciał jej to grzecznie wytłumaczyć, kazać przepisać tekst i przywieźć do redakcji. Ale stało się coś, czego nie umiał przewidywać. Patrząc w pełne oddania oczy niespodziewanie dla samego siebie powiedział coś wręcz przeciwnego, niż zamierzał:

— Czy to wypada?

— Jeszcze jak! — krzyknęła radośnie. — Kiedy pan ma czas?

— Za jakąś godzinę...

— Za godzinę będę czekała na stacji metra, koło pierwszego wagonu. Musimy jechać do centrum.

— A nie lepiej taksówką?

— W takim razie przed piekarnią, tam łatwiej złapać.

Przymknął oczy na znak zgody i Swietłozierska zniknęła. Serce załomotało, mózg rozstrzygał kilka spraw równocześnie. Nic jeszcze nie postanowił, a wszystko już było postanowione. Uspokoił sam siebie — nic się nie stanie, to niemożliwe co najmniej z kilku przyczyn. No, ale jeśli nawet, to na zasadzie wyjątku i nikt się nie dowie. Jest we mnie zakochana, coś takiego!

Wszystkie inne sprawy zeszyły na plan dalszy. Zatelefonował do domu i powiedział żonie, żeby nie czekała. Jedzie na rządową daczę sporządzać ważny dokument, jaki, jeszcze sam nie wie, jutro zatelefonuje. Kazał ucałować dzieci i połączył się przez interkom z Poliszczukiem: niech przejmie obowiązki, bo jego, Jagubowa, pilnie wezwano do KC.

W taksówce usiadł koło kierowcy, a Swietłozierska z tyłu. Siedział na wpół odwrócony i wypytywał ją, co się dzieje w hali maszyn: jakie są obecnie potrzeby maszynistek? Obiecał poprawić warunki ich pracy, ucieszył wiadomością, że przed świętami dostaną premię.

Gdy gospodyni usłyszała zza drzwi, że Inna nie jest sama, poszła do kuchni i nie wysuwała stamtąd nosa.

— Jest pan głodny! — zawołała Inna. — Zaraz coś skombinuję...

Mimo woli skrzywił się na widok jej pokoiku i ostrożnie siadł przy stole. Stała na nim maszyna do pisania, ta, którą przywiózł Iwlew. Inna odsunęła na bok maszynę, przykryła stół czystą gazetą, postawiła na niej dwie szklanki, chleb, kiełbasę, nakroiła cebuli.

— Ma pani nie najlepsze warunki mieszkaniowe — rzekł poufale.

— Cóż, jakie są, takie są...

— Chyba będę mógł pomóc...

— Ale ja nie mam moskiewskiego meldunku!

— Meldunek też załatwimy.

— Stiepanie Trofimowiczu, to niemożliwe! — zamarta z wydobytą spod łóżka butelką wódki w rękę.

— Nie wierzy pani komuniście?!

— Naturalnie, że wierzę! — rozpromieniona postawiła wódkę na stół. — Piję za pańskie zdrowie, Stiepanie Trofimowiczu! Za to, że jest pan taki dobry. A ja się tak pana bałam...

Nalała sobie i jemu po trzy czwarte szklanki.

— Dzięki, Inno — stuknął się z nią, z lekka się zaczerwienił i nawet nie zauważył jak przeszedł na „ty”. — Interesująca z ciebie osóbka. Nie zauważyłem tego wcześniej.

— To chyba zrozumiałe. Tyle ma pan pracy... Cała gazeta na panu wisi. Jeśli pan chce, to panu powróżę...

— Chyba zaryzykuję! — roześmiał się Jagubow.

— No tak... — rozrzuciła wokół siebie karty. — Państwowy wikt... daleka droga... Sukces. Przeszkadza panu król czerwieny, ale wkrótce się to skończy.

— To bzdury, dziecino — położył rękę na talii kart, żeby powstrzymać kobiecy terkot.

Swietłozierska odłożyła karty i podeszła do lustra, żeby sprawdzić jak wygląda. On również wstał i obserwował jej odbicie w lustrze.

— Pan tak patrzy, że czuję się niezręcznie.

— Ja również — odparł.

Podeszła do niego tak blisko, że wyczuł przez marynarkę jej piersi. Była od niego wyższa o pół głowy, ale zgięła kolana. Patrzyli sobie w oczy.

— Co najpierw? — spytała. — Maszynopisanie czy...

— Czy?

— Czy ja?

— Będzie, jak chcesz. Słowo kobiety jest dla mnie rozkazem.

— W takim razie jeszcze wypijmy...

Wypili dodatkowo po pół szklanki.

— A teraz, ponieważ to pan jest mężczyzną, proszę mnie pocałować. Wstydzę się...

Dalsze wydarzenia Jagubow odtwarzał potem w pamięci fragmentami. Koło dwunastej Inna wstała z łóżka, przyniosła gitarę i siedząc mu na brzuchu śpiewała czastuszki, a on razem z nią. Wypili do końca resztę wódki. Wyjął Innie z rąk gitarę, położył ją na podłodze, a dziewczynę posadził sobie na kolanach.

— Jesteś cudowna. Nawet nie przypuszczałem, że ktoś taki może istnieć.

Gospodyni obudziła ich rankiem i dopiero wtedy Jagubow się przekonał, że warunki mieszkaniowe Inny są jeszcze gorsze, niż sądził. W ogóle nie miała łazienki. Starucha, która spała w kuchni na zsuniętych krzesłach, zażądała za dyskomfort podwójną cenę — sześć rubli.

— Inno Abramowno — powiedział na odchodnym. — Nic między nimi nie było. Mam nadzieję, wyrażam się jasno?

— Będę milczała jak grób — rzekła Inna.

W drodze ogolił się u fryzjera. Bał się, że Swietłozierska do niego natychmiast przyjdzie, więc kazał Łokotkowej nikogo nie wpuszczać. Przypomniawszy sobie szczegóły ostatniej nocy. Żyje w takich warunkach i jest szczęśliwa. Mają rację ci, co mówią, że trzeba kochać kobiety szczęśliwe. I naturalnie, takie, które nie paplają.

Po wypiciu herbaty otworzył teczkę z dokumentami. Na widok wchodzącej Anny Siemionowny skrzywił się.

— Przepraszam, ale Kaszyn prosi, żeby go pan przyjął. Mówi, że to pilne.

— Cóż, niech wejdzie...

Minionej nocy Swietłozierska całując Jagubowa powiedziała nagle:

— Nie wszyscy mężczyźni w redakcji są tacy...Dajmy na to, Kaszyn..

— Co Kaszyn?

— Zamknął drzwi w gabinecie. Mówię do niego: „Wstyd, rybki na nas patrzają!” I pędzę do drzwi. A drzwi jak zamurowane, nie można otworzyć. „Niech — powiada — rybki sobie popatrzają!” Rozebrał mnie, ale nic mu nie wyszło. Chciałam go ugryźć, żeby trochę ożył. A on na to: „Ojej, boli!” I zasłonił ręką usta, żeby nie krzyczeć. Całego pogryzłam — i figa z makiem!

— Figa? — zachichotał Jagubow. — To dlatego, że był wtedy w pracy.

— Dzień dobry! Wszystkiego najlepszego w nowym roczku!

To wszedł do gabinetu Kaszyn, by przekazać ważne nowiny i dowiedzieć się, co powie na to szef.

— Co chcesz, Walku? Jestem zajęty.

— Przepraszam, Stiepanie Trofimowiczu! Powiem tylko to, co najważniejsze. Sirotkina z działu listów się otruła.

— Jak to?!

— A tak: zażyła dużą ilość pigułek nasennych. Nocą zawieźli ją nieprzytomną do kliniki Sklifasowskiego. Dzwoniłem już tam: przepłukali dziewczynie żołądek, zrobili transfuzję krwi. Podłączyli sztuczną nerkę — wie pan, kto jest jej ojcem, całą medycynę na nogi postawił. Mówią, że będzie żyła.

— Wpisali ją na listę gorkomu?

— To też wyjaśniłem. Nie. W szpitalu zarejestrowali ją jako studentkę. O „Prawdzie Robotniczej” nie wspomnieli.

— No a powód? Dlaczego to zrobiła?

— W hali maszyn mówią, że zaszła w ciążę z Iwlewem.

— Z Iwlewem?

— Swietłozierska tak powiedziała maszynistkom. I dodała: „Przez takie głupstwo! Wszystkie chłopcy to dranie.”

— Wszystkie? Tak powiedziała? — Kaszyn skinął potwierdzająco i zapytał: — Co robić? Gdyby to był ktoś inny, należałoby go zwolnić. Ale Sirotkina...

— Nie mówmy o tym — nachmurzył się Kaszyn. — To już wszystko?

Pomyślał, że gdy po świętach spotka na basenie generała Sirotkina, taktownie wyrazi mu współczucie. A może, na odwrót, trzeba udać, że nic się wie?

— Co się tyczy manifestacji — meldował Kaszyn — listy pilnujących porządku i niosących sztandary oraz portrety już są przygotowane, pracowników poinstruowano, że mają iść równym krokiem, po ośmiu w szeregu. Proszę podpisać, zawiozę do kontroli. Drugi egzemplarz do księgowości: po pięć rubli za niesienie portretów i sztandarów, suma się zgadza.

— Nie masz racji, Walku. Portrety trzeba nieść za darmo.

— W zasadzie tak... Ale gdy płacimy, mamy pewność... To już tradycja...

Jagubow podpisał nie zgłaszając zastrzeżeń.

— Kolejny problem to drzwi — spiesznie dorzucił Walentin. — Przychodzą do redakcji ludzie i widzą wyłamane. Zamówiłem ślusarzy, zaraz wymienią zamek. Są u mnie, Anna Siemionowna prosiła, by pana nie niepokoić.

Poprzedniego wieczora Stiepan Trofimowicz przez ponad pół godziny nie mógł się dostać do swego gabinetu, w końcu wyłamano drzwi. Rozwścieczony kazał wezwać milicję, ale Kaszyn nie wykonał polecenia. Teraz już wiedział dlaczego i spytał drwiąco:

— Nie słyszałeś, jak zaklejali drzwi?

— Bylem zajęty — zaczerwienił się Kaszyn.

— Niby czym?

— Niczym specjalnym...

— Dobra — wielkodusznie zakończył przesłuchanie Jagubow. — Jak wyjadę, niech naprawią te drzwi. Dopilnuj! Coś jeszcze?

— Ostatnia sprawa: Makarcew do nas zajrzy.

— Czemu od razu nie powiedziałaś? Nie może usiedzieć w domu? Skąd o tym wiesz?

— Anna Siemionona do niego dzwoniła. Słyszałem koniec rozmowy. Prosił, żeby nie mówiła nikomu...

— Chce nas zaskoczyć? Wiesz co, Walek... Przygotuj się na tę niespodziankę. Kup jakieś kwiaty... I nie zapomnij uprzedzić na portierni, żeby wpuścili Makarcewa, jeśli zapomni legitymacji...

— A kwiaty z jakiej puli? Redakcyjnej?

— Ależ z ciebie biurokrata! — skarcił Kaszyna Jagubow. — Masz tutaj... Poślij gońca na Rynek Centralny...

Kaszyn złożył pięćcorublowy banknot i wsunął go do kieszeni.

— Tak jest, Stiepanie Trofimowiczu. Rozkaz!

Jagubow wstał, demonstrując, że audiencja dobiegła końca. Znów zadzwonił do Szamajewa, ale i tym razem go nie zastał. Więc postanowił przejść się po oddziałach, sprawdzić, jak idzie praca nad pierwszomajowym numerem, żeby o wszystkim zameldować naczelnemu.

Świąteczny numer rodził się bez pośpiechu, większość materiałów już była gotowa. Co prawda, od niektórych pracowników zalatywało alkoholem, ale wszystko szło jak po maśle i Jagubow wrócił zadowolony. Wziął do ręki szpalty artykułu wstępnego „Dzień proletariackiego braterstwa”, ale natychmiast się rozmyślił: niech pierwszy przeczyta go Makarcew, będzie mu przyjemnie.

Pod szpaltami leżała duża niebieska koperta, gruba, bez napisu, nie zaklejona. Jagubow wziął ją do ręki nie pojmując, skąd się tu wzięła. Do koperty był wciśnięty gruby maszynopis na cienkim papierze. Tekst gęsty, bez przerw i marginesów. „Impotentokracja — przeczytał Stiepan Trofimowicz na pierwszej stronie. — Fizjologiczne przyczyny ideologicznej zgrzybiałości, Samizdat 1969”. Wściekły przerzucał kartki, wychwytyując antyradzieckie akapity.

— To prowokacja! — zdecydował z miejsca, tak jakby na to czekał. — I to w przededniu święta.

Nie czuł strachu. Należało tylko przeanalizować sytuację i znaleźć właściwe rozwiązanie.

— Anno Siemionowno — wezwał Łokotkową. — Czy to pani przyniosła?

— Nie wchodziłam do pana, Stiepanie Trofimowiczu. Nie widziałam na oczy tej koperty.

— W porządku, sam wyjaśnię... A propos, czy to prawda, że wpadnie do nas naczelnny?

Zaczerwieniona Anna Siemionowna milczała.

— Jasne! Skoro prosił, żeby nie mówić, nie mam pani za złe... Proszę mi przynieść z bufetu paczkę papierosów...

Łokotkowa z ulgą wybiegła. Jagubow wziął z biurka szpalty

wstępniaka i niebieską kopertę, otworzył drzwi i przekonawszy się, że pokój przyjęć jest pusty, szybko wszedł do gabinetu naczelnego. Panował tam półmrok, jak u Jagubowa: dwie trzecie okna zajmował portret Lenina — widać było część ramienia i gigantyczne ucho. Stiepan Trofimowicz położył na biurku kopertę z maszynopisem, a na niej szpalty. Podszedł do telefonu specjalnego i wykręcił numer Szamajewa. Koperta była bardzo przydatna, potwierdzała obawy — towarzysze z aparatu centralnego poradzą, co robić.

Szamajew był u siebie, lecz nie odbierał zwykłych telefonów z miasta. Wysłuchał Jagubowa uważnie i oświadczył, że zamelduje szefowi.

Przeszłość Makarcewa nie mogła interesować Kegelbanowa; znał ją zresztą doskonale. Linie ideologiczną i politykę kadrową naczelnego „Prawdy Robotniczej” znano również w KC, kogoś tam urzędowała. No i ta historia z synem. Szamajew zameldował o niej krótko Kegelbanowowi, powoławszy się na Jagubowa jako na źródło informacji.

Kegelbanow odstawił na bok szklankę herbaty z cytryną, odłożył papiery i ku zdumieniu Szamajewa stracił humor. Nie lubił, gdy jego ludzie przypominali mu o sobie bez wezwania. Ale tu chodziło o coś całkiem innego. Niedawno Krzacasty powiedział mu, że Makarcew to nasz człowiek. A tu jeden z naszych ludzi daje do zrozumienia, że to nieprawda, ten człowiek nie jest nasz! Chyba Jagubow przesadza z tą gorliwością, podpowiadaniem zwierzchnikom, co mają robić. A może robi to nie bez podstaw, może ktoś już sprawę Makarewa rozkręcił? Kto mianowicie?

— Na ten sygnał — Jegor Andronowicz znów przysunął do siebie szklankę i wypił łyk wychłodzonej herbaty — nie będziemy na razie reagować. A ty wyjaśnij przy okazji, dla kogo jeszcze pracuje Jagubow...

— No, mam wrażenie...

— Nie o wrażenie chodzi, lecz o wyjaśnienie!

Telefony Jagubowa były na podsłuchu. Gdy Stiepan Trofimowicz wyszedł do sali przyjęć, usłyszał, że w jego gabinecie huczy interkom.

— Stiepanie Trofimowiczu — informował Poliszczuk — wie pan już pewno, że we wszystkich komunikatach TASS o sekretarzu generalnym trzeba teraz pisać nie „tow.”, a „towarzysz”.

— Już dawno należało — potwierdził Jagubow. — Proszę uprzedzić sekretariat, wydziały, halę maszyn, korektornię, dyżurnych re-

daktorów. Sprawdźcie wszystkie teksty, cytaty, podpisy pod zdjęciami. To bardzo ważne!

— Tak też zrozumiałem — odpowiedział Poliszczuk.

73. Jutro 1 maja

Nadszedł 30 kwietnia. Od rana Makarcew kręcił się nerwowo po mieszkaniu nie znajdując sobie miejsca. Lekarze zawsze lubią przesadzać — myślał — a przed majowym świętem redakcja mnie potrzebuje. Czytelnik ma prawo do wypoczynku i rozrywki, a oni co pakują do numeru? Nudy na pudy... Jagubow nie docenia wagi humoru. No i warto złożyć życzenia. Pracownicy szanują mnie i chyba lubią, czekają, kiedy wrócę. Wpadnę na chwilę do redakcji. Pozytywne emocje są bardzo wskazane! Zinie wytłumaczę, że mnie wezwali telefonicznie, a potem, w święta, będę leżał.

Gdy żona była w kuchni, zadzwonił do Anny Siemionowny: niech przyśle po niego samochód, lecz nic nikomu nie mówi. Sekretarka bardzo się ucieszyła, poczuł to wyraźnie. Zaskoczy wszystkich, sprawdzi, co się dzieje, zbada sytuację.

Z trzech buteleczek stojących na nocnej szafce nalał sobie lekarstwa, włożył do kieszeni nitroglicerynę i jakieś zagraniczne pigułki, ubrał się, uprzedził żonę, że idzie na spacer, wyszedł z domu i stanął na ulicy tak, by windziarka nie mogła widzieć, że wsiada do samochodu.

Losza przyjechał podenerwowany. Zdążył wpaść na chwilę przed południem do Anosina i dowiedział się, że rodzicom dali rozwód, jak tylko Kława powiedziała, że stary chla wóde, a po pijaku ją tłucze. Nikanor skrzywił się, stękał, lecz uznał swoją winę: kazali mu wybulić 35 rubli za rozwód. A miesięczna emerytura starego to 12 rubli. Z przepisaniem domu na matkę sprawa okazała się trudniejsza. Jeszcze przed rozwodem Kławdia poszła do zarządu kolchozu, ale księgowy jej wytłumaczył, że nie jest już kolchoźnicą. Pół roku temu podjęła pracę w spółdzielni, kleiła tekturowe pudełka do zegarków. Płacili do stu trzydziestu rubli na miesiąc — dwa razy więcej niż w kolchozie. Więc z rejestru kolchoźników Klawdię wykreślono. Nie dostanie domu babki. Psu na budę był ten cały rozwód, ale rodzice bojąc się Loszki zrobili, co kazał.

A dzisiaj ojciec wciąż marudził: „Kiedy, synu, znów się obżenimy? I czy pozwolą?” Zdenerwowany Loszka huknął na starego, choć

sam też nie wiedział, co będzie dalej, „Żeńcie się, ile wlezie”. Ale po chwili dodał: „Może, tatko, poderwie jaką dziewczuchę?” No i rozba-
wił tym ojca. Staruszek zaczął gadać, co by to było, gdyby kogoś
sobie przygruchał, a Losza skorzystał z okazji, wcisnął gaz do de-
chy i odjechał. Teraz zdumiał go szef, czekający na ulicy. Makarcew
powoli wgramolił się do wozu, unikając gwałtownych ruchów.

— Masz dla mnie papierosa? — spytał kierowcę otwierając skrytkę.

— Nie wolno panu...

— Sam wiem, czego mi nie wolno! — rozzłościł się Makarcew,
ale skrytkę zatrzasnął. — A przynajmniej pogadać wolno?

— Czemu nie? — roześmiał się Dwojeninow. — Dokąd jedziemy?

— Do redakcji, ale gazem!

— Jasne! — Losza włączył się do ruchu i pomknął na Prospekt
Leningradzki. — Chyba nie planował pan odwiedzin w redakcji
przed świętami. Jak tam serduszko, szefie?

— A niech je! — Makarcew demokratycznie bluznął mięsem,
choć sobie na to zazwyczaj nie pozwalał. — Lepiej powiedz, co u
ciebie, Losza?

— U mnie? No właśnie, Igorze Iwanowiczu, czy mogę godzić
się z czymś takim? Skakałem z bojowego samolotu, w garażu wiszę
na honorowej tablicy. A jak potrzebuję papierka, nie chcą dać —
mówią, że nie ma pewności, czy naprawdę jestem bohaterem.

— O czym ty mówisz?

— Jak zwykle o „Sowtransawto”. Byłem u nich, opowiedziałem
życiorys. Kazali przynieść z Ministerstwa Obrony dokument o moim
bohaterstwie. No to poszedłem. A jakiś pułkownik powiada: „Co
znówu za bohaterstwo? Gdybyś spłonął w samolocie, sprawa była-
by jasna. Dostałbyś pośmiertnie Order Czerwonego Sztandaru. Ale
ty zniszczyłeś sprzęt i ocalałeś. Jakim cudem? Kto ponosi za to odpo-
wiedzialność? Bo jeśli ty osobiście, to powinieneś iść pod sąd!” A ja
na to: „Sprawdźcie, czy to moja wina. Ratowałem się dla ojczyzny.”
A on ryknął: „Jak wszyscy zaczną skakać z samolotów, nigdy nie
wygramy żadnej wojny. Więc pracuj sobie w cywilu, ale od Minister-
stwa Obrony się odwal!”

— Cóż, Aleksy. Trafieś na pułkownika idiotę. Nietypowy przy-
padek. Obiecałem, więc zatelefonuję.

— Dziękuję, Igorze Iwanowiczu. Niech pan o sobie dba. Zina-
ida Andrejewna z trudem sobie bez pana radzi. A redakcja też nie
może się doczekać pańskiego powrotu.

— Muszę się teraz nauczyć chodzić.

— Jak to?

— Ano tak. Teraz do KC będę chodził pieszo. Nauczę się stopniowo. Najpierw pokonam kawałek ulicy, potem połowę drogi...

— A ja będę jechał obok, na jedyńce.

— Mowy nie ma! Co by sobie pomyśleli przechodnie! Będiesz czekał w umówionym miejscu. Zaczniemy po świętach.

— A może chce pan jeździć na basen wojskowy, kąpać się z generalicją, jak Jagubow?

— Jagubow jest młody, więc niech pływa. A ja będę spacerował...

Flagi i plakaty po obu stronach ulic zlewały się w czerwone smugi. „Brak gustu, utrata poczucia miary — pomyślał Makarcew. — I mnóstwo zmarnowanych pieniędzy... Trzeba kształtować gust.” Tu i ówdzie migają przed oczyma portrety wodzów — pierwszego i obecnego, rzadziej — wszystkich członków Politbiura. Pomyślawszy, że gdy i on zostanie członkiem KC, powieszą go na samym końcu szeregu, Makarcew skrzywił się. Nie, nie grozi mu to; zresztą nie miałby ochoty. Jak wół roboczy ciągnie partyjną furmankę. Niech cieszą się sławą ci, którzy nie mogą się bez niej obejść.

— Wyglądają strasznie młodo — Losza spojrzał krzywo na portrety.

— Niech im będzie! Powiedz lepiej: zdradzałeś kiedy żonę?

— A pan? — błyskawicznie zareplikował Dwojeninow.

Makarcew nie spodziewał się czegoś takiego.

— Cóż, ja... to co innego. Sam wiesz, że nigdy nie mam czasu...

-- Jasne! „Partia — naszym sternikiem!” — przeczytał Losza, gdy zatrzymali się na czerwonym świetle, z tyłu za śmieciarką.

— A co, masz wątpliwości?

— Ja? Skądże. Partia to partia... Moja rzecz — siedzieć za kółkiem, Igorze Iwanowiczu.

Śmieciarka gwałtownie ruszyła, wypadło z niej kilka gazet. Jedna uderzyła o szybę makarcewowskiej „wołgi”, przewróciła się na drugą stronę, lecz zaraz strumień powietrza zabrał ją ze sobą. „Izwestija” — przeczytał Makarcew.

— Niechluj! Całą ulicę zabrudzi! Wyprzedź go, Aleksy i powiedz tym z drogówki: niech zatrzymają patałacha.

Proletariacka solidarność ocknęła się na dnie duszy Dwojeninowa, lecz natychmiast ponownie zmorzył ją sen. Losza zahamował przed milicjantem, otworzył drzwiczki, wskazał wielkim palcem za siebie i pomknął dalej. W lusterku dostrzegł, że gliniarz wystawił lizaka, a śmieciarka stanęła.

Podjeżdżając do redakcji Makarcew czuł się znakomicie. Nic mu nie dolegało. Był zdrów i wracał do szeregów. Kierowca ruszył

pierwszy do windy kręcąc na palcu kółko z kluczykami. Szepnął strażnikowi, że idzie z nim naczelny: żeby nie było nieporozumień. Nowy strażnik jeszcze nie widział szefa i wyciągnął się przed Makarcewem jak struna. Witano nowoprzybyłego radośnie, składano mu życzenia. Młoda pryszczata korektorka usiłowała przepuścić naczelnego do windy, ale Makarcew z galanterią zaproponował, by weszła pierwsza, a nawet uścisnął jej dłoń. Na piętrze otaczał go już tłum. Kierownicy działów podbiegali, żeby zapytać, jak się czuje, ściskali mu ręce. Rzeczywiście mnie lubią, nie myliłem się. Ja też ich cenię, wszystkich, bez wyjątku. Cóż bez nich bym znaczył? Dostrzegłszy na korytarzu Rappoport Igor Iwanowicz złapał go za rękaw i zaciągnął w kąt.

— No i jak? Zatuszowałeś sprawę?

— Naturalnie — wychrypiał Jakow Markowicz. — Bądź spokojny. Wszystko spaliłem. Nie zostało nawet śladu...

— Dziękuję! — Igor Iwanowicz uścisnął mu rękę. — Wszystkiego najlepszego, stary!

— W porządku — skrzywił się Rappoport. — Chociaż właściwie, dla dobra naszych dzieci, należało postąpić inaczej.

— Jak to inaczej? Co masz na myśli?

— Spalić gazetę, a zachować szarą teczkę.

— Kiepski żart! — Makarcew ruszył do swego gabinetu zdejmując po drodze płaszcz.

Gdy w drzwiach sekretariatu pojawił się Losza, Łokotkowa zerwała się, poprawiła spódniczkę i pobiegła do drzwi gabinetu naczelnego, by szeroko je otworzyć przed szefem. Pokój był czyściutki, przewietrzony, na biurku stała szklanka herbaty.

— Czołem, pani kierowniczo! — Makarcew ukłonił się Łokotkowej potrząsając siwą czupryną.

— Jak się pan czuje? — spytała Ania z radosnym niepokojem.

— Jestem zdrów jak ryba. Bolszewicy są twardzi!

Wziął Anię pod łokieć i pocałował ją w usta. Przytulila się do niego, ale nie poczuła nic. Może dlatego, że wszyscy patrzyli. Absolutnie nic nie czuła, choć czekała na tę chwilę bez mała dziewięć lat. Wargi szefa były zimne, bez smaku, choć zawsze wydawało się jej, że są gorące i pachną amerykańskimi papierosami, które tak bardzo lubiła. Weszła za szefem do gabinetu szczelnie zamykając przed ciekawskimi obie pary drzwi.

— Czemu pani taka smutna, Aniu. Przecież jutro święta...

Na rzęsach sekretarki zawisły łzy.

— Mąż mnie rzucił, Igorze Iwanowiczu. Proszę nie zwracać uwagi.

Nie chciała o tym mówić, wyrwało się jej niechcący.

— Jak to rzucił? Dlaczego?

— Nasz pies wpadł pod samochód, więc mąż mnie rzucił...

— A co ma z tym wspólnego pies?

— Mąż powiedział, że tylko pies nas łączył. Cóż w tym dziwnego? Znalazł sobie młodszą, pies był pretekstem...

— Och, Aniu! — pogłaskał ją po głowie jak małą dziewczynkę.

— Zawsze mówiłem, że trzeba kochać starszych panów! Takich chociażby jak ja!

— Jak pan? — zdumiona Ania przestała płakać, wlepiała w Makarcewa wzrok. — Nie przypominam sobie, by mówił pan coś takiego...

— W takim razie myślałem.

— Żartuje pan, Igorze Iwanowiczu.

— Dobrze, jeszcze o tym pogadamy. Kiedy zaczyna się kolegium?

Łokotkowa spojrzała na malutki zegarek; jego wskazówki przez dziewięć lat odmierzały czas w „Prawdzie Robotniczej”

— Za trzydzieści pięć minut.

— Dobrze. Niech nikt nie wchodzi, chcę trochę podzwonić.

— Na wszelki wypadek kupiłam walidol. Leży w prawej szufladzie — rzekła Ania wychodząc z gabinetu.

— Jest pani niezastąpiona!

Makarcew włożył okulary, zatarł ręce, usiadł na fotelu — nie siedział na nim od sześćdziesięciu dwóch dni. Wkrótce znów będzie kierował gazetą. Ale jeszcze istniał jakby poza nią, a ona w oderwaniu od niego. Póki pamięta, zadzwoni w sprawie Dwojennowa. Igor Iwanowicz dobrze wiedział, że kierowców na wyjazdy zagraniczne werbuje całkiem inny resort, lecz skoro obiecał, trzeba spróbować. Zatelefonował do Stratjewa, wiceministra handlu zagranicznego: kiedyś pracowali razem dla Chruszczowa. Po wymianie uprzejmości i pytań o zdrowie (nie wie, że miałem zawał — to dobrze!) Makarcew zapytał:

— A propos, stary, podlega ci „Sowtransawto”. Międzynarodowy autorytet tej organizacji jak na razie nie jest zbyt wysoki. Chcesz, żebyśmy go podbudowali?

— Czemu nie — odparł po krótkim namyśle Stratjew. — Tylko na czyje polecenie? Może wpierw skończymy reorganizację?

— Jaką?

— Wprowadzamy nowy, bardziej efektywny system pracy. Po co wysyłać ludzi za granicę? Na punktach pogranicznych będziemy odbierać towar od kontrahentów, a kierowcy rozwiozą go po kraju. To znacznie wygodniejsze, w dodatku tańsze.

— Kiedy wprowadzicie ten system? — Makarcew zrozumiał, że z marzeń Dwojeninowa nici.

— Za dwa, najwyżej trzy miesiące.

— No to umowa stoi — rzekł Makarcew, postanawiając wyrzucić „Sowtransawto” z pamięci. — Nigdzie się nie wybierasz?

— Wczoraj wróciłem z Finlandii, podpisaliśmy umowę. Daj trochę odsapnąć...

— No to cześć!

Igor Iwanowicz pomyślał zasmucony, że sam od dawna nie był za granicą. Teraz też nie będzie miał na to czasu. Zwiększy prestiż gazety, wskaże Jagubowowi jego miejsce, rozrusza ludzi. Dopiero wtedy mógłby wyjechać. Dawno już nie biegało pióro w rękę, czas pokazać młodym jak chwycić byka za rogi! Lecz osłabiony mózg wykręcał się od myślenia, nie miał ochoty na pracę. Trzeba wziąć się w karby. Igor Iwanowicz wysunął szuflady biurka, sprawdził, czy wszystko leży na miejscu. Wziął do ręki szpalty artykułu wstępnego, obejrzał je z irytacją. Mało ciekawe, wręcz nudne! Mogliby przynajmniej zamieścić jakiś wiersz! Wypił zimną herbatę i odsunął szpalty.

Pod szpaltami leżała niebieska koperta. Gdy Makarcew ją otworzył i przeczytał tytuł znajdującego się w niej maszynopisu, skrzywił się, jakby rozboleły go zęby. Serce jeszcze było spokojne, ale już mu się wydawało (chyba ze strachu?), że bije nierówno, zbyt mocno i lada chwila bić przestanie, jak wówczas, przed gmachem KC. Zapomniał o wierszach, ożywiających artykuł wstępny i z narastającą wściekłością zaczął czytać „Impotentokrację” Gdy zrozumiał, co to za maszynopis, odrzucił kartki ze złością. Palce trzęsły się z oburzenia, a może z osłabienia. Znów? Co się tu dzieje? Zapragnął nagle podnieść się z biurka, uciec z gabinetu, wrócić do domu miejskim autobusem. Zaryć się z głową pod kołdrę i leżeć, tak jakby nigdy nie wstawał z łóżka. Idiotyzm! Przysunął do siebie stos kartek, zgarnął je nieposłusznymi palcami, wcisnął do koperty. Jego cierpliwość się wyczerpała.

Drzwi otworzyły się i wszedł lejtnant służby bezpieczeństwa z teczką w rękę. Igor Iwanowicz zacisnął wargi.

— Dzień dobry, specpoczta...

Oficer otworzył teczkę, wyjął księgę z lakową pieczęcią na

sznurku i wskazał palcem rubrykę. Naczelný podpisał się, choć serce podchodziło mu do gardła. Lejtnant schował księgę do teczki, położył na biurku niewielką białą kopertę i wyszedł. Znajdowała się w niej tajna instrukcja na temat narkotyków: zażywanie ich, zwłaszcza przez młodzież, wzrosło, zabrania się więc w ogóle publikowania o tym czegokolwiek.

Makarcew wsunął do sejfu instrukcję, a potem samizdat. Gwałtowne poruszenie wywołało ból pod lewą łopatką; nie bez powodu tak się go obawiał. Szybko włożył do ust tabletkę nitrogliceryny. W tym momencie weszła do gabinetu Ania i rzekła z uśmiechem:

— Igorze Iwanowiczu, cała redakcja już wie, że pan przyjechał. I wszyscy mają jakieś ważne sprawy. Ale ja nikogo nie wpuszczam.

Głos sekretarki przypominał dalekie echo.

— Po kolegium spotkamy się na krótko w sali narad. Chciałbym powitać pracowników, złożyć im świąteczne życzenia. Czy pismo w sprawie nagród jest przygotowane?

— Chyba tak. Spytam Kaszyna. I jeszcze jedno... — Ania zawałała się. — Jagubow pyta, czy go pan przyjmie...

— Czemu tak oficjalnie? On może wchodzić do mnie bez zezwolenia.

Gdy sekretarka opuściła gabinet, zjawił się Stiepan Trofimowicz. W międzyczasie Makarcew włożył do ust kolejną pigułkę. Po zażyciu nitrogliceryny czuł się nieco lepiej, chociaż ból jeszcze nie minął. Ale słowa już do niego docierały.

— Bardzo jestem rad, że czuje się pan lepiej, Igorze Iwanowiczu. Ciężko było bez pana, przyznaję. Cieszę się też, że pański syn wybrnął z opresji. W redakcji były na ten temat plotki, ale je ukróciłem! Musi pan wiedzieć: mieliśmy tu nieprzyjemności natury kadrowej. Nigdy nie podejmowałem decyzji personalnych bez pańskiej zgody, ale raz jeden musiałem, zresztą nie z własnej woli. Korespondent specjalny Iwlew został aresztowany przez KGB. Zwolniliśmy go, choć nie ma jeszcze w tej sprawie podpisu...

Nagle Makarcew zrozumiał, że nienawidzi swego zastępcy — zaraz mu wygarnie, co o nim myśli. Nabral w płuca powietrza i zapominając o bólu pod łopatką, zawołał:

— Zwolnił go pan zamiast bronić? Może pan nie wie, Stiepanie Trofimowiczu, do kogo należało zwrócić się w tej sprawie? Minęły już czasy, gdy aresztowano ludzi w biały dzień. Mówię to panu z całą odpowiedzialnością, ja, zastępca członka KC!

Ale Makarcew nie wypowiedział tych słów. W milczeniu, tłu-

miąc nienawiść, patrzył na swego zastępcę. Nagle poczuł, że odrywa się od ziemi, szybuje pod sufitem, a przestrzeń wokół zapelnia się czymś białym — ni to mgłą, ni to watą. W przestrzeni tej obok Makarcewa szybował jeszcze jakiś osobnik, we fraku i pantalonach. Igor Iwanowicz od razu go poznał — był to markiz de Custine. Arystokrata mrugnął do Makarcewa i zachęcał go gestem, by szedł za nim.

— Wybiera się pan do nieba, czy do piekła? — spytał markiz, a jego oczy rozbliły się dziwnym blaskiem.

— Ja... ja... — zdębiał Makarcew i spojrzał w dół na Jagubowa. Niestety, słabo go widział za mgłą.

— Ach, serdecznie przepraszam! — pospieszył naprawić swoją pomyłkę Custine. — Zapomniałem, że pan w Boga nie wierzy. Pański raj i pańskie piekło są tylko na ziemi...

Płynęli jeden obok drugiego, a strzępy waty dotykały twarzy Makarcewa, zaklejały mu oczy, wlażyły do ust. Markiz tego wszystkiego jakby nie zauważał, płynął w powietrzu lekko, swobodnie.

— Źle ze mną — wychrypiał Makarcew niezrażony ironią markiza. — Tak źle, że tylko Bóg może mi pomóc. A czy ja... czy ja mógłbym iść do nieba?

— Trudno powiedzieć, monsieur... To zależy od decyzji tam, na górze — Custine wskazał ręką niebo.

— Jak to? — obruszył się Igor Iwanowicz i nawet przestał bełkotać. — Chce pan powiedzieć, że i w niebie o moim dalszym losie zadecyduje władza zwierzchnia?

Poczuł potworny ból pod łopatką, a zaraz potem na szyi i w ręku. Ciało zrobiło się ciężkie i zaczęło się przewracać. Custine złapał Makarcewa za łokieć, żeby go podtrzymać.

— Istotnie, są rzeczy silniejsze od nas — zauważył. — Ale gdy czujemy czyjąś sympatię, jest nam lżej. Samotność w życiu wiecznym bardziej dokucza niż tu na ziemi, proszę mi wierzyć. Mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy...

Francuz zniknął we mgle, a Makarcew opadł na fotel. Nagle zobaczył przed sobą maleńkiego, pobladłego Jagubowa.

— Nie zgłasza pan zastrzeżeń? — dopytywał się karzełek.

— O czym pan mówi? — wybełkotał Makarcew.

Wata w uszach i w ustach przeszkadzała słuchać.

— O zwolnieniu Iwlewa z redakcji.

— Nie. — Makarcew wypluwał watę, uniemożliwiająca mówienie. — Słuszna decyzja. Podpiszę.

Cóż, tak będzie lepiej — nie musi już nic robić, ponosić żadnej odpowiedzialności. Był zbyt uczciwy, płaci teraz za to bólem, niech to szlag!

— Szefowie na miejscu? — do gabinetu zajrzał Poliszczuk. — Wszystkiego najlepszego, towarzysze! Igorze Iwanowiczu, pewne sprawy wymagają pańskiej decyzji!

Znów jakieś sprawy. Znów mi każą decydować. A wokół coraz więcej waty. Powiedzieć im, że kiepsko się czuję? Nie, mowy nie ma. Dla podwładnych jestem zdrów.

— Zdecydujemy — wymamrotał patrząc na pustą szklankę i oblizwał spuchnięte, suche wargi.

Poliszczuk stał obok Jagubowa. Gdy zniknął Iwlew, przez dwa dni chodził jak struty, nie uświadamiając sobie, że i nad nim gromadzą się chmury. Z głowy nie wychodziła mu statystyka: śmiertelność w środowisku dziennikarskim jest znacznie wyższa niż w jakiegokolwiek innej kategorii pracowników. Praca w gazecie to błąd, byłoby głupotą zaprzeczać. Lepiej wrócić na uczelnię, napisać doktorat, wyklądać byle co. Zdecydowawszy, że tak postąpi, Poliszczuk nabrał otuchy. Chciałby pogadać z Makarcewem w cztery oczy. Szef pomoże mu uzyskać zgodę KC na zmianę pracy. Lecz Jagubow jak na złość nie wychodził. W drzwiach stanął Kaszyn z pękiem kluczy.

— Najlepsze życzenia, Igorze Iwanowiczu — powiedział uśmiechając się szeroko. — Dla pana to podwójne święto. Pańskie zwolnienie ze szpitala już dotarło do księgowości, Anna Siemionowna przyniesie panu pensję. Gratuluję przystąpienia do obowiązków.

Jakiego przytępienia? — nie dosłyszał Makarcew. Może poprosić, żeby powtórzył? Trudno było obracać spuchniętym językiem, w ustach zrobiło się ciasno. Jak długo trwa ten ból, dlaczego nie mija...

— Igorze Iwanowiczu, kiedy opieczętować halę maszyn przed wolnymi dniami? — Walentin potrząsnął miedzianą pieczęcią. — Mamy w tym roku dodatkową instrukcję: należy opieczętować każdą maszynę do pisania, w dodatku tak, by nikt nie mógł zdjąć futerału. Już opieczętowałem wszystkie, została tylko jedna, wszyscy stoją do niej w kolejce, każdy ma coś pilnego. Tymczasem zgodnie z instrukcją muszę opieczętować przed szesnastą zero zero całą halę maszyn.

— To problem techniczny — powiedział Jagubow. — Zdecydujemy bez naczelnego. Teraz Igor Iwanowicz się spieszy...

Chyba zauważył, że źle się czuję, skrzywił się Makarcew. W głowie mi huczy, źle słyszę. To przez tę watę w uszach.

— Dzwoni spectelefon — grzecznie zameldował Jagubow. — Ciszej, towarzysze!

Telefon specjalny, niczym królewskie berło, był rzeczywistym atrybutem władzy — Jagubow nie miał uprawnień, by z niego korzystać. Naczelnym sam usłyszał dzwonek. To fatalnie, że telefony stoją po lewej stronie biurka, ciężko będzie wyciągnąć rękę. Po świętach poprosi, żeby przestawili.

— Tu Makarcew — rzekł do słuchawki usiłując nie bełkotać.

Telefonował Chomutiłow, sekretarz towarzysza, który wolał zawsze pozostawać w cieniu.

— Dzwonię nieco wcześniej, towarzyszu Makarcew, ze względu na święta. Proszę zapisać: piąty maja, jedenasta trzydzieści.

— Do samego szefa? — spytał Makarcew. — Piąty, to dzień prasy.

— No właśnie.

— A w związku z jaką sprawą? — zaniepokoił się intonacją Chomutiłowa.

Odpowiedzi nie było. A więc sprawa wygląda gorzej, niż przypuszczał.

— Stało się coś? — spytał raz jeszcze, choć wiedział doskonale, że pytać nie wolno, zwłaszcza po raz drugi. — Chciałbym się przygotować...

— Nie wiem — westchnął Chomutiłow. — Jestem tylko wykonawcą...

I odłożył słuchawkę.

— Czas na kolegium — rozległ się głos Jagubowa. — Pan poprowadzi czy ja?

— Ja — wyszeptał Makarcew — Ja osobiście...

Słowa utonęły w obłoku waty, nie był pewien czy je w ogóle wypowiedział... Chce poprowadzić kolegium, a może już poprowadził. Chce złożyć życzenia pracownikom, a może już je złożył. Jest sam w gabinecie, a może stoją wokół niego ludzie i patrzą, co się z nim dzieje... Nagle zrobił się malutki niczym liliput, wszyscy wokół wydali się olbrzymami. Ze strachu, że za chwilę go rozdepczą, Makarcew pokrył się potem, otworzył szeroko usta, by zaczerpnąć tchu, zgromadzić jak najwięcej powietrza, ale oni mu je odebrali, nic nie zostawili prócz waty...

Usiłował wstać, otworzyć lufcik. Oparł się rękami o biurko, zominając, że trzyma w ręku słuchawkę telefoniczną. Upadła, zawiśła na sznurze, wydając niespokojne, krótkie sygnały. Potem sygnały umilkły, a jakiś głos zapytał: „Co się tam dzieje? Dlaczego nie

odkładacie słuchawki?” Jagubow podbiegł do telefonu, przechylił się nad biurkiem, odłożył słuchawkę z szacunkiem. Igor Iwanowicz wymacał ręką guzik dzwonka.

Wbiegła Anna Siemionowna i zobaczyła, że Makarcew, cały szary, zwała się na krzesło.

— Niedobrze mi! — poskarżył się sekretarce. — Wata zakleja usta... Potwornie duszno!

— Boże! — wrzasnęła Łokotkowa. — Na co czekacie! Walek, dzwoń po pogotowie!

Rzuciła się do okna, lecz nie mogła go otworzyć: przeszkadzała rama wiszącego na zewnątrz portretu. Kaszyn poszedł do sekretariatu i wykręcił numer szpitala kremlowskiego, a następnie pogotowia zasłaniając słuchawkę dłonią, żeby nikt nie słyszał. A Makarcew obserwował daremne wysiłki Anny Siemionowny, szamoczącej się z oknem.

— Tam, gdy jest powietrze, można oddychać — powiedział nagle.

A może nie powiedział, tylko pomyślał. Zrozumiał już, że zbliża się śmierć. Nie wiedział, jak to jest, jeszcze nigdy dotąd nie umierał. Wyczuł głową oparcie fotela i nagle jego umysł rozjaśnił się jak nigdy. Siedzieć było niewygodnie, głowa zaczęła drętwieć. Drętwienie rozpełzło się na wszystkie strony, w górę i w dół, w oczach zamigotały zajączki, potem zapadła ciemność.

— Cóż, jesteśmy znów razem — rozległ się nad uchem Igora Iwanowicza sympatyczny tenor, niepodobny do głosów znanych mu z redakcji.

Markiz de Custine znów wyłonił się zza mgły, brzęknął szpadą, zapraszającym gestem wskazał Makarcewowi sufit, a może okno.

— Pański żalorny żywot dobiegł właśnie końca — poinformował Makarcewa. — Czas zwijać wędkę, takie jest chyba u was porzekadło. To nic strasznego, proszę wierzyć człowiekowi, który już dawno ma to za sobą, w dodatku czuje do pana sympatię. Może nawet coś więcej... Za chwilę poczuje się pan doskonale, lekko, w dodatku odzyska pan wolność. Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby się spotykać i rozmawiać... ać... ać...

Markiz zniknął w białej mgłę, za to mgła otaczająca Igora Iwanowicza stała się szara, fioletowa, czerwona, a wreszcie czarna. Makarcew zaczął pryskać śliną jak małe dziecko. Wielka fioletowa bańka śliny zawisła na jego brodzie i pękła. Ostatnią rzeczą, jaką naczelnym „Prawdy Robotniczej” zobaczył w swym życiu, było wielkie ucho Włodzimierza Lenina.

W gabinecie mnóstwo zaniepokojonych pracowników tłoczyło się pod ścianami — przyszli na kolegium. Makarcew siedział w fotelu

i patrzył przed siebie. Był jeszcze naczelnym „Prawdy Robotniczej”, ogniwem między gazetą a KC. Oczy mu zastygły, spojrzenie zgasło.

— Gdzie chory? — spytał potężny felczer w niezbyt czystym białym fartuchu. Niósł walizeczkę, którą bezceremonialnie rozpychał ludzi.

— Szybko przyjechaliście! — pochwalił go Jagubow i wskazał drogę.

Felczer postawił walizeczkę na biurku naczelnego, otworzył ją, wziął Makarcewa za rękę. Nie chciała się oderwać od oparcia fotela, więc szarpnął za nią mocno. Przez kilka sekund słuchał pulsu, potem schwycił Makarcewa za głowę i potrząsnął nią.

— Żadnej reakcji, widzi pani? — rzekł do stojącej obok Anny Siemionowny.

— Niech pan robi zastrzyk! — rozkazała sekretarka — Trzeba go zawieźć do kremłowskiego szpitala.

— A kto to?

— Zastępca członka KC!

Felczer odciągnął Makarcewowi dolną powiekę.

— Co pan robi? Przecież to boli!

— Nie boli — rzekł felczer spokojnie. — Już nic go nie boli. Przeszedł kiedyś może zawał?

— Tak — odpowiedziała Ania. — Dwudziestego szóstego stycznia...

— Weźmiemy zwłoki do kostnicy. W święta nie wolno urządzać pogrzebów. Pomóżcie położyć go na nosze.

Jagubow kazał Kaszynowi pomóc. Felczer zmoczył kawałek waty spirytusem i wytarł nią rękę, a potem fragment biurka, na którym stała jego walizeczka. Na wacie zostało trochę zapiekłej krwi, spirytus zmył ją z biurka. Była to krew Nadi — pamiątka po spotkaniu z Iwlewem. Felczer wyrzucił watę do kosza na śmieci.

Zadzwoił telefon wewnętrzny i Jagubow delikatnie zdjął słuchawkę.

— Tu Wołobujew, Igorze Iwanowiczu. Wszystkiego najlepszego! Cieszę się, że wrocil pan do zdro...

— Towarzyszu Wołobujew — przerwał mu Jagubow. — Nie ma już Igora Iwanowicza.

— Jak to nie ma? A ja słyszałem, że przyjechał... To pan, Stiepanie Trofimowiczu? Trzeba usunąć z tekstu informację, że demonstranci będą szli kolumnami, po ośmiu w szeregu. Zachodnia prasa nam imputuje, że organizujemy tryumfalne marsze, ustawiamy ludzi w kolumnach!

— Nie martw się, Wołobujew. Zdejmiemy ten materiał. A Igor Iwanowicz przed chwilą zmarł.

— Zmarł A gazeta?

— Gazeta? Cóż, będzie się ukazywała nawet wtedy, gdy umrzemy wszyscy!

Wiść o śmierci naczelnego rozeszła się po wszystkich działach, dotarła też do drukarni. Gdy robotnicy zobaczyli, że ich szefowie biegną na górę, wyjęli pochowane na koniec dnia butelki, żeby wypić za zmarłego. Potem wrzucali do szklanek świeże odbitki szpalt. Metaliczna farba skracala życie, lecz usuwała zapach wódki.

Ciało Makarcewa wyniesiono z korytarza na schody. Za noszami szedł tłum ludzi. Szatniarz napał ramieniem na główne drzwi i otworzył je szeroko. Naprzeciw wychodzącym szli spiesznie dwaj mężczyźni w białych fartuchach.

— Poczekajcie!

— Za późno — powiedział felczer. — za późno na reanimację...

Za noszami, na których kołysało się przykryte białym prześcieradłem ciało, wypłynęła na ulicę procesja. Lekarze ze szpitala kremłowskiego i felczer z miejskiego pogotowia zaczęli się spierać, kto weźmie zwłoki i długo nie mogli się dogadać. Nagle z góry rozległa się pieśń:

*Nasz wolny wiek marzenia przekuł w czyny,
Przemocą wziął nieujarzmioną dal
I zamiast rąk — nam skrzydła dał maszyny,
A zamiast serc — motorów śpiewną stal!*

To na ulicy sprawdzano głośniki przed jutrzejszą demonstracją.

1969-1979 Moskwa

Posłowie do pierwszego wydania amerykańskiego

18 maja 1975 roku w rubryce humoru radzieckiej gazety „Trud” można było przeczytać żartobliwy aforyzm. Czytelnicy, być może, przeoczyli go, lecz dowcip zwrócił uwagę władz i wszczęto w tej sprawie śledztwo. Dostał za swoje autor, dostało się też kierownikowi działu felietonów. A oto owa inkryminowana fraza: „Towarzysze! Naszą społeczność ślepych zaśmiecają ci, co widzą!” Właśnie wówczas praca nad *Aniołami na ostrzu igielnym* pochłaniała najwięcej moich sił, więc, być może, ten aforyzm powinien być mottem powieści.

Dalsze losy maszynopisu powieści (a także jej autora) bardzo się skomplikowały. W sierpniu 1968 roku — kierowałem wtedy działem jednego z pism moskiewskich — wraz z grupą dziennikarzy wyjechałem za granicę. Wyszliśmy w Warszawie z wagonu na peron w dniu, gdy w Pradze rozlegał się łomot gąsienic radzieckich czołgów. Nic nie wiedzieliśmy o tym, rzecz jasna. Czekano na nas polecenie KC, zawrócić do Brześcia. A w Brześciu — kolejna dyrektywa — że wszystko ma się toczyć zgodnie z planem, tak jakby nic się nie stało. Zawieziono nas na Węgry i do Austrii. W Wiedniu grupa uciekinierów z Czechosłowacji, usłyszawszy język rosyjski, chciała nas bić. Z trudem udało mi się ich przekonać w słowiańskim volapicku, że to nie ja wprowadziłem wojska i że ponoszę winę tylko w tym sensie, iż urodziłem się w Moskwie.

Wśród dziennikarzy, z którymi wówczas podróżowałem, byli ludzie o rozmaitych poglądach i zawodach, także wysocy funkcjonariusze partyni, twardogłowi i liberałowie, jacyś kagebiści, nawet pewien ewidentny faszysta. Ten ostatni opowiadał się za tym, by wystrzelać połowę Czechów, ta druga stanie się posłuszna. Znalazłem się w tym piekielku sprzecznych namiętności jako uczestnik, ale zarazem i ofiara końca etapu pierwszej, chruszczowowskiej „głośności”. Żałowałem później, że nie poprosiłem o azyl polityczny w Wiedniu, ale nie byłem wtedy na to przygotowany.

Strach, że Praska Wiosna zainfekuje Rosję, zawładnął Łubianką i Kremlem. Prasę, tą „najbardziej ostrą i najsilniejszą broń naszej partii”, jako pierwszą poddano czystce. Broni tej użyto przeciwko

inteligencji. Było coraz trudniej oddychać. Kronikarz, jeśli decydował się pisać prawdę, musiał ostrożnie rozglądać się dokoła i zachować w miarę możliwości dystans humoru wobec tego, co się działo. Musiałem odejść z gazety. Zaczęły się procesy polityczne i wyrzucanie literatów ze Związku Pisarzy Radzieckich.

Powieść *Anioły na ostrzu igielnym* jest niemalże stenograficznym zapisem 78 dni życia Moskwy — od 23 lutego do 30 kwietnia 1969 roku, najbardziej wyraziście ilustrujących bieg toczących się podówczas wydarzeń. Pisałem ją w Moskwie, chociaż sama myśl, by zanieść *Anioły* do jakiejś redakcji, wydawała się absurdem. Sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej, gdy w 1976 roku część powieści zarekwirowali agenci KGB podczas rewizji w mieszkaniu kolegi-literata. Na szczęście, bez karty tytułowej. Niezależnie od tego zaczęło się nękanie autora. Jak dowiedziałem się później, żądał tego sam szef KGB Jurij Andropow, gdy nie bez podstaw rozpoznał sam siebie w jednej z postaci powieściowych. Posypały się standardowe ciosy: zakaz publikowania czegokolwiek, zdjęcie z afisza sztuki, wykluczenie ze Związku Pisarzy, usunięcie z bibliotek wszystkiego, co wydałem, wreszcie — odmowa zezwolenia na emigrację. W 1979 roku, tuż po ukończeniu pracy nad *Aniołami*, trzy kopie różnymi drogami wyruszyły na Zachód. Wkrótce ich śladem wyprawilem dwie kolejne.

Powieść rozpowszechnianą w drugim obiegu (tzw. samizdacie) czytali koledzy i ich znajomi w Rosji i za granicą. Pojawiły się nawet naśladownictwa, z czego każdy autor mógłby być dumny. Mnie natomiast obrócono w zakładnika własnego dzieła. Podczas przesłuchania na Łubiance kazano wybierać: „publikacja albo łagier, bądź zakład psychiatryczny”. W instytucji usytuowanej przy Placu Dzierżyńskiego rozgrywały się przede mną sceny, które sam opisałem w mojej powieści kilka lat wcześniej. W 1984 roku w Moskwie trafił pod sąd człowiek, u którego znaleziono fragmenty *Aniołów*. Podczas procesu prokurator oskarżył go na tej podstawie o wypowiedzi antyradzieckie.

Od 1988 roku, po dziesięciu latach irrealnej egzystencji, autor osiadł w Ameryce. *Anioły na ostrzu igielnym* z kroniki życia współczesnego przeobraziły się w powieść historyczną. Dziś niektóre wydarzenia przedstawiłby inaczej. Cóż, można porównać tamto życie z obecnym i pogrozić autorowi palcem: po licha stroił sobie żarty, niepotrzebnie bił na alarm? Ale, jak sądzę, nie wolno nic zmieniać w powieści. Prognozy nie były celem kronikarza. Tak to wtedy widzia-

lem, tak rozumiałem sytuację: gdybym dzisiaj siadł do pisania nowej wersji *Aniołów*, równałoby się to poprawianiu historii. Różnie ułożyły się losy bohaterów kroniki: zresztą dziś jedni przenieśli się do wieczności, inni wyjechali z kraju. Nazwiska niektórych jeszcze dziś pojawiają się na łamach prasy. Tak jakby przeszłość nie istniała. Tymczasem niepodobna od niej uciec, jest od nas silniejsza, tkwi w nas głęboko.

Jurij Drużnikow — w poszukiwaniu aniołów

Czytelnik polski otrzymuje książkę ważną, bez której trudno wyobrazić sobie współczesną literaturę rosyjską, książkę która weszła do kanonu tekstów opisujących epokę totalitarną. Dzięki powieści Drużnikowa lepiej rozumiemy istotę systemu i jego reformatorskiej pychy pragnącej zmienić świat. Należy ona, podobnie jak teksty Zinowiewa, do tej grupy utworów, które ukazywały codzienność totalitaryzmu, uzupełniając jego martyrologiczną wizję, znaną z dzieł Szalamowa czy Solżenicyna.

Jurij Iljicz Drużnikow, rocznik 1933, należy do twórców powszechnie nazywanych „szestidiesiatnikami”, czasem też pokoleniem XX Zjazdu. Debiutowali i tworzyli we względnie liberalnej epoce Chruszczowa, w porównaniu do wcześniejszych czasów — nazywanej odwilżą, która szybko straciła swój ożywczy charakter i zmierzała do marazmu duchowego. Ich drogi potoczyły się rozmaicie — jedni stali się ortodoksyjnymi, serwilistycznymi pisarzami realizmu socjalistycznego, inni ewoluowali w stronę pseudoopozycjonizmu, niezwykle powierzchownego, nie wyrządzającego żadnej szkody systemowi. Byli również tacy, którzy odrzucili oportunizm, fasadowość, półprawdy i nie pozwalali się zniewolić. Nieraz przyszło im płacić wysoką cenę — jako pisarzom i obywatelom. Do tej grupy pisarzy należy Drużnikow

Debiutował w latach sześćdziesiątych utworami dla dzieci, lecz jego kariera w kraju szybko się skończyła. Od 1974 do 1991 roku decyzją władz zniknął z literatury. W państwie, które nadzorowało wszystkie sfery życia, literatura dziecięca była pod specjalną kontrolą aparatu ideologicznego: kształtowanie człowieka radzieckiego zaczynało się od pierwszych dni jego istnienia. Teksty pisarza bezlitośnie cięła cenzura, bały się je przyjmować pisma literackie. Zaś te nieliczne spośród nich, które udało się Drużnikowowi opublikować, krytycy poddawali skrupulatnej ideologicznej analizie, nie dając się zwieść, używanemu początkowo przez pisarza, popularnemu wówczas językowi „ezopowemu”. Ostatni jego tekst ukazał się w roku 1976, lecz spora część powieści *Poczekaj do szesnastej*, została poddana kastracji. Komedie *Nauczyciel się zakochał* zdjęto z repertuaru, innej w ogóle nie dopuszczono na deski teatrów.

Los Drużnikowa pisarza potoczył się według klasycznego wzoru: rozpoczął się okres działalności opozycyjnej i współpracy z pra-

są emigracyjną. Za to karano surowo, wykluczeniem ze Związku Pisarzy, co skazywało człowieka pióra na niebyt. Mający legitymację pisarską numer 8552 Drużnikow został usunięty ze Związku Pisarzy w 1976 roku. W ten sposób wszedł do grupy twórców potępionych, poddawanych nagonkom, których listę w epoce stalinowskiej otwierają Anna Achmatowa i Michaił Zoszczenko, a w czasach późniejszych kontynuują Boris Pasternak, Andriej Siniawski, Julij Daniel, Aleksandr Solżenicyn, Aleksander Galicz, Władimir Maksimow, Wiktor Niekrasow, Lidia Czukowska, Władimir Wojnowicz, Jewgienij Popow. Później pisarze sami zaczęli opuszczać Związek — tak zrobili Gieorgij Władimow, Wasilij Aksionow, Inna Lisnianska, Siemion Lipkin.

Podobnie jak inni prześladowani autorzy Drużnikow nie zarzucił działalności pisarskiej i zaczął „pisać do szuflady”. Choć określenie to brzmi niewinnie, w rzeczywistości oznaczało konspirację. Należało tak chować rękopisy, by nie odnalazły ich nadzwyczaj wprawne organa ścigania i Drużnikow szybko się tego nauczył.

Nie udało się go zastraszyć: nie zamilkł, nie został emigrantem wewnętrznym — przyjął postawę aktywną, szukał miejsca dla siebie, organizując warsztaty dla młodych pisarzy. Razem z aktorem Sawielijem Kramarowem zorganizował tajny teatr, wkrótce zresztą zlikwidowany. Gorszym przestępstwem było przygotowywanie mikrofilmów zakazanych dzieł (przy pomocy specjalnie skonstruowanej aparatury) i przerzucanie ich za granicę; potem ukazywały się one w *tamizdacie*.

W swoim autobiograficznym utworze *Wykluczenie pisarza Nr 8552*, napisanym już po opuszczeniu Związku Radzieckiego, Drużnikow wspomina, jak z Gieorgijem Władimowem przyklejali plastrami do ciała zaprzyjaźnionego sławisty amerykańskiego, który odwiedził Moskwę, taśmę ze sfotografowanym rękopisem, nie mającym żadnych szans na publikację. W tę konspiracyjną działalność, dzięki ojcu A. Mieniowi, wciągani byli zagraniczni duchowni, których nie kontrolowano na granicy. Wspomniane tu *Wykluczenie pisarza Nr 8552* należy do tych relacji i dokumentów, które są świadectwem losu pisarza w systemie totalitarnym. Do memuarystyki tego rodzaju należą również *Wspomnienia Nadzieży Mandelsztam*, *Proces relegowania Lidii Czukowskiej*, *Bodło cieleń dąb Aleksandra Solżenicyna*, *Zdarzenie w Metropolu* i *Sprawę Nr 34840 Władimira Wojnowicza*.

Tekst Drużnikowa znakomicie wpisuje się w nurt dokumentowania rzeczywistości oficjalnie ukrywanej w zakłamanych wspomnieniach za półprawdami. Pisał o tym J. Malcew: „Potrzeba odtworzenia prawdy, zachowania choć kropli wśród morza kłamstw zrodziła ogromną literaturę wspomnieniową.”

Nad Drużnikowem gromadziły się ciemne chmury, zaczęły się

wezwania na Łubiankę, groził mu obóz lub *psychuszka*. Uratowały go protesty znanych pisarzy zachodnich, między innymi Artura Millera i Kurta Vonegutha. Drużnikowa przyjęto do amerykańskiego Pen-Clubu, wstawił się za nim również Kongres Stanów Zjednoczonych. Zrozumiałe, że w takiej sytuacji władze nie chciały ryzykować skandalu i aresztować pisarza. W 1987 roku Drużnikow emigruje, zauważmy, że są to czasy *pieriestrojki*. Losy pisarza pokazują ją w innym nieco świetle, trudno znając takie przypadki zachwycać się bezkrytycznie odnowicielskimi pomysłami Gorbaczowa. Po krótkim pobycie w Wiedniu Drużnikow wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych i osiedla się w Kalifornii. Współpracuje z emigracyjną prasą rosyjską, jest częstym gościem rozgłośni radiowych i pisze dla gazet amerykańskich, podejmuje pracę na amerykańskich uniwersytetach, gdzie odkrywa drugie swoje powołanie — sławisty.

*

Najgłośniejsze dzieło, powieść *Anioły na ostrzu igielnym* (*Angiełty na konczikie igły*), Drużnikow pisał długo — powstawało ono w latach 1969-1976, w okresie, gdy iluzje łączone z odwilżą, z „nowym ładem” stawały się odległym wspomnieniem. Przywódcą partii i państwa został Leonid Breżniew, którego rządy określa się dziś mianem zastoju czy stagnacji. Breżniewizm to typ władzy, który przy stymulowanym kulcie przywódcy nie ma charakteru wodzowskiego, lecz administracyjno-biurokratyczny. To zarazem czasy komunizmu nomenklaturowego, wtedy bowiem uśpiona nieco w epoce odwilży nomenklatura odzyskuje pełnię władzy. Aparat ideologiczny i propagandowy głosi hasło „rozwinętego socjalizmu”, który ma uświadamiać postęp, jaki dokonał się w sferze socjalnej i ekonomicznej. Pamiętać jednak trzeba, że w ekonomii elementem znaczącym lub decydującym była militaryzacja, wpływająca na dynamikę sowieckiego imperializmu, zaś w sferze socjalnej — biegunowe różnicowanie się społeczeństwa pod względem zasobności. Widoczna staje się wówczas ekspansja ideologiczna, sprzyjająca sowietomarii, pojawia się groźba restalinizacji. Epoka zastoju to także okres gerontokracji, rządów marazmatyków, ludzi o nijakiej osobowości.

Z drugiej jednak strony, w epoce breżniewowskiej, jak nigdy dotąd na tak wielką skalę, rozwija się ruch niezgody na rzeczywistość, rodzi się opór wobec prób zdławienia wszelkiej wolnej myśli, do jakiej, choć w stopniu bardzo ograniczonym, doprowadziły czasy odwilży. Zjawiskiem szczególnym staje się samizdat, który okaże się silną bronią w walce ze zmurszałym systemem.

Drużnikow sporo rozmyślał nad tytułem swej powieści, stworzył kilkadziesiąt jego wersji. Uważał, że tytuł spełnia ważną rolę, że powinien informować o dziele, stanowić zmetaforyzowaną i skondensowaną zapowiedź tego, co czytelnik odkryje w czasie lektury. Ma mu zarazem podpowiedzieć główną ideę dzieła, a aluzja w nim zawarta powinna być czytelna. Umieszczone w tytule książki Drużnikowa słowo *anioł* prowadzi ku czemuś jednoznacznie pozytywnemu: grecki *angelos* to poseł, wysłannik, zwiastun, w cywilizacji chrześcijańskiej to wysłannik Boga. Sformułowanie *anioł na końcu igły* wywołuje skojarzenie ze średniowieczną scholastyką, kieruje nas tam zresztą sam autor, podając formułę określającą, ile aniołów może się zmieścić na końcu igły. Przypomnijmy, że to świętemu Tomaszowi z Akwinu, znakomitemu angelologowi, przypisuje się powiedzenie *gromada aniołów może tańczyć na ostrzu szpilki*. On też zastanawiał się nad tym, ile aniołów może przebywać jednocześnie w tym samym miejscu. Tak więc oprócz słowa *anioł* w tytule książki Drużnikowa semantycznie obciążone jest także miejsce — *koniec igły* — a więc szczególnie uprzywilejowane i najbardziej widoczne. I wreszcie, w Drużnikowskiej metaforze istotna jest ilość. Jeśli odejdziemy od scholastycznej formuły i spróbujemy urealnić sytuację, z łatwością wyciągamy wniosek, że liczba aniołów na przysłowio- wym końcu igły jest niewielka.

Anioły na ostrzu igielnym to powieść środowiskowa. I jako taka mieści się w nurcie klasycznego realizmu. Zadaniem tej odmiany powieści jest ukazanie pewnego środowiska zawodowego jako struktury homogenicznej, o ukształtowanym etosie, z charakterystyczną dla niego obyczajowością i osobliwościami językowymi. Powieść środowiskowa często zbliża się do powieści reportażowej, stanowiącej dokumentalną niemal relację o przedstawianym wycinku rzeczywistości. Obie te odmiany powieści odnoszą się zazwyczaj do przedmiotu o dużej doniosłości społecznej. I tak jest właśnie u Drużnikowa. Jednak w rzeczywistości radzieckiej doniosłość oznacza co innego, jest ona wyrazem służenia systemowi i jego ideom, które gloryfikują totalitarne państwo, a kolektyw stawiają ponad człowieka

Anioły na ostrzu igielnym to anatomia środowiska dziennikarskiego, choć właściwiej należałoby powiedzieć — jego wiwisekcja. To powieść przedstawiająca zakulisowe tajemnice działającego na zasadzie mafii dziennikarstwa radzieckiego, ubezwłasnowolnionego, dla którego prawda jest własnością najwyższych instancji. Drużnikow opowiada o funkcjonowaniu jednej z najważniejszych, chociaż o fikcyjnym tytule, partyjnych gazet z epoki застою. Pisarz przedstawia dziewięć i pół tygodnia działalności „Prawdy Robotniczej” i nie jest

dziełem przypadku, że umiejscawia akcję w roku 1969, tuż po zdławieniu Praskiej Wiosny, kiedy zaczął coraz wyraźniej chwytać ideologiczny mróz. Wybór środowiska jest zrozumiały: dziennikarze byli pracownikami frontu ideologicznego. Stanowili środowisko hermetyczne nie ze względu na talent, lecz ideologiczną wierność systemowi. Gazety, czasopisma, radio pełniły misję kłamstwa. W kształtowaniu człowieka radzieckiego to one — obok literatury, filmu, sztuki, szkoły — miały formować jego duchowość. Jak płytką intelektualnie i ubogą wewnątrznie okazała się ta zaprogramowana istota pokazują liczne książki i opracowania, wśród nich dzieła Aleksandra Zinowiewa. W jego wizji antropologicznej społeczeństwa radzieckiego *homo sovieticus* stanowi odstrasający przykład próby ideologicznego ingerowania w naturę ludzką i pokazuje jednoznacznie, że podjęty eksperyment antropologiczny nie mógł się powieść.

Książka Drużnikowa uświadamia nam, jaką rolę w życiu totalitarnego państwa pełniło kłamstwo. Przypomnijmy, że za największe zło systemu uznał je Aleksander Solżenicyn. W swoim słynnym apelu do społeczeństwa wzywał, by *Nie żyć w kłamstwie*. Odwołanie w nim uczestnictwa uważał za formę oporu wobec narzuconego siłą modelu życia. Autor powieści *Anioły na ostrzu igielnym* pokazuje, że w życiu dziennikarzy kłamstwo było podstawą działania, powszechnie akceptowaną jako metoda pracy. Czynniki etyczne nie stanowiły dla niej tamy, w olbrzymiej większości dziennikarze partyjnej gazety nie byli zdolni do refleksji moralnej. Dla nich kłamstwo było prawdą, a nieliczni tego świadomi ucieczkę znajdowali w cynizmie. Niektórzy próbowali pisać prawdę, ale była ona niepotrzebna.

Dla większości dziennikarzy ważna była taktyka, wyczucie, co i jak pisać, by dobrze uprawiać propagandę i zyskać przychyłność władz. Takim wyczulonym węchem zawodowym odznaczał się naczelny redaktor, Makarcew, lecz i jego zawiodła w końcu przyjęta taktyka. Pisarstwo dziennikarzy koncentrowało się wokół dylematu: wolno — nie wolno, a obawa przed pomyłką ideologiczną paraliżowała. Wewnętrzna cenzura nakazywała sprawdzać skrupulatnie tekst nie tylko w warstwie prymarnych znaczeń słów, trzeba było również przewidywać kontekst, by nie pojawiły się niekontrolowane skojarzenia. Drużnikowowi udaje się znakomicie zilustrować technologię kłamstwa, uwypuklić samozakłamanie i sprzedajność dziennikarzy.

Względy ideologiczne i poczucie bezpieczeństwa powodowały, że środowisko dziennikarskie, jak całe społeczeństwo radzieckie, składało się w większości z ludzi mających dwie osobowości, całkowicie między sobą sprzeczne, ujawniające się w pracy i w ży-

ciu prywatnym. Jedna wersja dostosowana była do modelu życia oficjalnego, wymagającego stałej samokontroli, druga była korzystaniem z pozorów wolności. W ten sposób nakładały się na siebie dwa warianty człowieka: *homo sovieticus* i *homo absconditus*. Konieczność manewrowania między dwiema strefami prowadziła do stopniowej, społecznej schizofrenii. Prasa stanowiła jedno z ważnych narzędzi sprawowania władzy, dlatego podlegała podwójnej kontroli — przez organy partii i państwa, wzajemnie zresztą współpracujące. Naczelnego redaktora wyznaczał Komitet Centralny, a żaden jej numer nie mógł się ukazać bez zatwierdzenia przez Wydział Prasy KC. Makarcew musiał się często tam pojawiać — był to dla niego obowiązek, ale także i zaszczyt, gdyż stanowił awans do nomenklatury. W rzeczywistości radzieckiej Komitet Centralny był enklawą ideologiczną, której granice niełatwo było przekroczyć „sowczekowi” (*sowietskij czelowiek*). Stanowił przestrzeń władzy, zarządzania, sterowania. Jak napisał A. Zinowiew w swej książce *Światłana przyszłość: Kto nie był na korytarzach Komitetu Centralnego, ten nie jest w stanie zrozumieć do końca naszego społeczeństwa. W Wielkim Domu rezydował Chierlawy — główny ideolog, który pragnął pozostawać zawsze w cieniu. To Susłow.*

Redaktor naczelny lubił być chwalony na naradach w KC: *Sprawiło to Makrcewowi szczególną satysfakcję: zawsze postępował tak, jak tego wymagała partia, choć w głębi duszy nie zawsze się z nią zgadzał, czasem miewał nawet odmienne zdanie. Tak, tak odmienne, nie był przecież maszyną, lecz żywym człowiekiem. Można, naturalnie, nie zgadzać się z czymś w głębi duszy, ale trzeba zachować milczenie. Postępować należy tak, jak tego żąda partia. Na tym właśnie zasadza się różnica między lenińską pryncypialnością a abstrakcyjnymi zasadami i apolitycznym sumieniem. Niekiedy trzeba było także wysłuchiwać w Wydziale Propagandy słów krytyki: za błędy w walce ideologicznej.*

W *Aniołach na ostrzu igielnym* pojawia się także główny przywódca radziecki. W książkach o tamtej rzeczywistości, mających ambicje opisu pełnego, uwzględniającego wszystkie sfery życia, przywódcy partii i rządu występują zawsze, choć ukazywani bywają w różny sposób: w tonacji poważnej, przerażającej upiornością, bądź w świetle satyrycznym czy groteskowym. Wystarczy przypomnieć portrety Stalina w książkach Sołżenicyna, Wojnowicza, Zinowiewa. Pojawia się on także w książce Drużnikowa, w reminiscencji z życiorysu jednego z bohaterów utworu. Jego wizerunek jest desakralizowany przez podkreślenie kompleksu niskiego wzrostu, wzmiankę, że miał zrośnięty drugi i trzeci palec lewej nogi. W krótkim epizodzie widzimy także Chruszczowa.

U Drużnikowa, podobnie jak w przypadku Susłowa, Breżniew nie jest wymieniany z nazwiska, pisarz dobrał mu pseudonim Krzaczasty, dzięki któremu identyfikacja jest jednoznaczna. W prezentacji Wodza zastosował zaś wariant satyryczno-groteskowy, świadomie desakralizujący — widać tu pewną zbieżność z powieściami Wojnowicza. Kpiną z przywódców radzieckich, z gerontokracji, jest scena terapii impotentologicznej, w której autor łączy kpinę z chwytem degradacji. Nie sposób nie wspomnieć tu o *Dennych wyżynach* Zinowiewa, gdzie w futurologicznej utopii przywódcy zwani przez pisarza Zarządzaczami, mieli być uwolnieni od chorób i osiągać najwyższy stopień potencji seksualnej.

W bardziej złowieszczym świetle niż partia i jej przywódcy ukazane zostały organy bezpieczeństwa, budzące grozę KGB. Pod postacią Kegelbanowa sportretowany został Andropow — autor przypomina jego „zasługi” w dławieniu powstania węgierskiego. Policja polityczna rozszerzała kontrolę na wszystkie dziedziny życia, także na prasę, chociaż ta była pod nadzorem Komitetu Centralnego. Jednak w obliczu zagrożenia ze strony dywersji ideologicznej, której bodźcem były wydarzenia 1968 roku w Czechosłowacji, KGB wzmożło nadzór nad społeczeństwem. Wrogiem najbardziej niebezpiecznym stawali się tworzący i kolportujący samizdat opozycjoniści, nie byli już bowiem nosicielami wirusa strachu. Najbardziej świadomi przedstawiciele inteligencji zaczęli zdawać sobie sprawę, że kłamstwo ogarnia i przenika całe życie, że w miejsce prawdy głosi się półprawdy lub zupełny fałsz. Dlatego pisarze zaczęli sięgać po tematy i problemy stanowiące ideologiczne tabu i zakazane przez cenzurę oraz takie, których podjąć nie pozwalała autocenzura.

W ten sposób rodziła się literatura dysydencka, w której znajdowało odzwierciedlenie nowe zjawisko — *inakomyslije*. Ważne było, by dzieła zakazane ogarniały jak największe kręgi czytelników, edukacja społeczeństwa mogła być gwarancją przemian. W samizdacie potrzebni byli autorzy tekstów, tłumacze, przepisujące teksty maszynistki, kolporterzy. KGB wydał im bezwzględna walkę. Drużnikow przedstawia jej cele i metody, pokazuje jak władze resortu opracowywały plan działania (stenogram narady w KGB), opisuje konkretne przedsięwzięcia zmierzające do zastraszenia i likwidacji przeciwników ideowych.

W powieści Drużnikowa niezwykle ważną rolę ideową i fabularną odgrywa motyw szarej teczki. Szara teczka to wydane w samizdacie tłumaczenie znanej książki de Custine’a *Listy z Rosji*. Opis Rosji pierwszej połowy XIX wieku, jaką zawarł w swym dziele Custine, jest jakby charakterystyką życia Rosji radzieckiej. Dziewiętna-

stowieczne imperium carów i komunistyczne państwo totalitarne są bliźniaczo podobne. Tej prawdy, ujętej w kostium historyczny, nie powinien znać mieszkaniec Kraju Rad i dlatego książkę Custine'a uznano za wrogą. Stała się ona przyczyną klęski redaktora naczelnego Makarcewa, którego zastąpi związany z KGB serwili- sta, Stiepan Jagubow. Przede wszystkim jednak doprowadzi ona do zguby Pawła Iwlewa, który tłumacząc książkę Custine'a i kolportu- jąc ją, stał się dla systemu groźny. Iwlew nie jest bohaterem, wystę- pującym otwarcie przeciwko systemowi. Nie można go porówny- wać z takimi dysydentami, jak Andriej Siniawski, Anatolij Marczen- ko czy Władimir Bukowski. Niemniej jednak, zachowując instynkt samozachowawczy, pokonał strach i uwierzył, że udostępnienie czy- telnikowi samizdatu dzieła Custine'a ma sens. W oczach Drużniko- wa jest on jednym z tytułowych aniołów, przynoszących „dobrą nowinę”, która zacznie docierać do coraz większych kręgów znie- wolonego społeczeństwa.

Książki Drużnikowa nie można ograniczyć do gatunku powie- ści środowiskowej, ponieważ w swej warstwie obrazowej jest ona znacznie bogatsza. We wspomnieniach pojawiają się łagry i czasy wojny. Pisarz wychodzi daleko poza granice redakcji, dzięki czemu otrzymujemy szeroką panoramę państwa totalitarnego ze wszystki- mi cechami jego natury. Autor zarazem nie ogranicza się do epoki breżniewowskiego zastoju, w licznych *ekskursach* cofa się do epok wcześniejszych, do stalinizmu, do epoki odwilży.

Oprócz pracowników redakcji mamy w utworze szereg innych postaci, reprezentujących różne środowiska. Świeżym pomysłem Drużnikowa jest prezentacja ich sylwetek w oficjalnych dokumen- tach: autobiografiach, ankietach, jakie musieli wypełniać dla działu kadr czy starając się o wyjazd za granicę, a także przy różnego typu opiniach. Uzewnętrznia się w nich zakłamanie systemu, niekiedy doprowadzane do absurdu: śmieszność splata się z powagą.

Dzięki książce Drużnikowa poznajemy realia radzieckie, gdzie kasta uprzywilejowanych korzysta z dóbr niedostępnych dla in- nych obywateli. Więcej — prawo inaczej jest do nich stosowane, mogą je łamać, działa protekcjonizm i kumoterstwo. Widzimy co- dzienne życie, kłopoty i troski bohaterów, ale również ich małe ra- dości. Do fabuły wplata autor wątki miłosne i seks. Jednak wśród licznych postaci kobiecych nie ma osobowości tak wspaniałych, jak te, które mistrzowsko kreowała rosyjska literatura klasyczna. Autor odnosi się do nich ciepło, ale jego kobiety nie wyrastają ponad prze- ciętność. Zresztą w zdominowanym przez mężczyzn świecie dzien- nikarskim przypadają im role pomocnicze. Drażni niezdecydowa-

nie Nadii, przechodzenie od euforii (scena miłosna w hotelu) do niemal obojętności. Maszynistka Maria Swietłozierskaja okazuje się wcieleniem seksu i zmysłowości, groteskowa jest Alla, pomocnica terapeuty impotentologa. W znacznym stopniu do bohaterek powieści Drużnikowa odnoszą się uwagi Limonowa, który w ostatniej swej książce *Anatomia bohatera* stwierdzał, że ukształtowana przez System kobieta radziecka, została okaleczona duchowo i moralnie, stworzyła kodeks postępowania, w którym pociąg seksualny zastąpił dekalog. Dewastacji uległo także życie rodzinne, brak w nim miłości i wzajemnego zrozumienia, rodzice i dzieci stali się sobie obcy. Odpychająca jest reakcja matki Iwlewa na wieść o jego aresztowaniu — przywiązanie do idei jest u niej silniejsze od więzów rodzinnych. Nawet rodzina wiejska, tak idealizowana przez autorów, zatraciła tradycyjne więzi wspólnotowe.

Drużnikow przedstawił ponury obraz rzeczywistości radzieckiej epoki zastoju. Wiernie odtworzył realia zaprogramowanej utopii, przekonująco zilustrował efekty upadku człowieka, którego wyrwano z naturalnego biegu rozwoju, poddając tresurze ideologicznej. Pisarz ukazał społeczeństwo w upadku — jego wizja jest apokaliptyczna, lecz nie pozbawiona całkowicie nadziei. Promień światła dostrzegł w nielicznej grupie „obudzonych”, którzy, zdobyli się na odwagę i nieśli promień nadziei. Drużnikow nazwał ich pięknie — aniołami.

*

Dzięki *Aniołom na ostrzu igielnym* poznajemy Drużnikowa beletrystę. Wcześniej przetłumaczono jego znakomite dzieło eseistyczne — *Rosyjskie mity. Od Puszkina do Pawlika Morozowa*. Pisarz jawi się w nich jako bezwzględny tropiciel czerwonych mitów, misternie tworzonych w gabinetach propagandzistów, a chętnie podejmowanych przez ludzi pióra — sprzedajnych pisarzy i pozbawionych etosu badaczy.

Esej Drużnikowa *Pawlika Morozowa wyniesienie na ołtarze* to klasyczny dla tego autora przykład demaskacji mitu epoki radzieckiej. Przez organy propagandy Pawlik Morozow został wykreowany na wzór chłopca-pioniera, który z miłości do systemu gotów jest poświęcić najbliższych. Doniósł na własnego ojca, co wykorzystano jako pożyteczny i skuteczny instrument wychowawczy w procesie kształtowania nowego człowieka, do którego przyłgnęło pogardliwe słowo *homo sovieticus*. Na micie o młodym „szlachetnym” donosicielu wyrosło wiele pokoleń. Znamienne, że do dziś jeszcze nadal żywotny jest w niektórych środowiskach propagandowy mit hero-

icznego czynu pioniera, który, jak wykazał Drużnikow, w rzeczywistości nie był nawet członkiem tej młodzieżowej organizacji.

Pisarz jak wytrawny detektyw podąża śladem oficjalnej wersji legendy o Pawliku. Pokazuje jak odrzucając tradycyjną moralność wpajano społeczeństwu, że donosicielstwo to obowiązek obywatelski. Co więcej nadawano donosowi wymiar heroiczny. Nic więc dziwnego, że donosicielstwo stało się epidemią latami wyniszczającą naród.

Zebrane przez Drużnikowa informacje o Pawliku Morozowie dowodzą, że nie wahano się fałszować prawdy, nawet wówczas, gdy dotyczyła ona śmierci, byle tylko tworzony mit okazywał się skuteczny. Wszelka manipulacja była dopuszczalna, bowiem usprawiedliwiał ją ideologiczny cel. Zadziwia dociekliwość Drużnikowa, który wykorzystał wszelkie możliwe źródła tematu, odwiedził miejsca, gdzie rozegrała się rodzinna tragedia, przeprowadził rozmowy z żyjącymi jeszcze uczestnikami i świadkami wydarzeń, badał archiwa, studiował gazety i czasopisma, przeczytał dziesiątki książek o Pawliku Morozowie i pionierach radzieckich. Jego esej stanowi ważne źródło do badań nad radzieckim komunizmem, nad funkcjonowaniem propagandy, procesem formowania nowej mentalności. Pokazuje, jak działała potężna machina ideologiczna, jak perfidne i bezwzględne były stosowane przez nią metody i jakie sukcesy potrafiła osiągnąć.

W omawianym tomie esejów Drużnikowa znalazło się jeszcze kilka innych tekstów, których bohaterami są znane postacie literatury rosyjskiej. Znamienne, że również ta dziedzina życia — kultura, literatura — poddana została mitologizacji. Zgodnie z wymogami propagandy nawet postacie z odległej epoki musiały być pokazywane tak, by kształtować mentalność człowieka radzieckiego. Fałszowanie było tu nie mniej istotne niż w przypadku polityki, ideologii, ekonomii, filozofii czy statystyki. Drużnikow pisze: *Od najwcześniejszego dzieciństwa wdrażano nas do uznawania gazetowych bajek za prawdę i karano za sceptycyzm, toteż mity weszły nam w krew. Za mit uznał utrwalane w nauce radzieckiej przekonanie o przyjaźni literackiej dwu wielkich pisarzy pierwszej połowy XIX wieku — Puszkina i Gogola. W niezwykle interesującym esej z *Puszkinem na przyjacielskiej stopie* rozprawia się z legendą, jaką współtworzył zresztą sam autor *Plaszcz* (chlestackowszczyzna Gogola), a potem wyniesiony na piedestał przez naukę radziecką znany krytyk Biełliński. Ze względów ideologicznych mit ten był przydatny literaturoznawstwu radzieckiemu.*

W kolejnym esej, *Sto trzynasta miłość poety*, rozprawia się Drużnikow z mitem o wzorcowej żonie Puszkina, mówi o jej wąskich horyzontach myślowych, przyziemności, ubogim życiu wewnątrz-

nym. Wielki poeta rosyjski pojawia się także w eseju *Puszkina, Stalin i inni poeci*, w którym autor wykazuje, że zafalszowywano, wykorzystywano biografię i twórczość Puszkina nawet do budowania kultu Stalina. Drużnikow pisze: *Historyczna tragedia Puszkina polega na tym, że przekształcono go w otoczonego kultem idola, w ikonę (...) jego rzeczywiste rysy stopniowo znikają pod grubą warstwą makijażu*. On natomiast pragnie prezentować Puszkina żywego, prawdziwego, odbrażowanego, podobnie jak starał się to robić A. Terc-Siniawski w książce *Spacer z Puszkinem*, która, zarówno w kraju, jak i na emigracji, wywołała gwałtowne ataki stronników „oficjalnego” wizerunku poety.

Z autorów dwudziestowiecznych zainteresował się Drużnikow Chlebnikowem i Trifonowem. Tego ostatniego przedstawia jako oportunistę nie wchodzącego w spór z systemem, jako konformistę unikającego kłopotów z władzą. W ujęciu Drużnikowa wizerunek tego znanego i popularnego bardzo także w Polsce pisarza moskiewskiego jest mało pociągający — to twórca płacący za swój sukces wydawniczy niedopowiedzeniami i półprawdami.

Zaskakujące swoimi odkryciami, nowością spojrzenia, fascynujące w lekturze eseje Drużnikowa mają swoich oponentów, a niekiedy zaciekłych wrogów, traktujących autora jako świętokradcę, nihilistycznego burzyciela wartości, rusofoba i puszkinożercę.

*

Omówione tu teksty Drużnikowa, dostępne polskiemu czytelnikowi, to zaledwie część jego obfitego dorobku. Słusznie zaliczany jest do grona najwybitniejszych współczesnych pisarzy rosyjskich, chociaż ze względu na cenzurę i ideologiczne zakazy mógł publikować w ojczyźnie bardzo późno. Jego utwory dostępne były jednak czytelnikowi w kraju dzięki *samizdatowi* i *tamizdatowi*. Do szerszego kręgu odbiorców dotarł, gdy upadł system i państwo zrezygnowało z kontroli nad działalnością pisarzy. Można więc teksty Drużnikowa traktować jako literaturę przywracaną rosyjskiemu życiu literackiemu. Istotne jest wszakże to, że nie straciły one aktualności, nie są zabytkami muzealnymi w archiwum literatury. Najlepszym tego dowodem jest powieść *Anioły na ostrzu igielnym*.

Lucjan Suchanek

Spis rozdziałów

1. Przed głównym wejściem	5
2. Aleksy Dwojeninow	10
<i>Wzlot i upadek Loszy Dwojeninowa</i>	11
3. Klasyczny zawał	18
4. Igor Makarcew	21
<i>Wzloty i upadki Igora Makarcewa</i>	22
5. Góry lodowe	40
6. Szara teczka	46
7. Anna Łokotkowa	57
<i>Radości i smutki Anny Siemionowny</i>	57
8. Czytanie nocą	64
9. Markiz Astolf de Custine	66
10. Już świta	75
11. U kogo zasięgnąć rady?	77
12. Walentin Kaszyn	82
<i>Parabola Walentina Afanasjewicza</i>	82
13. Każdy ma obowiązki	87
14. Jakow Rappoport	90
<i>Pasma nieustających klęsk</i>	91
15. Reguły gry	113
16. Kolegium	123
17. Cierpienia starego Rappoporta	130
18. Stiepan Jagubow	137
<i>Wzloty i upadki Jagubowa</i>	138
19. Do roboty! Do roboty!	155

20. Nadieżda Sirotkina	163
<i>Bez wzlotów i upadków</i>	163
21. Hokus-pokus	167
22. Maksym Zakamorny	171
<i>Elipsa Maksyma Zakamornego</i>	172
23. Szkoła kanarków	181
24. Aleksander Kakabadze	183
<i>Teoria i praktyka Saszy Kakabadze</i>	184
25. Jestem jak ryba	188
26. Wiaczesław Iwlew	190
<i>Postępki i występki Iwlewa</i>	191
27. Kto czego się boi?	200
28. Ku chwale ojczyzny	204
29. Dość tego!	212
30. Zimne szkło	217
31. W szpitalu kremlowskim	225
32. Zinaida Makarcewa	231
<i>Dni powszednie Zinaidy</i>	231
33. I tak cię pocałuję!	234
34. Borys Makarcew	238
<i>Kłopoty Boba</i>	239
35. Piątek, szósta rano	242
36. Władimir Utierin	245
<i>Kariera kapitana Utierina</i>	245
37. Trzeba szukać dojsć	250
38. Noc w Nowosybirsku	258
39. Jagubow podejmuje decyzje	265
40. Nie chce człowiek mieć za złe, ale musi	267
41. Przykręcanie śrub	269
42. Randka u Rappoporta	282

43. Maria Swietłozierska	288
<i>Szczeble kariery Marii Swietłozierskiej</i>	289
44. Jedyne wyjście	293
45. Lew Poliszczuk	301
<i>Wiraze Poliszczuka</i>	302
46. Za plecami Jagubowa	306
47. Delez Wołobujew	311
<i>Zwycięstwa i klęski Deleza Wołobujewa</i>	312
48. Niekontrolowane skojarzenia	315
49. Urodziny	321
50. Deszcz	333
51. Syzyf Sahajdak	335
<i>Linia krzywa Sahajdaka</i>	336
52. Krąg dziesiąty	340
53. Ałła	347
<i>Żywot świętej Ałły</i>	347
54. Kieliszek herbaty	351
55. Subotnik u Nadi	354
56. Wasilij Sirotkin	362
<i>Kariera generała</i>	363
57. Stenogram narady	369
58. Audyencja u przewodniczącego	377
59. Żywot szefa partii	381
60. „Trzy siódemki”	389
61. Kibice	397
62. Wieczne mrozy	402
63. Antonina Iwlewa	409
<i>Dole i niedole Toni Iwlewej</i>	410
64. Nie zapisujcie telefonów!	415
65. Maszyna do pisania	418
66. Kipisz	422

67. Powrót syna marnotrawnego	426
68. Brak skromności	436
69. To również przeminie	444
70. Kobieta fatalna	453
71. Zemsta	459
72. Niebieska koperta	463
73. Jutro 1 Maja	471

<i>Postowie autora do pierwszego wydania amerykańskiego</i>	484
---	-----

<i>Postowie do pierwszego wydania polskiego prof. Lucjan Suchanek</i>	487
---	-----